

ADAM MICKIEWICZ.

Malował Walenty Wańkowicz.

Oryginał znajduje się w zbiorach po ś. p. Helenie Skirmunttowej w Pińsku.

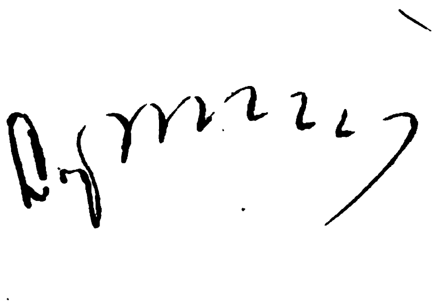
KSIĄŻKA ZBIOROWA

POŚWIĘCONA PAMIĘCI

ADAMA MICKIEWICZA

W STULETNIĄ ROCZNICĘ JEGO URODZIN

(1798—1898)



Drukiem Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

. . . . Z ZIEMI PAGÓRKÓW LEŚNYCH Z ZIEMI ŁĄK ZIELONYCH

KSIĄŻKA ZBIOROWA
POŚWIĘCONA PAMIĘCI
ADAMA MICKIEWICZA
W STULETNIĄ ROCZNICĘ JEGO URODZIN

1798 — 1898

WARSZAWA *
GEBETHNER
I WOLFF * 1899

Дозволено Цензурою.
Варшава, 13 Іюля 1899 года.

Słowo wstępne.

Do wielkich ludzi swoich, niekiedy ze zwiększoną czcią i miłością zwracają wzrok narody, a wówczas imiona tych wybrańców zdają się jaśnieć zdwojonym blaskiem. Takiem jest dla nas imię Adama Mickiewicza, w stuletnią rocznicę jego urodzin.

Pierwiastki duchowe ludów z których powstał, zjednoczył w duszy swojej ten wieszcz ich i tłumacz, a iskra gienjuszu wzniosła go wyżej ponad narodowe tłumy i dała mu stanąć na tych szczytach, skąd garstka dusz wielkich w wiekowym pochodzie naprzód, przewodniczy ludzkości.

Chrześcijanin z głębi duszy, od kolebki do grobu, jak orzeł patrzący w słońce, Mickiewicz patrzył w Niebo, i gdy czarem poezyi wysnutej z piersi własnej otaczał ziemię którą tak miłował — brał on górne natchnienia bijące z wiary stropów i we wspaniałych wierszach przelewał w pisma swoje; dlatego do nieśmiertelnego piękna dzieł jego dołączyła się i nieśmiertelna zasługa.

Dziś my, wielkiego poety najbliżsi ziomkowie, cześć wdzięczną mu niosąc—tym skromnym prac zbiorem święcimy jego rok jubileuszowy.

„AD ALTARIA TUA."

Z myśli i uwag o pierwiastku religijnym w twórczości Mickiewicza.

......„Altaria tua, Domine Virtutum rex meus et deus meus."
Ps. LXXXIV

Olbrzymie rozmiary w dziejach ducha ludzkiego ma postać Mickiewicza, olbrzymie są walki i cierpienia wewnętrzne, przez które wieszcz przeszedł, olbrzymi i majestatu pełen tryumf, który osiągnął.

Z otchłani wątpień wydostał się on w słoneczny kraj prawdy i opowiedział ją w III części *Dziadów*.

Pisali inni o tem dziele wieszcza, piszą i pisać będą, zdarzała się i mnie niejeden raz sposobność myśli swoje o niem wypowiedzieć[1]).—Znowu teraz wracam do niego.—Ale skoro się wkroczy w dziedzinę kierunków i duchowych tęsknień wieku naszego, niepodobna minąć tę najwyższą ich wyżynę, przykuwa ona zdala i nęci myśl badacza, wzbiła się zuchwale ponad piętrzące się w około, ale jakby mniej śmiałe, a bardziej brzemieniem własnem przygar-

[1]) *Mesyaniści i Słowianofile*, 1888 r.—*Byron i jego wiek*, t. II, 1897 r.

bione szczyty, przekroczyła obszary mgły i chmur, urwistym, a dla wybrańców tylko dostępnym wierzchołkiem sięga w wieczny błękit.

Mickiewicz należy do rodziny gieniuszów, którzy na schyłku zeszłego stulecia i na początku bieżącego przynieśli z sobą na świat poczucie blizkości przewrotów i zmian zasadniczych, a obok tego tęsknotę do jakiegoś lepszego i idealniejszego życia, do takiej doskonałości stosunków ludzkich, której świat dać nie może. Wypadki, których byli świadkami, utwierdzały ich w tem uczuciu: w krwawych powodziach rewolucyi i wojen Napoleońskich zdawała się tonąć cała epoka dziejowa, otwierały się podwoje nowych czasów, tam pędzili marzeniem i myślą, ale z chaosu nowych a mglistych tęsknot i szczątków starych wiar nie wyłaniał się jeszcze świat nowy, było ciemno, wichry rozigranych żądz ducha miotały ich po przepaściach wątpień, pochłaniał mrok odwiecznej zagadki bytu.

Tym cierpieniom, marzeniom, dociekaniom, dążnościom i żądzom wieku nadał Byron własne imię, bo jednym był z najpierwszych i najenergiczniejszych ich wyrazicieli, ale wielkiej zagadki rozwiązać nie zdołał. Nie rozwiązali jej i ci, co z nim i za nim szli, daremnie silili się przekroczyć granicę negacyi, w której zagrzęźli; niezgodni ze sobą, rozmaitych dróg próbowali, jedno ich tylko łączyło: wspólność protestu przeciwko złemu porządkowi świata.

Ale dlaczego ten porządek był zły? tu nasuwała się konieczność ustalenia kryteryum, określającego granicę między dobrem a złem.

Wszystkie niemal religie i filozofie świata, od wieków nierozłącznie w pojęciach swoich kojarzyły dobro ze szczęśliwością, a złe z nieszczęściem, myśl zaś o złem niemniej ściśle wiązały z myślą o zmienności, znikomości i niepewności rzeczy ziemskich. Dobro przeto i szczęśliwość polegały na wyzwoleniu siebie z pod jarzma pragnień owych rzeczy zmiennych, znikomych i niepewnych a wzniesienia się w sfery absolutu, bez względu na to, czy absolut ten był żywym Bogiem, czy tylko martwą Nirwaną. W tym

poglądzie religia objawiona podawała rękę krytycyzmowi filozoficznemu, który przez usta Kanta wygłaszał jedno z najwspanialszych twierdzeń na jakie zdobyła się myśl ludzka: o dwóch rzeczach wielkich, o „niebie błękitnem nademną, i prawie moralnem we mnie", prawie moralnem, nakazującem walkę z mrokiem żądz w imię harmonii ducha z harmonią wszechświata, której symbolem jest niezmienny błękit nieba.

Dopiero w naszym wieku, dawszy się porwać wirowi wstrząśnień dziejowych, doleciała myśl pod wrażeniem wielkich klęsk i rozczarowań porewolucyjnych, do kresu wątpień, zapytując, czy nie miały się rzeczy odwrotnie do sądów naszych, czy to, co my dobrem nazywamy, nie było raczej złem, a złe dobrem.

„Czy Bóg—wołał Lucyfer, towarzyszący Byronowskiemu Kainowi w jego zaziemskiej wędrówce—nie miał mocy nazwać pokonanego wroga swego złem, a siebie Dobrem najwyższem." Ale skoro tylko okazywała się możliwość przypuszczenia, że Bóg jest złem, więc złym i brzydkim mógł też być ideał wyzwolenia ducha, któremu hołdowała ludzkość od początku wieków, złem i brzydkiem to błękitne niebo, do którego zwracała oczy myśl stęskniona do światła, prawdy i szczęścia. Wzdrygał się na to Kain, jakby czując, że wraz z takiem przypuszczeniem zanikały w duszy ludzkiej uczucia podziwu i uwielbienia, stanowiące najszlachetniejszy czynnik radości w życiu wewnętrznem, że życie samo traciło wdzięk swój i moc, pustynia martwa zalegała kwitnące kraje zachwytów estetycznych i tęsknot moralnych.—„Nie—wołał Kain upojony oglądaniem iskrzących się nieskończonych przestrzeni gwiaździstych — nie mogło złe przeniknąć do tych niezliczonych a jaśniejących światów, są one zbyt piękne!"—Tchnienie błękitu zwiewało na chwilę z serca jego chmury niewiary i rozpaczy.

Bądź co bądź ziarno ostatecznego zwątpienia było rzucone. Dopiero dziś wydaje ono swój zgniły owoc, ale już wówczas stanęli byli bajroniści nad skrajem przepaści, tylko nie wpadli w nią; umieli jeszcze patrzeć w błękit i w nim

widzieć ster dla uczuć i myśli. Najdalej ku otchłaniom negacyi posunął się był Lermontow, ale i w jego duszy walczył z pociągiem do pokłóconego z Bogiem demona podziw dla piękna stworzenia, upojenie nieskończonością, której się czuł synem wolnym.

Mickiewicz wielkim jest i samoistnym dlatego, że napiwszy się z tych samych źródeł buntowniczego bajronizmu, doznawszy wszystkich bólów wieku, i przeszedłszy ponadto przez szereg katuszy naszym tylko poetom znanych, wybrnął zwycięsko z objęć rozpaczy i na gruzach zdeptanych wątpień i narzekań wzniósł świątynię Panu. Stało się to dzięki temu, że miał on duszę tak głęboko, rdzennie religijną, jak żaden inny z poetów tego wieku, z nią przyszedł na świat i z nią też przeszedł przez życie.

Nadzwyczaj silnie i żywo czuł on związek tego świata z innym wyższym i lepszym, czuł Boga w sobie i nad sobą, rozumiał, że nie na potędze rozumu, uczucia lub woli zasadza się wartość człowieka, ale na tem, że on jest stworzon na obraz i podobieństwo Boże, wiedział zatem, że zjednoczenia z wolą Bożą wymaga dobro i szczęście jego, że w tem źródło jego mocy i niezniszczalności.—Ciemny duch Aryman, trawiony zazdrością, zapragnął raz wznieść się do państwa Oromaza; po ciemności, żywiole swoim, jak pająk po sieci poniósł się on w górę i ujrzał słońce przedwieczne i wielką jasność Bóstwa... Pomyślał wtedy o szczęściu bez końca a myśl ta, „ogromna, jak świata brzemię," z takim ciężarem nań spadła, że runął i bezsilny leciał w dół, aż znowu osiadł

W samym przepaści niezgłębionej środku
W samym ciemności najgrubszym zarodku.

Wiersz ten osnuty na ustępie z Zend-Awesty, a napisany w 1830 roku, żywo świadczy o usposobieniu wieszcza, o kierunku jego myśli, gdy wkraczając na utartą przez Byrona i bajronistów drogę wątpień, zastanawiał się nad dobrem i złem, nad stosunkiem Boga do szatana. Zbyt żywo kojarzył on piękno świata z myślą o kolejach losów

ludzkich i o szczęściu wewnętrznem, aby mógł zasmakować w negacyi.

Pozostawało mu przeto, jak wielkiemu Królowi Psalmiście, ukorzyć się przed Jehową, „przed obliczem którego nie usprawiedliwi się żaden żywy człowiek" i w pokorze tej moc własną i wielkość czerpać. Ale tu właśnie z religijnością wieszcza ścierała się owa zrodzona z wstrząśnień, z nadziei i zawodów wieku wybujałość indywidualizmu, który zapalał się ogniem własnych nieskończonych i niczem nie dających się zaspokoić tęsknot i przejęty ich potęgą, gotów był siebie ubóstwić i uznać w sobie—w tym mianowicie tytanicznym wysiłku wszystkich mocy ducha, usiłującego przekroczyć nakreślone mu granice i przedrzeć zasłonę tajemnic—najwyższy wyraz rozwoju świata. Indywidualizm ten był źródłem niezmiernej dumy Manfreda, który na łożu śmierci wygłaszał, że duch jego nieśmiertelny, od czasu i przestrzeni niezależny, sam sobie jest odpłatą za czyny dobre lub złe, sam źródłem mąk własnych i rozkoszy. Pod wpływem tegoż uczucia mienił się Słowacki *Królem duchem*, mistrzem prowadzącym świat na nowe tory, Lermontow zaś, czując, że mu ciasno i duszno na ziemi, wcielał się w wygnańców-demonów z piętnem smutku na twarzy nieukojonego i wieczystego, jak płacz wieków ginących w pomroku zapomnienia i rozbitych usiłowań. Te zapędy samopoczucia i te pokusy pychy również dobrze znał Mickiewicz i zostawiły one na jego uczuciach religijnych odrębne znamię, nie wysuwając bowiem na pierwszy plan stanowiącego istotę religijności czucia nędzy i pokory człowieka przed majestatem Stwórcy, przeciwnie, podnosiły raczej uczucia dumy, płynącej z przeświadczenia, że człowiek nosi w sobie obraz i podobieństwo Boga. Dwa te uczucia przeznaczone do wzajemnego kojarzenia się we wspaniałej harmonii religijnej, staczały ze sobą w duszy Mickiewicza przez czas długi zaciętą walkę.

Znalazła ona wyraz w twórczości wieszcza, zwłaszcza po roku 1830, kiedy to pod wpływem obcowania z X. Chołoniewskim, w Rzymie, przebudziła się w nim z uśpienia reli-

gijność, którą przytłumiły były wrażenia z pobytu w Odessie, Moskwie i Petersburgu. Po kilku latach zaniedbania przystąpił wtedy poeta do Komunii Św., w tym samym kierunku podziałały na usposobienie jego nieszczęścia ojczyzny, począł szukać pociechy w czytaniu mistyków, poznał dzieła Ś-go Dyonizego Areopagity, Boehma, Baadera, St. Martin'a, długie wieczory zimowe 1833 roku spędzał on według opowiadania Zaleskiego [1]) z przyjaciółmi rozprawiając o tajemnicach zaziemskiego życia, o świecie duchów, a dowodzenia jego świadczyły o głębokiem przeniknięciu zakresów mistyki. Owocem tego kierunku myśli były pochodzące z 1830—31 roku wiersze *Rozum i Wiara*, *Arcymistrz*, *Mędrcy*, *Rozmowa wieczorna z Bogiem* [2]), późniejsze nieco, ale pozbawione określonej daty *Zdania i Uwagi* z Boehma, Anioła Szlązaka i St. Martin'a, wreszcie panująca nad tem i nad całą twórczością poety III część *Dziadów*.

Pisał Mickiewicz w jednym z listów, że zawdzięcza X. Chołoniewskiemu „wiele chwil szczęśliwych i nowy widok świata, ludzi i nauk." Widok ten nie tyle jednak był nowy, ile raczej rozszerzony, poeta bowiem wracał do usposobienia, które w nim panowało w pierwszych latach twórczości, gdy wołał, że „czucie i wiara silniej mówią do mnie niż mędrca, szkiełko i oko," tylko wiara jego była wówczas prosta, serdeczna, nie rozumująca, teraz pogłębiały ją i rozszerzały rozmyślania i studya teologiczno-filozoficzne i mistyczne. Malały w obec nowych widnokręgów rozmiary rzeczy ziemskich, malał przedewszystkiem rozum, przekonywał się poeta, że ten w oczach świata i w oczach jego własnych, gdy pojęciom świata hołdował, „niezmierzony ocean," po którym do nieba chcą dopłynąć ludzie, „opływał tylko ziemię" ale nie dosięgał zaziemskich obszarów i bezsilny był i niewidomy ilekroć o własnych siłach a bez pomocy wiary kusił się wtargnąć w sfery absolutu. Nie chcieli tego uznać mędrcy i zawyro-

---

[1]) Kallenbach: *Adam Mickiewicz*, tom II, str. 188.
[2]) Władysław Mickiewicz, t. II, str. 143.

kowali Bogu. Zadrżała natura w przestrachu, „lecz pokój był w niebie, Bóg żyje, tylko umarł w mędrców duchu."— Uginał więc poeta przed Bogiem „rozumne, gromowładne" czoło, a Bóg sowicie mu to wynagradzał, wznosząc myśl jego w niebo i malując ją tam „promieni tysiącem." Nowe i niezmierzone otwierały się przed nią widnokręgi. Jakżeż marnym wydał się wtedy poecie ten świat, w którym on dotąd przebywał! Rozumiał on nędzę, rozpaczliwą nędzę i głupotę marzeń, myśli i uczuć, gdy Bóg i nieskończoność nie są im tłem i widział to wyraźnie, że w nędzy tej i głupstwie dobrowolnie zakopywały się robacze, bojące się światła i powietrza dusze, które ogół ludzki składały.

Z pogardą przeto uciekał on od tłumu, dumą obojętną, niby „mgły szatą" pokrywał on swej myśli pioruny, z Bogiem jednym obcować chciał, przed Nim, w nocy, zdala od zgiełku marności wylewał on swe „burze wnętrzne, we łzach roztopione..."

Wzniosłość, wyrywająca się z więziennych cieśni bytu ziemskiego i w nieskończoności i Bogu szukająca pokarmu, jednym jest z najpotężniejszych i zarazem najszlachetniejszym czynnikiem wrażenia estetycznego, wspaniałe też wzniosłością swoją są ówczesne wylewy liryczne Mickiewicza, zwłaszcza *Rozum i Wiara*, *Rozmowa wieczorna*, ale do szczytnych tych natchnień religijnych zakradło się niereligijne lecz nieodłączne od poety, który zwykł był na skrzydłach tryumfującej i dumnej młodości unosić się nad opleśniałym i martwym światem, uczucie pychy. Wprawdzie prześlicznie wyznawał on, że tę pychę „wzniecił duch pokory"

Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił
Mój blask jest słabe twych ogniów odbicie.

Ale czuł jednak, że pycha ducha tak niezmiernie wysoko wzniesionego ponad błahość powszedniego życia ludzkości mogła go zaprowadzić na niebezpieczne manowce samoubóstwienia, na których mógł postradać spokój i szczęście pojednania z Bogiem. Postanowił przeto skruszyć się

wewnętrznie przed Panem, zwalczając w sobie każde uczucie, myśl każdą, która nie od Boga szła. Nie było mu na drodze tej trudnem wyzwolenie się od pychy rozumu, do którego nie żywił nigdy zaufania, ale jak temu, który miał wkrótce potem nazwać się „największym z czujących na ziemi" poskromić pychę uczucia, olśnionego potęgą, z jaką umiało wcielać się w cierpienia milionów? jak wznieść się ponad pychę woli, która owem wszechpotężnem czuciem porywała się natchnąć myśl, aby wcielając ją w czyn „nieśmiertelność stworzyć" i módz zawołać: „Cóż ty większego mogłeś zrobić, Boże?"

W *Zdaniach i Uwagach* należy szukać śladów tego potrójnego pasowania się z sobą w celu wyrobienia w sobie pokory, stanowiącej istotę religijności usposobienia, pierwszy stopień do tych mistycznych obcowań z Bogiem, do których poeta rwał się duszą całą, uczuwszy ich nieskończoną słodycz.

Ale zanim zdołał wziąść się do spokojnej pracy nad sobą, w duszy jego między uczuciem oddania się Stwórcy a rozbujałym i w siły własne ufnym indywidualizmem stoczyła się walka straszna, której potężnym odgłosem zagrzmiała Improwizacya w III części Dziadów. W dziejach poezyi jedyne to pod względem potęgi i nastroju uczuć dzieło. Na skrzydłach wszystkich mocy jestestwa skupionych w jednem ognistem pożądaniu wzleciał wieszcz ponad poziomy, czując, że unosi z sobą najlepszą treść dusz milionów. Silny ich siłą wszystką, on „największy z czujących na ziemi" zapragnął po promieniach uczucia swojego wznieść się do Boga, aby wydrzeć z nieba prawo miłości i moc jego wcielenia na ziemi i jak niegdyś Mojżesz na górze Synai, zwiastować ludziom wolę Stwórcy — ale milczeniem odpowiedziało mu niebo i uczuł on bezsilność uczucia, które mu się siłą najwyższą a wszechpotężną wydało: chwilowy hymn tryumfu zmienił się w skargę graniczącą z przekleństwem, skargę tem tragiczniejszą, że skierowaną została nie przeciw martwej jakiejś idei, lecz przeciw Bogu żywemu, Stwórcy i Ojcu świata.— Skarżyli się inni przed Mickiewiczem—Goethe, Byron—ale nie przeciw Bogu powstawali oni, tylko przeciw własnemu

pojęciu o Bogu, bo w Boga albo nie wierzyli, albo wątpili o Jego istnieniu, albo pojmowali Go jako byt jakiś beztreściwy, Mickiewicz zaś zbyt żywo czuł przekraczającą granice ziemi a tonącą w otchłaniach nieskończoności potęgę uczuć, marzeń, myśli, całego życia swojego, aby zwątpić mógł o Tym, który żywą był nieskończonością.

Nie jest Improwizacya artystycznie wykończoną rzeczą, zapragnął bowiem w niej poeta wyrazić uczucia, których niepodobna oddać w mowie ludzkiej, gdyż stanowią one stan ekstazy ducha, goszczącego po za granicami poznawania.— Pogrążony w ogniu własnym nie umiał też Mickiewicz zapanować nad wyobraźnią, aby szeregiem metafor przyjść uczuciom swoim w pomoc, wyrażał je więc negacyjnie, wołając, że niczem są uczucia i tryumfy wszystkich mędrców i proroków świata w porównaniu z tem co on czuje.

Wołania takie nie wywarłyby trwalszego wrażenia, gdyby nie było w Improwizacyi tych zwrotów nagłych błyskiem geniusza natchnionych, które w duszy czytającego zapadają nazawsze, zginając ją przed majestatem ducha, który tak czuć umiał. Nazwał siebie wieszcz Milionem, „bo za miliony kocha," i Boga chciał wyzwać do walki, na serca! Gdyby zaginęły w wirze jakichś kataklizmów dziejowych wszystkie ślady poezyi, myśli, cywilizacyi naszej i gdyby przypadkiem z całej przeszłości uratowane zostało to jedno wyrażenie, zapisane w księgach jakiegoś nowego Herodota, wyrażenie to rzuciłoby w ciemną otchłań dziejów zapomnianych pokoleń taki smug światła, że zrozumianoby, iż istniał, działał i przeszedł przez świat naród, który snać umiał sercem żyć, kochać i cierpieć, skoro wieszcz jego wydobył ton pochodzący z takich głębin kochania i cierpienia, jakich nie znali pieśniarze innych narodów.

Nie znali—z wyjątkiem owego jedynego, który w Bogu ufność swoją całą złożył i w nim jedyne źródło myśli i natchnienia uznał. Nie wyniosło się serce jego, ani „kusił się o rzeczy wielkie albo wyższe nad te, które mu należą," [1])

[1]) Psalm CXXXI.

tylko Bogu duszę swoją oddał, jako dziecię matce. I obdarzył go za to Pan nieśmiertelną mocą śpiewu, myśli swoje w niego włożył, a liczba ich była „bardzo wielka", rozmnożyły się nad piasek [1]), gdy je zliczyć zechciał, i wywyższon został nad pieśniarze wszystkich plemion ludzkich. „O, jakże są miłe przybytki Twoje, Panie Zastępów! — wołał on w Psalmie, który świeci w pamięci każdego, kto rozkosz modlitwy zna—do sieni Pańskich bardzo tęskni dusza; serce moje i ciało moje rozgorzały do Boga żywego,—„oto i wróbel znalazł sobie domek a jaskółka gniazdo, w którem pokłada pisklęta swoje....." ...Ołtarze Pańskie schronieniem są dla duszy ludzkiej—lepszy jest dzień jeden u progu świątyni nad tysiące w pałacach bezbożników...... O, błogosławieni, którzy to wiedzą—marzył pieśniarz boski—wzniesione będą ich serca, zamieszkają na wieki w domu pańskim..." I coraz szersze zakresy ogarniało marzenie króla wieszczów, widział on przed sobą zastępy onych mężów wybranych, prawo Boga prawdziwego utwierdzali oni na świecie. „Pan panów—wołał on—ukaże się na Syonie!" Ale, porywając duszę, marzenie nie zapanowywało w niej samowładnie, do ciszy serca swego wracał wieszcz świętobliwy, i korzył się przed Stwórcą, i błagał o zlitowanie: O, Boże Jakóbów! wysłuchaj modlitwy mojej, nie odmawiaj łaski tym, którzy chodzą w niewinności...

Do tego bezgranicznego oddania się z ogromną mesyańską nadzieją zlitowania jego nad narodem „chodzącym w niewinności" dochodził również Mickiewicz, tylko u króla psalmisty, było to wypływem serca „skruszonego i uniżonego" wyrobionej religijności duszy, u Mickiewicza zaś następowało po nadludzkim wysileniu ducha, po spazmach zwątpienia i rozpaczy. Nie było więc oddanie się jego tak zupełne, dźwięczał w niem żal, po utraconej nadziei natychmiastowego urzeczywistnienia prawdy Bożej, nie zamilkły odgłosy zawiedzionych pożądań.

---

[1]) Psalm CXXXIX.

Korzył się jednak poeta, uznawał, że popełnił grzech najcięższy, grzech bluźnierstwa i buntu przeciw Temu, który jest Drogą, Prawdą i Żywotem, że wypowiedział „słowa głupstwa", które „najsroższą są dla mądrych ust męką," słowa będące wyskokiem pychy, w siły swoje zaufanej. Jednał go z Bogiem, wnosząc pokój w ten dom zdruzgotanej pychy, pokorny zakonnik, jeden z tych mężów, kochający się w przykazaniu Bożem, o których marzył psalmista. Więcej znaczenia niż potęga zbuntowanego olbrzyma Konrada miało w oczach Boga serce czyste i proste zatopionego w modlitwie zakonnika, przed okiem jego ducha spadała zasłona z przyszłości.

Panie! czemże ja jestem przed Twoim obliczem?
Prochem i niczem,
Ale gdym Tobie moją nicość wyspowiadał
Ja proch będę z Panem gadał.

W tych słowach zawarta jest zasadnicza idea dzieła. Są one kresem myśli Mickiewicza, a stanowią zarazem podstawę do rozkwitu religijnego życia duszy.

Zwycięsko wybrnął poeta z walki, którą uczucie religijne staczało w nim z butnemi zapędami dumnego indywidualizmu, zrozumiał że indywidualizm pokłócony z Bogiem był aktem nie siły woli, lecz jej zaniku, bo cofała się przed trudem ciągłej ofiary z siebie na ołtarzu Boga prawdziwego, uznał przez to, że szczytem indywidualizmu jest akt skruchy wewnętrznej, poddanie siebie Woli Najwyższej, kierującej biegiem światów i nakazującej wyzwolenie z tego, co Bogiem nie jest, z jarzma znikomych i zmiennych pragnień, jako warunek zdobycia szczęśliwości spokoju.

Odtąd praca nad *skruszeniem* siebie, „spowiedź z nicości" własnej przed Bogiem stanowi treść wewnętrzną życia poety. Ślady tego upatrujemy w *Zdaniach i Uwagach.*—„Niech się twa dusza—woła on za Aniołem Szlązakiem w jednym z pierwszych *Zdań*—jako dolina położy, a wnet po niej, jak rzeka, popłynie Duch Boży."—Obraz doliny, jako symbol duszy skruszonej przed Panem, pociągał i innych mistyków.—

Od niego zaczynał rozmyślania swoje wielki Rusbrock, którego pisma przyswoił mowie naszej X. Waleryan Przewłocki. Nad doliną tą świeci, według Rusbrocka, słońce południa, symbol Chrystusa i zlewa w nią taki blask i żar „jakiego nie znają płaszczyzny, po obu zaś jej stronach wznoszą się dwie góry ogromne, wyobrażające dwie żądze duszy: żądzę służenia Panu i wielbienia i żądzę zdobycia doskonałej świętości, góry te wyższe są niż niebo, dosięgają Boga..." Po nich wspinał się Mickiewicz, odrodzony po walkach wewnętrznych, wielki pokorą. Zdeptał on pychę rozumu, było mu to łatwe, jak to już zauważono, bo zawsze od młodości duszą całą czuł i rozumiał, że „im głębszą pokora, tem rozum wyższy" (Zd. i U.). Ale trudniej było mu uporać się z pychą uczucia. Liczne też zdania świadczą jak gorąco pracował poeta nad wyrobieniem i utrwaleniem w sobie przeświadczenia, że o tyle uczucie każde, nawet najwznioślejsze z pozoru, jest warte, o ile od Boga pochodzi.

Mówisz: niech sobie ludzie nie kochają Boga,
Byle im była cnota i ojczyzna droga.
Głupiec mówi: niech sobie źródło wyschnie w górach,
Byleby mi płynęła woda w miejskich rurach.

Ale by pamiętać o Bogu trzeba umieć zapomnieć o świecie, uszy zamknąć by w głębi serca uchwycić „wiecznego słowa" odgłos: „kto w sercu ucichnie, ten Boga usłyszy"— błogosławieni są cisi, oni posiądą ziemię! Pomimo tego zakradał się jednak zawsze pod myśl poety robak pokonanej pychy: z pychą woli szepcącej mu, że wysiliwszy się zdobędzie Boga, najtrudniej było mu dać radę.—Nie wiemy, czy było to rzeczą trafu, czy obmyślanego wyboru, że najpilniej, z największem upodobaniem rozczytywał się w dziełach mistyków protestanckich lub wolnomyślnych, jak Boehm i Saint Martin, tem się zaś ich mistyka od mistyki katolickiej różni, że przedewszystkiem jest łatwiejszą, t. j. mniejszy kładzie nacisk na umartwienie się, jako wstęp do doskonałości, a większą widzi w człowieku skłonność i zdolność do zjednoczenia się z Bogiem, następnie, zgodnie z tem, silniej w niej się zaznacza

właściwy naturze wszelkiej w ogóle mistyki popęd panteistyczny. Wszystko to odpowiadało usposobieniu wieszcza, i podsycało w nim dziwną wiarę w siły swoje.

Nie tylko—wołał on—zdolnym jest człowiek pogrążyć się w Bogu, ale sam pogrąża on Boga w sobie, „zabiera z Boga tyle, ile chce", bez naszej wiedzy Bóg nie może nas rzucić, a gdyby rzucił, *skoro zechcemy*, znów do nas zejść musi.— Myśli takie napełniały poetę dumą radośną, skrzydła rosły, zdawało się, że „ziemia dalsza jest od człowieka, niż niebo". Widoczne cechy panteizmu nosiło niedokończone i niewydane za życia wspaniałe mistyczne widzenie. — Jak „kwiat polny otoczony puchem" prysło ciało poety, dotknięte przez Anioła, pozostało „nagie ziarno" duszy i zdawało mu się, że się budził ze snu strasznego: jasność nagła rozświecała mroczną otchłań tajemnic, w której dotąd cierpiała dusza w powłoce cielesnej uwięziona, teraz do źródła swego leciał, do Boga. Stawał „w pierwotnych żywiołów żywiole", w jednym pierwszym ciemnym błysku rozlewał się nad wszechświatem, w środku siebie, „jakby w ognisku", czuł przyrodzenie całe, światłością był zarazem i źrenicą, środkiem koła i jego okręgiem i czuł, że coraz bardziej rozżarzać się będzie, „rozpływać, rosnąć, rozjaśniać, rozlewać się, stwarzać"...

Jedna to z najwspanialszych wizyi mistycznych, jakie zna poezya, ale przenikającem ją uczuciem zlewania się istoty ludzkiej z istotą Boską staje ona w sprzeczności z tem chrześcijańskiem przejęciem się nędzą człowieka w obec Boga, które rozjaśniało duszę ks. Piotra.

W Bogu złożone są typy istot, ów świat wzorów, o którym marzył Plato, mistyka zaś, według Rusbrocka, to lot duszy do swego przedwiecznego typu, ciążenie skutku do swej przyczyny. Dążności tej nie uwieńczy nigdy esencyonalna jedność ze Stwórcą, lecz tylko jedność miłości, przedwieczną bowiem jest istota Boska, wówczas gdy istota ludzka została stworzoną, przepaść więc między jedną a drugą jest niezgłębiona, wieczysta. Wreszcie w duszy ludzkiej, gdy nawet przebywa na wysokościach, znajdzie się zawsze pewna pochyłość, grożąca jej możliwością stoczenia się i spadnięcia, ale wła-

śnie dzięki temu zachowująca też w niej świadomość otchłani między nią a Bogiem. To właśnie chroni ją od panteizmu. Ale nie liczył się z tem Mickiewicz. I dlatego to panteistyczny zapęd w skojarzeniu z właściwą poecie nerwową niecierpliwością w oczekiwaniu spełnienia ideału skrzywił w nim harmonię skruszonej duszy. Dumne marzenia osiadały na niebotycznych wierzchołkach myśli, pojąc ją snem o wszechpotędze woli, mierzącej siły swoje na zamiary i gotów bywał poeta opuszczać „podnóża ołtarzy" żeby zejść ku pałacom bezbożnej pychy.

Czuł to jednak i rozumiał. Przejęty myślą o konieczności religijnego podniesienia narodu, marzył on o stworzeniu nowego zakonu, ale „kto go założy?—pytał towarzyszy—ua to trzeba Świętego, ja za *pyszny* [1]). Tak, zbyt mocno był wieszcz nasz w swem życiu religijnem przejęty sobą i w stosunku do tego zbyt słabo—Bogiem. Nie wzniósł się więc na te szczyty liryzmu, na których przebywał największy śpiewak Boga, nie mógł on wraz z nim powiedzieć o sobie: „Bóg jest pasterzem moim—na paszach zielonych postawił i do wód cichych prowadzi—duszę moją posila prawdą"... ale pomimo tego, z poetów wieku naszego był on tym, który najgłębiej zrozumiał i uczcił królujący nad światem chrześcijańskim ideał moralny, ideał oddania się Bogu. Do źródeł najczystszych „u podnóża ołtarzy" poszedł on czerpać natchnienie i znalazł je i stworzył III Dziadów, najwspanialszy w dziejach poezyi nowoczesnej wyraz zespolenia myśli religijnej z twórczością artystyczną.

Maryan Zdziechowski.

---

[1]) Kallenbach, t. II. str. 187.
[2]) Psalm XXIII.

WYJĄTKI

Z NIEWYDANYCH PAMIĘTNIKÓW

Ignacego Domeyki.

Czytelnik, biorący do ręki książkę, poświęconą pamięci Adama Mickiewicza, doznałby pewnego zawodu, gdyby w niej nie znalazł wspomnienia o serdecznym przyjacielu poety, Ignacym Domeyce. Ostatni z filaretów, któremu było danem przeżyć wszystkich swoich towarzyszów młodości, i po długiem tułactwie ujrzeć znowu kraj rodzinny, zostawił pamiętnik, który przez całe życie spisywał, cenny materyał dla przyszłego biografa. Z tego to pamiętnika podajemy poniżej niektóre wyjątki. Na tem miejscu wyrażamy wdzięczność rodzinie Ignacego Domeyki za udzielenie nam tego rękopisu i ulegamy pokusie umieszczenia ustępu z listu synowca zmarłego Rektora. List ten zawiera nader trafną charakterystykę tej pięknej postaci.

„Wiara szczególniej przyświecała Ignacemu Domeyce w jego życiu i kładła pieczęć, cechującą wszystkie jego prace i dążności, wiara utrzymywała go w równowadze, kiedy inni wątpili, błądzili, padali; wiara dziecinna, że tak nazwę, nie pozwoliła, pomimo wpływów, oziębnąć rzewnej i gorącej wyobraźni i słodkiej pobłażliwości dla bliźniego; wiara wysoko

wykształcona i entuzyastyczna, porywała ku dobremu wszystkich, co się do niego zbliżyli, równie maluczkich, jak i najoporniejszych. Zawsze spokojny, uprzejmy, zawsze wesół, fałszem jedynie brzydzący się, miewał też nieprzyjaciół li tylko w rzędzie ludzi zupełnie przewrotnych; słuszniej jest powiedzieć jednak, że nie on, lecz jego idee i dążności miewały nieprzyjaciół. Posiadał wiele sympatycznych cech naszych ubiegłych pokoleń; kochał czule i gorąco kraj rodzinny, ale wstrętnym mu był fałszywy szowinizm, a wszystkie te cnoty, zalety i cechy charakteru przenosiła dziwnie sympatyczna i naturalna skromność. Nie zapomnę dziecinnej radości, z jaką, za przybyciem swym do kraju, odnalazł pierwszy swój dyplom, wydany w szkołach Szczuczyńskich, mianujący go członkiem bractwa Maryi—„Sodalis Marianus". Całe dziesiątki późniejszych świetnych dyplomów ciał uczonych, nie sprawiły mu nigdy tyle uciechy."

Drezno, 1832 r.

. . . .

Z Frankfurtu nad Odrą jedziemy z Wrotnowskim do Drezna i tam znajdujemy Mickiewicza, Odyńca, Garczyńskiego, Weisenhofa i mnóstwo z bogatszych rodzin Polaków.

. . . .

Mieszkałem z Wrotnowskim i Weisenhofem niedaleko Starego Platzu. Mickiewicz, Odyniec, Garczyński, każdy po osobno mieli swoje mieszkania jedni przy drugich, w pobliżu Brühlowskiego tarasu.

Był to czas, w którym Adam pisał 4-tą część Dziadów; Garczyński—Wacława i sonety; Odyniec spodziewał się przybycia swojej narzeczonej, miał żenić się i codzień prawie przynosił coś nowego ze swoich utworów. Codzień z nim i Garczyńskim schodziliśmy się z rana i na wieczór do Mickiewicza, i u niego spędzaliśmy godziny przyjemne. Mickiewicz pospo-

licie był smutny... Rozpogadzało się jednak mu czoło, kiedy sami, we czterech, zostawaliśmy na pogadance. Odyniec był wesoły i mnie nie opuszczał humor; rozweselaliśmy Mickiewicza i, posępniejszego częstokroć od niego, Stefana. Mickiewicz niekiedy czytywał ustępy z tego, co pisał; czasem zanucił Filona, lub jaki ułamek z Mozarta, palił bezustannie fajkę, często zamyślał się. Chodziliśmy często na operę włoską i na przechadzki. W tym czasie, pierwszy raz wykonywano na scenie opery Bellini'ego; w loży królewskiej pokazywała się nasza Infantka, nie piękna, nie młoda, wysoka, której losem, jak wiadomo, było czekać i nie doczekać się przyrzeczonego jej tronu i męża . . . .
. . . .

Pierwszych więc dni lipca, jedenastu nam kazano wyjechać, do tej liczby należeli: Mickiewicz, Nakwaski, poseł sejmowy, syn kasztelana, Łagowski, ... Aleksander Jełowicki, poseł, jeden z trzech synów marszałka, zamożnego obywatela na Wołyniu... jeden też poseł kaliski z synem 14-letnim, Zarczyński, poseł jednego z powiatów podolskich i dwóch jeszcze zacnych obywateli miasta Warszawy.

Najęliśmy duży powóz, długi, trzęsący, w którym wszyscy mogliśmy się pomieścić; jechaliśmy powoli, zatrzymując się na noclegi i popasy, gdzie się nam podobało i oprócz gościnnych przyjęć, których doznawaliśmy od komitetów miejscowych niemieckich, a które po wszystkich miastach i miasteczkach znajdowaliśmy, ustanawianych przez rady miejskie na ugoszczenie emigrantów, nie szczędziliśmy sobie wygód własnemi pieniędzmi, których nam jeszcze nie brakło.
. . . .

W naszem zaś podróżnem gronie, przez całe dnie, w drodze i gdzieśmy się zatrzymywali, jakie to nieustanne toczyły się rozmowy, wzajemne zwierzenia się!

Mickiewicz miał momenty wesołe, górował nad nami, już to opowiadaniem rzeczy domowych, tegoczesnych czy historycznych, już żartami i pobudzaniem do gawędki, gdy się drudzy ustawać zdawali...

Strasburg, 12 lipca 1832 r.

Na granicy straż celna i wojskowa niemiecka po ludzku z nami się obeszła, grzecznie, a nawet z niejakiemś przymilaniem się. Celnik Szwab, co od podróżnych zapłatę odbiera, zrazu surowo od nas domagał się kilku krajcarów, ale skoro poznał, żeśmy Polacy, zdjął kapelusz, ukłonił się i odszedł.

Dawno przez most przejechaliśmy. Żołnierz na warcie francuskiej jednem spojrzeniem bratersko nas powitał; drudzy wykrzyknęli: „vivent les Polonais". Duaniery nie rewidują nas, wjechaliśmy do Francyi, jak gdyby po jakiej wielkiej wygranej, jak gdyby do swojego kraju. Zadrżałem z radości na widok francuskich żołnierzy: nie widziałem ich od 1812 roku, kiedy to cały korpus króla Westfalskiego, Poniatowski i Dąbrowski ze swojemi legionami przeciągnęli przez Szczuczyn, gdzie byłem małym studentem natenczas w szkołach. Dziwne przypomnienie, momentalne, jak błyskawica, przeleciało przez duszę.

. . . .

Postanowiliśmy z Mickiewiczem ruszyć do Châlons sur Marne, stroniąc od zwad Strasburgskich i przybliżać się do Paryża. Kilka dni tylko zatrzymaliśmy się dla widzenia miasta, katedry i wieży (Münster).

. . . .

Po pięciu dniach pobytu w Strasburgu, kazano mnie i Mickiewiczowi jechać do Châlons nad Marną i czekać tam odpowiedzi z Paryża na nasze prośby, albowiem oświadczyliśmy, że nie potrzebujemy zasiłków od rządu, byleby nam wolno było mieszkać w stolicy.

. . . .

W nocy z 17 na 18 lipca dziwnie przyjemną miałem podróż: na wpół we śnie, na wpół na jawie. Noc była pogodna, księżyc jasny, ciepło umiarkowane, konie biegły ochoczo i nasi młodzi ochotnicy usnęli byli po całodziennej swawoli.

Co chwila zasypiałem i budziłem się: zaledwo zmrużyłem powieki, stawiło mi się Zapole, gospodarz, dom, rodzina tak

żywo, tak jasno i tak wyraźnie, że nigdy może, w rzeczywistości na jawie, nie widziałem ich jaśniej i wyraźniej; a gdy się budziłem, przesuwało mi się przed oczyma, jakoby w panoramie, jakie miasto, wieś czy miasteczko, ze swojemi białemi domami, tak właśnie, jak je wyobrażałem sobie we snach młodości mojej, kiedy mi się tak chciało wojażować, widzieć zagraniczne kraje. W istocie, kto zna Litwę naszą, jej drewniane wsie i słomiane strzechy, jej miasteczka nieschludne, karczmy i stodoły, i kto wie, co to jest w młodości chęć do wojażowania po obcych krajach, chęć, zapalona czytaniem podróży, obrazami, pejzażami i opowiadaniem wojażerów; kto nadto przypomni sobie, że za moich czasów rząd nie dawał pasportów zagranicę, albo ich danie utrudniał, zaostrzając tembardziej żądzę w zapalonej głowie do widzenia obcych krajów, ten pojmie, jak to się za młodu malowały w snach moich domowych miasta francuskie, włoskie, niemieckie i góry szwajcarskie. W takich właśnie kolorach przy świetle księżyca, przeciągały teraz na jawie przed oczyma mojemi rozmaite miasteczka: Benamenis, Luneville, Domballe, St. Nicolas. Tylko że dusza moja była tak daleko odemnie, od moich zmysłów, że do niej nie dochodziły wrażenia, jakie od nich odbierałem. To, co mi było obecne, tak blade było, w słabych bladych odcieniach; a to, co widziałem we snach, tak było żywe, porywające za serce, gorące, drażliwe, że owe sny nieporównanie rzeczywistsze dla mnie były od samej rzeczywistości, i tak dalece mieszały mi się sny z przedmiotami na jawie, że rozróżnić nie mogłem jednych od drugich, i w danym momencie nie wiedziałem, co było we śnie, co było na jawie, gdzie byłem i czy jeszcze żyję w domu, czy też na zawsze go opuściłem.

Trudno opisać ów stan, w którym się czuje dobrze dwa oddzielne istnienia, choć powiązane z sobą łańcuchem, który się rozciąga, ale nie pęka; to jest ciało ze zmysłami na jednem miejscu, a dusza daleko, zajęta innym światem i inną rzeczywistością; ciało słabe, zmęczone, zmysły, odurzone, a dusza wolna, nieuwięzła, jak błyskawica, wylatująca w swoje ulubione strony i wracająca na zawołanie drażliwych zmysłów,

jak owa matka, co, zostawiwszy chore, słabowite dziecko, nie może długo zostać na modlitwie, do której ją unosi wyższa miłość, i wraca za każdem odezwaniem się dziecka, aby je ułagodzić, pocieszyć, opatrzyć.

. . . .

19 lipca. Châlons sur Marne.

Przyjechaliśmy do stolicy Szampanii. Któż jej nie zna ze sławnego wina, którem się upija świat wielki, zepsuty! Zdaleka od niej rzekłbyś, że ta ziemia cała winnicami musi być pokryta, niebo i natura piękne. Przeciwnie, kraj smutny, równiny, wapienną ziemią pociągnięte, suche, mało drzew, mało wzgórz, rzeka mętna, nie widać winnic, ni ogrodów.

W mieście znaleźliśmy cholerę, mieszkańcy przestraszeni, prefekt, jakiś karlista, niebardzo nam przychylny.

. . . .

25 lipca.

Umarł tu z cholery jeden z naszych rodaków, oficer z dawnej służby. Odbył całą kampanię zdrów i bez szwanku, znajdując się po tysiąc razy między cholerycznymi, doglądając, opatrując umierających z cholery. Przeżył też czas niejakiś w Prusiech, gdzie cholera grasowała i przejechał całe Niemcy, nie dotknięty zarazą, bez obawy. Czekała go tu cholera, gdzie się jej nie spodziewał. Widzieliśmy go na parę godzin przedtem; wesoły, młody i piękny wiarus, z zapałem opowiadał czyny swoje z ostatniej wojny, batalie, na jakich się znajdował. Nagle stracił przytomność. Kiedyśmy pobiegli z lekarzem widzieć go w hotelu, tak już był zmieniony, że żadnym sposobem nie mogliśmy uwierzyć, że był ten sam, którego znaliśmy... W kilka godzin skonał. Ta śmierć tak przeraziła Mickiewicza i tak go zasmuciła, że się lękałem, żeby nie zachorował. Nigdy go dotąd nie widziałem w podobnym stanie. Do późnej nocy nie myślał, nie mówił o czem innem, jak o umarłym, i aż do świtu nie zmrużył oka; budził mnie co chwila i dziwił się, gniewał się, że mnie sen morzył. Nazajutrz też był bardzo smutny, nie jadł i mało rozmawiał. „Ta

przebrzydła cholera jest gorszą, niż wszystkie choroby", powtarzał i nie taił, że się jej lęka, jak gdyby jakie straszne przeczucie go dręczyło...

Pochowaliśmy naszego oficera na miejskim cmentarzu. Mickiewicz napisał dla niego nagrobek po łacinie i złożono składkę na wystawienie pomnika.

Tak był smutny i nudny pobyt nasz w Châlons, że, dla rozerwania Mickiewicza, umyśliliśmy zwiedzić okolice Szampanii. Pojechaliśmy naprzód o 5 godzin stąd do sławnych okopów, które uchodzą pod nazwaniem: *Camp d'Atilla...*

. . . .

Mogę pochwalić się, że przyjemnie przepędziliśmy trzy dni wypoczynku na wsi, choć ta wieś szampańska w ogólności bardzo różni się od obrazu, jaki sobie o cudzych krajach amatorowie wina i podróży zazwyczaj tworzą. Szampania jest może najmniej malowniczą ze wszystkich części Francyi: mianowicie Châlons i jego okolice, niewesołe, płaskie, wapienne. Tu nie masz folwarków naszych, dworów, ni ogrodów, bo nie masz bogatszych właścicieli. Wszyscy żyją w miasteczkach; nawet chłopi nie mają takich wsi, jak nasze, ani po polach widać trzód, bo wszystkie bydło na uwięzi. Nie widać też winnic, które na zachodnim tylko krańcu Szampanii, około Ais i Epernay mały obszar zajmują. Około Suil piękne łany pszenicy widziałem na otwartej płaszczyźnie i kraj z wejrzenia podobny jest do powiatu Grodzieńskiego, choć nie tak może żyzny i wesoły.

Za powrotem do Châlons, znaleźliśmy odpowiedź ministra, w której każe prefektowi „prendre des renseignements sur nos personnes et notre conduite." Doprawdy, nudzić już nas poczynał pobyt w Châlons. Radziliśmy się jednego urzędnika królewskiego, jakim sposobem, nie obrażając wcale króla ni konstytucyi, możnaby się dostać do Paryża za paszportem, w którym wyraźnie zastrzeżono: „défense de se rendre á Paris, sous quelque prétexte que ce soit."—„Il n'y qu'un moyen pour cela"—odpowiedział. Byliśmy pewni, że nam ułatwi w sekrecie podróż. „Quel est donc ce moyen?"—

pytał go Mickiewicz. „Partir par la malle-poste"—odpowiedział. „Jakto? kuryerem, pocztą, powozem rządowym?"—„Ni mniej, ni więcej."—„A któż nas wpuści do miasta? skoro zobaczą pasporta, zaaresztują."—„Nikt się nie odważy zatrzymać kuryera na drodze, ani na wjeździe do miasta."

Na to ostatnie zaręczenie, tejże samej godziny wsiedliśmy do malle-poste i ruszyliśmy do Paryża.

. . . .

Paryż.

Jestem w Paryżu—w mieście, do którego z najrańszych, a mianowicie z uniwersyteckich moich czasów, tak gorąco rwałem się, rojąc sobie, że tu jest ognisko wolności, środek i stolica wyższej cywilizacyi, przez to samo, że z niego tyle wybuchło rewolucyj, tyle wielkości ludzkich, tyle żywiołów dla dumy i namiętności ludzkich urosło. Tak sobie wyobrażałem Paryż, kiedy nasza malle-poste zatrzymała się przy ulicy du Mail, hotelu de Metz...

. . . .

Drugi dzień poświęciliśmy z Mickiewiczem na widzenie przedmieścia St. Germain, Hotelu Inwalidów i Panteonu.

Możeż być co godniejszego widzenia w tym czasie w Paryżu, jak hotel Inwalidów, gdzie żyją jeszcze żołnierze z najwojenniejszej epoki wojennego narodu?

Na pięknej, rozległej równinie, nieco na ustroniu od zgiełku Paryża, stoi wspaniały gmach, bardziej prostotą i ogromem, niż wyszukaną jakąś wykwintnością architektury odznaczający się; nad nim wznosi się złocona kopuła z krzyżem; przed nim ogród i rozstawione działa, w niezliczonych bataliach po całej Europie zebrane. Czas był niegorący, pogodny, gromady starców, a wielu z nich bez rąk, bez nóg, do połowy skurczonych, szukały cienia pod drzewami. Jedni spokojnie na ławach siedzieli, drudzy, ruchliwsi, przechadzali się, rozmawiając z sobą o całej przeszłości wojen i zaborów. Oh, nigdy im się nie przebierze treść do rozmowy! Tu widzisz jeszcze zgrzybiałych rzeczypospolitej żołnierzy, co najprzód

ludowi, potem konwencyi, a potem szczęśliwemu kapralowi służyli; tleją w ich oczach ostatki jeszcze rycerskiego ognia, ich wdziękiem są blizny i zmarszczki na pooranych wiekiem twarzach, a czarującą zaletą—żywość francuska, grzeczność, dowcip, spokój i pewna surowość przy ociężałej latami powadze; trudno, niepodobna opisać owej żyjącej historyi olbrzymiego wysilenia narodu. Tu mi ukazywano zdobywców Bastylii; tu nie jeden żyje z tych, co widzieli początek rewolucyi, upadek królestwa, ścięcie Ludwika; nie jeden z tych, co, zaprawieni na koalicyjnych i domowych wojnach, nieśli postrach na Libijskie piaski, pod czterdziestowiekowe spiekłe piramidy; nie jeden z nich, co tak dziś powoli idzie poza kratą, ocalał tam od zarazy i mameluków jatagana i przechodząc koleją przez szereg niezliczonych bitew i tryumfów, zaszedł aż pod biegunowe lody i zamiecie, wszędzie z wesołem sercem, z wiarą w przeznaczenie Francyi i miłością ojczyzny.

. . . .

W miesiąc potem przeniosłem się na ulicę Monsieur le Prince; Mickiewicz sobie najął osobne mieszkanie i wkrótce straciłem zupełnie ochotę opisywać Paryż; począłem chodzić na kursa do Sorbony i do Collège de France, a notowałem tylko szczególniejsze zdarzenia.

. . . .

Sądząc bez uprzedzenia o duchowieństwie i kościele we Francyi, przyznać muszę, że ta powaga, porządek i świetność obrządków kościelnych za wzór służyć powinny. Kościół we Francyi wyrzekł się już dziś wolności galikańskich i przyjął rytuał rzymski, a w pognębieniu, w jakiem zostaje od liberalnych, bezwyznaniowych rządów, ksiądz musi dziś mieć na pieczy, bardziej niż kiedykolwiek, dobro ludu i oświeceńszej klasy; oprócz duchowej gorliwości i kościelnych nauk, musi posiadać światową naukę, być uczonym, wymownym, literatem nawet, używać i światowej broni do rozbrojenia przeciwników. Na to wielkie są tu szkoły duchowne: seminaryum

Św. Sulpicyusza wydało znakomitych kaznodziei, którzy się stali chlubą i ozdobą katolicyzmu. Obrządek święty w kościele Św. Sulpicyusza jest w istocie porywający dla tych nawet, co tylko ze zwyczaju i nałogu przyjdą na nabożeństwo.

. . . .

Pierwej jednak, nim czas i przedłużony mój pobyt we Francyi pozwolą mi zgłębić pod tym względem stan Francyi i jej stolicy, postanowiłem rzucić okiem na nowatorów paryskich, na reformatorów, którzy tu, jak wszędzie, nie wszyscy są też sumienni, nie wszyscy zupełnie nieświadomi prawd i nauki kościoła; niejeden z nich szuka prawdy, choć na zmylonej drodze i nie w pokorze, nie usilnie, i skoro mu się uda uchwycić dorywczo jaką cząsteczkę, ułamek prawdy, sądzi, że już ją w zupełności posiada; powstaje na to, czego nie zna i nie rozumie, staje się przeciwnikiem, surowym nieprzyjacielem tych, co nie odstąpili od niej, lub jej z duszy szukają.

Był natenczas sławny z nowości swojej na przedmieściu Św. Marcina tak nazwany kościół francuski, który to kościół *ludzie postępu* mieli zamiar urządzić według nowego planu reformatorów rewolucyi lipcowej. Czas zdawał się być wyborny do tego; król i nowe izby pozwalali, nie bez przyczyny, na próbowanie reform.

Poszedłem tedy w niedzielę, po Mszy, do tego francuskiego kościoła na przedmieście Św. Marcina, o 10 rano, i nie łatwobym go znalazł, gdyby nie afisze na ulicy, zapowiadające wielki fest tego dnia w owym kościele. W istocie, nie mało ludzi szło do jednego domu, na którym, zamiast krzyża i wieżyc, był poprostu napis: „Tu kościół francuski". Na dziedzińcu tego domu była duża, naprędce zbudowana jakoby szopa, a u wejścia do niej mnóstwo afiszów, doniesienia księgarskie, programy muzyk, kościelnych obrzędów, mszy, kazań nowych i katechizmów; były i plakaty, oznajmujące *professions de foi*, sermons contre les anathèmes, etc. Na dużym arkuszu, na drzwiach, były wypisane następujące powody, skłaniające założyciela tego kościoła, p. Chatel, do reformy, jako to: bezinteresowność, miłość bliźniego i wszystkie

łaski kościelne tanie, za darmo; *église à bon marché*, msza po francusku. Krzykacze uliczni podchodzili aż do drzwi, przedając pamflety liberalne, pomady, alumettes, etc.

Wewnątrz ściany pobielane, cała szopa, krzesłami zastawiona, ołtarz w formie zwyczajnych ołtarzów, nowo pomalowany, ze świecami; po prawej stronie fortepian, po lewej ambona i jakieś wyniesienie dla kogoś starszego. Była jednak sala, na trzy podziały przegrodzona: u wejścia dla biedniejszych — krzesła tańsze; w połowie budynku — dla klasy średniej, a dalej przy ołtarzu i ambonie—„places réservées", gdzie siedziało wiele wystrojonych dam, które, jak w salonie, rozmawiały między sobą. Grzeczna jakaś kobieta zaprosiła mnie, abym tuż obok niej, na pierwszem miejscu usiadł. Po chwili ukazali się śpiewacy i zapalono świece; potem weszło dwóch posługaczy w komżach i sam l'abbé Chatel, głowa tego republikańskiego kościoła. Był ubrany, jak biskup, w fioletowej sukni, z peleryną, zgrabnie wykrojoną, karmazynową materyą podszytą, w eleganckich trzewikach, z głową pięknie utrefioną i podniesionemi do góry oczami. Wyszedł nakoniec ksiądz w ornacie ze mszą, śpiewacy poczęli śpiewać ułamki z oper włoskich i francuskich; chłopcy posługujący nie klęczeli, ale siedzieli przy ołtarzu, nikt nie miał książki w ręku, a kiedy ksiądz zaintonował „Gloria" po francusku, poczęli damy i mężczyźni szeptać między sobą: „ah, que c'est beau, c'est charmant! à la bonne heure, on comprend, ce que dit le prêtre, c'est en français." Pomimo. że ksiądz czytał bardzo dobitnie mszę i czytał po francusku, żeby wszyscy rozumieli, jejmość, co siedziała przy mnie, nie była kontenta i rzekła do siedzącego obok Francuza: „que le..... m'emporte, si j'y comprends un mot". „Ayez patience, ayez patience" — odpowiedział Francuz, który nadstawiał ucha i zdawał się być „an courant de la messe". Ledwo przyszło do Sanctus, grzeczna kobieta, która mnie była zaprosiła na wyższe miejsce, przyszła wybierać zapłatę za krzesła: od nas wymagała 3 sous od osoby, od tych, co siedzieli za nami— dwa sous, a od siedzących przy drzwiach—po jednym sous. Po mszy wyszedł młody kaznodzieja, przeżegnał go ze swo-

jego miejsca l'abbé Chatel. Kazanie było niedługie, przeciw klątwom, a jednak skończyło się na miotaniu przekleństw na katolickich księży i na całą hierarchię kościelną. Gdy skończył i zstąpił z ambony, wszedł na nią sam biskup, który się mianował metropolitą, p. Chatel z dziwnie teatralną figurą, w prawej ręce miał „*Constitutionel'a*" a w drugiej „*Messager'a*". Pięknie się ukłonił, podniósł oczy do góry, znowu spuścił i patetycznym, wymownym głosem, mniej więcej w te słowa przemówił: „Bracia moi, potrzeba, abyśmy się lepiej z sobą poznali, potrzeba, abyście z gruntu poznali waszego pasterza i dlatego przynoszę wam numer wczorajszy „Messager'a", w którym jest biografia moja", i począł czytać artykuł: „Mr. l'abbé Chatel urodził się za czasów restauracyi, był tym a tym, cierpiał prześladowania, wziął czynny udział w lipcowej rewolucyi, a teraz nowy kościół założył, wolny od wszelkich nadużyć i błędów, kościół „primitif" etc. Po przeczytaniu artykułu dodał, że przedniejsi dziennikarze paryscy oświadczyli mu, iż czwartą część kolumn mają na jego rozkazy i niemi dowoli rozrządzić może. Potem przeszedł do poważniejszej materyi, rozwodząc się nad potrzebą religii i miłości bliźniego, a postrzegłszy między publicznością kilku Polaków, zwrócił mowę ku nam, dając nas za przykład: „cette héroïque Pologne!" dokazali cudów waleczności i nie upadają na sercu dlatego, że mają religię w poszanowaniu i nikt u nich nie jest bez religii. Ten ostatni ustęp i zręczne do niego przejście podobały się publiczności i przyszłoby zapewne do oklasków, gdyby natychmiast, bez oddechu, nie począł czytać ślubów i zapowiedzi. Długa była lista małżeństw, z wymienieniem profesyi państwa młodych: byli to chiffonnier'y, ouvrier'y, szewcy, femmes de chambre, garçons de boutique, kilku literatów i prostych citoyens. Pytałem moją sąsiadkę, która z rozmowy, jaką miała z siedzącym za nią studentem, zakrawała na literatkę i autorkę romansów, co za przyczyna, że tu więcej ślubów, niż w jakimkolwiek parafialnym kościele? „Que voulez vous", tu śluby bardzo tanie i l'abbé Chatel nie wymaga żadnych formalności, ni dyspens, rzeczy tak nudnych, że biedny lud nie może im się poddać.

„Du reste", dodała, jest to interes dobrze zrozumiany, albowiem o ile ksiądz Chatel stracił na zniżeniu ceny za śluby, to we dwoje zyskał na liczbie małżeństw, i wiele małżeństw, które dotąd bez ślubów żyły, a cierpiały skrupuły niepotrzebne, teraz nie mają czego lękać się, ksiądz Chatel żeni wszystkich. „Jeśli to nie pomoże", przerwał młody Francuz za krzesłem, „to nie zaszkodzi," dodała literatka, „car avant tout le bon sens et la religion".

Powiodło się tak dobrze w interesach p. Chatel, że we trzy miesiące już miał o czem założyć kościół na ulicy St. Honoré. Ale na ten raz przedsięwzięcie miało charater bardziej przemysłowy: utworzyła się kompania *par actions*, urządzono msze i święta stosownie do gustu i upodobania osób, które na nie uczęszczały, n. p. uroczystość na cześć Molière'a, podwyższano i zniżano stosownie do okoliczności cenę krzeseł i cenę akcyj. Jednego dnia byłem u pewnej damy francuskiej; wszedł też do niej z wizytą jakiś Francuz podstarzały, grzeczny, ale nieco ponury. Dama zapytała go: „comment vont les affaires?" „Mal, très mal, les actions baissent" i bardzo się zasmuciła jejmość. Dowiedziałem się potem, że straciła znaczną część funduszu swego na tem przedsięwzięciu, które, według niej, miało cel filantropijny: „mettre en rapports la religion avec l'industrie, réconcilier les intérêts materiels et religieux" etc.

Krótszy był byt kościoła konstytucyjnego, tuż przy Sorbonie, na placu Sorbońskim, pod opieką księdza Roch, który, jak powiadano, chciał „réconcilier la religion avec la politique". Pierwszej i drugiej niedzieli była msza po francusku, kazanie liberalne, chóry z wodewilu. Trzeciej niedzieli dano brawo! na Dominus vobiscum i hura! na Agnus Dei; przy kazaniu weszli niektórzy słuchacze w rozprawę z kaznodzieją i na mocy „de la liberté de discussion", przekrzyczeli księdza. Czwartej czy piątej niedzieli poczęto rzucać jabłkami, kartoflami, weszła policya i rozpędziła kościół.

. . . .

pytał
dział.
mniej.
baczą
mać k

śmy d

. .

a mia
rwał
i stol
wybu
dla d
żałen
ulicy

. .

prze

ryżu
woj

zgie
i og
odz
żem
bat
god
do
spo
się,
Oh.
jes

vego życia, do naszych kościołów, odpustów, świąt, i po-
i pobożność stawała się wybitniejszą cechą przedmiotów
mowy między nami, mianowicie u tych, co do naszego
a należeli. W tymże czasie wyszła 4-ta część Dziadów
Księgi narodu polskiego.

. . . .

Coraz to bardziej dokuczają nam nasi demokraci szkalowaniem wszystkiego, co polskie; niczem już były dla nich: zeszłość historyczna, zasługi przodków, dawna polska szlachetność, odwaga, serdeczność. Gdziekolwiek wystąpił który z nich, piórem czy przemówieniem w dziennikach lub na jakiem bądź zebraniu Francuzów, a do wszystkiego się cisnęli, ze wszystkiego korzystali, to o niczem innem nie mówili przed cudzoziemcami, jak o okrucieństwie panów i szlachty, o ciemiężeniu chłopów, wysławiali duch demokracki Gontów, Doroszeńków, Chmielnickich, oskarżali o zdradę i przedajność królów i hetmanów naszych. Pułascy, Kościuszko, książę Józef, byli to ciemięzcy ludu, lub służyli za narzędzie ciemięzcom. Bolało nas to wielce, odgłos owej propragandy hajdamackiej dochodził, staraniem nieprzyjaciół, aż do kraju i przygotowały się już wypadki, które potem zakrwawiły Galicyę.

Kiedy jednego razu mówiłem o tem z Mickiewiczem i zastanawiałem się nad tem, że owa kara za niedobre obchodzenie się nasze z chłopami przychodzi teraz, kiedy może mniej na nią zasługujemy i co gorsza, pochodzi od ludzi podłych, zepsutych, opilców, szukających wyniesienia się i którzy nigdy może nie byli w stanie poznać stanu rolnika naszego, jego potrzeb i sposobów zaprowadzenia ulepszeń, Mickiewicz mi na to zrobił kilka uwag: kara ta Boża przychodzi w czasie, kiedy najgwałtowniej daje się czuć potrzeba poprawy stanu naszych włościan, bo już nieprzyjaciel nasz gotów wytrącić nóż demagogom i zakrwawić nim dwory nasze, wyniszczyć szlachtę, a z nią narodowość naszą, a że kara ta pochodzi od ludzi nizkich, złych, zepsutych, to rzecz naturalna.

. . . .

W r. 1837. wyjeżdżam do Ameryki.

W tym roku ukończyłem nauki w szkole górniczej paryskiej, zdałem examen i otrzymałem zaszczytny dyplom. W miesiącu kwietniu i czerwcu byłem użyty do uporządkowania zbioru mineralogicznego margrabiego de Drès. Margrabia był blizko spokrewniony z Dolomieu, znał dobrze Haüy'ego, Buffon'a. W rewolucyi cudem umknął od gilotyny, na którą już był skazany; potem wrócił, był dobrze z Napoleonem, był dobrze z Restauracyą i jest dobrze z Ludwikiem Filipem, należy do Izby deputowanych. Że zaś przygłuchy, wołają go na posiedzenie tylko do wotowania, gdy chodzi o jakiś pilny interes; 90-letni starzec po dwakroć stracił swój majątek na zakupywanie minerałów i teraz więcej mający długów, niż wart jego gabinet, rozkochany w kamieniach, potrzebował oczu moich do urządzenia kryształów, których miał poddostatkiem. Dobrze mi czas schodził u niego, a kiedym go raz zapytał, jakim sposobem mógł zachować się w zgodzie z Cesarstwem, Restauracyą, Filipem, powiedział mi: „c'est que, voyez vous, mon cher Monsieur, les révolutions sont comme les champignons: les meilleures ne valent rien."

W miesiącu lipcu profesorowie szkoły górniczej zarekomendowali mnie panom Köchlin, Alzatczykom, bogatym bankierom i właścicielom fabryk, którzy, kupiwszy niedawno wielkie dobra na pograniczu Alzacyi, Bonne Fontaine, wartujące 2 czy 3 miliony franków, i mający wielkie lasy, potrzebowali inżyniera do wyszukania rud żelaznych i założenia pieców do ich wytapiania. Tym inżynierem miałem być ja, a że nie miałem wielkiego wyobrażenia o sobie i pierwszy raz w życiu przyszło zarabiać, a nie umiałem i nie śmiałem targować się, zgodziłem się z ochotą na pensyę roczną 1200 franków. W Bonne Fontaine był wspaniały zamek, życie bankierskie, stół wyśmienity i wysoki ton towarzystwa. Panowie Köchlin dobrze mnie przyjęli. Pani Köchlin, żona młodszego, i jej dzieci okazali mi odrazu pewien szacunek,

któregoby może odmówili innemu oficyaliście. Z wielką też ochotą i gorliwością oddałem się mojemu rzemiosłu. Od rana do wieczora chodziłem z parobkami, których mi do pomocy dodano, po ogromnych lasach, szukając rudy i znalazłem po wielu miejscach jej pokłady, dość bogate. To zjednało mi wziętość u panów Köchlin i już przychodziło do planów zakładania huty, w której mieli mi dać pewien udział w czystym zarobku.

Byłem rad, prawie szczęśliwy, póki pracowałem w lesie i zajmowałem się rudami, ale w zamku, u długiego stołu, na pokojach, przyznaję się—czegoś nie dostawało. Przykrzyłem sobie: jakaś żyłka szlachecka dokuczała mi. Cała grzeczność, ujęcie, wygoda, porządek, dobry ton, połączony z niejaką oszczędnością i rachunkowością, wszystko to było z nowego herbarza, wszystko to bardziej pochwalałem w duchu, niż lubiłem. Nieraz, wśród gadatliwości i przepychu stołowego, przy szampanie i wykwintnym deserze, zdawało mi się, że widziałem w salonie, z za drzwi spoglądającą na mnie matkę moją, smutną, jak gdyby miała mi co do wyrzucenia. A do tego panowie Köchlin byli protestanci, lubili sobie żartować z księży i starej szlachty francuskiej, choć pani Köchlin była katoliczką i jej brat gorliwym katolikiem. W niedzielę potrzeba mi było iść o dwie mile do kościoła.

Nadeszła jesień. Pani Köchlin odjechała z dziećmi do Paryża. Panowie Köchlin (było dwóch braci) pojechali do Mühlhouse, do swoich wielkich fabryk, ja zostałem dla ukończenia moich poszukiwań rudy. Wilgoć i zimno w lasach pogorszyły zdrowie moje, a humor był codzień gorszy. Wtem, odbieram list od p. Dufrenoy, mego profesora chemii i mineralogii, w którym mi proponuje jechać na profesora chemii i mineralogii do Coquimbo w Chili i ofiaruje 1200 piastrów (6000 fr.) na rok pensyi, koszt podróży, etc. Odżyłem: odżył we mnie mój od dzieciństwa zapał do dalekich wojażów. Niedługo myśląc, odpisałem, że zgadzam się, i na drugiej ćwiartce papieru napisałem list do p. Köchlin, że jadę do Ameryki. Posłałem listy na pocztę i poszedłem w las. Wracając do domu,

zgubiłem list pana Dufrenoy, i przez miesiąc nie wiedziałem dokąd jadę, bo zapomniałem był nazwiska Coquimbo.

W listopadzie opuściłem Bonne Fontaine, a w grudniu podpisałem umowę z p. Lambert, dawnym kolegą szkolnym pana Dufrenoy, właścicielem kopalni w Chili, który, będąc umocowanym od Chilijskiego rządu do wyszukania profesora chemii w Paryżu, udał się był po radę do swego dawnego przyjaciela i kolegi.

Łatwa była umowa z p. Lambert, tylko co do terminu, na jaki miałem zobowiązać się, ledwo żeśmy się nie poróżnili. On miał w swojej instrukcyi zawrzeć umowę na lat sześć; ja, spodziewając się wojny, nie chciałem jechać jak na cztery czy pięć lat. Po długiem rokowaniu przystałem na sześć lat, a p. Lambert obiecał mi wyjednać od rządu skrócenie terminu.

Cały styczeń (1838) zeszedł na przygotowaniach do podróży, na zakupienie laboratoryum i książek i na pożegnaniach.

Smutne były moje pożegnania z rodziną Czartoryskich, z Niemcewiczem, Kniaziewiczem, Dębińskim, Platerami, Jełowickim; smutniejsze jeszcze z Mickiewiczem i żoną jego Celiną, z Laskowiczem, Chełchowskim, Zaleskimi, Witwickim, Goreckim—z nikim jednak na zawsze: ze wszystkimi do widzenia, do widzenia, do widzenia, gdzie? Bogu wiadomo.

Koniec tomu pierwszego.

A. D. G.

Na tem urywamy wyjątki z pamiętników Ignacego Domeyki.

M. T.



Miniatura Adama Mickiewicza,
należąca niegdyś do Maryi Wereszczakówny.

Obecnie oryginał jest własnością p. Karoliny z Puttkamerów Rychlewiczowej.

CZECZOTT I ZAN W LEPLU.

NOTATKA BIOGRAFICZNA

podał

Czesław Jankowski.

Niniejszych szczegółów kilka, dotyczących dwóch najzaufańszych przyjaciół Adama Mickiewicza, oddał najuprzejmiej w ręce moje p. Michał Kuściński, obywatel powiatu Lepelskiego, spisawszy je wiernie z piśmiennej relacyi ś. p. Stanisława Łyszczyńskiego, z którym, swojego czasu, łączyły Jana Czeczotta nader ściśle stosunki długoletniej przyjaźni. Szczegóły te przedewszystkiem o tyle cenne, że biografowie Czeczotta (np. Piotr Chmielowski w „Wielkiej Encyklopedyi Illustrowanej") nawet nie wspominają o pobycie w Leplu byłego filareta.

Jan Czeczott, po rozwiązaniu Filareckiego stowarzyszenia, opuścił Wilno w 27 roku życia i wespół z Tomaszem Zanem i Suzinem udał się do Ufy, będącej podówczas (1824 r.) miastem gubernialnem dzisiejszej Orenburgskiej gubernii. Zana rychło potem przeniesiono do Orenburga, Czeczott pozostał w Ufie do 1831, zajęty pracą w biurach rządu tamtejszego gubernialnego. Wspomnianego roku wespół z Suzinem

przejechał do Tweru. Jeszcze rodacy nasi nie zdążyli miejsc zagrzać w tem mieście, gdy gwałtowna w Twerze wybuchła cholera. Puszczono w ciemne pospólstwo pogłoskę, że wygnańcy-przybysze pozatruwali wodę w Twerze i sprowadzili na miasto epidemiczną plagę. Tłum uwierzył i groźną jął względem Polaków przybierać postawę. Zapobiegając wybuchowi ślepej a doraźnej zemsty, przezorny gubernator twerski, Tiufiajew, kazał natychmiast wszystkich przebywających w Twerze Polaków, między nimi i Jana Czeczotta, uwięzić. Dopiero gdy cholera ustała i tłum wrócił do równowagi, wolność dał uwięzionym, a chcąc niejako wynagrodzić im niezasłużone prześladowanie, powyjednywał, o ile mógł, dla każdego mniej lub więcej korzystne posady. Jan Czeczott, dzięki pośrednictwu gubernatora Tiufiajewa, otrzymał posadę sekretarza przy zarządzie inżynierów Berezyńskiego kanału. Zarząd ten, na którego czele stał syn wspomnianego twerskiego gubernatora, miał rezydencyę swoją w Leplu, mieście powiatowem gubernii witebskiej, odległem o 113 wiorst od Witebska. Do Lepla przyjechał Czeczott w 1833 r.

Kanał Berezyński, a raczej cały system wodnej komunikacyi, utworzony w początkach bieżącego wieku i nazwę tę noszący, łączy morze Czarne z Baltykiem. Pracę około niego rozpoczęto w 1797, a żeglugę po nim, oraz na niemałą skalę spław drzewa budulcowego i masztowego, otwarto w 1815 r. System Berezyński obejmuje liczbę niemałą rzek, jezior i kanałów, a w czasach, kiedy Czeczott czynny udział brać zaczął w zarządzie skomplikowanej instytucyi komunikacyjnej, dopiero na dobre rozwijać się poczynał. Nowy sekretarz gorliwie jął wypełniać obowiązki swoje. Główny zwierzchnik inżynierów dróg i komunikacyi, hr. Toll, przybywszy w 1839 r. do Lepla, znalazł wzorowy porządek w biurach, zostających pod zawiadywaniem Czeczotta, a ujęty jego pracowitością i znajomością rzeczy, powierzył mu skreślenie ustawy dla całej nawigacyi po całym systemie wód Berezyńskich. Czeczott wywiązał się z zadania świetnie; hr. Toll podziękował mu oficyalnie i wyjednał dla Czeczotta upragnioną nagrodę:

pozwolenie na powrót w rodzinne strony. Takim rzeczy składem wrócił Czeczott w 1841 czy 1842 w Nowogrodzkie.

W czasie ośmioletniego pobytu w Leplu, brał Czeczott udział w ożywionych stosunkach towarzyskich tamtejszej inteligencyi. Znajdował nawet czas na odwiedzanie wiejskich Lepla sąsiadów. Szkoła pięcioklasowa lepelska, przeniesiona w 1832 z Chołopiewicz, gdzie ją ufundował Adam hr. Chreptowicz, miała poważną liczbę profesorów Polaków. Wśród nich wielką zacnością duszy i niepospolitym umysłem przodował profesor Jan Falewicz, w którego domu bywał Czeczott częstym gościem. W gronie rodzinnem profesora, wśród poufnych pogawędek, słuchania biegłej gry na fortepianie córek gospodarza, wśród pouczających rozmów z młodszą dziatwą, znajdował Czeczott nietylko wytchnienie po pracy, ale i upragnioną ciepłą, swojską atmosferę. Przylgnął też do niej sercem całem i przywiązał się szczerze do tych przyjaciół swoich.

Drugim domem, ściśle z Czeczottem zaprzyjaźnionym, był dom prefekta lepelskiej szkoły, Ossolińskiego, również jak Falewicz, ucznia uniwersytetu wileńskiego. Szczycił się też, jak się rzekło, przyjaźnią byłego filareta p. Stanisław Łyszczyński. Odjeżdżając z Lepla, ofiarował mu Czeczott w upominku kubek kryształowy, przysłany mu z Paryża w 1835 r. przez Adama Mickiewicza. Kubek ów ś. p. Łyszczyński legował p. Michałowi Kuścińskiemu, który cenną tę pamiątkę złożył w darze Muzeum narodowemu w Krakowie. Kuścińscy mieszkali na wsi, o milę od Lepla, i dom ich często Czeczott w czasie wakacyi letnich odwiedzał i spędzał w nim nierzadko uroczyste święta doroczne. P. Michał Kuściński, uczeń podówczas szkoły lepelskiej, u prof. Falewicza lokowany, przypomina sobie dziś jeszcze jak najżywiej Czeczotta, goszczącego i u Falewiczów, i w domu rodziców, na wsi. Stosunki literackie podtrzymywał Czeczott z cieszącym się podówczas pewnym rozgłosem poetą, Aleksandrem Grott Spasowskim [1]),

[1]) „Poezye" Aleksandra Grott Spasowskiego, wyszły z druku, w dwóch tomach, z portretem autora, w Wilnie u Zawadzkiego.

również w pobliżu Lepla zamieszkałym. Jeśli się nie mylimy, ojciec poety był marszałkiem szlachty lepelskiego powiatu.

Przedziwna dobroć serca, czystość duszy i lotność umysłu pociągały ku niemu swoich i obcych. „Żywy, tkliwy, wesoły—pisze o nim Domeyko [1])—bratający się ze wszystkimi, prosty i poufały równie z najmłodszymi, jak z najuczeńszymi, śpiewny, czuły na wszelkie wrażenia, litujący się i gniewający się z łatwością, pobłażliwy mianowicie dla skromnych i pokornych, prawdziwie wieśniaczej natury, a przytem pobożny i dobry katolik—był zawsze gotów służyć nam, ale też i gderał i napominał, kiedy co niedobrego w nas obaczył, bo chciał, aby jego przyjaciele, mianowicie Adam, byli wolni od wszelkich wad, nawet powszednich." Sąd Domeyki potwierdzają wszyscy lepelscy Czeczotta znajomi i przyjaciele. Cechowały go iście ewangeliczna prostota i niewyczerpany altruizm. Opowiadają o nim, że gdy raz na wsi, u państwa Kuścińskich, podczas dożynek, uczestnicy włościanie, podochociwszy się zacnie, snem zmożeni legli na murawie, Czeczott poduszki kładł pod głowy nieprzytomnych, w obawie, aby nadmiar trunku im nie zaszkodził. Chodził i wyrzekał na gorzałkę, a uspokoił się dopiero, dowiedziawszy się, że żaden z uczestników dożynek szwanku na zdrowiu nie poniósł. Komu tylko mógł—pomógł; każdego zobowiązał; nie zliczyć osób, które doznały jego pomocy i opieki. Bywało rzemieślnikowi narzędzia kupi, dziecku zabawki lub książki. Byle przysłużyć się komu, byle pocieszyć, byle współczucie serdeczne okazać. Prosty żołnierz, dany mu do posługi przez zarząd, rozstać się z nim nie chciał, „bo—mówił płacząc—niczego mi już teraz nie trzeba, skoro bez pana żyć będę."

Wpływ iście magiczny wywierał Czeczott na otoczenie swoje. Na słowo jego miękły serca i otwierały się dusze. Zwierzchnicy nawet, przywykli do brutalnego fukania i traktowania ludzi zwysoka a bezwzględnie, na samo pojawienie się cichego, spokojnego Czeczotta zapominali o roli swojej

---

[1]) „Filomaci i Filareci", list Ign. Domeyki. Poznań 1872, str. 3.

i dostrajali się do jego obchodzenia się z ludźmi, tchnącego idealną wyrozumiałością i miłością chrześcijańską bliźniego. Zwłaszcza dzieci lgnęły do niego, słuchały go i starały się naśladować. O tym wpływie, jakby cudownym, Czeczotta, pomimo, iż pozornie wziąć by go można było za odludka lub mnicha-ascetę, opowiada dziś jeszcze żywa tradycya przez usta p. Karola Falewicza, syna wspomnianego profesora, Jana.

Zarówno w Ufie, jak w Leplu, zajęcia biurowe nie przerwały prac literackich Czeczotta. W Ufie przetłomaczył dzieło Irwinga „O moralności i literaturze Anglików i Amerykanów". Przekład ów wyszedł z druku w Wilnie w 1830 r. (Dwa tomy). W Ufie też przygotował do druku „Śpiewy historyczne o znakomitych Polkach". Rękopis tych śpiewów zaginął podczas burzliwych dni pobytu Czeczotta w Twerze. Owocem wolnych chwil lepelskich były przekłady pieśni ludowych białoruskich, zbieranych nad Niemnem, Dnieprem i Dźwiną. Pieśni tych, jak wiadomo, wydał Czeczott tomów pięć (Wilno 1836—1846). Zbierał je z ust ludu sam; zbierano je dlań po obywatelskich domach. Zwłaszcza panie i panienki gorliwemi były Czeczotta współpracowniczkami. Podziękowanie też im złożył Czeczott w przedmowie do 3-go tomu swego wydawnictwa.

Ów zbiór pieśni białoruskich ludowych pozostanie też główną i niemałoważną zasługą Czeczotta i sławę mu pośmiertną na kartach dziejów piśmiennictwa naszego zapewni. Poezye jego oryginalne wątpię, czy kiedy doczekają zbiorowego wydania. Nazbyt—by się najdelikatniej wyrazić — bezpretensyonalne one, a świeżość improwizacyjna, która niejednej piosenki Czeczotta swojego czasu cały urok stanowiła, już dziś dla nas niepowrotnie stracona. Jako miłe, a nawet drogie pamiątki, przechowały się tu i owdzie w odpisach wierszowane utwory druha Mickiewicza, ale dla bogatego piśmiennictwa naszego znaczenia nie mają. To też z dostarczonych mi uprzejmie przez p. M. Kuścińskiego odpisów kilku piosnek Czeczotta pozwolę sobie wybrać i przytoczyć jedną tylko piosenkę, skreśloną jak wiele innych „dla Zosi" (Malewskiej, córki rektora uniwersytetu wileńskiego). Piosnka

ta z tego względu zasługuje na uwagę, że podobno gustował w niej bardzo Tomasz Zan, ów niepowszedni przewódca wileńskiej młodzieży, że często ją nucił i akompaniament dla niej fortepianowy sam ułożył.

BŁOGOSŁAWIONA.

Ach, błogosławiona matka,
Świat co tobą obdarzyła,
O dziewico moja miła,
Tak nadobna, wdzięczna ty!

Tyś jest piękna, czuła, słodka,
Niezrównane serce twoje,
Ty na wieki, życie moje,
Bądź błogosławiona ty!

Błogosławion dzień ów święty,
W którym na świat tyś zesłana,
O dziewico ukochana...
Jak nadobna, wdzięczna ty!

Tyś jest piękna, czuła, słodka,
Niezrównane serce twoje,
Ty na wieki, życie moje...
Bądź błogosławiona ty!

Przybywszy z Lepla w Nowogrodzkie, otrzymał Czeczott posadę bibliotekarza w Szczorsach Chreptowicza; niedługo atoli wytrwał na tem stanowisku. Opuściwszy Szczorse, osiadł w Dołmatowszczyźnie u ś. p. Antoniego Wierzbowskiego, kolegi Mickiewicza ze szkół Dominikańskich, potem czas jakiś mieszkał w Wolnej u Rafała Śliznia [1]). Znękany chorobą, pojechał dla poratowania zdrowia w r. 1846 do Druskiennik i tam życie zakończył. Ponieważ Druskienniki nie miały

---

[1]) Porów. Bogusław Kraszewski: „Z ziemi Nowogrodzkiej". *(Kraj № 51 z 1897).*

wówczas kościoła i cmentarza, zwłoki Czeczotta złożono na mogilniku w Rotnicy, o wiorst cztery od Druskiennik odległej.

Nad kamienną urną grobowca szumią brzozy... Na cokole pomnika wyryto epitaphium A. E. Odyńca. Czworowiersz końcowy kładzie, jak nie można słuszniej, imię Czeczotta Jana obok nieśmiertelnych imion Mickiewicza i Zana.

Imię jego w ojczyznie jest wiecznie związanem
Z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem Zanem.
Kto wiesz, czem oni byli, schyl skroń przed tym głazem,
Pomyśl, westchnij i módl się za wszystkich trzech razem.

Tomasz Zan przybył w Lepelskie na początku 1844 roku, jako lustrator dóbr rządowych. Posadę tę wyrobił dlań główny lustrator w guberniach litewskich i białoruskich, Piszczałło; starań też swoich w tej sprawie dokładał Franciszek Malewski, zamieszkały w Petersburgu. Lepel był pierwszym etapem urzędniczym Zana, a ponieważ z dobrami rządowemi, w okolicach Lepla leżącemi, graniczyła majętność państwa Kuścińskich, z ich domem przeto zawiązał Zan rychło stosunki towarzyskie i przyjacielskie.

Student podówczas uniwersytetu petersburskiego, p. Michał Kuściński, na wakacye do rodzicielskiego domu pod Lepel zjeżdżający, przypomina sobie dziś jeszcze dokładnie ożywioną postać Zana, będącą duszą i ogniskiem każdego towarzyskiego zebrania. Rozmiłowany w muzyce i śpiewie, Zan często sam nucił ulubione piosenki: „Te brzóz kilka", „Młocarze" (Czeczotta) i Czeczotta „Błogosławiona". Sam do tych piosnek muzykę układał.

Jako rys charakterystyczny Zana, pozostała w pamięci jego lepelskich znajomych i przyjaciół wielka p. lustratora nieopatrzność w sprawach pieniężnych. Zan sakiewki nie używał nigdy; monetę chował po kieszeniach, a dobywając ją w pośpiechu, często gęsto mylił się, dając np. za ochrzczenie dziecka proboszczowi pięć kopiejek zamiast rubla, a przewoźnikowi na rzece półimperyała zamiast kop.

dwudziestu. Dawało to nieraz powód do ucieszych nieporozumień i siurpryz, rozumie się, natychmiast odrabianych. Pewnego razu, jadąc z Witebska do Lepla, w karczmie żydowskiej, gdzie nocleg odbywał, zostawił szkatułę, zawierającą przeszło dwa tysiące rubli, przeznaczone na wypłatę pensyi jemu samemu i urzędnikom jego biura. Dopiero, przybywszy do domu p. Kuścińskich, Zan zgubę spostrzegł. Ktoby sądził, że zacznie desperować. Bynajmniej.

— Niema co, stało się, panie chorąży—powiada Zan do zafrasowanego gospodarza. Wypadnie parę lat darmo posłużyć. Nie pomoże narzekanie. Ot, poproś lepiej, panie chorąży, niech proboszcz mszę świętą w kaplicy odprawi na intencyę znalezienia szkatuły. Pomodlimy się; może Bóg prośby wysłucha.

Odprawił proboszcz mszę i tegoż dnia pchnął p. Kuściński sługę swego do wspomnianej karczmy. Upłynęło dni dwa. Zan w świetnym humorze bawi się doskonale wśród licznego towarzystwa, zebranego w domu p. Kuścińskich. Gospodarz domu przerywa mu ożywioną rozmowę wiadomością, że służący Jan powrócił.

— Daj pokój, panie chorąży—woła Zan.—Nie przerywaj! właśnie my tu ugrzęźliśmy w najciekawszej dyspucie.

I nie ruszył się nawet z miejsca. Dopiero należycie wyświetliwszy sporną jakąś kwestyę, poszedł rozmówić się z Janem, dowiedzieć się o rezultacie poszukiwań i z rąk jego, znalezioną cudownym trafem szkatułę z gotówką, otrzymać.

W r. 1846 rozprzedawano wielkie dobra ks. Sanguszków, w Mohylewskiej gub. położone. Głównym pełnomocnikiem w tej sprawie był p. Dobrowolski. Za jego radą i pomocą nabył Zan od Sanguszków majętność Kochaczyn, p. Dobrowolski atoli za warunek położył, że Zan autobiografię swoją napisze. Podobno istotnie znajduje się taki życiorys w rękopisach, po Tomaszu Zanie pozostałych. Tegoż 1846 r. zaręczył się Zan z p. Brygidą Świętorzecką, którą w następnym roku poślubił i zamieszkał z żoną w Oborku, w powiecie Oszmiańskim, na granicy Wilejskiego.

Krótki pobyt Zana w Leplu i okolicach lepelskich upamiętnił stosunek serdecznej zażyłości z domem p. Kuścińskich. Stosunku tego odbicie znajdujemy w listach Zana, pisanych do ojca, Franciszka Kuścińskiego, i do syna Michała. Listy te, które w dosłownem brzmieniu poniżej powtarzamy, mają u góry kreślone jednakowe zawsze słowa: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Matka łaski Bożej, Marya Panna."

Do Franciszka Kuścińskiego.

Zaboloć, 11-go sierpnia 1844 r.

Posyła się z banknotem na 5 rs., który wedle przyrzeczenia ma być wręczonym litewskiemu poecie Odyńcowi przez kochanego Michała, syn pański będzie miał okoliczność zabrać znajomość z osobą, która jest w stanie ukazywać źródła rzetelnych wiadomości o piśmiennictwie i dziejach krajowych i prostować nieświadomych o tem zdania. Przytem do rodzicielskiego błogosławieństwa, z którem się na dalsze nauki wyprawuje, niech przyjmie i moje pożegnanie, pamiętając na to, że nie dla siebie tylko urodzeni jesteśmy; część nas ojczyzna przywłaszcza, część przyjaciele. Życzliwość ziomków, zarówno jak modły pokrewnych, przychylają ku nam łaskę Bożą, za której natchnieniem i pomocą poczuwamy w sobie dary i zdolności, najstosowniejsze do przeznaczenia i powołania naszego. Przeznaczeniem powszechnem człowieka jest poznać i ukochać Boga; prawda, słowo Boże objawione, miłość czyli moc i czyn Boży objawiają się ustawicznie, powołanie każdego z nas w szczególności oznacza się wyraźnie osobnemi, niezależnemi od nas warunkami, niezbędnemi stosunkami urodzenia, stanu i sił naszych, czyli świętemi obowiązkami kościoła, czyli zbawionej ludzkości, kraju, czyli szlachetnego obywatelstwa, domu, czyli prawowiernej chrześcijańskiej rodziny, w których imię nasze i osoba ma wszędzie zawsze dawać stateczne świadectwo owej pra-

wdzie i owej miłości, wśród pokuszeń złego, ułudy świata, ciążenia bezwładnej przyrody, mając na widoku dobro i szczęśliwość bliźnich, a godność i zbawienie własne. Co niewątpliwie osiągamy w cudownościach poświęcenia się Zbawiciela, w przyczynie Matki Słowa, które się stało Ciałem, Pani świata, Królowej naszej, zasługach świętych Bożych, w pomocy Aniołów, przekonywając się coraz dowodniej, iż przedsięwzięcia i czynności nasze kierują się podług woli Bożej. Takiem zrządzeniem i takiej opiece, w mocnej wierze, w pewnej nadziei, poruczając Michasia, powinniśmy ufać, że jego własne przyłożenie się i pobożność może osiągnąć należytego stopnia rozwinienia darów duszy i ciała, uwieńczyć się pożądanem we wszystkiem powodzeniem, jakiego mu życzymy i o jakie u Boga prosimy. Teraz zostaje mu tylko usiłować, aby pamiętał rady rodziców, rozkazom ich był odpowiedni i cieszył gotowością zadosyć czynienia życzeniom ich i nadziejom, donosząc im często nietylko o przyjemnościach, które sam doznał, ale też i o tych, które sprawić innym usiłował, aby się pilnie przykładał do każdej, która się podaje, nauki bez wyjątku i uprzedzeń i szczerze każdy szkolny wypełniał obowiązek i porządek jak najskrupulatniej, albowiem tak wielkie i cudowne spływają błogosławieństwa ćwiczenia się w *posłuszeństwie*, *pokorze*, *cichości* i *cierpliwości*, że częstokroć nieuctwo i fałsz oświeca nas, jak mądrość i dobra wiara, aby starannie czcił i zachowywał przykłady i obyczaje domowe i krajowe, jako ćwiczenia i obrzędy pobożne, i strzegł jak najpilniej czystości i skromności.

Do Michała Kuścińskiego.

Franopol, 21-go sierpnia 1846 r.

Chwilę, przeznaczoną do spoczynku mojego i koni, które mię przez noc przeniosły od źródeł Wilii do Izabelina, dla uporządkowania czynności mojej służby na tydzień następny i odprawienia poczty dzisiejszej, poświęcam na oświadczenie

mojej życzliwości kochanemu panu Michasiowi i całej jego czcigodnej i uprzejmej rodzinie, w której powodzeniu i troskach rad zawsze chciałbym brać udział żywy. Modlę się, aby ta życzliwość zdolną była przyłożyć się do sprowadzenia na nią błogosławieństwa Nieba, przez łaskę i moc którego zapewnia się szczęśliwość i przemijającą z życiem, i wieczna w zbawieniu. O nie się najpilniej starać i zasługiwać jest najwidoczniejszem powołaniem jedynego pana Michała i najmilszą powinnością. Z tem poleceniem wyprawuję go w drogę, która go czeka, i żegnam, poruczając go aniołom i świętym patronom domostw, majątków, osób i krajów, ojczyzny i matczyzny naszej. Kochaniu i usłudze Heleny Malewskiej, rzeczywistej radczyni stanu, poleciłem go listem, który dziś odesłałem pocztą; nadto łączę przy tem do niej list odkryty. Celem tej znajomości ma być głównie wystaranie się rychłego pozwolenia na odbudowanie kościoła w Leplu na cześć Matki Bolesnej, a nawet może, za łaską Bożą, środków i sposobów wykonania tego przedsięwzięcia. Na tę intencyę Świętorzecka panna Brygida poleca do codziennej modlitwy przykładać 3 Ojcze nasz i Zdrowaś. Łaska Boża niech zawsze będzie z nami.

Do Franciszka Kuścińskiego.

Oborek, 14-go października 1847 r.

Pamiętny życzliwości, której doznałem w domu W. M. Państwa Chorążych Dobrodziejów, życzyłem sobie odwiedzić Zawidzicze i zalecić ich przychylności Brygidę ze Świętorzeckich, żonę moją. Służba i gospodarstwo nowozaprowadzające się przenosiły mnie ustawicznie z Kochaczyna do Witebska i nawzajem. Dla pośpiechu podróży naszej ostatniej przez Lepel, nie byliśmy w stanie zadosyć uczynić życzeniu naszemu, uszanować osobiście W. M. Państwa. Czynności lustracyjne w Lepelskiem, w ciągu ubiegłego lata, nie wymagały niezbędnie naszej obecności. Tymczasem oczekiwałem pory

sposobnej do uwolnienia się ze służby, przy której trudno mi było wystarczyć nowo przyjętym obowiązkom, a mianowicie ułożenie pamiętników życia mojego, które obiecałem p. Dobrowolskiemu, przedawcy Kochaczyna, jako opłatę za dusze, do tego majątku przypisane. Dla tego zatrudnienia potrzebuję wczasu spokojnego, ciepła i światła rodzinnego; zaczem nie doczekawszy się odstawki, pod pozorem osłabionego zdrowia, w dzień imienin p. Chorążego i kochanego Dobrodzieja, korzystając z kilku dni pogody, opuściłem służbę, z Kochaczyna, drogą pocztową na Tołoczyn, po pięciu dniach podróży, przybyliśmy z Białej do swojej Czarnej Rusi, skąd tem pismem odzywamy się, wpraszając się zachować dla nas łaskawy wzgląd przyjaźni, jaką się dotąd zaszczycałem i jakiej wdzięczną pamięć radzi żywić pragniemy. Kochaczyn, gdzieśmy przyjemnie lato spędzili, wśród pomyślnych urodzajów, lecz gdzie na zimę jeszcze domu mieszkalnego nie mogliśmy zbudować, zostawiliśmy w zarząd włodarza, p. Pogorzelskiego, który przyjęty został na miejsce szwagra mego Matusewicza, gdy mu zbyt trudno było zastosować się do mojego ducha gospodarowania, którego zasady i sposoby miałem przyjemność przekładać i bronić przed p. Janem Stefanowskim w Leplu i przed p. Chorążym. Poruczam W. M. Panu Chorążemu Dobrodziejowi zalecić moją wdzięczność, pełną przychylności i życzliwości naprzód całemu jego miłemu domowi, potem nieoszacowanym duszom i duszyczkom, zamieszkałym w Leplu i w okolicach, i nakoniec Leplanom, którym wspomnienie o mnie odzywa się niekiedy. Łaska Boża niech zawsze będzie z nami.

Do Franciszka Kuścińskiego.

Oborek, 5-go kwietnia 1848 r.

Mieliśmy przyjemność otrzymać w swoim czasie odezwę W. Państwa Chorążostwa na list nasz. Teraz, pragnąc znowu powziąć nawzajem wiadomość o zdrowiu i powodzeniu naszych

łaskawców i przyjaciół w Lepelskiem, czynimy ich uczestnikami rozradowania, którem nas Bóg pobłogosławił. Oto już szósty upływa tydzień od dnia, w którym Brygida obdarzyła ich wdzięcznym służką, mnie synem, a Kochaczyn dziedzicem. Mężczyzna ten, otwierający żywot, na chrzcie świętym w dzień św. Kazimierza, przyjął imiona Wiktoryna i Serafina, które w kalendarzu w dzień narodzin znalazł, i Tomasza, które mu matka przydać chciała, sama go karmi; oboje razem ze mną polecają się pobożności i miłości W. Państwa i całego ich grona, równie uprzejmego, jak i kochanego. Kłopoczę się z inwentarzem kochaczyńskim, który mi już drugi raz napowrót odsyłają, że formy, przyjętej w majątkach białoruskich, zachować nie umiem, i wyszukaniem na rok następny od św. Jerzego nowego włodarza, który życzyłby zastąpić mnie w gospodarowaniu i szczerze usiłował. Sam nie mogę niem się zajmować przez skład okoliczności i zatrudnień moich. W dwóch ubiegłych latach wyczerpał u mnie ten majątek wszystkie oszczędności górnictwa i lustratorstwa mojego. Nie byłbym od tego, aby go wypuścić w dzierżawę, za którą chciał dawać w rok pewien p. Naruszewicz 800 rs. Książkę, z Franopola ostatnią razą miedzy mojemi zajętą, odsyłam z prośbą o wręczenie, do kogo należy. Proszę nas zalecić łaskawej przyjaźni Lepelanów, a osobliwie pana Jana, Prezydentowstwa, księży Dziekana i Kapelana i innych.

Łaska Boża niech zawsze będzie z nami.



......„Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem"

Wizerunek Matki Boskiej Nowogrodzkiej.

Obraz ten, wedle miejscowej tradycyi, przeniesiony został z kościoła na górze Zamkowej do pobazyliańskiego, gdzie się obecnie znajduje.

NOWOGRÓDEK

W DRUGIEJ POŁOWIE BIEŻĄCEGO STULECIA.

> **Niech każdy w pokorze ducha stara się być lepszym i uczynić lepszem wszystko, co go otacza;—w tem tylko—i w tem jedynie, leży kamień węgielny naszego odrodzenia.**
>
> *Lorenzo Bussoni.*

Rok 1855 pozostanie dla nas pamiętnym na zawsze. W tym bowiem roku ugodził nas cios najmniej spodziewany—umarł Adam Mickiewicz!...

W tym też roku zaszły wypadki w kraju, które swą wagą zmieniły postać rzeczy w całem państwie. Ze zgonem Cesarza Mikołaja I-go—Aleksander II wstąpił na tron.

Po długiej ciszy wionął wiatr ożywczy. Słowo „Reforma", oczekiwane oddawna, wymówione zostało głośno; co więcej, stało się hasłem nowego rządu. Byłto jakby miesiąc miodowy reform liberalnych w wielkim stylu, które przechodziła Rosya, zbudzona do nowego życia. Sprawa też włościańska, w której inicyatywę wzięła litewska szlachta, weszła na stół. To też tym razem, nietylko Litwa ale cała Rosya odetchnęła. Szlachcie zdjęto ohydne *piętno ciemięzcy*—chłop poczuł się człowiekiem!

Ziemia nowogródzka, siedziba niejednej zasługi i niejednej sławy, które tam miały kolebkę,—mogłaż nie odczuwać tych drgań nowych prądów, jakie elektryzowały kraj cały?...

To też wkrótce odezwa, wzywająca duchowieństwo do pracy nad szerzeniem wstrzemięźliwości wśród ludu, wysłana z Nowogródka a wydrukowana w petersburskiem Słowie— obiegała Litwę.

Zaczęła się więc praca i oto nieupłynęło kilka miesięcy, a społeczność nowogrodzka, jakby odrodzona, zawrzała życiem. To też miło tu nam dołączyć ustęp z korespondencyi, przesłanej w tej sprawie do Kuryera wileńskiego, 1860 roku:

....."Czas obecny, jak trąba archanioła, budzi do życia, do pracy, do czynu, wprawdzie społeczność nasza, podobna jeszcze



Góra zamkowa.

do człowieka, budzącego się z letargu, który słyszy dokoła głosy życia, czuje tętno natury, ale spowity więzami snu zdradliwego, nie ma sił ni wiary w siebie, nie ma jeszcze w piersiach głosu, by zawołać, by odpowiedzieć na wołanie. Lecz życie gra już w pulsach.

Grób Mendoga, kolebka Mickiewicza, w tych czasach przedstawił kilka symptomatów życia, świadczących o pojęciu wyższych jego celów; a więc na pierwszem miejscu miło mi donieść, że usiłowania Nowogrodzianów podniesienia poziomu oświaty, znalazły swój wyraz w świeżo otworzonem gimnazyum, jak niemniej w bibliotece i czytelni, otwartej z funduszów składkowych. Przybył też zastęp sił dzielnych w kole nauczycielskiem.

Prace też na polu wstrzemięźliwości i ludowej oświaty, coraz wybitniej się odznaczają. Duchowieństwo nowogrodzkie ze swej strony pojmuje też zadanie czasu. Za przykładem szanownego proboszcza ks. K. Ejmonta, lud wiejski słucha słowa Bożego. Na wsi też zamiłowanie zbytku a z nim cudzoziemszczyzna, podróżomania ustąpiły miejsca zapobiegliwej oszczędności i poszanowania tego, co dobre. Znamy domy, gdzie rówiennice turystek, obiegających magazyny Luwru, obchodzą chaty włościańskie, niosą pomoc lekarską i zasiłek, ucząc dzieci chłopskie pacierza, zasad wiary, obowiązków człowieka. Rzadkie to są jeszcze przykłady takiego poczucia obowiązku—ale one już są i cześć budzą. Co więcej, praca, ów dotąd anachronizm w egzystencyi wiejskiego oby-



Góra zamkowa i fara.

watelstwa, coraz więcej znaczenia i poważania nabiera; myśl każda, wypowiedziana w duchu ogólnego dobra, znajduje słuchaczy. Umysły głębsze, serca gorętsze, ludzie talentu i wiedzy pracują, układają projekty, w celu dźwignienia rolnictwa, przemysłu, kredytu, ułatwienia komunikacyi. Słowem, tam i owdzie pracują słowem, piórem i przykładem.

Tak więc, choć chmurno i grube jeszcze cienie nocy walczą z godziną przedświtu, lecz już na brzegach horyzontu rumieni się zorza i bledną nocne ogniki..."

Zaprawdę, trudno chyba o szczęśliwszą i prędszą zmianę w usposobieniu, nad tę, jaka zaszła śród społeczności nowogrodzkiej. Przyznać wszakże należy, że w inicyatywie i robocie, jaka stanęła na porządku dziennym, lwią część przyjęło na

się świeżo otworzone gimnazyum; to też nabytek ten nowych sił wkrótce dał się odczuć. Jakże mi pamiętne owe wieczorne z kolegami pogadanki na górze zamkowej! Tam to powstał zamiar, którego spełnienie, długo tamowane przeszkodami, tyle miało zczasem przynieść dobrych skutków i być źródłem niewymownej dla ludzi zacnych pociechy: zamiar założenia w Nowogródku biblioteki publicznej i czytelni.

Patrząc na liche domki, u podnóża góry rozsiane, na krzątające się wpośród nich biedactwo, naturalnym zwrotem myśli dumaliśmy nieraz nad dolą tych ludzi, nad życiem istot, skazanych na podwójną nędzę: fizyczną i moralną.

I rzeczywiście, opłakany stan intellektualny miejscowej ludności, zostawionej swemu losowi, jakby na szyderstwo obok kolebki, gdzie zabłysło wspaniałe światło na chwałę narodu—dopominał się natrętnie naprawy. Niemniej też brak zasobów w zakresie ojczystej literatury, śród uczącej się w świeżo utworzonem gimnazyum młodzieży—domagał się zaradzenia i pomocy. I oto wkrótce obiegła dwory i dworki odezwa, której osnowa mniej więcej była następująca:

.....„Słyszymy nieustanne narzekania na nizki poziom wykształcenia i moralności—a raczej na ich brak zupełny—śród mieszczaństwa, rzemieślników i różnego stanu mieszkańców tego miasta.

Podnieśmy ich z tego poniżenia! dajmy im pokarm duchowy, zdrowy i posilny, zdolny w nich obudzić poczucia pragnienia prawdziwego dobra, prawdy i piękna! Zróbmy to, co zrobili inni, którzy dziś górują dobrobytem i oświatą; dajmy tym ubogim w duchu dobrą książkę. W miejsce klubu, którego istnienie w murach dawnej szkoły jest dla nas hańbą, załóżmy bibliotekę, otwórzmy czytelnię. Przyjdzie czas, że ci sami nawet, co dziś są temu niechętni, co w braku innego zajęcia dla wymagań chciwej wrażeń natury, tracą marnie zdrowie i pieniądze, przyjdą do nas, aby u czystego zdroju zaczerpnąć wiedzy i użyć rozkoszy, godnej człowieka.

Wieluż to się nurza w mętach miejskiego życia, dlatego tylko, że braknie im po pracy schronienia czystego na długie wieczorne godziny. Dajmyż im to schronienie! Dajmy

młodzieży szkolnej, spragnionej wykształcenia godnego przyszłych obywateli, sposobność dopełnienia tego, w dziełach ojczystej literatury, czego w szkole znaleźć nie mogą. Dajmy rzemieślnikowi sposobność oświecenia umysłu, zdobycia tak potrzebnych mu wiadomości; dajmy nareszcie tym wszystkim, którym los twardy nie dozwolił korzystać z dobrodziejstw szkoły, sposobność powetowania tych braków.

Niech te mury, co do niedawna były siedliskiem nauki, z których wyszedł największy wieszcz i geniusz narodu,



Kościół O. O. Dominikanów i szkoła powiatowa w Nowogródku.

staną się znów przybytkiem, skąd światło przeniknie w najciemniejsze zakątki tego grodu i okolicy.

Nieśmy światło!"

Odezwa ta nie pozostała bez skutku, bo w niespełna kilka tygodni zamiar, powzięty w ciszy wieczornej, u podnóża baszt, stał się głośnym w powiecie i kraju, społeczność przyjęła go z radością, dzienniki opowiedziały o nim z uznaniem. I oto po długiej i uporczywej walce, *runął klub*, a jego miejsce zajęła biblioteka. Wraz też sypnęły się składki w książ-

kach i pieniądzach [1]), tak że w przeciągu kilku tygodni można już było otworzyć czytelnię z wypożyczalnią książek, która do 2000 dzieł liczyła.

Jako pierwszy dygnitarz powiatu, marszałek Brochocki przyjął kuratoryę honorową, ofiarując znaczną kwotę na pierwsze wydatki. Na wice-kuratora wybrano ks. Ejmonta, plebana nowogrodzkiego; zarząd administracyjny oddano ks. Łaszkiewiczowi, piszącemu zaś poruczono i czynność bibliotekarską. Wszystko zaś, co w powiecie miało kwalifikacyę lub pretensyę do dobrego tonu i znaczenia, uważało za obowiązek popierania i wpisania się na członka tej nowej instytucyi.



Rynek od strony południowej

Jakież było towarzystwo miejscowe owego czasu i kto je składał, zapyta czytelnik zapewne.

Jak zwykle w powiatowych miastach, pierwsze w niem miejsce zajmował marszałek, a był właśnie czas, kiedy na tem stanowisku stali ludzie, znani z zasług, zacności, fortuny i taktu niezbędnego w spełnieniu trudnych nierzadko obowiązków. Po nim szli wyżsi urzędnicy różnych juryzdykcyi, zwykle familijni: jak prezes sądu powiatowego, sprawnik, stropczy, kaznaczej..... pocztmistrz-horodniczy, nareszcie lekarze, z których Ignacy Orzechowski, jako znakomity specyalista chorób wewnętrznych, ściągał na dłuższy pobyt do

[1]) Bilczyński ofiarował kilkaset dzieł wyborowych.

miasta pacyentów z rodzinami. Stan duchowny, zanim jeszcze wydalono ks. Dominikanów, miał też swoją atrakcyę w osobie ks. Szostowickiego, który darem słowa i świętobliwością pociągał ku sobie wiernych. Nie należy też pominąć w pobliżu miasta położonych dworów i dworków, jak Peresieka, Antowil, Brecianka, Horodziłówka, Wiktoryn, których mieszkańcy stanowili poważny kontygens nowogrodzkiego towarzystwa.

Wśród takich to zajęć minęła jesień, nastąpiła zima. A tymczasem rząd wstąpił na wyraźną drogę reform, wobec zbliżającej się chwili wyzwolenia włościan; wyszukiwał i wzywał ludzi, którzy się czuli uprawnieni i zdolni do zabrania głosu w tej ważnej sprawie. Młodzież szkolna ochoczo się uczyła, czytelnia była przepełnioną; wyludniły się szynki i karczmy; stosunek dworu do chaty wieśniaczej stał się miarą obywatelskiej zasługi. Jednem słowem praca na polu odrodzenia zaczynała się powszechna.

Pewnego wieczoru, śród ciaśniejszego kółka, które otaczało marszałka, zawiązała się rozmowa o nastroju ogólnym społeczności, a następnie, gdy codzienne życie w zwykłej swej kolei wymagało zasobów i karmi, aby nie było jałowem, nawet śród chwil poświęconych rozrywce—o sposobie spędzenia długich zimowych wieczorów. Jak więc i czem zająć publiczność, gdy nie tańczono, a gra w karty wygnana? Jak przepędzić wieczory w towarzystwie, któremu nie brakło młodzieży i wykształconych ludzi płci obojej, która czuła w sobie kipiącą życia energię, a gry niewinne w „Sąsiada" lub „Cenzurowanego" nie wystarczały?

Zaproponowano teatr amatorski. Myśl ta poruszyła wszystkich i wszystkim się podobała. Utworzono komitet pod prezydencyą marszałka, który znów sporą kwotą składkę otworzył, i oto z początkiem karnawału „*Panna mężatka*" Korzeniowskiego dała początek seryi sztuk, na które się złożyły: „Zemsta za mur graniczny", „Nikt mnie nie zna", „Odludki i poeta" A. Fredry; „Stacya w Hulczy", „Majątek albo imię" Korzeniowskiego i t. d. Nie brakło oczywiście i scen

zakulisowych, których treść nie ustępowała utworom, przedstawianym przy świetle kinkietów...

To też rozgłos powodzenia nowogrodzkiego teatru, na który się składały nietylko talenta ale i wdzięki nadobnych nowogrodzianek, był tak szeroki, że zjeżdżano się z sąsiednich powiatów; a napływ przyjezdnych zdarzał się tak wielki, że zajazdy nie mogły dość nastarczyć mieszkań, których ceny do bajecznych cyfr nieraz dochodziły.



Zaosie, miejsce urodzenia Adama Mickiewicza.
(rys. E. Pawłowicz 1842 r.)

Ale oto, z początkiem wiosny 1862 r. zawitał gość, którego przybycie zelektryzowało Nowogródek. Był nim Władysław Mickiewicz, pierworodny syn poety. Zjawienie się jego na ziemi nowogrodzkiej, w czasie, gdy podjęta przez rząd reforma, dała popęd do społecznej pracy, zjawienie się takiego gościa w porze wiosennej powitano, jako wróżbę

pomyślną. To też wszystko, co żywiej czuło, zbiegło się do Nowogródka. Bo i zaprawdę godziło się rodakom uczcić potomka tego, któremu naród tyle ze swej chwały zawdzięczał; cóż dopiero Litwinom, cóż nowogrodzianom!...

Obwożono go po okolicach, ukazywano pamiątki, ślady jego ojca, ze czcią religijną przechowane. Był w Tuhanowiczach, Zaosiu i t. d. Na obiedzie a raczej na uczcie, danej na cześć jego przez marszałka Brochockiego, śród licznych toastów, jeden z biesiadników przemówił słów kilka, które później na żądanie obywateli wpisane zostały do albumu, ofiarowanego dlań, jako wyraz uczuć Nowogrodzianów.

Wieczorem było przedstawienie w teatrze. Wyborna orkiestra Czechów przegrywała w antraktach utwory ze



Góra Mendoga i cmentarz farny.

swojskich motywów. W drugiej zaś sztuce, a było nią „Okrężne", śpiewy, stroje, ludowe tańce, gra pełna przejęcia się i zapału, taki wzbudziły entuzyazm śród podniesionego nastroju publiczności, że na chwilę zapomniano o wszystkiem, ściskano się, podawano sobie ręce i łzy rozrzewnienia zabłysły w oczach tak aktorów, jak i publiczności.

Chwila ta będzie pamiętna!

Tak się to działo w Nowogródku do 1863 roku. Obok usiłowań, poświęconych szlachetnej rorywce, nie spuszczano wszakże z oka i strony poważnej, na czele której oczywiście była oświata. Gdy bowiem rząd wziął na siebie przeprowadzenie emancypacyi ludu, społeczność litewska poczuła się w obowiązku (dotąd zaniedbanym!) ułatwić temu ludowi zdobycie oświaty.

Rzecz oczywista, że w Nowogródku grono nauczycielskie było główną w tej sprawie podstawą, do której się chętnie przyłożyło ręki. W miejscu więc dawnej pensyi Ponseta, otwarta została wyższa pensya Wolfowej. Aby zaś przyjść w pomoc biedactwu, otworzono z upoważnienia kuratoryi szkół w gimnazyum naukę niedzielną; dalej szkółkę dla dzieci biednych, szkółkę dla żydów, którzy się o nią usilnie dopraszali, wszystko zaś to bezpłatnie. Słowem po długich latach zastoju, zbudziła się i nastała praca na różnych polach, nie już chimeryczna i doraźna, ale rzetelna i organiczna. I czułeś, że jakaś dziwna, nieznana błogość wstąpiła na tę ziemię, że zstąpił pokój ludziom dobrej woli... Pokój!...

* *

*

Dziwne to i niepojęte drogi, któremi ludzkość zdąża ku celom sobie wytkniętym. Zdawało się, że nadszedł czas oddawna upragniony. Lud wytrzeźwiał, dziatwa się uczyła, szlachta, zbudzona z odrętwienia zmianą stosunków włościańskich, jęła się pracy; sprawa włościańska a z nią i szlachecka zajęła wszystkie poważne umysły i serca, poczucie obowiązku stało się hasłem; gdy jednym razem ludzie przestali rozumieć siebie wzajem, zapanował chaos wieży Babel, padł grom— i wszystko runęło i jak dym się rozwiało!...

Po roku 1863 rozpierzchli się dawni ludzie, przybyli nowi. Skasowano gimnazyum, zamknięto pensyę żeńską i inne naukowe zakłady i bibliotekę z czytelnią. I oto po gwarnem życiu zapanowała cisza; charakter miasta przybrał barwę, jak bywa zwykle po przełomie moralnych lub materyalnych wstrząśnień, zniszczenia też dokonał kilkakrotny pożar. To też tam, gdzie do niedawna świtał dobrobyt, zapanowało widmo nędzy. Słowem wobec nowego stanu rzeczy, ostatnie lata chwilowej pomyślności były jakby ostatnim blaskiem dogorywającego płomienia, który buchnął na chwilę i zagasł, zostawując po sobie noc...

Zgorzał też i dom rodzinny niegdyś Mickiewiczów, a w miejscu tem, zamiast pozostawienia ruin ocienionych zielenią bluszczów, coby było w obecnej dobie najstosowniejszym pomnikiem dla poety, postawiono inny (bez względu na znane rysunki dawnego) w innym kształcie budynek Mury zaś podominikańskie, obok kościoła, gdzie były szkoły, a w ostatnich latach biblioteka i czytelnia, gdy ich nikt kupić nie chciał, pomimo bajecznie nizkiej ceny—zburzono!... Niedość na tem, w miejscu, gdzie był kształtny gmach ratuszowy z wieżą i zegarem [1]), postawiono, jakby na urągowisko dobrego smaku, brzydką kamienicę.

Co się dotyczy rynku, który dokoła osiadło żydostwo, w tym, po kilkakrotnych pożarach, dwie tylko z czasów dawnych zostały budowy: pałac niegdyś radziwiłłowski naprzeciw dominikańskiego kościoła przy rynku, i kamienica Kamińskiego, u wylotu ulic „Zamkowej" i „Kowalskiej", w której odbywały się zwykle wszelkie widowiska, koncerty, opery i t. d. Co do reszty, nie będzie to przesadą, gdy powiemy, że w uporządkowaniu miasta dotąd, obojętność i apatya idą też widocznie na wyścigi.

Dość przytoczyć niszczenie murów zamkowych; zburzenie murów szkolnych; a o pomstę wołający do nieba stan starożytnej witoldowskiej fary,na gzymsie której, wspaniała jarzębina otula swym cieniem odwieczne opuszczone mury.

Edward Pawłowicz.



Dom Mickiewiczów.

---

[1]) Zgorzał w 1831 r.

Mickiewicz i Jakób krawiec.

(OBRAZEK Z ŻYCIA)

Temu przynajmniej lat dwadzieścia, któregoś dnia poszedłem odwiedzić sędziwego, szanownego Hipolita Błotnickiego. Dla czytelników, którym imię to nie jest znane, muszę o nim słów kilka powiedzieć. Był to najstarszy wiekiem i jeden z najciekawszych członków Emigracyi i Kolonii polskiej w Paryżu. Urodzony na Podolu, odbył szkoły w Winnicy, gdzie często (ale nie dość często, jak mawiał z uśmiechem), brał na stołku. Potem chodził na Uniwersytet Wileński i był pierwszym nauczycielem Juliusza Słowackiego. Jako zupełnie ubogiemu, książe Kurator pomagał mu i wziął go nareszcie na stałego nauczyciela domowego do swego starszego synka, z którym Błotnicki przebywał to w Puławach, to w Warszawie. Kiedy nastąpił wybuch, rzucił spokojne zajęcie i wstąpił do Legii Litewsko-Ruskiej, w której dosłużył się stopnia porucznika i krzyża wojskowego. Po upadku powstania, z księżną Czartoryską i jej dziećmi przybył do Paryża, i odtąd aż do śmierci (1886) już się na chwilę z domem ks. Czartoryskich nie rozstawał. Był nauczycielem starszego syna, potem drugiego, następnie sekretarzem ks. Adama, a po jego zgonie, znów nauczycielem jego wnuka. Nakoniec, kiedy przyszli na świat późniejsi wnukowie ks. Adama, t. j. synowie ks. Władysława z drugiego małżeń-

stwa, był on nie tyle ich nauczycielem, jak towarzyszem; mniej ich uczył abecadła i sylabizowania, niż różnych piosnek, gier i zabaw.

Błotnicki posiadał niepospolite wykształcenie; był zwłaszcza biegłym helenistą i żywił gorące zamiłowanie do Grecyi nietylko Leonidasów i Peryklesów, ale nawet do Grecyi Trikupisów, Delyanisów i sławetnej *Etniki Hetaïria*. Bronił z zapałem nowożytnych Greków, kiedy im zarzucano pewne, wiadome słabostki, a kiedy mu przytaczano ową znaną, zabawną powieść Edmunda About *Le Roi des Montagnes*, to stary p. Hipolit mocno się sierdził. Ceniony on był też, jako zręczny epigrafista; wspólnie ze swym przyjacielem K. Sienkiewiczem (Karol z Kalinówki), układał nie raz napisy do medalów, lub nagrobki dla zasłużonych rodaków [1]).

W chwili, w której rozpoczynamy nasze opowiadanie, czcigodny nasz weteran miał już lat 90, ale starość jego była względnie szczęśliwa i czerstwa. Bacznie zachowywał hygienę fizyczną i umysłową; codzień dla gimnastyki umysłu uczył się na pamięć ustępu z Iliady Homera. Czytał dużo, a czytał bez okularów, wychodził sam na miasto, siadał do omnibusów, i uczęszczał na wykłady o literaturze klasycznej w *Collège de France*. Narzekał i zrzędził na dolegliwości wieku, ale mimo to bywał w dobrym humorze, zawsze miał na zawołanie słówko dowcipne, uwagę subtelną, lub zabawną anegdotę.

Błotnicki miał swoje mieszkanko w hotelu Lambert, z oknami wychodzącemi na ogród, z widokiem na Sekwanę. Owóż tam poszedłem go odwiedzić. Zapukawszy i wszedłszy, zastałem gospodarza w dyskusyi z drugim jakimś staruszkiem. Przedmiot dyskusyi leżał między nimi: był to szlafrok nie pierwszej świeżości, a nawet nieco zatabaczony.

---

[1]) Ostatni epigraf Błotnickiego umieszczony został na jednym z frontonów zamku Gołuchowskiego, po jego odnowieniu przez hr. z Czartoryskich Działyńską. Ładny ten epigraf brzmi, jak następuje:
Nutu Dei surgunt, cadunt, resurgunt aedesque, regnaque.

— Zasłużone i wygodne szlafroczysko—mówił Błotnicki—służy mi już 9 lat. Nie chcę go rzucić.

— Na co go rzucić? Tylko on trochę już nie nowy.

— To trzeba go odnowić. A więc co? Mógłbyś mu dać nową podszewkę?

— Nu, czemu nie dać. Tylko podszewka będzie silniejsza, jak wierzch.

— A to dobrze, to dłużej potrwa.

— Nu, to ja dam dobra flanela.

— Zgoda. A prędko mi go odniesiesz? Bo mi tęskno będzie za poczciwym szlafrokiem.

— To ja będę pośpieszył, panie Poruczniku, i zrobię za trzy dni.

— Dobrze, kochany Jakóbie. Czekam w piątek.

Po czem szanowny szlafrok został zawinięty, właściciel i odnowiciel jego uścisnęli sobie dłonie i ten ostatni nas opuścił.

Po jego wyjściu rzekł do mnie p. Błotnicki:

— Widzisz pan, to jest mój krawiec nadworny, poczciwy Jakób, *recte* Jakób Kreitler, nasz żydek polski, gdzieś z Województwa Krakowskiego.

— Ale jakże on się tu dostał?

— Ha, jak wszyscy. Był krawcem przy pułku i szył mundury oficerom, a gdy ci wyszli za granicę i on się powlókł za nimi. Z początku miał tu dość roboty i zarobku, tak, że mógł nawet z kraju swoją Siorę sprowadzić. Ale później rzeczy się popsuły; roboty nie stawało i starość nadeszła. Ciężka bieda coraz częściej do biednego krawca zaglądać zaczęła. Staramy się mu pomagać w najtwardszych chwilach, i już od lat kilku nasze *Towarzystwo Dobroczynności Dam Polskich* daje mu stałe, miesięczne wsparcie, a on dorabia igłą, jak może. Nikt w świecie, powiadam, tak doskonale nie reparuje, jak on. Rekomenduję go panu.

— Ależ to mąż bardzo pożyteczny. Pewno, że chętnie korzystać będę z jego kunsztu.

Istotnie, wkrótce potem nadarzyła się sposobność udać się do nadwornego krawca szanownego Błotnickiego. Po-

wezwaniu, nazajutrz rano, stanął on przedemną ze szmatą kitajki pod pachą, jak każdy pracowity krawiec, przychodzący po robotę. Był to człowieczek średniego wzrostu, suchy, z bladą twarzą; nie raził żadnym z owych niemiłych rysów rasy semickiej. Czuprynę siwą miał jeszcze pełną, ale brodę nie obfitą; pod gęstemi brwiami oczy szare z łagodnem, nie kolącem spojrzeniem, nos prosty, raczej delikatny i wargi ani grube, ani wydęte. Szczupłą jego postać otulał zapięty, granatowy surdut długi, sięgający poniżej kolan. W ręku trzymał kapelusz wysoki, dawniej snadź szabasowy, dziś wypłowiały i pogięty.

Po uprzejmem z obu stron powitaniu, przystąpiliśmy do przeglądu niektórych inwalidów mojej garderoby. Po jego odbyciu, układając już suknie w swoją kitajkę, Jakób zapytał mnie:

— A czy to był pański ojciec, ten pan marszałek Gadon· co umarł tu, we Francyi, na Emigracyi, w 1842 roku?

— Nie, panie Jakóbie, to był mój stryj.

— A, to był sprawiedliwy człowiek. On napisał książeczkę o żydach [1]), gdzie o nas mówi życzliwie. My starzy żydowie pamiątamy jego imię. A pan z tej samej familii— no, to panu żaden żydek nic złego nie zrobi.

— To bardzo dobrze—odrzekłem z uśmiechem—bo i ja żadnego żydka krzywdzić nie myślę. Na nieszczęście, trudno nie przyznać, że żydzi u nas robią wiele złego, ale żyda zacnego tak samo szanuję, jak każdego innego zacnego człowieka. Powiem ci nawet, panie Jakóbie, co zauważyłem w życiu, iż tak, jak żydówka kiedy piękna, to już piękna jak słońce, tak samo i żyd godny i szlachetny, bywa jakby istny brylant między ludźmi.

— Ach! to pan dobrze powiedziałeś. Niech Pan Bóg da panu zdrowie!

I wyraźnie ucieszony, rękę mi ścisnął. Takim sposobem stosunek mój ze starym Jakóbem, odrazu zawiązał

---

[1]) Włodzimierz Gadon, *O Reformie Izraelitów Polskich*, Paryż, 1835.

się pod dobrą wróżbą. Rozstaliśmy się też w najlepszej komitywie.

Po kilku dniach Jakób odniósł robotę, doskonale wykonaną. Gawędziliśmy ze sobą dobrą chwilę. Już się zabierał do wyjścia, kiedy spostrzegł na ścianie zawieszony sztych z portretem Mickiewicza. Stanął przed nim, jak wryty, z oczami nań zwróconemi, a ja, zdumiony, patrzyłem, jak na jego mizernej twarzy rozlewał się wyraz jakiegoś błogiego ukontentowania.

— Czy wiesz, kto to jest?—zapytałem.

— Kto, ja!

— Czy znałeś Mickiewicza?

— Czy ja jego znałem! Aj, aj! Ja jego szanowałem, jak króla. Ja jego kochałem, jak ojca. On był moja opieka, mój dobrodziej. Bez niego ja bym zginął. Ach, jaki to był człowik! Głowa miał, jak Mojżesz—a serce, a jakie serce To był sam miód i sam balsam. A dla mnie, biednego żydka, jaki on był dobry. A za co! Czy ja wiem. Ja jemu nic dobrego nie zrobił. Co ja mogłem zrobić! Chyba tylko, że ja nie szachraj, nie gałgan—że ja biedak. Bo on wszystkich biedaków kochał. Ach, ja dotąd ciągle lamentuję, że go już niema. A kiedy nam powiedzieli, że on umarł, tam w Turcyi—nu, to ja płakał i płakał, a moja żona krzyczała, jak chora koza. Ach, jaki to był człowik, jaki to był człowik...

Cały poruszony wspomnieniem, wyszedł odemnie poczciwy Jakób. Odtąd stosunek nasz, oczywiście, stał się jeszcze cieplejszym. Byłem prawdziwie rad go spotykać. Od czasu do czasu potrzeba wezwania go łatwo się nastręczała. Stary Jakób przychodził zawsze w dobrem, pogodnem usposobieniu. Po szybkiem odbyciu fachowego interesu, sędziwy gość mój siadał przy stoliku, na którym przed sobą miał kieliszeczek rumu i parę kawałków cukru. Te maczał w płynie, i w ten sposób sączył kordyał ogrzewający. Przy tem gawędził o tem i owem z przeszłości, ale zawsze wracał do „Pana" Mickiewicza. To był przedmiot niewyczerpany. Opowiadał on, jak w najtrudniejszych nawet chwilach dla poety, kiedy on sam był w niedostatku, nie zostawiał on

Jakóba bez pomocy. Kiedy żona Jakóba, albo on sam był chory, to p. Mickiewiczowie ich odwiedzali; nie raz autor *Pana Tadeusza* z pod płaszcza dla chorego wydobywał butelkę wina, a pani Mickiewiczowa przynosiła w garnuszku rosół posilny.

— A za moja robota płacił zawsze więcej, jak należało. Kiedy robota była warta 10 franków, to on mnie dał 12... „Bierz Jakób—mówił—10 franków będzie na chleb, a 2 franki zachowaj na tabakę". A jak odniosłem mu robotę, to on mnie trzymał. Musiałem mu gadać o naszem miasteczku w Polsce, o żydkach, o naszym rabinie, który był bardzo mądry i uczony. Na to pan Mickiewicz był bardzo ciekawy. Słuchał, śmiał się i był kontent z moje głupie opowiadanie. Na nasze święta to ja jemu zawsze ofiarowałem nasze *mace*. To on wołał dzieci, dawał im i mówił, że kiedy był młody, na Litwie, to im arendarz każdego roku *mace* i *kugle* przynosił. Czasami to wołali moja żona do p. Mickiewiczów. To ona wzięła czysty fartuch i biegła do nich. Tam jej kazali gotować *szczupak po żydowsku*, co ona bardzo doskonale robiła. Pan Mickiewicz okrutnie lubił tę rybę i po kolacyi zawsze chwalił, dziękował i dał kilka franków mojej żonie za fatygę. Ach, panie Gadon, jaki to był człowik! Już takich ludzi niema na świecie!

I zawsze z równą czcią, z tym samym szczerym, gorącym zapałem, odzywał się stary Jakób, ile razy wspomniał o Mickiewiczu. Było coś rzewnego w tym stosunku ubogiego krawca, prostaczka, do wspaniałego mocarza ducha. My w nim czcimy nastrój szlachetny, potęgę myśli, blask geniuszu i szczytne natchnienia, tak zgodne z ideałami społeczeństwa. Tego wszystkiego Jakób Kreitler, który może nigdy dwóch wierszy poety nie przeczytał, nie mógł ani zrozumieć, ani ocenić. Mimo to czcił go i wielbił. Bo w bogatej duszy poety były i inne jeszcze skarby, perły i dyamenty uczucia, ludzkości i niezmiernej dobroci—klejnoty, które on hojnie rozdawał. W spieczone usta znużonych znojem życia wlewać „*the milk of human kindness*", było przyrodzoną potrzebą duszy jego, bo on miał w sobie „ocean słodyczy i miłości wszech-

ludzkiej", jak mówi prof. Kallenbach w świeżem, pięknem swem dziele. A jaki urok wywierała, jak ujmowała ludzi ta jego wielka dobroć, świadczy choćby ten drobny przykład, podany w naszem opowiadaniu, a wzięty z życia codziennego poety. Miał on prawo powiedzieć o sobie:

Ale ta miłość moja na świecie,
Ta miłość nie na jednym spoczęła człowieku,
Jak owad na róży kwiecie,
Nie na jednej rodzinie, nie na jednym wieku.
Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia.

Z nadejściem lata w r. 1886 opuściłem Paryż i wróciłem doń dopiero późną jesienią. W biurze *Tow. Dobroczynności Dam Polskich*, na zapytanie, co się też dzieje z Jakóbem Kreitlerem, sekretarz, zacny p. Edward Pożerski, nasz wileńczyk, powiedział mi, że stary ciężko zasłabł. Udałem się zaraz do niego. Mieszkał on przy ulicy *de Sully*, tuż obok tak zwanej *Biblioteki Arsenału*, w której Mickiewicz, jako bibliotekarz, przez trzy lata miał swe pomieszkanie. W starym koszlawym domku zajmował Jakób dwie nędzne izdebki. W pierwszej stała żelazna kuchenka, w drugiej, na lichej pościeli, ujrzałem chorego, bardziej bladego i wychudłego, niż kiedykolwiek.

— Jakże się czujecie, kochany Jakóbie?

— Bardzo źle—wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem.

— Czy był doktór?—zapytałem obok stojącą żonę.

— Doktór Henszel [1]) był trzy razy i przyniósł lekarstwo.

— Czyby nie było co takiego, do czegoby chory miał ochotę?

— Och, panie, od dwóch dni już on nic jeść nie może, tylko czasem przełknie trochę wody z winem.

— Dobry Jakóbie, czy nie potrzebujesz czego?

Na to odpowiedział przeczącym ruchem głowy i jęknął z ciężkiem westchnieniem. Po chwilce, poruszył się na łóżku,

---

[1]) Nasz rodak z lidzkiego powiatu.

nieco się podniósł, spojrzał na mnie, a potèm odwrócił się ku ścianie, gdzie nad łóżkiem przybita była czterema gwoździkami litografia z wizerunkiem Mickiewicza. Patrzał na nią, patrzał, gasnące oczy zajaśniały wilgocią i dwie drobne, biedne łzy—łzy uwielbienia i wdzięczności spłynęły mu po wycieńczonej twarzy.

Przyznam się, że w tej chwili mnie samemu mgła wzrok zaćmiła i oddech zaparł się w piersi.

Głowa biednego Jakóba opadła na poduszkę, lewa ręka pozostała na piersi. Ująłem ją w me dłonie i ostrożnie ścisnąłem.

— Jutro wrócę—rzekłem po chwili.—Da Bóg, będzie lepiej.

Wyszedłem z przygniecionem sercem.

Ale nazajutrz... już poczciwego starego Jakóba nie było.

Drugiego dnia odbył się pogrzeb. Kiedy przybyłem na godzinę oznaczoną, przed domem czekał już karawan 8-ej klasy, a na chodniku stała kupka ludzi: sami prawie starozakonni, starzy i biedacy, jak już z odzieży sądzić można było. Jeden tylko odróżniał się między nimi świeżem, eleganckiem ubraniem i lśniącym kapeluszem. Był to p. Zebaum, żyd z Warszawy, prowadzący w Paryżu przedsiębiorstwo handlowe [1]), człowiek wykształcony, ślicznie mówiący po polsku i czujący się dzieckiem kraju, w którym się urodził.

Ale oto wynoszą zwłoki. Trumnę z czterech desek sosnowych wsuwają na karawan i pokrywają całunem. Karawan rusza. Przed nim postępuje aparytor municypalny w kapeluszu trójkątnym, przepasanym szarfą o barwach Paryża, w ręku z czarną laską, o białej główce. Po bokach wozu żałobnego idzie po dwóch tragarzy pogrzebowych.

Dzień posępny, jak zwykle dzień zimy paryskiej. Gruba, szara powłoka zaległa sklepienie niebieskie. Z góry mgła opada, na dole, na bruku, brudno i ślisko. Przez zgiełkliwe ulice sunie powoli karawan, a choć nędzny, choć orszak

---

1) Wydawał specyalne pismo: *Le Tabac*.

ubogi, ludzie na lewo i na prawo zdejmują przed nim kapelusze. Jedyny to rodzaj poszanowania, który został dzisiejszym Francuzom—poszanowanie przed śmiercią. Wyrobnik-socyalista, czy wykwintny członek Izby, panamista—każdy, gdy spotka się z pogrzebem, odkrywa głowę, a kobiety robią znak krzyża świętego.

Po chwili, idący obok mnie p. Zebaum mówi do mnie:

— Ja zawsze w zmarłym Jakóbie widziałem w wyobraźni postać Jankiela mickiewiczowskiego z XII księgi *Pana Tadeusza*.

— Masz Pan zupełną racyę. Na prześlicznym kartonie Andriollego [1]), który pewno zmarłego nigdy nie widział, figura Jankiela bardzo jest zbliżoną do typu poczciwego naszego Jakóba.

I szliśmy dalej w milczeniu. Droga daleka i nużąca. W miarę odbytej przestrzeni, zmniejsza się liczba towarzyszących zwłokom biednego, zacnego żydka polskiego, a tak gorącego wielbiciela Wielkiego Litwina, poety narodu.

Karawan wciąż pnie się ku wzgórzom cmentarza *Pére Lachaise*. Wciąż ponuro i ciemno. Zimny, drobny deszcz padać zaczyna...

Lubomir Gadon.

Paryż 1898 r.

[1]) Własność hr. Benedykta Tyszkiewicza.

ŁODZIATA I HILARYON.

Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy
w Ostrej świecisz Bramie!
Pan Tadeusz.

Historya, a zwłaszcza archeologia, przedstawiają cały szereg zagadnień, co do których niemasz zgody między uczonymi. Zależy to w znacznej części od materyału, który nam przekazała przeszłość; zbyt często bywa on, niestety, tak szczupły, tak niesłychanie mały, że na zasadzie jego trudno się na jakie zdecydować wnioski; z drugiej strony wchodzą tu w grę namiętności i uprzedzenia piszących. Lecz jakkolwiek historya nie jest i nigdy nie będzie nauką ścisłą, wyrobiła sobie jednak w ciągu ubiegającego stulecia pewien system, pewne stałe normy, które prawie zawsze pozwalają badaczowi dojść do niewątpliwych, choć często niezbyt obfitych rezultatów. Należy określić i jasno postawić to, co się da określić, pozatem można ostrożnie stawiać hypotezy i domysły o ile mogą się wspierać na pewnych, przez źródła podanych podstawach.

Zasadniczym jednak warunkiem w dochodzeniu zagadnień tego rodzaju jest bezwarunkowa bezstronność. Piszący, zabierając się do opracowania pewnego materyału, powinien pozbyć się nietylko wszelkich apriorystycznych poglądów, o ile to tylko możliwe, ale być przygotowanym, że rezultat badania może być niekiedy wprost przeciwny jego

dotychczasowym przekonaniom. A jeżeli nie czuje się na siłach, aby się z niemi rozstać, niech raczej złoży pióro i nie sprawia zamętu i oczywistej szkody nauce.

Do rzędu kwestyi, o których dotychczas wypowiadają się od czasu do czasu bardzo rozmaite zdania, należy i ta, do rozpatrzenia której przystępujemy.

I.

Narbut w swoich „Dziejach narodu litewskiego" zamieścił następujący odsyłacz [1]: Ks. Daniel Łodziata, kanonik wendeński w Inflantach, dziekan raduński tak pisze o tym obrazie (Ostrobramskim):

„Wielki książe Olgierd skarbami Chersonu zbogacił swoje skarbnice. Sukcesorowie jego większą część ozdób cerkiewnych rozdali cerkwiom miasta wileńskiego. *Ex quorum numero vera Effigies Sanc. Virginis Mariae, in statura quasi stet in facie nuncii Dei Archan. Gabriel. Vidimus nunc gratiis plenae (?) in Capella P.P. Karmelit., supra portam Urbis orientalem vulg. Ostra, ut docum. patet ex nutil script dicti Conventi. Ad. D. 1653. Ad. M. D. G."* [2]).

Bardzo być może, że zdanie to księdza Łodziaty Narbut przytoczył tylko z obowiązku sumiennego zbieracza, ponieważ je miał pod ręką, w formie uwagi. Tymczasem pewna grupa pisarzów zbyt wielkie przywiązuje doń znaczenie, uważając je za prawdziwe. Dlatego musimy się nad niem nieco dłużej zastanowić, choć na to zgoła nie zasługuje.

O dziekanie raduńskim, autorze tej notatki, nic więcej nie wiemy nad to, że żył w drugiej połowie XVII w. i był

---

[1]) Tom V str. 137.

[2]) W przekładzie polskim notatka ta brzmi: „Z których liczby prawdziwy wizerunek Najśw. Maryi Panny w postawie jakoby stojącej w obliczu posła Bożego, Archanioła Gabriela. Widzimy teraz łask pełną w kaplicy Ojców Karmelitów nad bramą miasta wschodnią, pospolicie (zwaną) Ostrą, jak okazuje się dokumentalnie z poznania pisma (mowa tu o jakimś rękopiśmie) rzeczonego konwentu."

proboszczem raduńskim, dubickim i nackim, a obok tego kanonikiem wendeńskim. Jest to osobistość zresztą nieznana, skąd wniosek, że niezbyt wybitna. Obraz, o którego pochodzeniu nikt nic napewno powiedzieć nie może, sam jeden przenosi aż w czasy Olgierda; nie zawadzi tu zrobić uwagę, że całe trzy wieki oddzielają go od epoki, o której mówi.

Rękopism księdza Łodziaty gdzieś zaginął; znamy go tylko z dwóch cytat Narbuta. Nie jest to dzieło historyczne, lub inne o treści poważniejszej, są to wprost notaty gospodarskie, kościelne i różne od 1649 do 1669 r. in 4-to kart 118, pisane jedną ręką, lecz w różnych odstępach czasu [1]. Według Narbuta tylko szczegóły o mitologii litewskiej są tam ciekawe. A zatem i pod względem formy dzieła ks. Łodziaty nie możemy brać na seryo; notaty jego mogłyby mieć jakiekolwiek znaczenie tylko o tyle, o ileby mówiły o współczesnych autorowi wypadkach.

Pisane są jednak już po roku 1670, ponieważ w przytoczonej zapisce jest mowa (pod rokiem 1653) o kaplicy Ostrobramskiej, która dopiero, jak zobaczymy niżej, w tym roku (1670) postawioną została. W innem miejscu dzieło Łodziaty Narbut nazywa pamiętnikami [2].

Oprócz przytoczonego wyżej ustępu, znamy jeszcze inny [3], w którym nasz autor mówi o cerkiewce Piatnickiej w Wilnie. Mianowicie twierdzi, że cerkiew ta jest postawiona na miejscu, a nawet na fundamentach świątyni pogańskiej bożka Ragutisa, następnie, że jest to najpierwsza murowana chrześcijańska świątynia w Litwie, dalej, że fundowała ją księżna Julianna, żona Olgierda, i że nawet zwłoki tej pobożnej pani w tej cerkwi spoczywają. Tak pisze ks. Łodziata. Ile zdań, tyle błędów! Naprzód nie ulega wątpliwości, że żaden bożek Ragutis nie istniał, a zatem nie było świątyni, jemu poświęconej; założenie pierwszej świątyni chrześcijańskiej w Wilnie z pewnością możemy odnieść jeszcze w czasy Gie-

---

[1] N a r b u t, tom I, str. 231.

[2] *Pomniejsze pisma historyczne.* Wilno 1856, str. 76 i 78.

[3] N a r b u t, *Dzieje*, tom I, str. 231—i *Pomniejsze pisma* loc. cit.

dymina (chybaby o murowaniu zachodziła wątpliwość); dalej dokładnie wiadomo, że fundatorką cerkwi Piatnickiej była nie Julianna, ale pierwsza żona Olgierda Marya, księżniczka wileńska, a nareszcie stanowczo ciało Julianny spoczywa gdzieindziej i jeżeli w Wilnie, to tylko w Przeczysteńskim soborze [1]). Oczywiście pomieszał tu dziekan raduński obie żony Olgierda, ponieważ „Uljannę" nazywa „księcia witebskiego córką".

A jednak ks. Łodziata nie jest sobie tylko zwyczajnym bajarzem, ma on rzeczywiście nieco wyższe tendencye, brak mu tylko rzeczy najważniejszej, bo krytyki i ścisłości. Ma on chwalebny zwyczaj cytować źródła, skąd jaką wiadomość zaczerpnął, cóż z tego, kiedy ze swoich materyałów korzystać nie umie! Tak opowiadanie, jakie podaje o cerkwi Piatnickiej, opiera na źródłach bardzo ważnych, bo archiwalnych metropolitańskich (ex archivis curia metrop. Graeco-unit. patet.) i tymczasem tak fałszywie swą rzecz przedstawił, że aż uwierzyć trudno, czy rzeczywiście do archiwum zaglądał. Toż samo ma miejsce z pierwszą jego notatką, którą przytoczyliśmy wyżej.

Powiada ks. Łodziata, że z poznania jakiegoś pisma w klasztorze Karmelitów dokumentalnie wypływa, że Olgierd przywiózł z Chersonesu dzisiejszy Obraz Ostrobramski. Tymczasem O. Hilaryon, karmelita, w swojej Relacyi o cudownym Obrazie, o której mowa będzie niżej, wyraźnie powiada, że pochodzenie jego jest niewiadome [2]).

Oczywiście, że gdyby były jakiekolwiek dokumenty, rzucające światło na pochodzenie Obrazu, lub choćby tylko wiarogodna ustna tradycya, to tak sumienny pisarz, jak O. Hilaryon, nie mógłby o niej nie wiedzieć. Pójdziemy dalej. Hi-

---

[1]) *O ks. Łodziacie i cerkwi Piatnickiej* cf. Homulicki. Wizerunki i roztrząsania naukowe. Wilno 1842, t. XXIII, str. 10 i Narbut *Dzieje* t. VII, dodatek XVII, str. 168.

[2]) „Co do początków i dawności tego cudownego Obrazu, skądby się wziął... żadnej znikąd pewnej wiadomości nie mamy" *Relacya o cudownym Obrazie N. Maryi Panny.* Wilno 1823 (przedruk wydania 1761), str. 2.

laryon znał i korzystał z Historyi Obrazu O. Hilarego od S. Tyburcego, karmelity wileńskiego, który „w niej jednak żadnej wzmianki nie czyni o pierwiastkach i początkach jego“ [1]).

Tymczasem Hilary w r. 1707, był zatem rówieśnikiem ks. Łodziaty, pracując nad Historyą Obrazu, nie mógłby o pochodzeniu tak sławnem, jakie podaje dziekan raduński, przemilczeć. Więc jakież to mogło być owo „scriptum“, o którem przecież wyraźnie wspomina Łodziata? Zdaje się, że na to pytanie możemy odpowiedzieć z wielkiem prawdopodobieństwem. W Relacyi O. Hilaryona znajdujemy następującą wiadomość: „O. Maciej od S. Jana Baptysty w historyi o fundacyi tutejszego konwentu karmelitów bosych pisanej około r. 1667, będąc tu pierwszym dyrektorem, piękny o tym św. Obrazie napisał panegiryk, *z któregoby można było jakiekolwiek zebrać wiadomości pierwiastków jego*; lecz nieszczęście, że... z oczu naszych zniknął (t. j. zaginął)“ [2]). Dodajmy, że ów Maciej żył i pisał jednocześnie z Łodziatą i jeżeli ten ostatni rzeczywiście bywał w klasztorze karmelitów i przeglądał ich papiery, to niewątpliwie musiał znać osobiście O. Macieja i jego dzieło. Tak więc *panegiryk* nieznanego nam skądinąd zakonnika posłużył zapewne za źródło Łodziacie do opowieści o pochodzeniu Ostrobramskiego Obrazu i tak musiał zaimponować niedaleko widzącemu wiejskiemu dziekanowi, że ten jął uważać za dokumentalnie pewne to, co i nam w pamiętniku swoim przekazał.

Wiadomo powszechnie, jaką wartość mają wszelkie panegiryki XVII wieku. O tem, żeby mogły kiedykolwiek posłużyć nam za wiarogodne źródło, gdy chodzi o dawną minioną przeszłość, mowy być nie może. Zbyt często obok wyszukanych porównań, przykładów i cytat z historyi starożytnej i mitologii, przy napuszonej formie, spotykamy się jeszcze z jednym sposobem dopięcia celu, założonego przez autora, a tym jest *pia fraus*. Uważano za rzecz dobrą i pożyteczną fakty naciągać, przerabiać, fałszować, co miało być uświęco-

---

[1]) Słowa Hilaryona str. 2—3.

[2]) Str. 3.

ne jakimś celem wyższym. A karmelici mieli właśnie wówczas interes w tem, by oczy wszystkich zwrócić na Obraz Ostrobramski.

Było to wkrótce po klęskach publicznych, wojnie, morowem powietrzu i głodzie, które nawiedziły Wilno w szóstym dziesiątku XVII wieku. Obraz N. Panny wisiał na Ostrej Bramie. Jak świadczy Hilaryon, [1] „ten święty Obraz zupełnej czci i powinnego uszanowania nie miał...“ Karmelici poznali się na nim, że był dziwnie piękny i przedstawiał N. Maryę Pannę, której czci osobliwie poświęconym był ich zakon, wreszcie ten obraz w tak blizkiem znajdował się ich sąsiedztwie. I oto rozpoczęli starania, aby im miasto pieczę nad Obrazem, na bramie miejskiej zawieszonym, zleciło; „poczęli o tem usilnie myśleć, jakby cześć i chwałę N. Maryi Pannie w tym Obrazie rozszerzyć i pomnożyć...“ [2]).

Słowa te Relacyi rzucają jasne światło na domniemane źródło Łodziaty. Ożywieni tą myślą, O. Karol, sławny mówca, wychwala obraz w swych kazaniach, aby nań ogólną zwrócić uwagę i do ofiarności pobudzić; O. Maciej pisze panegiryk, który może także wygłosił, albo chciał wygłosić. Niewiadome już wtedy pochodzenie obrazu pozostawia szerokie pole do domysłów, historyczna fantazya mogła bujać swobodnie, wszakże nikt z krytyką kazania nie wystąpi, a byle kiesę rozwiązał. I oto uczony O. Maciej poszedł po rozum do głowy, czyby nie można było pochodzenia Obrazu związać z jakiem głośniejszem imieniem tyle szanownej przeszłości [3]) Tym sposobem mógł powstać skrypt, o którym mówi łatwowierny Łodziata. Kto wie, może O. Maciejowi chodziło, aby

---

[1]) Str. 3 i 199.

[2]) Ibid.

[3]) Może w związku z tem stoją następujące słowa Michajła Litwina: „...metropolis vetusta korsunii, quae genti Ruthenorum princeps dedit baptisma et nomen Christianum, postea vero praedam gentibus nostris, excisa ab eis“. De moribus Tartarorum, Litvanorum et Moschorum fragmina),Архивъ историко-юридическихъ вѣдѣній“, изд. Ник. Калачевымъ. Москва 1854. Книги ьторой половина вторая); str. 6.

ciekawy a bogaty dziekan, który był zarazem proboszczem w trzech parafiach, także swój mieszek rozwiązał i złożył hojną ofiarę na kaplicę, którą karmelici na Ostrej Bramie wznieść zamierzali; może rozmyślnie jemu swój panegiryk pokazywał i domysły rozwijał. W każdym razie cel został dopięty. Już w 1671 r. stanęła kaplica „bardzo kształtna; lubo z drzewa... obrazami, pikturami, inskrypcyami doskonale przybrana i przyozdobiona“ [1]), a w pamiętniku naiwnego Łodziaty pozostał na wieki ślad panegiryku.

Tyle można powiedzieć o życiu, dziele i źródłach raduńskiego dziekana. Nie mamy za złe jego łatwowierności i braku krytyki, doskonale to licuje z wiekiem, w jakim żył i ze stopniem wykształcenia, jaki musiał otrzymać; ale dziwimy się, że jeszcze w naszych czasach, czasach nauki i czystej krytyki, są tacy, którzy tak uporczywie powtarzają i szczerze wierzą w prawdziwość jego opowieści! Należałoby chyba już raz mu dać spokój i nie nadawać większego znaczenia temu, co na nie nie zasługuje.

Obaczymy teraz, jak wygląda w świetle historycznem sam fakt pochodu Olgierda do Krymu, o którym wspomina Łodziata.

Pierwszy z uczonych wspomina o tem wydarzeniu Naruszewicz w dziele swojem Tauryka [2]). Za nim poszedł Karamzin. Opowiada on, że Olgierd, rozbiwszy trzy hordy Tatarów nad Sinemi wodami (rzeka Siniucha), pędził ich do samego Krymu, zburzył starożytny Chersonez, wyciął większą część ludności i zrabował cerkiewne skarbce. Od tego czasu, dodaje uczony historyk, prawdopodobnie opustoszało to miasto [3]).

Uderzającą jest ta pozorna zgodność, jaka zachodzi między opowiadaniem Łodziaty z jednej, a przedstawieniem

---

[1]) Str. 4.

[2]) Warszawa 1787, str. 84.

[3]) „Исторія Государства Россійскаго“, Спб. 1817, томъ 5, стр. 17.

rzeczy przez Naruszewicza i Karamzina z drugiej strony, jakkolwiek nie znali oni podobno pamiętnika naszego dziekana. Zgodność ta atoli jest tylko przypadkową.

Nietylko żadna z kronik, jakie posiadamy, ale nawet ani Stryjkowski, który przecie miał daleko większą ilość źródeł, niż te, któremi my rozporządzamy, ani wreszcie autor tak zwanego Gustyńskiego latopisa, nic nie wiedzą o zburzeniu Chersonezu przez Olgierda. Naruszewicz wspomina o tem wprost na chybił trafił, zupełnie dowolnie amplifikując przytoczony wyżej urywek Michajła Litwina [1]), a Karamzin znowu na swoją odpowiedzialność trochę upiększył Naruszewicza. Już nierównie ostrożniej postąpił z tem metropolita Siestrzencewicz w swojej Historyi Taurydy [2]).

Co do Michajła Litwina to dość będzie gdy powiemy, że jest to pisarz XVI wieku, znany nam tylko z wyjątków. Rzecz swoją przedstawia dorywczo, zagadkowo jakoś; o Olgierdzie, jak widzieliśmy, nic nie wspomina. A zatem nic na nim fundować nie możemy.

Nie wiadomo, czy miał on kiedy wpływ jaki, pośredni czy bezpośredni, na urywek ks. Łodziaty. Z podaniem swojem stoi ten ostatni zupełnie odosobniony, a zgodność jego z Naruszewiczem jest, jak widzieliśmy, najzupełniej przypadkowa. Skąd jest zapożyczona jego opowieść—nie wiemy. Może mamy tu do czynienia z płodem czyjejś bujnej imaginacyi. W każdym razie, ponieważ traktuje o wypadkach z XIV

---

[1]) Michajło Litwin, żyjący za czasów Zygmunta I, powiada, że przodkowie tego króla, książęta litewscy, wpadłszy do Tauryki, wycięli miasto Chersonę, odarli tameczne kościoły i wiele bogatych nader sprzętów do Kijowa uprowadzili. Co dało okazyę obywatelom Tauryki, chrześcijanom, po większej części Włochom i Grekom handlarzom, a tem samem ludowi niemęskiemu i pierzchliwemu, że, nie mogąc się sami oprzeć Litwie najezdniczej, sprowadzali do siebie więcej Mongołów Zawołżańskich dla obrony swojej i grunta im do posiadania rozdali. Ta inkursya Tauryki od Litwinów zdarzyła się bez potrzeby w tych czasach, kiedy Olgierd wypłoszył z Podola i Kijowszczyzny najezdnicze tych prowincyi Tatary". *Tauryka* loc. cit.

[2]) (Str. 19). *Histoire de la Tauride.* Miałem pod ręką rosyjski przekład tego dzieła: „Исторія о Тавріи" tom I, str. 350.

wieku, nam zupełnie nieznanych, spisaną zaś została dopiero w końcu XVII-go, i to niezgrabną ręką, ze stanowiska nauki musimy ją odrzucić zupełnie, a pochód Olgierda do Krymu, o którym mówi, uważać za niczem dotąd nieudowodniony.

Zwycięstwo Olgierda nad rzeką Siniuchą jest rzeczywiście jednym ze świetniejszych tryumfów jego oręża. Latopis Nikona powiada [1]), że wskutek tego zwycięstwa W. Książe Litewski zawładnął całem Białem pobrzeżem „Бѣлобережьемъ", co, jak słusznie mówi Antonowicz [2]), zdawna oznaczało Dnieprowskie porzecze, od porohów do ujścia. Ponieważ niedobitki Tatarów po klęsce rozbiegli się w dwóch kierunkach, jedni do Krymu, a inni do Dobrudży, których potomkowie siedzieli tam jeszcze w XVI wieku [3]), Olgierd zaś opanował tymczasem „Białe pobrzeże"—wypada stąd, że jeżeli po zwycięstwie szedł dalej, to wcale nie w stronę Krymu, ale raczej wprost na południe w kierunku dzisiejszej Odessy. Na tę myśl naprowadza i ta okoliczność, że właśnie tam było główne siedlisko jednej z hord zwyciężonych [4]). A więc gdzież tu miejsce na wyprawę do Krymu i zburzenie greckiego Chersonezu?

Cała ta opowieść nosi jawne ślady późniejszego fabrykatu: Olgierd wojuje z Tatarami, tymczasem zapędza się do Krymu, burzy i wycina miasto Greków, którzy mu nic nie zawinili, a wreszcie łupi chrześcijańskie świątynie, odziera z kosztowności i zabiera obrazy ze sobą, aby tem zapewne zrobić przyjemność swej żonie chrześcijance. Cała ta rzecz wygląda nietylko niepięknie, ale nawet nielogicznie, nie po rycersku i nie po Olgierdowsku. To też żaden z nowoczesnych uczonych nie wierzy i nie wspomina o tym pochodzie

---

[1]) Tom IV, str. 5.

[2]) „Очеркъ Исторіи Великаго Княжества Литовскаго до половины XV столѣтія. Кіевъ 1878. Выпускъ I, стр. 150.

[3]) Widział ich tam Stryjkowski, *Kronika Polsko-Litewska.* 1846, t. II, str. 7

[4]) O Chadzibeju f. Antonowicz loc. cit.

że wymienimy tu tylko Stadnickiego[1]), Antonowicza[2]), Daszkiewicza [3]). Stadnicki nie wierzy nawet w świadectwo Stryjkowskiego[4]), że Tatarzy wszystkie pola od Kijowa do Oczakowa i od Putywla do ujścia Donu opuścić musieli[5]). Nawet pan Brjancew wspomina o rzekomym pochodzie Olgierda do Krymu tylko w przypisku; mówiąc, że są na to niejasne wskazówki[6]). Jeden tylko Kondaraki[7]) opowiada o tem, stawiając przytem niemożliwą datę 1330 r., czem odrazu i sam fakt osłabia. I epigonowie Karamzina na polu historyi Rosyi, Sołowjew, Bestiużew-Rumin i Iłowajski też nic nie wiedzą o zburzeniu przez Olgierda Chersonezu. Ten ostatni rozwodzi się za to szeroko o chrześcijaństwie Olgierda, a zatem niepodobna, aby miał łupić cerkwie greckie, jak chce Łodziata[8]).

Jak już widzieliśmy, opowiadając o zburzeniu Chersonezu przez Olgierda, domyśla się Karamzin, że „prawdopodobnie od tego czasu (1362) opustoszał ten gród starożytny". Czyż podobne jednak, aby jeszcze w drugiej połowie XIV w. istniało pod bokiem Tatarów bogate i kwitnące miasto greckie, o czem jednak nie przechowało się żadnego śladu w historyi, i czekało aż niszczącej ręki Olgierda, aby dopiero upaść.

---

[1]) *Olgierd i Kiejstut, synowie Giedymina.* Lwów 1870. Omawiając zwycięstwo nad Sinemi wodami, nic nie wie o Krymie, toż Antonowicz i inni.

[2]) Loc cit. i „Монографія по западной и юго-западной Россіи". Кіевъ 1885, f. tom I, str. 126—127.

[3]) „Замѣтки по исторіи Литовско-Русскаго Государства". Кіевъ 1885 f. str. 39—89.

[4]) Loc cit.

[5]) „Czemu wszystkiemu dzieje kłam zadają", Synowie Giedymina Monwid, Narymunt, Jewnuła, Koriał. Lwów 1881, str. 122—125.

[6]) „Темные намеки", Исторія Литовскаго Государства". Вильна 1889, str. 148.

[7]) „Универсальное описаніе Крыма". Спб. 1875, str. 5—9 tomu 3.

[8]) Możemy zatem uspokoić autora artykułu pod napisem: „Серьезный вопросъ", zamieszczonego w gazecie „Виленскій Вѣстникъ" 1893 № 53, który pyta, gdzie się podział starożytny Olgierdowski obraz, przywieziony z Chersonesu. Takowy nigdy nie istniał.

Wydaje mi się to niemożliwem. Jakimże sposobem Tatarzy spokojnie na nie i na bogactwa jego patrzyli; jakim sposobem cerkwie stały, przez nich nietknięte, a nie uszły łakomstwa rycerskiego Olgierda? Zdaje mi się, że upadek Chersonezu należałoby odsunąć więcej, jak na sto lat wstecz, i za sprawców katastrofy uważać nie Litwinów, ale właśnie Tatarów [1]. Na tę ciemną kwestyę możeby światełko jakie mogła rzucić następująca drobna okoliczność.

Opowiada metropolita Makary w swojej „Historyi ruskiego kościoła" [2]), że w 1224 r. pewien grecki duchowny przeniósł obraz świętego Mikołaja z Chersonezu do Zarajska, miasta położonego w ziemi Riazańskiej. Z obawy dzikich Połowców jechał wodą przez Rygę i Nowogród do celu podróży. Pozostawmy na boku pytanie, czy opowiadanie to może być prawdziwem, czy nie; niech każdy sądzi, jak mu się podoba. Uderzającą w niem jest jedna okoliczność: ów biedny duchowny dąży do ziemi Riazańskiej przez Rygę i Nowogród! Zaiste, wstąpił do piekieł, po drodze mu było; jest to krąg olbrzymi. Widocznie obawiał się czegoś, a jeszcze pewniej, że coś go do tej wędrówki manowcami zmuszało. Legenda mówi, że uczynił to z obawy Połowców, ale właśnie w tym czasie byli oni w przyjacielskim związku z ruskimi kniaziami, więc możeby nie krzywdzili biednego wędrowca, obciążonego obrazem. Niewątpliwie mamy w podaniu tem wskazówkę na najście Tatarów. W tym samym właśnie czasie, bo 1223 r., miała miejsce wiekopomna bitwa nad rzeką Kałką; nie ulega wątpliwości, że przed nią jeszcze, czy może bezpośrednio po niej, morze Tatarów wylało się na Krym.

---

[1]) „Niewiadomo nam jest, jeśli Tatarzy za pierwszym i drugim swoim do Europy wpadnięciem zostawili osady jakie krwi swojej w teraźniejszej małej Tataryi i Krymie". Naruszewicz *Tauryka* 76.

[2]) „Исторія русской церкви". Спб. 1857 tom III str. 73.

Wracamy do naszego przedmiotu. Już księdzu Rolewiczowi opowieść Łodziaty wydała się nieprawdopodobną i niemożliwą! Trudno pozypuścić, aby obraz tak znacznych rozmiarów i tak ciężki przez pogan był aż tak daleko wiezionym? Nastręcza się tu jednak jeszcze jedna uwaga.

Wiadomo, że w owych czasach wszelkie nawet mniej cenione obrazy ozdabiano kosztownemi sukienkami. Olgierd nie był chyba takim znawcą i miłośnikiem sztuk pięknych, aby taki obraz, jakim jest Ostrobramski, wiózł nie upiększonym żadnemi szacownemi ozdobami. (Najprawdopodobniej już, kiedy rabował, to wziąłby właśnie ozdoby, a ciężki obraz pozostawił). A więc jeżeli obraz był kiedy w Chersonezie, to miał i mniej więcej kosztowną sukienkę. Wszystko jeszcze dobrze, póki obraz po przewiezieniu do Wilna miał pozostawać w cerkwi jakiejś. Ale jak wytłomaczyć fakt, że czczony nibyto obraz z cerkwi został wyprawionym na miejską bramę, na flagę i niepogody i w dodatku bez sukienki? Więc gdzież się ona podziała? Czyżby mieli się na nią łakomić mnisi św. Trójcy, w których posiadaniu miała się niby znajdować? Tymczasem pierwszą wskazówką tego, że Obraz miał jakie ozdoby, mamy dopiero w cudzie, zapisanym w Relacyi pod r. 1708, kiedy to jakiś niezbożny żołnierz targnął się na nie. Sądząc z dobrze znanego wizerunku Najśw. Maryi Panny Ostrobramskiej z napisem u góry Mater amabilis, pochodzącym z pierwszej połowy XVIII, w. jeszcze wówczas nasz obraz nie posiadał metalicznej sukienki, jaką widzimy na nim dzisiaj.

A jakże pogodzić krymskie pochodzenie Obrazu z tym faktem, że w Wilnie znajduje się jeszcze wizerunek Zbawiciela tych samych rozmiarów i niewątpliwie tego samego pędzla, co i Ostrobramski. Znajduje się on obecnie w przedsionku katedry, gdzie każdy się może o podobieństwie i tożsamości malowidła przekonać. Miałżeby i on także być przez

---

¹) (Str. 29) „bez.. uciekania się do mniej stosownych powieści"... Wiadomość o cudownych Obrazach Pana Jezusa i N. P. Maryi w mieście Wilnie 1863, str. 8.

Olgierda zabranym? Dostateczne zbadanie tego jednego faktu powinnoby rozstrzygnąć kwestyę, najważniejszy jednak rezultat daje rozpatrzenie Ostrobramskiego Obrazu.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że wizerunek ten Matki Najświętszej znikąd tu nie był przewożonym, czy przenoszonym, lecz wprost go w tym celu niewiadomy malował artysta, aby na Ostrej bramie umieścić. Pozostawał więc on zawsze od początku swojego istnienia na tem samem miejscu, co i dzisiaj [1]). Tem tylko dadzą się wyjaśnić niebywałe rozmiary rzeczonego Obrazu, który przedstawia Najświętszą Pannę więcej, niż naturalnej wielkości „twarzy ogromnej,“ jak mówi Hilaryon. Skąd też najdoskonalej odpowiada wielkości form, zrobionych na bramie, z których południowa dotychczas jest widoczną w pierwotnym swoim stanie, ponieważ oczywiście artysta do rozmiarów ich dzieło swoje stosować musiał. Kolory też tu użyte na ogół są pospolite, tak zwane ziemne. Obraz Ostrobramski malowany jest olejno pędzlami szerścianemi na deskach dębowych, calowych, umiejętnie i swobodnie; artysta albo zupełnie nie dał gruntu, albo też malował na bardzo lekkiej i cienko zagruntowanej powłoce, tak, że fladry drzewne gdzieniegdzie widoczne są przez farby. Byłoby to niemożliwem przy greckim sposobie malowania białkiem na gruncie z gipsu lub wosku. Analiza farb użytych daje nam pewne dane do określenia czasu malowania obrazu, przynajmniej *terminus a quo*. Tak znajdujemy tu paloną terra de sienne, berliner blau i minię, która służy tu do barwy czerwonej, a wszystkie trzy farby nieznane jeszcze w XIV w. Dalej obraz, jak już wspomnieliśmy, malowany olejno, co pierwszy raz wprowadził do szkoły flamandzkiej Van Dyck (1366—1426). Tak więc Obraz Ostrobramski żadną miarą nie może być greckiego pochodzenia.

Nie będziemy już więcej wchodzili w szczegóły, odsyłając ciekawych do dziełka Bielińskiej, gdzie dokładny opis

[1]) „Ale tylko na tem samem, na którem i teraz jest miejscu, do muru był nieco wpuszczonym“... *Relacya* str. 3.

obrazu i kaplicy znaleźć mogą[1]). Zwrócimy jednak uwagę na niektóre tylko cechy charakterystyczne, różniące obraz Ostrobramski od greckich Najśw. Maryi Panny wizerunków. A najprzód w ostatnich jest nimbus pewnej stałej, niezmiennej formy; w Ostrobramskim—gloria zupełnie inna, złocistemi promieniami nad głową zakończona. Jest to różnica zasadnicza, nadzwyczaj ważna. Dalej tło w greckich jest zawsze złociste, tutaj—brunatne; malowane przytem prawie zawsze na deskach cyprysowych gruntowanych, nasz na dębowych, podobno wcale niegruntowanych. I wileński obraz tak zwany Odigitryi, przywieziony przez królową Helenę, jest też malowany na deskach cyprysowych. Dalej, w greckich obrazach Najśw. Marya Panna przedstawiona jest zawsze z Dzieciątkiem Jezus (Θεότοκος) — wyjątki tu niesłychanie rzadkie — w Ostrobramskim jako dziewica. Tak więc i pod względem wyboru rzeczy i odrobienia technicznego obraz ma wszystkie cechy stylu późniejszego i charakteru zachodniego. Musiał być namalowanym dopiero w połowie XVI-go wieku, czyli w epoce porafaelowskiej. Nie można więc odnosić pochodzenia obrazu do 1508 r., to jest do czasu ostatecznego wykończenia bramy Ostrej za Zygmunta Starego, jak to czynią niektórzy. Krótki żywot i działalność Rafaela przypada na lata 1473—1520, w którym to roku mistrz życie zakończył, a nasz obraz mógł powstać dopiero znacznie później, bo nosi wszystkie cechy epoki porafaelowskiej [2]).

A więc nie przywieziony do Wilna w XIV wieku, ale namalowany dopiero w XVI-tym, oto rezultat, jaki otrzymujemy ze zbadania samego obrazu, który niewątpliwie sam o sobie świadczy najlepiej.

I jeszcze jedna mała uwaga co do notatki księdza Łodziaty. Zdaniem jego, Najśw. Marya Panna wyobrażona jest

---

[1]) *Kilka słów o obrazie i kaplicy Najśw. Panny Ostrobramskiej w Wilnie.* Kraków, 1892, str. 7—8 i 11,

[2]) Taki pogląd wypowiedziany już został w artykule zamieszczonym w wydawnictwie „Труды девятаго археологическаго съѣзда.“ Москва 1879, томъ II, стр. 213—214. Szkoda, że redakcya opatrzyła go niestosownym dopiskiem.

na obrazie „w postawie jak gdyby miała na obliczu posłańca archanioła Gabryela"; czy słusznie? Kwestya to zresztą podrzędnej wagi i każdy może sądzić, jak mu się podoba. Jednak czy niefortunny raduński dziekan i w tem się nie myli?

Jeżeli rzeczywiście obraz malowany był w tym celu, aby wisiał w bramie w tem miejscu, gdzie go i dziś podziwiamy, to nie można nie powinszować nieznanemu artyście tej piaknej myśli, jaką w swem dziele wyraził. Najśw. Marya Panna, twarzą obrócona ku miastu, ma głowę nieco pochyloną, „z rękami przy piersiach na krzyż złożonemi, jakoby grzesznika przyjmującemi i przytulającemi, do jej udającego się opieki"[1]). Nie wiem, czy można znaleźć odpowiedniejszy tytuł dla Ostrobramskiego obrazu nad ten, który i dziś na kaplicy złotemi jaśnieje głoskami: Mater misericordiae, Matka miłosierdzia. Bardzo też stosownym wydaje mi się napis na starożytnej rycinie, wyobrażającej nasz obraz—Mater amabilis, Matka najmilsza. Dlaczegóż jednak pewna grupa pisarzów tak uporczywie trzyma się zdania ks. Łodziaty, że kokoniecznie ma tu Najśw. Marya Panna być wyrażoną w chwili Zwiastowania? Czyż nawet i w takiej rzeczy nie możemy kusić się o oryginalność, nie szukając wętpliwych autorytetów? A jeżeli już nieodzownie nasz obraz ma przedstawiać jakąś scenę z życia Najśw. Panny, to czyż równem prawem nie możemy przypuszczać, że jest to wizerunek Matki Bożej, stojącej pod krzyżem, albo też w chwili zesłania Ducha św.?

Na tem kończymy uwagi nad notatką Łodziaty. Przechodzimy teraz do rozpatrzenia Relacyi O. Hilaryona, która jest faktycznie jedynem, acz bardzo skromnem źródłem do dziejów naszego Obrazu.

II.

„Relacya" znana nam jest pospolicie z drugiego jej wydania 1823 r., sporządzonego przez O. Hieronima a Sancto Raimundo, definitora prowincyi Litewskiej, zakonu karmelitów. Niewielka ta książeczka, napisana w 1761 roku przez

---

[1]) Relacya, str. 2.

O. Hilaryona od świętego Grzegorza, karmelitę, który też w swoim czasie był definitorem, zawiera w krótkości z początku historyę Obrazu, a raczej kaplicy Ostrobramskiej od końca XVII wieku; następnie poczet cudów, kończący się na 1761 roku, dalej idą różne pieśni nabożne ku czci Najśw. Maryi Panny, sposób jej dobrze służenia, nakoniec dodana jest wiadomość o pobożnem stowarzyszeniu, znanem pod nazwą uczestnictwa albo jedności duchownej, które miało miejsce przy kościele św. Teresy w Wilnie.

Książeczka, pisana poprostu, bezpretensyonalnie, jedynie większą cześć Najśw. Maryi Panny mająca na względzie, absolutnie w informacyach swoich zasługuje na wiarę. Główne źródło przy jej ułożeniu stanowiły zakonne konwenta O.O. Karmelitów Bosych, osobliwie zaś Historya O. Hilarego od S. Tyburcego, sporządzona w roku 1707, wraz z jej kontynuacyą, kończącą się, jak wnosić można, około roku 1720. Na paru stronkach cytuje ją nasz Hilaryon aż trzy razy z oznaczeniem nawet karty, na której podana wiadomość się znajduje. Na czele dzieła O. Hilarego, które, niestety, zaginęło, jak widać, był umieszczony Inwentarz Ostrej Bramy, sporządzony R. P. 1706 dnia 12 kwietnia.

Czego O. Hilaryon nie mógł się dowiedzieć, jak np. o pochodzeniu obrazu Ostrobramskiego, do tego szczerze się przyznaje, nie puszczając się na niewczesne domysły. Pisana w 1761 r., Relacya opiera się we wszystkiem na pomienionej historyi O. Hilarego 1707 r., a więc, ponieważ mówi tylko o wydarzeniach blizkich tej dacie, możemy ją uważać, jako zeznanie prawdomównego i niemal naocznego świadka, na słowach którego możemy się bezwarunkowo i bezpiecznie fundować.

Pewna grupa pisarzów zupełnie ignoruje pierwsze wydanie Relacyi 1761 r., łącząc niesłusznie drugie 1823 r. z jakiemiś politycznemi kombinacyami. Dlatego prawdziwą jest zasługą O. Wacława kap., że wyszukał wzmiankę o pierwotnem wydaniu uczonego Załuskiego, biskupa kijowskiego († 1779), który, mówiąc o cudownych obrazach w Wilnie, tak pisze:

Trzeci nad Ostrowidzką jest Bramą;

ten obraz
Pod strażą karmelitów bosych, opisał go
Hilarius a Sancto Tiburtio, ale
Zwinął się gdzieś Rękopism, więc
przed siedmiu laty
Wydali Relacyę ciż Maryi słudzy.

W odsyłaczu tamże dodano, że Relacya wydana in 12-mo w Wilnie 1761 r. [1])

My jesteśmy w szczęśliwszem położeniu. Oto mieliśmy w ręku i dokładnie mogliśmy rozpatrzeć owo pierwsze wydanie Relacyi 1761 r. Rzadka ta nad wyraz książeczka jest własnością pewnego mieszczanina wileńskiego.

Egzemplarz, który widzieliśmy, niestety, nie jest kompletnym: brak w nim karty tytułowej i następnych dwóch (kart trzy), następnie od str. 11—16, także kart trzy i ostatniej nieliczbowanej, czyli wszystkiego kart siedmiu. Zresztą egzemplarz dobrze zachowany; w dwóch miejscach na środku nosi stempel drukowanemi wielkiemi literami farby czerwonej

własność
Pann (sic) Katarzyny

Edycya ta liczy stron 188 wielkiego druku, na końcu 2 karty nieliczbowane, czyli razem 192 stronice. Format znacznie mniejszy, niż w drugiem wydaniu, bo in 16-o. U dołu arkusze znaczone literami porządkowemi na każdych pierwszych pięciu kartach, tak np. arkusz drugi jest oznaczony: B, B_2, B_3, B_4 i B_5. Ostatnią literą jest M, czyli obejmuje arkuszy 12. Wierszy na stronicy w tekście 22.

Drugie wydanie 1823 r. (B) stanowi wierny przedruk pierwszego (A), wszakże dostrzegliśmy różnice, oto są:

Aprobaty dyecezyalna i zakonna pomieszczone są w A na końcu książeczki, w B na początku zaraz za kartą tytułową.

[1]) W dziele p. t. *Miejsca wsławione cudami Obrazów Matki Boskiej*, wydanem przez L. Rogalskiego, w książce *Pamiątka katolicka*, Warszawa 1856, str. 283.

W B, po wyliczeniu cudów, znajduje się cały ustęp, którego niema w A. Jest on pióra O. Hieronima, który przedruk sporządził, i zaczyna się od słów: „że zaś nie wtedy tylko..." do końca rozdziału (str. 28—29). Wiadomości o uczestnictwie duchowem, dołączonej w B na końcu dziełka, w A niema wcale.

W A znajdujemy natomiast dwie legendy, które są opuszczone w B. Ze względu na niesłychaną rzadkość pierwszej edycyi, pozwalamy sobie przytoczyć je tu w całości. Obie drukowane są kursywą.

Pierwsza z nich następuje zaraz po tytule: koronka dwunastu gwiazd nazwana ze dwunastu Pozdrowienia Anielskiego złożona. Oto jej brzmienie:

„O tej koronie w Zwierciadle Przykładów taki przykład znajduje się. Trzech Mężów w niejaką się wybrali drogę, a wszedłszy w puszczę dwóch z nich, chcąc prędzej pośpieszyć, zbłądzili z drogi, gdzie tułając się na złośliwych zbójców, napadli, od których odarci są pozabijani. Trzeci z nich, który tę koronkę zwykł był mawiać codziennie, powolnym postępując krokiem, mniej o niebezpieczeństwie wiedzący, zwyczajne do Matki Boskiej Nabożeństwo odmawiał, którego złoczyńce postrzegłszy, cieszą się z nowego łupu, tem bardziej, że podróżnego z trzema niewiastami bardzo świetnemi jadącego widzieli. Gdy tedy na niewinnego człowieka złośliwe czynią zasadzki i chciwem nań poglądają okiem, widzą towarzyszek jego, że były nad ludzi. Niebieską bowiem wszystkie z nich były otoczone światłością (jedna jednak z nich najjaśniejsza) które, róże z ust podróżnego człowieka wychodzące zbierając, wieniec uwijały. Były zaś Najświętsza Marya Panna, święta Katarzyna i święta Łucya, do których pobożny Człowiek osobliwe miał nabożeństwo. Z ust zaś Podróżnego na każde Ojcze nasz czerwona, a na każde Pozdrowienie Anielskie biała wychodziła Róża, które na rozkaz Najświętszej Maryi Panny święta Katarzyna zbierając, świętej Łucyi podawała, Łucya zaś święta, one na złoty cyrkuł srebrną nicią przywiązywała. Po skończonej koronce Najświętsza Marya Panna ten wieniec na głowę Podróżnego wło-

żyła, sama zaś do Nieba z Towarzyszkami wstąpiła. Zadziwieni takiem widzeniem łotrzy, przypadną do niego zbliżającego się, ciekawie się pytając: Coby to były za jedne Niewiasty, które onemu w podróży Towarzyszkami były. Odpowie podróżny: iż żadnej na oczy swoje nie widział, ale tylko Matki Najświętszej koronkę według swego zwyczaju mówił. Opowiedzieli mu tedy, co widzieli, i wszyscy Matki Boskiej łaskę i opiekę uznali. Skąd łotrzy złość swoją a podróżny świat porzuciwszy, Bogu i Matce Jego Najświętszej pilnie służyć poczęli. In additamento specul. Exempl." (str. 98—101).

Druga legenda mieści się po Akcie litości nad boleściami Najśw. Maryi Panny.

„Author Discipulus nazwany pisze o cudach Matki Przenajświętszej. Pewny z Ojców Świętych w zachwyceniu będący słyszał Chrystusa Pana pytającego się u Matki swojej, Matki miłosierdzia, Najświętszej Maryi Panny, któreby były Jej boleści z innych największe, na co odpowiedziała Najświętsza Marya Panna, że było pięcioro: Pierwsza, gdy Symeon o Twojem zabiciu prorokował. Druga, gdym Cię przez dni trzy w Jeruzalem zgubionego z wielkim szukała frasunkiem. Trzecia, gdym o pojmaniu i związaniu Twojem słyszała. Czwarta, gdym na krzyżu wiszącego widziała. Piąta, kiedym Cię zdjętego z krzyża do grobu włożonego widziała. Do której rzekł Chrystus: ktokolwiek tedy mię przez pierwszą Twą boleść mówiąc Ojcze nasz i Zdrowaś Marya pozdrowi, dam mu poznanie grzechów i skruchę. Kto przez drugą boleść podobnym pozdrowi sposobem, dam mu wszystkich jego odpuszczenie grzechów. Kto przez trzecie, dam mu cnoty przez grzech stracone. Kto przez czwarte, dam mu dar łaski i nakarmię go przed śmiercią Ciałem mojem, kto przez piątą, pokażę się mu przy śmierci i przyjmę go do żywota wiecznego." (str. 120—122).

Nareszcie należy zanotować niektóre osobliwości pisowni, użytej w książeczce. Mianowicie: 1) długie *s;* 2) *à* pochylone w wyrazach: *nà* wieki, *zà* synà, Màtki i t. p. 3) niekiedy *em* w mniejscu ę, np. gł*em*boko.

Taką jest Relacya O. Hilaryona; jakież zawiera szczegóły, jakie wiadomości podaje nam o Obrazie? Niestety, bardzo szczupłe; ponieważ jednak jedyne źródło dla nas stanowi, musimy dobrze wziąść ją na uwagę.

Charakterystycznem jest, że o najważniejszej rzeczy dowiadujemy się nie z treści samej Relacyi, ale z jej przydługiego tytułu. Za takową uważamy informacyę, jako obraz „na Ostrej Bramie przy kościele WW. OO. Bosych Zakonu Braci Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmelu pierwszej Obserwancy, *w onychże Posesyi od lat 93 będący*, nieustannemi słynie cudami". Ponieważ Relacya pisana była w 1761 r. i na tymże roku poczet cudów wyliczonych się kończy, wypada zatem, że karmelici weszli we władanie obrazem w 1688 roku. Jest to wskazówka nadzwyczaj ważna.

Zachodzi teraz pytanie, jakiż był los obrazu uprzednio, czyją stanowił własność i kto się nim opiekował? Na szczęście i na to możemy na mocy Relacyi odpowiedzieć. Na końcu stronicy trzeciej czytamy: „a lubo nie mieli należytego sposobu (karmelici) ten to Karmelu zaszczyt i ozdobę (Obraz Ostrobramski) albo na ozdobniejszem lokować miejscu, *ile nie majac o nim od Miasta powierzonego starania*, albo też same miejsce doskonale przyozdobić..." A zatem miasto powierzyło karmelitom staranie o obrazie, i nie do kogo innego, jak do *miasta*, musiał należeć obraz, na bramie miejskiej wiszący. Jest to świadectwo wielkiej wagi. Wątpić o prawdziwości jego ani na chwilę nie można: widzimy, że Hilaryon wspomina o tem mimochodem, przypadkiem, jak to mówią wygadał się, a więc szczerze, bez celu żadnego. Tem się więc objaśnia, dlaczego pod fundacyą konwentu karmelitów (1626), „obraz zupełnej czci i powinnego uszanowania nie miał," jak świadczy Relacya; nie miał, bo do zarządu miejskiego należał i nikt się nim właściwie nie opiekował. Tym sposobem raz na zawsze powinno upaść to na niczem oparte twierdzenie niektórych, że miał być spór jakowyś i głośny

proces Bazylianów od św. Trójcy z karmelitami o ten św. Obraz. I dziwne zaiste, głośny ten spór, jak mówią, miał być dopiero w naszym XIX. w. rozstrzygniętym i to w Rzymie, a tymczasem nietylko najlichszego dokumentu, ale tradycyi nawet po nim nie zostało! Więc myli się pan Sokołow, dowodząc, że bez żadnej prawnej zasady obraz przeszedł na własność OO. Karmelitów [1]). Przeciwnie, zasługą ich jest to, że na zapomniany na bramie miejskiej obraz pierwsi zwrócili uwagę i prawo opieki nad nim uzyskali.

Ten więc ze zbadania Relacyi acz szczupły, lecz doniosły i niezawodny otrzymujemy rezultat: *w 1668 r. miasto zleciło Karmelitom mieć pieczę o Ostrobramskim obrazie.* Tym sposobem przeszedł w ich faktyczne władanie [2]). W tym samym roku staraniem O. Karola od Swiętego Ducha obraz przeniesiony został do kościoła św. Teresy (po raz pierwszy) i umieszczony tymczasowo w kaplicy po prawej stronie wielkiego ołtarza [3]). Trzy lata przeszło, zanim z publicznych składek postawioną została przy Ostrej Bramie drewniana, ale ozdobna kaplica, dokąd bardzo solennie obraz został przeniesionym (1671). Przez czas krótki znowu był obraz w kościele w 1706 r., po pożarze, który nawiedził miasto d. 18 maja; w 1715 roku po raz trzeci [4]) wniesiono obraz do kościoła, gdzie przez kilka lat pozostawał, zanim na miejsce zapalonej wówczas drewnianej kaplicy, dzieła O. Karola, nie zmurowano nowej, którą i dziś widzimy.

---

[1]) Остробрамская Икона str. 55.

[2]) Tym sposobem odrzucić musimy, co O. Wacław kap. pisze o sprawieniu sukienki dla Obrazu Ostrobramskiego 1654 r. staraniem O. Laurentego.—*O cudownym obrazie N. Maryi P. Ostrobramskiej.* Kraków 1895 i 1897, str. 18 i 22. — Wiadomość ta, acz z kroniki karmelitanek zaczerpnięta, nie może się stosować do obrazu Ostrobramskiego, ponieważ według Relacyi wówczas jeszcze do Karmelitów nie należał, ale wisiał na bramie. Musi tu być mowa o jakimś innym nieznanym nam obrazie.

[3]) W Relacyi daty niema, powiedziano tylko „najprzód". Nie ulega wątpliwości, że stało się to zaraz po uzyskaniu przyzwolenia od miasta.

[4]) W Relacyi powiedziano „powtórnie". Oczywiście Hilaryon nie bierze tu w rachubę przeniesienia obrazu 1668 r. „najprzód" mając na uwadze tylko powtórny pożar.

Oto jest skromna garstka niezawodnych o Ostrobramskim obrazie faktów; nad to nic więcej Relacya nie mówi i my nadto nic więcej nie wiemy. Odrzucić przez to samo musimy całą fantasmagoryę, którą około obrazu niezgrabnie później osnuto, a czynimy to w imię czystej nauki, której do żadnych ubocznych celów nadużywać nie wolno, jak nie wolno podawać jakichś faktów rzekomo historycznych, nie przytaczając na to pewnych dowodów. Analiza wszystkich o Ostrobramie mniemań zbyt dalekoby nas zaprowadziła i zbyt rozszerzyła rozmiary niniejszej skromnej rozprawki,—musimy jednak jeszcze zatrzymać na krótko uwagę czytelnika na dwóch podaniach, odnoszących się do XVII w., a więc do czasów dobrze już znanych.

Opowiada metropolita Makary, że w r. 1609, za czasów Hipazego Pocieja, protopop Żoszkowski, obawiając się, aby cerkwi prawosławnych w Wilnie nie oddano unitom, począł zbierać i chować do swojej cerkwi św. Mikołaja na Wielkiej ulicy kosztowności innych cerkwi wileńskich; między innemi miał się tam znajdować i Obraz Ostrobramski. Zwrotu onego odmówić miał nawet burmistrzom (?), którzy zażądali wydania obrazu pod pozorem, że sam król Zygmunt z królową i królewiczem Władysławem chciał się przed nim pomodlić *w monasterze św. Trójcy* (oddanym unitom 16 listopada 1605 r.[1]). Ostatnie wyrazy rozstrzygają kwestyę. Nie mógł to być obraz Ostrobramski, ponieważ takowy nigdy nie znajdował się w pomienionym monasterze, a jak wiemy z Relacyi w zaniedbaniu wisiał podówczas na miejskiej bramie. Nie przeczymy wcale, że przezorny Żoszkowski ściągał, jakie mógł, kosztowności do swojej cerkwi, przyznajemy mu w tem nawet słuszność, — ale zachodzi pytanie, dlaczego, co za interes miałby zabierać do siebie wielki i ciężki obraz, który wisiał sobie na bramie miejskiej, a czegoby się ukryć w żaden sposób nie dało. Czyż się obawiał, aby nie tylko

---

[1]) Митроп. Макарій. „Исторія Русской церкви“ томъ X, Спб. 1881 str. 385.

cerkwie, ale nawet bramy miejskie nie zostały powierzone unitom? Jest to nielogiczne i niemożliwe, bo bramy mogły tylko należeć do miasta.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mowa tu o innym obrazie Najśw. Maryi Panny, znanym pod nazwą Odigitryi, który Iwan III podarował córce swojej Helenie, a który do dziś dnia znajduje się w cerkwi św. Trójcy. Obraz ten, w owym czasie powszechnie uważany za dzieło św. Łukasza, był w niesłychanem poszanowaniu i czci jak w Moskwie, tak i w Wilnie. Opowiada współczesny Kujałowicz [1]), że w roku 1569, kiedy chodziło o zawarcie wieczystego pokoju między Rosyą a Litwą, ten też warunek pierwsza dołożyła, aby w mowie będący obraz Rosyi był wróconym, ofiarując zań 50 szlachty niewolników; warunku tego nie przyjęto. Możemy brać stąd miarę, jaką wagę przywiązywano wówczas do tego obrazu. A zatem protopop Żoszkowski bardzo roztropnie sobie poradził, zawczasu ten skarb zabierając. Więc skądże ta wersya, że miał to być obraz Ostrobramski? Nie wiemy, skąd metropolita Makary tę swoją wiadomość zaczerpnął, bo źródła nie cytuje; ale oczywiście padł tu ofiarą jakiegoś nieporozumienia. Zdaje się też, że i sam nie był pewnym tego, co pisze. Że to miał być obraz Ostrobramski raz tylko i to głucho jakoś wspomina, a dalej mówi tylko ogólnie, że to był obraz cudowny. Wiemy już, że Ostrobramski wówczas za takowy jeszcze nie uchodził, a dowodzi tego najlepiej sam Kozłowski [2]).

Wielką czcią i rozgłosem, jakim się cieszył wówczas obraz Odigitryi, objaśnić da się jeszcze inne wydarzenie, które znowu niesłusznie stosują do Ostrobramskiej. Pisze pan Sokołow [3]), że kiedy Wilno w 1655 r. zajętem zostało przez wojska rosyjskie, wówczas karmelici zawczasu wywieźli

---

[1]) Miscelanea rerum ad statum ecclesiasticum M. D. Lithuaniae pertinentium. Vilnae 1650, str. 15. Obacz też Stebelski Ig. „Dwa wielkie światła na horyzoncie Połockim“. Wilno 1771. Tom I, str. 111.

[2]) „Исторія Иконы Остробрамской“. Москва 1868, str. 10—11.

[3]) „Островоротная Икона“, str. 55—56 и 3—12.

obraz Ostrobramski z obawy, żeby go im nie zabrano. Dokonać miał tego niejaki Jerzy Seledczyk, mieszczanin, który zawiózł go aż do Królewca do Prus i tam miał go dać do przechowania mnichom *unickim*, mieszkającym w tym kraju, „po różnych miastach i powiatach". Sam car Alexy Michajłowicz pisał do wojewody Szachowskiego, aby odszukał cudowny obraz, wskutek czego wyprawieni zostali posłowie do Prus, ale tam nigdzie „ani w cerkwiach, ani po dworach" znaleźć nie mogli.

Uderza nas w tem opowiadaniu brak najmniejszej krytyki. Najprzód karmelici nie mogli wywozić obrazu, który wcale do nich nie należał jeszcze, a potem jaką obawę mieć i mogli o obraz, wiszący sobie na bramie? Czyż zwycięskie wojska rosyjskie chrześcijańskiemi nie były? I pocóż miały obraz zabierać? Dalej dlaczego mieli go wywozić do Królewca, do Prus, kiedy wszelkie kosztowności kościelne przewieziono w głąb kraju, do obronnej Częstochowy? Nareszcie jakich to czerńców unickich znalazł autor w Królewcu, kiedy tam wcale unitów nie było, „ani po miastach, ani po powiatach"? A jakimże to sposobem posłowie Szachowskiego mogli za granicą, w kraju zupełnie obcym, robić swobodnie poszukiwania po cerkwiach (których nie było) i dworach? (jakich?).

Rzecz się miała zupełnie inaczej. Nie karmelici, ale mnisi św. Trójcy przy pomocy burmistza wileńskiego, Jerzego Pawłowicza, ukryli obraz nie Ostrobramski, ale Odigitryi, w jednym ze swoich więcej odległych *unickich* właśnie klasztorów. Że obawy ich były uzasadnione, w tem niema nic dziwnego; wszak mógł zabrać obraz zwycięzca, kiedy, jak tylko co widzieliśmy, nie chciano go zwrócić drogą pokojową. Jakoż Szachowski poszukiwał go w kraju, w którym gospodarował, choć i napróżno, ale bynajmniej nie w Prusach.

Jednocześnie mnisi św. Trójcy, bazylianie, ukryli relikwie pierwszych trzech męczenników wileńskich, którzy uprzednio spoczywali w ich cerkwi.

Tu miejsce raz jeszcze stwierdzić prawdziwość Relacyi Hilaryona, że do 1668 r. obraz Ostrobramski nie tylko nie

uchodził za cudowny, ale był zupełnie nieznany i w zaniedbaniu wisiał na bramie. Oto uczony Wojciech Kojałowicz we wspomnianem już dziele [1]) (wyszło w r. 1650), wyliczając miejsca, w W. Księstwie Litewskiem łaskami cudów wsławione, wcale nie zna obrazu Ostrobramskiego. Jest to okoliczność niesłychanie ważna. Czy można przypuścić, aby człowiek tej miary mógł o nim nie wiedzieć, albo w dziele swojem przez zapomnienie pominąć?

To też gdy w 1661 r. Wilno po wojnie i morowej zarazie zaczęło znowu się podnosić, sprowadzono z Trok tamtejszy obraz N. Maryi Panny, łaskami słynący, dla odprawienia przed nim publicznych modłów. I obraz ten pozostawał w stołecznem mieście przez lat cztery, co z pewnością nie miałoby miejsca, gdyby już znaną była i czczoną Ostrobrama, która wszak zupełnie dzisiaj Troki zaćmiła. Pomijając inne dzieła XVII wieku, z których podobne możnaby wysnuć wnioski, wspomnijmy jeszcze o piśmie O. Jacka Pruszcza († 1668) p. t. *Morze łaski Bożej* [2]), zawierającem ciekawe wiadomości o wszystkich w onym czasie znanych obrazach cudownych Najśw. Maryi Panny, znajdujących się jak w Polsce, tak i w Litwie. Tylko o Ostrobramskim najmniejszej nawet niema wzmianki! Zaiste wymowne milczenie.

Na zakończenie niech nam wolno będzie co do pochodzenia obrazu postawić swoje przypuszczenie. Musimy się liczyć z tym faktem, że mamy jeszcze drugi obraz Zbawiciela tego samego pędzla, a nawet i wielkości, co i Ostrobramski, o czem było wyżej. Ponieważ zaś na południowej stronie bramy zachowała się dotychczas pusta framuga o rozmiarach, zupełnie obrazowi temu odpowiadających, należałoby przypuszczać, że ongi tam się znajdował. Zachodzi tu jednak trudność: oto framuga zakończona jest u góry łukowato, obraz zaś jest prostokątnym. Drobna ta na pozór okoliczność

[1]) Loc cit.

[2]) Kraków 1661. Drugie wydanie (przedruk) wyszło dopiero w 1740 r. Nawet Kozłowski uważa Pruszcza za pisarza bardzo kompetentnego, choć popełnia błąd nie do darowania, mówiąc, że pisał w XVIII wieku.

rzuca światło i na to, że, jak już mówiliśmy, z początku, t. j. od r. 1508 (epoki ostatecznego wykończenia bramy w tej formie, jaką i dziś zachowuje) nie te dwa, t. j. Zbawiciela i Ostrobramski, ale inne jakieś musiały się we framugach znajdować wizerunki o formie łukowatej, albo co najprawdopodobniej były tam freski. Gdy już nieco zbladły, straciły na świeżości, pobożny pan jakiś umyślił zastąpić je obrazami i w tym celu kazał je namalować: jeden Zbawiciela, drugi, od strony miasta, N. Maryi Panny. Było to najwcześniej gdzieś w połowie XVI wieku, lecz zapewne nieco później, ponieważ, jak już widzieliśmy, oba obrazy noszą wyraźne cechy epoki porafaelowskiej [1].

Artysta zrobił je formy prostokątnej na dębowych deskach; były one „nieco do muru wpuszczone [2]), tak jednak, że z łatwością mogły się wyjmować [3]), i opatrzone „okienicami czyli drzwiczkami nie w zupełny kwadrat zrobionemi, od śnieżnych i dżdżystych nawałności zakrywającemi." Przy obrazie N. Maryi Panny, jako znajdującym się od strony miasta, urządzony „był ganeczek bardzo szczupły, na który gradusy proste i ciasne, ledwie tylko nabożnym ludziom do zapalenia (jeśli kto ofiarował) lampy wstęp czyniły." [4]) Nad obrazami pozostały próżne miejsca, łukowato u góry zakończone, w których, być może, dawniejsze jeszcze freski pozostały (być mogło np. wyobrażenie Opatrzności Boskiej lub Ducha św. Dopiero w drugiej połowie XVII wieku Karmelici poznali się na ich przedziwnej piękności. Dalsze dzieje są już wiadome. W 1671 r. stanęła od strony miała kaplica, obraz zaś Zbawiciela musiał być zdjętym zupełnie, aby nie uległ zepsuciu,

---

[1]) O. Wacław kap. upatruje podobieństwo obrazu Ostrobramskiego do wizerunku N. Maryi P., znajdującego się w kopii rękopisu Mikołaja Lanckorońskiego o obrazie Częstochowskim, dedykowanego Zygmuntowi I. Z postrzeżenia tego, wobec małej wartości artystycznej wizerunku, nie umiemy wyprowadzić żadnego wniosku.

[2]) Relacya sr. 3.

[3]) Uczyniono to np. w czasie pożaru 1706 r

[4]) Loc. cit.

i umieszczonym gdzieś w klasztorze. W ostatnich czasach przed kasatą wisiał on na końcu korytarza przed mieszkaniem OO. Przeorów[1]). Po 1715 r., kiedy pobudowaną została na nowo kaplica, obraz N. Maryi Panny wmurowany został nagłucho i wtedy zapewne i ślady łuku, który się znajdował od dawnej framugi, zniknęły.

Skończyliśmy. Nie więcej, jak piętnaście lat temu, obok ruin starożytnej Pompei, zasłynął cudami obraz N. Maryi Panny. Stało się to w naszych oczach prawie. Tysiące pielgrzymów udają się tam rokrocznie,—tymczasem, rzecz nie do uwierzenia, nic o pochodzeniu obrazu, takiej nabierającego sławy, nie wiemy. I cóż dziwnego, że o Ostrobramskim tak mało powiedzieć możemy? Najśw. Marya Panna, jak ongi w Nazarecie, pędziła cichy żywot w ukryciu przed światem, tak i dziś wizerunki swoje, pełne szczególnej łaski, jak gdyby osłaniać chciała mgłą tajemniczości. Nie możemy wszystkiego rozumem dochodzić, są granice, na których kończy się nauka.

Antoni Wysłouch.

---

[1]) Ks. Rolewicz, *Wiadomość o cudownych obrazach*, str. 8.

Ze skarbców kościołów

WILEŃSKICH i TROCKICH.

Dla miłośników archeologii kościelnej prastara Katedra Wileńska, licząca cały poważny szereg swych dziejopisów, zawsze przedstawia wdzięczne do studyów pole, ponieważ dziś jeszcze niewątpliwie pierwsze w dyecezyi zajmuje miejsce, pod względem liczby starożytnych zabytków. Wiadomo, że skarbiec jej był niegdyś nader bogaty i jeszcze pod koniec XVI wieku zawierał 230 samych złotych i srebrnych naczyń lub sprzętów. Obecnie, zdziesiątkowany i niemający nawet dokładnie opracowanego inwentarza, przykuwa atoli do siebie uwagę nawet uczonych cudzoziemców; tembardziej więc mamy się poczuwać do obowiązku bliższego zapoznania się z kilku chociażby najciekawszemi dla archeologa zabytkami. W wieku XIV, na Zachodzie, urządzanie dużych relikwiarzy, dla przechowywania szczątków świętych, zaczęło powoli wychodzić już z użycia, ponieważ same relikwie wciąż się rozdrabniały na cząstki, o posiadanie których dobijały się nietylko świątynie, lecz i najmożniejsze osoby. Powstał stąd zwyczaj urządzania takich właśnie relikwiarzy, których sam kształt zewnętrzny przypominałby odrazu i wskazywał ich zawartość. Tak więc, dla przechowania głowy świętego lub ręki, i relikwiarze urządzano odpowiednio, w kształcie głowy lub ręki. Podobno jedynym w dyecezyi tego rodzaju zabytkiem jest relikwiarz św. Stanisława (fig. 1), w kształcie ręki srebrnej, pozłocistej, długości 40 centym., mającej na palcu pierścień biskupi z kamieniem. Jest to najdawniejszy za-

bytek skarbca, sięgający końca XIV wieku; przysłany został z katedry na Wawelu przy erygowaniu kościoła Ś. Stanisława w Wilnie na fundamentach pogańskiej świątyni Perkunasa. Ciekawy ten okaz średniowiecznego złotnictwa, zna-

(*fig. 1*).



Relikwiarz starożytny z cząstką ręki Św. Stanisława, Biskupa i Męczennika, ze skarbca Katedralnego w Wilnie.

ny już z inwentarza, sporządzonego w 1598 r. przez prałata Diciusa, uległ pewnej przeróbce w pierwszej połowie XVIII wieku, jak świadczą o tem dzieje kapitulne. Całunek (oscu-

lum), na stronie wewnętrznej zaprawiony szkłem kryształowem, pokrywającem święte kości prawej ręki, od łokcia, pierwiastkowo miał formę krzyża, nie zaś podłużnego czworokąta, jak obecnie. Od spodu przydaną również została, w kształcie wianka, rzeźbiona, srebrna osada, która zmieniła w części starożytny charakter relikwiarza. Z kolei bliższą

(*fig. 2*).



Kielich starożytny ze skarbca katedralnego w Wilnie.

na siebie zwraca uwagę znajdujący się w tymże skarbcu starożytny kielich (fig. 2), nieopisany w żadnym inwentarzu i przysłany niewątpliwie po zamknięciu któregoś z kościołów w kraju. O pochodzeniu jego nie rozstrzyga bynajmniej gotycki u spodu napis na wstążce, nie dający się dotąd odczytać, a zagadkowość tę powiększa jeszcze brak na nim stempla cechowego lub oznaczenia wagi srebra, — po któ-

rem, być może, dałoby się odnaleść pochodzenie mistrza złotnika któregoś z miast polskich, a może i Wilna. — Bądź jak bądź, ten piękny i szlachetny wyrób niewątpliwie jest gotyckim, z końca XV lub początku XVI wieku, ma bowiem motywa gotyckich skarpifilunków, między niemi — nodi pod nodusem, czyli guzem ujęcia, — aczkolwiek koronkowość u spodu czaszy i *à jour* u podstawy świadczą o rodzących się już wpływach ronesansu. Ubranie kamieniami nodusa, szlifowanie i osada ich charakteryzują również początek XVI stulecia. Z innej strony, wnosząc ze znacznej szerokości czaszy z góry w stosunku do jej głębokości, co charakteryzuje kielichy francuskie XIV wieku [1]), zdawałoby się możliwem odnieść go właśnie do tej epoki, a to tembardziej, że i półpostacie świętych [2]), na płatkach podstawy wyryte, mają charakterystykę stylową nieco wcześniejszą, niż koniec stulecia. Wszelką atoli wątpliwość w tym wypadku usuwają gotyckie motywa ornamentacyi nóżki i wachlarzowa, sześciopalczasta podstawa kielicha, powtarzająca się w wyrobach złotniczych od połowy XV i przez cały wiek XVI. Formy bowiem gotyzmu w naszem złotnictwie jeszcze długo istnieją w wieku XVI, renesans zaś w swej czystości przychodzi do nas bardzo późno.

Ze wszech miar ciekawym i pięknym zabytkiem katedralnego skarbca jest monstrancya „Gieranońska" (fig. 3), której pochodzenie jest znanem dokładnie z testamentu samego ofiarodawcy. Był nim kanclerz W. L. Wojciech Gasztold († 1540), ojciec pierwszego męża królowej Barbary. Podnosząc do stopnia kollegiaty, na mocy pozwolenia stolicy Apostolskiej, kościół S. Mikołaja na zamku swego hrabstwa Gieranońskiego, w powiecie Oszmiańskim, — Kanclerz hojnie go zaopatrzył we wszelkie kosztowne sprzęty, naczynia i aparaty, w liczbie zaś ich ofiarował monstrancyę „srebrną pozłocistą, ważącą grzywien pięćdziesiąt i sześć, dla wystawienia

[1]) Historie de l'Orfévrerie par Ferdinand de Lasteyrie, membre de l'Institut. Paris. 1875 p. 154—158.

[2]) Matki Boskiej, S. Józefa, S.S. Małgorzaty, Elżbiety, Barbary i Katarzyny.

w znakomitsze uroczystości". Gdy w parę lat po ojcu ofiarodawcy zszedł do grobu syn jego Stanisław, mąż Barbary, ostatnia męska latorośl domu Gasztoldów, a Gieranony przeszły na króla, monstrancya, razem z innemi aparatami,

(*fig. 3*).



Monstrancya „Gieranońska" ze skarbca Katedralnego w Wilnie.

przeniesioną została z infulacyi Gieranońskiej do Katedry w Wilnie. Wykonana w stylu czysto gotyckim, wysokości 1 metr, monstrancya wyjątkowo dziś tylko się używa przy Grobach, w Wielki Czwartek. — Na podstawie jej, na wyż-

szej powierzchni, po bokach, widzimy 2 tarcze herbowe czterodzielne, z czterema herbami w płaskorzeźbie na każdej: Habdank, Hippocentaurus, Płomieńczyk i Druck [1]; między tarczami zaś płaskorzeźbione, symboliczne godła 4-ch Ewangelistów. — Rozszerzająca się nieco ku górze część misternie rzeźbionego trzonu ma z obu stron również małe tarcze herbowe, z ojczystym Habdankiem; wyryta na tylnej tarczy liczba 1535 oznacza datę ofiary Kanclerza. Po bokach trzonu, oparte głowami o podstawę, podnoszą się do góry 2 węże, mające szczyty ogonów zakończone kwiatami, zdającemi się podtrzymywać poprzeczne ramię rzeźbione. Na tem ostatniem, z obu stron oprawy melchizedeka, wznoszą się po 3 pary filarków, z których środkowe mieszczą pomiędzy sobą 2 posążki Ś. Ś. Wojciecha i Stanisława. U góry, nad oprawą, zakreślona łukiem podstawa, ogrodzona dookoła drobnemi balaskami, unosi na sobie posążek Bogarodzicy z Dzieciątkiem w promienich. Za pomocą 6 słupków, z których każdy na środku swej wysokości ozdobiony jest wizerunkiem świętego, podstawa ta się łączy z inną u góry podobną podstawą, stanowiącą wyższą kondygnacyę, na której się mieści miniaturowa figura Chrystusa. Wieńczą monstrancyę, ponad wizerunkami Zbawiciela i Świętych Biskupów, 3 igły gotyckie, z których środkowa nieco wyższa, zakończona krzyżem, ze stojącemi pod nim Bogarodzicą i Ś. Janem, boczne zaś—aniołkami, trzymającymi chorągiewki, od których pozostały dziś tylko jedne drzewka. Pomimo ściśle zachowanego w szczegółach gotyckiego stylu, i w tym zabytku również pasek na podstawie ażurowy, a w części i motyw w skręcie wężowym zdradzają już nowy kierunek epoki odrodzenia.

Wstąpmy jeszcze na chwilę do zakrystyi kościoła pobernardyńskiego, pod wezwaniem Ś. Ś. Franciszka i Bernar-

---

[1] Habdank — Gasztoldów; Hippocentaurus — kniaziów Holszańskich (Trabsuich) — herb matki; Płomieńczyk—Dowgiełłów, herb babki po ojcu, i Druck—Kniaziow Druckich babki po matce. Wizer. i Roztrząsania naukowe. Poczet nowy drugi. Wilno, 1841 str. 149, t. 22. Kniaziowie Litewsko-Ruscy od Końca XIV wieku. Józefa Wolffa. Warszawa 1895 r. str. 58 i 98.

da, dla obejrzenia przechowujących się w jego skarbcu dwóch starożytnych, przepięknych relikwiarzy. Pomimo historycznej wartości tych szacownych pamiątek, jeden z relikwiarzy jest nadto wielce ciekawym i rzadkim dla archeologa okazem dawnej sztuki nakładania szkliwa, czyli emaljerskiej. Oby-

(*fig. 4*).



Relikwiarz złoty z cząstką prawdziwego drzewa Krzyża Ś-go w kościele Bernardynów w Wilnie.
(Biskupa Jerzego Tyszkiewicza.)

dwa mają kształt krzyża, z których w jednym znajduje się cząstka drzewa Krzyża Ś-go, w drugim zaś cząstka Krwi przenajświętszej Chrystusa Pana. Pierwszy z nich, wysokości 24 c., (fig 4), ma całą przednią stronę, do połowy dolnej części pionowej, z kryształu, przez który w środku widzieć się daje mniejszy krzyż metalowy, z wyrytą na nim figurą Ukrzyżo-

wanego. Połączenie poprzecznych ramion z pionowem pokrywa metalową klamra, umocowana 4 śrubkami i mająca na rogach ostrzą, w kształcie liści. — Część dolną, pionowa, zakończa się węższą nóżką, mającą u góry, pod kapeluszem kardynalskim, wyryty herb Leliwy, otoczony łacińskiemi inicyałami Jerzego Tyszkiewicza, biskupa Żmudzkiego. Gdy się tę nóżkę wstawi do odpowiedniego urządzonego metalowe-

(*fig. 5*).



Relikwiarz złoty z cząstką prawdziwej Krwi przenajświętszej w kościele Bernardynów w Wilnie. (Biskupa Jerzego Tyszkiewicza).

go futerału, herb się całkiem zakrywa. Z przodu część metalową ornamentuje delikatny rysunek z liści i kwiatów, grawerskiej roboty, odwrotna zaś strona jest gładka, z napisem łacińskim, treści religijnej. — Nader cennym okazem artystycznego szkliwa jest drugi relikwiarz (fig. 5), mający wysokości 25 i szerokości 16 centym. Ramiona krzyża

łączą się tu z częścią pionową, za pomocą pewnego rodzaju okucia, mającego w środku próżnię, zaprawioną z obu stron szkłem kryształowem, przez które widzimy miniaturowy kielich. Zdobią to okucie po rogach 4 naturalne ostrza górnych kryształów, niby promienie, a po wierzchu upiększa je, również jak i podstawę krzyża, rysunek grawerskiej roboty, o motywach roślinnych. Poza tem, całą przednią stronę relikwiarza pokrywa przepyszne szkliwo, na złotym podkładzie, w kwiaty i liście, o świetnych barwach purpurowych, niebieskich i białych. Odwrotna strona z kryształu, przez który, na tle zielonem, widzialne są godła Męki Pańskiej. Za metal do relikwiarzy użyto złota wysokiej próby. Żadnych zgoła nie mamy wskazówek ani co do nazwiska mistrza artysty, ani co do czasu i miejsca wykonania tych relikwiarzy. Byćby mogło, iż jakiebądź odnośne ślady pozostały w papierach po biskupie wileńskim Jerzym Tyszkiewiczu († 1656), lecz wobec ucieczki jego w 1655 r. do Królewca, należy wątpić, czy takowe ocalały. Bądź jak bądź, niewątpliwie te artystyczne zabytki powstały w epoce najwyższego rozkwitu renesansu włoskiego, w początkach XVI wieku. Z przechowującego się atoli w zakrystyi kościelnej pergaminu, mamy za to możność poznania osoby ofiarodawcy i określenia czasu, w którym relikwiarze ofiarowane zostały bernardynom wileńskim. Każdy z nich się mieści w osobnej szafce, o dwojgu drzwiczkach, stojącej na podwyższeniu o trzech stopniach. Szafki są ociągnięte aksamitem purpurowym, na którym wewnątrz haft, złotem bogaty, a nad niemi ornament srebrny, wyobrażający dwóch cherubinów, dzierżących aureole, w których widzimy nad jedną Zmartwychwstanie Pańskie, a Imię Jezus nad drugą. Na dolnym stopniu szafki, przechowującej krzyż emaljowany, przytwierdzono z przodu dwie srebrne wyzłacane małe tarcze, z herbem „Wodwicz“ na jednej, — i „Lisem" czyli „Bzurą" na drugiej; druga zaś szafka, opatrzona podobną, pojedynczą tarczą z „Pelikanem". Następne inicyały łacińskie, otaczające herb „Wodwicz:" A. N. V. M. D. L. L. P. M. Ż. S. C, i polskie naokoło „Lisa": T. S. P. W. X. L. L. P. M. S. Ż. S., dopełniając treści

będącego w mowie pergaminu, dokładnie wyjaśniają epokę darowizny. Krajczy litewski Władysław Tyszkiewicz, syn Antoniego Jana, Marszałka Litewskiego, odziedziczywszy relikwiarze po stryju swym, biskupie wileńskim Jerzym, darował je, w 1667 r., bernardynom Wileńskim, w kościele których sam został następnie pogrzebionym (1684 r.). Schowanie dla jednego z nich czyli szafkę bogatą własnym kosztem sporządzili i opatrzyli swemi herbami Aleksander Naruszewicz (herbu Wodwicz) podkanclerzy litewski, Luboszański, Pieniański, Miadziolski, Żołudzki i Szereszawski starosta, († 1668 r.) i żona jego Teodora Sapieżanka (herbu Lis), córka Pawła Sapiehy, Wojewody Wileńskiego i hetmana W. L., która następnie wyszła za krajczego Władysława Tyszkiewicza. Otaczające „Pelikana" na innej tarczy litery: S. H. K. P. S. W. X. L. W. S. — tłomaczą, że ofiarodawcą był Samuel-Hieronim Kociełł, pisarz Skarbowy W. X. L. Wojski Starodubowski, lecz zgoła nie wyjaśniają stosunku jego do poprzednich, wymienionych osób. — Skąd inąd zresztą wiemy, że hetman Paweł Sapieha dał sute dowody swej wdzięczności panu Wojskiemu, „w rekompensę wyświadczenia dobrej i życzliwej przeciwko sobie przyjaźni". Być więc może, iż sporządzeniem tej pamiątki dla relikwiarza chciał p. Kociełł spłacić, chociaż w małej cząstce, dług wdzięczności córce swego przyjaciela, za hojny, niegdyś od niego otrzymany, w postaci dwóch wiosek, podarunek [1]).

Oglądając starożytne pamiątki świątyń wileńskich, niepodobna pominąć i poblizkich Trok, gdzie fundowana w 1409 roku przez Witolda fara, pomimo licznych wojen i spustoszeń ubiegłych wieków, przechowała dotąd w swym skromnym skarbcu kilka godnych uwagi archeologa zabytków. Pochodzenie ich atoli, dla braku jakichbądź świadectw piśmiennych, pozostaje dotąd niewyjaśnionem. W liczbie tych przedmiotów pierwsze zajmują miejsce 2 korony, wieńczące niegdyś głowy Bogarodzicy i Dzieciątka Jezus w starożyt-

---

[1]) Powiat Oszmiański. Materyały do dziejów ziemi i ludzi zebrał i wydał Czesław Jankowski. Petersburg i Kraków. 1896 Część I str. 307.

nym obrazie wielkiego ołtarza, które podanie nazywa Witoldowemi Koronami, odnosząc je, oczywiście, do czasów jego panowania. Właściwem tu może będzie przypomnieć zapisane w kronice fary, w początku XVIII wieku, podanie o pochodzeniu samego obrazu, który zasłynął, jako cudowny, około 1600 roku. — Według tradycyi, miał to być ten sam obraz, który niegdyś cesarz byzantyjski, Jan Komnen, zwyciężywszy Hunnów i Persów, wprowadził uroczyście do Carogrodu, na srebrnym wozie, ciągnionym przez 4 białe konie. W dalszym czasie — opiewa podanie — obraz ten był darowany przez cesarza Manuela II Paleologa Witoldowi, z okazyi chrztu jego w 1386 roku. — Atoli samo podanie o darowiźnie Witoldowi tego obrazu nie potwierdza się zgoła żadnemi świadectwami spółczesnych lub późniejszych kronikarzy, u których nie było w zwyczaju przemilczeć o podobnych wypadkach; lubo skądinąd możnaby z łatwością przypuścić sam fakt darowania obrazu przez ostatniego z Paleologów, który, będąc zagrożonym od Turków, wszędzie szukał w Europie ratunku. Zauważyć jeszcze należy, iż ta sama tradycya podarunku cesarza Paleloga — wiąże się z innym jeszcze, niedużym obrazem Bogarodzicy, zawieszonym u grobowca Witolda w Katedrze wileńskiej. Ten ostatni obrazek w swoim czasie był przedmiotem studyów b. Komisyi Archeologicznej Wileńskiej, i przeszło 4 wieki wisiał w kościele Benedyktynów, w Starych Trokach, fundowanym również przez Witolda, a po skasowaniu jego, przeniesionym został, w 1844 r., do katedry w Wilnie. — Bądź co bądź, to jedno nie ulega wątpliwości, iż korony Skarbca trockiego, o bogatej ornamentacyi i artystycznem wykończeniu, mogły być ofiarowane tylko przez jakąś wysoko bardzo stojącą osobę [1]. Korona Bogarodzicy, (fig. 6). szczerozłota, szerokości 81 i wy-

[1]) Na starożytnym sztychu obrazu M. B. Trockiej, wydanym we Wrocławiu przez Bartłomieja Strachowskiego, wkrótce po koronacyi obrazu, w 1718 r., z rozporządzenia Papieża Klemensa XI, widzimy 2 całkiem odmienne korony. Patrz: Dzieje Dobroczynności krajowej i zagranicznej. Wilno. 1822. p. 1272.

soka na 21 c., składa się z górnej części i dolnego pasa, który się dzieli na 3 inne mniejsze. Na najniższym pasku matowym umocowano 3 takież kwiatki, mające każdy w środku gwiazdkę z rubina, osypanego granatami. W środkowym pasku —

(fig. 6).



Starożytna korona „Witoldowska" do cudownego obrazu Matki Boskiej, w skarbcu kościoła parafialnego w Trokach.

ornament w kształcie wychylonych, trójkątnych liści, o czarnem i niebieskiem szkliwie, oddzielonych od siebie skośnemi rzędami misternych perełek; na wyższym zaś widzimy szereg wychylonych listków lilii, *en relief*, pokrytych szkliwem barwy szafirowej, białej i zielonej. Każdy listek ozdobiony

sporą perłą, a dopełniają całości 4 gwiazdki również z rubinu i pereł. — Między górnym i środkowym paskiem 3 gwiazdy z rubinów, od których się zwieszają po 2 duże perły; na końcach — 2 takież mniejsze gwiazdki. Górna część korony, matowa, pokryta czarno szmelcowaną siatką; poprzeczne obramowanie i pasek tworzą pojedyncze, w złoto oprawne rubiny, w kształcie tasiemki, ogarnirowanej drobnemi perłami. Widoczna, iż cały kontur był niegdyś ozdobiony perłami, z czego należy wnosić, że i krzyż na niej, dziś odłamany, również był z drogich kamieni i pereł. Korona Dzieciątka

(*fig. 7*).



Starożytna korona Dzieciątka Jezus do cudownego obrazu Matki Boskiej w skarbcu kościoła parafialnego w Trokach.

Jezus (fiig. 7) matowa, szczerozłota, trzyma szerokości $15^1/_2$, i wysokości z krzyżem $10^1/_2$ c. Pokrywa ją prawie całkiem delikatny, filigranowego wyrobu ornament, o nader wytwornym rysunku. Zdobią w środku koronę 3 rozetki, o białem i bladoniebieskiem szkliwie, a po brzegach i środkowych paskach — takich samych mniejszych 20. Jabłko pod krzyżem, nad koroną, ciemno-szafirowo szmelcowane, z żółtym paskiem poprzecznym. Zastanawiając się bliżej nad kształtem korony większej i zapożyczonym z flory motywem jej ornamentu, właściwym renesansowi włoskiemu, należy przypuścić, że mamy do czynie-

nia z wyrobem mistrzów złotników toskańskich drugiej połowie XV wieku, którzy w swych szeregach liczyli najpierwszych swego czasu artystów. Co do mniejszej korony, zdaje się, iż z większem prawdopodobieństwem możnaby wnosić, że jest dziełem zlotników weneckich, co już w XII wieku głośno słynęli ze swych subtelnych, filigranowych wyrobów [1]. (*fig. 8*).



Monstrancya starożytna w kościele parafialnym w Trokach.

Zanim opuścimy zakrystyę fary trockiej, poświęcimy jeszcze chwilę bliższej uwagi starożytnej monstrancyi (fig. 8), wykonanej ze srebra i w części ze złota, przez nieznanego również artystę. Wysokość jej 74, a szerokość 37 c. Oprawa melchizedeka ma kształt serca, ozdobionego obwódką, wy-

[1] Histoire de l'Orfévrerie - par F. de Lasteyrie. p. 139, 191, 213.

sadzaną brylantami, perłami i rubinami. Wokrąg strzelają od niego promienie, na których widzimy w górze, nad samą oprawą, siedzącego na gnieździe pelikana, karmiącego pisklęta; nad nim zaś, — co odróżnia właśnie tę monstrancyę od innej, nieco podobnej do niej, zwanej „Pacowską“, w katedrze w Wilnie, — orzeł dwugłowy Świętego Państwa Rzymskiego, wysadzony całkiem rubinami, ze szmaragdem w środku. Na odwrotnej stronie ten niewątpliwie rakuski orzeł ma czarno-białe ze szkliwa upierzenie, na piersiach jego wizerunek Bogarodzicy z Dzieciątkiem, w pół postaci, a na skrzydłach miniaturowe postacie Świętych. Nad orłem, podtrzymywany przez 2-ch cherubinów, wznosi się Bóg-Ojciec w obłokach; całość zaś zakończona jest u góry złotym krzyżem w aureoli, mającym w środku mały krzyż koralowy z dyamentami. Z boków dwaj aniołowie dzierżą godła Męki Pańskiej, a pod oprawą postać Bogarodzicy w obłokach, *en relief*, z rękami na piersiach skrzyżowanemi. Srebrne gałązki o liściach, kwiatach i wieszadełkach ozdabiają również boki; kwiaty pokryte są szkliwem barwy zielonej, niebieskiej i bladożółtej. Monstrancyę podtrzymuje postać Archanioła, stojącego na podstawie, mającej z przodu w płaskorzeźbie wizerunek Ś. Jana Ewangielisty, na odwrotnej stronie dokładny wizerunek M. B. Trockiej, z boków zaś 2 główki aniołków (au repoussé). Ornamentacya z kwiatów i liści, w stylu renesansowym, i dwugłowy orzeł rakuski — prowadzą do wniosku, iż mamy przed sobą również dzieło sztuki włoskiej, z końca XV lub początku XVI stulecia. Coby zaś miał tu właściwie oznaczaś orzeł dwugłowy — to stanowi zagadkę. Nie kusząc się o jej wyjaśnienie, pozwalamy sobie atoli postawić pytanie, czy nie możnaby przypuścić, że za sprawą znanej ze swych hojnych ofiar i upiększeń kościołów królowej Elżbiety, „matki Jagiellonów“ — monstrancya była darowana farze trockiej przez jej stryja niegdyś opiekuna, cesarza Fryderyka III? Wszakże Troki, ulubiona rezydencya Kazimierza IV, w owej epoce były dobrze znane na Zachodzie, i w tym wypadku dałby się zupełnie tłomaczyć brak na monstrancyi rodowego herbu ra-

kuskiego, odznaczającego wszystkie dary pobożnej królowej [1]). Ta wreszcie okoliczność, iż na stopie jej znajduje się dokładny wizerunek obrazu Bogarodzicy Trockiej, zdaje się stwierdzać inne przypuszczenie, że monstrancya umyślnie dla kościoła Trockiego wykonana została.

Kazimierz P.

Wilno, w Lutym 1898 r.

---

[1]) Bazylika Litewska, przez A. H. Kirkora, członka nadzw. Akad. Umiejęt. w Krakowie. Kraków. 1886 str, 60.

Zbliżenia Litwy z Zachodem

za Mendoga i Giedymina.

Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty
I szumią lasy, pomieszkania bogów,
Po drugiej stronie na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźne ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.

Konrad Wallenrod.

Zadumawszy się nad przeszłością i okiem, pełnem szlachetnego pragnienia wiedzy dawnego życia, przenikając w te dalekie wieki, dostrzeżemy przypominany ogólnie fakt wielkiego znaczenia, że ów krzyż, „godło Niemców", jak go nazywa poeta, już na sto trzydzieści lat przed Jagiełłą był celem myśli i pragnień dwóch najpotężniejszych władców, jakich Litwa wydała, że już wtedy jak widzenie wśród lasów, „bogom" poświęconych, wzniósł się na ziemi litewskiej kościół prawdziwego Boga — a zbudowały go ręce tegoż samego narodu, który niebawem powrócił znowu w mroki i pustynie pogaństwa.

W historyi powszechnej fakt odtrącenia od chrześcijaństwa całego narodu przez chrześcijan, i to w epoce ogólnej gorliwości misyjnej, jest wielką na szczęście rzadkością. Rys to nadto uwłaczający naturze ludzkiej. Fakt ten jednak spełnił się nad błękitnemi wodami Niemna i Wilii, w drugiej epoce cywilizacyjnych dążeń Litwy, mianowicie za Giedymina. I historya tych pasowań się jest pełna tragiczności.

Jest w niej pragnienie i silna wola władcy, dążącego do pożądanego celu, jest ciche, poniewolne zgodzenie się posłusznego ludu, jest niezliczone stawianie zawad, wreszcie wysiłki kłamstwa i przemocy przez potężną grupę judaszowych chrześcijan, swobodnemu nawróceniu się młodego pogańskiego narodu systematycznie przeszkadzających, jest wreszcie obezsilenie tego narodu i jego króla w nieustającej walce upadek na duchu i złamanie szczytnych zamiarów i nadziei.

Spojrzymy naprzód na tragedyę dziejową Mendoga.

Rozważając historyę działań misyjnych Zakonu Teutońskiego na północy, zobaczymy że celem jego było przedewszystkiem podbicie ogółu krajów nadbaltyckich, odebranie wolności zamieszkałym tam narodom pogańskim, powalenie ich do stóp swoich i dopiero wówczas nawrócenie. Plan ten dał się przeprowadzić Krzyżakom z Jaćwieżą i z Prusakami, ale gdy te obie gałęzie szczepu litewskiego cierpiały, łamały się i padały w nierównym boju, tymczasem osłoniona przez nie Litwa rosła, skupiała siły i nie zamierzała wcale pójść w ślady zgnębionych pobratymców.

Pierwsze ważniejsze starcie się Litwy z Zakonem, a naprzód tylko z Zakonem Kawalerów Mieczowych, było w głośnej na całe wówczas Niemcy bitwie pod Saule w roku 1236. Wielkie i niespodziane zwycięstwo, odniesione wówczas przez nieznanych puszcz mieszkańców, zdumiało Europę; nadzwyczajna też była porażka Zakonu, który liczne hufce zwołanych i sproszonych gości zagranicznych, wiódł jakby na uciechę w głębię puszcz, za Dźwinę. Podania mówią że na czele litewskiej siły stał Ringolt, pierwszy W. Książe. Kwiat rycerstwa niemieckiego legł na placu boju, ciało Mistrza Volkwina leżało między zabitymi, ledwo dziesiąty człowiek zdołał ujść z pogromu [1]).

To zwarcie się, nad wszelkie oczekiwanie szczęśliwe, rozpoczęło szereg walk blizko dwuwiekowych. Natychmiastowe jednak skutki bitwy pod Saule złe były dla Litwy, po tej

[1]) Oprócz źródeł krzyżackich, latopisy: Nowogrodzki I, Troicki, Twerski.

to bowiem niemieckiej klęsce oba zakony Mieczowy i Teutoński podały sobie ręce i okrążyły Litwę groźnym łukiem z północy i zachodu.

W piętnaście też lat potem znajdujemy w tych stronach o wiele na niekorzyść zmienione okoliczności. Nad Litwą panuje Mindowe, pierwszy historyczny W. Książe, aczkolwiek miał już w rodzie swoim potężnego poprzednika [1]). Drobni książęta, zmuszani do lenniczej uległości silną jego ręką, burzą się przeciw jego zwierzchnictwu.

W r. 1249 [2]) dwaj synowcowie W. Księcia, Towtywiłł i Edywid, zbuntowani i zato wygnani przez Mendoga, uchodzą z kraju, aby doń wrócić z naprowadzonymi nieprzyjaciółmi. Towarzyszył im jeszcze jeden rodu wysokiego malkontent, Wikint, ks. żmujdzki, jak widać z napomknień kroniki, mąż nader dzielnego ramienia. Nietrudno było rokoszanom pobudzić sąsiadów. Wstał dumny Daniel halicki, zdawna, mimo przeciwnych pozorów, przeciwnik Mendoga: uderzył na Wołkowysk, Słonim, tak, iż z ziem Rusi Czarnej jeden Nowogródek ocalał przy Litwie. Jadźwingowie, Ruś, Połowcy nawet, wiedzeni przez Towtywiłła, rozpuścili zagony. Żmujdzini, wówczas słabo jeszcze połączeni z Litwą, szli przeciw Mendogowi pod wodzą Wikinta. Wojna ze wszech stron ogarnęła państwo Mendoga. Najgroźniejsze było najście Andrzeja von Stirland, mistrza kawalerów Mieczowych. Zaleli Niemcy północną stronę Litwy i okrążyli zamkniętego w obronnym zamku Mendoga. Nie zdobyli wprawdzie zamku, trapieni byli przez wycieczki z twierdzy, lecz rozpostarli mord i spustoszenie tak daleko, jak nigdy, w głąb litewskiej krainy. „Bito lud jak bydło" powiada współczesny niemiecki kronikarz [3]). Zawrócili potem rycerze na Żmujdź, której te same

---

[1]) Scrip. rer. livon. I. 630 ze słów Trojnata.

[2]) Daty i wiele ważnych faktów wyjaśnił lub sprostował Juljusz Łatkowski w pięknej pracy swojej p. t. Mendog król Litewski. Kraków 1892 r.

[3]) Reimchronik. Scrip. re. liv. I 580.

krwawe dary przynieśli, w drodze powrotnej niesyte miecze skąpali jeszcze we krwi wciąż powstających Żemgalów, i wreszcie zwycięsko powrócili do Rygi.

Przepaść otwierała się pod stopami Mendoga. Towtywiłł w Rydze przyjął chrześcijaństwo i dążył do tronu, jako przyszły chrześcijański władca Litwy, popierany przez Arcybiskupa Rygi i Zakon; tylko równie śmiały a stanowczy krok mógł Mendoga i jego państwo ocalić. Po krótkich traktowaniach przez poselstwa z mistrzem Andrzejem oświadczył władca Litwy, że gotów jest pochylić głowę pod zdrój wody chrzestnej.

Tak więc powody polityczne stały się bezpośrednią pobudką pierwszego wejścia Litwy do społeczności chrześcijańskiej. Dalsze dzieje okażą, że czyn Mendoga był szczery i że dążył on wytrwale do nawrócenia całego narodu.

Mistrz Andrzej von Stirland należy do nielicznych szlachetnych postaci wśród krwawego rycerstwa Zakonu; więcej w nim chrześcijańskiego rycerza, niżli Krzyżaka. Zamiast intryg z Towtywiłłem przeciwko wielkiemu księciu, Mistrz szczerze się ucieszył z usposobienia Mendoga i, postawiwszy jako warunek wiecznego pokoju między nim a Zakonem nieodmienne i rychłe chrztu przyjęcie, obiecał Mendogowi wyjednanie w Rzymie królewskiej korony.

Chrzest Mendoga, jego małżonki Marty, dwóch młodszych synów wraz z orszakiem dworzan, przykład monarchy naśladujących, odbył się na początku 1251 r. w ówczesnej rezydencyi Mendoga, której nie wymieniają dzieje. Działo się to pod protektoratem mistrza Andrzeja, który wraz z duchowieństwem i rycerstwem przybył do Litwy w tym celu. Po dokonaniu świętego obrzędu, Mendog z pomiędzy mężów swoich wybrał najzdolniejszego, by go nad poselstwem do Papieża przełożyć, i niebawem posłowie litewscy pospołu z inflanckimi, jadąc przez Rygę, udali się do Papieża Innocentego IV do Medyolanu. Przyjęcie nowego ludu do liczby narodów chrześcijańskich odbyło się z rozgłosem, jaki temu wypadkowi nadać mogły liczne bulle papieskie. Papież Inno-

centy IV w bulli, wydanej na imię Mendoga 15 Lipca 1251 r. [1]), oświadcza mu wielką radość z jego nawrócenia i przyjmuje królestwo jego pod opiekę Stolicy Apostolskiej. W bulli drugiej tegoż roku, na imię Henryka, biskupa Chełmińskiego, którego papież uczynił swym legatem, rozkazuje temuż namaścić i koronować Mendoga na króla „całej Litwy," z warunkiem podległości jego, tudzież jego następców Stolicy Apostolskiej. W trzecim liście, do biskupów: ryskiego, dorpackiego i oeselskiego, nakazuje tymże, aby „w zamiarach Mendoga nawracania poddanych jego na wiarę świętą spieszyli mu z pomocą." W czwartym nakoniec liście, zawsze tego samego roku, do gorliwego organizatora chrześcijaństwa w nowej krainie, biskupa Chełmińskiego, zaleca temuż, „aby, upatrzywszy człowieka godnego i roztropnego, oraz biegłego w sprawach duchownych i świeckich, a do pasterstwa zdolnego, przełożył go biskupem nad Litwą."

Tymczasem wypadki wojenne na południu i na zachodzie szły swoim trybem i ciężkie walki musiał odbyć Mendog, zanim pokonał przeciwników i o przyobleczeniu nowego dostojeństwa mógł spokojnie pomyśleć.

Uroczystości najświetniejszej, jaka kiedy była w Litwie [2]), obecnym był znowu mistrz Andrzej z rycerstwem swojem, biskup Chełmiński Henryk z duchowieństwem inflanckiem, wśród którego był niechybnie powiernik i katecheta Mendoga, Chrystyan, później pierwszy biskup litewski. Hufce surowych wojowników Mendoga, tłumy ciekawego ludu musiały uczestniczyć we wspaniałym obchodzie. Koronę na głowę Mendoga i żony jego Marty włożył biskup Chełmiński. Dotacya katedry biskupiej litewskiej została dokonana i dyplomatem potwierdzona.

---

[1]) Theiner, Vetera monumienta I 49,50. CII. CIV. CV. CVI.

[2]) Miejsce koronacyi Mendoga dotąd w niepewności pozostaje. Z czterech punktów, w których ten wielki wypadek widzieć chciano: Kiernów, Naujas-pillis, Woruta, Mowogródek, pierwsze trzy przedstawiają równe prawdopodobieństwo; Nowogródek miński, jako bardzo odległy i niedawną wojną objęty, musi być wykluczony. Najprawdopodobniejsza data koronacyi: r. 1253 w lecie.

Zło, które powoli poczęło niszczyć to najpiękniejsze dzieło w dziejach Litwy, aż je doprowadziło do zupełnego upadku, leżało zarówno w chciwości terytoryów ze strony Krzyżackiego Zakonu i srogich sposobach jego postępowania, jak w zwyczaju ówczesnym dzielenia się ziemią i oddawania razem z krajem ludu na nim zamieszkałego pod rządy obce. Mendog musiał wynagrodzić Zakon Krzyżacki za wyjednanie mu korony i pomoc przeciw nieprzyjaciołom domowym i zewnętrznym, nadał mu przeto ziemie, leżące na opornej Żmujdzi, jak to dyplomat nadawczy wykazuje: połowę Rosień (t. j. obwodu rosińskiego) połowę Ejragoły, połowę Betygoły; drugą połową Rosień i Betygoły obdarzył pierwszego biskupa swego kraju Chrystyana, biskup zaś, ustępując swoje dziesięciny w kraju, danym zakonowi, żądał odeń obrony i opieki. Ludu wcale nie brano w rachubę, a mieszkał na tym starym gruncie swoim najzawziętszy, najtwardszy i razem najdzielniejszy z ludów litewskich — Żmujdzini.

Cudzych rządów nie znosił lud, który miał w swoich wspomnieniach takie zwycięstwo, jak pod Saule [1]). Skoro więc z Mendogiem nastał pokój, a na dworze jego gościli księża i rycerze, na Żmujdzi zawrzała wojna i pożar ten nie gasł, ale rozszerzył się niebawem na pobratymcze ziemie, obarczone władzą Krzyżaków.

Do ostrego postępowania Zakonu na Żmujdzi, wiodącego za sobą dla obu stron najgorsze skutki, przyczyniła się ta okoliczność, że w lat niespełna parę po koronacyi Mendoga, ustąpił z mistrzowstwa dzielny i łagodny Andrzej von Stirland, a nastał po nim w szybkich po sobie zmianach szereg mistrzów inflanckich srogiego i zaborczego usposobienia. Eberhard von Seyne wzniósł silny zamek Memel u ujścia Niemna, zamykający Żmujdzi wolny oddech do morza. Odtąd szczupły handel tego kraju doznał dotkliwego ścieśnienia. Na ziemi kurońskiej, świeżo podbitej, wyrastały coraz

---

[1]) Pewno Szawle.

nowe twierdze krzyżackie, zagrażające Żmujdzi, tak opanowanej, jak niepodległej. Oddziały żmujdzkie z niemieckimi ścierały się zażarcie pod temi twierdzami i w otwartem polu. Tak trwało do roku 1257, w którym Żmujdzini, zmęczeni walką i zastraszeni walną wyprawą nowego mistrza Burharda von Hornhausen, zażądali dwóch lat pokoju. Pokój ten udzielono im w nadziei nawrócenia i pokojowego opanowania. Przez ten czas Żmujdzini słuchali nauki duchowieństwa spokojnie, lecz z umyślną głuchotą, słowa dotrzymując nie tknęli żadnego knechta ni rycerza, co im nawet kroniki niemieckie pochwaliły [1]), a po upływie dwóch lat równie zawzięcie, jak dawniej, jęli się znowu miecza.

Dążenie obu Zakonów do połączenia Inflant z Prusami, za pomocą zaboru całej Żmudzi, stawało się coraz widoczniejsze.

Kraina żmujdzka nie była naówczas jednolita. Południowo-zachodnią jej częścią władał Mendog, i w tej za dozwoleniem jego gospodarowali Krzyżacy.

We wschodniej i północnej, w lekkich prawdopodobnie warunkach zawisłości od Mendoga, rządził stary ród książąt żmujdzkich, o bojownikach nieznanych imion, i stąd pochodził najsilniejszy opór przeciw obecnemu zaborowi. W roku 1259, mistrz Burhard zbudował już w ziemi żmujdzkiej nad Niemnem zamek silny, skąd opanowanie nareszcie dokonać się miało. Było to hasłem do walki na śmierć lub życie. Żmujdzini wznieśli naprzeciw drugi zamek równie mocny i obie załogi, wypadając na siebie, ścierały się w ciągłych walkach. Rzeczy szły ku krwawemu i ostatecznemu rozwiązaniu,

Z jakim uciskiem w duszy król Mendog patrzeć musiał na rosnące rozdwojenie w kraju i narodzie, nie przedstawił nam żaden współczesny dziejopis, lecz z czynów króla widoczna będzie niebawem ciężka walka wewnętrzna. Nie zrywał on z Krzyżakami, lecz kraj zrywał z nimi i rośli we-

---

[1]) Reimechronik 1 c. 601.

wnętrzni nieprzyjaciele; trwał w wierze chrześcijańskiej, tembardziej, iż działał nań wpływ gorliwej w wierze małżonki, królowej Marty, lecz chrześcijaństwo w jego kraju nie rozszerzało się, owszem musiało się coraz bardziej ograniczać do samego dworu i otoczenia królewskiego.

Na Żmujdzi walka zbliżała się do rozstrzygnięcia. Odkąd zamek niemiecki dźwignął się na własnej żmujdzkiej ziemi, Żmujdzini nie znali spokoju. Nie mogąc tej budowli poradzić, a we własnym zamku naprzeciw unikając oblężenia, śmiałym zamachem wtargnęli na grunt nieprzyjacielski, do Kuronii. Tu, nad Jeziorem Durben, 13 Lipca 1260 r. odbyła się walna decydująca bitwa.

Nie pomogło Krzyżakom zgromadzenie rycerstwa z trzech krajów: Prus, Inflant i Estonii, nie pomogło spędzenie do pomocy gromad podbitego ludu. Zapał Żmujdzinów szedł o lepsze z zemstą Kuronów, którzy wśród bitwy odstąpili, a jak piszą inne źródła, z tyłu uderzyli na Niemców. Poległ mistrz Burhard i pruski marszałek zakonu Botel, wyginęli do szczętu Krzyżacy i zagraniczni krzyżowcy, którzy brali udział w bitwie. Kto nie padł na polu bitwy, tracił życie w ucieczce; zapamiętale ścigany Zakon wyparty został z całej Żmujdzi i Kuronii [1]).

Po tej bitwie, po której król litewski nie mógł bez utraty tronu trwać w sojuszu z nieprzyjaciołmi Litwy, Mendog przyjął poselstwo żmujdzkie, mające na czele księcia Trojnata, zapraszające go do wspólnego działania, i sam wtargnąwszy do Inflant, zerwał związek z Zakonem. Zakon dążył do zawładnięcia całą Żmujdzią, poczem obrócił się na Litwę. Instynktowi obrony narodu swego nie mógł jego król się sprzeciwiać. Stąd konieczność zerwania. Lecz że w duszy własnej Mendog nie zerwał z chrześcijaństwem, że owszem, po dziesięciu z górą latach wyznawania wiary Chrystusowej, wstrętne mu było pogańskie otoczenie, świadczy rychłe zno-

---

[1]) Szczegółowy opis tej bitwy u Dusburga Scrip. rer. pruss. I 96-97. Trochę odmienny w kronice rymowanej Scrip. rer. liv. I 617 619.

wu zerwanie związku z Trojnatem i dążenie do odnowienia stosunków z Rzymem, co bulle papieskie wykazują.

Prawdopodobnie tych właśnie usiłowań, a mniej prywatnej zemsty ofiarą padł Mendog r. 1263, zabity przez Trojnata i Dowmunta, razem z nadzieją rodu swego, dwoma w wierze katolickiej wychowanymi synami.

II.

Lata zamętu i wojen domowych nastąpiły w Litwie po jasnych, złudnych dniach Mendoga. Chrześcijaństwo się nie utrzymało. Tylko dzieło energii i długich lat panowania Mendoga: jedność władzy w ręku W. księcia, przetrwało niebezpieczne próby i skupiło naród w jednolitą polityczną całość. Plemię Palemona, silne tą jednością, oparło materyalne swe podstawy na szerokich ziemiach Rusi, politycznie z niem połączonej, a wtedy pragnienie chrześcijaństwa i związku z Zachodem, dążenie do światła, plemieniu temu właściwe, z rzadką siłą i stanowczością objawiło się w Giedyminie.

Wstaje ten mąż znakomity z łona własnego narodu, by nowe życie temuż narodowi natchnąć, z Europą go sprzymierzyć. Monarcha chce mu dać pokój i pracę, wojownik odpiera zwycięsko zamachy nieprzyjaciół, administrator utrzymuje prawa zdobytej Rusi, umie uznać cywilizacyjnych jej urządzeń wyższość, z mocarza pogańskiego pokorny katechumen, wyznaje się w swych dyplomatach najmłodszym z królów wobec społeczności Europy.

Fakt historyczny chrześcijańskich usiłowań Giedymina rozwija się w przeciągu dwóch lat tylko (1322—1324). Pobudki działania są tu już wcale inne od tych, które do takiego samego kroku wiodły jego poprzednika. Mendoga groźba wojny, wisząca nad krajem zagłada skłoniła do wyrzeczenia się pogaństwa. Teraz rzecz się ma odwrotnie. Giedymin, zwycięzca Krzyżaków w wolnej bitwie pod Żejmami, bezsporny zwierzchnik rozległych ziem Rusi, grodów Wilna i Trok założyciel, stoi w pełni siły i władzy, gdy daje ucha

zbawiennym radom Franciszkanów i Dominikanów, otaczających go w jego stołecznem Wilnie, gdy ulega dobrowolnemu wpływowi arcybiskupa Rygi Fryderyka.

Ryga oddawna dążyła do tego, by stać się prawdziwą metropolią Litwy, misyjnym dla niej ogniskiem. Zakon paraliżował działania Arcybiskupów, niemniej jednak trwały one, a pierwiastek duchowny coraz zawziętszą wojnę prowadził z rycerskim. Rozdwojenie to moralne zarysowało się już w pierwszych czasach założenia tego miasta i biskupiej stolicy. Z biegiem czasu Kawalerowie Mieczowi coraz wyraźniej przechylają się ku Krzyżakom, słuchają rozkazów z Malborga i opuszczeni i na pastwę malborskich łupiezców wystawieni biskupi gotowi są zawrzeć dla obrony przymierze bodaj z samymi poganami, których jednocześnie nawrócić usiłują, i stąd Ryga zbliża się z Litwą.

Najotwarciej podał dłoń Litwie i powstał przeciw Zakonowi, jako nieustraszony jego nieprzyjaciel, arcybiskup Fryderyk, przed osiągnięciem godności biskupiej franciszkanin z szlachty czeskiej. Przyjazne stosunki jego z Giedyminem trwały w tym samym czasie, gdy krucyaty Litwę niszczyły; dumny wobec Zakonu, W. Książe przyjaźnie się zwraca do arcybiskupa i, ulegając chrześcijańskim wpływom, pisze list do papieża Jana XXII, mający, jako szczere wyznanie pragnień pogańskiego władcy, uwolnić Litwę od Zakonu i połączyć ją z chrześcijaństwem.

Zamieszczamy akt ten i następne w skróceniu.

„Słyszeliśmy zdawna — pisze Giedymin do Papieża — że wszyscy wyznawcy wiary chrześcijańskiej waszej władzy i ojcostwu podlegają; oświadczamy przeto obecnymi listy Świątobliwości Waszej, że poprzednik nasz król Mindowe z całem swem królestwem na wiarę Chrystusa był nawrócony, lecz dla okrutnych gwałtów, krzywd i zdrad mistrza Zakonu Krzyżackiego, wszyscy odpadli od wiary i dlatego my, niestety (prohdolor), do dziś dnia w błędach przodków naszych pozostajemy."

Dalej następują gorzkie skargi na różne zbrodnie Krzyżaków jako to: zabijanie posłów, wysyłanych wzajemnie

między Litwą a Rygą, niszczenie kościołów, wymordowywanie ludności. „Ojcze święty — pisze dalej Giedymin — my nie walczymy z chrześcijanami dla wytępienia wiary katolickiej, ale w celu bronienia się od krzywd zadawanych, jak to czynią inni królowie chrześcijańscy. Piszemy to zaś, abyście wiedzieli, dlaczego ojcowie nasi pomarli w błędach pogaństwa i niewiary. Dziś przeto usilnie błagamy zwróćcie uwagę na nasz stan opłakany, albowiem gotowi jesteśmy być wam we wszystkiem posłuszni, jak inni królowie chrześcijańscy, przyjąć wiarę katolicką, byleśmy od katów owych, to jest mistrza i braci jego, w niczem nie zależeli" [1]).

Wymowny ten list poselstwo ryskie zaniosło do rezydencyi papieskiej Awinionu. Wszedłszy raz na tor europejski, Giedymin nie poprzestaje na tem. Otwiera na rozcież granice kraju swego dla przemysłu i pracy, pisze do magistratów miast niemieckich, do niemieckich zakonów wiekopomne odezwy, zapraszając misyonarzy i nauczycieli wszelakich rzemiosł, aby, pewni różnych łask, wolności i przywilejów, przybyli do państwa jego.

Trzy listy w autentycznych kopiach współczesnych pozostały nam na dowód cywilizacyjnych dążności Giedymina. W jednym przemawia do miast Lubeki, Rostoku, Sundu, Greifswaldu, Sztetinu, do Gottandyi, w drugim do Dominikanów niemieckich, w trzecim do franciszkańskich zakonów, a pisze się już majestatycznie na początku listów: Giedymin, z Bożej łaski Litwinów i Rutenów król, którego to określenia „z Bożej łaski" jedynie w liście do Papieża nie widzimy. „Prarodzice nasi — pisze w jednym z nich — wysyłali do was listy i posłów, otworzyli wam kraj swój, a żaden z was w przejeździe (mówi tu o przejeździe kupców niemieckich przez kraje litewskie do Nowogrodu, Pskowa) nie podziękował za te łaski..." Oznajmiwszy o swej chęci nawrócenia się i listach do papieża, pisze dalej: „Zaręczamy wam

---

[1]) Voigt. Geschichte Preussens. T. IV Dod. VI 626-627. Daniłowicz. Skarbiec dyplomatów I 153—154.

wszystkim, że taki pokój postanowimy, któremu podobnego nigdy chrześcijanie nie znali. Biskupów, kapłanów i zakonników, Dominikanów i Franciszkanów sprowadzimy do kraju naszego..." Z królewskiej hojności niniejszym (listem) czynimy ziemię naszą wolną, niepodległą mytom, ciężarom i uciskom. Niech przeto rzemieślnicy wszelacy: kowale, szewcy, kołodzieje, kamieniarze, solnicy, piekarze, złotnicy, kuszownicy, rybacy i inni przychodzą do nas z żonami dziećmi i dobytkiem i wychodzą, ilekroć im się podoba. Rolnikom, przychodzącym do naszego kraju, pozwalamy dzisiaj używać ziemi bez żadnych opłat, wyjmujemy ich od wszelkiej dla króla powinności..." Dla mieszczan zaś, którzy by do Litwy przyszli, pisze prawidła następne: „Wszystkie miejskie pospólstwo rządzić się będzie prawem miasta Rygi, jeżeli — dodaje przezornie — coś lepszego z rady biegłych nie będzie obmyślane..." „Do pisma obecnego przykładamy tęż samą pieczęć, jaką kazaliśmy opieczętować listy, do Papieża pisane, ku lepszej wierze i pewności tego, że prędzej żelazo w wosk się przemieni, a woda w kamień, aniżeli zdradzim dane słowo nasze..." [1]).

Odezwy te i zaproszenia, zaniesione przez pośredników Giedymina, posłów ryskich, odczytane zostały na ratuszu w Lubece, wobec zgromadzonych rajców i dostojników miasta. Pieczęć Giedymina, przywieszoną do trzech dokumentów, opisał tegoż 1323 r. akt notaryalny w Lubece i widzimy na niej męża, w mitrze książęcej siedzącego na tronie, dzierżącego w prawej ręce koronę, a berło w lewej; wokoło napis łaciński, jak w nagłówku listu [2]): (Że Giedymin królewskie insygnium, koronę, w ręku ma, nie zaś na głowie, czy nie oznacza, iż nie chciał nosić oznaki królewskiej, póki by Papież władzą swą włożenia jej nie uprawnił?)

---

[1]) Daniłowicz Skarbiec dypl. I 155—166. List do miast znacznie odmiennej formy i wcześniejszej daty u Bungego tom VI 497.

[2]) Voegt IV 632—633 Daniłowicz l. c. Narbutt IV. Dod. XIV.

Nieobliczone przemiany społeczne w Litwie zapowiadały te postanowienia Giedymina. Kraj Mendogów znowu się otwierał dla europejskiej kultury. Lecz zwrócenie się do miast niemieckich wywoływało niezbędnie czynne wdanie się Zakonu Krzyżackiego, który miał w Niemczech wpływy przemożne. Na niemieckim gruncie władca litewski z zakonem niemieckim występował do walki. Walka tedy odrazu była uniemożliwiona. Miasta i zakony chłodno przyjęły wezwania Giedymina. Jeżeli były jakie nieznane i niegłośne komunikacye w tej mierze zakonów lub miast z Dworem rzymskim, ucichły i zaginęły w rozgłośnej obronie, podniesionej w Awinionie przez przedstawiciela Zakonu.

Zrazu jednak ten cios ogłuszył Zakon. Domyślając się od dosyć dawna tajnych niejakich knowań między władcą Litwy, a Arcybiskupem, czyhali rycerze na wszelkie między nimi komunikacye. Wpadło jedno pismo Giedymina w ich ręce i dla odebrania mu autentyczności pieczęć odeń odcięli; atoli najgłówniejsze — list do Papieża i miast niemieckich — minęły szczęśliwie ich czaty i doszły na miejsce.

Zadrżeli przedstawiciele Zakonu i nie odrazu zdołali powziąść zamiar, co czynić wypada. Rycerze krzyżaccy, znajdujący się właśnie na ratuszu w Lubece, w czasie przybycia poselstwa i czytania listów Giedymina, potrafili tylko zaprzeć się wszelkich oskarżeń i zażądali kopii i listów. Na dworze papieskim w Awinonie wszystko się przeciw nim zbiegło. Sam arcybiskup Rygi bronił osobiście przed papieżem krzywd swoich, a krzywdy te były wielkie: zabór dóbr arcybiskupich, więzienie duchownych, rabunek kościołów; poselstwo ryskie niosło skargi i usilne prośby Giedymina, polscy posłowie Łokietka żądali sprawiedliwości w sprawie Pomorza.

Wywija się zakon wśród niebezpieczeństw i nie może znaleźć wyjścia z groźnego położenia. Bezsilnie knuje w Malborgu. Tymczasem, gdy się toczą rozprawy w Awinionie, w Wilnie dokonywa się fakt, doprowadzający Krzyżaków do wściekłości.

Inflanty wszystkich stanów rządzących, to jest biskupi tego kraju i Estonii, kapituła miasta Rygi, obywatele miast, nawet wciągnięty przemocą okoliczności mistrz inflanckich rycerzy — szlą uroczyste poselstwo do Giedymina i wiążą się z nim przymierzem, akt zaś tegoż posyłają pod osobne zatwierdzenie papieskie. Działanie jednak rycerzy było w najwyższym stopniu nieszczere i niezwłocznie zaprzeczyły mu fakta. Ledwie się rozbiegła po Prusach wieść o przymierzu, wnet pod ukrytym wpływem Zakonu zjeżdżają się biskupi różnych pruskich dyecyzyi na radę do Elbląga i stamtąd szlą gwałtowne odezwy do wszystkich władz duchownych i świeckich w Inflantach, usiłując złamać zawarte przymierze. Zaskarżenie Giedymina wysyłają do Stolicy Apostolskiej. Nadzwyczaj był im na rękę niewczesny krok Giedymina, który niedawno przedtem na usilne i ponawiane prośby księcia mazowieckiego Wańka, z którym był spokrewniony, dał mu pomocniczy oddział wojska w jego wojnach domowych. Litwini, posiłkując Wańka, spalili Dobrzyń, uprowadzili licznych jeńców: wojna w Mazowszu szarpnęła skraj ziemi krzyżackiej. Ościenne te zajścia łatwo mogli nieprzjaciele wyzyskać w złej wierze przeciwko niemu, co też uczynili. Na razie jednak nie odniosło to skutku. Ryga na odezwy opatów i zakonników, poza którymi, zręcznie krył się rzeczywisty insynuator—Zakon, głucha i nieczuła pozostała. Oskarżenia wobec Papieża odpierał świadomy spraw na północy arcybiskup Rygi. Silny jednak ruch nieprzyjaciół Giedymina, a obrońców Zakonu miał wreszcie ten skutek, że Papież wobec sprzecznych świadectw i doniesień, zanim by się stanowczo do żądań Giedymina przychylił, chciał, by się Zakon, jeżeli może, oczyścił z czynionych mu zarzutów. Wezwał przeto samego w. mistrza, aby się stawił przed Stolicą Apostolską.

Był to zwrot zgubny dla sprawy Litwy. Zakon mógł poruszyć wszystkie sprężyny intryg swoich. Dla obrony też jego nie mógł stanąć nikt wymowniejszy nad samego W. Mistrza, Karola Beffarta, którego w Malborgu Zakon mieć nie chciał tak, że mistrz w. przemieszkiwał w Trewirze, lecz

w Niemczech całych poważany, wymową słynny, zawsze jeszcze wielkie mistrzostwo w ręku swym dzierżący, przedstawiciel Zakonu samą osobistością swoją już sprawy jego bronił. Stawił się przed Papieżem, otoczony rycerstwem, biegłymi w prawie, przemówił po włosku. Po wszystkie czasy wymowne słowo ludzkie posiadało wpływ przemożny. Złota wymowa w. mistrza, niepotrzebującego tłomacza wobec Papieża i kardynałów, silny wpływ wywarła na słuchaczy. Wszystkie zarzuty zbić potrafił, to prostem ich zaprzeczeniem, to zręcznem usprawiedliwieniem Zakonu. Wobec niesłychanych wówczas trudności w sprawdzeniu rzeczywistego stanu rzeczy na miejscu, Papież i doradcy jego znaleźli się w nader trudnem położeniu. Przy różnych wątpliwościach, przez sprzeczne relacye wzbudzonych, postanowiono w Awinionie listy Giedymina, stawiące potężny Zakon w stan ostatecznego oskarżenia, jeszcze raz poddać rozpatrzeniu i naradom.

Napróżno Giedymin wyglądał odpowiedzi „Z niewysłowionem udręczeniem (cum innarrabili tedio) czekamy legatów papieskich" — pisze w liście do miast. Zamiast legatów z różczką pokoju, co się zbliża do granic Litwy? Straszny potwór dla siół litewskich — krucyata.

Taką odpowiedź dały Niemcy Litwie. Niema wątpliwości, że owa krucyata działa się mimo i wbrew woli Stolicy Apostolskiej. Papieże dawniej sami wołali o krucyaty; czynił to niemniej Jan XXII. Lecz teraz, wobec listów Giedymina, tenże Papież nakazał pokój Krzyżakom. Co więc im nakazanem było, to miało się rozumieć i względem wszelkiego krzyżowego rycerstwa. Ale Germanie nawykli co roku wysyłać nad Niemen gromady błędnych bohaterów, żądnych krwawych z poganami harców, wyniszczania ogniem i mieczem ich siedzib; przytem nie jeden z nich bez wątpienia pobożnie krzyżem znaczył czoło i dawał życie w walce. Nie sądziło zagraniczne rycerstwo, podbudzane przez Zakon, że już przyszła pora zaniechania podobnych wypraw do Litwy. Że zaś w ciągu samej sprawy w Awinionie wysłańcy Zakonu nawoływali o zwykłą krucyatę, jakby nic na północy nie za-

szło, i sypali zakupne pieniądze, wynurzyło się z murów, zbiegło z wypraw awanturniczych niemało zbrojnej drużyny i hufiec krzyżowników poszedł na Litwę.

Było to w zimie 1324 r. Niewzruszenie zrazu przyjmuje Giedymin tę obelgę. Kronika zakonna [1]) opisuje trzy po sobie następujące zamachy Zakonu. Początek dał napad nadreńskich Niemców, Alzatów i Czechów, lecz wstrzymała ich niewczesna dla nich odwilż i ów zamach pierwszy się nie udał. W drugim miejscu ośmielony spokojem Litwy Zakon już się nie kryje za krzyżowników, jeden po drugim wychylają się z twierdz bracia zakonni i nagłym napadem niszczą twierdzę litewską Dawidyszki. Giedymin jeszcze nie dawał się wciągnąć w wojnę. Widać w tem hamowaniu się potężnego władcy ostatki chrześcijańskich jego nadziei. Ale z dalekiego zachodu panowało głuche milczenie, złowrogi sąsiad dopiekał coraz mocniej. Trzeci zamach już nie zagraniczni przywódcy, ani brat zakonny o nieznanem imieniu, ale sam komandor twierdzy Ragnity wiedzie na ziemie litewskie. Spadają niespodzianie na twierdzę, od imienia W. księcia Giedymin zwaną, palą przytulone do niej domostwa, mordują lud, reszta zdołała zamknąć się w warowni. Wreszcie, by lud po siołach doprowadzić do ostateczności, rozpuszczają bandy tak zwanych łotrzyków (latruneuli), rabusiów wojennych, których sfory czas jakiś Zakon był powstrzymał, a które czasu wojny z takiemi samemi litewskiemi szarpały wzajemnie granicę.

Wróciła tedy żadnem solennem uręczeniem, żadną prośbą monarszą nie odżegnana od Litwy wojenna doba. Żmujdzini wzburzyli się pierwsi i hufiec ich pobiegł pod twierdzę krzyżacką Christmemel. Zanosiło się już na ogólne wojenne zamieszanie, gdy nagle uderza, jak grom, w przywódców Zakonu bulla papieska, rozkazująca natychmiast zaniechać wszelkich z Litwą waśni, gdyż, „pobożnym życzeniom króla litewskiego czyniąc zadość,“ Papież wysyła legacyę,

---

[1]) Scrip. rer. pruss. (Dusburg) I 189—190.

mającą dzieło nawrócenia Giedymina przyprowadzić do skutku.

Legaci puścili się w drogę.

Niestety, jak dalszy rozwój wypadków okazuje, krok ten był już stanowczo zapóźny. Haniebne przez cały ciąg rokowań Giedymina z Rzymem postępowanie Krzyżaków z Litwą wytworzyło nieprzewidziane i nieistniejące przedtem trudności między monarchą a narodem. Naród przestał rozumieć władcę swego. Żmujdź i Litwa zachwiały się w wierności dla Giedymina, bunt począł zagrażać tronowi jego i dynastyi, intrygi Zakonu z Nowogrodem odbierały mu uległość i pomoc Rusi. Tych prób nie zdołał wytrzymać mąż wielkiego umysłu, lecz mniej bohaterskiego serca, niźli tego wymagało położenie. Sypały się ze strony chrześcijan ciosy niezwykłej wagi i siły na tę potężną postać księcia katechumena, który wszakże nie chciał dumnej mitry swojej przetknąć cierniem męczennika. Po napadach krzyżackich, morderstwach jego posłów, na szkodę jego wymierzonych przymierzach, i ze strony Rzymu na próby Giedymin był wystawiony. Legaci papiescy nie przybyli do Wilna, jak tego żądał w swych listach, prosząc, by dążyli do Litwy przez ziemie mazowieckie. Wioząc z sobą instrukcye papieskie, formułę katolickiego wyznania wiary, którą miał Giedymin złożyć na ich ręce, list Jana XXII do króla Litwy, legaci skierowali drogę swą na Prusy.

Zakon zmienił był już naczelnika, Karol Beffort, pełen sławy z odniesionego wymową zwycięstwa, zstąpił do grobu. W. mistrzem był Werner Orselen, dostojnie zapewne ugaszczający teraz wysłańców papieskich. Legaci wszakże objawili wolę rozsądzania w Rydze sporu między Zakonem a Litwą.

Tu, wśród otoczenia, sprzyjającego Giedyminowi, słysząc od mieszkańców miasta o zniechęceniu króla Litwy, zadrżeli legaci o skutek swej misyi. Oznajmiają Giedyminowi o przybyciu swem do Rygi. Władca Litwy nawzajem wysyła posła do Arcybiskupa na powitanie go po powrocie z Rzymu.

Cóż czynią Krzyżacy? Zaczajeni na drodze, chwytają posła giedyminowego Sedegałłę i wieszają go w twierdzy swej Aszeradzie [1]).

Skoro posłowie legacyi papieskiej stanęli w Wilnie, usposobienie władcy Litwy było już zmienione. Wzburzenie, które nurtowało w całym kraju, groźna przeciw niemu postawa wszystkich jego poddanych, złamały siłę jego postanowień: Giedymin zerwał z zamiarem przyjęcia chrześcijaństwa. Nie poufnie, na tajnem posłuchaniu, jak tego pragnęli posłowie, lecz publicznie, w otoczeniu około dwudziestu mężów swojej rady, której snać nigdy do dna zamiarów swych nie odkrył, przyjął Giedymin wysłańców i traktował z nimi łaskawie, gdy wszakże przyszło do wynurzenia celu przybycia, wielki książe, uznając listy swe rozesłane po świecie, zaprzeczył, aby kiedykolwiek chrzest przyjąć pragnął; pomysł ten zrzucił na głowę i odpowiedzialność zakonnika, sekretarza swego. Mowę swą zakończył bluźnierczem zaklęciem i ostrem wyrzucaniem chrześcijanom ich niegodziwości. Posłowie strapieni wyszli z sali.

Nie widzieli więcej Giedymina, który przyjmował jednocześnie w Wilnie poselstwo tatarskie, przybyłe od potężnego chana Uzbeka, z którym zawarł przymierze. Z chrześcijaństwem było skończone. Giedymin pokazywał tłumom spokojne oblicze. Lecz gdy noc nastała i samotny, w towarzystwie jednego tylko młodziana krewnego, wszedł w progi swej sypialnej komnaty, wówczas, pisze o nim współczesna relacya w źródłach Zakonu, — z żalu po niedojściu powziętego zamiaru płacz wstrząsnął piersi możnego władcy, gorzkie łzy po trzykroć polały się z oczu jego [2]). Polityk widział upadek swych najpiękniejszych dla państwa nadziei, mierzył przepaść, otwierającą się znowu między nim

---

[1]) Bunge Liv-Estund Curländisches Urkundenbuch VI 485.

[2]) Bunge l. c. VI 478—483. Sprawozdanie posłów za powrotem do Rygi. Dokument obszerny, pełen ciekawych i ważnych szczegółów. Napierski. Rusko-Liwońskie akty 44—48.

a chrześcijańskim światem; niedoszły neofita opłakiwał słabość swoją.

Trudno o tragiczniejszą chwilę w dziejach człowieka i narodu. Katechumen snać szczery — pozostał poganinem. Naród litewski postradał moment dziejowy, w którym począć się mogła własna jego kultura, oparta na chrześcijaństwie, jedynym punkcie wyjścia kultur trwałych.

Do wytworzenia cywilizacyi własnej, tej najszlachetniejszej ambicyi rozwiniętych narodów, Litwa posiadała wówczas wszelkie wewnętrzne i zewnętrzne dane. Jad zawiści krzyżackiej, jak robak, przegryzający najpiękniejsze zawiązki, strącił ten owoc niedojrzały z drzewa ludzkości.

Cofnięcie się Giedymina od przyjęcia chrztu wywarło na legatach przygnębiające wrażenie. Poruszeni głęboko tem, co się stało, legaci ogłaszają czteroletni pokój z Litwą w nadziei, że się skruszy serce litewskiego władcy. Arcybiskup Rygi, swemi i Litwy krzywdami powodowany, w kościele katedralnym ryskim, w obecności legata Bernarda, przy biciu wszystkich dzwonów i pogaszonych świecach, ogłasza klątwę na Zakon krzyżacki. Legaci, przeprowadziwszy jeszcze spór z Zakonem, o należne im wedle instrukcyi papieskiej koszta drogi, ledwie za pomocą klątwy wydzierają pieniądze i, jakby się lękali sideł ziemi pruskich, odpływają morzem do Lubeki. A Zakon, klątwami okryty, szydzi wzgardliwie z tych miotań się przeciw jego potędze i wie, że za lat kilka mury Malborga znowu zabrzmią gwarem krucyatowego rycerstwa, który powiedzie do Litwy na trud chlubny i pełen zasługi — tępienia ostatnich pogan w Europie.

Czy żadnym już rysem, aż do Jagiełłowych czasów nie objawi się w narodzie litewskim dążenie do chrześcijaństwa z Zachodu? Do Jagiełłowych czasów brakło jeszcze z górą pół wieku.

Po śmierci Giedymina, przy odsieczy Wellony, po krótkich rządach Jawnuta, Olgierd godnie dziedziczy Giedyminowe berło. Litwa, rozszerzona od morza do morza, mniej dba już o Zakon; przetrwała najcięższe próby; przelała krew sowicie. Nie wszystkich Margierowi podobnych zapisały dzieje. Wedle sławnego narodowego przysłowia, które w krótkich

wyrazach odróżnia zbiega od rycerza: „Po uciekającym zostaje ślad nóg, po stojącym ślad krwi“ — ziemia litewska nasiąkła hojnie krwią tych stojących pod razami bohaterów, dzięki którym oba zaborcze Zakony nie połączyły terytoryów swoich.

Mimo tych zamachów, wciąż wymierzanych z Zachodu, i znakomity Olgierd, o którym wieść niesie, iż sam był chrześcijaninem, czy wcześniej, czy dopiero na śmierci łożu, — probuje zjednoczyć się z Zachodem. W roku 1358 przed cesarzem niemieckim Karolem IV stanęło poselstwo litewskie, żądające w imieniu Olgierda, by cesarz był pośrednikiem w zgodzie jego z Zakonem, i czyniące nadzieję, że Litwa z czasem, drogą łagodnego wpływu, chrześcijańską się stanie. Rycerski Kiejstut sprawował poselstwo. O co się rozbiły układy, dzieje nie wskazują dokładnie. Wnosić można, że cesarz nadto brał stronę Zakonu. Zawzięty Kiejstut przeważnie przyczynić się musiał do zaniechania układów i Olgierdowy zamiar się rozchwiał.

Atoli chrześcijaństwo łacińskiego i wschodniego obrządku wciskało się coraz silniej w głąb kraju. W Wilnie gromadka Franciszkanów nauczała wytrwale. Pogaństwo w ostatnich podrzutach jeszcze raz mściwie ich dosięgło, lecz umęczenie Franciszkanów nie wstrzymało nowego braci napływu. Dostojnik Olgierda Gasztold, jak o nim mówi tradycya, przelał krew męczeńską, liczba cichych nawróconych rosła, aż wreszcie wybiła dla Litwy wyglądana chwila.

Nie niosła ona wznowionej korony Mendogów... Niosła związek nowy, życie inne, otwierała drogi nieznane... Takim było dla Litwy dziejowe zrządzenie Opatrzności.

W 1387 r. wnuk Giedymina, małżonek wielkiej królowej, wracał do ojczystego kraju w orszaku duchowieństwa z gościnnych murów Krakowa. Upadły gaje, bogom poświęcone, cienie pogaństwa usuwać się poczęły zwolna przed promieniami Objawienia i wreszcie krzyż, godło zbawienia, niezwyciężona moc wiernych ludzi i narodów, rozciągnął nad tym krajem swe błogosławione ramiona.

Konstancya Skirmunttówna.

RYCERSTWO WIEJSKIE W OKOLICACH TROK.

Bojarzy Somiliscy, 1475—1575 *).

W samem sercu Litwy, pomiędzy Trokami, Użugościem, Jewiem a Wysokim Dworem, w okolicy, obfitującej szczególnie w lasy i jeziora, leży dziś małe, do dużej wsi podobne miasteczko Sumieliszki [1]). Stary drewniany kościołek, który pod cieniem lip odwiecznych w jego końcu się kryje, wieśniaczość mieszkańców, cicha sielskość otaczającego krajobrazu, wszystko to zdawało by się świadczyć, że w tym zakątku nic się nie zmieniło od wieków, że od stuleci, jak dzisiaj, kościołek co niedziela napełniał się ludem pobożnym, że tu od czasów niepamiętnych, jak obecnie, w dzień patrona kościoła, na św. Wawrzyńca, a raczej, jak tutaj mówią, „na Ławryna,“ co rok tłumnie gromadzili się mieszkańcy z okolicy na „kiermasz,“ z targiem na bydło, a szczególnie na kozy. A jednak gdy się przysłuchać gwarowi, uderzy zaraz

*) Obrazek ten, osnuty na źródłach z pierwszej ręki, t. j. na współczesnych dokumentach, znajdujących się w archiwach stron rodzinnych autora — napisany został przed paru dziesiątkami lat. Uproszony przez układających książkę niniejszą, autor zgodził się otrząść z pyłu zapomnienia próbną pracę swych lat młodych i do obecnego zbioru złożyć ten przyczynek, niemniej dziś, jak dawniej, świeży i nieznany. Sądzimy, że szczerze radzi mu będą nietylko badacze fachowi, lecz i każdy — zaniklych światów na ziemi swojej ciekawy czytelnik. (*P. Red.*)

[1]) Tak brzmi ta nazwa w uszach dzisiejszych mieszkańców.

w tej głębokiej Litwie, w potocznem użyciu dziś będąca mowa obca — nikt tu już po litewsku nie mówi. Jeżeliś polak, to cię każdy, bez wyjątku, dobrą polszczyzną powita, między sobą zaś, w rozległem stąd promieniu, ludzie mówią, jeżeli nie po polsku, to po białorusku, czyli „tym językiem pół ruskim, pół polskim, który na Litwie charakteryzują pospolicie dwoma wyrazami: „czeho, kaho.“ A toż to przecie jest niemal jeszcze trockie podzamcze, niezaprzeczona ojczyzna tych Olgierdowych zastępów, co plondrowały niegdyś Ruś aż „ponad Ilmen, pod mur Nowogrodu,“ dając się jednocześnie we znaki Polsce i niszcząc grody krzyżackie. Musiała tu więc od owych czasów zajść zmiana niełada. Zajrzyjmy do pożółkłych papierów, co się jeszcze znajdą gdzieniegdzie w pobliskich dworach szlacheckich, one nam tajemnicę tej przemiany wyjawią, one nam powiedzą, że Sumieliszki, leżąc dawniej, według podań kronik, na bitym szlaku wypraw krzyżackich na Wilno i Troki, i z tego powodu powielekroć w XIV i XV wieku ogniem i mieczem pustoszone, w czasach nieco późniejszych były jeszcze wcale ważnem środowiskiem litewskiej organizacyi bojowej, były podległą namiestnikom czyli ciwunom zamku trockiego, następnie zaś wojewodom trockim i ich zastępcom „włością bojarską.“ Sama nazwa miasteczka odzwierciadla niejako zmianę, jaka z biegiem czasu w stosunkach plemiennych tu zaszła: brzmi w dokumentach z wieku XV i XVI stale *Somiliszki*, wskazuje na pierwotną osadę obcego Litwie człowieka, Somiła (Samuela). Że jednak ten człowiek znalazł się w kraju szczerze litewskim, poświadcza litewska nazwy końcówka — iszki, odpowiadająca dokłanie słowiańskiej dzierżawczej, nazw miejscowych — ów — owo.

Od Rusi to bowiem Litwa, biorąc w znacznej mierze organizacyę państwową, przyjęła też instytucyę bojarów, to jest drobnego rycerstwa, osadzonego przez książąt w pobliżu grodów i punktów obronnych. Instytucya ta stała się na Litwie powszechną, a dostarczając jej władcom ludności, każdej chwili do boju gotowej, przyczyniła się pewnie niemało do szybkiego rozwoju tej zdumiewającej potęgi państwowej,

której rzadki przykład dają nam najstarsze dzieje Litwy. Toż nawet na Żmudzi, dokąd wpływy ruskie zaledwie sięgały, znają krzyżackie kroniki bojarów, a w oczach chłopa żmudzkiego bojarzynem (bajors) jest dotąd każdy szlachcic. Tam jednak, za Niewiażą, Litwa rodzinna utrzymała się jednolita, tam i teraz wśród potomków dawnego rycerskiego stanu częściej, niż gdzieindziej, spotykają się nazwiska czysto litewskie. Tu, bliżej Trok i Wilna, sąsiedztwo Rusi działało asymilująco. Tutaj potężniej docierały wpływy obcego języka i kultury. Za instytucyą bojarów wciskał się język i obyczaj ruski i rozwielmożnił się w końcu z taką siłą, że w tem, jak rzekliśmy sercu ojczyzny litewskiej, dziś jedne tylko nazwy miejscowe, nazwy rzek, jezior i wiosek, wszystkie szczerze litewskie, świadczą, że to jest także ziemia litewska. Mieszkaniec zaś jej, choć postacią, strojem, obyczajami i sposobem budowania domostw, ba nawet nieraz i samem nazwiskiem swojem mało się różni od żmudzina, z litewskiej mowy zna już tylko słów kilka, te właśnie, któremi, sam ich nie rozumiejąc popędza swe woły, gdy orzą. Tak na dalekiej Rywierze, pasterz dziś jeszcze greckim wyrazem *oikade* nawołuje swą owcę, gdy ją zgania do domu z pastwiska, choć pamięć o greckich koloniach nad liguryjską zatoką od wieków przechowują tylko księgi.

Kiedy Litwa złączyła się z Polską, oba te kraje różniły się tradycyą, instytucyami państwowemi, kierunkiem oświaty. Podczas gdy w Polsce szlachta rodowa coraz bardziej ogranicza władzę królewską i poniża stan kmiecy, Litwą rządzi książe samowładny, szafujący całym obszarem państwa, jako niezaprzeczonem swem dziedzictwem, otoczony drużynami bojarów i hołdownych książąt. Bojarzyn wielkoksiążęcy, na każde skinienie „hospodara,“ za cenę nadanej sobie ziemi biegł służyć mu zbrojno, hołdowny zaś książe nietylko służył osobiście, lecz wiódł z sobą poczty własnego rycerstwa, podobnych wielkoksiążęcym własnych bojarów. Kiedy na sejmie w Horodle znaczniejsi Litwini otrzymali szlachectwo polskie oraz własność posiadanej ziemi, przystosowując się do stosunków, w kraju istniejących, uważali siebie za zrów-

nanych w prawach z książętami hołdownymi. Zaczęli więc wzorem tych ostatnich rozdawać ziemię, tworząc takim sposobem nowy rodzaj bojarów szlacheckich, stan pośredni między rycerskim a kmiecym. Bojarzy wielkoksiążęcy odróżniali siebie od szlacheckich lub książęcych, przyznając sobie tytuł „hospodarskich.“ Zczasem, zwłaszcza po ustaniu dawnego, bezwarunkowego obowiązku służby wojennej swych panów, bojarzy książęcy, a szczególnie szlacheccy, stawali się coraz podobniejszymi do „niewolnych“ kmieci. Doszło do tego, że do niedawna jeszcze, bo do uwłaszczania włościan w r. 1861, w okolicy Sumieliszek, a bodaj że i w całej Litwie, bojarami zwano w dobrach szlacheckich włościan oczynszowanych, nie obowiązanych do pańszczyzny, lecz tylko do opłaty pieniężnej i do pewnych powinności „ciągłych“ czyli do robót z koniem.

Aż do ostatnich lat XV wieku nie mamy żadnych źródeł do poznania warunków bytu, urządzeń społecznych i obyczajów bojarów somiliskich. Rzadkie wzmianki w rocznikach zaznaczają jedynie ogólny udział bojarów litewskich w wojnach. Odtąd jednak bojarzy somiliscy zaczynają stwierdzać pismem, zawierane między sobą umowy, które przedtem oczywiście tylko ustnie załatwiali przy świadkach. Te umowy piśmienne, których treść stanowią przeważnie akty sprzedaży i zastawu, rzadziej zaś rozporządzenia testamentowe i wyroki sądów, przechowały się w znacznej liczbie i stanowią wraz z niemniej licznemi nadaniami i potwierdzeniami królewskiemi, oraz innymi dokumentami, wydawanymi z kancelaryi królewskiej lub wojewodzińskiej, główne źródło, z którego w pracy niniejszej, mającej na celu wyświetlić, ile się da, stosunki bojarów somiliskich, czerpać będziemy.

W owym więc czasie znajdujemy już bojarów, gęsto zamieszkujących okolice Somiliszek. Sioło bojarskie, jak wszystkie dawne wsie słowiańskie, nie było podobnem do wiosek naszych dzisiejszych, zabudowanych raczej na wzór niemiecki, w których domy kupią się gęsto wzdłuż głównej ulicy. Domostwa bojarów leżały porozrzucane po całym obszarze gruntów, tworząc oddzielne zaścianki, zwane wtedy

„sieliszczami.“ Zaścianki te w większej lub mniejszej liczbie składały się na „włość“ bojarską, o tyle różną od dzisiejszej „okolicy“ szlacheckiej, że włość była, jakeśmy już rzekli, środowiskiem władzy i jakby jednostką administracyjną. Każdy bojarzyn musiał należeć do jednej z włości. Ziemie szlacheckie były z nich wyjęte. Włość, w stosunku do jej obszaru, dzieliła się na mniejszą lub większą liczbę „prystawnictw.“ „Prystaw“ — naczelnik takiego okręgu, był rodzajem urzędnika policyjnego, a ponieważ bojarzy i ich ziemia zostawali pod osobistą władzą królów, jako wielkich książąt, którzy nimi przez wojewodów, naczelników siły zbrojnej, rządzili, — przeto i prystawowie, przez wojewodów mianowani, uznawali w tych ostatnich bezpośrednich swoich zwierzchników. Dlatego też, gdy w ich obliczu stawali, dawali im ten sam tytuł: „hospodar pan moj miłostiwyj,“ który ostatecznie należał się najwyższemu zwierzchnikowi t. j. królowi. Powinnością prystawów było przedewszystkiem spełnianie wszelkich poleceń wojewody, donoszenie o dostrzeganych nadużyciach i baczność, aby ziem bojarskich nie dzierżyli ludzie, nie mający do nich prawa. Rozstrzygali oni też prawdopodobnie w pierwszej instancyi drobne sprawy cywilne między bojarami, jak spory graniczne i t. p.

Ziemię rozdawali zwierzchnicy kraju pierwotnie tylko na pewien przeciąg czasu, do użytku swym „wiernym,“ wzamian za różne wysługi. Zczasem jednak, jak to się wszędzie działo, i na Litwie grunty dziedzictwem z rąk do rąk przechodzić zaczęły. W wieku XVI było to już pomiędzy bojarami somilskiemi stałym zwyczajem. Dwa były wtedy rodzaje gruntów bojarskich. Jedne zobowiązywały swych posiadaczy tylko do służby wojennej i te zwały się „wolnymi,“ inne zaś do służby „ziemskiej,“ to jest zapewne do utrzymywania i budowania zamków, mostów i dróg królewskich, do dawania podwód pod przejazdy i t. p., i te zwały się „ciahłymi.“ Powinności te ciążyły za Zygmunta I na gruntach bojarskich jeszcze w całej pełni. Gdy który ród bojarski wygasł, a raczej gdy zmarł bojarzyn, nie zostawiając męskiego potomka, ziemia bowiem prawdopodobnie dzie-

dziczna jeszcze była tylko z ojca na syna, grunt osierocony wracał do rozporządzenia hospodara i zwany był wtedy „ziemla pustowskaja“ albo „pustowszczyzna“ [1]). Na początku XVI wieku rozdawnictwem takich ziem trudnili się wojewodowie. Bojarzyn więc, chcący otrzymać pustowszczyznę, udawał się do „miłościwoho pana“ — taki był bowiem i u bojarów potoczny tytuł wojewody, i „bił mu czołem,“ prosząc ustnie o łaskawe „wwiazanie“ do opróżnionej dzielnicy. Wojewoda przywoływał prystawa i starszych z włości i „opytywał“, czy ziemia żądana istotnie „zdawna pusta leżyt“ i czy jest „wolna“ czy „ciahła.“ Następnie, jeżeli, jak się to działo najczęściej, miał we włości namiestnika, posyłał doń rozkaz „zawiedzenia“ ziemi proszącemu; jeżeli zaś namiestnika nie było, posyłał swego „dzieckiego“ lub „komornika,“ aby „wwiazał“ w nią bojara. Posłaniec, zjechawszy na miejsce, w obecności prystawa i zgromadzonych sąsiadów ogłaszał nowego posiadacza ziemi w imieniu wojewody. Niekiedy i sam prystaw dokonywał aktu „wwiazania,“ lecz była to forma mniej uroczysta, a więc i mniej pożądana w czasach, kiedy każdy akt prawny tem większej nabierał mocy, im większy urok władzy miała osoba, która go dokonywała. Po tym akcie obdarowany wstępował wprawdzie w prawa właściciela, lecz nie czuł się spokojnym dopóty, dopóki piśmiennego potwierdzenia od najwyższego „hospodara“, to jest od króla, nie wyjednał. „Wwiązanie“ wojewody zabezpieczało go tylko czasowo, nie dając żadnej rękojmi na przyszłość, w razie np. śmierci lub odejścia „miłostiwoho pana,“ zaprzeczenia praw przez kogokolwiek. Aby być pewnym swej własności, trzeba ją było albo po ojcu odziedziczyć, albo doczekać się na niej przedawnienia tych zawsze wątpliwych lat dziesięciu „dawnosti ziemskoje,“ albo, co było najlepsze i najpewniejsze, wyrobić sobie na nią „list“ królewski, nienaruszoną pie-

[1]) Wyrazy te odpowiadają polskim „pustka,“ „puścizna,“ który to ostatni, brany w znaczeniu przenośnem, pospolicie dziś u nas kaleczą na „spuścizna.“ Por. też wyraz „pustosz,“ oznaczający dziś na Litwie wydzierżawione zaścianki, wchodzące do składu większych dóbr.

częcią opatrzony. Jeżeli więc bojarzyn miał łaskę u wojewody, a może jakie zasługi wojenne, raz jeszcze „bił mu czołem,“ aby prośbę jego przełożył królowi i ów list z kancelaryi hospodarskiej wyrobił. Jeżeli zaś nie chciał lub nie mógł prosić wojewody, nie zostawało mu, jak skorzystać z jednej z częstych bytności króla na Litwie, w Wilnie lub w którymkolwiek z licznych wtedy zamków wielkoksiążęcych, i „bić czołem“ samemu hospodarowi. Posłuchajmy w całości brzmienia jednego z takich „nadań,“ wydanych z kancelaryi litewskiej Zygmunta I w pierwszych zaraz latach jego panowania. Akty te zwykle cechuje dziwnie patryarchalna prostota wysłowienia, której równa być musiała i prostota obyczaju ówczesnego.

„Żykhimont Bożju miłostju korol polskij, welikij kniaź litowskij, ruskij, kniaża pruskoje, żomojtskij (sic) i inych. Bił nam czołom bojaryn somiliszskij Ławryn Nekraszewicz i powiedił pered nami, sztoż ich brati szest'w podiele żywut, a zemlu otczyznoju mału majut i ne majet's czoho nam posłużyti. Ino wojewoda Trockij Mikołaj Mikołajewicz dał jemu zemlu pustowskuju tiahłuju w somiliszskom powiete, na imia Mitjewskuju, do naszoje woli, kotorujuż zemlu pered tym zdawna ded i otec jeho pachiwał; i list pana wojewodin na to on pered nami pokładał, i w tom liste stoit' sztoż pan wojewoda o toj zemli opytywał prystawa i inszych ludej somiliszskich, i oni pered nim powiedili, sztoż taja zemla dawno pusta leżyt, a otczyha jeho w niej niet. I bił nam czołom, abychmo i my jemu tuju zemlu dali, ino my, wodle listu pana wojewodina i na jeho czołom bitje, u tom łasku naszu uczynili i tuju zemlu dali jeśmo jemu na wiecznost, so wsim s tym, kak sia taja zemla zdawna w sobie majet, nechaj on tuju zemlu Mitkowskuju derżyt, a nam służbu zemskuju służyt. Pisan w Miensku. Junii 9 deń. Indikt 1. (1513 r.) Pr. (o) (sił) kr(ola) wojew(oda) tr(ockij), pan Mik(ołaj) Mik(ołajewicz)“ (M. P.).

Król sam rzadko kiedy listy takie podpisywał. Do przyjęcia królewskiego podpisu godniejszym był pargamin, niż papier, który w kancelaryi Starego króla coraz wyłączniej

wchodził w użycie. Jeżeli jednak nadanie było znaczniejsze, a bojarzyn zasłużony i bogaty, król, dla okazania mu tem większej łaski, kładł podpis własnoręczny na okazałym pargaminie i na karmazynowym, z pięknego jedwabiu ukręconym sznurze pieczęć litewską, w czerwonym wosku starannie odciśniętą, w woskowej miseczce czyli „bulli," „przywiesić" rozkazywał. Obdarzony takim przywilejem bojarzyn, zwał go „daniną" królewską, a ziemię z dumą mianował być „wysłuhoju na korolu jeho miłosti."

Lecz wróćmy do włości bojarskich, uważanych, jako okrąg administracyjny. Znaczniejsze z nich były, jak o tem wspomnieliśmy, siedzibami namiestników wojewodzińskich. I ci bywali zawsze mianowani z pośród bojarów i mogli od siebie mianować podnamiestników, za których czynności jednak odpowiadali, jak za swoje własne. Ponieważ zaś bojarzy reprezentowali przedewszystkiem siłę zbrojną, przeto w ich włościach widzimy też osiadłych chorążych. Wiadomo, że cała Litwa ówczesna istotnie podzielona była na chorąstwa, a ponieważ pospolicie bywał przynajmniej jeden chorąży na powiat, przeto włość bojarską w mowie potocznej, a jak widzimy z powyższego przywileju, nawet i w aktach, z kancelaryi królewskiej wydawanych, utożsamiano niekiedy z powiatem. Chorąży, bezczynny w czasie pokoju, zażywał wtedy tylko powagi urzędu, lecz w czasie wojennym bojarzy i szlachta z pocztami pod znak jego się gromadzili; dlatego też bywał on najczęściej szlachcicem herbownym.

A więc we włości bojarskiej prystaw spełniał przeważnie obowiązki policyjne, namiestnik był głównie sędzią z ramienia wojewody; a chorąży, „chorużyj," naczelnikiem siły zbrojnej. Władzę duchowną sprawowali przy małym kościołku lub greckiej cerkiewce „katolicki pleban" lub grecki „świeszczennik." Jak jednego, tak drugiego zwano tylko po imieniu, lecz przed imieniem księdza kładziono wyraz „kniaź."

Bojarzy nie znali nazwisk rodowych ani herbów. Jak do uprawnionego posiadania ziemi wystarczał fakt, że była „otczyzną," to jest spadkiem po ojcu, tak imię ojcowskie, dołączone do własnego, starczyło za rodowód. Bojarzyn

w przeszłość nie sięgał, jak jednem pokoleniem, imion własnych zaś używał obyczajem słowiańskim prawie tylko w formach spieszczonych. Że zaś tych spieszczeń tworzyć można było, ile się chciało, przeto raz obrana forma imienia, odmienna od innych form tegoż i stale używana, wystarczała w braku nazwiska do odróżnienia od imienników. Najpospolitszemi imionami i formami imion były wśród bojarów somiliskich w czasach najstarszych następne: Olechno (Alexander), Michno (Michał), Juchno (Jan), Iwachno (Iwan). Imię Jana—jeżeli należało do katolika, i Iwana, jeżeli noszący je był wschodniego obrządku, szczególnie ulubione i pospolite, zmieniane było w sposób najrozmaitszy, brzmiąc to z polska Janko, to z litewska Janelis, to z ruska Iwaszko. Lecz oto i dłuższy szereg imion, do połowy XVI wieku i później najczęściej przez naszych bojarów używanych. Męskie: Michajło, Miszko, Butrym, Maciej, Matys, Tomko, Mitko, Dobko, Dowmunt, Kontowt, Narbunt [1]), Dowgird, Radiwoj czyli Radiwon, Pietraszko, Chszczon, Niekrasz, Ławryn, Wojtko, Bohdan, Oleszko, Chwied, Fiedko, Giecz, Pietko, Hryszko, Khrykh (Gryg), Ondrej, Romaszko, Stańczyk, Zienko, Juszko, Pacuś, Notkuś, Minko, Winko, Wieliczko, Bertasz, Bortko, Daszko, Ostaszko. Imiona żeńskie oczywiście rzadziej się trafiają w dokumentach naszych, a mają do siebie jeszcze i to, że nie bywa wśród nich wcale imion narodowych litewskich na podobieństwo męskich, jak Dowmunt, Narbut. Oto niektóre: Owdokia, Maryna, Marychna, Machna, Kachna, Kasiuta, Sonka, Khentruta [2]), Jahna, Jahnieszka, Dorota, Hanna, Annuszka, Zapieja, Jedwiha, Małkhareta. Imiona męskie w tych samych spieszczonych formach z dodaniem końcówki:—wicz dla mężczyzny, a -owna dla niewiasty, dawały nazwy patronymiczne: Olechnowicz, Pietkowicz, Hryńkowicz, Hryncewicz, Dowmontowicz, Pietraszkiewicz, Jakhintowicz, Rymkowicz, Dowgirtowicz, Narkowicz, Gieczewicz,

[1]) Oczywiście indentyczne z Narymunt (Narymund), trafiającem się też śród bojarów somiliskich.

[2]) Gentruda, Jentruda, mówią i dziś jeszcze litwini, zamiast Gertruda

Micowicz, Misiewicz, i t. d. Zdarzało się, że do takiego nazwiska, które służyło jeszcze w pierwszej połowie wieku XVI tylko dzieciom jednego ojca, dodawano przezwisko odróżniające, potrzebne szczególnie wtedy, gdy w jednej okolicy znalazło się dwóch ludzi o jednakich imionach własnych i ojczystych. I tak, Jan Pietkiewicz nosi litewskie przezwisko Rudis, zapewne od rudych włosów, podczas gdy jego sąsiada, też Jana syna Pietka, zowią Iwachnem Kołomarem. Syn tego ostatniego opuszcza imię ojcowskie i mianuje się Kołomarewiczem, idąc w tem za przykładem dzieci Rudisa, które to Janowiczami, to Rudewiczami (wymawiaj: Rudziewiczami) się piszą. Taka już była zresztą prostota czasów owych, że wymienienie jednego tylko imienia chrzestnego bywało dostatecznem nawet w aktach urzędowych. Wojewoda trocki tak adresuje list do swego namiestnika: „Namiestniku naszomu somiliszskomu Winku.“ Sam król, nadając bojarzynowi ziemię, w tych słowach określa okrąg administracyjny, do którego grunt należy: „majet' on i dieti jeho tuju zemlu wyszemenenuju, w powiete trockom, prystawnictwa Micowa, derżati i używati.“ Prystawowi było na imię Michał i to jedno imię, zmodyfikowane dla niego na Mic, było mu, obok tytułu urzędu, dostateczną legitymacyą. Alež bo w owych czasach nietylko taki prosty bojarzyn lub prystaw, ale nawet i szlachcic herbowny, ba, i sam wojewoda, obywał się nieraz, nawet i w urzędowej czynności, bez nazwy rodowej. Radziwiłł herbu Trąby, marszałek nadworny królewski, wojewoda Trocki, pisze się w podobnym razie tylko wnukiem Ościka: „Hryhory Stanisławowicz Ostkowicz“, a widzieliśmy już w przytoczonym przez nas powyżej przywileju innego Radziwiłła, nazywanego przez króla tylko Mikołajem Mikołajewiczem. Ale bo o przyszłość mało się wtedy troszczono, o przeszłość jeszcze mniej dbano. Dla bojarzyna przywilej królewski, wystawiony na imię jego przodka, a świadczący o zasługach i potwierdzający „daninę,“ zawierał w sobie może jedyne wspomnienie przeszłości. To też cenił w nim nietyle pamiątkę rodzinną, jakby to czynił szlachcic dzisiejszy, ile raczej rękojmię spokojnego posiadania „zdawna wy-

służonej ojczyzny;“ odczytać tego przywileju zwyczajnie nie umiał, bo samo używanie pisma do tranzakcyi było między bojarami rzeczą nową. Gdy jednak w ostatnich latach XV wieku stało się ono, jak rzekliśmy, zwyczajem ogólnym, nikt jeszcze tych dokumentów podpisami stwierdzać nie umiał. I nie było to jeszcze nawet gdzieindziej we zwyczaju. Poszli więc bojarzy nasi, za przykładem szlachty i panów, książąt i samego hospodara, i zaczęli na aktach odciskać pieczęcie. Te zaś miały prawdopodobnie kształt sygnetów i były noszone na palcu. Lecz ani sygnet, ani znak na nim, nie należał do wyłącznych prerogatyw stanu rycerskiego. Najmizerniejszy chudopachołek miewał wówczas swą pieczęć, a lada niezgrabny nawet znak, na wygładzonym kruszcu wyrznięty, świadczył o wiarogodności aktu, pod którym go wytłoczono. Zdarzało się nieraz, że jedna i ta sama osoba po razy kilka w życiu zmieniała znak pieczętny, syn zaś do używania znaku ojcowskiego wcale nie był upoważnionym. Istnienie bowiem pieczątki ze śmiercią jej właściciela ustawać było powinno, a nad grobem czy to bojarzyna, czy mieszczanina, czy pana lub kniazia, sygnet jego kruszono uroczyście. To nam tłómaczy nadzwyczajną rzadkość dzisiaj dawnych tłoków pieczętnych. Akt zniszczenia tych ostatnich był tak koniecznym, tak silnie, w celu uniemożliwienia fałszerstw pośmiertnych, prawem obyczajowem zalecony, że jeszcze w połowie XVI wieku na Litwie za proste ukrycie pieczęci zmarłego pisano pozwy do sądów grodzkich.

Zobaczmyż teraz, jaki bywał u bojarów somiliskich kształt sygnetowych tarczy i jakie znaki na nich wyrzynano. Najstarsze sygnety, to jest te, które XV wieku sięgają, mają zawsze tarczę dokładnie okrągłą. W środku koła znajduje się, bez żadnego obramienia, znak, nieraz do początkowej ruskiej litery imienia podobny, często też wybrany dowolnie, np. orle skrzydło, krzyż, kotwica, w otoku zaś — grubo i niezgrabnie wyrzeźbiony napis ruski, podający bez skróceń wyraz „peczat“ i imię właściciela całkowite, z dodaniem nieraz i imienia ojczystego, np. „peczat Mikołajewa“ „peczat Chszczona Nekraszewa“ i t. p. Później nastały nieco zgrab-

niej rżnięte, podłużnego kształtu, dające wyraźny rysunek jakby herbowej tarczy ze znakiem na niej. Nad tarczą, której nigdy nie przysłaniał hełm, ani korona, wyryte bywało już jedno tylko imię, albo początek imienia, albo nawet same inicyały. Oto rysunek kilku pieczęci bojarskich z czasów Zygmunta Starego:



Bardzo wyraźne są na nich napisy imion lub inicyały: bohusz, mitk(o), weliczko, Ł. M. I. K.

Około połowy szesnastego wieku, bywają pieczęcie stale już tylko początkowemi literami imienia i nazwiska opatrzone i litery te od tego czasu przestają być ruskie i są zawsze tylko polskie. Wyraźnie odciśnięta i dobrze zachowana przy dokumencie pieczęć stanowiła całą jego wartość i była tak ważną i niezbędną, że gdy wydający akt nie miał jej przy sobie, nie zaniedbał nigdy tej okoliczności wymienić: „A ja Matej nemieł jeśmi na tot czas swojej peczati“ i „bił czołom“ sąsiadom, lub innym „dobrym ludjam,“ aby „dla lepszoje twerdosti“ pieczęci swoje przyłożyli. Wyciskano zawsze pieczątki w kilku kroplach wosku, na papier dokumentu nalanego i nakrytego małemi kwadracikami papieru, które zwano z łacińska „kustodyami.“ Wosk ten u naszych bojarów bywał czasem brunatny, lub szarawy, często zielony, nigdy zaś czerwony, bo dla pieczętowania się purpurą trzeba było być, jeżeli nie samym „hospodarem,“ to przynajmniej tegoż dostojnikiem, wojewodą, kniaziem, lub innym „miłościwym panem.“

Tyle o pieczęciach. Przypatrzmyż się teraz gospodarstwu i, o ile się da, domowemu życiu bojarów. „Sieliszcze“ przedstawiało obraz niewiele różny od dzisiejszego litewskiego zaścianka. Chata bez komina, częściej „dranicą,“ niż słomą kryta, o małych okienkach „błoną,“ (może jeszcze pęcherzową?) zaciągniętych, z drzwiami bez zaszczepki, lecz

o klamce drewnianej, z wnętrzem bez podłogi, była mieszkaniem miernego bojarzyna. Naprzeciw niej był świren, a w nim, obok zboża w ziarnie, skład wszelkich kosztowności domowych, na grubą kłodkę zamknięty. Były tu więc pieniądze, droższe sprzęty, sieci, broń, a wreszcie i zwitek papierów i przywilejów królewskich. Gumno, chlewy i reszta zabudowań kończyły zagrodę, wrotami zamkiętą.

Bojarzy mieli dużo ziemi, odłogiem leżącej, uprawnej posiadali względnie mało. Przyczyną był brak robotnika, bo niewielu z bojarów posiadało „czeladź niewolną“ lub „służby“ to jest chaty pańszczyźniane. Ludzie więc, których zawodem miało być wojenne rzemiosło, własnemi rękoma imali się sochy. Z konieczności pracy na roli wynikała też potrzeba łączenia w rodzinach sił wspólnych. Stąd też bojarzy zwykle z dorosłem potomstwem żyją w jednej chacie: bracia nie zawsze dzielą się ojcowizną, stryjowie mieszkają razem z synowcami. Pomimo ułatwienia, jakie dawało takie wyzyskiwanie związków krwi, rolnictwo właściwie nie opłacało jeszcze wtedy dostatecznie trudów, na nie łożonych, a gospodarz część pracy poświęcał chętnie ponętnym gałęziom dzikiego przemysłu, jak bartnictwo, rybołówstwo, myśliwstwo. W czasie gdy „niwkę“ na siedm beczek litewskich wysiewu, w cenie półczwartej kopy groszy „na źrebca stadnego“ wymieniano, kiedy za jarzmo wołów płacono „sianożęcia,“ stokroć łatwiej było stawić jazy i bucze w jeziorach, łowić sidłami ptastwo, zabijać bobry w ich „gonach,“ a nawet mierzyć się z dzikim zwierzem, niżli troskliwie hodować bydło, kosić łąki i w pocie czoła orać skibę, a to tembardziej, że jedna wyprawa wojenna, jeden napad nieprzyjaciół, zwykł był owoc tylu zabiegów niszczyć w jednèj chwili. Barcie leśne, tak obficie na Litwie ówczesnej utrzymywane, a względnie tak mało wymagające trudu, były własnością najwyżej cenioną, bo najbardziej zyskowną. Prawo litewskie za ścięcie bartnego drzewa karało srożej, niż za złodziejstwo zwyczajne.

Że więc gospodarstwo rolne bojarów znajdowało się jeszcze w stanie bardzo pierwotnym, przeto dziwić się nie

można, że w licznych umowach sprzedażnych, które nam zostawili, niemal równie często wspominają się dzikie obszary, jak ziemie uprawne. Obfitość nazw, służących do oznaczania nieużytków, sama przez się świadczy o przemaganiu tych ostatnich. A więc o „lasach, puszczach, hajach, dubrowach, zaroślach, rojstach, bereźnikach, bołotach, martwicach, chmyznikach, chworośnikach, olesznikach, dzirwanach, oziercach“ czytamy prawie w każdym akcie, nie w każdym zaś chodzi o „ziemlicę,“ która się mierzy beczkami wysiewu. Jest to wymowne świadectwo o dziewiczości ziemi.

Kawał roli bojarzy zwali „niwka“ lub „niwa.“ Lepiej uprawna, cenniejsza, przybierała nazwę „nawozu,“ chętnie spieszczoną w „nawoziec.“ Ziemię, jakeśmy już wspomnieli, mierzono wysiewem, jak to jest dziś jeszcze na Litwie potocznem. „Prodał jeśmi niwku, na kotoroj siejetsia połtory boczki żyta, solanki, a ktomu sieliszczeczko Maćkowskoje, siejetsia na czotyry siewalni.“ Siewalnia jest to po dziś dzień używany do siewu koszyk słomiany, a beczki „solanki“ zna także jeszcze każdy nasz wieśniak. Co zaś do wspomnianego „sieliszczeczka“ Maćkowego, nadmienić należy, że „sieliszcze“ utraciło zczasem w Somiliszkach pierwotne swe znaczenie siedziby. W wieku XVI coraz częściej zastępuje je okazalszy wyraz „dwór, dworzec (dworec),“ stara nazwa przeszła na pole, o którego dawnym właścicielu przechowała się pamięć, a w końcu „sieliszcze“ znaczyło już wprost to samo, co „niwa.“

Dziwną się też wydaje ówczesna mnogość nazw miejscowych: byle strumień, krynica, bagno, rojst, skrawek pola, wszystko to jest jakby uosobione, ma nazwę własną. A nazwa ta zdaje się nieraz brzmieniem przypominać zamierzchłe, może pogańskie czasy, a co najmniej świadczy o względnie niedawnem, a bardzo i obecnie połowicznem zagnieżdżeniu się tu Rusi. Toż to jeziora, jak: Krysztokielis, Somoń, Kiewle, Purwie, bagna, jak Łaukażerys, łąki, jak Szwiantieni, Jagudy, strumienie, jak Strewa, Kojrewia Upia, „dwory“ nawet bojarskie, jak Rasakompis albo Rasakiemia, wszystko nosi jeszcze nazwy litewskie. Uderza też, że i nazwy „pu-

stowszczyzn“ wskazują najczęściej na dawnego litewskiego właściciela: Żomojtowszczyzna, Wizmontowszczyzna, Butwiłowszczyzna, Rymwidowszczyzna, Dowiadowszczyzna. Że Litwa i teraz jeszcze wśród bojarów nie wygasła, świadczą takie imiona żyjących bojarów, jak Kiejstowt (Kiejstut), Mikias, Janelis, Petrulis. Ale oto parę ustępów z tranzakcyi, podających opisy miejscowości; te w wyrazistym swym lakonizmie malują nam też chyba czysto litewskie krajobrazy. „Prodał jeśmi, powiada Micko Olechnowicz, nawoz swoj kuplenyj u susiedów, kotoryj leżyt pod horoju Wojewoju na Somiliszskoj doroze i niwka nad ruczjom, kotoraja leżyt nad welikoju horoju Kowenskoju.“ „Prodał jeśmi niwku otczyznoju (sic), powiada drugi, kotoraja leżyt pod hruszoju Szłopieju“ i ma może na myśli drzewo niegdyś święte, które czcicieli swoich przeżyło. „Prodał jeśmi sianożatku pod hruszoju Oldeniskoju,“ powiada trzeci. Na wspomnienie tych starych drzew, komuż z nas w oczach nie stanie ten dziś jeszcze, jak temu lat czterysta, tak wierny obraz litewskiej okolicy, do której wiodło wieszcza tęskne uczucie tułacza:

Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych;
Do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem,
Wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem;
Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała,
Gdzie panieńskim rumieńcem dzięcielina pała,
A wszystko przepasane, jakby wstęgą, miedzą
Zieloną, na niej zrzadka ciche grusze siedzą.

Już z licznych powyższych przytoczeń wynika, że bojarzy często sprzedawali i nabywali ziemię. Odkąd prawo i silniejsza nieraz odeń potrzeba wyrobiła swobodę pozbywania się części „sieliszcz,“ tranzakcye sprzedażne na drobne działki gruntowe szybko się mnożyć zaczęły. Najpospolitszym zaś przedmiotem układów bywały „sienożatki,“ co się może tem tłómaczy, że grunt w okolicy Sumieliszek wzgórkowaty i falisty tworzy w zagłębieniach dużo dolinek, przydatnych na łąki. Rzadziej sprzedawano pole uprawne, jeszcze rzadziej las, którego zresztą tylko niewielkie obszary na-

leżały do bojarów. Oto parę formułek sprzedażnych na „haje.“ „Prodał jeśmi haik swoj i z zemleju wysłuhu (sic) swoju meży hai Micewskimi, za wosemdesat hroszej litowskoje monety.“ „Prodał jeśmi delnicu haiku swojeho, sztoż jeśmo mieli siebrenyj [1]) z panom Iwanom, za dwanadcat hroszej panu Iwachnu Leonowiczu, a haik tot leżyt nad horoju Wojewoju.“ Las większy, jednolity, który wtedy pół kraju zajmował, bojarzy zwali „puszczą.“ Puszcza należała zwykle, albo jeszcze do samego zwierzchnika kraju, t. j. do wielkiego księcia, albo przeszła już była przez różne nadania na własność panów, szlachty lub kościoła. Siła rzeczy sprawiła, że gdy bojarzyn lub kmieć, zagłębiwszy się w cudzą puszczę, odkrył w niej bądź „gony bobrowe,“ lub upatrzył łąkę, którą kosić zaczął, albo założył barcie na drzewach, a nikt mu w tem nie przeszkodził, pozyskiwał wstęp stały, którego własność bezsprzeczną zapewniała mu „dawność ziemska“ albo prawo „ojczyste,“ czyli, jak się dziś mówi, dziedzictwo. Co więcej, własność tę zabezpieczał nawet wyraźny przepis statutu króla Zygmunta z r. 1529. „Tot, w czyjej puszczy, ozera, sienożati i borti budut (czużyje), tych czużych wchodow w swoju puszczu otniati ne możet [2]).“ Ale nietylko podobne wstępy do puszczy posiadał bojarzyn opodal od swego „dworca“ lub sieliszcza. Cała jego własność ziemska była najczęściej rozrzucona, podzielona na drobne działki i szachownice. Obok leśnych, bywały wstępy wodne, do jezior i rzek. „Prodali jeśmo delnicy swoi, w trech ozercach, w Kiłuszy, a w Purwi, a w Somoni,“ zeznają dwaj bracia bojarzy. Łąki, zwłaszcza większe, dzielono też na schedy, czyli sznury. W okolicy Sumieliszek jest łąka „Skierdymie“, której nazwa litewska znaczy podzielona, od słowa „skiersti“ dzielić. Rozrzucone zaś działki jeszcze bardziej się drobiły, ilekroć w którejś rodzinie rozbiła się jedność domowa, a bracia lub krewni, żyjący dotąd wspólnie, podzielili się dziedziną.

---

[1]) Siebrenyj, wspólny.

[2]) Działyński, zbiór praw. lit. stat. 1529, rozdz. 9 art. 3.

Wówczas stary zwyczaj, dziś jeszcze przez wieśniaków litewskich praktykowany, nakazywał równy podział każdego działku, każdego wstępu, każdego sznura. Toż nawet zamieszkali o milę od Somiliszek we dworze swoim Dowgierdziskim trzej bracia szlachta Zawiszowie, herbu Łabędź, gdy im się w roku 1540 przyszło podzielić ojcowizną, poszli za przykładem bojarów i kmieci i, mając do podziału trzy „imiona,“ jedno na Żmudzi, drugie w Trockiem (Dowgierdziszki) trzecie na Pińszczyźnie, wydzielili każdemu z pośród siebie po trzy schedy w każdej z trzech wiosek. To rozdrobienie własności bojarskiej tłomaczy nam też wspomniana mnogość tranzakcyi sprzedażnych. Jednym szło o zaokrąglenie swych gruntów, drugim o pozbycie się, w potrzebie gotowizny, szachownic, zbyt od „sieliszcza“ odległych.

Przypatrzmy się sposobowi, w jaki się akt sprzedaży gruntu załatwiał. W czasach, gdy nasi bojarzy umów jeszcze nie stwierdzali „listami,“ prawomocność umowy zależała od uczynienia jej przy świadkach, tak zwanych „ludziach dobrych.“ Sprzedający spraszał więc do siebie kilku sąsiadów, zwanych też czasem w późniejszych dokumentach, „ludźmi obcymi [1]), i w towarzystwie nabywcy „obwodził“ ich po miedzach i granicach sprzedawanego gruntu, „opowiadając“ przytem warunki kupna, wyszczególniając, czy grunt jest jego „ojczyzną,“ czy też „zemliceju kuplenoju“ i czy nikomu nie jest „pienną.“ Potem pozostawało już tylko wyliczyć pieniądze i akt mniej lub więcej sutą biesiadą zakończyć. Gdy ku końcowi wieku XV weszło w zwyczaj spisywanie sprzedaży, obrządek „zawodzenia kupli“ długo jeszcze pozostał w swej sile. Tylko że po jego załatwieniu trzeba już było ze świadkami, którzy nie potrzebowali nawet być koniecznie ci sami, co przy akcie „zawodzenia,“ udać się do mia-

---

[1]) „Ludej obczych,“ tak nazywa ich dokument piński jeszcze w r. 1613. (Testament Krzysztofa Skirmunta, sędziego Grodzkiego Pińskiego, rkps.). Obczy znaczy tu jeszcze tyle, co okoliczny, a wyraz to jest utworzony z partykuły ob i końcówki — czy. Por. wyrazy polskie ob-roża, obwód i t. p. i rosyjskie obszczyna, obczina, obszczyj.

sta, to jest do Trok, gdzie „dziak“ wojewody lub jego namiestnika starannem pismem ruskiem stojącem, piórem silnie przyciśniętem, kreślił na ćwiartce mocnego papieru, o charakterystycznym znaku wodnym, krótką aryngę, podobną do tej, którą, jedną z tysiąca, dla przykładu tutaj przytaczamy:

„Ja, Netius Sowkołowicz i z bratjeju swojeju Dacom a z Bortkom i z synom swoim Pietraszom, wyznawajem sim naszym listom, prodali jeśmo haj swoj i z zemleju pospołu Pawłu Tołokonskomu za dwie kopie hroszej, wieczno obel, i nepienno nikomu, i zaweł jeśmi tot haj pered bojary, pered Butrymom, a pered Dobkom, a ne nadobie toho haju nikomu poiskiwati od naszeho plemieni, a chtoby mieł poiskiwati, tot zapłatit winy wojewodu trockomu try rubli hroszej. A prytom byli ludi dobryje: Iwachno Kołomarewicz, a Zanko Semenowicz, a Sadko żyd trockij, a brat jeho Ohron, a dla lepszoje twerdosti seho naszeho lustu prosili jeśmo i czołom bili Iwachna Kołomarewicza, sztoby peczat' swoju przyłożył k'semu naszomu listu i jeho miłost' to uczynił i peczat' swoju pryłożył. Pisan u Trocech, dekabra 27 deń. Indikt 12 (1494 albo 1509 r.). Po „przyłożeniu“ więc tej pieczęci, która, jak w tym przypadku, choćby była jedyna i nie należała do twórcy aktu, wystarczała do nadania mu sankcyi, wracano do domu, gdyż nie weszło jeszcze w zwyczaj późniejsze „przyznawanie“ tranzakcyi, to jest wpisywanie jej do ksiąg powiatowych grodzkich lub ziemskich, które to księgi w Trokach dopiero w drugiej połowie XVI wieku się zjawiają.

W przytoczonym co dopiero tekście niema, jak widzimy, żadnego opisu granic. Starczy zań jeszcze proste zawiedzenie „pered bojary“ albo „pered ludej dobrych.“ Wkrótce jednak, przy coraz większej łatwości pisma, zjawiają się opisy, tak, że „zawiedzenie“ staje się wobec nich formalnością zbyteczną. Opisy te, których kilka znamy już z uprzednich przytoczeń naszych, bywają w swej jędrnej prostocie zawsze malownicze. Dorzućmy tu ich jeszcze parę: „A taja sianożatka leżyt' nad ozerom, nad Somoniem, pod Michajłowym sieliszczem.“ — „A taja niwa leżyt' nad

Teterewinym rojstom, czerez mieżu iz niwoju, iz pana Iwanowuju, a iz druhoje storony z niwoju Chszczonowuju, czerez mieżu." „Odna sianożatka leżyt' pod Dinkowoju horoju, a druhaja nad Kukniewym kołodezem."

Jak niewielkiem bywało najczęściej mienie bojarów, tak też i sprawy ich sporne, których pamięć przekazały nam nieliczne z tego zakresu dokumenty, za drobiazgowe na ogół uważać można. Władzę sądową najwyższą miał nad nimi sam król, lecz że, zgodnie z pojęciami owych czasów, każdy urzędnik, jako dzierżący cząstkę władzy zwierzchniczej, był zawsze także i sędzią, przeto sprawy między bojarami rozstrzygali nietylko wojewodowie i ich namiestnicy, ale także i ciwunowie, czyli dzierżawcy królewscy, a w późniejszym czasie, sędziowie grodzcy i ziemscy. Stary król rozciągał nad bojarami troskliwą opiekę; to też przekładane sobie sprawy niejasne rozstrzygał nieraz osobiście, albo przez wyznaczonych na to w Wilnie specyalnych komisarzy, wybranych z pośród dostojników duchownych i świeckich. Sprawy potoczne sądzili urzędnicy z ramienia wojewody, a więc przeważnie namiestnicy z przybraniem ławników. W takich sprawach prystawowie bywali też zwykle głównymi świadkami. W „liście sądowym," wydawanym po rozstrzygnięciu sprawy stronie wygrywającej, sędziowie podawali cały przebieg ustnej rozprawy. Okoliczność ta czyni podobne „listy" niezmiernie zajmującymi. To też jeden z nich podajemy tu w całości:

„Ja Olechno Hrynkowicz, namiestnik Kozinskij, Trockij i Somieliszskij, a pan Weliczko Dyakowicz, kłucznik Trockij hospodara korola Jeho miłosti; a pan Paweł Tołokonskij, a Jan Iwaszkowicz Połuboczok smotreli jeśmo toho dieło. Żałował nam pan Iwan Leonowicz, stojaczy na swojej zemli, na Mateja Bohdanowicza i na brata jeho Juchna, tym obyczajem, sztoż: „Oni pospoł s'otcom swoim Bohdanom, prodali mi czetyry niwki i berezniczki, sumież z Ławrynowuju meżoju, za piatnadcat' hroszej, obel wieczno, ino tot istyj Matej, seje zimy pryszotszy (sic) czełowieka mojeho w tom berezniczku zbił, kakże jeśmi czełowieka swojeho rany

w zamku okazywał.“ I my spytali Mateja a Juchna Bohdanowiczow: „Czy prodali jeśte z otcom swoim, panu Iwanu, czetyry niwki i berezniczki?“ I oni rekli: „Kak jeśmo jemu ne prodawali tych czetyrech niwok i bereznikow także i ne wiedajem aż do tych czasow.“ I my spytali pana Iwana: „Czym to na nich perewodisz, sztoby oni twojej miłosti tyje czetyry niwki prodali i zaweli?“ — I pan Iwan szapku prystawił do lista ich kupczocho, i do bojar, kotoryje w tom ich liste stojat’, pered kim oni tyje czotyry niwki i berezniczki prodali i zaweli sami, kakże i list ich kupczyj pan Iwan pered nami ukazywał, w kotoromże liste ich stoit, iż oni pospoł z otcom swoim, z Bohdanom, prodali; kakże w tom liste ich s prawa i peczat Wołkowa, i sam sia Wołk pered nami soznałsia (sic) szto: „Sami oni prosili i czołom bili mene, sztobych ja tot list im napisał i peczat’ swoju pryłożył k’semu ich listu.“ A Matej i Juchno Bohdanowiczy, szapki ne prystawili do ludej tych, pered kim sami panu Iwanu prodali i zaweli tyje czotyry niwki i berezniczki, a k’listu i ku pieczati niczoho ne mieli. I my tomu porozumiejuczy,... zostawili jeśmo pana Iwana pry tych czotyroch niwok i pry berezniczku, majet’ on tuju kuplu swoju obel wieczno derżati.— I na to jeśmi jeho miłosti dał sej moj list sudewyj pod mojeju peczatju, a Mateju Bohdanowiczu kazali jeśmo połtinoju hroszej czełowieka pana Iwanowa nawiezati i rok jeśmo, tym peniaziom pewnyj położyli: czetyry niedieli. Pisan u Rasokiemis, Maja 21 deń, indikt 3 (1515 r.).

W tym prostym a jasnym obrazie prawdziwie pierwotnej rozprawy sądowej, każde niemal słowo podaje cenny szczegół. Pan Iwan Leonowicz, człowiek widocznie zamożny i wzięty, skoro go sędziowie stale tytułują „Jego Miłością,“ skarżył, „stojąc na własnej ziemi,“ a więc Rasokiemis, skąd datowano dokument, było jego „dworcem“, w którym też sędziów przyjmował. „Przystawianie czapki“ było formalnością, służącą do przywołania świadków, w obecności których akt kiedyś był uczynionym. Oskarżony „czapki nie przystawia,“ ponieważ odwodowych świadków nie

ma, a przeciw autentyczności pisma i pieczęci żadnego też zarzutu podnieść nie umie.

Nie wszystkie jednak sprawy dawały się tak prędko załatwić, jak powyższa, a zdarzały się często i takie, które poszkodowanemu, pomimo pracowicie pozyskanej interwencyi władzy, żadnego zadość uczynienia nie przynosiły. Oto przebieg podobnej.

Radziwoj Iwanowicz, bojarzyn Somiliski, kupił sobie w r. 1557 u Jurja Dowborowicza, „bojarzyna hospodarskoho kiernowskoje wołosti“ chłopa „niewolnego“ z całą jego rodziną. Chłop zwał się Mikus Borcowicz, miał żonę Marynę, dwóch synów Hrynka i Bortka, oraz córkę Jagnieszkę. Za te pięć osób nabytych zapłacił Radziwoj dwanaście kóp groszy litewskich. Tymczasem chłop, niedługo pomieszkawszy „pod“ nowym panem, dnia 2 Października tegoż roku. w sobotę, wziąwszy ze sobą ile mógł dobytku, umknął, „zabrawszy sia“ z żoną i z dziećmi i, korzystając z zarośli, lasów i bagien, tamujących najbliższe w kraju stosunki, manowcami dążył w tronę Wilna. Lecz bojarzyn nasz czasu nie tracił. Skoro się tylko o ucieczce Mikusa dowiedział, zebrał znajomych, „ludej dobrych,“ „susiedów okolicznych swoich“ i udał się z nimi w pogoń śladem, „po doroham i posełam zakazywajuczy i prosoku dajuczy“ sposobem i teraz praktykowanym przez chłopów litewskich, gdy im konie lub inny dobytek uprowadzą „konowody.“ Tak z pod Somiliszek, pędząc dniem i nocą, ujechał mil kilkanaście i nazajutrz, w niedzielę, w wiosce Opigoszach, na trakcie wiłkomierskim, aż o 7 mil od Wilna, znalazł nareszcie swego zbiega. Schronił się on był z całą rodziną do chaty Łukasza Łowcewicza, poddanego „bojaryna wilenskoho“ Sebestyana Mikołajewicza, a gdy Radziwoj ze „stroną,“ którą miał przy sobie, zażądał wydania zbiega, chłop czem mógł zaparł drzwi i okna chaty i bronić się począł. Zawiązała się bójka na kije. w której Radziwoj placu nie dotrzymał, a wracając z próżnemi rękoma, wstąpił do Kiernowa i opowiedział się tamecznemu namiestnikowi. Ten, upomniawszy wprzód Mikołajewicza, gdy to nie skutkowało, dnia 7 Października, pozwał go

przed sąd swój na „oczewistą rozprawę“ do Wilna. Lecz pozwany „u prawa“ nie stanął, a chłopa u siebie po staremu przechowywał. Radziwoj zrozumiał wtedy, że niewiele dokaże, aby jednak niczego nie zaniechać, udał się do Dowborowicza, od którego owego chłopa był nabył, a przypominając mu jego zobowiązania się w liście sprzedażnym, prosił o pomoc i obiecywał darować mu opisane w dokumencie „winy“ pieniężne i wynagrodzenia „sowite“ szkód wszelkich. Lecz Dowborowicz na nic się nie zgadzał, przekładając, że z Mikołajewiczem także nie poradzi i że ucieczka chłopa w jego zobowiązaniach przewidziana nie była. Próżne więc były zabiegi z tej strony. Radziwoj przez rok cały czynił jeszcze starania i rozmaitemi drogami, przez przyjaciół i życzliwych sąsiadów nalegał na Dowborowicza, aby mu pomógł, lecz napróżno. Dowborowicz był na prośby głuchym, a chłop nie powracał. Nareszcie w grudniu 1558 r. obżałowany bojarzyn wyjednał raz jeszcze u tegoż namiestnika kiernowskiego „list upominalny“ do Dowborowicza, aby się starał chłopa właścicielowi powrócić i szkody temu ostatniemu wynagrodził. Był to właśnie, o ile w braku dalszych dokumentów sądzić możemy, prawdopodobnie ostatni a również jak poprzednie bezskuteczny zabieg poszkodowanego.

Te dwa przykłady wskazują też na dwa najpospolitsze między bojarami rodzaje procesów: sprawy o ziemię i o zbiegłą czeladź. Sprawy rzeczowe najczęściej u nich z uczynkowemi się łączyły; u ludzi, jak oni, pierwotnych, od sporu do czynnej obelgi droga bywa niedaleka.

Ze śmiercią Starego króla, którego późniejsze akty bojarskie wspominają ze czcią, jako „sławnoje pamiati korola Żykhimonta,“ organizacya bojarska zdaje się rozprzęgać: o namiestnikach, o przystawnictwach, ba nawet o samych „wołostiach“ bywają w naszych dokumentach wzmianki coraz rzadsze, występuje natomiast coraz bardziej na plan pierwszy wszechpotężny stan szlachecki. Dla zubożałych „ziemian-bojarów“ służba wojenna, wymagająca z biegiem czasu coraz droższego uzbrojenia, coraz większych, wsku-

tek komplikowania się warunków życiowych, ofiar, staje się, jak to niżej zobaczymy, jedną z głównych przyczyn upadku, a nawet i zagłady pojedynczych rodów bojarskich. W okolicy somiliskiej, a pewnie też i w innych środowiskach bojarskich, występują teraz coraz częściej pojedynczy ludzie, dzierżący w ręku większe środki i większą też zabiegliwością, niż sąsiedzi, obdarzeni, skupujący skwapliwie działki i sieliszcza tych ostatnich i usiłujący się też stanowiskiem społecznem ponad nich wywyższyć. Do poniżenia stanu bojarskiego przyczyniła się też, ze zmianą stosunków społecznych, niemało instytucya, z łona samych bojarów przeważnie wyrosła, instytucya dworzan królewskich. Trzeba bowiem wiedzieć, że za Jagiellonów, obok kancelaryi litewskiej, istniał także przy osobie hospodara osobny dwór litewski. Tworzył go zastęp synów szlachty i zamożniejszych bojarów, tak liczny, iż z samych dworzan litewskich bywał oddzielny hufiec na wojnach, o którym, mówiąc nawiasem, wieść niosła, że niezbyt dzielnie się spisał w potrzebie grunwaldzkiej. Pod koniec życia Starego króla, gdy Zygmunt August objął rządy Litwy, wskutek zmniejszonych przez wydatki wojenne dochodów skarbu nadwornego, nie mógł on dworu litewskiego w dawnej świetności utrzymać. To też w r. 1547 na sejmie w Wilnie prosił króla stan rycerski, aby „starodawnoho obyczaja" w zapomnienie nie puszczał i, jak za „prodkow" jego bywało, „dwor litowskij na dwore swoim chował, a to dla toho, iżby bratja i synowie naszy... czwiczyli sia rycerskich uczynkow, tym sia łaski korolewskoje dosłuhiwali i na potom hodnymi słuhami Jeho hospodarskoje miłosti i reczy pospolitoje byli." (Działyński, Zb. pr. lit. Prośby sejmowe). Obowiązkiem dworzan było, oprócz służby wojennej, pełnić w czasie pokoju służbę przyboczną hospodara, a więc rozwozić wszelkie listy i spełniać różne polecenia, od króla lub z kancelaryi litewskiej wychodzące, wręczać pozwy na sądy nadworne i t. p. Służba to była zaszczytna i mogła też korzyści materyalne przynosić. Nie była jednak wolną od niebezpieczeństw, kiedy naprzykład posłano dworzanina z pozwem lub rozkazem do możnego pana, lub gdy za nieopłaco-

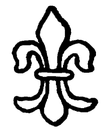
ną „serebrszczyznę“ miał uczynić „odprawę“ na włościach magnackich. Świadomość tego niebezpieczeństwa zniewalała nawet króla w takich razach do wyraźnych wobec winnego zastrzeżeń: „Przykazujem tobe, pisze Zygmunt August z Knyszyna, d. 12 lipca 1568 r., wysyłając swoich dworzan „bierczych“ na „odprawę“ niezapłaconej serebrszczyzny do Stanisława Dowojny, wojewody połockiego — pod zakładom naszym (t. j. pod karą zapłacenia) dwiema tysiaczmi kop hroszej, iżby jesi nikotoroje nebezpiecznosti zdorowju onych poborec ne czynił, słowom ani rukoju na nich ne sehał, wo wsem sia ku nim spokojne zachował koneczno.“

Gdy taki dworzanin, syn bojarzyna, wracał do rodzinnej zagrody, można przypuszczać, że ze swej służby, jak mówili bojarzy, „w lackoje zemli,“ nie przybywał z próżnemi rękami, a obok zwiększonych zasobów materyalnych, przywoził też pewnie obyczaje, upodobania i ambicye, odmienne od wieśniaczej braci. Do swego nazwiska dodawał z dumą tytuł „dworanina jeho korolewskoje miłosti,“ a na tranzakcyach pospolitej braci, do których chętnie wzywany bywał za świadka, odciskał wytworniej, bo „w czużoje zemli,“ wyrzniętą pieczątkę. Takich dworzan w drugiej połowie XV wieku bywało nieraz po kilku w jednej włości bojarskiej. Oni to byli zwykle owymi zabiegliwymi nabywcami ziemi, skupującymi „na schwał“ od zubożałych sąsiadów różne ich „niwwi, sienożatki i haiki.“ A tranzakcyi tych bywała czasami tak wielka liczba, że pan dworzanin jechał nieraz do Trok z całą gromadą bojarów, z których każdy miał mu coś sprzedać. Spisywano więc cały szereg jednobrzmiących prawie aktów, do których sprzedający wzajemnie sobie służyli za świadków. Nasz szczęśliwiec wkrótce otrzymywał tytuły „jeho miłosti“ i „pana,“ nieznane dawniej między bojarami. Pisania siebie „bojarzynem hospodarskim“ takiej a takiej włości, jak to ojciec jego czynił, ile mógł unikał, a jeśli kiedy tytuł „dworzanina“ opuścił, to tylko na to, aby się nazwać nowotnie „ziemianinem hospodarskim.“ Gdy zaś jaki „list,“ z kancelaryi królewskiej wydany, tytuł mu ten powtórzył, stawał się on już nieodłącznym od imienia

nowego „pana“ dodatkiem. To wyjście ze stanu i obyczaju bojarskiego pozostawało ukoronować przybraniem po szlachecku, na—ski zakończonego nazwiska od wioski czy dworca własnego i ustaleniem w rodzie pieczętnego znaku, robiąc z tego ostatniego, według pojęć zachodu, prawdziwy *Erb* to jest herb dziedziczny. Jedno i drugie znajdowało się bez trudu. Syn zmarłego w pierwszych latach panowania Zygmunta Augusta dworzanina, następnie ziemianina J. K. M., który się był zwyczajnym bojarzynem „somiliszskoje wołosti“ urodził, używał przez czas pewien na swej pieczątce znaku ojcowskiego. Pod koniec życia, będąc już sędzią grodzkim, trockim, tak umiejętnie znak ten przerobił, że synowi jego może stało się już łatwem przyznać się do jednego ze starożytnych klejnotów polskich, Gozdawy...







Z przechowanego szczęśliwym trafem, datowanego z r. 1540 „rejestru“ ruchomości ziemianina szlachcica, dziedzica „imienia,“ niewiele od Somiliszek odległego, możemy się przekonać, że mieszanie się kultury zachodniej ze wschodnią, polskiej z ruską, tak powszechne wtedy na Litwie, uwydatniało się także w ubiorze i w sprzętach ziemian szlachty. Tem bardziej dziać się to musiało u takiego ex-bojarzyna na dorobku. Niewiele więc chyba przeciwko prawdzie zgrzeszymy, jeżeli otrzymane ze wspomnianego rejestru szczegóły, i z paru podobnych spisów, pochodzących od bojarów, przepiszemy wprost na naszego dorobkiewicza. „Usiłował on przecie pewnie we wszystkiem „panów szlachtę“ naśladować. A więc z Polski, z obyczaju dworskiego, pochodził może jego „kabat“ i długa „żupica.“ Ze strojów ruskich zachował on jeszcze aksamitne, adamaszkowe lub „czamletowe“ „odnoradki,“ ozdobione wielkimi z kruszcu, lub nawet ze srebra i złota, po polsku nazwanymi „khuzami.“ Z zachodu był znów „sajan“ kitajkowy, lecz ruskie szerokie „sztany.“ Do nakrycia głowy służyła mu „kuczma“ tatarska, to jest

czapka futrzana o spiczastym wierzchu z aksamitu lub sukna. U pasa brzęczała mu polska „szabla" lub niemniej polski „kord o rękojeści z klejnotem" w srebro oprawnym. Do jazdy konnej miał długie, rycerskie u nóg „ostrogi," „pojaskami" rzemiennymi do obuwia przytwierdzone. Na zimę służyły mu „szaty," futrem podbijane, „szuby kunie," „czarnym czamletem" pokryte, albo też mniej kosztowne, takież szuby lisie „zawojkowe (?)," suknem szarem „machackiem" powleczone. Do częstych „z przyjacioły" pijatyk był „roztruchan serebrenyj pozołotistyj" krakowskiej może roboty, ceniony aż 30 kop groszy i w pilnej potrzebie gotowizny za połowę wartości żydom trockim zastawiany.

Ale ile było przepychu w ubiorze, tyle graniczącej niemal z ubóstwem prostoty w urządzeniu domu i gospodarskiego obejścia. Przykład tego zbliżony weźmiemy z poblizkiego Somiliszkom dworu szlacheckiego, według jego opisu, podanego w inwentarzu z ostatnich lat XVI wieku. Przez wrota drewniane, opatrzone dachem z „dranic," wjeżdżało się na podwórze, gdzie wśród licznych tu i owdzie rozrzuconych zabudowań drewnianych, piekarń, swirnów, spichlerzów, browarów, po białym tylko kominie „dworzec" pański odróżnić było można, miał on zresztą jeszcze i dach odmienny od otaczających go budynków. Była bowiem na nim gładka strzecha słomiana, podczas gdy wszędzie szarzały strzępiaste „dranice." Drzwi zamczystych nie dopatrzyć. Żelazne zawiasy i zaszczepka z „probojem" były przedmiotami godnymi pilnej uwagi opisującego. Przez tak źle obwarowane drzwi dworu wchodziło się do półciemnej, dwoma jednoszybowemi okienkami słabo oświetlonej sieni, w której umieszczone wprost wejścia drugie drzwi wiodły do „komorki" czyli „schowania," a jeszcze dwoje drzwi w prawo i w lewo do dwóch „świetlic," czyli dużych izb, opatrzonych w podłogi i w piece, z których jeden był z cegieł, a drugi z kafli zielonych. Świetlice te otrzymywały światło z dwóch stron, przez cztery nieduże okna o „błonach" czyli szybach szklanych. Pośrodku świetlic były stoły dębowe, a pod ścianami wokół biegły ławy z grubych „dyli." Oprócz kilku luźnych

zydelków, niczego więcej w tych izbach nie było. Z obu świetlic wchodziło się do dwóch „komor“ końcowych o dwóch okienkach. Były to sypialnie a zarazem i skład sprzętów, których w świrnie umieścić nie wypadało. Najważniejszym po dworze budynkiem był świren, a dzielił on z piwnicą zaszczyt nielada: oto u drzwi jednego i drugiej, na żelaznych łańcuchach, wisiały dwie ciężkie, żelazne „kłódki moskiewskie.“ Był to dowód wymowny, że zapasom i sprzętom tu przechowywanym właściciel ich największą przypisywał wartość. Pieniędzy jednak w srebrnych groszach i półgroszkach albo w „rublowych“ sztabach i w „złotych czerwonych“ bywało tam chyba niewiele; biegły w sztuce mnożenia bogactw nowotny „ziemianin“ nie marnował korzyści z gotówki i wolał ją żydom trockim oddawać na lichwę, niż trzymać pod zamkiem, chociażby tak mocnym, jak owe dwie jego kłódki moskiewskie. Toż z testamentu takiego ziemianina świeżej daty, spisanego w 1553 r., dowiadujemy się, że żydzi byli mu winni aż 68 kop groszy, podczas gdy drugich 60 kop i 32 czerwone złote węgierskie rozpożyczył był pozostałym w stanie bojarskim uboższym sąsiadom swoim.

Nazwa bojarów niedługo już spotykać się miała na coraz częstszych aktach sprzedażnych, stwierdzających stopniowy zanik drobnego rycerstwa somiliskiego. Po roku 1560 nie widujemy już imienia „wołosti“ na tranzakcyach. Ludzie starsi piszą się jeszcze, jakby z nawyknienia, czas jakiś „bojarami hospodarskimi somiliskaho okruha“ albo wprost bojarami powiatu trockiego, młodzi używają wprawdzie jeszcze niekiedy tytułu „bojarzyn hospodarskij,“ lecz zawsze już bez wymienienia włości. Coraz częściej występuje tytuł nowy: „ziemianin“, i to u tych samych osób, które jeszcze kiedyniekiedy nazwą się bojarami. Nareszcie, około r. 1570, nazwa „bojarzyn“ znika bezpowrotnie. Ci wszyscy, którym upadek stanu swego udało się przeżyć, zamienili się w szlachtę.

Jakie były tego upadku przyczyny, w jaki sposób nastąpiło to ostateczne przedzierzgnięcie się bojarstwa, opowiemy to w krótkich słowach. Dokumenty nasze skąpe tyl-

ko światło rzucają na tę doniosłą przemianę. Nie ulega wątpliwości, że jedną z głównych przyczyn ruiny był ciężar służby wojennej. Nieustające prawie za obu Zygmuntów krwawe z Moskwą zapasy wymagały ustawicznych, dotkliwych ofiar w ziemi i w ludziach. Los drobnego rycerstwa bywał przytem prawdziwie tragicznym. Odmówić służby królowi znaczyło to samo, co zrzec się praw swego stanu, zrzec wolności. Bojarzyn, nie będący w stanie, dla ubóstwa swego, uzbroić się należycie, siąść na koń i stanąć na pierwsze wezwanie pod chorągwią, musiał pójść w poddaństwo, zostawał chłopem. Niejeden chłop późniejszego starostwa sumieliskiego musi być potomkiem bojarskiego rodu. To też nie było nieraz tak ciężkich wysileń, nie było poświęceń, którychby nie był gotów ponieść bojarzyn, aby „swobód i wolności“ stanu swego nie utracić. „Ja Jakub Jankowicz, bojaryn hospodarskij Trockoho powietu, wyznaje w r. 1556 jeden z tych nieszczęśliwych, zastawił jeśmi ku welikoj i pilnoj potrebie, iduczy na wojnu do Liflant, czast' swoju derewa bortnoho zo pczołami w puszczy Perełajskoj, i z tymi zo wsimi ulami ohoronymi, kotoryi po siabroh [1]), jest u Perełajech, w siemidiesiat hroszej.“ Co oszczędziły wojny, tego dokonały lata głodu i zarazy na Litwie 1570—1580. Tenże

[1]) Wyraz „siabr“ na Rusi znaczy tyle co towarzysz, wspólniki i w tem znaczeniu też dotąd jest na Litwie u ludu — potocznym. W powyższym ustępie oznacza on stosunek, z odwiecznego obyczaju bartnego wynikły, dotąd jeszcze między pasiecznikami litewskimi praktykowany. Zwą go dziś na Żmudzi wyrazem pół polskim, pół litewskim: biczulowstwo, od litewskiego biczulis - siabr. Zasobny pasiecznik, posiadający ilość rojów, wyczerpującą „pożytek“ okolicy, umieszcza pojedyncze ule u dalszych sąsiadów, do których w porze miodobrania udaje się osobiście, aby wspólnie z biczulem wybierać plastry, popijając przytem z nim przyniesioną przez się, a świeżym miodem zaprawną gorzałkę. Biczulowie następnie dzielą się plastrami, roje zaś, wydawane przez ul, należą do obu na przemianę. Stosunek nie może być zerwany, dopóki liczba przybytku u obu nie jest równa. Biczulowstwo obowiązuje do przyjacielskich wzajemnych stosunków, inaczej, według przekonań Litwina, pszczoły się nie wiodą.

sam Jankowicz w 1571 r., razem z żoną i z dziećmi, spisuje akt, w którym czytamy te proste, lecz zgrozą przejmujące wyrazy: „Wyznawajem sami na sebe, iż my, ku welikoj a pilnoj potrebie swojej domowoj, ne majuczy sia czym pożywiti czasu tepereszneho hołodnoho, prodali jeśmo zemli własnoje otczyznoje, na piat boczok siejenia.“ W latach następnych Jankowicz czyni co rok to samo, sprzedaje łąkę, parobka, kawał lasu, chatę, a wreszcie sam znika nam z oczu zupełnie!

Rozumie się jednak samo przez się, że nie wszyscy bojarzy ginęli tak marnie. Obok owych zbogaconych jednostek, o którycheśmy mówili, w obszernych dziedzinach dawnej somiliskiej włości znalazło się dość miejsca nietylko na utworzenie starostwa, dawanego odtąd szlachcie, jako tak zwany *panis pro patria bene merentium*, ale i na utrzymanie się przy ziemi licznych rodów zagrodowej szlachty bojarskiego pochodzenia. Za króla Zygmunta III ma już każdy z tych nowych klejnotników własny herb rodowy, którym jest rzadko tylko jedno z polskich godeł herbowych, daleko częściej jest to właściwej heraldyce polskiej nieznany, jednej tylko rodzinie służący, znak zupełnie oryginalny, uherbiony, że się tak wyrazimy, dawny znak pieczętny, osobisty, bojarski. Ciekawych, jak te nowe herby wyglądają, odsyłamy do herbarza rodzin litewskich Alberta Wijuka Kojałowicza, znanego z kilku kopii rękopiśmiennych, przechowujących się w niektórych księgozbiorach publicznych. (Obecnie wydany nakładem zasłużonej wileńskiej firmy Józefa Zawadzkiego—w Krakowie).

Obok dawnych nazw ojczycowych (patronymicznych) z tradycyi ruskiej, a właściwie greckiej powstałych, które niegdyś służyły tylko jednemu pokoleniu takich Iwaszkiewiczów, Juchniewiczów, Pietraszkiewiczów, Sienkiewiczów, a obecnie stały się już stałemi nazwiskami rodów, zjawiają się wśród drobnych ziemian somiliskich nazwiska wcale nowe, utworzone nie już od imienia ojca, ale na sposób prawdziwie polski, zachodni, od nazwy rodzinnej wioski. Więc okolicę Mackan zamieszkują w XVII wieku Mackańscy, okolicę

Strawiennik—Strawińscy, okolicę Miglin—Miglińscy, okolicę Rondomańców—Rondomańscy i t. p. Już to samo, że imienników bywa czasami bardzo dużo, zdaje się wskazywać, że przyczyną wspólności nazwiska niezawsze była jedność rodu. Rodziny sobie obce, zamieszkujące tę samą osadę, mogły sobie wspólnie przyswoić jej nazwę. Tą okolicznością możnaby też np. tłómaczyć wielkie rozpowszechnienie nazwiska Świrskich na Litwie, przyczem noszący je, chociażby byli najubożsi, uważają się zwykle za potomków udzielnych niegdyś książąt na Świrze. O wiele właściwiej byłoby przypuścić, że nazwisko Świrskich dostało się bojarom księstwa Świrskiego i utrzymało się jako ich rodowe, w czasie, gdy wogóle wszyscy na Litwie bojarzy, tak „hospodarscy," jako i książęcy i pańscy ze szlachtą zrównani zostali.

Jak się łatwo domyśleć, zrównanie to nastąpiło po zniknięciu wszelkich instytucyi i urzędów specyalnie bojarskich, a więc w pierwszym rzędzie bojarskiej włości, a także i namiestnictw i przystawnictw. Dla drobnych ziemian, którzy te urzędy zwykle piastowali, pewną kompensatą stały się świeżo zaprowadzone urzędy woźnych sądowych. To też od drugiej połowy XVI wieku, garną się do nich pilnie nasi dawniejsi bojarzy. Bojarzyn, sprawujący urząd woźnego, miał w nim nietylko najlepszą gwarancyę uznania swoich praw szlacheckich, ale, co było może jeszcze cenniejszem, zwolnienie od uciążliwości służby wojennej.

Jak się jednak ostatecznie dokonała ta ogólna przemiana stanu, co do niej dało hasło stanowcze, bezpowrotne, o tem poucza nas prosta wzmianka, napotkana w akcie sprzedażnym z r. 1571, wydanym przez Tomka Jakubowicza, „ziemianina hospodarskoho Somiliszkoho okruha." Motywując w niej szczegółowo, jak to było wówczas zwyczajem, dokonaną sprzedaż ojczystej swej wioski Oleśniki (dziś wieś skarbowa pod Jewiem w pow. Trockim) Władyce Mścisławskiemu, oświadcza, że czyni to w pilnej potrzebie pieniędzy, po utracie całego mienia na służbie wojennej i powołuje się przytem na uchwałę „sojma berestejskoho" z r. 1570, na mocy której było odtąd wolno sprzedawać ziemię bez pozwole-

nia królewskiego w całości, nie zaś tylko w ²/₃ częściach, jak przedtem. Konstytucya sejmu brzeskiego, uchwalona w roku, który po unii lubelskiej nastąpił, była więc ową ostatnią cegłą, która dokończyła budowy równości i wolności szlacheckiej na Litwie. Z nią znikł raz na zawsze ostatni ślad lenniczy zależności stanu rycerskiego od króla. Stanowi więc ona moment arcyważny, w dziejach wewnętrznego przeobrażenia Litwy i ostatecznej asymilacyi z polskiemi jej do niedawna jeszcze, tak odrębnych urządzeń państwowych. Jak szlachcic polski, był odtąd i obywatel litewski, dawny bojarzyn, prawdziwym „panem,“ prawdziwym zachodnim *liber baro,* wolnym od wszelkich, osobę jego lub majątek niegdyś krępujących, węzłów zwierzchniczych. To też (jeżeli cytat Czackiego o lit. i pol. prawach, t. II str. 22, z którego nie mając pod ręką statutu, ten szczegół czerpiemy, nie myli, w nowym tak zwanym trzecim statucie litewskim z r. 1588 niema już mowy o bojarach, tylko ogólnie o szlachcie) a w rozdziale III art. 39 § 11 tego statutu uczyniono wyraźnie zastrzeżenie w obronie praw osobistej niezawisłości, mających odtąd w całej pełni służyć i tym ze „szlachty,“ którzy w dobrach pańskich lub szlacheckich osiedli. Nie miało już być „bojarów,“ ani po królewszczyznach, ani po dobrach prywatnych. Wszędzie, tak w Litwie jak i w Koronie, istniał już tylko jeden, jednolity, równy i wolny stan szlachecki. Taki był koniec bojarów hospodarskich.

Nie poruszaliśmy dotąd w tym szkicu kwestyi narodowości bojarów somiliskich, a raczej kwestyi mowy, która im była ojczystą, i religii, którą wyznawali. Pragnęliśmy bowiem popartą paru przykładami z naszych tekstów wzmianką o tem, tę już przydługą i nużącą może czytelnika gawędę zakończyć.

Co do języka, to żadnego nie znajdując bezpośredniego o nim w źródłach świadectwa, poprzestać musimy na domyśle, opartym na przytoczonych wyżej przykładach imion i nazwisk bojarów, że w czasach najstarszych, objętych niniejszą rozprawką, językiem tym był tak dobrze litewski, jak ruski, z przewagą nawet tego ostatniego, w stosunkach z urzędem.

Od połowy jednak XVI wieku, mowa polska, jak wszędzie na Litwie i między bojarami somiliskimi, zyskuje coraz szersze prawo obywatelstwa. Szczególnie zaś wśród bogatszych, szczególnie wśród tych, którzy, jako dworzanie, lata młodości przebyli na świetnym dworze krakowskim. Wspomnieliśmy już, że mniej więcej od tego czasu litery na pieczęciach są już zawsze polskie, co więcej, zaczynają się, choć zrzadka, zjawiać akty spisane całkowicie po polsku.

Przytoczymy tu z nich najstarszy nam znany. Jest on z r. 1550 i stanowi cenne świadectwo zaszczepienia się już polszczyzny wśród ludzi somiliskich, w latach względnie tak wczesnych. Przepisujemy go tu z dokładnem zachowaniem pisowni i błędów językowych oryginału, gdyż właśnie w tych błędach tkwi dowód niezbity, że go pisać mógł tylko człowiek miejscowy, nie żaden przybysz z Korony. Ten ostatni nie byłby bowiem z pewnością użył form takich jak: budzie (budzye), pieczaci (pyeczaczy), Bartoszu, człowieku (w 3-im przyp. l. p.), dziejało (dzyeiało) i t. p.

Ja Sthanyslaw y Sarachphyn Ywaskowyczy wyznavami sami na syebye thim nasim listhim, komu to budzye potrzeba slysith, izesmy szasthavyly syanozycz w pol kopye grosy Barthosu czełowyeku Pyotrowemu Komyrskowemu a ma thrzymacz iako swoiąm własną. A thych pyenyąthy ma bycz wypusth na kozdy rok po grosu. Przythem byly dobrzy ludye: Bogus Olyechnowycz, a ku pothwyerdzaniu thego lysthu ia Sthanislaw y Sarachphyn Ywaskowyczy, przykładamy swoii pyeczaczy kthemu swoyemu lysthu. Tho sya dzyeiało w sobotha wylia swyąthei Malgorzathy, anno dni 1550.

Postępy języka i cywilizacyi polskiej na Litwie były odtąd coraz szybsze. Przed końcem wieku XVI już wszystkie tranzakcye spisywano wyłącznie po polsku. Język ruski, w którym jeszcze w r. 1588 wydrukowano cały statut litewski w Wilnie, pod okiem Lwa Sapiechy, utożsamiony tak z formułą urzędową, pozostał nią, jak wiadomo, w Litwie aż do ostatnich niemal czasów rzeczypospolitej, bo aż do panowania drugiego Sasa. Urzędy ziemskie i grodzkie aż do tego

czasu posługiwały się stale formułami ruskiemi przy tak zwanej aktykacyi, to jest przy regestrowaniu aktów do ksiąg ziemskich i grodzkich, znajdujących się w każdym powiecie. Język ten pod piórem ludzi, których mowa ojczysta już była polską, zidentyfikował się zczasem niemal zupełnie z tą ostatnią w słownictwie; zachowując jedynie odrębność swą w piśmie tak zwanem cyrylickiem i w wybitniejszych właściwościach morfologicznych. Stał więc ten język tak jeszcze prawie dwa wieki w rzeczypospolitej, siłą obyczaju i starej tradycyi, której naruszać nikt nie miał ani potrzeby, ani chęci.

Co do religii, to przeważało w Somiliszkach stanowczo wyznanie łacińskie. Imiona greckie spotykają się bardzo rzadko, wspólne zaś obu wyznaniom, formą swą wskazują najczęściej, że je noszą katolicy (np. Jan, Janko, Janelis, obok Iwan, Iwachno, Iwaszko). Śladu istnienia kiedykolwiek cerkwi greckiej w Somiliszkach w dokumentach naszych nie znaleźliśmy. Wiadomo zaś, że dzisiejszy kościół parafialny św. Wawrzyńca stanął tam w 1502 r. z fundacyi króla Alexandra.

Że jednak i w Somiliszkach, jak wszędzie w Litwie, ścierały się dwa prądy, mieszały dwie religie, dwie cywilizacye, że jeszcze w chwili, gdy część bojarów już język i obyczaj polski przyjmowała, bywali tam ludzie, i to wcale nie najpośledniejsi, wyznający wiarę wschodnią i pielęgnujący obyczaj ruski, niech służy za świadectwo ten oto wyjątek z testamentu Pawła Radiwonowicza Tołokońskiego, ziemianina czy bojarzyna hospodarskiego (pisał się bowiem jednym i drugim), włości somiliskiej, pisanego w r. 1553. Zauważyć tu zresztą wypada, że nazwisko Tołokoński zdaje się wskazywać na przybysza z dalekiej Rusi naddnieprskiej (Por. wieś Tołokun, w dzisiejszym powiecie radomyskim, u ujścia rzeczki Sielnicy do Dniepru). Podajemy ten urywek, w możliwie wiernej transkrypcyi z ruskiego tekstu, antytezę do tylko co przytoczonego aktu polskiego braci Iwaszkiewiczów.

„Naperwiej duszu moju hresznuju polecaju w miłosierdje Bohu Sotworitelu w Trojcy jedinomu, a pohreb tełu mo-

jemu obiraju pri cerkwi Rożestwa Christowa u Trocech, a opekunami duszy i telu mojemu ustawuju prijatelku moju pani Iwanowuju Lewonowicza Marju i syna jeje Radiwona. Koli Boh miłostiwyj duszu moju s seho sweta zberet', majut' oni teło moje hresznoje położiti pry toj cerkwi Bożej u Rożestwa Christowa, a hrob moj prikriti majut' suknom czornym machatskim, szest'ma łokti i prowod telu dostatocznie wczyniti majut' wodle zakonu chrestjanskoho, a możnosti swojeje. A na tuju cerkow Rożestwa Christowa, hde teło moje położono budet', na sorokoust weczystyj otkazuju desiat kop hroszej, a po inszym wsim cerkwam trockim na sorokousty po kopie hroszej otpisuju, a djakonu trockomu sorok hroszej, a pozwonnoho po wsim cerkwam trockim po szesti hroszej, a za prowod popom po tri hroszi, a proskurni trockoj rożestwenskoj poł kopy hroszej... (w liczbie świadków znajduje się:) „duchownyj otec moj, sweszczennik rożestwenskij trockij, Jewtropej Michajłowicz... Pisan w Trocech, pod let Bożeho Narożenia 1553, msca maja 3 d. (Podp.) Paweł Radiwonow."

Kazimierz Römer.

Łotwa i jej pieśni gminne

przez

Gustawa Manteuffla.

„Przez pieśń ludową zaglądamy narodom w serca i uczymy się lepszą ich stronę cenić i kochać, poznajemy, że wewnętrzna duchowa spójnia jednostajnie je wszystkie ogarnia i wzajemnie ku sobie przyciąga. I im więcej wzrasta i rozszerza się takie poznanie, tembardziej narody uczą się tej prawdy i więcej mają podstaw do wzajemnej miłości niż do nienawiści."

FRYDERYK BODENSTEDT

Gdy w jasny letni poranek wstępujemy do lasu, wzrok nasz uderza niezliczona moc przejrzystych kropel rosy, utkwionych uroczo na szpilkach i listkach drzew, na krzewach i kwiatach, na murawie i zielsku. Tam, gdzie odblask porannego słońca te kropelki oświeci, jaśnieją wszystkiemi barwami tęczy, rzekłbyś, że rozwieszono tysiące rubinów, szmaragdów, szafirów, a murawę pokryto srebrno-perłową siatką.

Wpatrując się w tę leśną rosę o jasnych migotliwych barwach, tu i owdzie szkarłatem światła oblaną, zawołał pewien zbieracz piosnek gminnych, „że ona mu pieśni Łotyszów najżywiej przypomina."

Podobieństwo to, zauważone przez Büttnera, nie jest wcale tak nietrafne i naciągnięte, jak się zrazu zdawać może.

Jakkolwiek, szukając porównania do różnorodnych utworów poetyckich, chociażby tylko ludowych, prędzej niżeli na krople rosy, wpaść można na szumiący wodospad, na mruczący strumyk, na rzekę, majestatycznie płynącą, na urocze jezioro a wreszcie i na zdrój przejrzysty, tutaj wszakże porównanie z rosą poranną tak się samo nasuwa, że mu się oprzeć nie łatwo.

Podobieństwo to nie leży ani w ilości piosnek łotewskich, których obecnie zebrano już kilkadziesiąt tysięcy, ani w ich liliputowych rozmiarach, zajmują bowiem zwykle dwa do sześciu wierszy, ale raczej w tem, że utkwiły one nakształt owych kropel rosy na wszystkich przedmiotach, jakie tylko oczom naszym przedstawić się mogą.

Pieśń gminna łotewska w każdej rzeczy stronę poetyczną umie upatrzyć i w jasnem świetle ją ukazać.

I dlaczegożby tego czynić nie miała?

Nie ulega wątpliwości, że każda rzecz może mieć poetyczną stronę, lubo nie każde oko odnaleść ją umie. Owóż, jak rosa poranna przystraja lasy w szatę świąteczną, a nawet nie jedną suchą gałązkę wspaniale okrasza, tak i pieśń gminna podnosi, zdobi i poniekąd uświęca życie ludu łotewskiego, a to w stopniu tak wysokim, jakiego gdzieindziej daremniebyśmy szukali. To też zupełną słuszność przyznać należy wieszczowi Łotwy, który temi słowy śpiew swój rozpoczyna:

„Jam piosneczkę mą wyśpiewał
Z tego, co prąd rzeczki znosi,
Gdy się wiosną wody wzbrały“ i t. d. [1])

A więc oczywiście z suchych gałązek, z listków, trzasek, trawek, słomek, ułamków kory, trzciny i t. p.

Zaprawdę, te jasne krople zawieszają się na każdym z wypadków życia Łotysza. Opromieniają i uświęcają nie-

[1]) Obacz „Zbiór piosnek łotewskich z okolic Cyran i Dzerwen“ (dóbr kurlandzkiej gałęzi Manteufflów), ogłoszony w „Magazin der lettisch literawirsen Gesellschaft,“ a mianowicie tom VIII, strona 99.

tylko miłość, jej pierwsze obudzenie się i pierwsze przebłyski, jej siłę i stałość, jej moc i trwałość, jej roskosze i bole, jej dumę i jej wierność, ale znachodzimy w nich także żywy wyraz żalu na stan sierocy, na nieszczęśliwe pożycie małżeńskie, na straty bolesne, na ciosy, zadawane sercu ludzkiemu, już to przez nielitościwą śmierć, już też przez rozstawanie się z tymi, których kochamy nad życie. Zwłaszcza ostatni rodzaj liczne znajduje zastosowanie w pieśniach weselnych i wojennych.

W tych małoznaczących utworach ludowych wyśpiewała i wypłakała pieśń gminna łotewska wszystkie bole, smutki, wszystkie cierpienia i nadzieje, albowiem:

Kędy życie cierpień się nie zmieści,
Cierpienie w pieśń się przelewa.
Wieszcze natchnienia rodzą boleści,
I co ma płakać, to śpiewa.

(*Wincenty Pol*).

Zanim wszakże przystąpimy do obznajmienia czytelników z pieśnią gminną Łotwy, musimy w tych szczupłych ramach przedstawić treściwy obraz ziem łotewskich i ich mieszkańców.

Część pierwsza.

ŁOTWA.

1. Teraźniejsze granice Łotwy i granice jej w XIII stuleciu. 2. Łotwa, Litwa, Prusowie, Jadźwingowie. Usadowienie się niemieckich osadników około roku 1200 u ujść Dźwiny. Dalsze losy Łotwy. 3. Charakterystyka Łotyszów i kraju przez nich zamieszkałego; przysłowia; pierwsze kroki ich oświaty, książki łotewskie, wydawane przez żydów; szkoły i urzędy gminne, dobry stan pod tym względem Inflant szwedzkich i Kurlandyi. 4. Język i piśmiennictwo Łotyszów, Wydawnictwo łotewskie. Stosunki socyalno-polityczne; kierunek wsteczny wielkiej części prasy łotewskiej. 5. Przymioty moralne Łotyszów, ich zatrudnienia i wyroby, ubiór, mieszkania, zwyczaje, wystawa łotewska z roku 1896, podania łotewskie, dwie ballady polskie na nich osnute.

I.

Granicę Łotwy od zachodu tworzy morze Baltyckie. Na przylegających wyspach nie mieszkają nigdzie Łotysze; tylko północny brzeg Kurlandyi zamieszkuje jeszcze i dotąd parę tysięcy Liwów [1]). Najbardziej wysunięci na południe są *Łotysze pruscy*, zamieszkali na t. zw. *Kurońskiej mierzei*; liczono ich tam w roku 1890 około 1000 głów, a oddzielają ich

[1]) W roku 1881 liczono ich 3562 głów. Tutaj posiadają oni od wieku wysokie i piaszczyste wybrzeże morskie, którego długość wynosi mil 10 i które ciągnie się od przylądku Domesnez, stanowiącego północny

od Łotyszów kurlandzkich liczne siedziby ludności niemieckiej i litewskiej.

W obrębie państwa rosyjskiego ciągnie się granica plemienna Łotwy od strony południa mniej lub więcej równo z granicą, rozdzielającą gubernie kurlandzką i kowieńską od Połągi do Dwińska, z małym atoli wyjątkiem, na który, w tak treściwym szkicu, tylko pobieżnie zwrócić możemy uwagę. Owóż w północnej części gubernii kowieńskiej, na jej granicy z Kurlandyą—istnieje cały szereg wzrastających z roku na rok parafii łotewskich, sięgających obecnie poważnej liczby 26,000 głów płci obojga. W Kurlandyi zaś, we wschodniej części powiatu iłuksztańskiego, spowodowała mocno wyginająca się we wszelkich kierunkach granica administracyjna, iż z jednej strony Litwini zamieszkują krańce Kurlandyi, z drugiej natomiast pewna liczba parafii czysto łotewskich należy do gubernii kowieńskiej.

Ku wschodowi, mianowicie w Inflantach, przechodzi granica plemienna o wiele granice gubernii kurlandzkiej oraz inflanckiej, czyli ryskiej. Uwydatnia to wyraźnie pomnikowe dzieło D-ra A. Bielensteina „*Die Grenzen des lettischen Volkistammes und der lettischen Sprache in der Gegenwart und im XIII Jahrhundert*" (Petersburg 1892 roku str. XVI i 548 w wielkiej ćwiartce, z dodaniem siedmiu map in folio, stanowiących zeszyt osobny), wydane przez petersburską Akademię umiejętności, którego część pierwszą sumienny autor dla ścisłości naukowej wspólnie z nami opracowywał, pragnąc sprawdzać na miejscu, wraz z mieszkańcem tych kresów łotewskich, rozmaite szczegóły, dotyczące

---

kraniec Kurlandyi, na zachód ku przylądkowie Łyserost, od którego oddalone jest przeszło o milę; z drugiej znów strony nie dochodzi na 1¼ mili do zatoki Ryskiej. Szeroki pas z ziemi, błotnisty i zarosły lasami, oddziela ich tu od Łotyszów, zamieszkujących wnętrze kraju. Bliższe o nich wiadomości obacz w artykule naszym „Liwowie," ogłoszonym niegdyś w wychodzącym w Warszawie „Słowniku geograficznym" tom V str. 857 i dalsze.

granic plemiennych ludności dawnego księstwa inflanckiego czyli Inflant polskich.

Na północ od Dźwiny schodzi się granica plemienna Łotwy całkowicie ze wschodnią granicą dzisiejszych powiatów dźwińskiego, rzeżyckiego i lucyńskiego. Nie wchodząc w szczegóły wspomnianego dzieła Bielensteina, zaznaczamy, że w tej części dzieła, za pomocą zmudnego badania nazw miejscowości, zdobyczą pomnikowej pracy autora jest: ostateczne skonstatowanie faktu, iż całe dawne księstwo Inflanckie po względem plemiennym należy do Łotwy, a w tej (wraz z kilku parafiami, okalającemi jezioro Marienburskie gubernii Inflanckiej) stanowią wszystkie trzy powiaty dawnego księstwa Inflanckiego obręb tak zwanego *górno-łotewskiego języka* (*das hochlettische Sprachgebiet*), do którego zaliczyć należy i 60,000 mieszkańców Kurlandyi górnej *(des kurischen Oberlandes)* [1]).

Nierównie prościej przedstawia się ku północy granica plemienna Łotwy. Ciągnie się ona w linii prostej, przecinającej gubernię inflancką (ryską) na dwie połowy niemal równe. Z nich północną, (t. j. powiaty: werroski, jurjewski, feliński i parnawski) zaludnia plemię Estów, południową zaś, część (złożoną z powiatów: ryskiego, wendeńskiego, wolmarskiego, i walskiego) zamieszkuje od wieków szczep łotewski.

Nader ciekawym jest fakt, że w tej *plemiennej linii granicznej* sąsiadujące ze sobą plemiona bardzo mało słów od siebie wzajemnie zapożyczyły.

Właśnie tu, gdzie kresy Łotwy dotykają plemion estońskich, mowa ludu łotewskiego pozostała nietylko najbogatszą, ale najczystszą, i dlatego przez poważnych językoznawców do klasycznej łotewszczyzny bywa zaliczoną. A plemienna ta granica w ciągu wielu stuleci pozostała —

---

[1]) Zdanie to, naukowo całkiem uzasadnione przez znakomitego autora, stoi w dyametralnem przeciwieństwie z przydługim artykułem p. t. „Łotysze Inflant polskich," ogłoszonym w Zbiorze wiadomości do antropologii krajowej (tom XV, stronice 181—282, Kraków, 1891 r), o którym lwowski „kwartalnik historyczny" wyczerpujące w swoim czasie podał sprawozdanie, (Obacz „kwartalnik histor." rocznik VI, str. 591—603).

jak się zdaje — nienaruszoną. Przytem nadmienić wypada iż nie potoki i rzeki wytwarzają tę granicę mowy estońskiej i łotewskiej, ale *działy wodne* [2]). Jako obręb języka łotewskiego wykazują najpoważniejsze źródła nasze *dorzecza rzeki Salis i Torejdy* (czyli inflanckiej Aa), oraz *dorzecza dolnej Dźwiny, dolnej Lentawy* (czyli kurońskiej Aa) i *dolnej Wenty* (czyli Windawy).

Liczbę Łotyszów w ten sposób rozdzielają źródła najnowsze:

Na Kurlandyę przypada ludności łotewskiej	479,978	głów.
Na gubernię inflancką czyli ryską	490,345	"
Na gub. Witebską	217,000	"
Na gubernię kowieńską	26,000	"
Na gubernię pskowską	11,000	"
Na Prusy wschodnie w cesarstwie niemieckiem	1,500	"
A więc ogółem mniej więcej	1,225,823	gł. [1]).

Przypatrzmy się z kolei granicom Łotwy XIII stulecia, obecnie naukowo utsalonym przez dzieła najnowsze z tego zakresu badań.

---

[2]) Na tę okoliczność zwrócono naprzód uwagę w Europie zachodniej, gdzie atoli mowa *o górach*, te zaś najczęściej wytwarzają i działy wodne. Najnowsze badania uczonych potwierdzają w ziemi nadbaltyckiej odwieczną prawdę historyczną, że *nie rzeki lecz góry* — a przy ich braku *działy wodne — stanowią naturalne granice narodów.*

[1]) Obliczenie ludności łotewskiej podajemy wedle źródeł statystycznych z r. 1892. W tymże roku ukazała się praca łotewska *„Latweeschu raksnezibas teorija“* (1892 r.) t. j. „Teorya pisowni łotewskiej“ i wskazała 1,337,000 głów narodowości łotewskiej w ziemiach inflanckich, Kurlandyi i poza granicami Łotwy, zaokrąglając dowolnie liczby, wynikłe z licznych miejscowych obliczeń statystycznych. Dlatego woleliśmy trzymać się cyfr w tymże roku, przez słynnego z gruntowności swych studyów badacza, A. Bielensteina, podanych. Podług wyznań nie rozdzielają Łotyszów najnowsze źródła statystyczne. Możemy więc tylko zaznaczyć, że obecnie w tym ludzie przeważa wyznanie ewangelicko-augsburskie. Religię rzymsko-katolicką wyznaje przeszło $^1/_4$ miliona Łotyszów zamieszkujących górną Kurlandyę, dawne Księstwo inflanckie, wchodzące w skład gubernii Witebskiej od r. 1802, oraz obszerne parafie łotewskie: Lenen, Liwenberzen i Alszwang w Kurlandyi dolnej. Takich, którzy w połowie bieżącego stulecia przyjęli prawosławie, jest niewielu. Koncentrują się oni przeważnie w gub. Inflanckiej około Kokenhuzy, a w dolnej Kurlandyi około m. Goldyngi, gdzie istnieje ich bractwo.

Na podstawie licznych kronik i dokumentów oznaczają one ówczesne granice następnych narodowości: na północ od głównej arteryi wodnej kraju — Dźwiny — siedziby Liwów i Łotyszów czyli Legatów; na południe od tejże głównej rzeki — siedziby Semgalów, Zelonów i Kuronów czyli *złotyszonych Liwów* [1]).

W sąsiedztwie Łotyszów, zaludniających wybrzeża górnej Torejdy, byli się także usadowili *Wendowie*, plemię słowiańskie, którego siedziby nazywano powszechnie *Kiesią*.

W kierunku tedy wschodnim od Liwów mieli w XIII stuleciu swe stałe siedziby *Łotysze* czyli *Letgalowie*. Nazwa „Letgalowie" oznacza Łotyszów, zamieszkałych na kresach łotewskich, zaś nazwa „*Semgalowie*" służyła Litwie, zaludniającej niziny na południe od Dźwiny, w przeciwstawieniu do „*Zelonów*" czyli „Łotyszów górnych," osiedlonych na wyżynach naddźwińskich.

---

[1]) Jest to przeważnie zasługa A. Bielensteina, iż Kuronów przestano już uważać za plemię wyłącznie fińskie. Wielką ilość materyałów zmuszony był przetrawić niezmordowany badacz aby módz rozstrzygnąć odwieczny spór o to: czy dawni *Kuronowie* należeli do szczepu *fińskiego* czy też do *litewsko-łotewskiego?* W tej kwestyi, niełatwej do rozstrzygnienia, doszedł Dr. Bielenstein do całkiem pewnych wyników, naukowo uzasadnionych, które pracą powyżej przytoczoną ostatecznie ustalił (Obacz w niej str. 175—334). Nazwę Kuronów nosił, według Bielensteina, pierwotnie naród szczepu fińskiego na półwyspie kurońskim niegdyś osiedlony. Nazwa ta jego przeszła już bardzo wcześnie na ziemię, przez to fińskie plemię zamieszkiwaną, tak iż Łotysze, następnie tamże zamieszkujący, Kuronami również przezwani zostali. Tak samo i w Prusiech Łotysze osiedleni na t. zw. Kurońskiej mierzei (*kurische Nehrang*), i dzisiaj nawet Kuronami stale bywają nazywani.

Atoli z kwestyą powyższą łączy się jeszcze i druga, a mianowicie: czy Łotysze, czy też Liwowie (względnie Kuronowie) byli pierwotnymi mieszkańcami kurońskiego półwyspu?

Według D-ra Bielensteina, Łotysze jeszcze przed Liwami byli tam osiedli.

II.

Lud Łotewski, którego teraźniejsze i dawne siedziby opisuje szczegółowo Dr. Bielenstein we wspomnianem wyżej dziele, należy do plemienia *litewsko-łotewskiego*, które dzieliło się: *1*, na *Litwinów*, czyli *Litwę właściwą* (Letuwa), o których czytelnikom polskim nie braknie wyczerpujących wiadomości; *2*, na *Letgalów*, później nazywanych *Łotyszami* (Łotwą), z których część, zamieszkująca niziny na południu od Dźwiny, nosiła miano *Semgalów*, a część, osiedlona na wyżynach naddźwińskich, miano *Zelonów*; *3*, na *Prusów*, którzy zajmowali pobrzeża Baltyku od morza ku południowi, na prawym brzegu Wisły, ku wybrzeżom rzeki Drwęcy w dzisiejszych Prusach wschodnich; i wreszcie *4*, na *Jadźwingów*, którzy mieszkali na południe od Narwi, ku siedzibom polskiego szczepu Mazurów.

Jadźwingowie wytępieni byli w walce z Polską w XIII stuleciu; Prusowie również wyginęli pod naciskiem krzyżackiego oręża i srogich praw germanizacyjnych. Ostatnia kobieta mówiąca językiem dawnych Prusów żyć przestała w połowie XVII stulecia.

Z całego litewsko-łotewskiego plemienia, tylko szczep *czysto-litewski* odegrał pewną rolę dziejową i *tworzył naród*. Był on już w wieku IX wystawiony na najazdy, które pośrednio przyczyniły się do grupowania gmin litewskich w jednę osadę. Były to najazdy waregskich książąt, panujących nad krewickimi ludami i dla tego u Łotyszów Rosyanin nazywa się po dzień dzisiejszy „*Krews*,“ a Rosya „*Krewu ziemie*“ t. j. *ziemia ludów krewickich*.

Lecz daleko większego wpływu na losy całego *plemienia litewsko-łotewskiego*, a więc Litwinów, Łotyszów i Prusów, były usadowienia się niemieckich osadników naprzód około roku 1200 u ujść Dźwiny, a wkrótce potem po nad Dolną Wisłą.

W roku 1202 opat Cystersów z Dyamentu Teodoryk, w czasie podróży założyciela Rygi, wielkiego biskupa Alberta I po Niemczech, zaradzając gwałtownej potrzebie, dla

obrony osadników niemieckich u ujść Dźwiny, założył w Rydze zakon kawalerów mieczowych, znanych w dziejach krajowych pod nazwą *„Fratres militiae Christi de Livonia,“* którego istnienie Albert I za powrotem uznał, a w roku 1230 Krzyżacy zaczęli osiedlać się w ziemi chełmińskiej.

I tu i tam, pod pozorem apostołowania, rycerskie zakony szerzyły ucisk, zabór i wytępiały częstokroć ludność miejscową. Pierwsi, t. t. *Kawalerowie mieczowi*, całem swem brzemieniem przytłaczali Łotyszów i mieszkających wpośród nich Liwów, drudzy gnietli Prusów. Prusowie i Łotysze, oba szczepy pokrewne Litwinom, wciągały i tych ostatnich w krwawe zapasy. Litwa atoli głównie wspiera Łotwę i walczy uporczywie z Kawalerami mieczowymi, nad którymi częste odnosi zwycięstwa.

W roku 1236 zadają Litwini taką klęskę Kawalerom mieczowym, że zakon ich, czując się zbyt słabym i osamotnionym, jednoczy się, i za staraniem Papieża Grzegorza IX, w roku 1237 zlewa się całkowicie z zakonem krzyżackim, przyjmując jego habit i nazwę: *Fratres domus Teutonicorum per Livoniam*, dla odróżnienia go od pruskich Krzyżaków.

Ten Zakon Krzyżaków inflanckich, teraz już nietylko Liwom i Łotyszom, lecz nawet samym biskupom inflanckim śmiało stawia czoło i w tych nadmorskich krainach do coraz większej władzy dochodzi.

Ostatecznie potęgę pogańskiej Łotwy, która utrzymała się najdłużej w dzisiejszej Kurlandyi i Semgalii, łamie raz na zawsze już w końcu XIII stulecia zakon inflancko-krzyżacki, zdobywając gródek pogański „Terweten.“ Dzięki dokładnym wiadomościom, powziętym ze *starszej inflanckiej kroniki rymowanej*, możemy dzisiaj jasny dopatrzeć związek pomiędzy wypadkami a miejscem, które było widownią krwawego dramatu, ostatecznego podboju łotewskiej Semgalii pod władzę inflanckiego krzyżacko-rycerskiego zakonu. Doblena, Raken i Sidobrena, bez silnego grodu Terweten, stały się dla Łotwy straconym posterunkiem; bez niego straciły główny punkt podpory i łączyć się z pogańską Litwą już nie mogły. Założony zaś nieopodal przez Krzyżaków zamek Heiligen-

berg, chociaż siał przestrach i krwawe łzy, chociaż niewiele lat liczył istnienia, przedstawia nam koniec walki zaborczej i początek nowej cywilizacyjnej epoki dla chrześcijańskiej już odtąd Kurlandyi, Semgalii i całych Inflant, słowem wszystkich ziem obecnie przez lud łotewski zamieszkałych.

Lud ten, jak wykazaliśmy powyżej, był w wieku XII samodzielnym, lubo przez Liwów bardzo uciskanym i dla tego z pomiędzy ludów litewsko-łotewskich najmniej samoistnym; lecz podbity naprzód przez zakon Kawalerów mieczowych, któremu niezwykły stawiał opór, a następnie przez zjednoczony z nim od roku 1237 najzupełniej zakon Krzyżaków inflanckich, i nawrócony ostatecznie przez tych ostatnich, stracił całkowicie swoją samoistność. Za tychże Krzyżaków staraniem, w połowie XVI stulecia, większa część Łotyszów przyjęła wyznanie ewangelicko-augsburskie.

W roku 1561, za króla polskiego Zygmunta Augusta, wraz ze wszystkimi stanami *związkowego państwa inflanckiego*, przeszła cała Łotwa (w owym czasie ciężkim brzemieniem niewolniczego jarzma już poniżona) pod panowanie Rzpltej polskiej, do której część Łotyszów, zamieszkała w Inflantach szwedzkich czyli dzisiejszej gubernii inflanckiej (ryskiej), należała do roku 1621, t. j. do najazdu szwedzkiego za Gustawa Adolfa, część ich zamieszkała w Inflantach polskich do roku 1772, w którym Inflanty polskie wraz z Białorusią przyłączono do cesarstwa rosyjskiego, część zaś osiedlona od wieków w księstwie Kurlandyi i Semgalii (stanowiącem lennicze państewko Rzeczypospolitej polskiej do końca jej istnienia) aż do roku 1795, w którym nastąpił trzeci rozbiór Polski, a Kurlandya poddała się berłu rosyjskiemu.

III.

Fizyognomia Łotyszów znacznie się odróżnia od Finnów, Liwów i Estów, a zbliża do Litwinów i Słowian. W przecięciu charakteru łagodnego, cichego, lubią przedewszystkiem życie spokojne, są uczciwi, nabożni, dosyć praco-

wici, cierpliwi i roztropni, a wogóle nie odznaczają się chciwością.

Ubiór ich poniekąd podobny jest do tego, który noszą włościanie kolonistów niemieckich. Domy mieszkalne zwykle wznoszą z drzewa, biedniejsi z okrąglaków, zatykając szpary mchem; w gubernii Inflanckiej żyją rodzinami, odosobnieni jedni od drugich, zwykle w dolinach, nad brzegami jezior i strumyków.

Przy wyborze sadyb zwracają przedewszystkiem uwagę na piękność położenia; to też znajdujemy je częściej w malowniczem położeniu, u podgórza przerzniętego pięknym parowem, w pobliżu czystych wód krynicy, otoczone czeremchą, jarzębiną i kwiecistymi krzewy, w których rozbrzmiewa uroczy śpiew słowika, niż na glebie żyznej, zwłaszcza ilekroć ta ostatnia położona jest w samotnej płaszczyźnie. Zresztą niemal w niczem nie różnią się włościanie Łotwy od włościan litewskich, szczególniej w dawnem księstwie inflanckiem i t. zw. „Kurlandyi górnej,“ gdzie się już razem zbierają i tworzą małe wioski, do czego skłaniają ich przyrodzone własności kraju i stosunkowo gęstsze zaludnienie. Jeśli wyłączymy wielkie lasy i bagna całkiem niezamieszkałe, na milę kwadratową wypadnie w powiatach inflanckich dzisiejszej gubernii witebskiej przeszło 1300 głów, a w górnej Kurlandyi około 2000 mieszkańców.

Łotysze dawnego księstwa Inflanckiego zewnętrzną postawą nie różnią się zgoła od swoich spółplemienników w Kurlandyi i gubernii inflanckiej, zwłaszcza od mieszkających na pograniczu około rozległego jeziora Łubanu i bystrej rzeki Ewikszty, wypływającej w powiecie rzeżyckim z tego wspaniałego jeziora [1]), a po 15 - milowym przebiegu uchodzącej z łoskotem do Dźwiny, przy dawnym szwedzkim szańcu, który przed laty usypany został na granicy Polski i Szwecyi,

[1]) Rozległe jezioro Łuban nosi na dawnych mapach geograficznych nazwę „*Mare Lubanicum*,“ co niektórym naiwnym archeologom dało pochop do twierdzenia uporczywego, że było ono połączone z Baltykiem.

a którego znaczenie spadło obecnie do prostego granicznego wału między gubernią witebską i inflancką, czyli ryską.

Szczególniej na pograniczu nie różnią się zgoła Łotysze dawnego księstwa inflanckiego od Łotyszów gubernii inflanckiej i kurlandzkiej. Ten sam wyraz cierpienia rozlany na twarzy, ziemista jej cera, pewne nabrzmienie policzków, rysy, wyrażające nieudaną pokorę; budowa ciała również wysmukła. Są oni przeważnie średniego a nawet prędzej małego wzrostu, nie krępi, wogóle nie silni. W głębi kraju wszakże spotkać tu można mężczyzn krzepkich, słusznego wzrostu, dobrze i silnie zbudowanych, jakoteż piękne kobiety, które, jak i w wielu okolicach gubernii inflanckiej i kurlandzkiej, od pierwotnego pochodzić muszą szczepu.

Temperament tej gałęzi Łotyszów flegmatyczny, brak w nim energii; charakter im tylko właściwy i dlatego dosyć trudny do określenia. Są oni po większej części leniwi, obojętni na wszystko, oprócz własnego interesu, który, zwłaszcza od swego uwolnienia w roku 1861, zawsze na pierwszem stawiają miejscu. W stosunku do możnych są uniżeni, pokorni; ale kiedy uczują się silniejszymi, zaraz stają się uparci, fałszywi, a czasem nawet podstępni. Chociaż poddaństwo (zniesione dopiero przed 37-miu laty) i pijaństwo, które przed zaprowadzeniem towarzystwa wstrzemięźliwości bardzo było upowszechnione — do przytłumienia rozumu i rozkrzewienia lenistwa wiele się przyczyniły, zawsze jednak, pomimo lepszych nawet warunków, wstręt do pracy, a tu i owdzie pewna ociężałość umysłu charakterystycznie tę gałąź Łotyszów cechują.

W niej także zauważyć jeszcze można brak wszelkiego pociągu do stowarzyszeń, które w Kurlandyi i gubernii inflanckiej przyczyniają się niemało do uobyczajenia ich spółplemienników, posiadających nietylko liczne stowarzyszenia dobroczynności, urządzających najrozmaitsze rozrywki ludowe, ale także niesłychaną moc towarzystw chóralnych (*Gesangvereine*), które w latach 1880, 1888 i 1896 występowały

zbiorowo w Rydze w chórach mieszanych, złożonych z przeszło tysiąca osób płci obojga, śpiewających zgodnie, już to *a capella*, już z towarzyszeniem wielkiej orkiestry.

Natomiast w dawnem księstwie inflanckiem, z powodu braku wszelkiego pociągu do stowarzyszeń, każda włościańska rodzina pracuje tylko dla siebie i tyle tylko, ile niezbędnem jest do zabezpieczenia życia.

Nie brak wszakże i chwalebnych wyjątków, których liczba, Bogu dzięki, coraz zwiększa się, zwłaszcza w miejscowościach, zbliżonych do miast powiatowych i miasteczek. Włościanie dochodzą w nich do wielkiej zamożności, a wyuczywszy się czytać i pisać, wyróżniają się coraz bardziej od swych współbraci rozwijającą się oświatą. Lud ten, lubo niedość oświecony, z natury swej więcej dobrych, niż złych, posiada skłonności: jest religijnym, wiernym i usłużnym. Do charakterystycznych cech jego należy delikatność uczuć. Lud ten do wszystkiego okazuje wrodzone zdolności, łatwo przyjmuje oświatę, umie sobie poradzić w trudnych okolicznościach. O bystrości jego umysłu świadczą trafne przysłowia.

Przytaczam z nich kilka:

Diws diewia zûbus, Diws dâś un majzi, „Bóg dał zęby, Bóg da i chleba;“ albo: *Ar odotu newar karu apkaut,* „igłą wojska nie zwyciężysz;“ *Slimiejba rajtu atjoj, kôjom nûit,* „choroba przyjeżdża konno, odchodzi zaś pieszo;“ *Mazi barni spîż klepi, lely spîż sirdil* t. j. „małe dzieci gniotą kolana, dorosłe gniotą serca;“ *Dûdi draugam, atprosi inajdnikam,* „dajesz (t. j. użyczasz) przyjacielowi, żądasz zwrotu u nieprzyjaciela;“ *Apesta majzie gryuta ir pelniejt,* „chleb zjedzony z trudnością odrabiamy.“

Lud ten przywiązuje się do tych, którzy mu dobrze czynią, a rzadko bywa mściwy. Ta ostatnia okoliczność wyróżnia go pochlebnie od ludu estońskiego. Przymioty dobre przyćmiewa wprawdzie niekiedy gnuśność i opieszałość, wszelako na ogół słynie słusznie Łotwa dawnego księstwa

inflanckiego z wielu zalet ludu żmudzkiego i jego pobożności.

Wyznać należy, że ta katolicka gałąź Łotyszów w pierwszym dziesiątku lat po wyswobodzeniu się z więzów poddaństwa znacznie naprzód postąpiła. Wyższą jest jednak kultura Łotwy w Kurlandyi i gubernii inflanckiej, gdzie usamowolnienie włościan nastąpiło już w latach 1817 i 1818.

Nie mogąc w ciasnych ramach pracy niniejszej poświęcić należytej uwagi stosunkom agrarnym na Łotwie, odsyłam ciekawszych czytelników do książki pana *A. Transche* p. t. „*Gutsherr und Bauer in Livland in XVII und XVIII Jahrhundert*" (Strassburg, 1890 r. stron 265 w 8-ce), w której szanowny autor starał się zbadać całkiem bezstronnie, ze stanowiska czysto naukowego, stopniowy rozwój stosunków rolniczych w krajach inflanckich. Wynikom pracy udatnej posłużyła bardzo ta mianowicie okoliczność, że kiedy dotychczasowi pracownicy na tej niwie opracowywali zawsze tylko poszczególne fazy i epizody z inflanckich dziejów agrarnych — autor nie wahał się śledzić krok za krokiem stopniowego rozwoju tych stosunków w dziejach Inflant, uwzględniając zarazem wypadki polityczne, oraz każdorazowe położenie ekonomiczne kraju. Epoka, od której pan Transche rozpoczyna kreślić swój obraz wcale wierny, sięga końca XVI stulecia. Autor korzysta z katastru, wykonanego tu za panowania króla polskiego Zygmunta III w latach 1599 i 1608, a wyznać należy, że prawdziwie umiejętnie wyzyskuje to źródło. Doprowadził swoje studyum aż do roku 1804, który istotnie w dziejach rolniczych dzisiejszej gubernii inflanckiej z większą słusznością uważany być może za początek nowej ery, aniżeli przyjmowany przez innych autorów rok 1818 (względnie 1819), w którym tu oficyalnie ogłoszona została emancypacya włościan.

Szkół ludowych liczono w r. 1880 w samej Kurlandyi 344.[1])

---

[1]) Wiadomości niniejsze czerpaliśmy w swoim czasie z oficyalnego sprawozdania, ogłoszonego przez zwierzchność szkół wiejskich w Kurlandyi (*Kurländische Ober-Landschul-Commission)*, w której skład wchodził słyn-

W części gubernii inflanckiej, zamieszkałej przez Łotwę, liczono w roku 1882 szkół wiejskich gminnych 396, a parafialnych 75, ogółem więc szkół ludowych łotewskich 471, i w tym roku uczęszczało do nich 20,845 chłopców i 19,634 dziewcząt, ogółem 40,479 dzieci łotewskich, jak to czytamy w ogłoszonej w czerwcu r. 1884 przez inflanckie „kolegium landratów" nader cennej pracy: *„Materialien zur Kenntniss des Landvolksschulwesens in Livland"*. Praca ta znakomita, redagowana sumiennie przez mężów fachowych, wykazywała corocznie w sposób niewątpliwy, że w ostatnich lat dziesiątkach poziom wykształcenia ludowego w gubernii inflanckiej jeszcze bardziej podwoił się, niż w sąsiedniej Kurlandyi, jakkolwiek i tam stan szkół ludowych niewiele pozostawiał do życzenia.

Dzięki uprzejmości sekretarza rycerstwa inflanckiego, tudzież kolegium landratów, Hermana br. Bruiningk'a (prezesa inflanckiego Towarzystwa historycznego), zrobiono do użytku w pracy niniejszej wyciąg z ostatnich wiadomości statystycznych, dotyczących ludowego szkolnictwa, jakie w archiwum wspomnianego „kolegium" obecnie odnaleźć się dały. Dotyczą one roku szkolnego 1893/94 i pouczają nas, że w części gubernii inflanckiej, zamieszkanej przez szczep łotewski, liczono w r. 1894:

	licz. szkół wiej.		*Chłop.*	*Dziew.*	*Ogółem*
szkół ludowych gmin.	377	w nich zaś	11,178	9,930	21,108
szkół ludowych paraf.	63	„ „	2,080	848	2,928
A więc ogółem	440		13,258	10,778	24,036

ny z prac swoich statystycznych, ówczesny marszałek gubernialny kurlandzki, Alfons br. Heyking, wydawca francuskich pamiętników konfederata barskiego Karola br. Heykinga w szacie niemieckiej, które zaledwie w roku 1897 opuściły prasę drukarską. Podane w końcu rozdziału daty najnowsze o szkołach w Kurlandyi otrzymaliśmy ze źródeł rękopiśmiennych (nagromadzonych w kancelaryi kuratoryi ryskiego okręgu naukowego), dzięki uprzejmości rosyjskiego urzędnika, pana Górskiego, który je dla nas wynotował w styczniu 1898 roku.

Takiż wyciąg, udzielony nam z ryskiej kancelaryi kuratorskiej, o szkołach ludowych w obrębie gubernii kurlandzkiej, wykazuje w r. 1894/95: szkół ludowych 347, do których uczęszczało chłopców 13,355, a dziewcząt 10,667, ogółem 24,022 dziatwy łotewskiej.

IV.

Język łotewski, zbliżony do litewskiego i dawnych Prusów, jest dosyć przyjemny dla ucha, chociaż jeszcze nie obrobiony. Za najlepsze narzecze uważają niektórzy to, którem mówią mieszkańcy okolic, graniczących z Estami prowincyi Ugaunii, jakeśmy to już w rozdziale pierwszym zaznaczyli.

Łotysz kładzie akcent na pierwszej sylabie nawet w wyrazach złożonych, która to okoliczność pieśniom łotewskim nadaje dźwięk zupełnie niezwyczajny. W jego języku tworzenie się przymiotników i słów z rzeczowników nie przedstawia najmniejszej trudności; jest w nim także osobliwsze cieniowanie spieszczeń i zdrobnień najrozmaitszych.

Przy całem bogactwie tej mowy posiada ona mnóstwo wyrazów, które są także wspólne wszystkim językom słowiańskim; nie jest to wszakże zapożyczenie, bo są to wyrazy codziennej potrzeby, jak np: *uguńs* (ogień), *ziemie* (ziemia), *mâte* albo *môtie* (matka), *sôls* (sól), *ne* (nie), wyrazy konieczne, a zatem jednocześnie kiedyś ze Słowianami zaczerpnięte przez Łotyszów gdzieś u wspólnego źródła, spokrewnionego z językiem sanskryckim.

Wszyscy Łotysze używają pisma łacińskiego. Wszakże w druku stale bywają używane głoski niemieckie w dolnej Kurlandyi i gubernii ryskiej, a zaś łacińskie w górnej Kurlandyi i dawnem księstwie inflanckiem [1]). Język tych, którzy

[1]) Zaznaczyć tu winniśmy, iż nieliczna garstka Łotyszów, przewodząca tak zwanej wyższej inteligencyi łotewskiej w Rydze, utworzyła przed kilkunastu laty przy miejscowym klubie łotewskim tak zwaną

i w druku używają abecadła łacińskiego, jest czysto łotewski, różni się tylko wymową od używanego w Kurlandyi dolnej i gubernii ryskiej, w których brakujące lub wyszłe z użycia wyrazy zastąpiono niemieckimi, tam zaś polskimi. Który z dwóch dyalektów jest poprawniejszy? Dotąd przez sędziów bezstronnych nie zostało to jeszcze rozstrzygniętem. Na korzyść górnej Kurlandyi i Łotwy dawnego księstwa inflanckiego przemawia, zdaniem piszącego, już ta okoliczność, że Łotysz z gubernii ryskiej łatwo kurlandzkiego rozumie, kiedy ten ostatni już rozmówić się z tamtym tak łatwo nie może.

I nic to dziwnego, jeśli zważymy, że Łotysze z gubernii ryskiej coraz to więcej słów niemieckich do swego narzecza wprowadzają, dając im tylko końcówkę łotewską. Jako przykład, bijący w oczy, podajemy tu zdanie niemieckie: „*Der Nachbar begehrte den Lohn am Montag*,“ które Łotysz z okolic Rygi niezawodnie w ten, a nie inny sposób przetłomaczy: „*Nahburgis pagehrija Lohne mandaga*“, wtenczas kiedy gdzieindziej przetłomaczonoby toż samo zdanie słowami czysto łotewskiemi: „*Kajmins praseja moksas pyrmdin*“ (to znaczy: sąsiad domagał się płacy w poniedziałek), które to słowa najłatwiej zrozumie i Łotysz z okolic Rygi.

„komisyę umiejętności“ (w skład jej wchodzą elementa najrozmaitsze, a z nich tylko mała cząstka uczęszczała do szkół wyższych i niezawsze z korzyścią). Komisya ta przed kilku laty postanowiła wprowadzić czcionki łacińskie do wszystkich druków łotewskich. Ale że przy tej sposobności ustanowiła także całkiem nową teoryę pisowni łotewskiej, *nie mającą najmniejszej podstawy naukowej*, projekt ten, pomimo agitacyi klubowych i w Rydze i na prowincyi, nie znalazł ostatecznie dosyć znacznej liczby zwolenników, gdyż wszelkie pisma i dzienniki, po kilku niefortunnych próbach, wróciły nietylko do mniej odpowiednich czcionek gotyckich, ale i do dawnej zawiłej pisowni niemieckiej. Ciekawego czytelnika odsyłamy do pracy przez t. zw „komisyę umiejętności“ w r. 1892 wydanej pod tytułem: „*Latweeschu rakstneazibas teorija*“ t. j. „Teorya pisowni łotewskiej“, z której o bezpodstawności tej teoryi sam przekonać się zdoła. Natomiast niemałą usługę oddała ta *komisya umiejętności*, wydając swoim kosztem cenne zbiory podań, a następnie i pieśni gminnych Łotwy, o których w dalszym ciągu pracy niniejszej będzie mowa.

Zasada ortografii Łotyszów dawnego księstwa inflanckiego jest następująca: „Pisz, jak mówisz, nie troszcząc się o pochodzenie inaczej w pierwiastku brzmiących głosek. Przeciwnie Łotysze z gub. ryskiej i dolnej Kurlandyi używają zawiłej pisowni niemieckiej (a w druku i głosek niemieckich), która, przy użyciu często zdarzających się syczących dźwięków, oraz rozmaitego zastosowania zgłoski *h*, wiele przedstawia trudności.

Najstarszym drukiem łotewskim jest niezaprzeczenie ustęp w pierwszej edycyi kosmografii Sebastyana Munstera (ogłoszonej w r. 1550), zawierający na stronicy 932 „Ojcze nasz" Łotyszów w narzeczu, zbliżonem do tego, jakie i dotąd napotykamy w górnej Kurlandyi i dawnem księstwie inflanckiem.

W r. 1587 wydał J. Rivius w Królewcu katechizm protestancki skrócony w języku łotewskim, a wkrótce potem, na żądanie księcia Gotarda Kettlera, psalmy, ewangelie i lekcye dla protestanckich parafii Łotyszów. Dla katolickich zaś wydał Erdman Tolgsdorf S. J. w roku 1604 katechizm, hymny i antyfony, a Jerzy Elger także z Tow. J. obszerniejszy katechizm w roku 1620, oraz ewangelie na wszystkie niedziele i święta w roku 1673.

Tenże Georgius Elger S. J. ogłosił w r. 1683 pierwszy słownik łotewski pod tytułem: „*Dictionarium Polono-Latino-Lothavicum*" Vilnae, w 8-ce str. 67.

Pierwszy kalendarz łotewski wyszedł w Mitawie w roku 1763, pierwszy elementarz łotewski z abecadłem, krótkim katechizmem katolickim i modlitewkami — w Wilnie, w r. 1768, staraniem księży Jezuitów.

Pierwsza gazeta Łotyszów ujrzała światło dzienne w Mitawie w r. 1822 pod nazwą „*Latweeschu Awises*" (Wiadomości łotewskie) i przetrwała aż po dzień dzisiejszy, redagowana nader oględnie i mająca jedynie na celu pożytek czytelników [1]).

---

[1]) Gazeta ta, w ciągu lat 76 swego istnienia, odznaczała się stale niezwykłą przezornością i odpowiednim doborem artykułów, przeznaczo-

Najdoskonalszą i najbardziej naukowo traktowaną gramatykę tego języka napisał uczony prezes towarzystwa łotewsko-literackiego Dr. August Bielenstein. Wydrukowana została w Berlinie w leciech 1863 i 1864 pod tytułem: „*Die lettische Sprache nach ihren Lauten und Formen*“ (2 tomy w 8-ce). Autor obecnie zajęty jest powtórnem jej wydaniem, jeszcze bardziej uzupełnionem.

Za najlepszy słownik łotewsko-niemiecki i niemiecko-łotewski uchodzi obecnie nader słusznie dykcyonarz K. Ulmana i G. Brasche'go, w dwóch sporych tomach wydany w Rydze w latach 1872 i 1880.

Czytelników, — pragnących zaznajomić się bliżej z piśmiennictwem łotewskiem, odsyłamy do obszernego spisu chronologicznego literatury Łotyszów d-ra Napierskiego, Ryga 1831 r., z trzema dodatkami, wydawanymi stopniowo aż do r. 1869, a także do pracy naszej: „*Bibliographische Notiz über lettische Schriften, welche von 1604 bis 1871 in der hochlettischen resp. polnisch-livländischen Mundart veröffentlicht worden sind,*“ ogłoszonej w „*Magazin der lettisch-literärischen Gesellschaft*“, tom XVII, oraz w osobnej odbitce, nakładem Kymmla w Rydze. Wspomniana bibliografia nasza odnosi się wyłącznie do narzecza Łotyszów katolickiej gałęzi. Najnowsze utwory innych gałęzi tegoż szczepu, zwłaszcza zasługujące na osobną wzmiankę, wyliczają wciąż w swych notatkach bibliograficznych nietylko rozmaite dzienniki i dzienniczki łotewskie, ale i kilkakrotnie już przez nas przytaczane poważne dzieło zbiorowe „*Magazin der lettisch-literärishen Gesellschaft.*“

Łotysze, zamieszkujący Kurlandyę dolną i część południową dzisiejszej gubernii ryskiej, — posiadają bo-

---

nych przeważnie dla ludu wiejskiego, do którego kultury przyczynia się i obecnie w miarę możności, lubo mniej liczy abonentów niż przed tr[illegible] ma dziesiątkami lat.

gaty zasób ksiąg szkolnych, przeważnie elementarnych, wydawanych w ich własnem narzeczu niemiecko-łotewskiem, któreśmy już powyżej dokładnie określili. Pomiędzy temi wydawnictwami istnieją liczne podręczniki geograficzne, opatrzone pięknie koloryzowanemi mapami. Nie brak i dziejów ojczystych krain nadbałtyckich, dziełek arytmetycznych, podręczników historyi przyrodniczej i t. p.

W ciągu ostatnich lat kilkunastu w ręku najmożniejszych Łotyszów, używających pisowni niemieckiej, zdarza się częstokroć spotykać wspaniałe wydanie poematu Goethego *„Reinecke Fuchs"* w tłomaczeniu łotewskiem Dünsberga, do którego zostały użyte słynne illustracye Kaulbacha. Nakładcą niezwykle okazałej i nader kosztownej edycyi łotewskiej jest księgarnia Sieslacka w Mitawie, nie mająca przy swych licznych wydawnictwach innego celu, jak zręczne wyzyskiwanie kieszeni bardziej zamożnych i bardziej próżnych Łotyszów, dla których większej części piękności tego poematu Goethego długo jeszcze zostaną nieprzystępne, gdyż oni to właśnie, zajęci wyłącznie spekulacyami, nie dbają o wyższe wykształcenie, a czas swój wolny zabijają w inny sposób.

Dzięki spekulacyom księgarskim, posiadają Łotysze kurlandzko-inflanccy cały szereg powieści wątpliwej wartości, któremi bogatsi chętnie opędzają swoje nudy. Obecnie nie braknie im nawet sensacyjnych romansów, tłomaczonych skwapliwie i ogłaszanych wciąż, bądź w felietonach najrozmaitszych gazetek łotewskich, bądź też w osobnem odbiciu. Figuruje pomiędzy innemi i słynny romans *„Róża z Białogrodu,"* a także *„Królowa hiszpańska Izabela czyli Tajemnice dworu madryckiego,"* oraz wiele innych podobnych zdrożności, które całkiem uszły baczności autora artykułu *„O postępie na Łotwie;"* ogłoszonego w tomie VI Przeglądu Powszechnego na str. 140 — 143. Odtąd przetłomaczono i parę nowelek Henryka Sienkiewicza, a mianowicie „Hanię" i „Starego Sługę," połączywszy je w jedno i dając książce tytuł *„Anna, romans H. Sienkiewicza."* Ponieważ zaś tłomaczenia nie dokonano z oryginału, ale z dziwnie nędznego

przekładu rosyjskiego, w którym mało z utworu Sienkiewicza pozostało, łatwo sobie wystawić, co za niedorzeczny galimatyas wyszedł w języku łotewskim, kiedy *tłomacz powtórny*, na swój sposób łotewski tekst rosyjski począł przerabiać.

Od czasu do czasu wychodzą przekłady na język łotewski takich znowu książek, które, lubo wcale nieźle tłomaczone, ludowi najmniejszej korzyści przynieść nie mogą; przytoczę tylko znane ogólnie „*Homo sum*“ słynnego egiptologa Ebersa i liczne powieści pana Panteniusa, mieszczanina kurlandzkiego, który, przeniósłszy się do Prus, zbyt pochopnie zwykł wyszydzać wszelkie słabostki szlachty kurlandzkiej i nader chętnie rzuca kamienie z poza płota na towarzystwo, do obcowania z którem niegdyś daremnie wzdychał tu w kraju.

Niemniej skwapliwie uprawianą bywa od lat kilkunastu i literatura dramatyczna (właściwie komedyancka) tejże gałęzi Łotwy, złożona wyłącznie z nieudatnych przekładów rozmaitych krotochwil niemieckich, opatrzonych przez tłomaczów w szydercze kuplety okolicznościowe. Dzieje się to już to z powodu, że klub ryski łotewski potrzebuje ciągle nowości do swego teatrzyku, już i dla tego, że ostatniemi laty farsy w języku łotewskim częstokroć bywają grywane na wsi lub w mieścinach powiatowych, w tem mylnem przekonaniu, że szydercze dowcipy i kuplety okolicznościowe rzekomo na uobyczajenie ludu prostego najzbawienniej wpływają.

Dostrzegłszy ten wsteczny kierunek nowszej literatury łotewskiej, wydawca tygodnika „*Mahjas Weesis*“ (Gość domowy), wychodzącego w Rydze od roku 1855, postarał się przed pięcioma laty o koncesyę na miesięcznik „*Mahjas weesa mehnesniks*“ (Miesięcznik Gościa domowego), rozchodzący się obecnie w paru tysiącach egzemplarzy, w którym, obok pouczających artykulików, podaje przekłady łotewskie z arcydzieł europejskiej literatury powszechnej, poprzedzając je zwykle życiorysem wielkich mistrzów pióra i ich portretem.

Ma się rozumieć, że nie brak tu portretu, życiorysu i niektórych dzieł nieśmiertelnego *Adama Mickiewicza* w prze-

kładzie łotewskim. Wyczerpująca biografia tego największego mistrza słowa polskiego mieści w sobie także charakterystykę głównych jego utworów. Ogłosił ją, według Piotra Chmielowskiego, „Miesięcznik Gościa Domowego“ w zeszytach 4, 5, 6 i 7-mym z roku 1897, które leżą przed nami. W numerze 53-im tygodnika „Gość domowy“ z roku 1896, znajduję przekład „Powieści Wajdeloty“ z *„Konrada Walenroda.“* Siedem rozmaitych zeszytów „Miesięcznika Gościa Domowego“ z r. 1897 przyniosły czytelnikom łotewskim *„To lubię“*, oraz niektóre z sonetów krymskich, a mianowicie: *„Grób Potockiej“* (sonet 8-y), *„Bakczysaraj“* (son. 6), *„Ajudah“* (sonet 18), *„Stepy Akermańskie“* (sonet 1) i *„Ciszę morską“* (sonet 2-gi). W tymże roku 1897 ogłosił „Miesięcznik Gościa Domowego“ całego *„Fausta,“* Goethego, nietylko pierwszą, ale i drugą część tego utworu. O poemacie *„Reinecke Fuchs“* już na innem miejscu wspominaliśmy. *„Götz von Berlichingen“* w przekładzie łotewskim wyszedł już w roku 1887 w drukarni E. Platesa, wydawcy „Gościa Domowego“ w Rydze, w ostatnich zaś leciech tamże ogłoszone zostały: ballada *„Erlkönig“* i kilka innych. Z dramatów Szyllera wydano w języku łotewskim *„Dziewicę Orleańską,“* *„Maryę Stuart,“* *„Kabale und Liebe“* i *„Narzeczoną z Messyny.“* Obecnie pracują usilnie nad przekładem *„Wilhelma Tella.“* Ze słynniejszych poezyi Szyllera ogłoszono *„Dzwon“* i inne niemniej popularne.

Z dzieł Lessinga przetłomaczoną została na język łotewski powszechnie znana komedya klasyczna *„Minna von Barnhelm“*; z dzieł nieśmiertelnego Szekspira ukazał się na półkach księgarni łotewskich w ciągu roku 1897 *„Juliusz Cezar“*, a nieco wcześniej wyszły: *„Hamlet,“* *„Ryszard III,“* *„Makbet,“* oraz *„Sen nocy letniej.“*

„Manfred“ lorda Byrona także został złotewszczony z niemniej gorączkowym pośpiechem przez gorliwych cywilizatorów z grona samych Łotyszów, tych zaś w ostatnich leciech nie brak ani w Rydze, ani w Mitawie, ani w Lipawie.

W roku 1898-ym ogłoszono w przytaczanym powyżej niejednokrotnie *Mahajs weesa mehnesniks'u* — słyn-

nego „*Demona*“ Lermontowa, a niebawem tamże ma ujrzeć światło dzienne „*Borys Godunow*“ Puszkina. W Mitawie w roku 1897 przetłomaczono na język łotewski „*Martwe dusze*“ Gogola, a nieco wcześniej ogłoszono tamże przekład jego komedyi „*Rewizor*“ i parę innych.

Z powieściopisarzy rosyjskich tłomaczą w swych feljetonach dzienniki i tygodniki łotewskie nietylko romanse *L. Tołstoja, Turgeniewa i Dostojewskiego*, lecz zwłaszcza *Potapenki* i *Czechowa*. Oprócz tego, zapełniają się już oddawna łamy feljetonów łotewskich przekładami niemieckich powieści i nowelek, najczęściej bardzo nędznych, a te, obok oryginalnych powiastek łotewskich, najskwapliwiej bywają czytywane, jak nad tem utyskiwał temi czasy jeden z najzacniejszych redaktorów miejscowych.

Z powieści polskich ukazały się w feljetonach łotewskich już w ciągu r. 1886 naprzód niektóre dzieła J. I. Kraszewskiego, którego imię stało się rozgłośne na Łotwie przez sprawozdania gazeciarskie o wytoczonej mu przez Bismarka sprawie, o jego uwięzieniu w Magdeburgu i t. d., poczem wszakże na porządku dziennym stanął w tychże feljetonach Henryk Sienkiewicz. Zawieszona obecnie aż na ośm miesięcy gazeta łotewska „*Deenas Lapa*“ (wydawana w Rydze) przez lat parę zapełniała łamy swego feljetonu przekładem powieści „*Ogniem i mieczem*,“ tłomaczonej nie z oryginału, ale z nieudatnych przekładów rosyjskich, a następnie sprzedawanej w odbitkach. Za przykładem tego dziennika poszły niebawem inne. Nowelkę „*Janko muzykant*“ przekładano już kilkakrotnie na język łotewski. O przekładzie „*Starego sługi*“ i „*Hani*“ wspominaliśmy już na innem miejscu. „*Szkice węglem*“ ogłosił przed paru laty w Lipawie, dla Łotwy, przedsiębiorczy księgarz miejscowy Peterson. Z rozbiorem tej samej nowelki spotykamy się w tomie XIX przytaczanego już przez nas poważnego pisma „*Magazin der lettisch-literärischen Gesellschaft*,“ w którym referent, składając hołd mistrzowskiemu pióru Sienkiewicza, zauważył trafnie, że „obrazek, opisujący nadużycia władzy przez pisarza Zołzikiewicza i upadek nieszczęsnej Rzepowej, niezupełnie

nadaje się do przekładów, mających wzbogacać łotewską literaturę ludową."

Jest to faktem niezaprzeczonym, że większość tak zwanej „intelligencyi łotewskiej" dąży stale do sztucznego wytworzenia w ciągu lat niewielu literatury narodowej, której pragnie obce utwory jak najprędzej przyswoić. Obok owych przekładów arcydzieł, przynoszą feljetony tłomaczenia nowelek i powieści, przeważnie zabarwionych naturalistycznie, a także najrozmaitsze lichoty. Pierwsze dla przechwalania się rzekomym postępem i wysoką cywilizacyą szczepu łotewskiego, drugie dla zajęcia czytelników strawą wprawdzie niezdrową, ale poczytną.

Pracując pod hasłem francuskiem „*paraître, c'est être*," większość redaktorów i cywilizatorów łotewskich łudzi napróżno siebie i drugich. Przekłady artykułów z pism ludowych, któremi najczęściej gardzą, przyniosłyby niewątpliwie korzyść prawdziwą, podnosząc stale poziom wykształcenia i moralności w prowincyach, przez Łotwę zamieszkałych, wtenczas kiedy większa część dzieł, obecnie przekładanych z iście chorobliwym pośpiechem, w żadnym razie owego szlachetnego celu osiągnąć nie zdoła. To też słusznie przypomina prawdę powyższą i zaznacza ją niemal corocznie w sprawozdaniach swoich „Towarzystwo literacko-łotewskie", z prawdziwych przyjaciół Łotwy złożone. Czuje się ono do tego zniewolone, pomimo oburzenia, jakie w pewnych kołach tak zwanej „intelligencyi łotewskiej" wywołuje owem otwartem wygłaszaniem swoich uwag, równie prawdziwych, jak trafnych.

Zaznaczyć wszakże winniśmy, że, Bogu dzięki, owe nauki nie całkiem idą w las, gdyż w końcu przedostatniego tomu roczników p. t. „*Magazin der lettisch-liter. Gesellschaft*," przy wyczerpującem omawianiu ruchu literackiego na Łotwie, a zwłaszcza *oryginalnych utworów łotewskich*, czytamy, z prawdziwą otuchą na przyszłość, słowa uznania, podnoszące wyraźnie się okazujący zwrot ku lepszemu.

O stosunkach socyalno-politycznych Łotyszów niepodobna rozwodzić się w szczupłych ramach niniejszego zary-

su. Ograniczę się przeto do zaznaczenia, iż charakterystyczną cechą czasów obecnych jest rozdwojenie włościan łotewskich na dwa odrębne stany: *włościan-gospodarzy* i *włościan-parobków.*

Stan pierwszych coraz bardziej podnosi się, pozostawiając stan parobków daleko za sobą. Łotysza-gospodarza tu i owdzie nietylko nazywają już panem, ale go całują w rękę ze czcią i uszanowaniem. Włościanin-gospodarz już wcale nie pracuje w polu, ale wysyła tam zastępcę i dozorcę (*pryksz-sajmniеks*), który z wielu względów przypomina znane czytelnikom typy ekonomów dawnych dworków szlacheckich na Litwie.

Miewamy też coraz częstsze przykłady, że wzbogacony Łotysz gospodarz rzuca się na korzystne spekulacye, a dworek swój wiejski, wraz z ziemią doń należącą, wydzierżawia. Inni, złożywszy bardzo znaczne kapitały, nie trudnią się niczem i żyją z procentów i odsetek, bądź w mieście, bądź na wsi, zabijając czas, jak mogą. U nich zawsze znajdziesz z jednej strony wspaniałe wydanie łotewskie poematu Goethego „*Reinecke Fuchs*", a z drugiej takie lichoty, jak „*Różę z Białogrodu*„ i niemniej zdrożne „*Tajemnice dworu madryckiego*," a obok nich nędzny przekład łotewski choć jednej z licznych powieści Pantoniusa, w których, jak już wspomniałem, wcale zabawnie bywają wyszydzane słabostki szlachty miejscowej. Od lat pięciu dostrzedz się tamże dają zeszyty miesięcznika *Mahjas weesa* — o licznych illustracyach; zeszyty te przynoszą, obok życiorysów wielkich pisarzy europejskich, urywki z ich dzieł nieśmiertelnych, o kartach najczęściej o tyle tylko przez abonentów przeciętych, o ile zawierają pewien zasób illustracyi, barwą niebieską, czerwoną lub czarną odbitych. I nic to dziwnego, kiedy zważymy, że ów miesięcznik łotewski podaje swym czytelnikom *drugą część* „Fausta" Goethego, której treści nawet sam tłomacz nie zawsze zdołał pojąć należycie, a w przekładzie jej na język łotewski tysiączne napotykać musiał trudności. Przyjrzawszy się znamionom powierzchownej cywilizacyi

Łotwy prowincyi nadbałtyckich, przyjrzyjmy się z kolei nieco bliżej jej kulturze prawdziwej.

Poziom moralności, zwłaszcza u zamożniejszych kurlandzko-inflanckich Łotyszów, wiele pozostawia do życzenia. U urzędników gminnych coraz częściej natrafiamy na nierzetelność i niesumienność, które wybory gminne najlepiej uwydatniają. Wójt gminny bywa często pijakiem. Przy wyborze na urzędy gminne bardziej wpływa prywata, niż wzgląd na dobro ogółu. Okoliczność ta dowodzi dostatecznie, że szczep łotewski, o którego rzekomym postępie nader mylne bywają podawane wieści do pism, tyle jeszcze nie dojrzał, by zostawione mu prawo samorządu umiał obracać na własne dobro. Łotysz-włościanin prowincyi nadbałtyckich ma oczywiście w swych rękach zbyt wiele władzy. W Kurlandyi nadużywał on nawet prawa tworzenia stowarzyszeń, aż w roku 1883 dzielny gubernator kurlandzki Lilienfels stanowczy kres wybrykom tego rodzaju położył.

Prasa łotewska, o której rozpisywano się już szeroko, acz niefortunnie, w pismach polskich, jest po większej części agitatorską, pseudo-postępową, tu i owdzie niemcożerczą, trzymającą się bezwiednie hasła: „*Divide et impera.*“ Najsumienniej redagowanemi są mitawskie „Wiadomości łotewskie“ (*Latweeschu etwizes*), wydawane, jak wspomnieliśmy, od lat 76-ciu z wielką oględnością, oraz tygodnik ryski „*Matjas weesis.*“ Najwięcej abonentów liczy obecnie dziennik *Baltijas wehstnesis* (kuryer nadbałtycki), wychodzący codziennie, a przeznaczony przedewszystkiem dla mieszczan łotewskich bardziej wykształconych, których interesy stara się zawsze popierać; natomiast dziennik *Deenas lapa* wywiesza stale sztandar socyalno-demokratyczny, gdyż najwięcej liczy abonentów pomiędzy ludnością roboczą. Z tygodników „*Balss*“ najbardziej jest rozszerzony pomiędzy włościanami, a w tendencyach przyjmuje podobny kierunek, jak *Baltijas wehitnesis*, a zaś „*Mahjas weesis,*“ mniej popularny, niż „*Balss*“, najwięcej ma czytelników pomiędzy bardziej wykształconymi robotnikami miejskimi i wiejskimi, jako to: młynarze, fabry-

kanci i t. d. Lepiej redagowane tygodniki i dzienniki są istnym kamieniem obrazy gazetek agitatorskich w rodzaju zawieszonej od kilku miesięcy ryskiej „*Deenas lappa*“ i mitawskiej „*Tehwija.*“ To też używają one przeciw nim wszelkiego rodzaju broni najniegodziwszej, aby ufność czytelników o ile możności podkopać. Przyjąwszy sobie za dewizę: „*Calumniare audacter, semper aliquid haeret,*“ starają się one równocześnie odjąć Łotyszom zaufanie ku zasłużonemu Towarzystwu: *Die lettisch-literärische Gesellschaft,*“ które od lat przeszło 75-ciu z wielkiem powodzeniem nad oświatą szczepu łotewskiego pracowało a i dotąd pracować nie przestaje.

Co do tak zwanego dziennikarstwa, czyli młodej prasy łotewskiej, wyznać musimy, że stosunkowo włościanie żadnego innego ludu Europy tyle gazetek nie posiadają, jak kurlandzko-inflancka gałąź Łotwy [1]). Należy tylko ubolewać nad tem, że większa część tych gazetek woli oddawać się agitacyom, niż mieć dobro włościan na celu.

Agitacye przeciw Niemcom tutejszym wszelkich stanów wychodzą również z tysiącznych stowarzyszeń klubowych łotewskich (*Latweeschu beedribas*), nad któremi zwłaszcza rozciąga swój wrogi wpływ klub Łotyszów ryskich, za pomocą pisarzy gminnych, z którymi ciągłe utrzymuje stosunki.

Łotysze zachowują prastare obyczaje i zwyczaje, mają liczne podania i pieśni ludowe, troskliwie zbierane i ogłaszane przez uczone towarzystwo niemieckie „*Die lettisch-literärische Gesellschaft,*“ które w przechowaniu śladów narodowości łotewskiej, kształceniu języka Łotyszów i oczyszczaniu go z obcych naleciałości, niepożyte położyło zasługi. Lud ten od roku 1819, w którym miało miejsce ostateczne usamowolnienie włościan w gub. kurlandzkiej i ryskiej, niemałe zrobił postępy. Został więc pracowitym, dbającym o podniesienie i ulepszenie gospodarstwa, o porządniej-

---

[1]) Oprócz przytoczonych powyżej spotykałem dzienniki łotewskie: „*Latweetcs*“ „*Semkopis,*“ „*Baznicas Wehstnesis*“ „*Amerikas Wehstnesis,*“ „*Austrums,*“ „*Darbi,*“ „*Rota*“ i kilkanaście innych, które swój słaby żywot już zakończyły.

sze, wygodniejsze i zdrowsze pomieszkanie, o oświatę, o zaoszczędzenie sobie grosza i o zaopatrzenie się w ziarno.

Kurlandzcy i ryscy kapitaliści, Łotysze, nabywają nietylko znaczniejsze obszary ziemi na wsi, ale i nieruchomości po większych miastach często kroć kilkuset-tysiączne. Wielu z zamożniejszych włościan Łotyszów wysyła oddawna swych synów nietylko do szkół powiatowych i gimnazyów, lecz nawet do uniwersytetu jurjewskiego, lub do szkoły wyższej politechnicznej w Rydze. W Jurjewie istnieje od lat kilkunastu osobna korporacya łotewskich studentów, nosząca nazwę „*Lettonia*“, a w politechnice ryskiej od roku 1897 takaż korporacya „*Zelonia.*“

Wogóle Łotysze z natury bardzo są spokojni i pobożni, Ulubionem ich zatrudnieniem jest rolnictwo. Zajmujących się rolnictwem i utrzymujących się z dochodów rolnictwa jest obecnie 86% całej ludności kraju, przez ich szczep zamieszkałego, liczba zaś zatrudnionych w sferze przemysłu i handlu wynosi 11%, utrzymujących się z usług osobistych zaledwie 3%.

Kobiety wiejskie zajmują się wyrobem płótna, pstrego sukna, pstrych płócienek i pończoch, wyrabiają także smakowite sery i gomółki. Celują zwłaszcza w tych ostatnich, cenionych najbardziej w Mitawie i w Rydze, a znanych pod nazwą: *lettischer Knappkäse.*

Łotysz z natury do wszystkiego okazuje wrodzone zdolności, jest wcale przebiegłym, posiada wiele talentu i zręczności, a chętnie pobiera każdą naukę; rozwój wszakże umysłowy długo powstrzymywały więzy poddaństwa. Ubiór nosi prosty, ale dogodny. Głowę pokrywa sukienną czapką na zimę obłożoną futrem; kapelusz pilśniowy obecnie już mniej często się widzi, i to tylko w gub. kurlandzkiej i niektórych okolicach gub. ryskiej; w gub. witebskiej widzimy go zaledwie tu i owdzie na samem pograniczu gubernii inflanckiej (ryskiej). Wyższą część ciała okrywa koszula. W górnej Kurlandyi dolna część tej koszuli przykrywa z wierzchu spodnie Łotysza i wązkim paskiem jest spięta. Na wierzch wkłada się w lecie długa sukmana zwana swejtą

(świta) z szarego samodziału, zimą kożuch barani. W gub. ryskiej i w niższej Kurlandyi dolna część koszuli ginie w spodniach, a wierzchnią przykrywa kaftanik lub kamizelka, których krój nie różni się niczem od tych, jakich używają osadnicy niemieccy.

Zarost ogolony, prócz bakembardów w Kurlandyi dolnej, a prócz wąsów w Kurlandyi górnej. Na nogach noszą skórzane buty, niedochodzące do kolan. Biedniejsi, a raczej najbiedniejsi, obyczajem dawniej powszechnym, nogi od kolan obwijają szmatami, które są podtrzymywane sznurkami, od łapci, czyli postołów, idącemi. To ubranie nóg obecnie już tylko bardzo rzadko daje się napotykać; buty od lat wielu w ogólny weszły użytek nawet u biedniejszych.

Stan zamożniejszych Łotyszów-gospodarzy nosi się o ile możności z pańska; zwłaszcza tych, którzy przebywają po miastach, trudno od mieszczan rozróżnić. Kobiety wiejskie noszą w zimie pod ciepłym kożuchem, pokrytym u bogatszych ciemnem lub granatowem suknem, długie różnobarwne spódnice, tudzież kaftaniki z ciemnej wełnianej jednokolorowej materyi, w lecie zwyczajne suknie, uszyte z kwiecistego perkalu, a także dochodzące do kolan fartuszki, również z materyi bawełnianej, jak można najbardziej pstrej i jaskrawej; w górnej Kurlandyi i w gub. witebskiej na wierzch kładą kolorową kwiecistą chustkę, zastępującą w lecie kaftan, z pod której wyglądają białe od koszuli rękawy. Przed 50-ciu laty dostrzegaliśmy u niektórych starszych kobiet odmienne ubranie od dzisiejszego. Okrywały ich głowy tak zwane „namiotki", czyli płócienne zawicia, które podpinały się pod brodą, na plecach zaś nosiły okrywkę wełnianą w kształcie długiego szala, wykonaną z białej tkaniny domowej, a spiętą na piersiach za pomocą okrągławej spinki, nazywanej *soktą*. Na obu końcach charakterystycznej okrywki wyszywany był zwykle deseń misterny, różnobarwną wełną (coś nakształt wzorów, jakie widzieć się dają na szlakach starych szalów tureckich), zakończony różnobarwną frendzlą wełnianą. Po obu stronach tenże sam wzór wykonany w zmniej-

szeniu, a dokoła, jakby obramowanie, pasek wytkany w tychże barwach co wyszycia [1]). Dziewczęta łotewskie w dni niedzielne i świąteczne zdobią głowę w różnobarwne wieńce, na które tu i owdzie narzucają lekką przejrzystą chusteczkę, zamężne zaś kobiety zawiązują na głowie chustkę w formie czepca; na niej umieszczają stosownie do pory roku jednę lub więcej, bo aż do sześciu, jednakowo złożonych chociaż coraz mniejszych pstrokatych chust; śpiczasto na czole wystająca część wszystkie widzieć dozwala. Małe dzieci chodzą zwykle w jednej koszulce, przepasanej na biodrach wąskim paskiem, zwanym *justa*.

Dzisiejszy Łotysz nie dba o ozdoby. Rzadko szklane perły zdobią szyję młodej dziewczyny. U katolickich Łotyszów dostrzedz się wszakże daje zarówno u mężczyzny, jak i u kobiety różaniec, szkaplerz, mały krzyżyk, obok medalika z wyobrażeniem Chrystusa lub Bogarodzicy (*Obacz fig. 1*)

Rękawiczki, pięknie farbowane pończochy, paski, z pstrej wełny utkane oraz z dwóch krańców czerwoną bawełną upstrzone lub frendzlą przyozdobione ręczniki, wielkie mają znaczenie i zwyczajnie używają się na podarki w czasie chrzcin, wesela lub innych uroczystości.

Taka prostota, jak w ubiorze, przebija i w mieszkaniu Łotyszów. Na podmurowaniu kładą nieobrobione sosnowe kręglaki, szpary mchem zatykają. Zamiast okien, najbiedniejsi zrobione na nie otwory drewnianemi zamykają zasu-

[1]) Taką starodawną okrywę łotewską przechowywała długo, jako pamiątkę po piastunce swego najstarszego syna, dawna dziedziczka Preżmy w powiecie rzeżyckim, synowa marszałka nadwornego wielkiego księstwa litewskiego Stanisława Sołtana, pani *Władysławowa Sołtanowa*, w której zbiorach mieliśmy sposobność oglądać tę rzadkość jak najdokładniej. Szerokość okrywy wynosiła 2 łokcie ruskie, długość zaś 4½, tkaną była w prążek skośny. Podobneż okrywy dają się jeszcze obecnie napotkać w rzymsko-katolickiej parafii *Alszwang* w Kurlandyi dolnej, gdzie Łotewki i dotąd spinają je t. zw. „soktami,“ ale nierównie większych rozmiarów, niż dawne „sokty“ u Łotewek z gub. witebskiej przez nas niegdyś osobiście oglądane.

wami. U najbiedniejszych nie wszędzie dotąd jeszcze wszedł w użycie komin, któryby odprowadzał dym z ceglanego pieca, zwykle w kącie niedaleko drzwi stojącego; służy on zwy-

(*fig. 1*).



Typy łotewskie.

czajnie za kuchnię, a na górnej jego powierzchni urządzane bywa miejsce do spania. W takich najuboższych mieszkaniach dym wychodzi przez okna, drzwi i pułap; za-

możniejsze zaś wszystkie porządnymi są opatrzone kominami [1]).

Chaty i domy mieszkalne Łotyszów, bardzo różny przedstawiają widok, stosownie do zamożności mieszkańców. Bogaty włościanin ma obszerny dom drewniany o dużych oknach i wysokim suficie; zamieszkuje jednak zwykle tylko dużą przednią izbę i małe stancyjki tuż za nią; reszta domu obrócona jest na potrzeby gospodarskie. Najzamożniejsi i już spanoszeni Łotysze — kapitaliści miewają mieszkania wiejskie zbytkownie urządzone, nie wyróżniające się niczem od folwarków bogatych mieszczan. Po miastach zaś posiadają kilkupiętrowe kamienice, które w części wynajmują, w części zamieszkują sami wraz ze swą rodziną.

Każdy najuboższy nawet włościanin łotewski posiadać musi w swoim domku tak zwane letnie mieszkanie. Jest to czysty pokoik z wielkiemi szklanemi oknami. Niema w nim pieca, dla tego i większe ochędóstwo panuje. Izba ta schludna, zwana „kambors," służy za skład najkosztowniejszych ruchomości. Tu składa Łotysz w ciągu zimy swoje skarby, pościel, bieliznę i inne rzeczy; w ciągu lata zaś w dnie niedzielne i świąteczne zdobią jej ściany i pułap zielone gałęzie, liście i kwiaty, tu bowiem podejmują gości. Dodajmy do tego jeszcze śpichlerzyk zwany „kletie," przeznaczony na skład w zimie, a na sypialnię latem, suszarnię, kilka stajen, nieodzowną łaźnię, zamieszkiwaną zwykle przez uboższą rodzinę, a będziemy mieli całe obejście mniej zamożnego Łotysza. Nie rzadko, zwłaszcza w Kurlandyi, znajdują się bardzo starannie budowane domy łotewskie, mające kilka izb mieszkalnych; w nich znaczna liczba sprzętów domowych, wszystko w wyszukanej czystości utrzymane. Zabudowania włościańskie, zwykle w czworobok postawione, pokrywają słomą, w leśnych okolicach dranicami (łupki) lub gon-

---

[1]) O dawnych chatach szczepu łotewskiego traktuje wyczerpująco rozprawa *F. Benningena* ogłoszona (z dodaniem 10 rycin) w „*Mag. d. lett. lit. Ges.*" tom XIX, część drug, str. 36—61.

tami, a w Kurlandyi u zamożniejszych najczęściej dachówką.

Szczep łotewski, zarówno jak szczep jego bratni litewski, posuwa gościnność do nader dalekiej granicy a do hucznych zabaw bardzo jest skłonny. Żaden interes, żaden kontrakt, żadne kupno, nie zostaje załatwione bez uczęstunku. Wódka wkradła się do Łotwy z obczyzny. Narodowym i ulubionym napojem Łotysza jest tak zwany *olr* lub *alus*, rodząj piwa a raczej podpiwka, wyrabianego przez nich samych z chmielu i jęczmienia. Ten, jak niegdyś, tak i dzisiaj jeszcze, obok wódki i wina, przy weselu, przy zrękowinach, przy chrzcinach i pogrzebach, słowem przy wszystkich uroczystościach niepoślednią odegrywa rolę. O dziewczynie już komuś zaręczonej wyraża się Łotysz: *jau ar winiu pujszu ir ajrdrarta*, to znaczy: już z owym chłopcem jest *zapitą*. Lecz zwłaszcza wesela bardzo hucznie wyprawiają. Bawią się niekiedy trzy dni; całe pokrewieństwo bierze w nich udział, tańczą późno w noc, a nad rankiem znowu schodzą się do gościnnego domu [1]).

O zwyczajach łotewskich, zwłaszcza przy weselach dotąd ściśle zachowywanych, można powziąć niejakie wyobrażenie ze swad weselnych, *kuôzurunas*, które kalendarze ludowe łotewskie obok pieśni weselnych często zawierają. Kalendarz Łotyszów na rok 1870-ty podał ich długi szereg na stronicach 40—61, a o wierności owych kalendarzowych opisów przekonywał się piszący niejednokrotnie, bywając za młodu na weselach Łotwy. W piosnkach weselnych przy końcu ostatniej zwrotki powtarzają obecni za każdym razem: *Byuś wasals*, t. j. bądź nam zdrów; albo: *Dzieryt wasaly*, t. j. pijcie zdrowo. Na tak zwanym „*pogoście*“ czyli błogosławieństwie pożegnalnem nowo-zaślubionej, odbywa się składka ogólna dla niej i kolejne tłucze-

---

[1]) O weselach Łotyszów traktuje obszernie praca *E. Bielensteina* w „*Mag. d. lett. Gesellschaft* XIX tomu 4 ustęp str. 62–239 i XX tomu ustęp (z r. 1898).

nie tych misek, w które rzucają się ofiary. Po przybyciu do domu nowożeńca, młoda małżonka musi na każdym kroku rozdawać dary. Są to najczęściej, upstrzone po dwóch końcach czerwoną bawełną i frendzlą, ręczniki, paski różnobarwne czyli tak zwane *„jüsty,“* rękawiczki wełniane oraz inne jej prace własnoręczne. Obrzędy weselne Łotwy opisuje i systematyzuje starannie w swem dziele rosyjskiem *„Materyały dla etnografii łatyszskaho plemieni Witebskoj gubernii“* docent wszechnicy petersburskiej pan Edward Wolter, do którego erudycyjnej, nie łatwej w czytaniu pracy (uwzględniającej roboty nasze dawniejsze niemal na każdej stronicy) w części drugiej niniejszego zarysu będziemy zniewoleni powrócić.

Obchody weselne kurlandzkich-Łotyszów tem się mianowicie wyróżniają od inflanckich, że tam drużba towarzyszy konno weselnemu orszakowi, trzymając w ręku małe jodełki, czy choinki długiemi różnobarwnemi wstęgami i błyskotkami całkowicie przykryte, oraz trąbki weselne czyli tak zwane *taury.* Spotykał piszący takowe w Mitawie nietylko za swoich czasów gimnazyalnych, ale i kilkadziesiąt lat później, a zawsze jeden i tenże sam miewały charakter. Zarząd tak zwanej „wystawy etnograficznej,“ przez Łotyszów ryskich w roku 1896 na wielką skalę urządzonej, w ciągu kilku tygodni o późnej godzinie wieczornej zapraszał zwiedzających tę wystawę do rodzaju hippodromu, w którym przedstawiano przeplataną śpiewami pantominę, dającą wcale wierny obraz takiego wesela. Cała drużba występowała tu konno, a dyalogi, przerywające pantominę i liczne swady weselne, najnaturalniej były oddawane. To też zdaniem naszem, zarzucano nie słusznie owym przedstawieniom, że one zanadto przypominają „szopkę.“

Co zaś do samej wystawy, była ona niewątpliwie przedsięwzięciem chybionem a pod względem naukowym nie miała najmniejszego znaczenia. Lubo nosiła nazwę *„Wystawy etnograficznej łotewskiej,“* ślady etnografii, zwłaszcza etnografii łotewskiej, nie łatwo w niej dawały się odszukać. Jedy-

nie oddziały kilku niemieckich wystawców miały cechę naukową i etnograficzną.

Jeden z wystawców niemieckich wystawił przepysznie wykonany szereg wzorów do historyi łotewskiego rybołówstwa, a więc: kształty łódek i statków najrozmaitszych, począwszy od najdawniejszych aż do tegoczesnych, sieci i liczne inne narzędzia rybackie i t. d. równie ciekawe jak pouczające. Drugi nagromadził podobizny najrozmaitszych „gór obronnych" pogańskiej Łotwy (*heidnische Burgberge*), któremi są przepełnione wszystkie części Kurlandyi, tak górnej, jako i dolnej. Dokonał tych różnorodnych modéli niezmordowany badacz starożytności łotewskich Dr. A. Bielenstein, zajmujący, jak wiadomo, wysokie stanowisko naukowe nietylko w kraju, ale i zagranicą. On też wystawił zbiór dawnych sprzętów domowych i narzędzi drewnianych, którymi, w braku metalu, posługiwała się niegdyś Łotwa cała. Pomiędzy niemi nie brakło nawet zamków do mieszkań i obór dawnej Łotwy, wyłącznie z drzewa wykonywanych, a tych dostarczyły okolice nad-Łubańskie dzisiejszej gub. witebskiej [1]). Udatnym był także wzór nietylko chaty ale całego obejścia dawnego przeciętnego Łotysza, z wielką dokładnością wykonany.

Sama zaś komisya wystawy, złożona wyłącznie z zamożnych Łotyszów, wodzących rej w klubie ryskim łotewskim, nadzwyczaj dziwnie i nieodpowiednio brała się do urządzenia tej wystawy, dając jej miano „wystawy etnograficznej łotewskiej," dała nowy dowód niewątpliwy, jak wiele jej jeszcze do wyższej kultury braknie.

Z licznych pawilonów najbardziej odwiedzany był główny środkowy, w którego sali centralnej umieszczono kilkadziesiąt wspaniałych figur woskowych naturalnej wielkości w ubraniach ludowych. U wejścia do tego oddziału wystawy

---

[1]) Zbiory tego rodzaju gromadzi oddawna Dr. A. Bielenstein do illustrowania obszernego dzieła p. t. „*Das Holz-Zeitalter der Letten,*" które niebawem ma zostać ogłoszone.

dostrzegało się wprawdzie kilka figur płci obojga w dawnym stroju łotewskim, lecz zato w samym oddziale niepodobna było doszukać się chociażby jednego typu z Łotwy. Wystawiono tam kilkadziesiąt postaci w strojach różnorodnych i te zrazu imponowały istotnie widzowi. Ale jakież musiało nastąpić rozczarowanie u każdego, kto miał niejakie pojęcie o etnologii nadbaltyckiej, gdy przekonywał się naocznie, że nie spotykał tu bynajmniej postaci łotewskich, albo przynajmniej typów ze szczepem Łotwy, chociażby najdalej spokrewnionych, lecz wyłącznie typy Ozylijczyków, należących jak wiadomo, do plemienia fińskiego, żyjącego z Łotwą w odwiecznym antagonizmie i nie mającego z nią nic a nic wspólnego.

Przyznać należy, że ubranie Estów z wysp Ozylii i Moon na Baltyku jest nader malownicze i urozmaicone. Różni się ono niemal w każdym okręgu parafialnym, których ogółem liczą aż 12. A że podaje je ze wszystkimi szczegółami zbiór rysunków koloryzowanych, wykonany z natury przez *Sterna* i przez niegoż przed laty 20-tu w Ardnsburgu wydany p. t. „*Trachtenbilder der Oeselschen und Moonschen Bauern,*“ skorzystał z tego zbioru komitet wystawowy łotewski i wykonane wedle tych wzorów Estów wyspiarskich przyjął do wystawy etnograficznej *Łotewskiej*.

Nic też dziwnego, że tej *wystwie etnograficznej* nie przyznała cywilizowana publiczność wartości naukowej, pomimo tak licznie na niej przedstawianych okazów, których rosyjskie, łotewskie i niemieckie katalogi wyliczały kilka tysięcy.

W oddziale myzycznym obok kilku zbiorów pieśni ludowych łotewskich, które tu istotnie były na miejscu, spotykał zdumiony widz niezliczoną moc togoczesnych dyletanckich utworów fortepianowych (przeważnie nędzne polki i walczyki), wspaniale wydanych, albo kilka rękopiśmiennych partycyj muzycznych tychże nieoryginalnych tuzinkowych utworów, rozłożonych przez kogoś na orkiestrę. W oddziale wyrobów łotewskich przeważały piękne hafty jedwabiami i złotem w niemieckich magazynach rozpoczęte, a przez córki zamożnych Łotyszów ukończone, z których to *niby*

etnograficznych okazów każdy był opatrzony srebrnym numerem i nazwiskiem wystawiającej je Łotewki, zaliczonej nie do ludu, ale do wyższej intelligencyi. Na każdym kroku spotykał się tu widz jako tako wykształcony z przedmiotami, nie mającymi najmniejszej styczności z właściwą *etnografią łotewską*, pomimo iż te właśnie za cel swój była obrała komisya, wystawę urządzająca.

Nie brak na Łotwie i podań najrozmaitszych. Te, w ostatnich zwłaszcza leciech, w niezwykłej ilości przez wielu zbieraczy nagromadzone zostały [1]).

Podania łotewskie z gub. witebskiej, mianowicie z okolicy starodawnego zamczyska Lucyńskiego, z gminy Stygłowskiej, spisał i przełożył w r. 1892 p. Władysław Weryha. Zapełniają one cały tom X *Biblioteki „Wisły.“* Powtarzające się częstokroć w zbiorku p. Weryhy baśnie o zaczarowanych królewnach, o skarbach i strzegących je psach, o czarach dyabelskich, o trzech wiedźmach, o trzech siłaczach, o trzech siostrach, o trzech braciach (dwóch rozumnych i jednym głupim) i t. d. mają mnóstwo cech prawdziwie łotewskich. Opowiadają je bowiem z małemi odmianami Łotysze w okolicach bardzo wielu innych zamczysk Inflant i Kurlandyi, których to poważnych zwalisk naliczono obecnie

[1]) Oprócz przytaczanych podań łotewskich w *„Magazin der lettisch-liter. Gesellschaft“* i wielu innych dziełach zbiorowych, zwracamy uwagę czytelnika przedewszystkiem na 6-cio tomowy zbiór podań Łotwy p. t. *„Latwaschu tautas teikas un parsakas“*, opracowany i wydany przez rodowitego Łotysza *Lerch-Paschkkaitis'a* za pomocą kasy „komisyi umiejętności łotewskiej.“ Tomy te wyszły w Rydze w latach 1891 — 1896. W języku zaś niemieckim ogłosił w końcu roku 1897 *Dr. F. Bienemann*, spory tom podań p. t. *„Livländisches Sagenbuch.“* Największa część tych podań miejscowych odnosi się do Łotwy. O klechdach łotewskich, mających związek ze światem zwierzęcym, najbardziej gruntowną rozprawę znajdzie czytelnik w *„Mag. d. lett. lit. Ges“* Tom XIX, str. 129 — 174 p. t. *„Das lettische Thiermärchen“ von Bielenstein.* Tamże o smoku łotewskim „Pyncze“ albo „Pukkis“ rozpisuje się na str. 174 — 185 R. *Auning* w rozprawce p. t. *„Ueber den lettischen Drachen-Mythus.“*

już 159. Reszta zaś ciekawych dodatków w zbiorku p. Weryhy nagromadzonych, przedstawia wytwór fantazyi Łotyszów inflanckich, z którym nie spotykamy się nigdzie w innych częściach kraju, przez szczep łotewski zamieszkałych. A że autor ograniczył się wyłącznie na zbieraniu podań w okolicy zamku Lucyńskiego i nie dotarł do brzegów Dźwiny, niechże nam będzie wolno zwrócić uwagę czytelnika na te, jakie u Łotyszów naddźwińskich wywołał widok nader ciekawej skały płaczącej *„Stabbu Rags“* (Słupi Róg), będącej częstokroć celem wędrówek i takich nawet podróżników, co niejedną zamorską już zwiedzili krainę. Skała ta znajduje się w pobliżu po-Holzenowskiej odwiecznej majętności *Stabiten*, na lewem brzegu Dźwiny i stanowi istne cudo natury.

Olbrzymia ta masa skalista odznacza się wązką stosunkowo podstawą a szerokim wierzchołkiem. Z górnych jej warstw wytryska mnóstwo źródeł, które częścią strumieniami, częścią kroplami nakształt deszczu, spływają ku stronie rzeki z daleko rozlegającym się szumem. Droga do niej prowadząca jest niejako przygotowaniem do jej widoku.

Oko wędrowca, kroczącego brzegiem Dźwiny od granicy Zolburga (dawnej stolicy łotewskiego szczepu Zelonów), ku Stabiten, uderza wprawdzie odrazu piękność i rozmaitość przedstawiających się mu krajobrazów, wszelako słynna skała, nazwę *„Słupiego Rogu“* nosząca, długo przed nim ukrywać się zdaje. Liczne wodospady, jakie bystre acz mało znaczące lewe przypływy Dźwiny co chwila tu tworzą, strome ściany skaliste, uroczo lasem pokryte wzgórza, a także wioski i dworki łotewskie, tu i owdzie po parowach malowniczo rozrzucone, przedstawiają niezwykłą rozmaitość.

Widoki te są czasem dzikie i ponure, czasem znowu uśmiechają się wesoło, i właśnie ta rozmaitość stanowi główny ich urok. Nakoniec strumyk, niezwykle bystry, wstrzymuje kroki wędrowca. Przypomina mu poniekąd, że się już zbliżył do czarnoksięskiego kraju czarodziejki, zamieszkującej wedle dawnego podania Łotwy ów słynny „Słupi Róg.“

Odtąd po obu brzegach Dźwiny podnoszą się znacznie jej ściany skaliste. Spiętrzone masy zwieszają się w olbrzymich złomach, jakby bezładnie narzuconych jedne na drugie. Pomiędzy nimi i na nich rosną najpiękniejsze iglaste i liściaste drzewa: sosny, świerki, wiązy, dęby, jesiony, klony, brzozy. Ostre zarysy skał pokrywają tu i owdzie wijące się rośliny. Czasem karłowata jarzębina wygląda ze szczerby skalistej lub z za kamiennej ściany dewońskiego piaskowca, po której, wśród bujnych krzaków malin, wspina się wysoko polna jeżyna.

U dołu, nieopodal majestatycznej rzeki, szarzeje groźnie potężna masa skalista, ocieniona z góry wiekowemi drzewami; rzekłbyś, że stanęła tu na straży, aby nakazać bieg Dźwinie.

Jest to właśnie „Słupi Róg.“ Tworzące go masy skaliste wystają jakby jaki przylądek, a barwa ciemno-szara ściągnęła na nie u miejscowych Łotyszów z początku nazwę „Rogu“ (Rags), która później na „Słupi Róg“ (Stabbu Rags) przeszła; strugownicy zaś nazywają tę skałę „Czartowym Nosem“ lub „Czartową Brodą;“ w porze bowiem wiosennego wezbrania wód, może ona stać się bardzo niebezpieczną dla żeglugi; zdala już nawet grozi im, szyderczo na nich spogląda i zdaje się zęby wyszczerzać.

„Stabbu Rags“ liczy 200' długości i 70 szerokości. Składają go porowate wapienie, pokryte z wierzchu licznemi kępkami mchu, miejscami skamieniałego, miejscami zaś zieleniejącego, jakby uroczy kobierzec.

W górnych warstwach skały mech ten kamienieje przesiąknięty wodą, sączącą się w tysiącznych prądach ze źródeł wału ziemnego, który do tej części skały przytyka. Dzieje się to stopniowo skutkiem składu chemicznego głównego źródliska, zawierającego wiele cząstek wapnistych. Stąd też oczywiście pochodzi owa osobliwsza muszlowato-łuszczasta *rurkowata* formacya dziurkowatej masy skalistej, na której utworzenie wiele wieków składać się musiało. Masa ta bowiem powiększa się ciągle od góry przez przyrasta-

jące do niej stopniowo coraz to nowe skamieniałości, w niższych zaś warstwach zmniejsza się od czasu do czasu skutkiem silnego prądu strumienia a zwłaszcza kry wiosennej, która często odrywa większe lub mniejsze bryły tej jedynej w swoim rodzaju opoki. Tym sposobem w dolnych jej częściach wytwarzają się najrozmaitsze jaskinie, groty i pieczary. Rosną w nich bujnie nietylko mchy i paprocie, ale także jakieś piękne rośliny groniaste, wyzierające ciekawie z obfitych szczerb, wyżłobień i naturalnych framug olbrzymiej skały, którą owa urocza zieleń w sposób czarodziejski zewsząd opina i przystraja.

Ogromna masa wody źródlanej wytryska ze wszystkich wydrążeń i dziurkowatości czarującej opoki, następnie spływa po jej ścianach skalistych a nakoniec spada w milionach przejrzystych kropel i cienkich strug w kierunku prostopadłym z omszałej głowy, czy też brody „Słupiego Rogu.“ Płynie ona dalej po płytach wapiennych i urwiskach skalnych ku wielkiemu zwierciadłu wód Dźwiny, oddalonej stąd zaledwie o kroków kilkanaście.

Nietylko cały brzeg, ale i koryto majestatycznej rzeki wysłane jest już to mniejszymi już większymi odłamami tejże masy skalistej. Wszystkie noszą na sobie piętna swego zarodu i sposobu, w jaki powstały. Znać na nich wyraźnie, że niegdyś pojedyńcze krople wody źródlanej tysiąckrotnie ją opłukiwały.

Dwie bryły, z których każda ma 10' długości i 8 wysokości, a które, jak powiadają okoliczni mieszkańcy, przed 43-ma laty urwały się własnym ciężarem od wierzchniej części „Słupiego Rogu,“ — potoczyły się już wtedy aż do samej Dźwiny. Dwie inne, nierównie większe, leżą o kilkaset kroków niżej rzeki. Przeniósł je tu oczywiście potężną swą siłą prąd kry wiosennej. Skład i kształt tych obu olbrzymich odłamów, już dla tego samego nadzwyczaj jest ciekawy, że potwierdza najwymowniej odwieczną prawdę, zawartą w znanem powszechnie przysłowiu łacińskiem: *gutta cavat lapidem non vi, sed saepe cadendo.*

Te przecudowne formacye wykazują wyraźnie niewy-

mowną wielkość i wszechmoc Bożą, w przyrodzie zawartą; a nad potęgą twórczą, przedewszystkiem dobro we wszechświecie czyniącą, zastanawiała się już bardzo wcześnie pierwotna Łotwa pogańska, wyobrażając sobie *o własnych siłach* Boga przyrody, hojnego dla ludzi i zstępującego chętnie na niziny ziemskie, jak to w drugiej części niniejszego szkicu, poświęconej wyłącznie pieśni gminnej łotewskiej, postaramy się wykazać.

Szarą, tu i owdzie czerwonawą, a w części niemal czarną ścianę skalistą „Słupiego Rogu," otula w lecie przejrzysta kryształowa zasłona wodna, a w niej wschodzące słońce odbija się wspaniale wszystkiemi barwami tęczy. Natomiast w ziemi błyszczą na tejże majestatycznej ścianie sople lodowe i różnobarwne słupy przejrzyste, złożone z mas lodowatych, które stopniowo wytwarza spadająca na nią kroplami woda źródlana. Sama zaś skała, wraz ze swemi licznemi jaskiniami i pieczarami, ginie w tej porze roku całkowicie pod ową ciężką lodową pokrywą. Uwalnia ją od niej zaledwie wiosna, powołując zarazem do nowego życia niezliczone zioła i kwiaty, w jakie łotewski „Stabbu-Rags" w ciągu pięknej pory roku zwykł się przystrajać.

Zdolny, w swoim czasie dosyć słynny marzyciel kurlandzki, poeta Boelendorff (ur. r. 1773 † r. 1825), zwiedzał częstokroć tę cudowną a zarazem cudotwórczą skałę i niejednokrotnie ją opiewał [1]). Do niej są też przywiązane liczne legendy i sagi, żyjące po dzień dzisiejszy w wielu podaniach Łotwy naszej naddźwińskiej. Podług jednego z tych podań, zamieszkuje cudowną skałę dziad stary, do którego tylko o posępnej godzinie północy wolno zbliżać się śmier-

---

[1]) W pracy naszej o tejże cudownej skale i jej stosunku do poezyi ludowej Łotyszów naddźwińskich, ogłoszonej przed kilkunastu laty w Przeglądzie Powszechnym (tom VI, str. 199–211), umieściliśmy w oryginale niemieckim pieśń Boelendorfa *„Herbstlied an den Stabburags"* napisaną w pięknym heksametrze. Zawiera ona bowiem nietylko bardzo poetyczny, ale i nader wierny obraz tej jedynej w swoim rodzaju skały na Łotwie, nie słynącej zresztą z piękności krajobrazów swoich.

telnym. Starzec ten, bezustannie nad lampką siedzący, chętnie swych skarbów udziela każdemu, kto o nie z ufnością prosi. Skarby te wszakże przynoszą błogosławieństwo tym tylko, którzy ich wyłącznie na dobre uczynki używają.

Inne łotewskie podanie głosi natomiast, że o późnej wieczornej godzinie siaduje na owych uroczych masach skalistych nadobna dziewa o oczach niebieskich i kąpie swe długie jasno-złociste warkocze w przeczystych krynicach, jakie skałę zewsząd otaczają.

W głównej pieczarze „Słupiego Rogu," z której najobficiej wytryska woda wapnista, posiadająca własność zamieniania stopniowo wszelkiej roślinności na dziurkowatą masę kamienną, widzą Łotysze w ciągu dnia piękną dziewicę, która przędzie dla ludu wiejskiego, ilekroć lud ten biedny zadanej mu przez panów pracy podołać nie może, a w ciągu nocy dostrzegają w temże wydrążeniu skały poważnego mnicha, ślęczącego nad olbrzymią księgą, którą z góry oświeca promień srebrzysty.

Podług jednego z tych podań Łotwy, mającego atoli wyraźne cechy sagi niemieckiej, kochał się ongi rycerz z przeciwległego zamku Kokenhuzy w nadobnej modrookiej pannie, mieszkającej w Stąbiten. Owóż razu jednego, gdy rycerz ów, kochający i kochany, przepływał jak zwykle łódką do swej bogdanki, dosięgło go już na brzegu kurlandzkim groźne ramię przeciwnika, który zakochanego rycerza w oczach jego lubej najnielitościwiej zamordował, skutkiem czego znękana kochanka zmieniła się niezwłocznie w płaczącą skałę „*Stabbu Rags*" i odtąd w tej kamiennej postaci opłakuje wieczyście bolesną stratę zgładzonego kochanka.

To podanie miejscowe wywołało pomiędzy innemi piosnkami także balladę polską, napisaną przez panią E(mmę) B(enisławską). Niech nam będzie wolno przytoczyć tu ten utwór ogłoszony już w r. 1885 w tomie VI *Przeglądu Powszechnego* na str. 209.

Nad brzegiem Dźwiny widać skałę zdala,
Dumną świątynię, którą stworzył Bóg;
Nikt lat jej nie wie, chyba tylko fala,
Która od wieków szemrze u jej nóg.

A czoło skały wieńczy mech srebrzysty,
Jak gdyby szronem prusząc starca skroń,
I z łona głazu zdrój chłodny, przejrzysty,
Kropla po kropli spada w ciemną toń.

Starcze, ty płaczesz! Twe serce znękane
Nad losem dwojga ludzi roni łzy;
On był rycerzem, jego imię znane...
Ona, tak piękną, jak młodzieńcze sny.

W zamczysku Stabben, gdy dziewczę siedziało,
Śląc ku lubemu tkliwe myśli w dal,
W zmroku wieczornym serce jej czuwało
Wśród szumu dziko rozszalałych fal.

Od przeciwnego łódź odbiła brzegu,
Cicha i zwinna, niby wodny ptak,
Burza nie wstrzyma jej szybkiego biegu,
Przed nią widnieje tajemniczy szlak.

O! bo dłoń silna, co wiosłem kieruje,
Pierś w stal zakuta, lecz serce w niej drga,
Gwiazda rycerza drogę mu wskazuje,
Tą gwiazdą miłość, tak czysta, jak łza.

Już, już do brzegu przybija szczęśliwy,
Dziewczę już słyszy umówiony znak,
Widzi, jak luby walczy, niecierpliwy,
Z ostatnią falą, co go cofa wspak.

Lecz zazdrość także czuwała w tej chwili,
Pragnąc zdradziecko zadać straszny cios
Tym, co szczęśliwi być się odważyli,
Rajskiem uczuciem złocąc ziemski los.

I, zanim młodzian wyskoczyć mógł z łodzi,
Mordercy ciężko przygniata go dłoń;
Ostrzem żelaza w serce jego godzi
I martwe ciało odrzuca precz w toń.

Dziewczę widziało ze szczytu swej wieży,
Jak w ciemnych nurtach kochanek jej znikł,
Z rozwianym włosem na brzeg rzeki bieży,
A jęk rozpaczy na ustach jej stygł.

Przybiegła... patrzy... tam na falach Dźwiny
Łódź próżna... dalej... krzyk z piersi się rwie!
Z tym krzykiem pękło i serce dziewczyny;
Dźwina porwała ją w objęcia swe.

A na tem miejscu, gdzie dziewica stała,
Blada i martwa, jak podcięty kwiat,
Wśród wód spienionych podniosła się skała,
Którą dziś widzi i podziwia świat.

Widok skały płaczącej podajemy w części drugiej przy pieśniach gminnych, do niej wyłącznie odnoszących się (Obacz fig. 3). Tu zaś umieszczamy rycinę, przedstawiającą najstarszą komturyę Wolkimborską na Wolkenbergu, założoną, jak chcą niektórzy, przez *Volkvina*, mistrza Zakonu kawalerów Mieczowych około roku 1230; liczy więc to majestatyczne zamczysko już lat 669 istnienia, w ciągu których nader mało się zmieniło a widokiem swym wspaniałym imponuje stale Łotwie inflanckiej. To też legendy, sagi i podania przyrosły do Wolkimborku, jak zwoje bluszczu do starych murów. Położenie jego na wysokiej górze, zdobiącej południowe wybrzeża rozległego jeziora *Raźno*, jest niezwykle malownicze.

Znany powszechnie pejzażysta *Napoleon Orda* zdjął widok zamczyska z natury w r. 1875 wyłącznie dla piszącego. Staranną akwarelę czcigodnego ofiarodawcy wcielił piszący do cennych zbiorów ryskiej biblioteki miejskiej, a mianowicie do wielotomowego rękopiśmiennego dzieła Jana

Krzysztofa Brotye'go, stanowiącego słynne *unicum* wspomnianego kilkuwiekowego księgozbioru [1]).

Kiedy ten zamek przeszedł do rąk prywatnych nie jest wiadomem. Pewnem jest tylko, że od roku 1277 nie służył on już zgoła za miejsce warowne i za czasów polskich świecił pustkami, jak dzisiaj, panując niezmiennie całej okolicy, w której krążą liczne w nim podania. Podług jednego z nich przed laty, cała ta okolica, należała do wdowy po władcy na Wolkimborku nad jeziorem Raźno. Zmarła ona bez potomstwa męskiego i tylko pozostawiła trzy. nadobne córy, pomiędzy które cała ta kraina rozdzielona została. W każdej z trzech posiadłości wzniósł się wspaniały nowy zamek obronny, od imienia właścicielki nazwany. Najstarsza Rozalia otrzymała w dziale *Rositen*, — dziś Rzeżyca, — druga imieniem Lucya, *Lucyn*, a najmłodsza Marya, *Maryenhauz*. Podanie to widocznie jest późniejszego pochodzenia i nie jest wcale wytworem ludowym. Dowodzi tego rozległy widnokrąg geograficzny i pierwiastek etymologiczny legendy, utworzonej oczywiście (czy to trafnie czy też nietrafnie) z nazw miejscowości. Bardziej ludową legendę o tymże zamku ogłosił w roku 1850 w Wilnie ksiądz Józef Macilewicz w książce łotewskiej *Pawujciejszona* i t. d. (t. j. „Wiadomości dla wieśniaków łotewskich"). W niej mowa o przebywającej w podziemiach Wolkenberga zaczarowanej dziewicy, oraz znajdujących się tamże skarbach, strzeżonych przez dwa olbrzymie psy. Najbardziej zaś łotewską legendę wolkimborską ogłosiła w r. 1897 tom IV, w zeszycie 3-im na str. 536 poważna *Biblioteka warszawska*: „Mówią ludziska — poucza nas to miejscowe podanie Łotwy — że raz w nocy, trzy, w sąsiedztwie jeziora Raźna, zamieszkałe, czarownice, poleciały

[1]) Tytuł dzieła: „*Sammlung Livländischer Monumente*" tomów 10 *in folio majori*, ozdobionych tysiącznemi ilustracyami odręcznemi, odznaczającemi się wiarogodnością. Do Inflant odnoszą się tomy I, V, VII, VIII i X. Rysunek nieodżałowanej pamięci Napoleona Ordy umieszczono w tomie I, przy innych zamkach inflanckich, najwierniej przez Brotye'go akwarelą i tuszem wykonanych.

na górę wolkenberską, niesione przez potęgę zła. Z nich jedna siedziała na miotle, druga na łopacie, a trzecia na drewnianym tłuku od stępy do wytłaczania oleju. Na górze wypisały owe trzy wiedźmy na sążnistej skórze cyrograf krwią niewinną świeżo zamordowanej dzieciny, nad którą tam pastwiły się, a przez złość szatańską przyłożyły ohydną pieczęć do swego zdrożnego pisma, które na wieczne czasy do głębin jeziora wrzuciły! Skutkiem tego w nocy jezioro miało straszliwie szumieć i wydawać jęki, a owe czarownice tymczasem na górze wolkenberskiej wyprawiały z dyabłami harce".

Wspomnieliśmy już wyżej, że baśnie o zaczarowanej dziewicy, o skarbach i strzegących je psach opowiadają sobie Łotysze w okolicach wielu zamków w gubernii kurlandzkiej i ryskiej, — tańce zaś dyabłów z czarownicami oraz dokument zaczarowany przedstawiają wytwór fantazyi Łotwy, z którym w innych częściach kraju, przez szczep łotewski zamieszkanych, nie spotykamy się już nigdzie. To też na tem *charakterystycznem*, lubo niekoniecznie wdzięcznem do opracowania podaniu, osnuł Maryan M(anteuffel) balladę polską, którą, dla uzupełnienia obrazu, za pozwoleniem młodego autora tu wypisujemy:

Z szumem wichrów, nawałnicą,
Grzmotami i błyskawicą
Zleciały trzy czarownice,
W *„nadrażnieńskie"* okolice;

Zapadły za ciemnym lasem
Z łoskotem, śmiechem, hałasem,
Głośnym aż pod lasów krańce —
I poczęły dzikie tańce!

Pierwsza z nich, w rozwianej szacie,
Harcowała na łopacie,
Druga, ta około kępy,
Tańczyła z tłukiem od stępy;

Trzecia, siedząca na miotle,
Uwijała się przy kotle.
W kotle smołę gotowała,
Czary - zioła weń rzucała.

„*Raźno*“ szumi, fale płyną,
Zwolna w nocnym mroku giną,
I lekko, jak dla zabawy,
Nadbrzeżne kołyszą trawy.

W oddali, w blaskach księżyca
Jaśnieje coś, jak wieżyca,
Jaśnieją potężne wały
U szczytu piaskowej skały;

To zamek, naokół znany,
Wspaniały, obwarowany —
U „*Wolkenberga*“ on szczytu
Chmur jasnych sięga błękitu.

Czarownice zasłyszały,
Że „*Volkwin,*“ pan zamku śmiały,
Pomiędzy tłumy pogaństwa
Niesie zaczątki chrześcijaństwa.

Więc na sążnistej wnet skórze,
Śląc straszne groźby ku górze,
Piszą tajemne zaklęcia
Krwią niewinnego dziecięcia;

Śmieją się strasznie, zawzięcie,
Ohydne kładą pieczęcie...
I w „*Raźna*“ wzburzone męty
Kryją cyrograf zaklęty.

Jezioro zawrzało do dna,
Zwarła się otchłań podwodna,
Piaskowa zadrżała skała...
Powoli... cisza nastała,

I cienie nocy nie miną
A zginie rycerz z drużyną,
W miejscu zaś jego zamczyska
Czarne zostaną zwaliska!

. . . .
. . . .

Po sześciu wiekach — dziś mury
Widnieją u szczytu góry,
Zczerniałe, zielskiem porosłe,
Choć zawsze groźne, wyniosłe;

Jezioro szumi burzliwie,
Nocami jęczy straszliwie,
Bo dotąd w wód swych odmęcie
Tajemne kryje zaklęcie.

Lecz „*Wolkimbork*“ nasz, — u szczytu
Chmur jasnych, sięga błękitu;
Jak dawniej — choć bez strażnicy —
Panuje wszej okolicy.

Jaśnieje w słońcu promiennie
I przetrwał wieki niezmiennie —
Jak wiara, co z jego szczytów
Spłynęła na neofitów.

Część druga.

PIEŚŃ GMINNA ŁOTEWSKA.

Uwagi wstępne. ***1.*** *Pieśni treści ogólnej.* ***2.*** *Pieśni okolicznościowe i przygodne.* ***3.*** *Pieśni zastosowane do pewnego czasu.* ***4.*** *Pieśni zastosowane do pewnego zawodu.* ***5.*** *Pieśni zastosowane do pewnego położenia. Zakończenie.*

Większa część piosnek ludowych, z któremi obecnie szersze kółko zamierzamy zapoznać, należy do liczby tak zwanych po łotewsku „*upities sanaszas*", czyli utworzonych z drobnych nieznaczących przedmiotów, jakie znosi wiosną woda strumyka, a o których jużeśmy we wstępie do niniejszego zarysu coś napomknęli, porównywając je do kropel rosy. Dla uzupełnienia owego porównania, niech nam będzie wolno dodać jeden rys jeszcze.

Jak owe krople purpurą oblane, tylko wtedy migotliwe barwy roztaczają dokoła, gdy punkt, na którym stoimy, jest odpowiednim do światła wschodzącego słońca, tak i pieśń ludowa łotewska tylko wtenczas nabiera znaczenia i należycie ocenioną być może, gdy względem niej odpowiednie zajmiemy stanowisko, gdy się na nią z właściwego punktu widzenia zapatrywać będziemy. To też przedewszystkiem

winniśmy sobie uprzytomnić jej właściwe przeznaczenie, oraz sposób, w jaki powstała.

Są to przeważnie piosenki tak skromne i tak krótkie, że bez pewnego natężenia uwagi nic osobliwego w nich dopatrzyć nie zdołamy. Ucho nasze powinno czuć ów nastrój, w jakim pierwotnie zabrzmiały, a w jakim i po dzień dzisiejszy głos ich rozlega się wdzięcznie dokoła.

Pewne zjawisko, okoliczność, lub jakaś wybitniejsza osobistość, ściągają na siebie uwagę łotewskiego pieśniarza i wpływają na wybór wykonywanych przezeń piosenek. Skorzysta on zawsze z okoliczności i pragnąć będzie takie tylko w słuchaczach obudzać uczucia, takie tylko na nich wywierać wrażenia, jakie, śpiewając, za odpowiednie uznaje. A więc, wobec łagodnej i troskliwej macochy, nie przejdzie mu nigdy przez myśl wyśpiewywać o złych macochach, jakkolwiek ten temat i w poezyi ludowej Łotyszów nadzwyczaj często napotkać się daje.

Nie traktowalibyśmy rzeczy z właściwego jej stanowiska, zarzucając piosnkom łotewskim ubóstwo myśli, z tego tylko powodu, że są niezwykłej krótkości. Naprzód, pomimo uderzającego lakonizmu, treść ich nierównie jest bogatszą, niż to się zrazu wydaje. Myśl w nich częstokroć tylko z lekka bywa potrąconą, a słuchacz już sam winien ją dopełnić, jak to naprzykład, pomiędzy wielu innemi wykazuje następująca piosneczka:

Ach! pastuszka przeprowadzać
Nie dozwala mi matula!
A za górą psy szczekają,
Rżą bułane tam rumaki.[1])

Malują się w niej żywo uczucia dziewczęcia, wychodzącego dopiero z lat dziecinnych. Z chaty rodzicielskiej, któ

---

[1]) Oryginał łotewski obacz w „*Magazin der lettisch-literärischen Gesellschaft,*“ tom VIII, 93, (zbiór pieśni gminnych z okolic *Cyran* i *Dzerwen*, dóbr kurlandzkiej gałęzi Manteuflów).

rej nie wolno jej jeszcze opuszczać, słyszy dzieweczka wyraźnie, jak za górą psy szczekają, jak rżą tam koniska. To w dorastającem dziewczęciu obudza pierwsze, niemal bezwiedne pragnienia wzięcia choć trochę udziału w owem wesołem życiu, jakie w tej chwili przedstawia się już dosyć żywo młodziutkiej, prawie dziecinnej wyobraźni. Słuchając tej piosnki uważnie, zdawałoby się, że w niej poeta ludowy maluje granicę, co lata dziecięce od dziewiczych przedziela. Treść więc króciuchnej piosneczki, przy uważnem jej słuchaniu, nie zdaje się wcale grzeszyć ubóstwem myśli.

A potem, należy także przyznać, że niezmierna obfitość piosnek gminnych łotewskich, wynagradza niejako ich krótkość; dlatego nie można tych piosneczek rozpatrywać pojedyńczo. W życiu bowiem Łotwy, występują one tylko w śpiewie i to,—za wyłączeniem piosnek pastuszków, kołysanek i prządek *(pastorales, berceuses et chants des fileuses)* —, tylko w śpiewie ludowym chóralnym, w którym wiele ich z rzędu wykonywa się jednym ciągiem.

Godzinami całemi trwa ta rozrywka ludowa. Jedna piosnka bezustannie łączy się z drugą, aż nakoniec znużona „Tejceja,“ czyli główna pieśniarka, intonująca śpiew i prowadząca chór cały, czuje się zniewoloną ustąpić jego kierownictwa którejkolwiek ze swych licznych towarzyszek. O tym rodzaju śpiewów ludowych tak niejasne dotąd mamy wyobrażenie, że zwykle nie pojmujemy ani jego uroku, ani doniosłości, ani znaczenia.[1])

Wiele takich piosnek, wykonywanych z kolei, tworzy dopiero niejakąś całość; ta wszakże, za każdem wystąpieniem śpiewaków, odmienny przyjmuje wyraz, a często i odmienny charakter. Przedstawia się nam ona poniekąd jak

---

[1]) O tych śpiewach gminnych rozpisywaliśmy się już niejednokrotnie nietylko w pismach, jak to: *Biblioteka warszawska*, *Przegląd powszechny*, i t. d., a nawet w „*Słowniku geograficznym*“ za czasów redaktorstwa Filipa Sulimierskiego, który tego zażądał wyraźnie.

łańcuch, którego wszystkie pojedyńcze ogniwa za każdym razem inaczejby dały się z sobą powiązać, stosownie do okoliczności i usposobienia tak śpiewaków, jako i słuchaczy, którzy, pociągnięci urokiem wspólnej pieśni ludowej, stopniowo niemal wszyscy do chóru się przyłączają.

W taki to sposób śpiewy gminne łotewskie nietylko rozweselają i pocieszają lud cały, ale wywierają nań wpływ nader korzystny, rzekłbyś, rozlewają się po całej Łotwie, jak deszczyk pogodny lub ożywcza rosa, nadająca siły żywotne wszystkim ziemiom, przez szczep łotewski zamieszkałym.

Pieśń gminna tego szczepu bratniego Litwinów, jest pieśnią ludową w całem znaczeniu tego wyrazu. Wyrosła ona z serca samego ludu, a lud ten cały tak dalece zdawał się zupełnie jednakowo do jej wzrostu przyczyniać, że nawet ani jedno podanie nie przekazało nam imienia jakiegobądź łotewskiego poety. Więc słusznie o Łotwie powiedziećby można: dusza ludu jest tu pieśniarzem. Na całej przestrzeni nie znajdziesz ani jednej wsi, w którejby się pieśń nie rozlegała, w którejby nie brzmiała już to przy kądzieli, już przy innych zatrudnieniach domowych.

Lecz nietylko w chacie rozlega się wdzięcznie głos pieśni ludowej łotewskiej. Brzmi on na lądzie i wodzie, na polach i po lasach. Co więcej, rzecby można z pewnością, że w krajach przez Łotwę zamieszkałych niema lasu, łąki, jeziora, wybrzeża morskiego, gdzieby śpiew gminny słyszeć się nie dawał, jakkolwiek przy wzrastającej kulturze, pieśń ludowa częstokroć zamienianą bywa innemi, nie wiedzieć jak i przez kogo na tenże język łotewski tłómaczonemi. Głos ten jest pieśnią ludową, bo przy każdej okoliczności zespala się i zlewa z życiem ludu, przenika najzupełniej jego położenie, jego byt: jest więc najwierniejszem zwierciadłem życia ludowego na Łotwie. To też niema tam osoby, jakiegobykolwiek była stanu i charakteru, któraby nie mogła zawołać z najzupełniejszą słusznością: pieśń ta jest dla mnie stworzoną, jest moją.

Treść pieśni gminnej łotewskiej, równie bogata jak rozmaita, dla łatwiejszego zoryentowania się czytelnika, dałaby ująć się w ramy następujące:

PIEŚNI				
treści ogólnej	okolicznościowe i przygodne	zastosowane do pewnego czasu	zastosowane do pewnego zawodu	zastosowane do pewnego położenia
1. mitologiczne	1. *weselne*	1. świętojurskie	1. *pieśni pastuszków*	1. piosnki dziecinne
2. *opiewające przyrodę*	2. przy chrzcinach	2. *świętojańskie*	2. — rybaków	2. *pieśni sierot*
3. *opiewające miłość*	3. *pogrzebowe*	3. kolędowe	3. — bartników	3. pieśni wdów
4. *opiewające urok śpiewu*	4. przy szklanicy	4. zapustne	4. - żniwiarzy	4. pieśni przygniecionych ubóstwem
5. *zawierające jakiś morał ludowy*	5. szydercze		5. - rolników *a)* pieśni oraczy *b)* przy sianokosie *c)* przy wianiu i czyszczeniu zboża *d)* przy zbiorze lnu	5. pieśni zastosowane do najrozmaitszych innych położeń.
	6. żołnierskie, a raczej pożegnalne z idącymi do boju		6. pieśni piastunek	
			7. pieśni przy kądzieli i innych zatrudnieniach domowych.	

Tablica powyższa wykazuje dokładnie, jak dalece pieśń zlała się z życiem ludu łotewskiego, jak wszelkie jego położenia całkowicie objąć zdołała. Dla lepszego rzutu oka na ca-

łość, wyróżniliśmy *kursywą* pieśni w poezyi gminnej Łotyszów najliczniej przedstawione, co zaświadczy o rodzaju poetycznego nastroju tej gałęzi litewsko-łotewskiego plemienia. Praca twarda, wielowiekowa, wpływała na degeneracyę rasy; nadmierny trud fizyczny przy zależności ludowej stępił nawet uczucia. Stąd też uczucia melancholijne przeważają w pieśni łotewskiej. Weselna pieśń nawet częściej zawiera uczucie żalu za przeszłością, tęsknoty, obawy nieznanego jutra, niż prawdziwego wesela. Wszystko to dowodzi, że pieśń na Łotwie z serca ludu wyrosła.

Pieśń gminną łotewską i dlatego za prawdziwą pieśń ludową uważać należy, że nigdzie nie przekracza granic ludowego życia. Polotem myśli nie sięga nigdy do świata abstrakcyjnego, lecz porusza się wyłącznie w zakresie przedmiotów, dających się ująć lub przynajmniej widzieć wyraźnie. Niema w niej ani śladu idealnego pojmowania żywota ludzkiego. Lubo natrafiamy w niej często na poglądy prawdziwie moralne, świadczą one tylko o skłonności Łotyszów do wszystkiego, co jest szlachetne i obyczajne; nie znajdziemy wszelako ani jednego przykładu, ażeby poeta łotewski choć na chwilę podniósł się ponad poziom ludowego uczucia. W zapatrywaniu się na życie nie odróżnia się on nigdy od ogólnej masy swego ludu. Niema na Łotwie ani osobnej szkoły, ani wyłącznej kasty, którąby uprawę poezyi w swoją dłoń umiejętnie ujęła. Dla tego też żadnego postępu w pieśniarstwie dostrzedz tu nie można. We wszystkich piosnkach łotewskich tchnie jeden i tenże duch, o sztuce rymotwórczej tego szczepu mowy być wcale nie może, a chyba tylko o jego poetyckim nastroju, o niepohamowanym pociągu do wynurzania w pieśni wszystkiego, co czuje, który to pociąg wrodzony prędzej jużby można przyrównywać do tego, jaki zwykł ożywiać ptaszków śpiewających, niż do rozwiniętej sztuki.

Niema więc tu najmniejszego postępu, a na piosnkach naogół nie znać nawet ich starożytności. Za wyłączeniem kilku zupełnie przypadkowo w nich przytoczonych faktów dziejowych, żadnego znamienia o czasie ich utworzenia znaleść nie można. W niektórych jest

mowa o *żubrze*, którego wspaniałe rogi służą równocześnie za naczynie do picia i za trąby pasterskie, czyli tak zwane „*taury*.“ W innych znowu wspomniany jest *dzik*, którego prosięta do szczętu powymarzały. Ponieważ zaś oba te rodzaje zwierząt już przed wieki w krajach łotewskich wyginęły, wzmianka przeto o nich oczywistym jest dowodem dawności piosenek. Jest także w nich mowa o wojnach z Krywiczami, z Litwą, z „Krewami“ (Rosyanami) i Polską, a nawet o zaciętych walkach na morzu. Są to wszystko oznaki zewnętrzne.

Za starożytnością niektórych przemawia także ich niezmierne rozpowszechnienie. Nie jedna z nich niemal temiż samemi słowy i na tąż nutę śpiewaną bywa zarówno na zachodnich wybrzeżach kurońskiego półwyspu, jak i na najdalej na wschód wysuniętych krańcach Inflant.

Wszelako z samego ducha tych pieśni ludowych niepodobna dojść czasu, w którym utworzone zostały. Jeśliby jakiś tekst starodawny treść ich dosłowną na piśmie nam był przechował, możebyśmy w zmianach językowych pewne wskazówki zdołali odnaleść.

Ale pieśń ludowa łotewska przechodziła tylko z ust do ust, z pokolenia w pokolenie i dla tego jest pewnem, że jeżeli język pierwotny ulegał jakimbądź zmianom, ślad tego zaginął dla nas bezpowrotnie.

Nie ulega wątpliwości, iż piosnki te nie w jednym czasie zostały utworzone. Bardzo być może, że składały się na nie całe stulecia. Są one jednym ciągiem z dawien dawna płynącym produktem twórczej duszy ludu łotewskiego. Lubo niektóre noszą na sobie piętno dalekiej starożytności, nie zbywa i na takich, które nowszych sięgają czasów. I dziś jeszcze, przy różnych okolicznościach, nowe tworzą się pieśni, mniej wprawdzie wykończone, świadczące jednak wymownie o poetycznym nastroju Łotwy.

Bądź co bądź, pieśni łotewskie puściły od wieków korzenie do głębi samego ludu i żaden wpływ zewnętrzny, żadna siła obca, wyróżniająca się od masy ludu, w ich two-

rzeniu najmniejszego udziału nie miała. Jaśnieją w nich bowiem: czyn ludowy, myśl ludowa i słowa czysto ludowe.

I.

Przyjrzyjmy się naprzód piosnkom treści ogólnej. Pierwsze w nich miejsce zajmują bezwarunkowo pieśni treści *mitologicznej.*[1])

Wszystkie główne epoki aryjskich wierzeń odcisnęły swój wizerunek na tym mianowicie rodzaju piosnek gminnych Łotwy. I dzisiaj, po tysiącach lat, bawi się lud łotewski śpiewaniem prastarych mitologicznych przygód słońca i księżyca, które ongi stanowiły przedmiot wiary jego przodków. Ciała niebieskie, ubrane w formy przeważnie mityczne, wchodzą z człowiekiem w najrozmaitsze styczności.

Oto: *„Słonko“* [2]) przyśpiesza swój zachód, ażeby strudzony pracownik wcześniej mógł udać się na spoczynek, niż to jego srogiemu panu się podoba. Innym razem *„Słońce“* pozostaje dłużej za górą, bo ziębną tam małe sieroty. W czasie weselnego pochodu bożka „Perkuna“, przystraja „Słonko“ brzegi lasów, jużto w złote, już srebrne pierścienie, korony i wieńce.

W innej znów pieśni przyświeca sierocie *„Księżyc“* do pilnej roboty, bo niebodze lampy braknie. Zdobi także jej ubożuchny orszak weselny, co jedynie dlatego wyrusza nocą, że nie mogąc jaśnieć srebrem, nikogo swym widokiem zadziwić nie zdoła. Pociesza więc nowożeńców szlachetny „Księ-

---

[1]) To też wyłącznie na pieśniach mitologicznych Łotwy osnuł badacz berliński, *Wilhelm Mannhardt*, słynną swoją rozprawę *„Die lettische Sonnenmythen,“* ogłoszoną w Berlinie, w r. 1875 w powszechnie znanem czasopiśmie *„Zeitschrift für Ethnologie,“* a oprócz tego w osobnej odbitce wydanej.

[2]) Nietylko „Słońce,“ ale niemal wszystkie rzeczowniki, a nawet samo imię Boga, używane bywa u Łotwy w zdrobnieniu, zwłaszcza w ich licznych pieśniach gminnych.

życ", zlewając strumienie srebrzystego światła na pola i niwy,. któremi orszak weselny ma postępować. W samych zaś *„Gwiazdach"*, tych córach „Słońca", a synach bożka *„Wszechświata"*, odzwierciedla się, wedle wieszczów łotewskich, cały żywot człowieczy. Obchodzą i „Gwiazdy" swoje wesela, a *„Diews"* (Bóg, lecz jak słusznie zauważył przytaczany przez nas Mannhardt, wcale nie Bóg izraelski, chrześcijański, ale raczej Bóg przyrody, taki, jakim go sobie wyobrażały ludy pierwotne, Bóg, schodzący niekiedy na równy stopień z ciałami natury, ożywionemi duchem i wolą, zawsze jednak osobisty, wszechmocny), Bóg wszechświata, *Saule*, czyli słońce, ulubiona córa Boża (słońce po łotewsku jest rodzaju żeńskiego), *Mieniesis* (księżyc), *Perkuns* (piorun) i *Łajmie* (bogini szczęścia), biorą udział w owych niebiańskich uroczystościach, nadając onym nierównie więcej blasku, niż zdoła go nadać ziemskim obchodom weselnym, chociażby i najmożniejszy śmiertelnik.

Jedna z tych pieśni tak maluje wspaniałość Boską:

Spotkałem na drodze
Bożego konika;
Przez siodło wschodziło „Słońce,"
Przez wędzidło „Księżyc";
A u cugli na końcu
Drżała „Gwiazda poranna."

Inna tak opiewa niewymowną dobroć i względność *„Boga Wszechświata"*, którego przejazd spokojny stanowi istne przeciwieństwo z hucznym a imponującym przejazdem, gnębiących Łotwę Krzyżaków:

Cicho, cicho jechał Bóg
Przez góry i doliny;
Nie zadrżało przed Nim
Ani żyto w kwiecie,
Ani koń oracza.

Zmiany „Księżyca" opisują w sposób niemniej wzniosły piosenki ludowe łotewskie, przytaczane przez Mannhardta

ze zbiorku pieśni gminnych, nagromadzonych przez Łotysza, Jana Sprogisa (Wilno, 1868 r. w języku rosyjskim):

„Księżyc“ pojął „Słońce“
Za żonę, pierwszej wiosny.
„Słońce“ wstało rano,
„Księżyc“ się oddalił.

„Księżyc” chodził samotny,
Zakochał się w rannej „Gwiaździe“,
Więc i „Perkun“ w srogim gniewie
Mieczem go rozrąbał.

Czemużeś „Słońce“ opuścił,
Pocoś się w „Gwiaździe“ zakochał,
Samotny chodził po nocy?
— Serce jest pełne smutku.

Albo ta druga:

„Księżyc“ liczy wszystkie „Gwiazdy“
Złote, na całem niebie,
Wszystkie wystąpiły jasno
Braknie jeno „Gwiazdy rannej.“

„Gwiazda ranna“ pojechała
Na słoneczną drogę,
Stara się o córę „Słońca“,
„Perkun“ zaś prowadzi pochód.

Po przed bramą, jabłoń—drzewo
Tnie on w szybkim biegu,
I trzy lata płacze „Słońce“,
Gałązki zbierając złote!

Nie powtarzając za Mannhardtem kilkunastu innych, równie poetycznych piosnek mitologicznych łotewskich, (znanych zresztą czytelnikom polskim z pracy „*Nad Niemnem i nad Bałtykiem*“ Konstancyi Skirmunttówny)—ograniczymy się na przytoczeniu dosłownem kilku pieśni tejże treści ze zbioru Łotwy, do Litwy najbardziej zbliżonej:

1. (100) [1]

„Parkyuniejsza“ laudawienia
Aukszy wîn ducynowa!
Ni jaj miêrka załta kurpies,
Ni sudobra siedzinienia.

U „Perkuna“ tam z wysoka
Miota luba groźnym grzmotem!
Jej obuwia deszcz nie zmoczy,
Te bo złote—ani szaty,
Bo jest srebrną.

2. (102).

Kas gryb skajstas laudawienieś
Łaj joj jyura maleniâ;
Ti „Saulejties“ diw miejtinieś,
Tresza skajsta kołpyuniejtie.

Kto chce piękną mieć bohdankę,
Niech czwałuje brzegiem morza;
Tam dwie córy są u „Słońca“,
Trzecia śliczna ich służąca!

A tu piosnka jeszcze bardziej charakterystyczna:

3. (101).

„Łab rejtień“ rejtieniâ,
„Łab wokor“ wokorâ.
Rejtâ agry *Saule* lacie,
Wokorâ *Mieniestieńsz*.
Ausieklańsz agry lacie
Saulis miejtys grybadams
Lać *Saule* posza agry,
Na dud' miejtys *Ausiekłam!*

„Dzień dobry“ mówimy rano,
„Dobry wieczór“ zaś wieczorem.
Wcześnie *Słonko* wschodzi rano,
W wieczór *Księżyc* po za borem .
Przedświt w lecie wcześnie wstaje,
Pragnąc *Słońca* córę uwieśc.
Słońce! wschodź no raniej samo,
Nie daj córy *Przedświtowi!* [2]

Ale nie same tylko ciała niebieskie czciła niegdyś pogańska Łotwa. Jezuita Rostowski opisuje, że w Inflantach zbierały się za jego czasów na *nabożeństwo ta-*

---

[1]) Cyfra, umieszczona w nawiasie, oznacza numer pieśni w zbiorze ogłoszonym w tomie XIV znanego czasopisma: „*Magazin der lettisch-literärischen Gesellschaft*“ (Mitawa, 1869 r.), na str. 162—206 pod tytułem: „Lettische Volkslieder gesammelt in der Gegend von Kraslaw *im Dünaburgschen* von Comtesse Celine Plater und in der Gegend von Dritzau und Taunag *im Rositenschen* von Baron Gustav Manteuffel. Zbiór ten wyszedł także w osobnej odbitce, nakładem N. Kymmla w Rydze.

[2]) Jak z całego dotąd przytoczonego szeregu piosnek widzimy, antropomorfoza słońca i innych ciał niebieskich nie jest wcale rzadkością w pieśniach gminnych łotewskich, treści mitologicznej, a ciała niebieskie częstokroć występują w dialogach, jako blizko ze sobą spokrewnione. Pokrewieństwo to jednak nie jest ustalone.

jemne niewiasty około lipy, mężczyźni zaś około dębu.[1]) Stwierdza to najzupełniej zbiór pieśni gminnych p. Celiny Platerówny i nasz, oddający w pracy niniejszej bezustanne usługi. Jedną z nich przytaczamy w oryginale, gdyż dowodzi ona dokładnie, że według dawnych pojęć Łotwy naszej, dusze ludzkie z mogił przechodziły w drzewa, co właśnie do czci drzew zniewalało:

4. (5).

Meś biejom trejs mosienias,	Było wszystkich nas trzy siostry,
Mani treszas nairedzieja;	Trzecią mnie znienawidzili;
Iświż mani upiejtâ,	Mnie wrzucili do strumyka,
Tiej upiejta nanasdama	Ale strumyk mię nie przyjął,
Iświż mani azarâ;	Do jeziora mię wrzucili;
Tys azars nanasdams	Lecz jezioro nie przyjęło,
Iświż mani Dangowâ;	Więc do Dźwiny mię wrzucili;
Tiej Dangowa nanasdama	Mnie i Dźwina nie przyjęła,
Iświż mani jyureniôs;	Więc do morza mię wrzucili;
Tos jyurenies nanasdamys	A i morze nie przyjęło,
Iz syt putu gobołu!	Wyrzuciło w kształcie piany!
Ti izanga kupła lîpa;	Tu wyrosła bujna lipa,
Na ti bieja kupła lîpa	To nie była bujna lipa
Ti bie *dorga dweselejta!*	To *duszyczka droga* była!
Ti bie *muna dweselejta!*	To *duszyczka moja* była!

Przechodzimy do piosnek, opiewających *przyrodę*.

Różnorodność tak mało dotąd znanej poezyi ludowej łotewskiej najbardziej winna zastanowić przez ową wielostronność, z jaką piękności ziemi rodzimej opiewa, zwłaszcza, że ziemie, przez szczep łotewski zamieszkałe, zgoła nie obfitują w piękność, której też uczeni krajoznawcy niemal nigdy na Łotwie nie mogli dopatrzyć.

Tymczasem niema znaczniejszej góry, rzeki, jeziora; niema zwierzęcia, niema ptaka, drzewa, krzewu, kwiatu; nie-

---

[1]) *Rostowski* „Lit. Soc. Jezu histor. libri decem“ na nowo wydane przez Jana Martynowa, w Paryżu, w r. 1877. O owych *nabożeństwach tajemnych* jest mowa na str. 254.

ma wogóle żadnego stworzenia, któregoby poeta ludowy łotewski ze stosunkami lub okolicznościami żywota człowieczego w jakibądź sposób nie sprzęgał. •

Pszczoły, mrówki, żuki, płazy, a nawet ryby, ukrywające się przed wzrokiem ludzkim w głębiach rzek i strumyków, jeziór i morza—nie uszły baczności łotewskich pieśniarzy; śledząc za ich właściwościami, umieli je dziwnie zręcznie zużytkować. Ilekroć w zwierzęciu lub ptaku jakąś właściwość dostrzegli, która im człowieka w czemkolwiekbądź może przypominać, tworzą z niej zawsze obraz trafny.

Łotysz samotnik najchętniej za towarzyszów sobie wybiera wiekowe dęby, wiązy, jesiony i klony. Wszystkie zresztą drzewa leśne czują z nim razem, cieszą się i smucą. Ptactwo służy mu, jakoby żywi ludzie. Kuropatwa uprawia pole sieroty, bo tego pola już nikt nie przyjdzie wyorać; jarząbek staje się w lesie uprzejmym przewodnikiem młodej mężatki, podczas, gdy pierwszy raz odwiedza miejsce rodzinne; dzika kaczka zbiera rosę z murawy, by gość tak pożądany nóżek sobie nie zmoczył.

A jakże liczne zajęcia przypadają w udziale powszechnie opiewanemu słowikowi! On to jest wybranym przyjacielem i powiernikiem sieroty, on poufnym pomocnikiem kochającej i kochanej pasterki, on nauczycielem śpiewu. Natomiast sikorka, ta ulubiona wróżka Łotyszów, sprawia miłe poselstwa, kruk zaś, jako ptak nieczuły i niemiłosierny, chętnie złe wieści przynosi. *Matka lasów* (słowo „matka“ wielką odgrywa rolę w mitologii łotewskiej) obdarza ptaszęta odpowiedniemi imionami ludzkiemi: słomkę nazywa ona *Małgosią*, jarząbka *Marylkiem*, przepiórkę *Magdusią*.

Matka morza częstokroć opuszcza starych rybaków, a, przystąpiwszy do młodych, wywiaduje się troskliwie, co też oni porabiają, czem się przeważnie trudnią? *Matka pszczół* (patronka bartnictwa) śledzi pilnie za bartnikami. *Matka wiatru*, wraz z wierną jodłą i jej bratem świerkiem, zajmuje się szczerze kołysaniem do snu młodych wiewióreczek, które jeszcze gniazdka rodzicielskiego nie miały siły opuścić.

Ponurą *„matkę grobów“* hojnie darami obsypują Łotysze, aby nad ich zmarłymi współbraćmi opiekę rozciągnąć raczyła.[1])

Nietylko zwierzęta i ptaki, ale i przedmioty martwe mową obdarza pieśń gminna łotewska. Zgon poczciwej starej gosposi opłakują równie wymownie, jak rzewnie płoty i ogrodzenia zabudowań wiejskich, plecione na Łotwie z chrustu, pomiędzy kółkami, wbitemi w ziemię.

Gdy późno w wieczór mgły ponad strumykiem zdają się lekko unosić, pieśń łotewska ludowa głosi, że to dzika kaczka opala łaźnię, by kąpać swe dziatki.

Ma się rozumieć, że i słynna skała naddźwińska *„Stabbu-Rags,“* którą już eśmy w pierwszej części niniejszego zarysu przy podaniach Łotwy dokładniej opisać usiłowali, — wywołała w duszy pieśniarzy tego szczepu długi szereg piosenek. Z tych ostatnich przytaczamy tu jedenaście, w udatnym a niemal dosłownym przekładzie pani E (mmy) B (enisławskiej), z Tomu VI *„Przeglądu Powszechnego“* (str. 206).

W poranne mgły otulony
„Róg Słupi“ jęczy żałośnie,
Słonko wyjrzy z niebios łona,
A „Słup“ odżyje radośnie.

„Róg“, zdobny w koronki, słyszy,
Jak mówią o nim książęta:
„Prządka tam przędzie w tej ciszy
Jedwab' na chusty od święta.“

Powiedz dziewczę, skąd tak cienkie
Są koronki te skaliste?
— „Słupi Róg“ prządł jedwab miękki,
Skręcał nici zdrój przejrzysty!“

Mateczka Rogu Słupiego
Tęczowe nici zwijała,
Nićmi jedwabiu lśniącego
Chustkę sobie haftowała.

---

[1]) Obacz: *Visitationes Livonicarum ecclesiarum Anno 1613-mo facta.* Obacz także *E. Wolter* str. 378.

Daj mi jedwabną chusteczkę,
Mateczko „Rogu Słupiego,“
Dałaś nadobną córeczkę,
Daj pokrycie łoża mego.

„Słupi Rogu“ o czem dumasz,
Zdobiąc czoło w mgły zawoje?
Wyjdź na słońce, spójrz dokoła,
Co robią oracze twoi.

„Słupi Rogu“ chcę chusteczki,
Do ciebie prośbę zanoszę,
Tkaczka zwinie wnet niteczki,
Daj chusteczkę, daj mi proszę!

Twe pola „Rogu“ ze skały,
Oracz wyrobić pośpiesza,
Kosz do siewby złoty cały
Na srebrnym kółku zawiesza.

„Rogu!“ twoją ziemię czarną
Włościanie już uprawili,
Rzucili w nią srebrne ziarno
I pańszczyznę odrobili.

Matko! oddasz mię mężowi,
Oddaj, komu twoja wola,
Byle nie „Rogu“ synowi,
Bo nad nim ciąży zła dola.

Czemuż wy dziewczęta skały,
Jasnych barw nie macie w stroju?
— „Nasze stroje mgły utkały,
A opięły wody zdroju.“

Zwrotki powyższe czyż nie są oczywistym dowodem, że ta wspaniała skała, której wierną podobiznę tu podajemy (obacz fig. 3), niegdyś własną posiadać musiała mitologię? *Matka* tej skały ma synów i córki, ma własnych oraczy i robotników, posiada srebrne kółka i złote narzędzia rolnicze, a dawniejsi włościanie rozległych po-Hylzenowskich [1]) dóbr

---

[1]) W kościele rzymsko-katolickim w *Oliwie* — (pod Gdańskiem) odszukaliśmy pomnik magnata — *Jerzego Konstantego Hylzena*, — wspaniale, z żółtawego marmuru wykonany. Składają go: obelisk,

Stabiten w pieśniach gminnych łotewskich noszą stale nazwę „*synów Słupiego Rogu.*“



Skała płacząca „*Stabbu Rags.*“ (fig. 3).

---

ozdobiony herbem Hylzenów, oraz cokuł obszerny, na którym spoczywa obelisk. Po nad cokułem wystaje bogato rzeźbiona konsola, a na niej popiersie zmarłego. Napis na grobowcu objaśnia: Hic jacet in spem resurrectionis *Georgius Constantinus de Hülsen* (n. A-no 1673 † 1737) Dominus haeres bonorum Dageten, *Stabiten*, Essen, Bukhof etc., Camerarius Regis Poloniae, Margenhausensis Capitaneus etc. etc.

Jeśli do powyższych śladów mitologicznych dodamy podanie łotewskie, wedle którego ongi trzech mężów napiło się wody ze zdroju krynicy i usnęli snem głębokim, z którego zaledwie przebudzić się zdołali, albo to drugie: widzieli razu jednego rybacy kozła śnieżnej białości, wyskakującego ze skały, a którego pochłonęła w ciemnych swych nurtach potężna Dźwina, — niepodobna już wątpić, że cudowna masa skalista, nosząca obecnie nazwę „Słupiego Rogu,“ posiadała niegdyś jakąś tajemniczą siłę niemałego znaczenia, o której i dzisiaj z pewnością więcej by się dało powiedzieć, jeśliby Łotysze, nie ukrywali tak starannie swych wierzeń ludowych, a przynajmniej nie wstydzili się odsłonić przed nami owej częstokroć nader ciekawej mądrości, jaką włościanki objawiają przy kądzieli, a która zwłaszcza w ciągu długich wieczorów jesiennych stanowi istną rozkosz izb wiejskich.

Jeślibyśmy chcieli wyliczać wszystkie stosunki i okoliczności, w jakie poeta łotewski umie siebie postawić względem otaczającej go przyrody, musielibyśmy zaiste tysiące pieśni przytaczać.

Z kolei ze zbioru naszego podajemy kilka piosnek Łotwy, *opiewających miłość.* Zwyczajem naszym umieszczamy obok wiernego przekładu rytmicznego, także i oryginał łotewski, przypominając czytelnikowi, iż liczba w nawiasie oznacza numer pieśni łotewskich w przytaczanym już tomie XIV-tym dzieła *Magazin der lettisch-literärischen Gesellschaft.*

1. (74).

Ar pukiejtiom łajwu dzynu Prettim sowaj laudawieniaj; Łaj it muna laudawienia Kaj pukiejtie zidodama.	Do mej lubej pędzę łódką, Kwiateczkami przepełnioną; Wstąp do łódki, moja miła, Kwitnąc szczęściem, jak kwiateczek

Rykсznim bierejti pałajżu
Wyss garom syła mołom,
Kab mań sowu laudawieni
Słowu rast' na gulejuszy.

Tieć, tieć kumieleń,
Da tam syła krudzieniam!
Tiewi gajda auzu sile,
Mani jauna laudawienia!

2. (77).

Czwałem pędzę ciebie, gniady,
Tam wzdłuż boru, brzegiem jego,
By dziś ujrzeć mą bohdankę
I ją zastać, zanim zaśnie.

Pędź rumaku, pędź co siła
Do karczemki białej w borze!
Ciebie czeka owsa żłobek,
Mnie zaś młoda luba czeka!

Żâł mań bie, żâł mań bie,
Wajrok żâł padareja;
Pati zîda łajcieniâ
Nujam munu wajniucieni!

3. (61).

Cierpiałam srodze, cierpiałam wiele,
Jeszcze mój żal powiększono;
Bo w samym kwiecie mojej młodości
Zdjęto mój wieniec dziewiczy!

Tymsa, tymsa tiej naksnienia,
Eś tos tymsas na badowu,
Ira munam kumieleniam
Zwajgznin diekis mogorâ!

Apkaustieju kumieleniu
Ar tarauda pokowom,
Tys łab bieja nakti jôt,
Guni szkiâla iz akmienia!

4. (99).

Ciemna, groźna noc w podróży,
Ale dbałem o nią mało,
Gdyż pokrycie mego konia
Z gwiazd utkane przyświecało!

O kamienie bystronogi,
Dotykając ledwie ziemi,
Krzesił ogień pośród drogi
Podkowami stalowemi!

Atoli w nieprzebranem mnóstwie pieśni gminnych łotewskich, niepoślednią mają wartość i te, z których daje się utworzyć osobna grupa, w jakiej każda piosneczka zawiera pewien *morał ludowy*.

Pieśni tej grupy tak są naturalne, tak czysto łotewskie, a tak starożytne, że trudno w nich nawet dopatrzyć błogosławionego wpływu chrześcijaństwa, tkwiącego zresztą bardzo głęboko w tym bratnim szczepie Litwy, który właśnie z tego względu przez niektórych etnografów bywa porównywany do słynnych z pobożności Żmujdzinów. Zniewoleni raczej jesteśmy przypisać zalety tych piosnek wrodzonemu poczuciu moralnemu, które jeszcze z czasów pogaństwa w całem

plemieniu *litewsko-łotewskiem* istnieć musiało, lubo przez dawnych kronikarzy nie zawsze dostrzeżone.

Trudno zaprzeczyć, że niepodobna lepiej uzasadnić obowiązku dobrego sąsiedzkiego pożycia, niż go określa pieśń gminna z okolic dóbr Kabillen temi kilku słowy:

1.

Nigdym się nie poróżniła z sąsiadem;
Po drożdże do sąsiada biegam,
Do sąsiada i po ogień[1])

Jakie to trafne. Wszak drożdże i ogień—chleb i ogrzanie mieszkania—stanowią pierwsze i najbardziej nieodzowne warunki życia ludzkiego. Na chętnem wyręczaniu wzajemnem w potrzebach opiera więc piosnka ludowa Łotwy prawdziwą, a niczem niezamąconą zgodę sąsiedzką.

Niemniej trafnym i głębokim jest morał, zawarty w innej piosence tejże grupy, który poniekąd stanowi pewien rodzaj komentarza do czwartego przykazania Boskiego, jakie u Łotyszów, nawet za czasów pogańskich dosyć ściśle musiało być zachowywane. Piosnkę tę podaję w dosłownym przekładzie:

2.

Dopierom w drodze żal srogi uczuła,
Żem matce czulej rąk nie uścisnęła!
Niegdyś, gdym jeszcze leżała w kolebce,
Do niej to jednej wyciągałam ręce.[2])

Są to oczywiście słowa panny młodej, dążącej do domu nowozaślubionego małżonka, a bolejącej nad tem, że, śpiesząc zbyt pochopnie za swym lubym, niedość tkliwie z własną pożegnała się matką.

---

[1]) Obacz oryginał łotewski w „Magazin der lettisch-liter. Gesellschaft,“ Tom VIII, str. 159.

[2]) Obacz tamże Tom VIII, str. 226.

Tego rodzaju delikatności uczuć rodzinnych tysiączne w pieśniach gminnych Łotwy napotykamy przykłady. Oto do wozu, w którym wywożą zwłoki syna, niema się w żadnym razie zaprzęgać konia białego; oko bowiem matczyne — są słowa pieśni—goniąc pomimowolnie za żałobnym orszakiem, dłużejby białego konia dostrzegało. Braciom rodzonym, odjeżdżającym konno z domu nowozaślubionych — tak głosi pieśń inna — nie godzi się dąć w „taury" (rodzaj rogu w kształcie trąby), by pozostającej tam siostrze nie przedłużać bolesnej chwili rozstawania się z własną rodziną.

Lubo powyższe rysy poniekąd graniczą już z czułostkowością, przemawiają wszakże bezwarunkowo i za wrodzoną delikatnością uczuć szczepu łotewskiego, a tej nie wszyscy etnografowie Łotyszów dopatrzyć u nich zdołali, co wszakże tylko temu przypisać należy, że lud ten w ciągu wielu wieków uciskany, wolał oczywiście uchodzić za tępy i nieczuły, niż być zrozumianym przez obcych.

Obyczajność i skromność kobieca niekiedy bywa posuwaną do najwyższego stopnia, gdy naprzykład dziewczę łotewskie nie dozwala zaznajomić ze swoim imieniem starających się o jej rękę, jakkolwiek konkurenci już za samo wyjawienie imienia dziewczyny znaczne jej braciom ofiarowują dary, albo znowu, gdy śliczna piwowarka, poleciwszy zaprosić nadobnych młodzieńców na piwo, wcale się nie pokazuje gościom, a po ich odjeździe wyśpiewuje sobie wesoło:

3.

Ci wypili słodkie piwko,
Lecz mię samej nie zoczyli,
Czy też młodą, czy też piękną
Jest uprzejma piwowarka?[1])

Małżeństwo pomiędzy bliskimi krewnymi razi poetyckie

[1]) Obacz wiersz oryginalny łotewski w zbiorze pieśni gminnych z okolic *Mezoten*, dóbr kurlandzkiej gałęzi książąt Liewenów w powiecie bowskim, ogłoszony w „*Magazin d. lettisch-liter. Gesellschaft*" Tom VIII, str. 124.

uczucia szczepu łotewskiego. Widząc siebie samą wyłącznym celem zalotów młodego krewniaka, woła urażone dziewczę z prawdziwą zgrozą:

4.

Rzucam mój pierścień w gąszcz płaczącej łozy,
Wianek na trzcinie zielonej zawieszam,
A sama nurząc się w głębiach jeziora
Przyłączyć się pragnę do dzikich kacząt.
Stokroć mi lepiej być *dziką*
Kaczką, niźli lubą brata.[1])

W języku łotewskim dzika kaczka nazywa się „raudu-wie", a płacze „raudy," wynika więc stąd oczywiście gra słów nie łatwa do oddania w innym języku. Bratem zaś zwykł mianować Łotysz w poezyach swoich brata stryjecznego lub ciotecznego, ilekroć przytem nie dodaje przymiotników „rodzony" lub „właściwy," a raczej „własny."

Daje nam nie mniej charakterystyczny rzut oka na pożycie rodzinne Łotyszów krótka pieśń gminna, w której młodziutka wdowa wyznaje przed swą matką, że „jej tak wcześnie opłakiwany towarzysz życia, ilekroć po całodziennym znoju wracał do chaty, zawsze rozbierał się tylko po ciemku, by krzesaniem ognia nie przerywać snu żony.[2])

Liczne przykłady i tego rodzaju delikatności dałyby się z piosnek gminnych Łotwy wielokrotnie przytoczyć. Kończąc rozdział niniejszy, nie możemy pominąć jednej z najpiękniejszych pieśni ludowych łotewskich, do tejże grupy należącej, bo zawiera morał prawdziwie piękny. Niektórzy nowsi badacze przypisują jej autorstwo księdzu Michałowi

---

[1]) Porównaj oryginał łotewski w wydanym w Lipsku w latach 1874/75 „Zbiorze pieśni Łotyszów" *A. Bielensteina*, na uczczenie 50-letniej rocznicy założenia Towarzystwa, L. L. G. Tom II, str. 269.

[2]) Obacz zbiór pieśni gminnych z dawnych dóbr po-Zyberkowskich w okolicy *Kuldygi*, (Goldyngi) w „*Magazin der lettisch.-liter. Ges.*" Tom VIII, str. 80.

Rothowi. Nie podzielamy tego zdania, gdyż pieśń ta oczywiście o kilka stuleci wcześniej utworzoną być musiała. Tak jest naturalną, tak czysto łotewską, że nie wszyscy zdołali w niej dopatrzyć błogosławionego wpływu chrześcijaństwa, tkwiącego zresztą bardzo głęboko w tej gałęzi szczepu łotewskiego. Podajemy ją w oryginale wraz z przekładem możliwie wiernym czcigodnej współpracowniczki naszej, Pani E. B(enisławskiej).

5.

„Putnień! łâjka sołtas zimas
Kur ir tows pierekliś?“
— Zam Dabbassym, zam Dabbas-
[sym!
Ir gon wiel kods kaktieńsz,
koda syłta witienia
Iksz grumbom,
Iksz szkierbom!
Tur tajsu pierekleni
Wyssułoboku witieni
Zam Dabbassym!

„Putnień! kad jan płyks ir tiejrums
Kur tod ir tows barûklis?“
—Iksz Dîwa rûkas, iksz Dîwa rûkas
Ir gon wiel kods gryu-
[dieńsz
Koda moza udzienia
Pi cieleniom
Pi stydzieniom!
Tur atrûnu siew barûkli
Bet atrûnu, taj woj szaj,
Iksz Dîwa rûkas.

„Putnień! kad jan saudy zory
Kur tod ir tows barûklis?“
—Iksz sirdi dziluma, iksz sirdi dzi-
[luma!
Gul tur dandż wiel dziśmieniu,
Dandż na izpłaukuszu zîdieniu
Sirdies kłusâ dybynâ!
Atnok drejż pawassarenia,

„Ptaszku! gdy się zima sroży,
Gdzie budujesz gniazdko twoje?“
— Znajdę sobie kącik Boży,

Gdzie skrzydełka spoczną moje.
Jest nie jedno załamanie.
Jest szczelinka lub fałdeczka
W drzewie, w murze, w starej ścianie!
A ten kącik Nieba dały
By się rozgrzał ptaszek mały.

„Ptaszku! gdy już nagie pola,
Gdzie też pokarm znajdziesz sobie?“
— Boża łaska, Boża wola
Zeszlą pomoc w ciężkiej dobie!

Pośród śniegów i zamieci
Dróżka się nie jedna wije;
Tam jagódka nieraz świeci,
Ziarnko się nie jedno kryje.
Z Bożej ręki okruszyny
Pożywieniem są ptaszyny.

„Ptaszku! gdzie piosenka twoja,
Gdy ostatni liść opadnie?“
—Obumarła piosnka moja,

Leży cicha w sercu, na dnie,
Wiele pączków przy niej drzemie
Aż gdy wiosna znowu błyśnie
Nowe życie pączki przejmie,

Atsadziejwynoj dziśmienia Diwu tiejc nu sirdś dziluma Diwam dzîd nu sirdś dzi- [luma![1])	Nowa piosnka z nich wytryśnie I ku Panu wzleci swemu Cześć i dzięki nucąc Jemu!

II.

Uwagami o pieśniach okolicznościowych i przygodnych Łotwy dałaby się nie jedna księga zapełnić, a czytałaby się ona z wielkiem zajęciem, z niemniejszą przyjemnością i z prawdziwą nieraz korzyścią dla nowej nauki folkloru. Wspomnieliśmy już w uwagach wstępnych, że w pieśni gminnej łotewskiej przeważają uczucia melancholijne. Nawet *pieśń weselna*, od której rozdział niniejszy rozpoczynamy, najczęściej wyraża uczucia żalu za przyszłością, tęsknoty, obawy nieznanego jutra. Według opowiadania starych włościanek w gminie *Prelskiej*[2]), śpiewano za czasów ich młodości pieśń weselną, w której wyraźne były wspomnienia porywania panny młodej.

Ale i następna, bardzo ładna piosnka, dosyć jeszcze rysów tego prastarego zwyczaju zawiera. Podajemy ją w całości ze zbioru pana *E. Woltera*, docenta wszechnicy petersburskiej,[3]), jako próbkę rzadko spotykanej dłuższej pieśni weselnej u tej gałęzi Łotwy. Początek przypomina znaną i ludu polskiego dumkę o tem, jak matka każe synom doganiać porwaną siostrę:

---

[1]) Obacz pracę naszą „*Księstwo inflanckie XVII i XVIII stulecia.*“ Kraków 1897 r., a mianowicie stronicę 20 i 21, obacz także „*Przegląd Powszechny*“, tom 53, stronica 43 i 44, w przypisku.

[2]) Dobra *Prele*, w powiecie dyneburskim, od r. 1568 do r. 1870 stanowiły własność dziedziczną polskiej gałęzi Borchów.

[3]) Tytuł zbioru: „Materyały do etnografii plemienia (czytaj szczepu) łotewskiego gubernii Witebskiej. Petersburg, 1890 r. str. XIV i 385 w 8-ce. Zbiór wydany po rossyjsku (Obacz str. 158).

1.

Wallâ durys, wallâ łúgi

Na dzierd mosas mołtywiê.[1]

—„Ej, mamień, pazawier
Kû dor myusu malejenia?“
Atît motie raudodama

Assarenias słauciejdama:

—„Celities brolelenì,
Aunitie zôbokus
Sodłojot kumelenius
Dzienitieś symt jyudr
Mosienias danôciet“

Symtu jyudzu galeniâ
Dudoj picy dudmanîszy.
—„Jyus mîli dudmanîszy
Kopeć jyus dfidojot?“
Taj mosaj dudojom

Kuru szûnakt caury wiedia;

Bołtu-zyła wiłnôniejtie

Sorkon-rûżu wajniucieńsz.

—„Josim broli utru symtu

Moż mosieniu danôksim.“

Utra symta galeniâ

Spielaj picy szpilmanîszy

W domu okna rozwarte i drzwi [otworzone,
Nie słychać siostry w izbie, gdzie [żarna złożone.
—„Idź, matulu, idź zobacz,
Gdzie żarniarka nasza?“
Wraca matka, łzy lejąc, mówi: ach! [wstawajcie,
Braciszkowie, wstawajcie i buty [wdziewajcie,
Siodłajcie konie,
Pędźcie!...
Sto mil gdy zrobicie,
Siostrę waszą dogonić
Może potraficie!

Pędzą bracia...
Mil sto gdy już ujechali,
Widzą pięciu dudziarzy
Co na dudach grali.
„Powiedzcie nam dudziarze, wy [dudziarze mili,
Co wy tam wygrywacie? dla ko- [go gra wasza?“
Gramy tej, co ją w nocy tędy pro- [wadzili,
W biało-modrej okrywie, w wieńcu [z róż na głowie,
—„Jedźmy bracia, a mil sto dru- [gich gdy zrobimy,
Siostrę naszą dogonić może po- [trafimy.

Pędzą. A gdy sto drugich mil już [ujechali,
Ujrzeli muzykantów pięciu, którzy [grali.

[1]) Izba żarnowa (mołtywie), odpowiada mniej więcej komorze włościanina polskiego. W pieśniach Łotwy, — zupełnie jak w pieśniach litewskich, głównem zajęciem córki gospodarskiej jest dawne, dziś już mało znane mielenie na żarnach, a ona sama zwie się *malejenia* t. j. „żarniarką,“

—„Jyus miły szpilmaniszy

Peć kô jyus spielejst?“

— Taj mosieniaj spielejom
Kuru szunakt caury wiedia;
—„Josim, broli, treszu symtu

Moż mosieniu danôksim.“

Tresza symta galeniâ

Doncoj symts dzałtoniszu.

—„Jyus miłas dzałtoniszas
Kopeć jyus doncojot?“
— Taj mosaj doncojom,
Kuru szunakt caury wiedia;
—„Lejnam, broli, ustobâ
Meś mosieniu paziejsim!“

— Łab rejtień myus mosienia,
Isi ar mums atpakal?
— „Ejtie ar Diwu broleleni

Na iszu eś atpakal,
Patiejk mań szej ziemiejtie,
Szos ziemiejties orojeńsz!
Ejtie ar Diwu broleleni
Pasokot mamieniaj
Łaj jej mani na raudoj.
Nugoju eś pawassar
Kad jyudińsz nuzaskręja,

Kad kucieni sałopoja!“

—„Powiedzcie muzykanci, muzykan-
[ci mili,
Komu gracie? co mówić chcecie
[w śpiewnej mowie?“
— Gramy tej, co ją w nocy
Tędy prowadzili.
— „Pędźmy bracia, a mil sto jeszcze
[gdy zrobimy,
Siostrę naszą dogonić może po-
[trafimy.“

Pędzą. A gdy ostatnich sto mil się
[skończyły,
Ujrzeli pięknych dziewic sto, które
[tańczyły.
— „O śliczne złotowłose,
Dla kogo tańczycie?“
— Dla siostry, którą tutaj
Przywiedli o świcie.
Śpieszmy bracia do izby,
Siostrę wszak poznamy!“

Dzień dobry, jedziesz z nami?
Matce cię oddamy!
—„Wracajcie z Bogiem bracia; nie
[jadę ja z wami,
Nie jadę; ta kraina mi się spodobała
I oracza tej ziemi jużem pokochała.
Wracajcie z Bogiem bracia!
Powiedzcie matuli,
Niechaj po mnie nie płacze,
Niech żal swój utuli,
Dziś na nic już płacze!
Odeszłam z domu, drzewa gdy kwi-
[tły już przecie
I wody już spłynęły i wiosna na
[świecie!“

(Liczne „waryanty“ tejże pieśni starodawnej posiada w swych *zbiorach rękopismiennych* Dr. A. Bielenstein).

Na stronicy następnej tegoż dzieła przytacza docent Wolter z rękopisu niejakiego Zykusa *pieśń litewską podobnejże treści*, ciekawą zaś z tego względu, że dziewczynę uwieźli

krzyżacy (kryżokei); pochodzi ona z *powiatu Trockiego* i poczyna się od słów:

„Atsikėlė monitėlė gaidelem negiedant,
Ir rado weja iszmindż ota Kryżaiwu bula" i t. d. (str. 162).

Śladów porywania dziewcząt dopatrzyć jeszcze można u Łotwy w pieśniowych wzmiankach o mieczu, oraz w dawnych obrzędach weselnych, gdzie według *Pawła Einhorna* miecz naprawdę występował. W innych okolicach, np. w Małorosyi, brat lub bracia młodej trzymają i dzisiaj jeszcze przez cały czas uczty weselnej pałki (zwane strzelbami) lub szable. Oczywiście prastary to zwyczaj, wiążący się z powszechnym niegdyś porywaniem dziewicy.[1])

Wspomnienie o „złydniach" (*launas deenas*) — owem lichu domowem nietylko oddalonych od Łotwy Małorosów, ale i sąsiadujących z nimi Białorusów—znachodzimy także w weselnej piosnce łotewskiej, spisanej przed kilkoma laty w dawnej Ziemi Piltyńskiej:

2.

Certet skaugi pujszym	Porąbajcie nieżyczliwych
Certet *launu deenu!*	A odwróćcie *złydni!*

Ciekawem jest, że u Łotwy inflanckiej, jako o przeciwieństwie do „*złych dni*", spotykamy w piosnkach weselnych „*lekkie dni*" (wigłas dinas), czyli dni pomyślne, np.

3.

Matka prowadzi synowę
Życząc jej *dni lekkich;*
Sama synowa pragnie
Lekkich dni od matuli.[2])

---

[1]) Obacz *Jan Karłowicz, w* „Bibliotece warszawskiej" a mianowicie w artykule „Najnowsze prace o Inflantach" tom 206, str. 561.

[2]) Dalsze przykłady owych dni lekkich (wigłas dinas) w pieśni gminnej łotewskiej znajdzie czytelnik w wydanym w Mitawie „Jalgewas Latw. beedribas rakstukrajums" II, 46, oraz w „*Mag. d. lett. lit. Ges.*" XIX na str. 165. (Mitawa, 1896 r.).

W grach i zabawach weselnych na Łotwie, wśród bezustannych przyśpiewów, przedstawiają symbolicznie przyszłe zatrudnienia nowozaślubionej. Pokazują jej, że powinna naprawiać żarna, beczki, czyścić studnie, palić w piecach i t. p.

Pieśni ludowe — jak odciski organiczne na skamieniałościach—przechowują zwykle ślady dawnych pojęć i zwyczajów. Oto naprzykład wspomnienie rzeczywistego może niegdyś aktu w piosnce weselnej z naszego zbioru w tomie XIV „*Magazin d. lett. lit. Gesellschaft.*“

4. (38).

Aj mosień tautieniôs	Gdy w mężowskie wejdziesz progi
Dziejwoj skujszki nugojusie,	Żyj odtąd jako przystoi,
Auń kojenius, ciel kresleniu	*Dziewierzowi*[1]) rozzuj nogi,
Wacskajam diwiereniam,	Niech dla niego krzesło stoi;
Łaj sławienia łoba sliw	A przez ciebie sława spłynie
Did Mozoku mosieniu.	Na młodsze siostry w rodzinie.

A oto trzypolówka, przed laty powszechnie, dziś jeszcze po części panująca na Łotwie, odzwierciedlona w śpiewie weselnym:

5.

	Przekład dosłowny:	*Przekład rymowany,* pani E. B.
Parń tuur bieja rudziej- [szy	Latoś było żyto,	Latem było żyto, dzisiaj [jęczmień wszędzie,
Szugod ir gon miżejszy	Tego roku jęczmień,	Na rok przyszły ugor [świecić się tu będzie.
Cytugod byuś popiejrs.	Na rok przyszły ugor.	
Parń tu biei mejtinia,	Latoś była dziewą,	Latem była dziewą, dziś [jest w niewiast rzędzie,
Szugod essi siwienia,	Tego roku żoną,	Na rok przyszły pewnie [matulą już będzie.
Cytugod jau motie.	W przyszły rok matulą	

Z kolei podajemy czterowiersz ludowy, powszechnie znany na Łotwie, śpiewany na weselach, a w kalendarzu na rok 1870 na stronicy 56 ogłoszony w tych słowach:

[1]) *Dziewierzowi*, t. j. „bratu męża.“

6.

Ar kû tu essi łaułojis,
Pi to wîn tiew byuś turetis:
Un skajszki sorgot towu gûdu
Łaj wary izbiegt Diwa sûdu.

Z mężem, coś z nim ślub dziś brała,
Pójdziesz odtąd wspólną drogą:
Bądź mu żoną wierną, stałą,
A unikniesz sądu Boga.

Próbki śpiewów weselnych zakończamy rzewną piosenką, do której imię chrzestne nowozaślubionej dowolnie wplatają Łotysze inflanccy, a którą w tych dniach przełożyła na język polski pani E. B.

7. (23).

Kukułeczka zakukała
Gdzieś w ogródku, na jabłoni,
A dziewczyna zapłakała,
Tuląc główkę swoją do niej.
„Nie ujrzę cię już, drzewino,
Nie usłyszę cię, ptaszyno!“

Siadła NN[1]) przy stole,
Główka na stół jej opadła:
„W rodzinnem nie będę kole
Przy tym stole dłużej jadła,
Przy tym stole nie usiędę,
Wianeczka nosić nie będę!

W chacie prace me ustały,
Nie usłużę już matuli,
Gdy zapłacze brat mój mały,
Już kto inny go utuli!
Przy tym stole nie usiędę,
Wianeczka nosić nie będę!“

Liczba dziś jeszcze spotykanych *pieśni pogrzebowych*, znacznie jest mniejszą na Łotwie. Niektóre z nich, zdaniem uczonych badaczy, nie są niczem innem, jak resztkami

[1]) Do tej piosnki wplatają Łotysze 3 sylabowe imiona, jako to: *Rózieczka*, *Małgosia*, *Anulka*, i t. p., które zawsze wytworzyć się dają w ich języku np.: *Pazala* (Róża), *Apala* (Apolonia), *Onnienia* (Anna) i t. d.

i ułamkami dłuższych pień żałosnych, odpowiadających dajnom litewskim.

Do takich pieśni, malujących poglądy Litwinów i Łotyszów na świat pozagrobowy i przybytek dusz po śmierci, należy piosnka córki, poszukującej zmarłych rodziców nad złotym potokiem, na którego brzegach kąpią się trzy „Łajmy," córy „Słońca." Te jej wskazują drogę na Zachód, do krainy Niemców „*Woc-ziemie*," a tam „Synowie boży" (*Diwa dâly*) dalej nią kierują.

Jednę z tych licznych pieśni w tych oto słowach wyśpiewują Łotewki nad malowniczą *Jaszą*, wpadającą z łoskotem do Dźwiny w powiecie dźwińskim.

1.

Eś iskopu debbessis
Pa rużejties łapieniom,
Eś atrodu Diwa dâła
Kumieleniu sodłojût.
— „Diws palejdz, Diwa dałs
Kumieleniu sodłojût.
Diws palejdz, Diwa dałs,
Woj redzici munu môti?
— Taws tows, towa môtie
Pi „*Jyura Môties*" kôzas dzar.
— Muns Taws, muna môtie
Kur jyus mani pamatot?
— „*Sudobrenia szyupielî*
Engielejszu szyupojût."[1]

Dostałam się do nieba
Po listeczkach róży,
Zastałam „Syna bożego"
Siodłającego konia.
— Dopomóż Boże, Synu boży,
Przy siodłaniu konia,
Dopomóż Boże, „Synu boży",
Czyś widział mateczkę moją?
— „Ojciec twój i matuś
U „*Matki Morza*" ucztują."
— Ojcze mój, matuś moja,
Gdzieżeście mię zostawili?
— „*W kolebce srebrnej*
Przez aniołów kołysaną."

A oto druga ze zbioru naszego, z okolic Krasławia i Drycan, wraz z przekładem polskim pani E. B.

2. (3).

Radzu sowu manuleni
Por kalnieni nûwadût.
Sauciń sauczu, na dzierdieja;

Matkę powieźli przez wzgórze,
Wołałam na nią daremnie;
Więc biegłam ku tej górze,

[1] Ciekawy „waryant" tejże piesni Łotwy inflanckiej podaje pismo „*Mag. der lett lit. Gesellschaft*" (Mitawa 1896 r.). Tom XIX artykuł „*Die deewa deli* (*Gottessöhne*) *des lett. Volksliedes*" str. 247

Taku pakal raudodama.
Tacadama sazatyka
Trejs saulejties miejtas.
Wina soka: „Kur tu tieć?"
Utra kłot ajcyńowa,
Tiej pasoka kur mamienia.
— „Tur tieć, tur tu ej
Da winiam kalnieniam,
Tur gul towa mamulenia
Zam zala welenienia,
Bołtu smilksza kalnienia!"
— Cełis muna mamulenia
Eś pacelszu welenieniu.
— „Nazacelszu eś miejtień
Kolejt saule debbessis,
Kolejt saule debbessis,
Kolejt tewi sagajdiejszu!"

Łzy gorzkie wzbierały we mnie.
Spotkałam „Słońca" trzy Córy,
Jedna—gdzie biegniesz?—spytała,
Druga wskazała na góry,
Iść mi wraz z sobą kazała.
-- „Ty szukasz matki, dziecino!
Patrz tam, gdzie darń ta zielona
Na wzgórzu! Idź tam ścieżyną
Tam, pod tą darnią śpi ona!"
— Zbudź się, zbudź się, matuś miła,
Darń tę zedrę, piasek zgrzebię.
Niechaj czarna ta mogiła
Niech mi wróci, matko, ciebie!
— „Nie, nie wyjdę ja do ciebie,
Nie porzucę grobu mego,
Aż słońce zgaśnie na niebie,
Aż doczekam przyjścia twego."

Tyle o pieśniach, malujących poglądy Łotwy na świat pozagrobowy, którego cienie ukażą się nam raz jeszcze w ostatnim rozdziale niniejszego zarysu, przy traktowaniu piosnek sierot. Obecnie przechodzimy do treści weselszej.

Z kolei mamy mówić o pieśni Łotyszów *przy szklanicy* i o ich *piosnkach szyderczych*. Jedne i drugie dowodzą w sposób niewątpliwy, że lud ten przez nas częstokroć zapoznawany, nietylko rozumie, na czem polega właściwy humor, ale wie dobrze o tem, co przystoi, a co nie przystoi.

Na to w jego piosnkach liczne mamy przykłady.

Ulubionym i poniekąd narodowym napojem Łotysza jest piwo, a raczej rodzaj piwa, wyrabianego przez nich samych z chmielu i jęczmienia. Napój ten, zwany „ołs" lub w formie zdrobniałej „ołutieńsz," jak dawniej tak i dziś jeszcze, obok wódki i wina, ważne zajmuje miejsce; zwłaszcza, że u ludu łotewskiego żaden interes nie załatwia się bez poczęstunku. Więc piwo albo „braciszek piwko"—bo i napój zdołał Łotysz uosobić—obok wina i wódki przy każdem weselu,

przy zrękowinach, przy chrzcinach i pogrzebach, słowem przy wszystkich uroczystościach niepoślednią odgrywa rolę.[1])

Owóż, w jednej z piosnek czytamy, że „braciszek piwko" ma stale podtrzymywać honor domu i dopiero gdy już z obowiązku grzeczności przeprowadził uprzejmie wszystkich gości daleko za chatę, wtedy ma niezaprzeczone prawo zwalenia z nóg samego pana gospodarza.

W innej pieśni tegoż rodzaju, znajdujemy te słowa:

1.

Próżny gąsior, stara panna
Nawijają mi się często:
Młode dziewczę, gąsior pełny
Ci mię stale omijają![2])

Czyliż nie nosi ta piosnka cechy prawdziwie humorystycznej, której od spokojnych i flegmatycznych Łotyszów najmniej możnaby oczekiwać?

A tu znowu podaję próbkę pieśni *szyderczej*. Ta, przy całej złośliwości, zdradza i dar obserwacyi:

2.

Prosię żłobka nie wypróżni,
Nie wkroczywszy doń nogami;
Bogacz kubka nie wychyli,
By biednego nie wyszydził[3])

---

[1]) O napojach szczepu łotewskiego ogłosił ciekawą rozprawę, Dr *A. Bielenstein* p. t. „Die nationalen Getränke der Letten" i przytacza w niej kilkadziesiąt piosnek gminnych, odnoszących się wyłącznie do owych narodowych napojów. Obacz „*Mag. der lett. lit. Ges.*" XIX Tom des 4-tes Stück, str. 25—62. Obok piwa, wódki i wina zalicza uczony autor do napojów Łotwy *miód*, a także *sok brzozowy*, ten ostatni opiewany zwłaszcza przez najmniej zamożnych Łotyszów.

[2]) Obacz oryginał łotewski w „*Magazin d. lettisch lit. Ges.*" Tom VIII, str. 199.

[3]) Obacz oryginał lotewski tamże na str. 159 w zbiorze piosnke gminnych z okolic *Kabillen*, posiadłości książąt Liewenów w Kurlandyi w powiecie talzeńskim.

Tu zaś pieśn szydercza ze zbioru naszego:

3. (81).

Sasabora diw wadakłys Panstobu stajgodamys; Winaj noms nasłanciejts, Utraj gołdi na mozgoti. Wiej, wiejeń, słank namieni, Lej, lejtień, mozgoj gołdu!	Poróżniły się synowe Dając sobie wzajem rady; Jednej izba nie zmieciona, Drugiej stoły nie zmywane. Wiej, wietrzyku, czyść izdebkę, Lej, deszczyku, zmywaj stoły!

A czyż można przedstawić sobie coś bardziej drastycznego nad opis złośnicy, która „urwawszy w gniewie róg żubrowi, siada konno na wilka i, trąbiąc na świeżo urwanym rogu, goni zapamiętale przez puszczę i pola nieurodzajne,“ albo ów drugi niemniej ciekawy obrazek, jaki w innej pieśni gminnej Łotwy odnajdujemy:

„Leniwa gospodyni niechno sypia spokojnie, bo u niej robota zawsze załatwiona: świnie wykopały niezbędne do obiadu kartofle, koza poszatkowała kapustę, kura naszczypała cebuli, kogut dostarczył trzasek do ogniska, pies zapalił w piecu, a masło zrobił kot.“

Właściwych *pieśni bojowych* nie zna lud łotewski, gdyż w kraju jego tylko płeć żeńska zwykła wyśpiewywać piosnki lub przewodniczyć śpiewom chóralnym ludowym. Okoliczność ta dostatecznie objaśnia, dlaczego pieśni wojenne łotewskie opiewają bardziej smutek rozstawania się z bojownikami, niż waleczne ich czyny.

Przytaczam jedną z najstarszych i najciekawszych, której słowa i nuta wykwitły bezpośrednio z łona ludu łotewskiego. Nosi na sobie niezaprzeczone piętno jego plemiennych wyobrażeń, uczuć i pojęć, a nie znając swego twórcy, ani się o niego troszcząc, popychana jedynie siłą tradycyi u potomków jednego i tego samego szczepu, przeszła dziedzicznie z pokolenia w pokolenie, aż do naszych czasów, w których spisaną została:

1. (2).

<table>
<tr><td>Kur tu jôsi broleleń
Napuszkotu capurejti?

„Łać mosień rûżû dôrzâ
Puszkoj brolam capurejti.“

Ajzpuszkowu dzidodama
Un pałajżu raudodama.

„Woj raud' mosień woj na raud'
Jan tu mania na sagajd',
Sagajd' muna kumielenia
Nu karenia attakût!
Powajcoj nu kumielenia
Kur pałyka jojejeńsz?“
. . . .
. . . .
Ti pałyka jojejeńsz
Kur gul wiejry kaj ûzuły,
Sortym krauti zûbynieni,
Asznim płyuda Daugawienia!
. . . .
Wiejeńsz motus purynowa,
Saule kaułus bałynowa.</td>
<td>Dokąd jedziesz, braciszeńku,
W czapce nieprzybranej w kwiaty?

„Spiesz, siostrzyczko, do ogródka
Przystrój bratu czapkę w róże.“

Przystroiłam, nucąc piosnkę,
I oddałam, lejąc łezki.

„Płacz lub nie płacz, siostro luba,
Już mię więcej nie zobaczysz,
Koń mój jeno wróci z boju,
Niosąc wieści o twym bracie!
I zapytasz się rumaka,
Gdzie pozostał jego jeździec?“
. . . .
. . . .
Tam pozostał pan mój w boju,
Gdzie jak dęby mężni padli,
Gdzie broń w polu rozrzucona,
I gdzie Dźwina krwią się broczy!
. . . .
Wiatr ich włosy porozwiewał,
Słońce kości ich zbieliło.</td></tr>
</table>

Podsłuchawszy przed wielu już laty po raz pierwszy wszystkich zwrotek tej prawdziwie charakterystycznej pieśni ludowej łotewskiej (jeszcze przed zniesieniem poddaństwa najdosłowniej przezemnie spolszczonej), którą oczywiście wiele wieków śpiewano, zanim jedna z młodych panien inflanckich[1]) baczność moją na nią zwróciła, — zebrałem ich wkrótce około dwustu, treści najrozmaitszej. Przejrzawszy je bliżej, zrozumiałem trafność uwagi badacza pieśni ludowych niemieckich, który tak pięknie się wyraził, mówiąc:

„Czego w cierpieniu i radości człowiek często wypowiedzieć nie zdoła, to wyśpiewa ptaszek pieśni ludowej, w prze-

---

[1]) Panna Celina Platerówna z Kombula i Krasławia.

nośni, a przecie jasno; fruwa on i przelata swobodnie przez izbę czeladzi, przez komnaty zamkowe i siada, jako sokół, na ręku rycerskiej dziewicy i świergocze; wślizga się, jak myszka, i prawi coś poddanemu wieśniakowi w jego ciemnym kącie."[1])

Niemniej słusznie zauważył znany nasz etnograf Oskar Kolberg, że „najstarsze tradycye brzmią wokół Bałtyku, rozpościerając się stąd ku Karpatom, Dnieprowi i Dunajowi" i że ‚północ, kolebka dzisiejszych ludów Europy, posiada dotąd jej archiwa poetyczne."[2])

Pieśń wyżej przytoczona należy bezwarunkowo do najstarszych. Dowodzi tego nietylko zupełny brak rymów i monotonne metrum, ale i opiewana w niej miłość, która jest miłością braterską. Tę zaś — jako najgłówniejsze uczucie, przebrzmiewające do nas z dawnych wieków, przedstawia już Sofokles w powszechnie znanej „Antygonie," gdy tłómacząc poniekąd hazardowne przedsięwzięcie nieszczęsnej Antygony, wkłada jej w usta te słowa:

Drugiego męża mogę mieć, gdy pierwszy umrze;
Toż z drugim dziecię, gdybym z pierwszym go nie miała.
Lecz kiedy grób rodzica i matkę już kryje,
Niepodobieństwem, żeby brat mi się narodził[3]).

A jakże się miało z pieśnią gminną łotewską? Brzmiała ona na polach i w lasach, przy kądzieli i zatrudnieniach domowych, wkraczała do uroczystości pogańskich ołtarzy, a w czasie nieznośnego jarzma poddaństwa, złożyła niezaprzeczone dowody owej wiecznie trwającej słodyczy, która i najbardziej udręczone serca skutecznie umie pocieszać.

W jednej z pieśni wojennych Łotwy dobroczynny „księżyc" dostarcza broni strudzonym wojownikom na placu ich ciężkiego boju. On także ustępuje żołnierskiemu poecie

---

[1]) Obacz *H. C. Andersen* „Nachgelassene Märchen."

[2]) *O. Kolberg* „Pieśń ludowa", artykuł, przed wielu laty w „Wielkiej Encyklopedyi Orgelbranda ogłoszony.

[3]) Porównaj: *Sofokles* „Antygona," tragedya, przedstawiona w r. 441 przed narodzeniem Chrystusa (przekład Z. Węclewskiego, Poznań 1875 r.) str. 44-ta.

gwiaździstego płaszcza[1]), dając swą *boską* szatą niezrównane natchnienie i zapalając go równocześnie gorliwością do tworzenia maluczkich a świecących jak gwiazdy piosnek ludowych.

III.

Nie brak Łotwie licznych pieśni, zastosowanych do pewnego czasu, jako to: świętojurskie, świętojańskie, kolędowe i t. d.

Z tych *świętojurskie*, a zwłaszcza *świętojańskie*, najgłośniej rozbrzmiewają dokoła. Pierwsze z nich mają u Łotyszów dwa miana: *jurynia-dzismies* i *jyusienia-dzismies*.

Bardziej, niż świętojurskie, rozpowszechnione są na Łotwie *pieśni świętojańskie*.

Łotysze, zarówno protestanci jako i katolicy, szczególną przywiązują wagę do dnia 24 czerwca, w którym, jak wiadomo, przypada uroczystość św. Jana Chrzciciela. Już w wilię dnia tego domy i chaty ludu łotewskiego przybierają pozór świąteczny.

Umajone zewnątrz i wewnątrz najrozmaitszemi zielskami i różnobarwnemi polnemi kwiatami, przepełniają się mieszkania całej Łotwy wesołą młodzieżą, uwieńczoną zielenią i kwieciem. Przed chatą oddają się młodsi Łotysze i Łotewki aż do wschodu słońca wesołej zabawie z wiankami i śpiewkami, kończącemi się zawsze zwrotką jednostajną *Lejgo!* albo *Ligo!* w sposób najrozmaitszy śpiewaną. Wyraz „*Ligo*," właściwie żadnego znaczenia nie mający, zarówno jak francuskie *Tradéridéra!* lub niemieckie *Tralala!*, z powodu całkiem błędnych komentarzy, jakie już w zeszłem stuleciu mu

---

[1]) Płaszcz gwiaździsty (po łotewsku *zwajgzein dekkiś*), interptetuje autorka zbioru pieśni, ogłoszonego w tomach XV, XVI i XVII „*Zbioru wiadomości do antropologii krajowej*," słowami: „*z gwiazd deska na grzbiecie*," biorąc łotewski wyraz *dekkiś* (pokrycie), za „deskę", lubo ta ostatnia po łotewsku nazywa się „*diêla*" albo „*gołds*." To wystarczy, aby dać pojęcie o wartości przekładów w rzeczonym zbiorze.

nadał protestancki pastor Stender,—w oczach najpoważniejszych badaczy szczepu łotewskiego uchodził przez długie lata za imię dawnego bożka miłości u pogańskiej Łotwy; aż uczony Dr A. Bielenstein w rozprawie *„Das Johannisfest der Letten“* [1]) dowiódł ze zwykłą sobie gruntownością i jasnością, że tego rodzaju bóstwa nigdy nie czciła Łotwa i czcić go nie mogła. Niemniej ciekawą i pouczającą jest króciuchna rozprawka docenta E. Woltera[2]), w której, opierając się na wywodach A. Bielensteina, zapomocą licznych pieśni świętojańskich Łotwy, przekonał ostatecznie wszystkich badaczy szczepu łotewskiego, iż zwrotka *„Ligo!“* odnosi się wyłącznie do *„zwrotów słonecznych,“* nie zaś do rzekomego bożka Ligo, który nie istniał zgoła.

Czytelników zaś naszych utwierdzi niewątpliwie w tem przekonaniu zajrzenie do stron 23 — 29 pracy p. Konstancyi Skirmunttówny p. t. *„Nad Niemnem i nad Bałtykiem.“* Na tych bowiem stronicach umieściła autorka (wedle przytaczanej już przez nas ciekawej rozprawy Mannhardta „Lettische Sonnenmythen“) niektóre rysy owych łotewskich mitów słonecznych, w których ukazują się nam skrystalizowane najdawniejsze indo-europejskie wierzenia.

Z liczby tysiącami nagromadzonych piosnek świętojańskich Łotwy, podajemy tu zaledwie kilka:

1.

Rutoj saule, rutoj bitie
Lejgo! Lejgo!
Lełajâ tejrumâ
Lejgo! Lejgo!
Saula sînu kaltiejdama
Lejgo! Lejgo!
Bitie zîdus łasiejdama
Lejgo! Lejgo!

Igra „Słońce“, igra pszczółka
Lejgo! Lejgo!
Na rozległej niwie,
Lejgo! Lejgo!
„Słońce“, osuszając siano,
Lejgo! Lejgo!
Pszczółka, znosząc miody,
Lejgo! Lejgo!

---

[1]) Rozprawa ta ogłoszona została w czasopiśmie *„Baltische Monatsschaft“*, t. XXIII str. 1—46.

[2]) Ogłoszoną została ta rozprawa w tomie VII zbiorowego pisma *„Archiv für slavischen Philologie“* na str. 629—639.

Śpiewając tęż piosnkę, Łotysze *Prezmy* (majętności Sołtanów w pow. rzeżyckim), zamiast „Lejgo! Lejgo“, śpiewają „Ruto! Ruto!“ I ta okoliczność posłużyła do wykrycia właściwego znaczenia zwrotki, która, zdaniem badaczy, odnosi się do „zwrotów słonecznych.“ (Zob. *E. Wolter*).

2.

Kas tu lejgu ilejgoja
Lejgo! Lejgo!
Wyssupyrmok wokorâ?
Lejgo! Lejgo!
Pyrmigoni, tod oroi
Lejgo! Lejgo!
Wyssupieć jaunas mejtas
Lejgo! Lejgo!

Któż to śpiewy tu wprowadził
Lejgo! Lejgo!
Pierwszy raz z wieczora?
Lejgo! Lejgo!
Wprzód pasterze, później oracz,
Lejgo! Lejgo!
W końcu hoże dziewy,
Lejgo! Lejgo!

3.

„Saule brida rudzu łauku
Lejgo! Lejgo!
Załku zworku pacałusie
Lejgo! Lejgo!
Kur nułajdie załta sworkus
Lejgo! Lejgo!
Tur nulnjka rudzu łauks
Lejgo! Lejgo:

Wschodziło „Słońce“ nad łanem żyta,
Lejgo! Lejgo!
Podnosząc szaty swe złote,
Lejgo! Lejgo!
Gdzie opuszczało złociste szaty,
Lejgo! Lejgo!
Tam się łan żyta uchylił.
Lejgo! Lejgo!

Następująca piosnka świętojańska o kwitnącej paproci naśladuje oczywiście pieśni prowincyi sąsiednich, wyśpiewywane w tymże czasie na Sobótkach szczepów słowiańskich:

4.

Wyssi zidy izzidieja
Lejgo! Lejgo!
Paparkstieni na zidieja
Lejgo! Lejgo!
Paparkstieni zidieja
Lejgo! Lejgo!
Jonia dinas naksnieniâ
Lejgo! Lejgo!

Wszelkie kwiecia już zakwitły
Lejgo! Lejgo!
Paproć nie kwitnęła
Lejgo! Lejgo!
Bo też paproć tylko kwitnie
Lejgo! Lejgo.
W świętojańskiej nocy
Lejgo! Lejgo!

IV.

Z pieśni, zastosowanych do pewnego zawodu, najliczniej są przedstawione na Łotwie *piosnki pastuszków (gonu dziśmi...)*. Tych każdy pastuszek, nawet taki, „co niewiele odrósł od ziemi", ma zawsze potężny zasób w głowie, lubo niechętnie dzieli się niemi z obcymi. Podnoszą one i uświęcają żmudny zawód pasterski i to w sposób, któremu niepodobna odmówić ani wzniosłości, ani też pewnego poczucia poetycznego.

Oto naprzykład w jednej z nich woła ktoś z przechodniów do pastuszka:

1.

Kastod tiewi rajbulejti Nyw tik jauki aprakstieja?	I któż to cię, mój srokaczu, Tak uroczo dziś przystroił?

Na to odpowiada pastuszek do przechodnia:

Swata Môra aprakstieja Swadin rejtâ ganiejdama!	Święta Marya ukrasiła, Pasząc tu w niedzielę rano!

Oryginał łotewski używa tu słowa *„opisala"*, to znaczy: umalowała, ukrasiła. A ukrasiła go i pasła jego krówki „Matka Miłosierdzia" *w niedzielę rano*, zastępując dlatego w tej jego bezustannej czynności małego pastuszka, ażeby on tymczasem rannej mszy mógł wysłuchać.

Tak śpiewają pastuszkowie na Łotwie katolickiej i zarówno w Kurlandyi jak i gubernii witebskiej tak interpretują tę piosnkę.

Natomiast na Łotwie protestanckiej napotykamy waryant mniej poetyczny. Tam bowiem, według świadectwa Büttnera, Bielensteina i kilku innych badaczy Łotwy, sam pastuszek zapytuje pstrokatą krowę:

Kas tiew gutień rajbulejti Nyw tik jauki aprakstija?	Kto cię, krówko ty srokata, Tak uroczo dziś przystroił?

i następnie sam już za krówkę odpowiada:

Swata Môra aprakstija Swadin rejtâ ganidama.	Święta Marya ukrasiła, Pasząc tu w niedzielę rano.

A tu podajemy piosnkę pastuszków ze zbioru naszego, który przed dwudziestu kilku laty ogłosiło czasopismo „*Mag. d. lett. lit. Ges.*“ w swym tomie XIV:

2. (110).

Ciłowienia gładgalwiejta Dziejsim gûwiu paganiejtu! Tu zynowi dobuleniu Diewiejniom łapieniom.	Pliszko, ptaszku gładkogłowy, Pójdźmy razem pasząc krowy, Ty bo wiesz gdzie rość poczyna W dziewięć listków dzięcielina.
Dobulâ paganiejsim, Ołutâ padzirdiejsim.	Dzięcielinę gdy spożyją Stada—w zdroju się napiją.

Nie mogąc w tak szczupłych ramach podawać czytelnikowi próbek łotewskich pieśni rybaków, bartników, żniwiarzy, rolników i t. d., i t. d., ograniczymy się na przytoczeniu w rozdziale niniejszym jeszcze tylko jednej piosnki wcale ładnej, śpiewanej w okolicy dóbr Schleek, w dawnej „*Ziemi Piltyńskiej*“ [1]), przez młode Łotewki, zajęte przędzeniem wełny.

Przekład pani E. Benisławskiej:

Z wrzecion płyną nici śliczne,
    Jak płyną potoki wody;
Jak wód krople tak są liczne,
    W pracy kwitną wsie i grody.
Luby wróci; dziewczę swoje
    Znajdzie strojne i nadobne;
A wszak to jej rączek dwoje
    Przędło szaty te ozdobne!

---

[1]) Czytelników, interesujących się „*Ziemią Piltyńską*“, z której nazwą spotykamy się co chwila w źródłowych działach, jak „Volumina legum“, „Kodeks dyplomatyczny Dogiela,“ „Teka Podoskiego“ i tylu innych, odsyłamy do pracy naszej „Piltyń i archiwum piltyńskie“ Warszawa, 1884 r.

V.

Że w pieśni gminnej Łotwy nawet o światku dziecinnym wcale nie przepomniano, tego się czytelnik snadnie domyśli. Wszelako nietylko pamiętano w niej o dziatwie, ale umiano zastosować się najściślej do jej pojęcia, a zawsze w sposób pełen powabu i wdzięku.

Ulubionym tematem w piosnkach tego rodzaju jest przeważnie tęsknota za ciepłem latem. Jedzie dziatwa w wózeczku,—ale dokąd?—do krainy, w której panuje ciepłe latko.

Pierwszy śpiew skowronka niezrównanym swym urokiem wywabia te maleństwa z chaty na wolne powietrze. Dziatwa wywiaduje się troskliwie u ptactwa o jego pisklętach, zapytuje: kto też kołysze je do snu, kto je piastuje?

W innej, nader rzewnej pieśni łotewskiej, dzik kopie grób dla zmarłego pastuszka, ptactwo sprawia mu pogrzeb. Na suchej, ogołoconej z liści osinie, dzwoni kukawka. Usadowiwszy się smutnie na martwej gałęzi tego najsmutniejszego z drzew krajowych, dzięcioł trudni się nieopodal wyciosywaniem krzyża. Szerszeń występuje z mową pogrzebową drobne ptactwo odmawia pacierze, sikorka przyjmuje na siebie bolesny obowiązek zaniesienia rodzicom pastuszka wieści o jego skonie przedwczesnym, a bekas wzbija się wysoko w powietrze i tam dopiero zawodzi gorzkie żale nad stratą malutkiego pasterza. Żale te i lamenta z tak znacznej wysokości oczywiście już łatwiej zdołają przebić niebiosa.

Któż nie przyzna, że trudno żywiej przemówić do wyobraźni dziecięcej?

Teraz, z kolei, podajemy kilka piosnek *osieroconych dziatek*. Te, jak już wiemy, jeszcze liczniej są przedstawione nietylko w zbiorze naszym ale i we wszystkich innych.

1. (41).

(Z okolic *Taunag*).

Kas mań dus boryniaj Dorgas drêbies gabaleniu?	I któż mnie, sierocie małej, Drogie szaty da choć skrawek?

Ni mamienies diewiejânies
Ni tiatiejtia pierciejania!
. . . .
Wyssi muni pierciejani
Gul zam zalu wielenianiu!
. . . .

Braknie matki, co dawała,
Niema ojca, co kupował!
. . . .
Wszyscy ci, co obdarzali,
Leżą pod zieloną darnią!
. . . .

2. (134).
(Z okolic *Taunag* w pow. rzeżyckim).

Wysta colejszus atszkira
Mań atszkira mamulenia!
Côli tak pulcieniâ,
A kur, mamień, mań tieciejt?

Tieć, tieć tu boryniejtu
Da tam smilkszu kalnieniam;
Te gul towa mamulenia
Bołtu smilkszu kalnieniâ!

Kura kurcząt odłączyła,
A mnie matka zostawiła!
Biegnie kurczę do gromadki,
A ja dokąd?... Nie mam matki!

Spiesz, sieroto, tam na wzgórze;
Na pagórek ów piaszczysty;
Tam, gdzie ujrzysz piasek świeży,
Tam matula twoja leży!

3. (1 39).
(Z okolic *Drycan* w pow. rzeżyckim).

Syłta saule ôryniôs
Kad byut iłgok ganiejusie!
Mîli wordi nu mamienies
Kad byut iłgok dziejwojusie!

Oj kab muna mamulenia
Byutu iłgok dziejwojusie,
Byutu lîpas kupłamieniu,
Obiel zîdâ bołtumieniu!

Ciepłe słonko na podwórzu,
Gdybym tylko pasła dłużej!
Miłe słowa z ust mateczki,
Gdyby tylko żyła dłużej!

Gdyby dotąd ze mną żyła
Matuleńka, -jabym była,
Tak jak lipa strojna cała
I—jak jabłoń w kwiecie—biała!

Do tejże kategoryi należą „pieśni *osieroconych matek*.“ Z tych niech nam będzie wolno przytoczyć chociażby tylko dwie, dla uzupełnienia obrazu. W pierwszej z nich przebija żal kobiety, którą grób na długo z ukochaną istotą rozłączył, a którą okoliczności zniewalają do ukrywania gnębiącej ją boleści przed okiem ludzkiem, w drugiej—tęsknota po świeżo zaślubionej córce, która za małżonkiem w dalekie powędrować musiała strony:

1. (133).

(Z okolic Platerowskiego *Kraslawia*).

Nikas mani na redzieja
Kad eś gauży nuraudowu;
Pierdokniejties win redzieja,
Tos nusłanka ossorenics!

Nikt nie widział tego pewnie,
Jak płakałam jedna rzewnie;
Wiedzą o tem me rękawy,
One jedne łzy ścierały!

2. (56).

(Z okolic *Berzygalu*, dawnej siedziby Manteufflów).

Môtic miejtu izdawusie
Dzid rucienias płatiejdama;
Iidama maltiwiê
Raud' galwieni sajamusie:
„Tryuka, tryuka tiew mamienia
Rejziâ treju gabaleniu;
Kławâ tielis, kletiê pyura,
Moltiwiê *malejânies!*"

Matka, córkę swą wydawszy,
Chodzi, nucąc łzawą piosnkę;
Weszła, gdzie się zboże miele,
Zmilkła — wsparłszy głowę, płacze,
Żal do duszy jej kołacze:
„Braknie ci, mateczko, wiele;
Wzięli posag, wzięli krowę,
Wzięli tę, co *w żarnach miele!*

Zamykając nasz skromny zarys poezyi gminnej na tej rzewnej piosence spokrewnionego blizko z sąsiednią Litwą ludu łotewskiego, — wracamy raz jeszcze do wspominanego już parę razy obrazu o kroplach rosy.

Jeśli z jednej strony wyznajemy, że często te kropelki dlatego nie zdają się nam być oblanemi uroczem światłem wschodzącego słońca, żeśmy nie stanęli na odpowiedniem widokowi stanowisku, — wyznać też musimy z drugiej, że bardzo wiele piosnek łotewskich najzupełniej są pozbawione owych pięknych, migotliwych barw, jakie na kroplach rosy o porze porannej zwykliśmy podziwiać, że na wielu z tych piosneczek barwy owe urocze i wtedy nawet nie będą mogły zajaśnieć, jeśli względem nich chociażby najbardziej korzystne stanowisko sobie wybierzemy. Nic nie znaczące porównania, naciągane obrazy, nie zasługują na najmniejszą uwagę, nawet we własnej ojczyźnie tych pieśni, a tem bardziej u szerszego koła czytelników.

Atoli ta okoliczność, zdaniem naszem, w niczem nie zmniejsza wartości tylu innych piosnek udatnych. Sąd nasz

ogólny o poezyi ludowej Łotyszów skrzywićby ona mogła chyba w tym razie, gdybyśmy, jakimś nieszczęśliwym trafem wiedzeni, w licznych *zbiorach pieśni gminnych łotewskich* zawsze tylko na same jałowe piosenki natrafiali, a udatnych wcale nie szukali.[1])

---

[1]) Znaczną część tych pieśni zebrał i wydał w dwóch tomach w latach 1807 i 1808 *G. Bergmann;* następnie *Buetner* w roku 1844 ogłosił w *„Magazin der lett. lit. Gesellschaft"* (tom VIII str. 1—240) parę tysięcy tychże pieśni gminnych. W r. 1868 wydał w Wilnie rodowity Łotysz *Sprogis* kilka tysięcy piosnek ludowych wraz z komentarzami rosyjskiemi w dziele: „Pamiatniki łatyszskaho narodnaho tworczestwa." — Rok 1869-ty przyniósł zbiór piosnek gminnych łotewskich, ogłoszonych przez nas w *„Magazin der lett. lit. Gesellschaft"* XIV Bandes 2-tes Stück. W r. 1873 wydał Łotysz *Briwziemnieks* w Moskwie zbiór pieśni łotewskich. W latach 1874 i 1875 ogłasza *A. Bielenstein* w Lipsku nowy obszerny zbiór pieśni gminnych Łotwy w kilku częściach, mieszczących ich w sobie aż 9,000. Z tego zbioru wyciągnął wiele udatnych piosenek *K. Ulmann* i wydał je w r. 1874 w Rydze w niemieckim przekładzie p. t. *„Lettische Volkslieder übertrager im Versmaasse der Originale."* Zbiorek ten miłośnikom piosnek ludowych polecamy, gdyż z wielu względów jest ciekawy i pouczający, a z niezwykłą oględnością wydany. W tymże r. 1874 wyszedł w Mitawie u Besthorna zbiór pieśni gminnych p. t. łotewskim: *„Lotweeschu tautas dheesmas"*, a w r. 1876 wydano w Lipawie także zbiorek pod tytułem: *„Tautas dheesmas"*, zebrany wyłącznie na wybrzeżach litewskiej rzeki Wenty. Lata 1884 i 1885 przyniosły w dwóch zeszytach zbiór, wydany u B. Dikrika w Rydze p. t. *„Latweeschu tautas dheesmas krahjums"*, a zaś rok 1888 nowy zbiorek, wydany tamże u Gederta p. t. *„Muhsu tautas dheesmas."* W r. 1889 ogłosiła t. zw. „komisya umiejętności" łotewskiego klubu ryskiego u Drawnecka w Mitawie 1375 piosnek gminnych p. t. *„1375 tautas dheesmas"*, a w roku następnym 1890 klub łotewski mitawski, za przykładem ryskiego, wydał w Mitawie 168 piosnek gminnych p. t. *„Tautas dheesmu wirknes."* W latach 1891 i 1892 krakowski „Zbiór wiadomości do antropologii krajowej" umieścił w tomach: XV, XVI i XVII cały *szereg pieśni gminnych Łotwy* którym wartości naukowej przypisać niepodobna. W roku 1890 wyszła przytaczana przez nas niejednokrotnie praca E. Woltera, mieszcząca w sobie liczne pieśni gminne tejże gałęzi Łotwy. Ocenę zbioru Woltera podaje *Mag. d. lett. lit. Ges. tom XX str. 19—41.* Nakoniec w r. 1894 rodowici Łotysze *H. Wissendorf* i *K. Barohus* rozpoczęli w Mitawie wydawnictwo 40 zeszytów, w których mają ogłosić aż 20,000 piosnek gminnych łotewskich ze wszystkiemi waryantami, posługując się licznymi innymi powszechnie znanymi zbiorami. Pierwsze 4 zeszyty

Przy tworzeniu piosnek gminnych łotewskich panowała, jak się zdaje, najbardziej wolna konkurencya. Atoli tam, gdzie wszystko, co żyje, układa wiersze, niepodobna oczekiwać, ażeby wszystkie utwory były wybornymi. Wymagać tego niepodobna nawet od takiego ludu, któryby do poezyi najbardziej był uzdolniony.

Ileż to ladajakich poetyckich utworów widzimy i u innych szczepów, bardziej cywilizowanych, niż łotewski, a do tego jeszcze w szacie wytwornej drukiem ogłaszanych, przy których przewertowaniu doznajemy coś z zawodu, jaki przynosi z sobą bliższe poznanie świetnie wystrojonej damy, której dowcip nie odpowiadałby wykwintności ubrania. Jakżebyśmy więc mogli wymagać od ciemnych Łotyszów, ażeby oni tego rodzaju nędzot sobie tam gdzieś cichaczem już nigdy a nigdy nie wyśpiewywali?

Już wspomnieliśmy wyżej, że śpiew na Łotwie jest obyczajem powszechnym i rozlega się wszędy. Tu zaś jeszcze winniśmy dodać, że tak śpiewacy, a raczej śpiewaczki, jako i słuchacze, są tam wogóle nadzwyczaj oględni, a nawet

---

tego zbioru opuściły prasę w Mitawie, w r. 1894 i zasłużyły na powszechne uznanie. Odtąd wydano także zeszyty 5-ty, 6-ty i 7-my. Te drukowano nie w Mitawie, ale w Rydze, kosztem zamożnego Łotysza *H. Wissendorfa*, oraz t. zw. „komisyi umiejętności" przy klubie łotewskim ryskim. Wyszły te 3 ostatnie zeszyty w latach 1895—1897, a *H. Wissendorf* z powodu ofiarowanego zasiłku pieniężnego domagał się, ażeby i jego nazwisko figurowało, na co zgodził się wydawca. Lata następne mają przynieść dalszych 33 zeszytów, w przedmowie do tego zbioru zapowiedzianych. Każdy miłośnik pieśni gminnej łotewskiej temu pożytecznemu wydawnictwu najszczerzej przyklaskuje, gdyż wydanie jest pod każdym względem wzorowe. Tytuł tego najobszerniejszego zbioru pieśni gminnych łotewskich: „*Latwju dainas nu H. Wissendorfa nu H. Barohna ihdotas.*" Zaznaczyć tu winniśmy także, że przy ocenie zbioru pieśni gminnych łotewskich docenta *E. Woltera* pod względem dyalektycznym czynny brało udział dwóch światłych kapłanów rzymsko-katolickich, ks. *Fr. Trasun* i ks. *P. Smelters*, którzy wyszli z grona tegoż ludu. (Ob. „*Mag. d. lett. lit. Ges.*" Tom XX str. 20).

skrupulatni. Skrupulatność ta i oględność uwydatnia się zarówno w wyborze, jako też w sądach o mających się wykonywać pieśniach. Dowiodą tego najlepiej te oto piosnki:

Gdy mi brakło pięknej pieśni,
Jam niepięknej nie śpiewała.

albo:

Gdybym ja była wiedziała,
Że podsłuchują me piosnki,
Tylko bym takie śpiewała,
Com je już z mnóstwa wybrała [1]).

albo:

Jam w czasie późnego wieczora
Ślicznìutkie piosenki śpiewała,
Bodaj ich słuchała *Mora* [2]),
Co mię, dziewczę, wychowała.

Jeżeli dziś zbieramy te pieśni, dzieje się to zwykle w ten sposób, że pierwsza lepsza z mniej dyskretnych Łotewek, posiadająca ich dużo w głowie, dyktuje z pamięci zbieraczowi, który je skwapliwie spisuje. Jeśli wszakże taka dyktująca Łotewka, zarówno jak spisująca piosnki osoba, nie ma poczucia *ducha ludowego*, łatwo przewidzieć, jak smutnie wypaść musi ostateczny rezultat takiego zbioru.[3]) Inaczej się dzieje, gdy doświadczona rodaczka przewodzi improwizo-

---

[1]) Obacz oryginał łotewski w „*Mag. d. lett. lit. Ges.*“ Tom VIII, str. 93, w zbiorze piosnek z okolic *Cyraû* i *Dzerwen*, dóbr kurlandzkiej gałęzi Manteufflów.

[2]) *Mora* w języku łotewskim jest to imię chrzestne i znaczy *Marya*.

[3]) Obacz *pieśni gminne łotewskie*, ogłoszone w języku polskim w tomach XV, XVI i XVII krakowskiego „*Zbioru wiadomości do antropologii krajowej*,“ z których literalnie *ani jedna* nie jest naprawdę ludową. Ton ich, i treść, i długość, niezwyczajne wszystkim znawcom Łotwy, nie dozwalają o tem wątpić ani chwili.

wanemu chórowi ludowemu Łotyszów. Łest to u nich honor nielada uchodzić za prawdziwie dobrą „Tęjceję,“ t. j. intonatorkę i kierowniczkę śpiewów ogólnych. Pochlebia to miłości własnej zasłynąć u swoich z tego, że się umie oględnie wybierać tylko same powabne piosenki. To też w gronie czysto łotewskiem najbezwzględniej odrzucają wszelkie jałowe piosneczki, a tylko udatne śpiewają. Tam więc jedynie znajduje się żniwo dla fachowych zbieraczy, z którego też bardziej inteligentni już po części korzystali w sposób należyty i z niego niejednokrotnie korzystać jeszcze będą. Liczne wprawdzie posiadamy zbiory pieśni różnych ludowych, wszelako to nieprzebrane źródło poezyi długie jeszcze lata zasilać będzie teki zbieraczy i zawsze coś nowego dorzuci do skarbnicy literackiej świata.

WILNO

na początku XIX wieku

WEDŁUG

NIEWYDANYCH PAMIĘTN. PROF. JÓZEFA FRANKA I INN. ŹRÓDEŁ

podał

Dr. Władysław Zahorski.

Profesor Józef Frank, syn znakomitego Jana-Piotra Franka, był zaproszony wraz z ojcem do Wilna z Wiednia na katedrę medycyny praktycznej przez ówczesnego rektora Uniwersytetu, biskupa Strojnowskiego. Ten, nie znajdując ludzi uzdolnionych w kraju, obsadzał katedry Uniwersytetu Wileńskiego przez znanych w świecie uczonym cudzoziemców. W ich liczbie sprowadził do Wilna słynnego Bojanusa, znakomitego Lelewela, Grodka, obydwóch Franków, Saundersa z Londynu, Taronghiego z Rzymu i wielu innych. I chociaż nie zawsze wybór był trafnym, podniesienie jednak Uniwersytetu i oświata na Litwie wiele zawdzięcza tym obcokrajowcom, którzy, jak Bojanus, Grodek i szczególnie Lelewel i Józef Frank, ukochali swą nową ojczyznę i stali się tejże dobrymi obywatelami.

Frank przybył do Wilna w październiku 1804 roku, zaś opuścił na zawsze to miasto w r. 1823. Zasługi tego niepo-

spolitego człowieka dla Wilna są bardzo liczne, przyczynił się wiele do podniesienia Uniwersytetu i zaprowadzenia w nim porządku. Frank właśnie wymógł, aby katedry powierzano nie cudzoziemcom, lecz uczonym miejscowym, i sam przysposobił kilkunastu dzielnych profesorów, np. Niszkowskiego, Homolickiego i innych.

Wspólnie z ojcem założył Frank pierwszą w Wilnie klinikę, instytut szczepienia ospy ochronnej (1-szy w Europie),



Profesor Józef Frank.

instytut pomocy domowej lekarskiej dla ubogich, instytut macierzyństwa, Towarzystwo lekarskie, ulepszył warunki szpitalne, założył przy Uniwersytecie gabinet patologiczny, pierwszy rozpoczął badania zdrowotności mieszkańców Wilna, oraz zbieranie materyałów statystycznych. Nietylko atoli kwestye lekarskie interesowały Franka, brał jednocześnie czynny udział w życiu Wilna i niemało na polu działal-

ności społecznej miastu się zasłużył. Jemu wileńskie Towarzystwo dobroczynności zawdzięcza utworzenie tak zwanego wydziału trzeciego, Frank również założył Towarzystwo przeciwżebracze, przyczynił się do oczyszczenia miasta, ułożył projekt teatru w Wilnie, budził zamiłowanie wśród Wilnian do muzyki, urządzając wspaniałe koncerty, w których, oprócz pięknej pani Frankowej i amatorów z wyższego towarzystwa, brali nieraz udział głośni europejscy artyści, jak np. Rode, panna Georges, Torquinio i inni. Dochód z tych koncertów, przewyższający czasem 3,000 rubli, Frank obracał na instytucye, stworzone przez siebie. W celu zachęcenia młodzieży do pracy umysłowej, urządzał u siebie wieczorki, na które, oprócz studentów, zapraszał i młodzież płci obojga. Na wieczorach tych czytano, rozprawiano o literaturze, sztukach pięknych, śpiewano i grywano na fortepianie, skrzypcach i wiolonczeli. Podziwiać trzeba, jak temu człowiekowi starczyło na wszystko czasu, tembardziej, że, jako profesor, miewał codzienne wykłady, prowadził klinikę, miał obszerną praktykę nietylko w mieście, lecz i na całej Litwie, a oprócz tego dużo pisał i drukował dzieł treści lekarskiej.

Po wyjeździe z Wilna, zamieszkał we Włoszech we własnej willi nad jeziorem Como. Tu spisał po francusku pamiętniki w 6 dużych tomach, które zatytułował: „Mémoires biographiques de Jean-Pierre Frank et Ioseph Frank, son fil's, redigés par ce dernier.“ Pamiętniki te nie zostały wydane i stanowią własność wileńskiego Towarzystwa lekarskiego.

Pamiętniki Franka zawierają bardzo ciekawe i nieznane szczegóły o Uniwersytecie, profesorach, wybitnych współczesnych Frankowi osobistościach Wilna i t. d. i chociaż nie zawsze pisane bezstronnie, mogą jednak stanowić cenny materyał dla historyi Wilna na początku bieżącego stulecia.

Z tych to pamiętników staraliśmy się odtworzyć obraz Wilna i jego życia w pierwszym lat dziesiątku naszego wieku. Dla uzupełnienia jednak obrazu korzystaliśmy i z innych źródeł, przeważnie z następnych:

1) Baliński: Dawna Akademia wileńska. 2) J. I. Kraszewski: Wilno. 3) Kirkor: Przewodnik po Wilnie. 4) Pamiętniki Towarzystwa lekarskiego wileńskiego. 5) Kuryer litewski z pierwszych lat XIX wieku. 6) Dzieje dobroczynności. 7) Dziennik Wileński. 8) Wizerunki i roztrząsania naukowe i t. d.



Wilno w końcu XVIII i na początku XIX stulecia.

I.
Wygląd ogólny miasta, ludność, ulice, kościoły, pałace i domy.

Wilno w 1804 r. liczyło, według Franka, przeszło 35,000 mieszkańców[1]) w tej liczbie 22 tys. katolików, 600 prawosławnych („greck"), 500 protestantów, 100 kalwinistów,

[1]) Kirkor powiada, że 100 tys. „Przewodnik po Wilnie", wydanie 3-cie, str. 43.

11 tys. żydów i 60 mahometanów. Szlachta, profesorowie i urzędnicy Uniwersytetu oraz mieszczanie, byli przeważnie katolicy, zaś język przez nich używany — polski. Prawosławni składali się z urzędników, wojskowych, kupców i włościan ruskich.[1]) Pomiędzy protestantami przeważnie byli artyści, rzemieślnicy i kupcy.

Żydzi stanowili zupełnie odrębny naród, którego historya na Litwie ginie w mrokach dawnych czasów. Tadeusz Czacki,[2]) oraz Surowicki[3]) i Beer[4]) powiadają, że do zachodniej Polski przyszli żydzi z Niemiec, zaś do wschodniej z nad morza Kaspijskiego. Pomiędzy tymi ostatnimi była znaczna ilość karaimów. Przypuszczenie to zdaje się potwierdzać fakt, że wówczas, gdy żargon żydowski jest to zepsuty język niemiecki, z domieszką słów hebrajskich i polskich, w mowie karaimów nie można znaleźć ani jednego słowa niemieckiego. Karaimi nie łączą się z żydami, są przez tych nienawidzeni, jako sekciarze, i mają wśród ludności litewskiej opinię ludzi uczciwych. Frank znajduje, iż żydzi litewscy nie są podobni (przynajmniej z powierzchowności) do swoich współbraci, zamieszkałych w innych krajach Europy. Zachowali swój strój z dawnych czasów: mężczyźni — długie, sięgające kostek, kapoty, czapki futrzane, mycki, z pod których spadają na policzki kosmyki włosów, t. zw. pejsy, na nogach zwykle noszą pończochy, pantofle. Ubiór kobiet jest wschodni, nieraz bardzo bogaty, częściej składający się ze strzępów i prawie zawsze nieochędożny.

Żydzi, wskutek rozporządzenia Władysława IV, mieścili się przeważnie w ciasnych ulicach: Niemieckiej, Rudnickiej, Szklanej, Żydowskiej, Żmudzkiej, Jatkowej, które to ulice zanieczyszczali w sposób straszliwy, wyrzucając przez okna

---

[1]) Włościanie ci przyszli na Litwę w XVI wieku z Rosyi, skąd uciekali przed okrucieństwami Iwana Groźnego.

[2]) Rozprawa o żydach. Wilno 1807.

[3]) Śledzenie początku narodów słowiańskich. Warszawa 1824.

[4]) Geschichte. Lehren und Meinungen der Juden. Leipzig 1825.

śmiecie i wylewając pomyje. W tej dzielnicy mieli swoją synagogę i kilka bóżnic.

Mahometanie[1]) mieszkali na przedmieściu Łukiszki, gdzie znajdował się i meczet. Byli to ludzie spokojni, dobroduszni i wcale niepodobni do swych wojowniczych i dzikich przodków, od których niegdyś Litwa tyle cierpiała.

Ulicę Subocz zamieszkiwali kupcy, zaś na Zarzeczu duchowieństwo greko-rosyjskie i rzemieślnicy. Część Zarzecza dotąd nazywa się „Popowszczyzna.“

Frank powiada, że Wilno przedstawiało obraz chaosu. „Obok pysznych pałaców stały liche lepianki; ratusz, zbudowany w pięknym stylu włoskim, znajdował się na ładnym placu, którego część zajęta była przez szopy; ulica, prowadząca do wspaniałej katedry (Avenue) nie brukowana, raziła przechodnia kupami różnego rodzaju śmiecia i podczas deszczu stawała się nie do przebycia. Posiadało Wilno kilkanaście domów murowanych, atoli większość była budowana z drzewa. Pomimo położenia na pochyłości wzgórza i przy połączeniu dwóch rzek (Wilii i Wilejki) miasto było bardzo brudne i nierogacizna swobodnie spacerowała po ulicach. Na brzegu rzeki, tuż po wyjściu z miasta, można było widzieć i czuć kupy gnoju, wysokością sięgające wzrostu człowieka. Chcąc się dostać na przedmieścia, trzeba było brnąć po kostki po piasku lub błocie.“

Sądzimy, że Frank przesadził w tym tak niepochlebnym opisie Wilna. Nie dziw, że przybyłemu z Wiednia, po zwiedzeniu Paryża, Londynu oraz innych stolic Europy, owoczesne Wilno nic musiało się wydać zbyt ponętnem, z jego wązkiemi, krzywemi i zawalonemi śmieciem ulicami. Nie prawdę jednak mówi Frank, twierdząc, jakoby w Wilnie było zaledwie kilkanaście domów murowanych. Dziś jeszcze można naliczyć ze 200 domów, których budowa sięga XVI i XVII wieków. Ulice: Żydowska, Jatkowa, Szklana, całe

[1]) Tatarzy zostali osiedleni na Litwie przez W. Ks. Witolda; dotąd istnieją Chazbijowicze, Bazarewscy, Aleksandrowicze, Jakubowscy i inni.

były murowane. Liczne pałace magnatów, olbrzymie gmachy klasztorne, zabudowania Uniwersyteckie, zajmujące całą dzielnicę, wszystko to już było, gdy Frank przyjechał do Wilna. Drewniane domy były tylko na przedmieściach. Zresztą straszliwe pożary 1510, 1748 i 1749 roku poczyniły tak wielkie spustoszenia, że Wilno już się odbudować nie mogło.[1]) W kilka lat potem, dzięki wskazówkom, udzielanym przez Towarzystwo lekarskie, i szczególnie dzięki zabiegom i energii gubernatora cywilnego Rückmana, miasto tak zostało oczyszczone, że gdy zwiedził je cesarz Aleksander I, powiedział o Wilnie: „C'est un bijou.“ Rückman atoli za energiczne przestrzeganie porządku ściągnął na siebie nienawiść motłochu i szczególnie żydów. Niechęć ta nie ustała nawet po śmierci Rückmana i objawiła się w rzucaniu kamieni na trumnę energicznego gubernatora podczas pogrzebu.

Już w 1630 r. zaczęto brukować ulice i w tym celu był nawet ustanowiony pobór. Każdy wjeżdżający do miasta płacił grosz od wozu, albo musiał przywieźć parę kamieni.

W końcu zeszłego i na początku bieżącego stulecia już były wybrukowane ulice: Zamkowa, Ś-to Jańska, Niemiecka, Wileńska, Trocka, Rudnicka, Ostra, Konna, Żydowska, Szklana, Subocz i Spaska.[2]) Niektóre z tych ulic miały chodniki z drzewa, lecz te były wązkie i źle utrzymane. Od ulicy oddzielały chodniki słupki drewniane, lub kamienne. Mniejsze zaułki i przedmieścia bruku wcale nie posiadały.

Ile domów było na początku bieżącego stulecia, trudno określić. Możemy tylko przypuszczać, opierając się na liczbie domów, zniszczonych przez pożary, że musiało Wilno posiadać w owym czasie około 8,000 domów. Tak, w r. 1748 spaliło się, według Jachimowicza, 17 pałaców, wielkich domów murowanych 32, mniejszych 200, zaś drewnianych kilka tysięcy.[3])

---

[1]) Baliński: Dawna Akademia wileńska. Dodatki. Petersburg 1862.

[2]) Kirkor, E. C. str. 73.

[3]) Ibid. str. 74.

W środku miasta, na placu, wznosił się ratusz, wybudowany na miejscu dawnego, według planu Gucewicza w stylu włoskim, z oknami renesansowemi i z ładną kolumnadą od frontu.

Około ratusza skupiali się wszelkiego rodzaju i różnych narodowości handlarze; plac był zajęty przez szopy, kramy, stragany, wozy z towarami i żywnością. Ulica, idąca od ra-



Brama zamkowa na początku XIX wieku.

tusza do ulicy Zamkowej, nazywała się „Imbary.“ Była to ulica handlowa, ponieważ tu się mieściły różnego rodzaju sklepy.

Od murów, któremi w XV wieku opasano Wilno, pozostawały 2 bramy: Ostra i Trocka, oraz brama zamkowa. Ostra brama miała inny wygląd, niż dziś, gdyż kaplicę nad bramą odnowiono dopiero w r. 1829. Brama na końcu ulicy Zamkowej prowadziła do zamku królewskiego dolnego, który dotykał katedry. Na początku bieżącego stulecia były to

już ruiny i wkrótce potem zamek został zniesiony na placu, który zajmował, urządzono skwer. P do ogrodu botanicznego znajdował się sławny n ski, zburzony przed laty trzydziestu. Z lewej st ogromny gmach murowany mieścił trybunały (dz bowa, kaznaczejstwo, izba kontrolna i inne instyt

Nad całą tą miejscowością wznosiły się góry z ruinami starego zamku, Trzykrzyska, na któ z daleka widać było 3 wysokie krzyże, (dziś ich na tem miejscu rosną trzy wysmukłe brzozy), or



Zamek dolny królewski i kościół katedralny na początku XIX wieku.

kieszowa, z której niegdyś Bekiesz, przyjaciel Ba bował zjechać konno i próbę takową życiem przy tej ostatniej górze stała kapliczka, po której naw pozostało. U stóp góry zamkowej wartka Wile się z piękną Wilią.

Na obszernym placu, tuż przy zamku do wspaniała katedra, wzniesiona na tem samem mie niegdyś płonął Znicz. Pożary i pioruny znacznie świątynię, to też została przerobiona, według pla cza, z zachowaniem wewnętrznej budowy i kapli

1801 biskup Kosakowski poświęcił ukończoną budowę w stylu klasycznym Palladia. Inne kościoły wyglądały prawie tak samo, jak dziś, z wyjątkiem uniwersyteckiego kościoła św. Jana (założony przez Wł. Jagiełłę w r. 1388 i ukończony w r. 1426). Kościół ten był zasłonięty od ulicy wysokim murem z bramą, nie miał również krużganku, który dziś widzimy. Władza uniwersytecka (w r. 1818 — 1828) przerobiła kościół wewnątrz, usunęła ołtarze boczne przy filarach, zupełnie zmieniła ambonę, z której niegdyś nauczał Piotr Skar-



Ruiny pałacu Barbary Radziwiłłówny na początku XIX wieku.

ga, zburzyła bramę i mur i zamalowała wapnem znajdujący się na ścianie zewnętrznej od ulicy zamkowej, pod figurą ukrzyżowanego Chrystusa, duży, piękny obraz *al fresco*, przedstawiający morowe powietrze w 1710 r. w Wilnie. Nie pomogły składki, zebrane przez kancelistów Uniwersytetu w celu odnowienia obrazu, ani przedstawienia prof. Rustema, który podejmował się kierować restauracyą tegoż; zacny, ale uparty rektor Malewski postawił na swojem i pamiątka została zniszczona. O Franku, który nie taił swego oburzenia, Malewski powiedział: „Pan Frank radby wszędzie widział pa-

cyentów, z tych jednak nie miał by korzyści, ponieważ są to pacyenci malowani."

Profesor Michał Homolicki[1]), również z oburzeniem opisujący to niczem nieusprawiedliwione niszczenie pamiątek starożytnych, przytacza następujące opowiadanie. Sekretarz rządu uniwersyteckiego, któremu polecono wyprzedaż przedmiotów, usuniętych z kościoła, nie znał się zupełnie na wartości takowych. Sprzedał np. za bezcen 4 obrazy ewangelistów, pendzla włoskiej szkoły, dlatego tylko, że były niewielkich rozmiarów. Chcąc nadal uniknąć podobnych błędów, zasięgnął rady prof. Rustema, za ile można sprzedać srebrny krucyfiks z figurą Chrystusa, staroświeckiej roboty. Rustem odpowiedział mu: „Spytaj pan Judasza Iskaryotę, ten panu wskaże gotową cenę!" Dzisiejszy kościół św. Jana może zyskał na wspaniałości, ale stracił swe cechy starożytne i wcale nie podobny do tego, jakim był przed rokiem 1819.

W Wilnie, powiada Frank, było więcej zakonników i zakonnic, niż w Wiedniu. Były tu zakony Franciszkanów, Dominikanów, Bernardynów, Karmelitów, Pijarów, Karmelitów bosych, Misyonarzy, Kapucynów, Trynitarzy, Bazylianów, oraz Wizytek, Maryawitek, Karmelitanek bosych, Benedyktynek, mniszek zarzecznych, które utrzymywały przytułek dla wdów, rozwódek i sierot, i kilka innych, z wyjątkiem kościoła katedralnego, św. Kazimierza i św. Jana, wszystkie prawie kościoły wileńskie należały do zakonników, którzy posiadali również klasztory i kamienice.

Frank uskarża się, iż w tych kościołach, szczególnie u Dominikanów, publiczność w czasie nabożeństwa zachowywała się bez czci, należnej dla świątyni. Podczas sumy obecni prowadzili rozmowy, śmieli się, wchodzili i wychodzili, przeszkadzając w modlitwie nabożnym (T. II, str. 404).

Najokazalsze gmachy w Wilnie były własnością magnatów, szczególnie Radziwiłłów. Ci władali prawie całą ulicą

---

[1]) M. Homolicki. Streszczenie i uzupełnienie pamiętników Franka: „Na dziś" T. II, 1872 r.

Wileńską, aż do Zielonego mostu, częścią Łukiszek oraz całą przestrzenią nad Wilią (tu stał pałac Barbary Radziwiłówny); przedmieście Snipiszki również było własnością tego rodu.

Wszystkie prawie pałace budowano według jednego planu. Wielkie wrota, nieraz w stylu gotyckim, ozdobione herbami właściciela, wiodły na obszerny dziedziniec, mający formę kwadratu i otoczony zabudowaniami, na których również nie żałowano herbów. Na niektórych ścianach znajdowały się malowidła *al fresco* (kilka takich ściennych malowideł zachowało się do dziś dnia). Wprost głównej bramy znajdowała się druga, mniejsza, wiodąca na inną ulicę. Taki plan widzimy dziś jeszcze w pałacu ks. Ogińskich (klub szlachecki i gimnazyum żeńskie); dom ten ma jedne wrota od ulicy Milonowej, a drugie od ulicy Rudnickiej. Również pałac Radziwiłłowski (później klinika) i Chodkiewiczów (dziś własność okręgu naukowego i mieszkanie kuratora), mają jedno wejście z ul. Wielkiej, a drugie z ulicy Sawicz. Przy wszystkich prawie pałacach były obszerne ogrody, oddzielone od ulicy wysokim murem. Sapiehowie, Służkowie, Pacowie, Kiszkowie, Tyszkiewiczowie, Mostowscy, Chreptowiczowie też posiadali w Wilnie pałace.

Z innych domów, istniejących na początku bieżącego stulecia, wskażemy: obecny pałac generał-gubernatorów w pięknym stylu klasycznym, olbrzymi dom zarządu pocztowego, zwany kardynalią (należał przedtem do kardynała Jerzego Radziwiłła), dom prof. Szulca (dziś hotel Europejski), instytut żeński Maryjski, dom trybunałów przy ul. Zamkowej, pałac Flemingów, później Müllera przy ul. Niemieckiej, tu mieściło się *Casino*, odbywały się świetne bale i maskarady; dom Abramowicza, przedtem pałac Oskierczyński. W tym domu, przy końcu wieku zeszłego, był pierwszy teatr polski.

Ogrodów publicznych Wilno prawie nie posiadało, ponieważ ogród botaniczny przy ul. Zamkowej (gdzie obecnie znajduje się 2-gie gimnazyum), był zamknięty dla publiczności. Frank powiada, że prof. botaniki St. Jundziłł nie

dbał wcale o podniesienie ogrodu, sadził w nim kapustę, szparagi i kwiaty, które sprzedawał. Wejścia strzegł ogromny i złośliwy brytan, którego zębów doświadczył sam Frank. Później dopiero został przez Jundziłła założony śliczny ogród u stóp góry Zamkowej i Trzykrzyskiej. Ulubionemi miejscami przechadzek Wilnian były brzegi Wilii, Antokol, Zakret, Rybiszki, oraz góry, z których roztaczał się widok cudowny.

Życie w Wilnie w owe czasy było bardzo niedrogie; jak powiada Frank, o połowę tańsze, niż w Wiedniu. Okolice i dwory obywatelskie podostatkiem dostarczały do miasta (szczególnie w zimie, gdy dzięki sannej drodze łatwiejszą się stawała komunikacya), mięsa, cielęciny, wieprzowiny, różnego rodzaju wędlin, nabiału, oraz ptactwa najprzedniejszego gatunku. Lasy, którymi było Wilno otoczone, przepełnione były zwierzyną, to też na rynkach leżały stosy jarząbków, cietrzewi, przepiórek, zajęcy i t. d., ale nie można było kupić ani sarny, ani dzika, chociaż błota pińskie obfitowały w tego rodzaju zwierza. Niemen, Wilia i jeziora dostarczały wyśmienitych ryb, które sprzedawano za bezcen, zaś w Wilejce łowiono doskonałe raki.

Chleb był wyśmienity, również jak i piwo, zwane stołowem.

Pomimo, że okolice Wilna na znacznej przestrzeni porosłe były olbrzymimi lasami, drzewo opałowe sprzedawano po wysokiej cenie, gdyż nie było robotników do rąbania, a i przewóz był trudny i kosztowny. Ale za to był to opał, o jakim w Europie pojęcia nie mają. Na południu Europy, powiada Frank, drzewo takie z pewnością używanoby do czego innego, nie do palenia w piecach. Z głębi Rosyi przywożono świece woskowe i łojowe. Nawet w domach średniej zamożności używano prawie wyłącznie świec łojowych, woskowe stanowiły zbytek i oświetlano niemi pokoje tylko w czasie większych zabaw. Klasa uboższa wieczory spędzała przy świetle łuczywa, pod którem stawiano naczynie z wodą. Schody i sienie tonęły w ciemnościach. Nie mo-

gliśmy nigdzie znaleźć wskazówek, czy — i w jaki sposób oświetlano ulice.

Wilno posiadało kilka sklepów pierwszorzędnych. Właścicielami takowych byli przeważnie niemcy. Szczególnie wyróżniały się sklepy Fiorentiniego, Andaburskiego Reyzera i Karnera. Dwaj ostatni panowie jednak, żyjąc nad skalę, w prędkim czasie zbankrutowali. Co prawda, chrześcijanom trudno było przez czas dłuższy wytrzymać konkurencyę z kupcami żydami, którzy, żyjąc jak nędzarze, poprzestając na małym zysku, oraz mając znaczną ilość towarów przemycanych, mogli sprzedawać o wiele taniej od chrześcijan.

Kradzieże w Wilnie były częste i, dzięki nieudolności policyi, poszkodowani nigdy prawie nie odnajdywali skradzionych rzeczy. I na tem polu szczególnie odznaczali się żydzi, którzy mieli swoich agentów w różnych miejscowościach, i przedmiot, skradziony w Wilnie, zwykle bywał sprzedawany w innem mieście. Powiadają, że w Wilnie, w żydowskiej dzielnicy, istniał t. zw. uniwersytet złodziejski, z którego wychodzili wyćwiczeni i wprawni rzezimieszkowie. W r. 1807, w lasach na Antokolu utworzyła się banda zbójecka, złożona z 50 ludzi, doskonale uzbrojonych i posiadających konie i wozy. Ci zbóje posunęli swą śmiałość do tego stopnia, że wśród białego dnia na kilkunastu wozach przewieźli przez całe miasto swą nocną zdobycz. Gdy przejeżdżali około odwachu żołnierze prezentowali im broń, poczytując za jakiś oddział wojska, ponieważ rabusie mieli coś w rodzaju umundurowania. Postrzeżono pomyłkę dopiero po czasie; popłoch w mieście był jednak wielki. Przez całą noc patrole wojskowe obchodziły ulice, a przy bramach dyżurowali stróże. Co się z tą szajką stało, Frank nie wspomina. Druga podobna szajka zbójecka, o której pamięć żyje dotąd, kryła się w górach Ponarskich.

Ulice Wilna przedstawiały za czasów Franka widok wcale nie podobny do dzisiejszego.

Ruchliwi żydzi w dziwacznych ubiorach, żołnierze i oficerowie w mundurach z wysokimi kołnierzami, zakonnicy w chabitach z kapturami i w trepkach, gapiący się włościanie,

studenci Uniwersytetu, strojnisie, zwiedzające sklepy, oraz panowie w wysokich cylindrach i płaszczach z kilkoma pelerynami, napełniali ulice. Tłumy żebraków i kalek mieściły się przy kościołach i na placach, napastując przechodniów i nieraz bardzo natarczywie żądając jałmużny. Żebracy ci wystawiali na widok publiczny swe kalectwa i ohydne rany i głosem nosowym zawodzili pieśni nabożne, albo na nutę takowych słowa, powiązane bez sensu, jak np.:

„Kwarta i półkwarty
To półtora kwarty;
Garniec i pół garnca,
To półtora garnca"... i t. d.

Dorożek było mało, zaś te, które istniały, bynajmniej nie zachęcały do próby przejechania się niemi. Wychudzone szkapy, które co chwila cmokaniem i batem zachęcał do biegu woźnica, przystrojony w jakiś ubiór fantastyczny, oraz niewygodna, stukająca i brzęcząca dorożka nie czyniły dodatniego wrażenia.[1] Zaprzęgi pańskie również pozostawiały wiele do życzenia. Nieraz można było spotkać piękny powóz, ciągniony przez szkaradne szkapy, to znów pyszne rumaki i lichą landarę, jeśli zaś i jedno i drugie były dobre, to lokaj lub furman stanowili z niemi sprzeczność rażącą, wskutek znoszonej i brudnej odzieży. Magnaci jeździli zwykle czwórką koni, zaprzężonych w lejc, z forysiem na prawym koniu pierwszej pary. Karety były duże, na wysokich resorach, malowane nieraz w jaskrawe kolory i suto ozdobione herbami i złoceniami.

Na ulicach żydowskich w dnie powszednie wrzało, jak w garnku. Drobne handlarki wystawiały kramiki na chodnikach, same zaś siedziały przy nich w lecie na zydlach, a w zimie na garnkach, napełnionych żarzącemi węglami, inne przekupki sadowiły się wprost na brzegach rynsztoków,

---

[1]) P. Lucyan Uziębło posiada akwarelę z owych czasów, na której karykaturzysta odmalował wyżej opisaną dorożkę na ulicy Wilna, oraz ubiory dam i mężczyzn.

i w oczach przechodniów obmywały w cuchnącej wodzie owoce... Hałas, krzyk, szwargot żydowski, głuszyły rozmowę. Handlarze literalnie staczali pomiędzy sobą bójki o kupujących, których gwałtem ciągnęli do swych sklepików, podobnych do ciemnych jaskiń.

Tu można było dostać wszystkiego, począwszy od starego żelastwa, mąki, dziegciu i kończąc na sztucznych kwiatach i lichej biżuteryi.

W sobotę za to panowała tu cisza zupełna: dzielnica ta robiła wrażenie wyludnionej, gdyż żydzi ściśle obchodzili święto szabasu i za żadne skarby świata w dniu tym nie zgodzili by się nic sprzedać. Katolicy nie obserwowali tak ściśle niedzieli i nawet był to dzień targu, na który okoliczni włościanie przywozili to, co mieli do zbycia. Wieczorem w sobotę znowu zmieniało miasto swą postać. Tłumy żydów, przystrojonych w odświętne szaty, napełniały ulice miasta, wybrzeża Wilii oraz góry. Żydów wogóle nie lubiono, nieraz ich bito, lecz nikt w Wilnie nie mógł się bez nich obejść.

Wogóle stosunek pomiędzy różnemi narodowościami, zamieszkującemi stary gród Gedymina, był dobry. „Byłem zdziwiony, powiada Frank, dobrym stosunkiem i prawie braterstwem, jakie istniały pomiędzy wyznawcami różnych religii. Na uczcie, wydanej przez generał-gubernatora w dniu urodzin cesarza Alexandra I (12/24 grudnia), widziałem siedzących obok siebie biskupa katolickiego, archimandrytę greko-rosyjskiego, pastorów protestanckich i reformackich, którzy przyjaźnie ze sobą gawędzili.“ [1])

W zamożnych domach wileńskich Frank podziwia mnogość sług; co prawda, byli to przeważnie poddani, których utrzymanie kosztowało niewiele, ale za to i czynności swe spełniali nader niedbale.

Pomimo tego tłumu sług, żaden dom w Wilnie nie mógł się obejść bez żyda-faktora lub faktorki, którymi się posługiwał nawet biskup i generał-gubernator.

---

[1]) T. II, str. 404.

Faktorzy ci spełniali polecenia najrozmaitszej natury— kupowali, sprzedawali, dostawali pieniądze, dostarczali wszelkich potrzebnych informacyi, przynosili najświeższe wiadomości i plotki i to wszystko za bardzo liche wynagrodzenie.

II.

Zakłady naukowe, instytucye dobroczynne, czasopisma, szpitale, apteki.

Kiedy Frankowie na Litwę przybyli, tam dopiero ukończona została walka Uniwersytetu z Jezuitami, którzy, korzystając z praw, nadanych im przez cesarza Pawła I, zamierzali ująć w swe ręce wszystkie zakłady naukowe, w tej liczbie i Uniwersytet wileński. Byłoby to się Jezuitom powiodło, gdyby im nie przeszkodził generał Kutuzow. Po wstąpieniu na tron Alexandra I, Strojnowski z Tadeuszem Czackim udali się do Petersburga i, mając poparcie ze strony ks. Adama Czartoryskiego, przedstawili cesarzowi projekt reorganizacyi szkoły głównej wileńskiej. Projekt ten został przez cesarza Alexandra I przyjęty przychylnie i d. 4 kwietnia 1803 r. cesarz wydał ukaz, którym zatwierdził *Uniwersytet cesarski w Wilnie.* Strojnowski, człowiek światły i pełen dobrych chęci, stanął na czele tej wyższej szkoły naukowej i postanowił uczynić z niej źródło, z którego by kraj cały czerpał wiedzę i oświatę. Ponieważ nie sądził, by miejscowi uczeni byli zdolni stanąć na wysokości zadania, zaczął sprowadzać profesorów z zagranicy. Jedni z pierwszych przybyli obaj Frankowie. Był to dopiero początek zabiegów Strojnowskiego, to też nic dziwnego, że Frank znalazł niemało wadliwości w urządzeniu Uniwersy-

tetu, w podziale na fakultety, w sposobie nauczania i t. d. W kilka lat później opracował nawet nowy projekt reformy Uniwersytetu i przedstawił takowy ks. Czartoryskiemu wraz z listem, w którym w bardzo ciemnych kolorach odmalował Uniwersytet, rektora Jana Śniadeckiego i profesorów. Projekt ten jednak nie został przyjęty i stał się przyczyną znacznego oziębienia ze strony rektora i profesorów względem Franka. Uniwersytet w owym czasie był utworzony na wzór Instytutu narodowego we Francyi (l'Institut National de France) i posiadał 4 wydziały: fizyko-matematyczny, lekarski, nauk moralnych i politycznych, oraz wydział literatury i sztuk pięknych. Oto pogląd Franka na niepraktyczność takowego podziału:

„Możemyż wyobrazić sobie coś więcej nielogicznego, jak ten fakultet nauk moralnych i politycznych, na którym bez żadnego związku są wykładane i teologia, i prawo, i ekonomia polityczna? Jakim sposobem budownictwo znalazło się na wydziale fizyko-matematycznym? Naostatku, jakie znaczenie może mieć fakultet medyczny, posiadający 7 tylko katedr, licząc w to i sztukę weterynaryjną?" [1])

Liczba studentów na początku istnienia zreformowanego Uniwersytetu nie była wielka, jak to można wnosić stąd, iż na wykłady kliniczne znakomitego Jana Franka zapisało się 16 studentów; lecz w ich liczbie było 6, którzy dopiero rozpoczynali studya lekarskie i nie byli przygotowani do słuchania wykładów klinicznych. Kliniki jeszcze nie było; stworzył takową Jan Piotr Frank, który musiał jednak pokonać niemało trudności. Dla klinik Uniwersytet kupił za 10 tysięcy dukatów holenderskich pałac ks. Mateusza Radziwiłła przy ul. Wielkiej. W 5 salach wązkich, lecz dość obszernych, umieszczono 16 łóżek żelaznych. Ściany, łóżka i meble były wymalowane na biało, aby najmniejsza plamá, lub kurz nie

[1]) Katedry te, według statutu, były następujące: Anatomia, patologia, Materi a medica, klinika, Chirurgia, Położnictwo, sztuka weterynaryjna.

mogły się ukryć. Pomimo otwarcia kliniki, nie sposób było znaleźć chorych, ponieważ publiczność patrzyła na tę nową instytucyę podejrzliwem okiem i wierzyła pogłoskom, że w celu nauczania studentów tu będą dokonywane wiwisekcye i różnego rodzaju bolesne doświadczenia. Aby zapełnić klinikę i przekonać publiczność o fałszywości rozsiewanych wieści, Uniwersytet był zmuszony brać chorych przemocą ze szpitala Sióstr miłosierdzia (obecnie Sawicz). Jan Frank rozpoczął 21 listopada 1804 r. wstępną lekcyę przemową „De arte longa et vita brevi Hypocratis,“ która to przemowa wprawiła w zachwyt całe audytoruym. Na wykładzie tym byli obecni nietylko wszyscy profesorowie, lecz również wyższe duchowieństwo i szlachta. Niedługo potem rozpoczął wykłady i Józef Frank. Ten korzystał przez pewien czas z materyału, znajdującego się w szpitalu Sióstr miłosierdzia.

W chwili przybycia Franków do Wilna, w Uniwersytecie byli następujący profesorowie: Jędrzej Śniadecki, prof. chemii, Hieronim Strojnowski, biskup-rektor, Stanisław Jundziłł, prof. zoologii i botaniki, Franciszek Narwojsz—matematyki, Karol Langsdorf wykładał matematykę stosowaną, Ignacy Reszka—astronomię, Stefan Stubichewicz—fizykę, Michał Szulc—budownictwo cywilne i wojenne, Marcin Poczobut (emetyt) był profesorem astronomii, kanonik Mickiewicz—fizyki, Jan Henryk Abicht—logiki i metafizyki, Szymon Malewski—prawa, Aloizy Cappelli—prawa cywilnego i kryminalnego; Filip Golański i August Tomaszewski wykładali teologię, Paweł Tarenghi—łacinę, misyonarz Husarzewski — historyę, Bogusławski—teologię. Na wydziale lekarskim Jan Lobenwejn wykładał anatomię, August Been fizyologię, hygienę i policyę lekarską; Jakób Briolet był profesorem chirurgii, Ferdynand Spitznagel — materiae medicae, Jędrzej Matusiewicz położnictwa.

Oprócz tego, prof. Smuglewicz i jego adjunkt, Jan Rustem, udzielali lekcyi malarstwa i rysunku, zaś Andrzej Lebrun rzeźby. Pinabel dawał lekcye języka francuskiego, Hanstein—niemieckiego i Holland muzyki.

Niedługo potem zostali zaproszeni do Wilna Ludwik Bojanus na katedrę weterynaryi, Ernest Grodek na profesora literatury greckiej, Joachim Lelewel na profesora historyi, Saunders na profesora języka angielskiego i rytownictwa, Czerniawski—literatury rosyjskiej.

Wstrzymujemy się od charakterystyki tych profesorów, podanej przez Franka, gdyż znajdujemy takową zbyt stronną.

Profesorowie występowali na posiedzeniach publicznych i uroczystych w togach, mieli również mundury. Mieszkania mieli w domach, należących do Uniwersytetu. Tak, Frankowie, Cappelli i Tarenghi mieszkali w domu, na rogu ul. Wielkiej i zaułka Szwarcowego (dziś dom okręgu naukowego). Dom ten dotąd jest znany pod nazwą domu Franka. Tu również po Franku mieszkał i umarł Jędrzej Śniadecki.

Studenci, jakeśmy wyżej rzekli, przy otworzeniu Uniwersytetu byli nieliczni (lecz już po kilku leciech liczba ich znacznie się zwiększyła), i, jak świadczy Frank, najczęściej nie przysposobieni do studyów uniwersyteckich. Wielu z nich zupełnie nie znało łaciny, zaś na wydział lekarski przyjęto kilku cyrulików, którzy nawet czytać nie umieli.[1]) Nic więc dziwnego, że nie zawsze zachowywali się przyzwoicie i Frank z oburzeniem wspomina w liście do ks. Adama Czartoryskiego o bójkach, staczanych przez studentów, o nieprzyzwoitem zachowywaniu się ich na lekcyach fizyki i t. d.

Nie będziemy się temu wszystkiemu dziwili, jeśli wspomnimy, że zreformowany Uniwersytet dopiero zaczynał działać, a więc musiał przedstawiać niemało stron ujemnych i wadliwości, które stopniowo usuwano, tak, że już po kilku latach Uniwersytet zajaśniał świetnym blaskiem i zjednał dla Wilna nazwę Aten północnych.

---

[1]) T. III

Bądź co bądź, była to najwyższa szkoła naukowa w kraju, która okazała cywilizacyi krajowej znakomite usługi i budziła publiczność do życia umysłowego.

Uniwersytet posiadał własną drukarnię przy ulicy Ś-to Jańskiej (dziś szkoła miejska). Tu drukowano rozprawy profesorów i dzieła naukowe. Oprócz tego, w Wilnie było kilka drukarni, należących do osób prywatnych, jak np. księgarnia Józefa Zawadzkiego, która oddała literaturze polskiej niemałe usługi.

Z pism na samym początku bieżącego stulecia wychodziła gazeta „Kuryer Litewski.“ W roku 1805 rozpoczęto wydawnictwo „Dziennika Wileńskiego.“ W tym to dzienniku umieszczali swe prace profesorowie uniwersytetu, szczególnie Jan i Jędrzej Śniadeccy. W roku 1806 powstała „*Gazeta literacka wileńska.*“ Wydawali ją Grodek i Kazimierz Kontrym. Pomimo wybornej redakcyi, utrzymać się nie mogła. Całkowity rocznik tego pisma (za rok 1806-ty) znajduje się w książnicy wileńskiego Towarzystwa lekarskiego. Na końcu książki Piotra Chmielowskiego („Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi“), mieści się spis czasopism, wydawanych w Wilnie. Gazeta o której mowa, została przytem pominiętą.

W r. 1818 zawiązało się w Wilnie Towarzystwo Typograficzne, na którego czele stanęli: Michał Ogiński, Adam Chreptowicz, Michał Baliński i inni. Towarzystwo liczyło 58 członków. Zadaniem tego Towarzystwa było wydawanie tanich książek.

W r. 1815 Joachim Lelewel założył pismo „Tygodnik wileński,“ którego prowadzenie niedługo potem ustąpił poecie Ignacemu Szydłowskiemu. Pisma te, odznaczające się kierunkiem postępowym, zawierały prace naukowe, popularne, politykę, różne wiadomoście, oraz artykuły polemiczne. W r. 1816 Emanuel Lachnicki zaczął ogłaszać czasopismo „Pamiętnik magnetyczny wileński,“ w którym dobijał się dla magnetyzmu zwierzęcego prawa obywatelstwa wśród innych nauk. Towarzystwo Szubrawców zaczęło wydawać pisemko satyryczne „Wiadomości brukowe.“ W piśmie tym brali

udział prof. Leon Borowski i Jędrzej Śniadecki. Satyryczne artykuły tego ostatniego znane były całemu społeczeństwu. Towarzystwo dobroczynności wydawało „Dziennik dobroczynności krajowej i zagranicznej." Od roku 1818 Towarzystwo lekarskie (założone przez Józefa Franka w 1805 r.), zaczęło ogłaszać drukiem „Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego wileńskiego." Oprócz tego, w Wilnie drukowano z każdym rokiem coraz to więcej książek różnego rodzaju, rozpraw i broszur.

Rozmiary pracy naszej nie pozwalają na opisywanie innych zakładów naukowych, istniejących w Wilnie na początku XIX wieku. Możemy tylko uczynić o nich wzmiankę.

Wszystkie zakłady naukowe, zarówno w Wilnie, jak w 8 guberniach, zależne były od Uniwersytetu wileńskiego. Prawie wszystkie zakony w Wilnie posiadały szkółki, w których wykładali nie sami tylko zakonnicy, lecz i profesorowie świeccy. Najsławniejszą jednak była w owym czasie szkoła powiatowa o.o. Bazylianów dla chłopców i pp. Bazylianek dla dziewcząt. Wizytki miały nie mniej sławne pensyę dla panien zamożnych. Istniały w Wilnie i pensye prywatne, z tych wspomnimy tylko o pensyi, założonej przez panie Sokulską i Cichocką. Pensya ta była założona na wielką skalę, z bardzo obszernym programem nauk. Do nauczania zaproszono najlepszych w Wilnie nauczycieli. To też uczenic nie zabrakło i dobijano się o przyjęcie do ich grona. Ponieważ jednak pani Cichocka, kobieta jeszcze urodziwa i zalotna, zaczęła prowadzić w Wilnie dom otwarty, oddając się całkowicie zabawom i balom, większość rodziców odebrała swe córki z pensyi, która też w prędkim czasie upadła. Dla kształcenia duchowieństwa, istniało w Wilnie seminaryum duchowne, ściśle z Uniwersytetem związane.

Z zakładów dobroczynnych wskażemy na założony przez Józefa Franka w 1807 Instytut macierzyństwa dla ubogich położnic. Frank, jako lekarz, zwiedzając różne przytułki nędzy, widział, w jak okropnych nieraz warunkach przychodzą na świat dzieci klasy ubogiej i jak znaczna ilość ko-

biet i noworodków ginie wprost z braku pomocy lekarskiej, dobrego pożywienia i wskutek niemożebnych warunków hygienicznych. Mając wysoce rozwinięte uczucie altruizmu, Frank postanowił przyjść tym biednym kobietom z pomocą. W tym celu urządził koncert, który przyniósł 1,800 rubli dochodu. Na opiekunki nowej instytucyi zaprosił żonę generał-gubernatora, panią Benigsenową, i hrabinę Kosakowską (wdowę po hetmanie Kosakowskim). Chciał Frank pociągnąć jaknajwięcej dam, lecz te uważały dla siebie takową czynność za niestosowną i kompromitującą. Dopiero, gdy po roku przyszła wieść, że Napoleon I otworzył podobny instytut w Paryżu, i że najznakomitsze damy poczytują sobie za zaszczyt należeć do liczby członków tej instytucyi, panie wileńskie pośpieszyły pójść w ich ślady, i byt założonego przez Franka instytutu został zapewniony.

Drugą instytucyą, stworzoną przez Franka w r. 1806, był instytut domowej pomocy lekarskiej, czyli ambulatoryum bezpłatne.

Dwa razy na tydzień profesor w obecności studentów udzielał porady lekarskiej przychodzącym chorym, którzy otrzymywali bezpłatnie lekarstwa z apteki uniwersyteckiej; oprócz tego, zdolniejsi studenci starszego kursu obowiązani byli odwiedzać niektórych chorych w domach i zdawać sprawę z przebiegu choroby profesorowi, który w razie potrzeby sam udawał się do takiego chorego. Pieniądze, potrzebne Frankowi, również dał koncert. Wówczas biskup Kosakowski, człowiek wielkich cnót i zasług, wznowił Towarzystwo dobroczynności, założone jeszcze przez Piotra Skargę lecz istniejące tylko na papierze Radziwiłł zapisał nowemu Towarzystwu swój olbrzymi dom przy ulicy Wileńskiej, a cesarz Alexander z własnej szkatuły dał 1,000 rubli. Kosakowski zaproponował Frankowi, aby przyłączył utworzony przez siebie instytut domowej pomocy lekarskiej do Towarzystwa dobroczynności, jako oddział trzeci, co też w prędkim czasie uskuteczniono. Towarzystwo dobroczynności i jego trzeci oddział funkcyonują dotąd.

Przy Towarzystwie dobroczynności, zawsze dzięki Fran-

kowi, utworzyło się w r. 1808 Towarzystwo przeciwżebracze. Zebrano z miasta wszystkich żebraków, włóczęgów, kaleki i ludzi niezdolnych do pracy; starców, chorych i kaleki umieszczono w szpitalach, innych zaś poodsyłano do obywateli, których byli poddanymi. To też Wilno odetchnęło swobodniej, gdy mieszkańców jego przestały napastować na ulicach i około kościołów tłumy żebraków. Przy sprawdzaniu stanu i stopnia nędzy tych ludzi okazało się, że wielu z nich cieszyło się dobrobytem i uprawiało żebraninę, jako rzemiosło. Opowiada Frank o starym żebraku z pod Ostrej Bramy, który miał w Wilnie kamienicę i wcale ładny kapitalik, ale nie porzucił żebraniny, która stała mu się nałogiem.

Frankowi należy się również zasługa urządzenia w Wilnie pierwszego w Europie instytutu szczepienia ospy, w r. 1806. Instytucya ta była niezbędną, gdyż ospa czyniła w Wilnie straszliwe spustoszenia. W prędkim czasie instytut był w stanie wysyłać krowiankę i na prowincyę.

Szpitale wileńskie były w bardzo opłakanym stanie[1]; oprócz szpitali św. Jakóba, sióstr miłosierdzia, klinik, oraz szpitala wojennego, szpitale istniały i przy niektórych klasztorach, lecz wiele pod każdym względem pozostawiały do życzenia. U Maryawitek, przy kościele św. Stefana, wychowywano neofitki. Gdy w r. 1806 wojska przyniosły do Wilna tyfus, wszystkie zakonnice uległy tej chorobie. Lekarz przy szpitalu klasztornym, Spitznagel, stracił głowę i uprosił Franka, by zechciał odwiedzić chore zakonnice. Ten znalazł szpitalik w stanie okropnym: chore nie miały nietylko żadnej posługi, lecz nawet pożywienia i leków. Pomimo mrozów (grudzień), pieców nie opalano, ponieważ nie było drzewa na opał. Frank zakołatał do miłosierdzia publiczności i drogą składek zebrał sumę potrzebną na pożywienie, leki i opał dla chorych. Cmentarze przy tym klasztorze były utrzymane bardzo źle. Zmarłych w szpitalu grzebano tu bez trumien i tak niegłęboko, że w nocy psy odgrzebywały

---

[1]) Kirkor powiada, że w Wilnie było w owym czasie 8 szpitali

trupy. Szpital sióstr miłosierdzia znajdował się również w stanie opłakanym.

Dla uzupełnienia obrazu, wypada powiedzieć słów kilka o aptekach w Wilnie. Tych było kilka: uniwersytecka w gmachu uniwersyteckim (gdzie dziś cukiernia Webera), zielona przy ul. Wielkiej, pod słońcem—przy ul. Dominikańskiej i parę innych. Apteki te wcalo nie były podobne do dzisiejszych i raczej przypominały sklepy korzenne, ponieważ dostać tu można było również tabakę, trojankę, mydła pachnące, szuwaks, pierniki, kadzidła, atrament, różne cudowne eliksiry i t. d. Lekarstwa wydawano bez kopii recept lekarzy i do tego stopnia niedbale, że lekarze często woleli sami przyrządzać takowe, niż pozwolić choremu zażywać środki, przyniesione z apteki. Aptekarze byli to najczęściej ludzie bez wykształcenia, chciwi zysków, dla których przysporzenia w pewnych porach roku posyłali prezenta lekarzom.[1]) Dopiero prof. Jan Wolfgang, stojący na czele apteki uniwersyteckiej, zaczął domagać się zaprowadzenia zmian, zaś od aptekarzy specyalnego wykształcenia. Ten to zacny i niezmordowany pracownik podniósł apteki na należne im stanowisko.[2])

Lekarzy w Wilnie było niewielu. Największą praktyką cieszyli się prof. Jędrzej Sniadecki i niejaki dr. Liboschitz, żyd, człowiek chciwy, wymagający, aby mu płacono zgóry. Mieszczanie i lud prosty chętniej się leczyli u cyrulików i znachorów. Dopiero urządzony przez Franka instytut pomocy lekarskiej dla niezamożnych zachęcił klasę ubogą do szukania porady u lekarzy.

---

[1]) Wolfgang: „Uwagi historyczne nad stanem Farmacyi." „Dziennik wileński", 1816. T. IV, str, 240.

[2]) Moja praca: „Dzieje Towarzystwa lekarskiego wileńskiego" w „Pamiętniku Tow. lek. warsz." 1897 zesz. III.

III.

Towarzystwo, życie towarzyskie, zabawy, koncerta, teatr.

Wilno na początku bieżącego stulecia liczyło dużo domów arystokratycznych, zamożnych i inteligentnych, które nadawały ton życiu towarzyskiemu. Hrabia Choisel-Gorefier (syn posła francuskiego w Konstantynopolu), żonaty z hr. Potocką, hr. Kosakowski, wielki łowczy litewski, hr. Tyzenhaus, hr. Morikoni, hr. Potocki, żonaty z hrabianką Pacówną, Sapiehowie, Pacowie, Tyszkiewiczowie, Mostowscy i inni, prowadzili domy otwarte; obiady, wieczory i bale wspaniałe następowały jedne po drugich. Na balach tych uroda dam i dowcip mężczyzn współzawodniczyły ze sobą. Sejmiki, które się w Wilnie odbywały, niemało przyczyniały się do ożywienia miasta, ponieważ zjeżdżała się na nie zamożna szlachta z dworami, służbą i przyjaciołmi.

W domu Müllera otwarto kasyno. Tu urządzano świetne bale maskowe, przedstawienia amatorskie, koncerty i inne zabawy, na które nieraz ze stron dalekich zjeżdżało się obywatelstwo i hojnie sypało złotem.

Szampań uchodził za zwykły napój i opłata po 5 dukatów od osoby za kolacyę, uważana była za rzecz zwyczajną. Członkowie kasyna nie mogli się pogodzić, towarzystwo się rozdzieliło i część jego przeniosła swe zabawy do pałacu Witinghoffów (dziś hotel Sokołowskiego). Przez Wilno często przejeżdżali i bawili po dni kilka udający się do Petersburga zagraniczni posłowie; przyjmowano ich gościnnie, urządzano zabawy, uczty i starano się, aby ci panowie wywieźli z Wilna miłe wspomnienie.

Duchowieństwo świeckie nie usuwało się od towarzystwa. Biskup Kosakowski, człowiek wielkich zasług, cnotliwy, surowy dla siebie, pobłażliwy dla innych, chętnie się udzielał towarzystwu. Mieszkając z bratem, którego żona odznaczała się wykształceniem, rozumem i dowcipem, biskup chętnie spędzał wieczory w towarzystwie dam i umiał obe-

cnością swą, oraz rozmową poważną, a zawsze zajmującą, nadać tym zebraniom nader miłą cechę; to też dom Kosakowskich uważany był w Wilnie, jako najinteligentniejszy i najprzyjemniejszy.

Wogóle, biskup Kosakowski był powszechnie wielbiony, tak dla cnotliwości, jak również dla zalet towarzyskich.

Rektor Uniwersytetu, biskup Hieronim Strojnowski człowiek głębokiej wiedzy, ujmującego obejścia, władający znakomicie kilkunastu językami, oraz profesorowie Uniwersytetu, szczególnie Sniadeccy, wnosili na zebrania towarzyskie żywioł poważniejszy, chociaż nie uchylali się od zabaw. Lecz duszą towarzystwa w prędkim czasie stał się prof. Józef Frank, który, przybywając do Wilna, miał lat 35. Wszechstronnie wykształcony, zawsze czynny, towarzyski, wesoły, dowcipny i pełen pomysłów, w prędkim czasie po przybyciu do Wilna umiał pozyskać sobie wszystkich i bez niego nie obeszła się żadna zabawa. Urządzał kuligi, przedstawienia amatorskie, w jednym z nich nawet sam chciał grać jakąś rolę komiczną. Powstrzymał go jednak uczeń i przyjaciel Niszkowski, — przekładając, iż byłoby źle widzianem, gdyby profesor występował, jako aktor. Frank wprowadził w Wilnie zwyczaj wydawania uczt stylowych i pierwszy urządził u siebie kolacyę rzymską. Pokój jadalny, umeblowanie, ubiory gości i sług oraz potrawy, wszystko to w stylu rzymskim. Nowość ta spodobała się i wywołała cały szereg uczt greckich, tureckich, chińskich i t. d. Nie zbywało Frankowi i na intrygach miłosnych i nawet raz omal nie doszło do pojedynku z p. Andrzejkowiczem. Piękna pani Krystyna Frankowa, która swym śpiewem wprawiła w zachwyt cesarza i cesarzową[1]) i otrzymała od tej ostatniej bo-

---

[1]) Gdy pani Frankowa śpiewała w Petersburgu, w kółku rodzinnem cesarskim, po jakiejś aryi, odśpiewanej po polsku, wszczęła się pomiędzy Alexandrem I i panią Frankową dysputa o tem, który z języków, rosyjski, czy też polski, nadaje się lepiej do śpiewu. Cesarz bronił języka rosyjskiego, zaś pani Frankowa twierdziła, że po włoskim, język polski jest najmilszy w śpiewie. Cesarz zakończył dysputę komplementem: „W ustach pani każdy język jest śliczny.“

gaty brylantowy naszyjnik, brała udział we wszystkich zabawach i uprzyjemniała takowe swym śpiewem. Chętnie też występowała na koncertach. Otoczona zwykle bywała rojem młodzieży, lecz największym jej wielbicielem był później Wacław Pelikan. Przyjaźń ta dała powód do następnego paszkwilu. Frank kazał zrobić portret litografowany swej pięknej żony i odbitki tegoż rozdał przyjaciołom. Niedługo potem zjawiły się w Wilnie zupełnie podobne litografie z tą jednak odmianą, że pani Frankowa trzymała na ręku ptaka pelikana.

Generał-gubernator, baron Benigsen, który, wkrótce po przybyciu na Litwę, zakochał się i ożenił z urodziwą panną Andrzejkowiczówną (córką obywatela gub. grodzieńskiej), również prowadził dom otwarty w zimie w mieście, zaś latem w swej willi w Zakrecie. Na przyjęciach u generał-gubernatorstwa towarzystwo bywało mieszane; tu się spotykali: szlachta, wojskowi, urzędnicy, duchowieństwo katolickie, prawosławne i protestanckie, profesorowie i t. d. Gospodarze jednak, a szczególnie sama pani Benigsenowa, umieli łączyć towarzystwo z zadziwiającym taktem.

Na czele poczt litewskich stał Ławiński, dygnitarz, światowiec, gruntownie wykształcony, lecz nieszczęśliwy w pożyciu z żoną, która go zamęczała zazdrością. Jako pomocnika miał pana Horn, człowieka bardzo inteligentnego i energicznego lecz niezamożnego. Ten, poznawszy prześliczną i uroczą pasierbicę prof. Brioleta, oświadczył się o jej rękę, gdyż panna była mu wzajemna. Otrzymał jednak rekuzę, ponieważ profesor marzył o lepszej partyi dla swej urodziwej i posażnej pasierbicy. Wówczas Horn, mając do rozporządzenia pocztę i protekcyę generał-gubernatora, wykradł pannę i, pomimo pogoni, zdążył wziąć ślub.

Młoda i piękna pani Hornowa chętnie została przyjęta przez towarzystwo wileńskie.

Ponieważ wspomnieliśmy o urzędnikach, stojących na czele poczty, nie zawadzi parę słów powiedzieć o tej instytucyi, która się mieściła w olbrzymim pałacu Radziwiłłowskim, zwanym kardynalią. Publiczność wileńska niechętnie jednak

przesyłała korespondencyę przez pocztę, gdyż wszystkie listy były otwierane i czytane. Obowiązkiem urzędników było dostarczanie listów miłosnych pani naczelnikowej, która znajdowała przyjemność w podobnej lekturze. Frank powiada, że leczył trzech urzędników pocztowych, którzy się zatruli ołowiem, robiąc odciski z pieczątek na listach. Ludzie zamożniejsi prowadzili korespondencyę przez posłańców umyślnych. Obywatel Karp, będąc chory, wezwał z Wenecyi sławnego chirurga Pajolę listem, wysłanym przez własnego posłańca. Inni korzystali z okazyi, lub przesyłali listy przez t. zw. pocztę pantoflową, t. j. przez żydów.

Z osobistości, znanych w Wilnie, wymienimy jeszcze prezydenta Lachnickiego. W rozmowie nie używał innego języka, jak tylko polskiego lub łaciny. Był to człowiek prawy, powszechnie szanowany. Żonę miał piękną, lecz bez wykształcenia.

Najwięcej eleganckim był jednak dom marszałka szlachty, hr. Brzostowskiego, ożenionego z hrabianką Chreptowiczówną. Na balach u Brzostowskich zbierało się wyborowe towarzystwo: arystokracya, uczeni, literaci, profesorowie uniwersytetu i t. d.

Do najurodziwszych pań zaliczano w owym czasie: panią Benigsenową, Chiseulową, Frankową, żonę wice-gubernatora, Bagniewską (z domu Mitejko), żonę sekretarza gubernatora, Bobiatyńską, panią Hornową, oraz pannę Zofję Tyzenhausównę. Panna Tyzenhausówna poślubiła hr. Choiseul i wydała pamiętniki o cesarzu Alexandrze I. Frank często się powołuje na te pamiętniki, zaś o pannie Tyzenhausównie odzywa się zawsze z uwielbieniem, jako o osobie zacnej, cnotliwej i rozumnej. Napoleon I, w czasie bytności w Wilnie, poznał ją; został nią zachwycony i był względem niej uprzedzająco grzeczny, wówczas, gdy względem innych dam zachowywał się brutalnie.[1])

[1]) Frank opisuje bal u hr. Paca, na którym to balu Napoleon zachowywał się w bardzo nieprzyzwoity sposób. Zadawał pannom pytania, od których te omal nie mdlały, odrzucił nogą na drugi koniec salonu poduszkę, położoną mu pod nogi i t. d.

Panie te współzawodniczyły ze sobą wdziękami, co jednak nie przeszkadzało im być dobremi żonami i matkami, a nawet spełniać obowiązki miłosierdzia. W czasie wielkiego tygodnia, kwestowały w kościołach i po domach.

Klasa średnia za nielicznemi wyjątkami nie brała udziału w tych zabawach, gdyż ani czas, ani kieszeń nie pozwalały na to. Mając dzień cały zajęty pracą, wieczory spędzano w kółku rodzinnem, lub w gronie bliskich znajomych i przyjaciół. I tu bywały wieczorki i zabawy, nie tak zbytkowne i huczne, jak wyżej opisane, lecz nie mniej wesołe, gdyż ożywiała je młodzież uniwersytecka. Młodzież, przy klawikordzie lub skrzypcach, na których wygrywał żydek, tańczyła do białego dnia, grała w gry towarzyskie; deklamacya, śpiew chóralny urozmaicały zabawę. Starzy zaś przy szklance piwa lub miodu grali w karty, w szachy, albo bawili się polityką, dzielili Europę, i opowiadali sobie nowiny polityczne i ploteczki miejskie.

Frank co niedziela zbierał u siebie wieczorami na pogawędkę młodzież; tu swobodnie rozprawiano, czytano, bawiono się i tańczono. Na wieczorach tych bywali i profesorowie, to też wywiązywał się stosunek serdeczny pomiędzy nimi i studentami, którzy nieraz prowadzili zażarte dysputy ze swymi nauczycielami, kończąc takowe przy winie lub piwie.

Wilnianie lubili przechadzki za miasto i w ciche, ciepłe wiosenne i letnie wieczory, ożywiały się malownicze okolice starego grodu Gedyminowego. Całe rodziny, studenci, rzemieślnicy, biegli tu, aby użyć świeżego powietrza i nacieszyć się naturą. Urządzano częste majówki, na których szczera wesołość wybuchała głośnym śmiechem, śpiewem lub tańcami na murawie. Ci, co wracali przez Ostrobramę, tu odmawiali swe wieczorne modlitwy, to też do późnej nocy można było widzieć przed kaplicą na chodnikach stojące i pokornie klęczące osoby, które zawsze miały o coś prosić Boską Opiekunkę Wilna, lub za co Jej dziękować.

Wilno posiadało nie mało kawiarni, w których wieczorami gromadzili się mężczyźni na pogawędkę i dla przeczytania

gazety. Tu młodzież uniwersytecka, paląc fajki na długich cybuchach i ze szklanką w ręku, prowadziła gorące dysputy, rozprawiała o wykładach profesorów, albo o nowej przeczytanej książce, oraz śpiewała „Gaudeamus.“

Teatr, który z początku pociągał liczną publiczność, dzięki wybornej grze aktorów, przestał być uczęszczany, ponieważ w zimie, w sali było straszliwie zimno i termometr wskazywał 12° do 16° R. poniżej zera, zaś przez sufit można było widzieć gwiazdy. Pani Morawska, która stała na czele teatru, nie miała środków, aby takowy odnowić, choć posiadała trupę, złożoną z doskonałych artystów. Wskutek propozycyi Franka, teatr z rozporządzenia generał-gubernatora przeniesiono do ratusza, gdzie i obecnie się znajduje. Z aktorów cieszyli się największą sympatją publiczności: Bogusławski, Dmuszewski, Kudlicz, Werowski i Ledochowska. Grywano przeważnie sztuki tłumaczone, dramaty, trągedje; probowano również dawać opery. Teatr miał własną, wcale niezłą orkiestrę.

Frank, sam bardzo muzykalny, starał się rozbudzić w Wilnianach zamiłowanie do muzyki i w tym celu urządzał koncerty, z których dochód przeznaczał na cele dobroczynne. Pierwszy taki koncert miał miejsce w r. 1806, w kasynie, na rzecz szpitala sióstr miłosierdzia. Wzięli w tym koncercie udział: Pani Benigsenowa (fortepian), panna Laskowiczówna, córka prezydenta (harfa), w kwartecie grali hr. Kazimierz Grabowski (wiolonczela), pułkownik Merlini i p. Sierakowski (skrzypce), zaś pani Frankowa śpiewała po włosku i po polsku. Tylko z orkiestrą teatralną miał Frank nie mało kłopotu nim doprowadził ją do porządku. Kapelmistrz długo nie mógł zrozumieć znaczenia wyrazu „piano“, mniemając uparcie, że takowy wyraz oznacza tempo powolne. Zebrana publiczność była bardzo zadowolona, i chociaż sala mogła pomieścić zaledwie 400 osób, dochodu z koncertu wpłynęło 703 dukaty. Pani Lachnicka i panna Chrapowicka sprzedawały przy wejściu programy i przyjmowały ofiary, które hojnie się sypały do rączek pięknych pań. Hrabia Platon Zubów wysypał na stół garść dukatów.

Powodzenie, jakiego doznał pierwszy koncert, zachęciło Franka do urządzenia innych. D. 23 marca 1806 r. odbył się w teatrze koncert pani Frankowej na rzecz instytutu domowej pomocy lekarskiej dla ubogich i dał dochodu 1,200 rubli srebr. Ktoś napisał z tego powodu na cześć pani Frankowej wcale udatne wiersze, które zatytułował: „Wiersze na pochwałę W. Imci Pani Frankowej, z okoliczności danego koncertu na wsparcie cierpiącej ludzkości w Wilnie, d. 3 marca 1806 roku."

Piękna, mająca śliczny głos i doskonałą szkołę, pani Frankowa w prędkim czasie stała się, jako artystka, ulubienicą Wilnian, to też dość było jej udziału w koncercie aby zapewnić temuż powodzenie. Bilety rozkupywano w mgnieniu oka i przepłacano. Szczególnie podziwiano w śpiewaczce że, będąc cudzoziemką, tak poprawnie śpiewała po polsku.

D. 1 marca 1807 r., w casino miał miejsce drugi koncert na rzecz tegoż instytutu. Pani Frankowa śpiewała kilka aryj włoskich i polonez, którego słowa i muzykę ułożył dla niej ks. Michał Ogiński. Polonez ten wywołał całą burzę oklasków i przez długi czas zebrana w sali publiczność nie mogła się uspokoić i szumnie swój zachwyt wyrażała. Duet odśpiewała z panią Frankową hrabina Choiseul de Goutier; hr. Stanisław Tyszkiewicz zachwycał słuchaczy czystym i dźwięcznym tenorem, hr. Antoni Plater odegrał koncert na klarnecie, zaś p. Krukof kilka ładnych utworów na fortepianie. Za bilet płacono dukata holenderskiego, lecz od wielu osób otrzymano hojne naddatki. Tak hr. Choiseulowa i hr. Ogiński złożyli po 50 dukatów. Koncert ten dał dochodu 1,812 rubli—netto.

Następny koncert (w r. 1807), w którym wzięli udział niektóre, zaproszone przez Franka, artystki teatru, dał czystego dochodu 1,938 rubli. Sumę tę użyto na wspomożenie 3-go wydziału dobroczynności. Inny koncert (d. 15 stycznia 1808 r.), na rzecz Towarzystwa dobroczynności, na którego czele, po śmierci Kosakowskiego, stanął towarzysz broni Kościuszki, Tomasz Wawrzecki, dał 900 rubli. W krótkim czasie Frank

urządził przedstawienie amatorskie, na którem odegrano tragedję Phedra. Z przedstawienia tego wpłynęło 1,800 rubli.

Gdy Frank przekonał się, iż Wilnianie chętnie słuchają i umieją ocenić dobrą muzykę, postanowił urządzić koncert wspaniały, mianowicie dać możność publiczności usłyszenia „Stworzenie świata“ Haydna, który w tem arcydziele jedną aryę napisał specyalnie dla pani Frankowej. Nie będziemy tu opisywali, jakie trudności musiał pokonać Frank z dobraniem chórów, wyuczeniem orkiestry i t. d. Ksawery Chomiński, znany z doskonałych przekładów poetów francuskich, oraz prof. Chodani przełożyli słowa „Stworzenia świata“ na język polski. Głównych partyi podjęli się: pani Frankowa i aktorowie: Palczewski i Wolski, chór utworzono ze śpiewaków kościelnych, teatralnych i amatorów, orkiestrę teatralną wyuczył sam Frank, zaś bawiący czasowo w Wilnie znany pianista i kompozytor Steibelt, na kilku próbach dał potrzebne wskazówki. Wielką salę w ratuszu przystrojono i udekorowano w ten sposób, iż czyniła wrażenie świątyni. Aby publiczność mogła lepiej zrozumieć to arcydzieło Haydna, w programie wydrukowano objaśnienia tekstu. Chociaż opłatę za wejście naznaczono wysoką, znalazło się tyle pragnących być na koncercie, że nie wystarczyło miejsc i koncert nazajutrz powtórzono. Zachwyt publiczności granic nie miał, to też przez długi czas o niczem innem w Wilnie nie mówiono, jak o tym wspaniałym koncercie. Czysty dochód, w ilości 1,000 dukatów, przeznaczono na wsparcie 3-go wydziału dobroczynności.

Tak mniej więcej żyło Wilno w pierwszym lat dziesiątku bieżącego stulecia; w r. 1811 zabawy ustały, wobec zbliżającej się burzy politycznej; zaś rok 12-ty, wejście do Wilna Napoleona, zmiana stosunków, nakoniec straszliwy odwrót wielkiej armii francuskiej, na długi czas zostawiły niezatarte ślady na mieście, mieszkańcach tegoż i życiu towarzyskiem.

KRÓTKA WIADOMOŚĆ

o rękopisach

BIBLIOTEKI SZCZORSOWSKIEJ.

Litawor zalecał w *Grażynie* Rymwidowi:

„A skoro słońce z *Szczorsowskiej* granicy pierwszym promieniem grób Mendoga draśnie, wszyscy staniecie na Lidzkiej ulicy. Czekać mię rzeźwo, zbrojno i zapaśnie.“ (125—128).

Granica Szczorsowska, od której pierwszego blasku słońca mieli czekać Nowogrodzianie, leżała na wschód słońca od Nowogródka, a Szczorse odległe o $3^1/_2$ mili od Nowogródka. Tam dla Mickiewicza pono pierwsze jaśniejsze promienie oświetliły zamierzchłe dzieje dawnej Litwy. Tam miał Mickiewicz w bogatej na owe czasy książnicy, w spokoju od gwaru miastowego rozjaśnić dla siebie odległe czasy i stworzyć poemat, który zostanie na zawsze jedną z większych pereł w polskiej literaturze. Pod koniec roku 1821, A. Mickiewicz otrzymał zwolnienie od obowiązków nauczycielskich i czas od d. 1 listopada 1821 r. do d. 7 stycznia 1822 spędził w Szczorsach, prastarej siedzibie Litaworów Chreptowiczów; w Szczorsach powstała Grażyna, a bohater tego poematu litewskiego na pamiątkę pobytu tam autora otrzymał miano

Litawora. Pod owe czasy, była to jedna z rzadkich miejscowości na Litwie, gdzie światły dziedzic, dbały o oświatę ludu, otworzył starą bibliotekę dla ogółu, powiększał ją cennemi dziełami.

Biblioteka szczorsowska powstała ze zbiorów ostatniego kanclerza w. ks. litewskiego, hrabiego Joachima Litawora Chreptowicza, zmarłego w r. 1812.

Joachim Chreptowicz, nie szczędząc nakładów, zbierał ze znakomitą znajomością rzeczy najcenniejsze dzieła polskie i zagraniczne.

Zbiory polskie powstały przeważnie wskutek kasaty klasztorów w Galicyi przez Józefa II. Cesarz ten, jak wiadomo, skasował przeważną część klasztorów w Galicyi, 150 z 214 istniejących. Biblioteki tych klasztorów poszły w rozsypkę, a Joachim Chreptowicz przygarnął do swego zbioru wszystko, co było cenniejszego. Nadpisy na dziełach dotąd świadczą, z jakiego klasztoru one pochodzą. W czasie zmiennych losów biblioteki Załuskich w Warszawie, znaczna ilość bardzo cennych dzieł zniknęła z tego księgozbioru. Wiele książek, i to bardzo rzadkich, znalazło schronisko w bibliotece Chreptowiczowskiej. I teraz możemy oglądać w szczorsowskich zbiorach wiele dzieł z tak charakterystycznemi znakami Załuskiego, a nawet z jego notami. Naprzykład na krakowskiem wydaniu z r. 1578 „Epistolae illustrium virorum" Stanisława Karnkowskiego—dopisek ręką Załuskiego—„Raritatis infinitae in hoc editione" i przytem trzy gwiazdki. Na dziele Fausta Socyna „De origine paedobaptistarum errorum," wydanem w Lublinie w r. 1575, nie znanem Estrejcherowi, a znalezionem przez p. T. Wierzbowskiego w Toruniu, Załuski położyć pięć gwiazdek, co miało oznaczać niezwykłą rzadkość egzemplarza. Na wydaniu z r. 1594 w Krakowie Statutów Sarnickiego Załuski położył sześć gwiazdek i dopisał: non nisi 3 ex. in vita mea vidi.

Polskie dzieła otrzymywał kanclerz w darze i od osób prywatnych. Czacki darował kilka bardzo cennych dzieł, w tej liczbie wydanie z w. XVI; mianowicie „Optykę“ Vitelliona, wydaną w roku 1572 w Bazylei, z nadpisami: „Ex libris fratrum B. M. V. de Paradiso Sacr. Ordinis Cisterciensis.“ „Tę rzadką edycyę Vitelona Polaka, którego Baile nie widział, a Załuski między nadzwyczajne liczył rzadkości, Tad. Czacki J. W. Joachimowi Chreptowiczowi K. L. ofiaruje.“ Od Czackiego również pochodzi wydana w r. 1585 w Poznaniu przez Stanisława Reszkę „Przestroga Pasterska.“ Ma ona napisy: „Comparauit Mon. Lauden. T. Bernhardus Jerzycki“ i „J. W. K. L. Chreptowiczowi ofiaruje T. Czacki.“

Dział obcy, dawny, powstał przeważnie przez nabycie zbiorów po znakomitym znawcy książek kardynale Jos. Ren. Imperiali, zmarłym w r. 1737. Kardynał, umierając, przekazał swą bibliotekę na użytek publiczny i zapisał pewną kwotę na jej utrzymanie. W jaki sposób znaczna część jego zbiorów dostała się do Szczors, na teraz nie umiemy powiedzieć. Ze zbiorów kardynała pochodzą i niektóre Polonica: Widawskiego „Generalis controversia de Indulgentiis.“ Druk krakowski, Łazarza, w r. 1593. Rozprawa oprawiona razem z wydaniem dzieł Tomasza Mora w Lowanium r. 1566. Z tegoż zbioru: „Viridarium poëtarum.“ In laudes Stephani Regis Poloniae. Venetiis 1583.

Oprócz kollekcyonowania starych druków, kanclerz nabywał cenniejsze wydawnictwa autorów współczesnych lub przedruki starych. W ten sposób powstał zbiór autorów francuskich i polskich XVIII w. i wydania starożytnych klasyków.

Po śmierci kanclerza, syn jego, Adam, prowadził dalej rozpoczętą przez ojca pracę organizowania biblioteki, nabywał stare, rzadkie druki i bieżące polskie wydawnictwa. Od śmierci Adama († 1846 r.), biblioteka nie powiększała się, a Szczorse przeszły do synowca hr. Adama, hr. Michała Chreptowicza, który umarł bezdzietnie, pozostawiwszy dobra swym siostrzeńcom pp. Buteniew. Szczorse dostały się starszemu

bratu, p. Michałowi, z tytułem hrabiego Chreptowicza. Hr. M. Chreptowicz-Buteniew zawierał w r. 1882 układ ze Stolicą Apostolską i zmarł w r. 1897 na posadzie ambasadora rosyjskiego w Monachium. Obecnie całe dobra Chreptowiczowskie przeszły do rąk młodszego brata, p. Konstantego Buteniewa.

Ojciec obecnego właściciela Szczors, p. Apolinary Buteniew, był ambasadorem rosyjskim przy Stolicy Apostolskiej w pierwszych latach Papiestwa Piusa IX, z matką zaś jego, hrabianką Chreptowiczówną, łączyły Mickiewicza serdeczniejsze stosunki, o czem dowiadujemy się z jednego listu p. Celiny do p. Malewskiej z d. 2 kwietnia 1839 r.: „P. Buteniew,—pisze p. Celina,—była u mnie. Widziała tylko Adama, gdyż ja byłam w Maison de Santé. Od tygodnia już wyjechała, czego bardzo żałuję" (Wł. Mickiewicz. „Żywot Adama Mickiewicza." Poznań, 1892. T. II, str. 421). Bracia Buteniewowie wysoko cenili wartość zbioru Szczorsowskiego i w latach ostatnich postanowili bibliotekę przyprowadzić do porządku, skatalogować i oddać do użytku uczonych. Śmierć nagła hr. Michała Chreptowicza-Buteniewa przerwała rozpoczętą pracę.

O zbiorach Szczorsowskich mamy w literaturze niejednokrotne wzmianki, w których wartość tych zbiorów znacznie jest przeceniana.[1])

Rzeczywiście zbiór ten ma pokaźną wartość, obfity jest w cenne stare druki, ale dla polskiej bibliografii jest tylko jednym numerem więcej, nieznanych zaś wydań posiada bardzo mało.

Przytaczamy tu tytuły kilku polonic'ów, których nie mogliśmy znaleźć u p. Wierzbowskiego.[2])

1. Divi Gregorii Nazanzeni episcopi theolog. graeca

---

[1]) Radziszewski. „Wiadomość o bibliotekach", Kraków 1875, str. 84; Jelski Aleks. „Gazeta Warszawska", 1880, nr. 208, 209 i 215.

[2]) Bibliografia polonica.

quaedam et sancta Carmina. Cum Latina Joannis Langi Silesii interpretatione. Et eiusdem Ioan. Langi poëmata aliquot Christiana. Quorum omnium catalogum, epistolam dedicatoriam sequens pagella continet. Vas electionis et puteus profundus, os dico Christi, Gregorium. Basilius Magnus-Basilae, per Ioannem Oporinum. 8-o str. 240. Na końcu: *Basilee*, Anno Salutis *MDLXI* Mense Januario. Dedykacya — Ioannes Langus Ioanni Oporino. Suidnicure 1560. Ze zbiorów I. A. Załuskiego.

2. Antoni Schneebergeri Tigurini, medici physici, d multiplici salis usu libellus, scriptus ad generosum ac magnificum dominum Hieronymom Bozinski, salinarum regni Poloniae summum praefectum. *Cracoviae* Lazarus Andreae imprimebat, anno *1562*. Mense Maio. 8-o str. nl. 38. Sign. Aij—Eij+1-nsyn.

3. Stephani primi serenissimi Poloniae regis, et magni Lituanorum Ducis etc. adversus Johannem Basilidem, Magnum Moscoviae Ducem, expeditio, carmine elegiaco descripta, A. M. Samuele Wolfio Silesio. Anno MDLXXXII. Str. nl. 58; sign. A_2—G_3+2nsyn. Na końcu Dantisei Typis Jacobi Rhodi, Anno salutis nostrae MDLXXXIII 4-o.

4. *De Succino* libri duo, authore Severino *Goebelio*, medice doctore. Horum prior liber continet piam commonofationem, de passione, resurrectione, ac beneficiis Christi, quae in historia Succini depinguntur. Posterior veram de origine Succini addit sententiam. Accessere et alia quaedam de ambra, etc. *Regiomonti* Borussiae, typis Georgii Osterbergeri. Anno *1582*. 4-o str. nl 3+21; sign. A_3 — C_3. Ded. Johanni Kiszka Capitaneo Samogitiae et pocillatori M. D. L. 1582.

5. Breve chronicon Arctoae partis Germaniae et vicinarum gentium. Ab anno MDLXXXI usque ad 1587. Excusum. MDLXXXVII, s. l. 4-o str. 182. Sign. Aij—Z_3. Estrejcher wskazuje na egzemplarz biblioteki Karnickiej, p. Wierzbowski nie zna.

Przeważnie sprawy Stefana Batorego str. 3. Anno M. D. LXXXI Ineunte Rigam Livoniae metropolia, Stephanus Polo-

niae Rex, in potestatem, fidem et ditionem suam recepit. Na końcu — finis Anno 1586

6. *Hortus* Doct. Laurentii *Scholzii* medici et philosophi: quem ille collit Vratislaviae, situm intra ipsa civitatis moenia, celebratus carmine, M. Andreae Calagii Vratislaviae In officina typographica Georgii Baumanni, I Anno Christi MDXCII, 4-o str. nl. 20 sign. A_2—C.

7. [Postylla Kalksteina] defekt bez tytułu. *Na końcu:* W Toruniu drukowano u Andrzeja Koteniusa, roku od Narodzenia Syna Bożego 1594 5-o Lign. A — $Ll1_4$+2nsyn. kart. CLVIII, CXV, 2nl. Z rycinami.

Podług Estreichera ma być w Korniku 3 części: I, k. I Sign. A. Na pierwszą Niedzielę Adwentu, Ewangelia u Matheusza św. w 21 Kapitule. Cz. II; ks. I. Sign. Aa, na Niedzielę Trójcy św. Ewangelia u św. Jana w 3 kapit. Cz. III; k. 1, Sign. Aaa. Na dzień św. Andrzeja Ewangelia u św. Math. we 4. Kapit.—k. LXV u Errota 1 k. nl. Herb Torunia i data druku.

Druki polskie XVI wieku wogóle są w bardzo niewielkiej ilości, nie więcej nad 100 tytułów, za to wiek XVII i XVIII jest bardzo pokaźnie przedstawionym i zasługuje na szersze sprawozdanie. Posiadamy dokładny spis całego tego działu i kiedyś postaramy się podzielić nim z tymi, których to może obchodzić. Obecnie podajemy spis rękopisów podług porządku, w jakim są one dzisiaj ułożone w bibliotece.

Archiwum Szczorsowskie ma wyłącznie familijne znaczenie. Posiada dokumenta z w. XVI, lecz ściśle majątkowej treści. Bogatą jest korespondencya kanclerza z końca ubiegłego stulecia, a pomiędzy listami jest bardzo wiele listów Stanisława Augusta. Cała korespondencya jest porządnie rozsegregowana przez Jana Czeczotta podług osób, od których listy pochodzą. Ciekawe są listy biskupa Kossakowskiego, skierowane przeważnie przeciwko biskupowi Massalskiemu. Dział ten zasługiwałby na szczegółowe studya, a zbadanie tych listów dorzuciłoby niemało światła na zorganizowanie się stosunków końca XVIII w. Kanclerz nie był

obecnym w kraju w ostatnich latach, a korespondenci szczegółowo go informują o wypadkach, poprzedzających rok 1795.

1. Miscelanea z w. XVII rękopis *Rojeckiego*. Hic liber dono mihi datus Marciana Chreptowicz ab illustrissima domina Anna de Chreptowicz Kriszpinowa Castellana Samogitiae ex bibliotheca Michaelis Comitis in Rajec Rajecki Capitanei Borklonensis primithori specificatae dominae mariti. Różne akta publiczne połowy XVII wieku. Uniwersały na sejmiki, instrukcye posła na sejmy powiatu Wiłkomirskiego. Compendium zasług wojska litewskiego na komisyi wileńskiej obrachowane w r. 1657; rachunki skarbu litewskiego z połowy XVII w. Considerationes ze strony complementu z posłem Sotoryńskim. Piast Candidat. I jakie cnoty do uznania jego. Diskurs o exorbitanciach. Listy oryginalne z podpisami królów Michała i Jana Kazimierza.

2. Compendium rerum variarum ex historicis polonis collectum. Rk. XVIII w. Materyały do wieku XVII kończą się śmiercią Jana III.

3. Summaryusz dyplomatów w Metryce koronnej, odnoszących się do Litwy, sporządzony przez Metryzanta W. X. L. Grzegorza Kaczanowskiego. Rk. XVIII w. Spis dokumentów, zawartych w księgach Metryki litewskiej od nru 3 do 10.

4. Tryumph Nieba i Ziemi. Panegyryk Teodorze An. Niegłuchowskiej ksieni konwentu Nieświeżskiego Z. S. O. Benedykta z r. 1757.

5. Listy, mowy, wota, instrukcye i t. p. z w. XVII. List albo votum Arcybiskupa gnieźnieńskiego na sejmik. Instrukcya Branickiemu na sejmik prosieński d. 11 kwietnia 1618 r.; Juroment i oblig komisarzów moskiewskich, przy królu będących 4 Junii 1626. Votum podkanclerzego 1613 r. Przemowa Wawrz. Gembickiego,. arcybiskupa gnieźnieńskiego, do Władysława na wyjazd do Moskwy 1617 r. Instrukcya na sejmik powiatowy w Warszawie 6 kw. 1637.

6. Materyały z czasów Jana Kazimierza i Jana III. Objaśnienie urzędów, władz; podział i skład ziem, województw i t. d.; spisy urzędników, senatorów; formularze listów, przy-

wilejów. Lustratio anni 1660 starostwa warszawskiego; Registrum privilegiorum civitati Varsoviensi servientium.

7. Miscelanea XVII w. i początku XVIII w. Dziękowanie weselne za upominki I. M. C. Pana Jana Chaleckiego różnym osobom. Decyzya wojsk, przesłana w Wołpie 19 listopada 1662. Instrukcye na sejmy, mowy sejmowe. Rady Kallimacha.

8. Tejże treści, co i poprzedzający z w. XVIII. Instrukcye posłom, mowy wota sejmowe. Kopia rokoszu Gliniańsfliego 1379. O zabiciu Zygmunta W. X. Lit. przez kniazia Czartoryskiego. O zabiciu Władysława pod Warną. Wyraźna informacya prowincyi inflanckiej z okazyi Imprezy króla Augusta. Ratificatio traktatu króla szwedzkiego z carem Piotrem r. 1721. Dyaryusz oblężenia wiedeńskiego 1683 r., z niemieckiego na polski przedrukowany w Warszawie, nakładem Karola Scheybera w r. 1683. Prawda bez respektu do trzech stanów rzeczypospolitej. Summaryusz hibern W. X. Lit. w r. 1717. Dyaryusz maryażu królewny z elektorem bawarskim i królewicza starszego z siostrą elektora bawarskiego roku 1647 w Dreznie. Nagrobek pieska niezwyczajnej szczupłości imieniam Cerbera, zdechłego w Szczorsach, roku 1749 Aprila 6-go. Summaryusz dziejów polskich od r. 1648—1734. Opisanie powinności i reguły małżeństwu należącej przez Andrzeja Chreptowicza.

9. Rk. XVII wieku. Formularz listów, odezw, przywilejów i t. p. połowy XVII w. Rewizya skarbu koronnego w Krakowie 2 stycznia 1662 po sprowadzeniu skarbu z Lubowni.

10. Rękopis Rojeckiego, notaty, odnoszące się do majętności Chołopinieckiej, pomiędzy 1620—1622 latami.

11. Tegoż rękopis. Księga gospodarcza, zaczęta w roku 1665.

12. Rękopis Rojeckiego połowy w. XVII, zawierający—wypisy—mów, przywilejów, wierszy; notatki gospodarskie, daty familijne (np. roku 1655 m-ca maja ze dwudziestego na dzień dwudziesty pierwszy urodziło się w Wilnie na dworze Chreptowicza na Łukiszkach córka pierworodna, Katarzyna.

13. Silva rerum XVII i początku XVIII wieku. Wiersze, przepisy kuchenne, gospodarskie; różne sekreta ex Alberto, listy różne. Senatus consultum an. 1695.

14. Promptuarium Szczerbicza. Rk. roku 1595.

15. Drugi Statut Litewski po polsku i po łacinie Rk. XVI w.

16. Miscelanea końca XVII i początku XVIII wieku k. 143. Projekt o zasiadaniu królewicza Jakóba r. 1988. Mowa Odrowąża Pieniążka in Senatus consilio w Grodnie 18 marca 1688. Mowa króla przeciw tej mowie 22 Marca 1688. Odpowiedź szlachecka królowi. Mowa Lubomirskiego na sejmie zerwanym 1681 r. Mowa Działyńskiego 12 stycznia 1690 roku.

Rationes ex typo extractae non pro eligendo Galliae principe in Regnum Poloniae. Oratio legati Christ. Regis 1696. Rozmowa o królowej z królewiczem Jakóbem 1696. List pewnego posła do sąsiada, w którym opisuje niedoszły sejm 1695. Odpowiedź na ten list. Skrypt do księcia kardynała od stolnika podolskiego, marszałka zerwanej konwocaticy 1696. Mowy An. Załuskiego, biskupa płockiego w Samborze, podczas traktatów ze skonfederowanem wojskiem w r. 1697. Manifest Sapiehów w grodzie poznańskim 1703.

17. Kopiariusz listów i mów z r. 1703.

18. Regestr słuchania abiurat według uchwały sejmu roku 1690 przez urzędników grodzkich województwa Nowogrodzkiego.

19. Silva rerum z w. XVIII. Ex libris Joannis Wojna Pocillatoris Nowogrodensis.

Różne łacińskie sentencye w porządku alfabetycznym materyi: amor, adulatio, ambitio etc. Votum Zbigniewa z Raciborza Morsztyna, miecznika Mozyrskiego: de primo genere vitae. (Trzykroć szczęśliwy ten, kto od młodości—I wiek znikomy i czasy spłynności — Choć w rannym ale dojrzałym rozumie—Uważyć umie). Gadki Andrzeja Morsztyna, stolnika sandomierskiego. Opisanie ludzkiego utrapienia 1741 r. Notata varia ordine alphabetico disposita 1747. Mowa na pogrzebie ojca — przez Henryka Wojnę Jasienieckiego P. N.

18 października 1714. Mowa moja na relacyjnym sejmiku. Mowa de Roesa, dziękując za pannę 6 lipca 1710

20. Rk. XVIII w. 4-o, str. 221. Opisanie Polski z historyi literackiej (Załuskiego). Projekt od Imci ks. Józefa Załuskiego, biskupa kijowskiego do rozdawania premiów trojakich corocznie w bibliotece publicznej.

21. Tractatus de variis materiis Reipublicae status concernentis. Loci communes, causae selectiores juris cum faragine eiusdem et aliarum rerum diversarum.

(Amicus fidelis authoris, Author ad eundem fidum amicum; Author lectori. Cop. 1. Utrum fieri per virtutem an nasci nobilem sit praestantius; Cap. 2. Utrum eleatus nobilis gentili nobili in omnibus est aequiparatus... De moneta).

22. Speculum Saxonem Rk. XVI w.

23. Geograficzno-statystyczne opisanie parafiów królestwa polskiego w r. 1791 przez K. Perthesa, geografa I.K.M. Stanisława Augusta. Z mapami, 4-o T. T. 12..

24. Auguria poetico-oratoria vatibus Academicis proposita.

25. Flores virentes variarum orationum.

26. Tomasza à Kempis. O Naśladowaniu, przez Jana Hieronima Vanlarskiego, sędziego ziemskiego orszańskiego na Moskwie w niewoli wierszem przetłomaczona w r. 1723.

27. Iter Italicum, Sueticum. Complectens inventa in variis bibliothecis. Manu Albertrandi F-o str. 141.

28. Stante Regimine Jana Trzeciego publicznych i prywatnych interesów różne tranzakcye od r. 1683—1693, F-o 281.

29. Lustracya kościoła i kollegium mińskiego z r. 1773 i r. 1774.

30. Tłomaczenie Telemaka wierszem przez Annę Chreptowiczównę XVIII w.

31. Dykcyonarz arabsko-francuski.

32. Rk., złożony z oryginalnych listów prywatnych i królewskich, instrukcyi i relacyi poselskich i t. p., od roku 1660—1676. Ze zbiorów Rojeckiego.

33. Kopiaryusz różnych aktów publicznych (mów, instrukcyi) i prywatnych od r. 1674—1717.

34. Rękopis oryginalny z połowy XVII wieku. Raptularze i kopie mów, dzienników, pochodów i sejmów, instrukcye poselskie, dokumenta oryginalne z podpisem Jana Kazimierza. Od r. 1640—1670.

35. Quadro politico morale della corte de Roma e descrizione dello stato Pontificio F-o 83. Rk. XVIII w.

36. Mowy publiczne i prywatne, na różnych miejscach miane, Jana Chreptowicza, kasztelana nowogrodzkiego od r. 1730—1758.

37. Excerpta z gazet zagranicznych z r. 1790

38. Liber privillegiorum et contractuum omnium Collegii Vilnensis Soc. Jesu Ms. sc. XVII F-o, p. 375.

39. Rękopis Kl. Branickiego. Sekstern, w którym Immiscelarea pisać się zaczynają d. 13 czerwca 1763 roku. Głos za projektem dla zmniejszenia władzy kanclerskiej i hetmańskiej d. 8 lipca 1764 r., na sejmie konwokacyi w Warszawie. Kopia manifestu dysydentów w Toruniu d. 20 marca 1767. List p. de Panin do Repnina d. 3 lutego 1767. List Repnina do Hylzena. Instrukcya powiatu kowieńskiego posłom na konfederacyą d. 13 czerwca 1767. Demokryt i Heraklit—wiersz polityczny.

Acccssya do konfederacyi Branickiego, klana krakowskiego, hetmana w. kor. 21 lipca 1767.

40. Rękopis Branickiego T. II. In nomine Domini zaczynam różne wypisywać ciekawości d. 4 lipca 1767 roku. w Białymstoku: Siedem psalmów, których wolność polska czyni lamentacye pokutne nad upadkiem swoim. Kopia listu jednego z dyzunitów z Litwy do Goltza, marszałka konfederacyi toruńskiej, 26 lipca 1767. Rozmowa kawalera Saskiego z senatorem polskim.

Adytament wyroków nad biskupami, ozięble broniącymi wiary, podczas sejmu 1767 r. Mowa biskupa krakowskiego na sesyi 13 października 1767 r. — Vaticinium królestwa polskiego 1767 r. Manifest biskupa krakowskiego 13 sierpnia 1787 r. Manifest Karola Chreptowicza przeciwko wywiezie-

niu biskupa. Duma nad wzięciem Sołtyka. Propozycye, na radę senatu 24 marca 1768 r. złożone, z woli króla radzie podane. Perekińczyk, komedya w trzech aktach, scena gabinetowa w Warszawie.

41. Trzeci tom rękopisu Branickiego od r. 1769. Akty konfederacyi krakowskiej i sandomierskiej r. 1769. Konfederat życzliwy Monarsze — wiersze. Rozmowa prymasa Podoskiego z ks. Przedwojewskim, kapucynem. Manifest Krajewskiego przeciw Repninowi 10 czerwca 1769 r. Akt konfederacyi barskiej. List, pisany z Wilna 1769 r. Memoryał prymasa, podany Paninowi przez Krasińskiego, dysydenta. Projekt deklaracyi, która ma wyjść imieniem królewskiem 1 lipca 1769. Deklaracya ks. Wołkońskiego w obronie Grabowskich. Wiersze na panów Grabowskich. Unia korony z Litwą 7 listopada 1769.

42. Czwarty tom rękopisu Branickiego. Dokumenta do konfederacyi r. 1770. Sen o pewnym balu—wiersz. Geografia Kupidyna—wiersz. Objaśnienie, J.k.mci w teraźniejszych okolicznościach wojennych z gruntu odkryte roku 1770—wiersz. Myśli, czyli reflekcye nad okolicznościami wziętych w Sielcach przez konfederacyę pp. Grabowskich, w sianie ukrytych. Manifest konfederatów, przeciwko wszystkim czynnościom warszawskim o fatis Augusta III in Decembri 1769 uczyniony. Na przypadek pewnego strzelającego z łuku, który pannę postrzelił—wiersz. Na tegoż reflekcye dobrego patryoty. Portret polityczny prymasa Podoskiego 1770 r. Rada przeciwko radzie patryotycznej. Ogłoszona śmierć hetmana J. Kl. Branickiego 16 października 1771. Duma dam warszawskich nad Repninem. Przemowa na pożegnanie ciała Branickiego w Bielsku.

43. Traité politique et Géographique de Royaume de Pologne... composé en 1751. F-o. p. 347.

44. Exposé, touchaut l' invalidité et les consequences de la prétention de la nation Polonaise, en vertu de la quelle elle veut jouir du même droit que les Bourgeois de Dansic ont a l' égard du libre passage par le port de la dite ville. F-o pp. 16. Ms. XVIII sc.

45. Dyaryusz spraw publicznych za rok 1676. D. 22 września ruszyliśmy z wojskami z pod Żydoczowa. D. 23 równo ze dniem stanęliśmy pod Żorawnem.

46. Sprawy publiczne i prywatne. Przeważnie dysydenckie i familijne Sieniutów; kopie listów sejmowych i różnych publicznych aktów od r. 1626—1644. Silva Rerum. De acuto et arguto liber. F-o, str. 546.

47. Akta konfederacyi Targowickiej od maja 1792 do maja 1793.

48. Voyage en Italie de Cajetan Węgierski. Lettres a 13 Novembre 1779. 2 vol. F-o.

49. Voyage dans l'Amerique Septentrionale de Comte C** V** Polonais (Węgierski?) Journal 8 Octobre — 20 Nov. 1784. F-o.

50. Excepta ex Diario Manuscripto Principis Radzivilli ab ao. 1632 — 1655, quo ipse mortuus est. Servatur in Bibliotheca Zalusciana Varsaviae. F-o. 1689 —Rk. w. XVIII.

51. *a*) Dyaryusz Samuela Maskiewicza od r. 1594. przedrukował Zakrzewski. Wilno 1838. *b*) Dyaryusz Bogusława Maskiewicza od r. 1643; *c*) Gesta za czasów abdykacyi Jana Kazimierza; *d*) Dyaryusz elekcyi Jana Kazimierza, zaczęty 2 Maja 1669; *e*) Index dziejów, w manuskrypcie Maskiewicza znajdujących się, ab an. 1672—1676; *f*) Konfederacya stanów pod Gołębiem i Lublinem, przez Stan. Wiernka podana; *g*) Dyaryusz electionis króla Jana III; *g*) Dyaryusz koronacyi Jana III.

52—53. Wypisy z Artura Junga i innych autorów w kwestyach gospodarskich. Rk. XIX w.

54. Documenta relativa ad ordinem Malteusem. Rk. XIX w.

55. Opisanie Dekanatów Litewskich, sporządzone przez właściwych plebanów w r. 1784 od F. XIII—XXIV. Dekanaty: Połocki, Bobrujski, Lidzki, Nowogródzki, Słomiński, Rożański, Wołkowyski, Grodzieński, Knyszyński, Augustowski, Olwicki, Siumeński.

56. Rk. XVII w. Hic liber dono datus mihi Marciano

Chreptowicz ab D. Anna de Chreptowicz Kryszpinowa ao 1730, jak w numerze 1.

Rokosz r. 1606. Związek konfederacyi stołecznej: My, rycerstwo pułków Imci p. Zborowskiego... zaciągnąwszy na służbę króla Imci nic przedniejszego ku chwale Bożej nie braliśmy przedsie, jedno sławę Jkmci... Credens, p. Szczuce z p. Wychrowskim z Rogaczewa do króla posłany d. 29 styczn. 1612 na stolicy moskiewskiej. Cała sprawa poselstwa i konfederacyi k. k. 32. Ostatni akt — Respons J. C. M. komisarzom do króla w Sokalu d. 22 czerwca. Joseph Cieśleński imieniem wojska stołecznego.

Gratis albo diskurs pierwszy ziemianina z plebanem. Przywilej abo diskurs ziemianina z plebanem w Lublinie r. p. 1628. Testament Andreae Lipski epi Vladislaviensis et Pomeraniae 1630. Prophetia Sanctae Hildegardis. Petita od wojska, w Prusiech będącego. Testament Stanislai Orzechovii Rutheni. Lament o nieszczęsnej porażce na Cycorze. Ordo pompae funebris Sigismundi III. Witanie króla Władysława na sejmie coronationis 1633. Conditiones Radziwiłła het. W. X. L. wojsku moskiewskiemu r. 1634 d. 24 Febr. w oblężeniu Smoleńskiem: Porządek, według którego wojsko moskiewskie z korony wychodziło r. 1634. Acta sub interregno r. 1648. Niektóre exorbitacye obywatelów p-tu wiłkomirskiego na sejm 1661 r.

57. Biblia łacińska z w. XV. Rękopis pergaminowy.

58. Pamiętnik rodu Litaworów Chreptowiczów przez Joachima Chreptowicza do r. 1795.

59. Recueil de diverses Pièces, sc. XVIII: 1-e partie contes; 2-e partie, Chansons faites par feu Molière, lettres melanges.

60. Protestatio Trium ordinum de restituendis bonis coronae. Holmiae. 3 oct. 1650. 4-o.

61. Kopiariusz XVIII w., zawierający odpisy aktów publicznych, począwszy od XVI w.

63. Wybór osobliwszych i rzadkich manuskryptów, w czasie sejmowych obrad przez Krasickiego, Niemcewicza,

Felińskiego, Zabłockiego, Karpińskiego i innych dobrze myślących polaków pisanych, rk. końca XVIII w. 4-o, str. 144.

63. Rękopis arabski.

64. Głos wolny, wydany w r. 1733. (Leszczyński).

65. Recueil de quelques grands hommes de Pologne publié par Chretien Gottlieb Friese.

66. Historia brevis comitiorum electionis regni Poloniae a Sigismundi Augusti morte ad Joannis Tertii Sobieski tempora. Collecta a D-o De la Bizardiere Gallice, latine per Romualdum Licki P. O. traducta 1766.

67. Księga gospodarcza rozchodów i przychodów za rok 1674—77 z folwarków Czodosy, Wysoki Dwór, Ponedel.

68. Świątynia Sybilli (Woronicza). 4-o, str. 139, rk. w. XVIII.

69. Ingressus in Rhetoricam Ms. sc. XVIII.

70. Tractatus de arte poëtica Ms. sc. XVIII.

71. Réflexions sur la vie de Jean Zamoyski. 1785. 4-o, str. 319.

72. *a*) Abrégé génealogique de trois illustres races des Rois de France par M. Freon. 1777) *b*) divisions geographiques du Royaume de France par M. Freon. 1777.

73. Philosophia naturalis—de Physico auditu proposita an. dni 1719. Prolegomena physica. An. Dni 1720 opus finitum est. Cursus physicus consumatus est sub Joanne Poszakowski, ordinario professore.

74. Sententiae variae collectae. Ms. sc. XVIII.

75. Elementa scientiarum, sive praecepta dialectica. Rk. w. XVIII, pisany jedną ręką, co i rk. 73.

76. Józef do Egiptu od braci przedany, trzynastu pieśni ośmiorakiego rytmu ogłoszony 1745. 4-o.

77. Aula Reginae animorum. Distribuita ao. D. 1740 in annum 1741.

78. *a*) Stemmata praecipua Polonae et Lithuanae nobilitatis, fragmentis historiis, symbolis exornata; *b*) supellex sententiarum ex variis authoribus collecta. Rk. VVIII w. 4.

79. Peregrinatio Joannis Heidenstein Sollescii Belgiam,

Galliam, Italiam, Germaniam in anno 1631 incepta, in anno autem 1634 peracta. 4-o.

Anno proinde 1631 una septimana post Pascha festum elapsa, cursu, comite ac socio generoso Dno Georgio Ulinsky, me itineri commisi... (Lonanii) meo tempore (1632) hi poloni erant. Perillustres DD. Alexander et Georgius Lubomirscy, comites in Visnicz, Palatinides Russiae, Perillustris Petrus Potocki, Palatinides Braeslaviensis, cum gubernatore suo *Simone Starowolsky*, viro scriptis claro, mihique amicissimo; Perillustris Dnus Nicolaus Tarlo, Palatinides Lublinensis, qui occisus a proprio famulo Gallo, noctu in platea, maerorem nobis omnibus ingentem incussit... (1634) 21 Julii venimus ad locum sanctum Częstochoviam nominatum... 27 Torunium pro prandio pervenimus. 29 In Prusi quiecuimus. Pamentonium felices pervenimus, domum ac bona patria incolumia aspexi... propter desiderium videndi generosam dominam matrem Faręczkovium perveni feria quinta.

80. Pan Podczaszy w zamysłach. Uwagi pana Podczaszego nad historyą rzymską. rk. XVIII w.

81. Palladium Sarmatico Palemoniae Troiae propositum ao. 1716.

82. Practique curieuse ou les oracles des Sybilles A Rotterdam 1735.

83. Prawo Natury r. 1795. Ded. Jan Trojan Czajkowski. 8-o, str. 506.

84. Sententiae variae. Notae privatae, annorum 1742—1754.

85. Nouveau Délassa Littéraire, Anecdotique, Historique, Tragi-Comique, Critique et Satirique, Amusant et Récréatif. Ms. sc. XVIII, pp, 493+33; 4-o

86. Tłomaczenie uwag nad formą rządów, mianowicie nad formą najstosowniejszą dla Francyi. Przez p. Mounier, członka deputacyi francuskiej, 1789.

87. Kronika zboru ewangelickiego krakowskiego, przez X. Woyciecha Węgierskiego, r. 1651, 4-o, str. 200.

88. Bulla Unionis Graecorum cum latinis, ao. Dni 1439. Hoc Bullarum exemplar confectum est ex antiquo ma-

nuscripto ab D. Adamo Comite Chreptowicz, summo litterarum cultore Bibliothecae Seminarii Dioc. Viln. ao. 1827 Febr. 28 die beniquissime donato et obluto. Testor Antonius Żyszkowski Bibliothecarius.

89. Nouvelle manière de fabriquer le fer. Ms. sc. XIX.

90. Zbiór historyi polskiej, czyli znakomitsze wypadki za panowania Augusta II, Augusta III i Stanisława Augusta, ułożony r. 1808 w Warszawie, 4-o, str. 99. Zawiera opis panowania Augusta II. Przedmowa podpisana W. W.

91. Opisanie Panowania Augusta III. Rk. XIX w., 4-o, str. 197, d. c. nr. 80.

92. Radziwiłł Ulric. Historya powszechna. T. I, od stworzenia świata aż do śmierci Augusta cesarza. 4-o, str. 3648. Ten tom zacząłem pisać R. P. 1748, dokończyłem R. P. 1756 d. 2 Grudnia. Str. 113 drukowane, reszta Rk. Oprawione w 5 cz.

93. Różne wiersze: 1) Ewa Chreptowiczówna do ojca; 2) Spadek Renu; 3) Piosnka Mazura; 4) Do ojca nieszczęśliwych, J. O. X. Repnina; 5) Piosnka, śpiewana w Wokluzie białostockim, przy ołtarzu Dobroci Elżbiety; 6) Bekiesza— bujna. Rk. XVIII w.

94. Rzetelne opisanie parady J. O. X. Adama Czartoryskiego, odbytej w Wiedniu, w r. 1786 pierwszego stycznia. Napisał w r. 1823 Jerzy Soroka.

95. Commerce dans les divers places de l'Europe. Souvenir. Ms. sc. XVIII 8-o pp. 46+16.

96. Litterarum pretia Musis loquentibus. D-o D-o Chreptowicz Proto — Canc. Lit. obsequens servulus Della Torre. XVIII Ms. sc. XVIII.

97. Duma o St. Potockim i o innych polakach, w bitwie pod Wiedniem w roku 1683 poległych, przez Al. Orchowskiego. Rk. XVIII w. 8-o, str. 20.

98. Calendrier pour l' an II-e de la République Française, 8-o.

99. Benedykta XIII kazanie, miane dnia 8 listopada 1782 r., 4-o, str. 16.

100. Kopia listów Anonima do Zamoyskiego o poprawie statutu. 4-o. Rk. XVIII w.

101. Mowa na obchodzie pamiątki zwycięstwa pod Wiedniem, miana w Lublinie, przez X. Jezierskiego. Rk. XVIII w. 4-o str. 28.

102. Toż—do młodzieży w Coll. Warsz. Sch. Piarum d. 13 Paźdz. 1783. 4-o, str. 28.

103. Mowa o konstytucyi rządu, miana na publicznem zgromadzeniu w Szkole Głównej litewskiej, d. 17 stycznia 1792 r. przez X. K. Bogusławskiego. 4-o, str. 20.

104. Mowa o obowiązkach obywatela względem ustawy rządu, miana w szkole Głównej litewskiej, przez X. J. K. Bogusławskiego, d. 3 Maja 1792 r.; 4-o, str. 26.

105. Rk. XVII w. Protheus Oratorius. 4-o str. 16.

106. Eloquentia ligata seu directiones poëticae av. 1718.

107. Miscelanea w. XVIII. Punkta o sejm elekcyjny w. XVII. Zakłady angielskie z dziennika kursowego w. XVIII. Kopia listu X. Ossolińskiego z Luneville d. 28 Aug. 1743 r. Manifest X. Janusza Ostrogskiego.

108. Taryfa biercza rekrutowego z województwa Nowogrodzkiego w r. 1792.

109. Regestr nieoddanych podatków w racie marcowej r. 1792 z województwa Nowogrodzkiego.

110. Uwagi na projekt ustawy komisyi edukacyjnej. Rk. XVIII w.

111. Papiery do sejmu 1793 r.

112. Kazanie na dzień Zaduszny w Niehniewiczach 1823 r. p. X. Butrymowicza.

113. Préparation de Squelet Naturel. 4-o p. 6 Ms sc. XIX.

114. Umowa pomiędzy biskupem nominatem Żytomierskim, X. Winc. Łobańskim, a X. Tom. Skargulewskim, kan. Wil., Pl. Wołkowyskim, d 20 lutego 1821 r.

115. Regulamin Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

116. Treść nauk, z których uczące się panny w klasztorze wileńskim Wizytek dały dowód rocznego postępu w r. 1824, d. 22 maja, 4-o, str. 12.

117. Regestr skasowych i zostawionych klasztorów Rz. katolickich, roku 1832 w Rosyi. F-o, str. 12.

118. Kopia listów z Syberyi XX. Bernardynów z r. 1821. F-o, str. 8.

119. Osnowa życia St. Szymońskiego, wysłużoneg w stanie nauczycielskim pogorzelca od r. 1752—1809. Z listem z którym obchodzi, żebrząc wspomożenia siebie.

120. In adventum Sr. R. Stanislai Augusti ad Vilnensem Academiam Gratulatio. 8-o, str. 12.

121. Indice d'impressioni d'Antiche Gemme di Sua Altezza Il. Sgr. Principe Stanislao Poniatowsky (Zbiór odcisków znajduje się obecnie w bibliotece Szczorsowskiej).

122. Uprawa warzyw w ogrodzie i roli. Tłomaczenie artykułów z Garthen Magazin od r. 1804—1829. F-o, str. 1059

123. Zbiór zaleceń rządu tymczasowego księstwa litewskiego, przez cesarza Napoleona ustanowionego, i władz francuskich od d. 1 lipca 1812 r. do wyjścia Francuzów z Litwy. Akta oryginalne. F-o, Tt. 1, 3, 4, 5, i 9.

124. Kopiariusz z w. XVII, zawierający akta od. r. 1584 do 1622. 4-o.

Processus confederationis przez p. Orzelskiego, starostę Radziejowskiego, podany d. 10 marca 1595 r. Propositia sejmu w r. 1613. List cesarza tureckiego do króla polskiego. Kondycye hetmana litewsk. Kar. Chodkiewicza. Klątwa ojca Mitropolita na zmyślonego władykę cerkwi nalewajkowskiej.

Ijosif Bożju miłostju Archiepiskop i Mitropolit kijewskij, halickij i wsieje Rusi. Oznajmujem sim klatwiennym wyrokom naszym, iż Maxim Harasimowicz, kotoryj sie zowiet' Melentiem Smotryckim, prepomniewszy bojazni bożeje, wstydu ludzkoho, srogosti praw duchownych i swietskich, ważył sie powstat' na majestat J.K.M. Pana naszeho, na dostojenstwo nasze Archiepiskopskoje, najwyszszoje w nabożeństwie ruskom, a w panstwach J. K. M. uprywilejowane, mienieczysie byti archiepiskopom bez priznania J. K. M., u kotoroho rukoch jest, i bez błahosłowienia naszoho archiepiszkopskoho na onnuja stolicu archiepiszkopskuju nastupit' usi-

łował, kotoroje jepiszkop żywyj i zdorow jest, ot J. K. M. podanyj i uprywilejowany i ot nas porodne wodłuh prawił świetych i bohonosnych otiec postonowlenyj i na stolicy pastyrskoj posażanyj, iż posł posłancy swoi i uniwersały po roznych mistcach panstw tych rozosławszy, lud pospolity pobuntował do rebelii priwodił i tut w miestie wilenskom wsi diła episzkopskije otprawował, w ubierach, tołko mitropolitom samym i to nie koždomu z nich należaczych, służbu swiatitielskuju otprawował, w popy, w diakony, i w inszy pryczet cerkowny stanowił. Oszto wsie pozwan pered nas ot w Bozie wielebnoho otca Ijosifa Kuncewicza, władyki połockoho, ot czestnoho otca Leona Krywszy, Archijepiszkopa wilenskoho, ani na pierszyj, ani na wtoryj, ani na tretij nie stanowił sie i sprawy o sobie nie dał. My, według prawił swiatych bohonosnych otiec, jeho, Milentija Smotryckoho, jako sie sam zowiet, z jepiszkopstwa, z archimandrytstwa i z wsiakoho czynu swieszczennoho, jeśli swieszczenny jest, składajem, a iż nieważnie i nie prawiłom oświeszczenny jest ot toho, kotoryj żadnoje własti w krajach naszych nie mojet'. uznawajem, iż ot wsiakoje własti cerkownoje otsużajem; i iż za tyje wsi bezzakonnyje dieła swoi nie tołko z złożenia stanu duchownoho i otosłania do wladu swietskoho, ale i klatwy zasłużył, o sym wsim obwiestili jesmo jemu czerez list nasz otwore do worot monastyra cerkwi swetoho ducha, jako jeje nazywojut', prybityj i na miestcach publicznych ohłoszonyj, jeśliby sie upamietati chotieł. A iż sie upomietali do tych czasow w toj predsiewziatoj hordosti swojej upornie trywajet', my Archiepiszkop moceju wsiesilnoho Boha, włastju archierejskoju, ot siedoliszcza apostolskoho nam danoju i w panstwach J. K. M. uprywilejewanuju, Maxima Harasimowicza, a jako sie zowiet Melentija Smotryckoho, i pomocznikow jeho duchownych i swieckich, kotoryje jemu w tom biezzakonnom diele radoju, pracoju, nakładom, abo jakimkołwiek sposobom pomahali, klatwie predali, ot społecznosti cerkownoje i społecznosti wsich chrestian otłuczajem i mieczom duchownym włastju nawyższoje otłuczajem: da budut' proklatyje, a nie budet'

im czast' z chrestijany, ale z predatelem chrystowym Ijudoju i z otcem hordosti diawołom. Amen.

A szto my wiażem na zemli, Boh to zwiażet' na niebie. Szto żeby pryszło do wiedomosti wsich, zezwawszy narod prez bolszyj zwon do cerkwi swiatoje żiwohaczalnoje Trojcy, pered zaczatjem torżestwiennoje służby sami w ubierie naszom archieriejskom z klirosom naszim sposobom zwyczajnym cerkwi wostocznoje, onoho bezzakonnika wyklali jesmo. A tot list klatwienny po miestcach hołowniejszych, dla bałszuje wiery pieczotju swojeju duchownoju zapieczatawszy i rukoju włostnoju podpisawszy, pribiti nakazali jesmo. Dieło sia tu u Wilni roku ot narożenia syna Bożeho 1626, mca marca 21 dnia.

Votum hetmana kor. Zamoyskiego ostatniego sejmu przed śmiercią r. 1605. Condicye, stanowione pod Chocimem z Turki r. 1621. List z Konstantynopola od p. Szulisowskieskiego d. 28 maja 1622 r. Possia Sułtana Osmana. Instrukcya wojska skonfederowanego, dana ze Lwowa do J. K. M. d. 15 maja 1622 r. Przemowa p. Win. Krukienieckiego, żołnierza, od wojska do K. I. M. Punkta, podane od wojska (podpis): A. Krukieniecki, marszałek wojska W. K. M. Respons króla Posłom od wojska d. 18 maja 1622 r. Assekuracya konfederatom od J. K. M. 1622 r. P. Krukienieckiego podziękowanie. Sesya deputatów koronnych i litewskich z posły chrześcijańskimi d. 4 przed przewodną. Artykuły convocatii lubelskiej 1584 r. Artykuły na sejm, który ma być w polu, jako rokosz. Scripty, które się stały 1595 r. z Turkami. Compendium naprawy Rzplitej.

Respons J. K. M. na te podane punkta.

Stanisław Ptaszycki.

Petersburg, w maju 1898 r.

DOKTÓR-POETA.

Z papierów, pozostałych po nieodżałowanej pamięci d-rze Titinsie, i z osobistych jego wspomnień, tudzież z drukowanych źródeł, przywodzimy szczegóły o mało znanym lekarzu-poecie, d-rze Stanisławie Rosołowskim, słynnym w Wilnie w epoce pobytu tamże Mickiewicza, niezmiernie zacnej duszy człowieku i uwielbianym lekarzu, który zszedł ze świata w tym samym, co Mickiewicz, 1855 roku. Urodził się d. 5-go lutego 1797 r. w Grodzieńskiem, w miasteczku Różanie.

Pozostały pióra jego nader piękne przekłady. Jako o poecie oryginalnym, pisze o nim Syrokomla w nekrologu, zamieszczonym w „Dzienniku Wileńskim“ z r. 1855, z d. 3-go września, a pisanym z wielką dla zmarłego miłością i zapałem.

...„Prześliczne są niektóre z jego własnych, drobnych utworów, które znamy w rękopiśmie, a które, jak się spodziewamy, zebrane w jedno, może się w druku ukażą, ale kipiące serce poety ledwie na piśmie odbiło słaby płomyk tego wulkanu, który zeń wybuchał. Kto osobiście nie znał Rosołowskiego, pomówi nas o przesadę w tem wyrażeniu, ale kto słyszał jego mowę, pełną ognia i barwy, ten musiał westchnąć,

że talent tak potężny rozprasza się i ulatnia, zamiast skupiać się, utrwalać i być ozdobą literatury. Nie dozwalały mu tego ciernie życia i powołanie lekarza, ktore biegle i z cnotliwą dostojnością umiał dopełniać.

Lekarz-poeta! — powiecie mi z uśmiechem—tak jest: lekarz-poeta! — odpowiem, z chlubą wskazując na grób Rosołowskiego. Cierpienie bliźnich, na które patrzy co chwila, jakżeby duszy szlachetnej nie miało wznieść do szczytu? zaradcze środki, które ma w ręku, czyniąc go narzędziem Bożego miłosierdzia, jakżeby nie miały go natchnąć rzewną wdzięcznością ku Bogu? bliższe zbadanie tajemnic przyrody jakżeby nie miało go zdumiewać i unosić? a to wszystko są warunki poezyi. Opłakany to aforyzm, że dobry lekarz nie może być poetą... Lekarz, narzędzie Boże, uśmierzca cierpień ludzkości, powinien być poetą, w ścisłem znaczeniu tego wielkiego słowa! Rosołowski w swym lekarskim zawodzie bywał często ofiarą niesprawiedliwego aforyzmu, o którym mówimy. Już młodzian stał się mężem, już zawarł ślubne związki, już wychował syna, (który także wykształcił się na lekarza, a rozwinął w sobie tak piękne przymioty, że ojciec z chlubą doń pisał: *Kochać cię mało, szanować cię muszę*), już piękna starość zawitała na jego czole i niejedna wyrwana z grobu ofiara oddawała głośne świadectwo umiejętności lekarza, a jednak los nie przestawał zadawać mu ciosów. W *wierszu do syna*, w dzień nowego 1835 roku, jakże wymownie użala się Rosołowski na swoje położenie:

Wiesz, że los nasz od naszej nie zależy woli,
Jak mię zabiło serce, powinieneś wiedzieć,
I to, co mię najwięcej dotyka i boli,
Będziesz to niewdzięcznemu światu mógł powiedzieć.

Mów: to serce, mające nieszczęście za godło,
Przeciwnością nękane zaraz od powicia,
W najdotkliwszym sposobie wszędzie się zawiodło,
Wszędzie znalazło gorycz i trucizny życia;

Że moc ducha olbrzymią w wątłem gnieżdżąc ciele,
Opłacił on męczeńską palmą trochę chwały;
Że znał więcej nad innych, czuł zanadto wiele
I w marny proch rozsypał wszystkie ideały;

Że, gardząc płonnym blaskiem, próżnością i złotem,
Z pokorą znosił swego przeznaczenia wolę,
I chleb swój pożywając, krwawym zlany potem,
Uśmiech jeszcze miał w ustach i pogodę w czole...

I z uśmiechem na ustach i z pogodą na czole, przyjął ciosy, jakiemi go ręka Pańska dotknęła: umarł mu syn pięknych nadziei, do którego właśnie pisał te słowa. Biedny ojciec zasypał piaskiem tę głowę, której, umierając, miał błogosławić na drogę życia..."

Mówi o nim Kirkor w 1848 r.: „Piękne wspomnienie zostawił po sobie poświęceniem się, narażeniem i bezinteresownością w strasznych klęskach, jakie zadała Wilnu cholera w latach 1830 i 1848."

Ant. E. Odyniec w nieocenionych swych „Wspomnieniach z przeszłości, opowiadanych Deotymie",—pisze o Rosołowskim,—iż poznał się z nim „szczególnym sposobem u Adama." Dodajmy nawiasowo, że było to w początkach r. 1823. „Adam, za bytności swej w Wilnie, był przez parę dni słaby i nie wstawał z łóżka. Raz, przychodzę do niego, słyszę czyjś głos, podniesiony z zapałem i, wszedłszy, widzę jakiegoś pana, który siedzi przy nim na łóżku i wylicza imiona poetów, którzy byli zarazem doktorami medycyny. Gdy skończył, ja robię zarzut, że nie wspomniał imienia Stanisława Rosołowskiego. Tu ten pan zrywa się z łóżka i, rozstawiwszy ręce, z ujmującą serdecznością wykrzyka: A! mości dobrodzieją, submittuję się sam *in persona* i wdzięczen jestem panu, że o mojem imieniu pamiętasz." Znajomość więc zawiązała się prędko, a w ślad za nią i żarliwa dysputa o romantyczności, w której Adam nie brał udziału, a tylko śmiał się, patrząc na nasze zacietrzewienie się wzajemne. Zapał ten wszakże w dyspucie nietylko nie rozerwał, ale, owszem,

spoił, jak w ogniu, pierwsze ogniwo znajomości naszej, która w dalszym ciągu stosunku hartowała się coraz w podobnych dysputach, w których jeden drugiego ani pokonał nigdy, ani przekonał.“

Dalej druh Mickiewicza zaznacza, że razem z Adamem i Rosołowskim się spotykali: na tygodniowych wieczorkach u Lelewela, gdzie Rosołowski zwykle z Onacewiczem w przedmiotach filozoficznych dysputował; u Borowskiego, na przyjacielskich pogadankach przy herbacie... „Szydłowski i Rosołowski (pisze Odyniec), byli koryfeuszami poezyi w Wilnie. Utwory ich co miesiąc, jeżeli nie co tydzień, ukazywały się jedne po drugich w „Dzienniku“, „Tygodniku albo w „Wiadomościach brukowych“, (dodajmy i w „Dziejach dobroczynności“). Z profesyi medyk i doktór medycyny, w duszy on był rzeczywiście poetą. Myśliciel i entuzyasta, bujał ochoczo w sferach oderwanych filozoficznych wyobrażeń i fantazyi poetycznej, a co myślał i czuł rzeczywiście, to zawsze szczerze i otwarcie, z całą mocą przekonania i aż ze zbytnim może nieraz zapałem wyrażał. Wyrachowana zimna obojętność i sarkastyczny dowcip, owe wybitne cechy Szydłowskiego, (okolicznościowo wtrącimy, że, jak nam opowiadał dr. Titins, osobiście przyjazny Odyńcowi, ale ongi serdecznie z Szydłowskim zbliżony, ci bardzo się wzajemnie nie lubili, stąd autor „Wspomnień z przeszłości“ nie jest tu całkiem bezstronnym), były dlań najzupełniej obcemi. Stąd też zwykłych światowych towarzystw nie lubił, a rad szukał stosunków z kolegami i uniwersytecką młodzieżą, najczęściej aby staczać zażarte dysputy, w których mianowicie smakował. Psychiczna idealność w medycynie, a żarliwa obrona klasycyzmu i piorunowania na romantyczność w poezyi, były zwykle przedmiotem tych dysput. Miał on przytem prawdziwie rycerską szlachetność, to jest, czy zwyciężony, czy zwycięzca w szrankach, zawsze w końcu uprzejmie rękę adwersarzowi swojemu podawał i nigdy osobistości swojej z przedmiotem dysputy nie mieszał. W talent swój jużci wierzył, ale go i w drugich oceniał. Słowem, był to człowiek

prawy i zacny, i można go było szanować i lubić, chociażby, w danym razie, będąc z nim wręcz przeciwnego zdania.“

Odyniec i Kondratowicz poświęcili Rosołowskiemu — bratu po lutni — swoje znane w druku — okolicznościowe wiersze.

Kirkor pisze o płodach twórczości Rosołowskiego: „Całe życie niepomny na siebie i mniej dbały o sławę, ciągłe wybierał się wydać osobny zbiór swoich poezyi.

Wizerunki w r. 1834 ogłaszały już prędkie ich wyjście w 2-ch tomach, lecz, odkładając z dnia na dzień, umarł, zostawując foliały rękopisów, z których większa część nigdzie jeszcze drukowaną nie była.“

Tyle o rysach wizerunku duchowego poety-lekarza. Portret zaś jego z natury wykonał głośny profesor uniwersyteckiej katedry malarstwa, Jan Rustem, a kopię olejną— uczeń jego Walinowicz. Dr. Titins, który z tkliwością wspominał Rosołowskiego i był właścicielem tej po Walinowiczu pamiątki, jakże miłośnie i długo wpatrywać się lubił w drogie rysy przyjaciela. Nie zapomnimy jednej takiej, dłuższej chwili... Była ona ostatnią, niedługo przed tak niedawno zeszłą śmiercią czcigodnego filantropa, wielkiego idealisty.

Lucyan Uzięblo.

Wychodźcy nasi w Anglii.

Ze wspomnień

Adama Gielguda.

Sprawozdanie o Polakach w Anglii, w chwili obecnej, musiałoby się ograniczyć na suchem spisaniu nieznanych nazwisk, bo ogromna ich większość składa się z ubogich robotników, których życie, pochłonięte walką o byt, nie przedstawia nic zajmującego dla ogółu narodu.

Nie wiem, czy istnieje inny ucywilizowany kąt ziemi, gdzieby wykształcone warstwy polskie były tak mało reprezentowane, jak obecnie w Anglii.

Nie tak się działo w pierwszych latach wielkiego wychodźtwa; było wtenczas wielu Polaków w Anglii, ludzi dużego talentu.

Chociaż urodzony w Królewcu, dzieckiem przybyłem do Anglii, tu odbyłem nauki szkolne i uniwersyteckie; piastując od lat wielu urząd w angielskiem ministeryum, miałem sposobność poznać ich, spotykałem się często z nimi w domu moich rodziców.

Matka moja, Kunegunda Szemiołkówna, ze żmudzkiej rodziny szlachcianka litewska, rzucona na obcą ziemię, nieznana, uboga, pomimo niezliczonych trudności, za łaską Bożą pokonała je wszystkie i wychowała trzech synów, umiejąc sobie zjednać szacunek i uznanie wśród ludzi zimnych i obojętnych.

Spróbuję skreślić słów parę o tych czasach, powiedzieć coś o egzystencyi tych jednostek, w owem mrowisku ludzkiem, jakiem jest Londyn, gdzie wszystko dla nich tak odmienne: religia, mowa, charakter, zwyczaje i obyczaje.

Po roku 1831 z jakie pięćset ludzi, oficerów i żołnierzy, wylądowało w Anglii. Przybyli oni po kilku na raz do stolicy, a pozbawieni wszelkich funduszów, nieświadomi języka, przechodzili ciężkie koleje.

Jednakże, dzięki odwadze, wytrwałości i wrodzonej rzutkości, pomimo współubiegania się, na które każdy obcy jest tu wystawiony, zdobyli sobie posady.

Między żołnierzami była część rękodzielników i ci znaleźli pracę, każdy w swoim zawodzie, jednakże została resztka, która bądź z braku zdrowia, bądź dla niezdolności lub innych przyczyn, była bez chleba; tym przyszły w pomoc wyższe klasy społeczeństwa angielskiego.

Pod przewodnictwem poety, Tomasza Campbell, i pana Wentworth Beaumont, członka parlamentu, utworzyło się w Londynie Towarzystwo, nazwane „Literary Association of the Friend of Poland,“ czyli Towarzystwo literackie przyjaciół Polski.

Między znakomitemi osobistościami angielskiemi tego Towarzystwa stał na pierwszem miejscu niezmienny protektor Polaków, lord Dudley Stuart, dalej sławny kanclerz, lord Brougham; lord William Bentinck, dawny wice-król Indyi; Henryk Reeve, tłomacz Mickiewicza, przyjaciel Zygmunta Krasińskiego, oraz redaktor „Edimburgh Review“ lord Panmure; Charles Dickens, znany powieściopisarz, i wielu innych.

Zapomoga, którą rozdawano biednym Polakom, dochodziła rocznie do 1,500 f. szterl., a w późniejszych latach do

3,000 f. szterl. Część tej kwoty pochodziła ze sprzedaży biletów na polskie bale i koncerta, które w owych świetnych czasach cieszyły się protekcyą księcia Alberta, męża królowej; księżny Kent, matki królowej; jej stryja, księcia Sussex; sławnej filantropki i damy milionowej, baronowej Burdett Coutts, i całego eleganckiego towarzystwa sezonu londyńskiego.

Honorowymi sekretarzami Towarzystwa literackiego byli zawsze Anglicy. Pierwszym był Richard Graves Macdonell, później mianowany gubernatorem brytańskiej kolonii Hong-Kong; po nim niezmordowany i zacny nasz przyjaciel, William Lloyd Birkbeck, profesor prawa międzynarodowego w Lincoln's Inn, syn sławnego filantropa tegoż nazwiska; od czasu jego śmierci nie mamy już sekretarzy honorowych Anglików.

Czynnymi sekretarzami byli Polacy. Pierwszym był Krystyn Lach Szyrma, profesor filozofii przy uniwersytecie warszawskim. Pochodził on z dawnej luterskiej rodziny w Królestwie Polskiem, kształcił się na uniwersytecie w Królewcu, a potem w Wilnie; ożeniony z Polką, owdowiał w roku 1837-ym i następnie ożenił się z Angielką. Z pierwszej żony miał córkę, która wyszła za Terleckiego; z drugiej syna, urodzonego już w Anglii, który jest obecnie pastorem protestanckim. Niewiele lat piastował urząd sekretarski Lach Szyrma, po nim nastąpił Szczepanowski, łagodnego charakteru, lecz wątłego zdrowia, który musiał się usunąć od urzędu, szczególnie, że przyszły ciężkie czasy na Towarzystwo i miejsce sekretarza nie było synekurą, bo jeśli rzetelność i pracowitość biednych Polaków zasługiwały na wszelkie pochwały, jak to twierdzą rok rocznie raporty Towaszystwa, to na nieszczęście duch demokratyczny, szerzący się już wtenczas w Anglii, zakaził i naszych rodaków. Sekretarzy czynnych oskarżano, że pozbawiają zasiłku tych biedaków, którzy wyznają opinie liberalne.

Pogłoski te były fałszywe, bo wszakże duch przewodniczący Towarzystwa, lord Dudley Stuart, był sam liberałem, a byli inni członkowie dobrodzieje Towarzystwa, należący

do partyi radykałów w parlamencie angielskim. Ale biedni nasi, nie rozumiejąc dobrze języka, nie mogli sprawdzić nieprawdziwości tych pogłosek; były rozruchy, demonstracye przeciw Towarzystwu, co się Anglikom nie podobało i bardzo ochłodziło sympatyę ich dla nas. Szczęściem, w roku 1842 objął ś. p. Karol Szulczewski sekretarstwo Towarzystwa. Przyjaciel i prywatny sekretarz lorda Dudley Stuarta, znany i lubiony w wyższych kołach społeczeństwa angielskiego, człowiek godny i wielkiego poświęcenia, Karol Szulczewski był pod każdym względem stosownym do trudnych i uciążliwych obowiązków sekretarza; to też pracował z niezmordowanem oddaniem, by ulżyć nieszczęśliwym rodakom, już to odwiedzając ich po plugawych zaułkach wschodniej części Londynu, już to znosząc z prawdziwie chrześcijańską cierpliwością napaści niezadowolonych—i często wspomagając ich biedę z własnych funduszów.

Szanowany przez Anglików, do końca życia umiał zainteresować ich dla naszych biedaków i zebrać trochę grosza na ich potrzeby. Od czasu jego śmierci Towarzystwo utrzymuje się wyłącznie z zapisu ś. p. pani Gnorowskiej, z małej sumki miesięcznej, przysyłanej nam przez damy polskie z Paryża, i z rocznych datków paru rodzin polskich, mieszkających w Londynie.

W roku 1886, z powodu opłakanego stanu Towarzystwa, komitet zdecydował, żeby wynaleźć kogoś młodego, z energią, z rzutkością, kogoś, co, będąc płatnym, mógł by poświęcić cały swój czas dla dobra Towarzystwa, nie, jak dotychczas, oddawać tylko chwile wolne od innych prac. Pan Edmund Naganowski wydał nam się odpowiednim pod każdym względem: wykształcony, władający dobrze językiem polskim, odrazu dobrze usposabiał dla siebie przyjemną powierzchownością i pewną znajomością wzięcia się do ludzi. Próbował on powiększyć dochody Towarzystwa, przywrócić bale polskie, dawniej tak świetne, lecz, pomimo, że okazał dużo ruchliwości i zdatności, pomimo, że komitet pań popierał go całą mocą, nie udało się. Malownicze pióro p. Naganowskiego zdobyło mu w kraju opinię zdatnego dzien-

nikarza, ale nie zdołało podźwignąć Towarzystwa. Pieniędze z balów ledwie opłaciły pensyę sekretarza; Towarzystwo wpadło w długi i zostało ocalone od finansowej klęski li tylko przez wspaniałomyślność baronowej Burdett Coutts. Pan Naganowski złożył urząd, i obecnie bezpłatnym sekretarzem Towarzystwa jest Bronisław Jazdowski, z matki Szkotki i Jana Jazdowskiego, potomka litewskiej rodziny, pierwotnie mieszkającej w Szawlach.

W 1832 roku Jan Jazdowski przypłynął do Anglii z pięciu towarzyszami, po drodze został okradziony i, przybywszy do Londynu bez grosza, pierwszą noc spędził na stopniach kościoła św. Marcina na Trafalgar Square. Jeden z jego towarzyszy, Dębski, z rozpaczy zwaryował i przez kilka lat następnych był utrzymywany przez pracujących kolegów; z czasem Jan Jazdowski otrzymał posadę w mieście Aberdeen w Szkocyi, gdzie się ożenił, i zmarł w roku 1881.

Syn jego, Bronisław, miał powołanie do służby wojskowej, lecz że ojciec nie miał środków na kupienie mu stopnia oficerskiego, odbył nauki na doktora medycyny i po skończeniu uniwersytetu wstąpił do wojska angielskiego, jako lekarz wojskowy. Służył w wojsku przez 24 lat, głównie w Indyach, Egipcie i południowej Afryce, a chociaż Polak całem sercem, nie miał sposobności nauczyć się ojczystego języka. Po skończonych latach służby, w r. 1886 przyjął honorowe sekretarstwo Towarzystwa, które, z powodu zupełnego zgaśnięcia sympatyi dla Polaków, straciło wszystkich swoich dobrodziejów angielskich.

W tej chwili stan Towarzystwa jest nader niepomyślny, a jednakże potrzeby trwają, bo pomimo, że starzy wymierają, płynie z kraju ciągły prąd biednych, którym się przywidziało, że tu znajdą szczodrze opłaconą pracę; ci nieszczęśliwi umierają z nędzy lub wpadają w ręce żydów polskich, którzy niemiłosiernie wyzyskują ich pracę i nieświadomość.

Prócz Towarzystwa literackiego, powstały między Polakami inne instytucye miłosierne; jedną z pierwszych było *Towarzystwo ekonomiczne*, założone przez księdza Brze-

zińskiego; zaopatrywało ono starców i chorych w odzienie i wspomagało w razie utraty pracy. *Towarzystwo dam polskich*, w którem matka moja, Kunegunda Giełgudowa, i p. Falkenhagen Zaleska, z domu Korzeniowska, były prezesowemi, a pani Lach Szyrmina sekretarką, miało na celu uczyć dzieci religii i polskiego języka. Nareszcie, na wzór *Towarzystwa historycznego* w Paryżu, o którem tak pięknie i szczegółowo napisał Lubomir Gadou[1]), powstało w Londynie w 1839 r. Towarzystwo historyczne, którego zadaniem było wypisywać dokumenta, tyczące się Polski, w Britisch museum i Record Office i odsyłać te wypisy do Tow. hist. w Paryżu.

Przebywały też w Londynie znakomite osobistości, których imiona były znane nietylko w emigracyi, ale i w historyi narodu, jak np. Stanisław Koźmian, hr. Waleryan Krasiński, marszałek Włodzimierz Gadou. Oni to wraz z Szyrmą i Szulczewskim obcowali z inteligencyą angielską, która zachęcała ich do udziału w pismach peryodycznych i w dziełach tego czasu.

Falkenhagen Zaleski prowadził wspólnie z Anglikiem Hall biuro bankowe i przemysłowe z wielkiem powodzeniem, gdzie niejeden Polak znalazł zatrudnienie i zarobek.

Kapitan Jabłoński wydał dobre tłomaczenie „Konrada Walenroda prozą.“

Litwin Ignacy Jackowski był autorem dzieła „Przygody litewskie.“

Dr. Ritterband, kapitan Ręczyński i Jan Baranowski byli znani, jako wynalazcy rozmaitych przyrządów mechanicznych.

Felicyan Wolski, redaktor „Rozmaitości szkockich,“ miał zakład wychowawczy dla młodzieży w Glazgowie, a Jan

---

[1]) „*Z życia Polaków we Francyi.*“ L. Gadou, członek rady Towarz. histor. literackiego. G. Gebethner i Spółka, w Krakowie, 1883.

Bartkowski takiż w Londonderry w Irlandyi. — Najwybitniejszymi lekarzami byli bracia Wielobyccy i Adam Łyszczyński.

Między kapłanami należy wymienić jednego z pierwszych, kapelana Brzezińskiego; po nim nastąpił Emeryk Podolski, ksiądz staropolskiego typu, dobry, serdeczny; nie szczędził on trudu dla swoich owieczek, ruszał się, żebrał, i w końcu wydobył skromne fundusze, szczególniej z Irlandyi, na jakiś przytułek dla polskich katolików. Nie mogąc budować nic nowego, najął dom i, za pozwoleniem zacnego kardynała Wiseman'a, przeistoczył główny salon tego domu w kaplicę wyłącznie polską; tutaj już byliśmy u siebie—i co niedziela można było widzieć gromadkę Polaków, słuchających ze skruchą Mszy św. i prostych, ale z serca pochodzących słów dobrego kapłana, który, znając troski każdego osobiście, najlepiej wiedział, jakich użyć wyrazów, by ich ból ukoić. Po Mszy głodnych nakarmił, niejednemu poradził, a wszystkich pocieszył.

Z tych, co się modlili w tym starym domu na Gomer Street, już niewielu nas zostało. Sam kapłan nie żyje, dom zburzony, a pomimo szczerych usiłowań, funduszów na polski kościołek lub kaplicę dotychczas zebrać nie zdołaliśmy. Od śmierci księdza Podolskiego przebywał tu cały szereg zacnych kapłanów, którzy usiłowali założyć tu misyę polską, lecz bezskutecznie. Był między innymi dr. Chwaliszewski, obecnie proboszcz i dziekan w Granowie, w Księstwie Poznańskiem.

„Znany dziś szeroko, wytrwały obrońca katolickiej wiary i praw naszych w berlińskim parlamencie" [1]), ks. dr. Jażdżewski, w połączeniu z paryskiem stowarzyszeniem „Oeuvre du Catholicisme en Pologne", umieścił około stu dzieci polskich po różnych zakładach Francyi, ale długo tej pracy prowadzić nie mógł: i zdrowie nie dopisywało, i fundusze się wyczerpały.

---

[1]) „Polacy w Anglii," ks. Jan Badeni, T. 9. Kraków, Anczyc i spółka, r. 1890.

Pracowali tu także: Zmartwychwstaniec o. Adolf Baraniecki, młody Jezuita Kalusa, polskiego pochodzenia, i Jezuita niemiecki, ojciec Jakób Linden, ale zawsze stały na przeszkodzie misyi brak funduszów na utrzymanie księdza i nieznajomość litewskiego języka, największa bowiem ilość naszych polskich robotników we wschodniej dzielnicy miasta, nazwanej „White chapel", pochodzi z Litwy. Poczciwi ci Żmudzini, pobożni, spokojni, pracowici, żyją wyłącznie między sobą, nie obcując prawie wcale z Anglikami; w ten sposób nie nabyli języka i mówią tylko po litewsku. Lecz łaska Boża natchnęła szlachetnego o. Józefa von Lassberg, profesora prawa kanonicznego w klasztorze niemieckich Jezuitów w Dillon Hall, w hrabstwie Lancashire. Ten zacny kapłan podjął się już od paru lat ciężkiego stanowiska misyonarza polskiego. W miasteczku Widnes, blizko Dillon Hall, pracuje wielka ilość robotników polskich i litewskich, i tu ich ojciec Lassberg poznał; poznał ich biedę i ich łagodną pobożność, zabrał się tedy z energią do nauki języków litewskiego i polskiego — i obecnie tymi językami nietylko mówi i czyta, ale nawet poprawnie pisze; trzyma polskie i litewskie czasopisma i tylko żałuje, że nie ma sposobności spędzić choć kilku miesięcy w naszym kraju, aby lepiej się w polskiej wymowie wyćwiczyć. Przytoczę tu list, ojca von Lassberg, wyjęty z nader wyczerpującego i pięknie pisanego dzieła ks. Jana Badeniego p. t. „Polacy w Anglii."

„Bardzo wielka liczba Polaków znajduje się, a przynajmniej przed kilku laty znajdowała się w Liverpool'u; obecnie, rachując razem Litwinów i Słowaków—będzie ich około trzystu; przed sześciu, siedmiu, czy dziesięciu laty, było ich podobno do sześciuset. Począwszy od roku 1888, przyjeżdżam regularnie do Liverpoolu w pierwszą sobotę każdego miesiąca i pozostaję całą niedzielę; roboty w kościele naturalnie nie brak, wielu też trzeba po domach odwiedzać.

Nabożeństwo polskie odprawiam w kościele najświętszej *Panny Miłosiernej* na Eldon Street. Proboszcz tego kościoła, ks. Jakób Garderer, Anglik, bardzo jest dla

Polaków przychylnie usposobiony i chętnie, w czem tylko może, stara się im przysłużyć. Odrazu też zgodził się na moją propozycyę, żeby jeden z ołtarzów przeznaczyć szczególnie dla Polaków i Litwinów i ozdobić go obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej. — „I moi angiescy parafianie—mówił—będą mogli z tego korzystać i udawać się pod opiekę tej cudownej Matki Boskiej.“ Przemówiłem do Polaków o tym moim zamiarze—przyjęli go z radością i zaraz zaczęli zbierać między sobą składkę. Niechże to będzie na cześć Matki Boskiej Ostrobramskiej i zbawienie polskich robotników w tym kraju. Obraz, zamówiony w krakowskim klubie malarzów i rzeźbiarzy, nadszedł na miejsce przeznaczenia d. 1 czerwca 1889. „Wreszcie—donosi nasz Misyonarz—otrzymaliśmy wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, z niewymowną radością wszystkich Polaków.“

Kilka tygodni upłynęło na rozmaitych przygotowaniach; Polacy i Litwini współubiegali się nawzajem, żeby jak najpiękniej przyozdobić i obraz, i ołtarz, na którym miał stanąć. Jeden kupił bogatą kapę na akt ten uroczysty; inny, malarz z profesyi, odnowił gustownie ołtarz i wznoszącą się nad nim część muru kościelnego: inni nie oszczędzili grosza i fatygi, aby cała, bardzo obszerna świątynia na to ich święto, w świątecznej okazała się szacie. W dniu, przeznaczonym na poświęcenie obrazu, d. 20 sierpnia, spieszyły już od świtu liczne gromadki Polaków i Litwinów. Obraz stał na tymczasowem podwyższeniu, w głębi prezbiteryum; dokoła paliło się mnóstwo światła; poczciwy ludek klęczał z pokorą u stóp Królowej Niebieskiej; wielu z rozrzewnienia i radości płakało. Po wotywie i kilku cichych mszach świętych wyszła uroczysta suma; w czasie mszy przemówiłem po angielsku o szczęściu parafian, że zawitał i pozostanie między nimi obraz Maryi, wsławiony cudami—zachęciłem wszystkich do gorącej miłości Matki Bożej. Po sumie miałem kazanie polskie; biedacy

bardzo się cieszyli i serdecznie mi dziękowali. Wszakże właściwa uroczystość nastąpiła dopiero wieczorem.

Po nieszporach pomodliliśmy się głośno po litewsku i w tymże języku powiedziałem kazanie, a po sumie inny ksiądz przemówił jeszcze kilka słów po angielsku. Proboszcz Garderee poświęcił obraz, i zaczęliśmy wspólnie śpiewać litanię do Matki Boskiej. Gdybyście mogli słyszeć, z jakiem gorącem nabożeństwem, z jakim zapałem Polacy śpiewali „Módl się za nami," to pewnie rozpłakalibyście się w tej chwili razem z nami. Procesya była bardzo uroczystą. Obraz niosło dwóch zamożnych parafian i umieścili go na przygotowanym ołtarzu. Uklęknęliśmy wszyscy; proboszcz odmówił po angielsku akt poświęcenia się Matce Boskiej Ostrobramskicj, a ja, wespół z Polakami, powtórzyłem głośno, z wielkiem wzruszeniu serca, ten sam akt po polsku... I długo jeszcze klęczeli pobożni Polacy i Litwini przed obrazem swej Matki, polecając Jej wszystkie swe troski i cierpienia, prosząc o pomoc w tej obcej dla siebie krainie."

Adam Gielgud.

Litwini w Ameryce.

Kto z Litwinów pierwszy i kiedy wstąpił na ziemię amerykańską, dziś trudno jest powiedzieć. Znany litewski historyk, S. Dowkont, notuje, jakoby tłumy litewskich włościan już przy końcu XVII wieku emigrowały do nowego świata. Naturalnie, dziś po nich ani śladu w Ameryce nie zostało, jak nie zostało śladu po wychodźcach z czasów Tadeusza Kościuszki i Juliana Niemcewicza.

Początek właściwej, czyli włościańskiej emigracyi do Stanów Zjednoczonych możemy datować od r. 1868. W latach 1867 i 1868 nawiedził Litwę głód. W pierwszym roku zboża włościańskie zmarniały od deszczu, a w roku następnym wszystko zniszczyła posucha. Już pod jesień pierwszego roku ubogiej ludności głód począł doskwierać. Wielu żebraków snuło się po całej Litwie, inni szli do Królestwa Polskiego, gdzie wtedy głodu nie było. W tym to roku 1868 energiczniejsi, odważniejsi z włościańskiej młodzieży, najczęściej uchylając się od wojskowości, zaczęli wychodzić do Ameryki. Najpierw, o ile dało się zbadać, emigracya rozpoczęła się z południowej części Litwy, mianowicie z okolic Ludwinowa, Maryampola, Wysztyńca, Symna, Lubowa (gub. suwał.). Ks. Andrzej

Strupiński, zakonnik z klasztoru księży Maryanów w Maryampolu, który przyjechał do Stanów Zjednoczonych jeszcze w roku 1866, pisał do swoich krewnych i znajomych, zachęcając ich do przyjazdu do Ameryki. Po całej Litwie krążyły opowiadania o dobrych zarobkach w Ameryce. Żydzi, którzy pierwej od Litwinów poczęli stąd emigrować do nowego świata, dobrobyt i bogactwo Ameryki wynosili też pod niebiosa. Pierwsi jednak wychodźcy, nim do czegoś doszli, dużo musieli ucierpieć.

Parowców nie było wtedy tak wiele, jak dzisiaj, jazda na nich musiała być drogo opłacaną. Litwini najczęściej odbywali podróż na statkach żaglowych, na których przejazd trwał od 3-ch do 6-ciu miesięcy. Jeden z emigrantów tego czasu, Jan Bobkowski, tak pisze o swej podróży: „Wyjechaliśmy z Hamburga d. 11 grudnia 1868 r. Okręt, na którym jechaliśmy, nazywał się „Dames Foster.“ Nas, Litwinów, na statku było siedmiu, z tych czterech katolików, a trzej Litwini protestanci z suwalskiej gubernii. Żydów z Maryampola, Wołkowyszek, Krasny i innych miasteczek litewskich było do 20. Jechaliśmy przez Atlantyk trzy miesiące. Jedzenie na okręcie rozdawano nam tylko raz na dzień; każdy dostawał siedem sucharów, kawałek cuchnącego mięsa, dwa surowe kartofle, garść ryżu, trochę owsianej mąki i po dwie kwarty wody. Gotować jedzenie musieliśmy sami. Tak było z początku, później nie dostawaliśmy nawet tego. Przyszło wreszcie do tego, że w trzecim miesiącu ludzie na okręcie zaczęli umierać; były dnie, że umierało po kilku na dzień. Z Litwinów, choć paru bardzo chorowało, nie umarł jednak nikt.“

Wysiadali emigranci w New-Yorku, lecz i tu położenie ich było godnem opłakania. Nie mieli przyjaciół, znajomych, nie rozumieli języka, nie wiedzieli, gdzie się udać, gdzie szukać roboty, jak daną robotę wykonać. Wielu z nich, gdy głodowa śmierć poczęła im zagrażać, ratowało się żebraniną. Na noc zbierali się wszyscy u niejakiego Faryana, Polaka, który miał w New - Jorku małą fabrykę, w której wypalał piasek. W tym to budynku, na ziemi, najczęściej

nocowali nasi biedni wychodźcy. Zbierało się ich tam na nocleg do dwudziestu.

W tym właśnie czasie węglana kompania „Philadelphia and Reading Comp.“ budowała nową kolej pomiędzy miastem Shamokin i Traverton, a kompania „Delevar and Welstern Lackawanna“—pomiędzy miastami Danville i Wilkes-Barre. Kompanie potrzebowały robotników. W ten to sposób prawie wszyscy pierwsi litewscy emigranci, którzy przybyli do Ameryki w 1868 roku, namówieni przez agentów, dostali się do Pensylvanii, do ziemi antracytu, gdzie, znalazłszy dobry zarobek przy węglach, osiedlili się na stałe. I dziś, po 30-tu latach, litewskie kolonie w środkowej Pensylvanii są najliczniejsze i pod każdym względem najlepiej zorganizowane. Tylko około roku mniej więcej 1875—1880 Litwini ze środkowej Pensylvanii zaczęli emigrować dalej na zachód — do Pittsburga, Cleveland, Chicago, St. Luis i na wschód do Nowej Anglii, Philadelphii, Baltimore.

Przypuśćmy, czytelniku, iż jedziesz z Philadelphii do środkowej Pensylvanii, trzymając się kierunku północno-zachodniego. Po trzech albo czterech godzinach jazdy koleją starannie uprawione pola z pięknemi farmerskiemi zabudowaniami stopniowo nikną przed twemi oczyma; coraz częściej widzisz pagórki, porosłe dzikimi krzakami. Jeszcze pół godziny jazdy, a znajdziesz się w niepięknej i niemiłej okolicy—jest to górzysta okolica wschodniej Pensylvanii — *kraj amerykańskiego antracytu*, czyli twardego węgla (antracit coal).

Zajmuje on powiaty (connty): Schuylkill, Luzerne, Lackawanna, północną część Northumberland i południową część powiatów Susquehanna i Wyoming—obszar około 90 ang. mil długi i od 20 do 35 mil szeroki (2,300 mil kwad.). Znajduje się tam 500,000 mieszkańców[1]): Yankesów, Airyszów, Niemców, Szkotów, Litwinów, Polaków, Włochów, Słowaków, Rusinów, Węgrów, Żydów, Holendrów, Francuzów i t. p.

---

[1]) „Encycl. Britanica“, t. XVIII, str. 1218. Press Almanac, 1897 r., str. 222.

Litwinów w 1898 roku naliczono tu 21,472 [1]), a więc około 4%. Najgęściej przez Litwinów zamieszkaną tu okolicą jest północna część powiatu Schuylkill (Shenandoah, Mahanoy City, Mahanoy Plane i t. d.), gdzie litewskiego żywiołu jest 20%. W samem zaś mieście Shenandoah Litwinów jest 25%.

Wogóle, w Ziemi Antracytu (Antracit Region), jest 13 litewskich parafii: Shamokin, Mourt Carmel (Northumb. powiat); Shenandoah, Mahonoy City, Minersville, New-Philadelphia (Schuylkill pow.); Hazleton, Freeland, Wilkesbarre, Plymouth, Pittston (Luzerne pow.); Scranton (Lackaw. pow.) i Forest-City (Susquehanna pow.). Największa parafia jest w Shenandoach, licząca około 6,000 dusz. Najpiękniejsze i najbogatsze litewskie kościoły są w Shenandoah, Mahanoy City, Pittston i Plymouth. Wartość całej kościelnej własności tych 13-tu parafii oszacowano na 178,820 ameryk. dolarów.

Mniejszych organizacyi, czyli tak zwanych „towarzystw wzajemnej pomocy,“ Litwini mają tu aż 68, z których każde liczy od 20 do 300 członków. Z tych jedne są kościelne, drugie świeckie. Konstytucye towarzystw kościelnych wymagają, żeby członkowie należeli do parafii, odbyli wielkanocną spowiedź, a podczas większych kościelnych uroczystości wszyscy, wedle uchwały, przychodzili do kościoła w oznakach. Towarzystwa zaś świeckie z kościołem nie mają nic do czynienia, zwykle noszą miano książąt litewskich—Witolda, Giedymina, Olgierda, Kiejstuta. Do grona swego przyjmują i Litwinów protestantów. Główny cel wszystkich tych towarzystw jest wzajemna pomoc materyalna i moralna podczas

---

[1]) W powiecie Northumberland 1481; w Schuylkill — 11,031; w powiatach Luzerne i Lackawanna 8,960. Polaków w powiecie Northumb. będzie trzy razy tyle, co Litwinów, w powiatach Luzerne i Lackawanna liczba Polaków też przewyższa nieco Litwinów, za to w Schuylkill, gdzie Litwinów jest około 12,000, Polaków niema więcej nad 3,000. Słowaków i Rusinów jest tam też dość znaczna liczba.

choroby, tudzież opieka nad wdowami i sierotami po śmierci członków, do towarzystwa należących.[1]) Każdy członek wpłaca do kasy towarzystwa, tak jak i do kasy parafii, zwykle 50 centów na miesiąc. Są towarzystwa, które mają po 1,000 dolarów i więcej gotówki.

Oprócz tych, mają jeszcze Litwini prawie w każdej większej osadzie towarzystwa śpiewaków, muzyków, kluby polityczne i t. p.

Wszystkie te mniejsze organizacye łączą się w jedno wielkie „Zjednoczenie amerykańskich Litwinów," którego prezesem jest obecnie ks. Jonasz Żyliński.

Pracują tu prawie wszyscy nasi ziomkowie w kopalniach węgla. Z tak zwanych biznesów (bussiness), najwięcej jest litewskich szynków, czyli, jak tu nazywają, salonów (saloon Tak, np. w największej litewskiej osadzie Shenandoah takich „salonów" jest aż 62, gdy tymczasem sklepów jest tylko 16 W innej znów osadzie Mount Carmel na 1480 litewskiej ludności przypada 13 szynków, sklepów jest 7.

Czy dlatego, że wcześniej do Ameryki przybyli[2]), czy dla łatwości w uczeniu się obcych języków, czy też dla jakiej innej przyczyny, zauważono, że nasi ziomkowie pochopniejsi sę od innych przybyszów do handlu. Weźmy dla przykładu wyżej wspomniane miasteczko Mount-Carmel. Liczy ono do 12,000 mieszkańców. Polaków w tej liczbie jest około 3,000; z nich 8-miu jest szynkarzy, a 7-miu ma sklepy albo jakieś inne przemysłowe zajęcie (bussiness). Włochów jest do 300, z tych trzej utrzymują sklepy, jeden szynk. Rusinów

---

[1]) Podczas choroby towarzystwo zwykle płaci choremu ze swej kasy 5 dol. na tydzień, a po śmierci, oprócz 50 dol., przeznaczonych na pogrzeb, członkowie składają dla pozostałej wdowy, albo dla najbliższych krewnych, jeżeli zmarły był samotny, po dolarze każdy.

[2]) Początek emigracyi słoweńskiej i rusińskiej poczyna się od 1880 roku, albo koło tego. Polacy zaś początek włościańskiej emigracyi sami datują od roku 1870, czyli od prusko-francuskiej wojny. Prawda, że włościanie ze Szlązka wędrowali już do Ameryki w r. 1830 i 1847, osiedli oni w Texas, a i po dziś dzień nic wspólnego z właściwą emigracyą do Stanów Zjednoczonych nie mają.

jest do 790—jeden tylko ma „salon.“ A z 640 Słowaków niema żadnego handlarza. Największy stosunek handlarzy przypadnie w M-t-Carmel na Litwinów. Podobnie jest i w innych osadach.

Amerykańscy Litwini niechętnie nabywają grunta. Farm nie kupują prawie zupełnie, nawet na zachodzie, gdzie grunta są tanie i gdzie rolnictwo najlepiej kwitnie. Polacy, Słowacy, Czesi—mają tam swe obszerne kolonie. Próby osiedlania na roli Litwinów, po dwakroć już robione, zupełnie się nie powiodły. Litwin woli robić w fabryce, albo, jeżeli nie, zakłada „bussiness.“ Ponieważ zarobki przy węglach stosunkowo są dobre, lepsze, niż przy innych fabrykach, przeto i pod względem materyalnym pensylwańscy Litwini stoją lepiej od innych. Obliczono, że własność nieruchoma Litwinów w 1898 roku, w powiecie Schuylkill, wynosi 593,730 dol.

Tak się przedstawiają w krótkiem streszczeniu litewskie kolonie w osadach „twardego węgla.“

Na *Wschodzie* Litwinów znajdziemy: w New Yorku, Brooklynie i okolicznych miastach i miasteczkach (5,000). W Filadelfii (do 2,000), w Baltimore (do 2,500). W Nowej Anglii, zwłaszcza w stanach Connecticut i Massachussets, (do 6,000), w ogóle do 15,500 [1]) Jak w Pensylwanii Litwini pracują przy węglach, tak tu trudnią się przeważnie krawiectwem. W Nowym Jorku, naprzykład, i w Brooklynie jest przeszło 100 litewskich krawieckich warsztatów (shop), a w każdym pracuje kilka, czasami kilkanaście osób. Podobnież w Filadelfii, Baltimore i w Bostonie. Polaków w tych miastach też jest wielu, więcej, niż Litwinów, z nich jednak krawiectwem trudni się bardzo niewielu. Krawcy zarabiają dobrze, ale stałej roboty nie mają. Wielu Litwinów pracuje też przy innych fabrykach, zwłaszcza w Connecticute i Massachussets. Kupiectwem trudni się też niewielu, zwłaszcza po dużych miastach, gdzie patenta (licenses) na utrzymanie szynków są bardzo drogie.

---

[1]) Ścisłego obrachunku jeszcze nie zrobiono.

Litewskie parafie są: w Brooklynie, Elizabeth-Port, Filadelfii, Baltimore, Waterbury (Conn.), New Britain (Conn.), w Bostonie i Worcester (Mass.). Najstarsza jest parafia w Balmore. Tam też i kościół jest najpiękniejszy. W Brooklynie Litwini własnego kościoła jeszcze nie mają, miewają nabożeństwo w wydzierżawionej w tym celu hali.

W *Zachodniej* części Stanów Zjednoczonych (in the Wests), litewskie osady znajdują się: w Pittsburgu (zach. część Pensylwanii) i okolicach, w Cleveland (Ohio), Chicago, Spring Valley, Westville i Danville (Illinois). W okolicach Pittsburga Litwinów jest od 4 do 5 tysięcy. Pracują przy fabrykach żelaza i przy miękkim węglu. W Cleveland, Chicago robią przy fabrykach; jest też wielu krawców, mniej „bussinessistów." Będzie tam litewskiej ludności od 5 do 6 tysięcy. Spring Valley, West-ville, Danville i t. d. liczą Litwinów do 4 tysięcy. Ci po największej części pracują przy kopalniach miękkiego węgla (soft coal).

Parafie litewskie na Zachodzie są: w Pittsburgu, Dubois, Cleveland, Chicago, Westville, Danville i Spring Valley. Najpiękniejszy kościół jest w Pittsburgu. Teraz budują Litwini wspaniałą świątynię w Chicago.

Statystyka ludności litewskiej przedstawia już dzisiaj cyfry dosyć ścisłe. I tak, w tak zwanej Ziemi Antracytu, po dokładnem obliczeniu, znaleziono członków narodowości litewskiej 21,472

Na Wschodzie, zważając wedle wielkości parafii, ilości towarzystw i t. d., może być nie więcej, jak 15,500

Na Zachodzie 15,000

51,972

Jeżeli do tego dodamy 8,000 Litwinów, rozrzuconych po innych Stanach Północnej Ameryki, o których dotychczas wiadomości jeszcześmy nie zebrali, to okaże się, że Litwinów w Ameryce niema więcej nad 60,000, zaliczając do tej liczby Litwi-

nów protestantów z Litwy suwalskiej, ze Żmudzi i z Prus [1]) i tych Litwinów, którzy należą do towarzystw i do parafii polskich.

Litewskie szkoły parafialne w Ameryce stoją jeszcze bardzo nizko. Prawie wszystkie parafie są niedawno zorganizowane [2]), na każdej do niedawna ciężyły, a na wielu i po dziś dzień ciążą długi,—o dobrych szkołach, które pociągają za sobą dość znaczne koszta, trudno było pomyśleć. Mamy szkoły parafialne w Shenandoah, Mahanoy City, Pittston, Mount-Carmel, Chicago, Pittsburgu i Baltimore. Największą przeszkodą do szybkiego rozwoju szkolnictwa litewskiego jest brak dobrych, odpowiednich nauczycieli. Dotychczas we wszystkich szkołach parafialnych uczą organiści, którzy o pedagogice najczęściej nie mają żadnego pojęcia. Drugą główną przeszkodą jest brak podręczników litewskich. Zresztą, Litwini najchętniej posyłają swoje dzieci do szkół, tak zwanych, publicznych (public school) angielskich.

Lepiej od szkół parafialnych rozwijają się i kwitną szkoły wieczorne dla dorosłych: w Baltimore, Chicago, Seranton, New Yorku, Waterbury i t. d.

Najlepiej pewnie kwitnie w Ameryce litewska prasa. Mają Litwini swoje drukarnie: w Plymouth dwie, w Shenandoach dwie, w Chicago, w Baltimore, Mahanoy City, Minersville, Waterbury. Gazety litewskie obecnie wychodzą: „Tevyne,“ organ Zjednoczenia amerykańskich Litwinów, w Plymouth, miesięcznik: „Vienybe“, organ „Miłośników Ojczyzny,“ tygodnik; „Lietuva“ w Chicago, „Garsas“ w Minersville, „Darbinikas“ (Robotnik) w Shenandoah, „Rytas“

---

[1]) Litwini protestanci, wyznania augsburskiego, mają w Stanach Zjednoczonych jedną parafię.

[2]) Zaczęto organizować czysto litewskie parafie w Ameryce od r. 1889, po przybyciu tu św. p. ks. Al. Burby. Przedtem Litwini należeli do parafii i towarzystw kościelnych polskich. Najstarsze parafie są: we Freeland, Plymouth, Hazleton i Baltimore.

w Waterbury, „Kardas" w Baltimore—tygodniki, „Dirva" w Shenandoah, wychodzi cztery razy na rok.

Z dzieł Adama Mickiewicza znajdujemy w litewsko-amerykańskich wydawnictwach *Grażynę* (Grażina), drukowaną w plymouthskiej „Vienybe" 1893 roku. Przekład Jr. Jonas'a.

W tejże „Vienybie," za rok 1894 i 1895, znajdujemy „*Dziady*", część I, II, III i IV. Przełożył A. Gužutis. Przekład jest słaby.

Ballada „Ucieczka"—„Baltasis Karžygis" była drukowana w „Garsas'ie" r. 1897.

Obecnie w „Tevyne" drukuje się „*Dziadów*" część II. w przekładzie Fr. Jonas'a. [1]).

Waśnie, które powstały były pomiędzy amerykańskimi Litwinami i Polakami około roku 1889, a które odbiły się i w amerykańskiej polskiej i litewskiej prasie, były nieuniknione, gdy Litwini zaczęli od Polaków się oddzielać i zakładać swe parafie i stowarzyszenia. Teraz jednak, mniej więcej od roku 1895, nieporozumienia i niezgody ucichły,— każda narodowość pracuje nad swem ukształceniem.

Ks. Jonas Żyliński.

---

[1]) Redakcya „Tevynė" posiada też dość udatny przekład „Konrada Wallenroda" do powieści „Wajdeloty" i balladę „Alpuhara."

Kilka słów o pesymizmie

napisała

CECYLIA PLATER-ZYBERKÓWNA.

Wiedzcież, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga.
(*Mick.*)

Żyjemy tak dalece pogrążeni w powszedniości szarego naszego życia, naszych codziennych trosk i kłopotów, że rzadko kiedy odchylamy głowę, aby spojrzeć w górę i czemkolwiek się rozradować.

I tak niejeden z nas przeżyłby całe życie, bez ożywczego promienia piękna, bez ciepła, bez ideału — gdyby drogi naszej nie rozjaśniali nam wieszcze.

Wieszcze—są to posłannicy Boży, hojniej od innych ludzi udarowani, których Bóg dobry posyła, jako światło słoneczne, na naszą biedną ziemię, pełną cieni i mroków.

Wieszcze—są to dusze niezmiernie wrażliwe, które, żądne wyższego ideału, niejako wchłaniają w siebie wszelakie piękno, dokoła nich rozlane, aby niem najpierw głód własny nasycić, a następnie braci swoich ogrzać, opromienić. Jako gwiazdy, świecą oni narodom w ciemnych, długich nocach dziejowych.

Są to dusze, które, jak się Mickiewicz o sobie wyraził, kochają za miliony, ale też i cierpią za miliony!... a widzą to, czego ludzie pospolici najczęściej widzieć nie umieją.

Takim posłannikiem dla narodu naszego był Mickiewicz. Inne narody szczycą się wieszczami, których cała zasługa leży w geniuszu poetyckim. Są to genialni poeci, lecz — nie pytaj o człowieka. Nasz Mickiewicz przeciwnie—nietylko, że był niezrównanym poetą, malarzem, kolorystą, po mistrzowsku słowem, niby pędzlem, cudne obrazy kreślącym: duszą gorącą, namiętną, pełną szlachetnego żaru,—był nadto jeszcze głębokim myślicielem,—a nadewszystko był zacnym i szlachetnym człowiekiem—był wierzącym chrześcijaninem. Cześć mu!

„Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przyszłe i przeszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec,
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić!"

Słowo jego ożywcze, bo przesiąkłe wiarą, nadzieją, miłością, a skąpane niejako w esencyi piękna, jako promień słońca wśród chmur ciemnych, od lat wielu u nas świeci, w każde okno zagląda — i nizko, i wysoko — zanosząc tam, gdzie je ochotnie przyjmują, otuchę i pokrzepienie.

Wszędzie rozbudza tęsknotę do ideału, umiłowanie piękna. Godzi nas z życiem, gdzie jest tak wiele do zdziałania, godzi nas z ziemią, gdzie jest tyle piękna...

„Taka pieśń jest *siła, dzielność*,
„Taka pieśń jest *nieśmiertelność!*

O, szczęśliwe są narody, które posiadają wieszczów, wyższych duchem i sercem, które kształcić się i urabiać mogą

na zacnej pieśni, a karmić zdrowym pokarmem piękna: posiadają one w swem łonie źródło odrodzenia, źródło życia, które nie ulega zagładzie!

Wchodząc w myśl wieszcza naszego, w stuletnią rocznicę jego narodzin, ofiarujemy ziomkom naszym niżej kilka uwag o pesymizmie, które zostały duchem Mickiewicza natchnione. Oby zdołały do serc trafić, a słowem mistrza poparte—rzucić nieco otuchy tym, którzy się już chylą nad pesymistyczną przepaścią.

„Co żyje, niknie"—tak na mnie świat woła;
Czemuż ten głos wewnętrzny wiary nie wyziębi,
Że gwiazda ducha zagasnąć nie zdoła,
I raz rzucona, krąży po niezmiernej głębi,
Póki czas wieczne toczyć będzie koła?

Czy idziemy ku gorszemu?

Bóg sam może świat zniszczyć i drugi wystawić,
A bez naszej pomocy nie może nas zbawić. (*Mick.*)

Wielu pesymistów twierdzi, opierając się na zasadzie znajomości świata i ludzi, że na świecie idzie coraz ku gorszemu, — że zepsucie i niewiara się wzmagają, że zło nigdy tak bezczelnem, a niemoralność tak wyrafinowaną nie była, jak w czasach obecnych. Twierdzą też, że każdy wysiłek ku dobremu jednostek służy tylko im samym, a o tyle tylko służyć może społeczeństwu, o ile te jednostki innym jednostkom w dobrem dopomagają, a przeto i powód złego oddalają.

O, zaprawdę! niewielka byłaby to dla nas otucha, gdyby prace i wysiłki świętych, w połączeniu z krwawym wysiłkiem Jezusa Chrystusa, miały moc ratowania *jednostek tylko* i opóźnienia tryumfu złego—bo cóż za zniechęcenie słusznie by nas ogarniało na myśl, że ostatecznie niegodziwość, t. j. moc szatańska, nad mocą Chrystusową weźmie górę.

Nie! tak źle nie jest—tak źle być nie może!

Królestwo Boże przyjdzie na ziemię—bo Chrystus ziemi tę łaskę wyjednał, lecz kiedy nastąpi chwila błogosławiona stanowczego i ostatecznego tryumfu prawdy nad fałszem, dobra nad niegodziwością—niewiadomo... Jedno tylko, co w tym względzie wiedzieć napewno możemy, jest to, że przybliżenie tej chwili od nas, ludzi, w wielkiej mierze Bóg uczynił zależnem.

Chrystus nam da to królestwo, — lecz *o tyle, o ile* na nie pojedyńczo i zbiorowo zapracujemy, o ile gorącem pragnieniem, w połączeniu z Jego zasługami, z Jego modlitwą, ziemi je wymodlimy.

Opieszałością swoją możemy ten czas opóźnić, zarówno jak gorliwością przyśpieszyć.

Zepsucie, jak wszystko, cokolwiek istnieje—oprócz Boga, posiada siłę zawsze ograniczoną, która, jak każda siła, wzmagać się może lub słabnąć, w miarę tego, czy zastaje na swej drodze warunki, sprzyjające swemu rozwojowi, czy też zaporę, jemu przeciwną.

Oczywiście, gdy np. na wzburzonem morskiem przestworzu, fala, piętrząc się, napotyka w swym rozpędzie jaki wał skalisty, uderza weń całą siłą i przesadza go, lecz osłabiona tem uderzeniem, dalej posuwać się będzie już nieco uśmierzona... już mniej wysoka, mniej zuchwała i mniej groźna... a gdy kilka, kilkanaście takich zapór przesadzi, uspokojona i jakby *rozbrojona*, rozleje się łagodnie na piasczystem wybrzeżu, nakształt fali cichego jeziora.

Cnotliwe ludzkie pokolenia, zarówno jak cnotliwe jednostki, porównaćby można do owych wałów skalistych; stanowią one na drodze złego owe zapory, o które fale niego-

dziwości, rozbijając się, tracą na sile... Im zaś gęstsze będą te zapory, im silniejsze, im bardziej skupione, tem będzie prędsze, tem pewniejsze rozbicie się złego, a tryumf dobra... i tak dalej... dopóki nie nastąpi pewne *zrównoważenie*, t. j. powstrzymanie się fali w karbach, siłą napotykanych wałów obronnych.

„*Aż póty przyjdziesz, a dalej nie postąpisz i tu rozbijesz nadęte wały swoje.*“ [1])

Niezaprzeczenie, ogrom złego daje się widzieć dzisiaj na świecie, wszelako nie w tem rzecz, azali jest obecnie wiele nieprawości, ale czy ta nieprawość jest większą, czy też mniejszą od tej, która bywała kiedykolwiek? Aby tę rzecz sprawiedliwie osądzić, niezbędnem jest wznieść się poglądem *wyżej* nad to, co osobiście obchodzi, aby z bezstronnością sądu objąć *całość* tego, co było i jest obecnie. Otóż, przy bliższem zastanowieniu i porównaniu, okazuje się, że owo zdanie, jakoby nigdy nie było tak źle, jak jest dzisiaj, jest tylko komunałem, powtarzanym pod wpływem jakiejś osobiście przykrej chwili.

Pojedyńczym społeczeństwom i narodom mogło być w rzeczy samej dawniej o wiele lepiej, aniżeli dziś, pod względem ekonomicznym, politycznym, a nawet moralnym, albowiem narody jedne się wznoszą i rosną w potęgę, a drugie upadają, wszelako, mając na uwadze *ogół*, a raczej stan moralny ogółu, odmienny się wykaże rezultat. Oczywiście, że w Indyach np. o wiele działo się lepiej przed 300 laty, gdy kraj ten był chrześcijańskim, dzięki gorliwości apostolskiej św. Franciszka Ksawerego; jednak, wziąwszy pod uwagę moralny i religijny stan świata, dzisiaj o wiele więcej jest krajów, pracą misyi katolickich królestwu Chrystusowemu podbitych, aniżeli dawniej. Promień ewangeliczny szerzej się rozlewa i głębiej przenika...

Zresztą jeden rzut oka na dzieje i obyczaje ubiegłych

---

[1]) Hiob, 38—11.

wieków wystarczy, aby nam wykazać, że nie ku gorszemu idziemy, ale ku lepszemu.

Bo choćby wziąć pod uwagę stan świata, nie dalej, jak przed trzema wiekami, przerażenie by nas ogarnęło na wspomnienie tego, co się działo... Tortury, mordy, otrucia na porządku dziennym,—i to nie wśród jakiejś dziczy barbarzyńskiej, ale w Europie, w ucywilizowanej Anglii, gdzie setki i tysiące chrześcijan za wiarę mordowano!... A w innych krajach, gdy kartę ich dziejów zgłębimy, co za smutne obrazy przed oczami się przesuwają! Wojny półwiekowe, spustoszenie, niewolnictwo... gnębienie ludu i słabszych przez możnowładców... i to bez odpowiedzialności żadnej! A jaka powszechna twardość obyczajów, obyczajem chrześcijańskim nie złagodzona! A nie dalej, jak 50 lat temu, za naszej może pamięci, co się też u nas działo? Jeszcze okropne poddaństwo!... kara cielesna, prawem upoważniona, służba w wojsku ćwierć wiekowa, potrzeby ludu w niczem nie uwzględnione... pańszczyzna, otwierająca pole do niesłychanych nadużyć... i t. d.

Powie mi kto, że wojny teraźniejsze bardziej są morderczе od dawnych. Prawda—ale za to są krótkotrwałe, mniej okrutne i straszne w rezultatach, nikomu bowiem nie tajno, że trzeba było lat dziesiątków, aby się po dawnych mordach, napadach, moralnie i ekonomicznie podźwignąć. Straszne zbrodnie są dziś na porządku dziennym, i to prawda, lecz pytam, czy dawniej nie bywało gorszych? A jeśli znamy tak dokładnie wszystkie szczegóły moralnej zgnilizny obecnego wieku, zawdzięczamy to zapewne rozpowszechnionemu dziennikarstwu, ułatwionym komunikacyom, pocztom, telegrafom, telefonom, lotem myśli roznoszącym wieści o tem, cokolwiek gorszącego się gdzie przytrafiło.

A jeśli mówimy o większem wyrafinowaniu zepsucia czasów obecnych, jest to czczy frazes, nic nieoznaczający. Boć samo zło nie mogło być więcej wyrafinowanem, aniżeli dawniej, np. za czasów rzymskich lub za bizantyjskiego cesarstwa; jeśli więc co jest bardziej wyrafinowane, to chyba forma, w jakiej się dziś zło przejawia, coby tylko świadczyło o delikatniejszem poczuciu ogółu, domagającego się w samem

złem formy delikatniejszej, mniej rażącej. A więc i tu wyraźny postęp ku lepszemu odczuć się daje. W gruncie więc zło pozostało, czem było,—prócz formy, która się odmieniła, a odmieniła na lepsze.

Pesymiści jednym jeszcze argumentem wojują. Mówią oni, że dawniej bywało więcej wiary u narodów chrześcijańskich, że dzisiejsze społeczeństwo postępuje szybkim krokiem ku odchrześcijanieniu się, ku spoganieniu, — skutkiem czego i obyczaje coraz bardziej się psują. Jest nieco słuszności w tych spostrzeżeniach, jednak nie bezwzględnej racyi. Bywało dawniej więcej wiary, to prawda, wiary, której zawdzięczamy cały poczet heroicznych Świętych, zapały całych narodów dla sprawy świętej, lecz niestety, na ogół mówiąc, wiary, jeszcze niedostatecznie oświeconej, a nawet ciemnej, rodzącej zabobony, fanatyzm religijny, godzący np. takie sprzeczności jak: otaczanie się relikwiami z popełnianiem okrutnych zbrodni, lub też czynienia wotów, aby się powiódł zamach zbrodniczy i t p. Dziś, w wieku racyonalizmu i krytyki, niezaprzeczenie więcej jest niewierzących, aniżeli dawniej, wszelako u tych, którzy wierzą, napotykamy więcej konsekwencyi między wiarą a uczynkami, napotykamy więcej chrześcijan w pełnem złowa znaczeniu, wśrod których religia nie jest tylko *hasłem*, ale głębokiem i uzasadnionem *przekonaniem*.

Inny był, co prawda, charakter złego i dobrego przed laty, wszelako, wziąwszy bezwzględną sumę jednego i drugiego, bilans okazałby na czasy obecne znaczną przewyżkę dobrego nad złem, zawsze w porównaniu z ubiegłymi wiekami. Jest w tym względzie, jak z wiosną, w której po dniach ciepłych następują wietrzne i mroźne, — w której jednak *ogólna suma* światła i ciepła idzie *w zwyżkę*, pod wpływem coraz to cieplej i dłużej przygrzewających promieni słonecznych.

Ani wiatry, ani chmury działania tych promieni nie powstrzymają, aż te promienie zaleją ziemię pełnią światła, ciepła i rozkwitu!

A od lat kilkudziesięciu wieleż to zakwitło na niwie Chrystusowej dzieł dobroczynnych, wspierających wszelką

niedolę moralną i fizyczną? I czyliż w tym względzie niema bardzo widocznego postępu?

Na ten temat dałoby się całe tomy napisać, wykazując, jak drzewo Chrystusowe, wyrosłe z ziarnka gorczycznego, coraz głębsze zapuszcza korzenie, a coraz szerzej rozkłada swe konary. Ze względu wszelako na łaski, przez nas od Boga odbierane, ze względu na światło ewangeliczne, coraz dłużej społeczeństwom ludzkim przyświecające, bezwątpienia *należałoby*, aby w naszych czasach było *jeszcze więcej* dobrego, a wiele mniej złego, niż się dziś znajduje,—zaprzeczyć temu niktby się nie ośmielił. Niechaj to przeświadczenie będzie nam bodźcem do coraz mężniejszych, a wytrwałych wysiłków ku wszystkiemu, co dobre, *co najlepsze*.

Dekadentyzm, o którym obecnie tak wiele się mówi i pisze, jako o smutnym objawie chylącej się ludzkości ku moralnemu upadkowi, jest to tylko szumowina wieku, objaw smutny, jednak nie rozpaczliwy, bo zapowiadający rychłą a konieczną reakcyę; to fala, która na chwilę zanurza, aby za drugą chwilę podnieść wysoko i ciągłem falowaniem zbliżać nas do brzegu!

Pod tym względem dziś zapewne gorzej, niż bywało, że zło zaostrza się w pojedyńczych objawach, że się uzuchwala, że wychodzi z ukrycia i bezczelnie się odsłania, że już nie skryty, ale jawny i zacięty bój temu, co dobre, wydaje.

Dawniej zło bywało wynikiem barbarzyństwa, ciemnoty, ułomności, błędu, krewkości, ostatecznym choćby objawem upadku natury ludzkiej—dziś charakteryzuje się w dziwny sposób: zło popełnia się dla złego, z nienawiści ku temu, co dobre, w czem bardziej jest szatańskiem, niż ludzkiem.

Osobliwe stanowisko, jakie dziś śród świata wrogowie Chrystusa zajęli, wykazuje nam jasno, czem my wobec nich być powinniśmy i jaką bronią przeciw nim walczyć nam należy, w obronie dziedzictwa Chrystusowego,—abyśmy na tę naganę nie zasłużyli, że „*synowie tego świata roztropniejsi są w rodzaju swoim od synów światłości!*"

Żyjemy w chwili wiekowego przełomu, przeto większych nam potrzeba cnót, heroiczniejszych poświęceń, silniejszego

przeciwdziałania, aniżeli kiedykolwiek, większego czuwania i wewnątrz i zewnątrz, większego męstwa, bezinteresowności, ducha ofiary, a przytem rzetelniejszej pracy w pocie czoła nad ratowaniem winnicy Pańskiej, szarańczą niegodziwości zagrożonej,—wreszcie gorętszej miłości, niczem się nie zrażającej. Bo czyliż dopuścimy, aby nienawiść przemogła i aby dla sprawy ducha ciemności większe podejmowano prace, ofiary, aniżeli dla sprawy dobrej?

Dlatego właśnie, że bój zacięty się wzmaga, bój, jakiego może dotąd nie było, trzymać się powinniśmy w pełnej zbroi, z bronią modlitwy, a pancerzem czuwania. Bądźmy więc gotowi do walki, a nawet i do zniesienia niejednej nawałnicy. Zaciskajmy szeregi, a brońmy stanowiska najważniejszego i najbardziej zagrożonego przez ducha ciemności, brońmy młodzieży, rodziny, ludu; brońmy klas rzemieślniczych od wciskających się z zagranicy zasad przewrotowych; brońmy od ciemności, a hasłem *zacnego postępu*, które się nam słuszniej, aniżeli wrogom Chrystusa należy—światło rozszerzajmy! W walce niechaj nas podtrzymuje myśl, że, walcząc w dobrej sprawie, zwycięstwo odnieść musimy. Wiedzmy jednak, że o tyle tylko zwyciężać będziemy, o ile rzeczywiście stać będziemy przy Chrystusie i staniemy się *pomocnikami Tego,*[1]) który nas ostrzegł, że „*bez Niego nic uczynić nie możemy*[2]), o ile będziemy zaparci, z siebie wyzuci a „*przyobleczeni w Chrystusa*"—albowiem wówczas nie my, ale Chrystus w nas i przez nas walczyć i zwyciężać będzie.

Zachęcajmyż się też i tą myślą, że w tej wielkiej sprawie szerzenia królestwa Bożego na ziemi, żaden z czynów naszych, z pobudki nadprzyrodzonej spełniony, obojętnym nie jest, że każdy z nas — pojedyńczo i zbiorowo może być oną *zaporą,* broniącą wybrzeża Chrystusowego, że każdy odpór złego, każda nawałnica, w Imię Boga zniesiona, osłabia siłę niegodziwości, dalszym zaś generacyom walkę ułatwia. I ta

---

[1]) I, Kor. 3—9.
[2]) Jan, 15—5

myśl niechaj nas pokrzepia, że w Bożej ekonomii żaden wysiłek, żadne cierpienie nie marnują się nigdy, ani ograniczają na chwilę obecną, ale że trud i praca jednych pokoleń drugim ścieżki i drogi prostują i że najsłabsze nawet ręce mogą walne usługi oddawać. Pociechą zaiste w każdodziennym znoju i dźwignią w krótkiem życiu może być pamięć na to, iż od nas zależy przyśpieszenie zapanowania królestwa Bożego na ziemi i że dobra wola ludzka, połączona z wytrwałą modlitwą, stanowi siłę rozstrzygającą o przeznaczeniach świata.

Dobre myśli, dobre zasady, zarówno jak złe, rzucone w świat, kiełkują i owoc przynoszą *każde w swoim rodzaju.*[1] Rzucajmyż tedy dobrych myśli i zasad jak najwięcej; niechaj one w duszach i społeczeństwach pracują i walczą, niechaj się ścierają z myślami i zasadami przewrotnemi, a niechaj ich będzie jak najwięcej, aby przy nich była siła—a ostatecznie przy nich stanęło zwycięstwo!

Pomnijmy i na to, że „*one dni utrapienia, które mają nastąpić*" [2]), dla wybranych skrócone być mają, według przepowiedni Chrystusowej, co znaczy, że sprawiedliwi są u Boga w tak wielkiej cenie, że dla ich zasług Bóg skróci dnie ostatecznego doświadczenia, a przyśpieszy tryumf dobra i prawdy.

Cóż za niezmierna pociecha dla wybranych! Strzeżmy się więc czarnego pesymizmu, który broń z ręki wytrąca, a ramię w działaniu paraliżuje. Skoro bowiem Bóg nas stworzył i na tej ziemi postawił, miał w tem cel najdoskonalszy, do którego osiągnięcia niewątpliwie odpowiednie przygotował nam środki, w naszej przeto jest mocy ten cel osiągnąć dla siebie i swego społeczeństwa... tylko do tego trzeba pracy, wysiłku, wytrwałości i jeszcze raz *pracy!*

Istnieje jeden postęp, któremu najzagorzalsi pesymiści nie przeczą: jest nim postęp materyalny cywilizacyi, postęp

---

1) Gen. 1—11.
2) Mat. 24—22.

w naukach, wynalazkach, w rozpowszechnieniu oświaty, w ułatwieniu szybkiego między ludźmi porozumieniu się i t.d., lecz i tu wielu z obozu Chrystusowego nad tem ubolewa, jakoby ów postęp służył wyłącznie zepsuciu, rozszerzaniu fałszu, oraz zasad trujących, nie upatrując w nim żadnych stron dodatnich, dla dobrej sprawy. Służy on próżności — w rzeczy samej—ale nietylko próżności, wbrew bowiem oczekiwaniu bezbożnych, ów postęp materyalny przygotowuje *„drogę Pańską,"* [1]) drogę królestwa Chrystusowego, od krańca ziemi do krańca. Wszelako, aby to spostrzedz, trzeba się wznieść poglądem nieco wyżej nad osobiste wrażenia i nie sądzić według ciasnego kąta widzenia tego, co nas dotyczy lub co nas otacza. Jak w starożytności całe cztery tysiące lat bytu świata przygotowywały drogę oczekiwanemu Mesyaszowi, zarówno cały świat obecny i wszystko, cokolwiek w nim się dzieje, dąży do owego drugiego przyjścia Chrystusowego— i wszystko ku temu zmierza. Drogi te opatrznościowe podziwiać będziemy przez całą wieczność!

A nie sądźmy, aby królestwo Boże miało być od nas dalekiem.

Nie mówiąc już o królowaniu Boga w duszy wiernej, królestwo Boże znajduje wciąż swe urzeczywistnienie w rodzinach, rządzących się duchem Ewangelii, w parafiach, kierowanych przez gorliwych pasterzy, w zakładach, w zgromadzeniach zakonnych, wreszcie—w społeczeństwach, w których życie katolickie się rozwija, kwitnie i owoce dobrych uczynków wydaje. Im więcej będzie zaś takich rodzin, parafii instytucyi, zgromadzeń, społeczeństw, tem bardziej ogólnoludzkie społeczeństwo zbliżać się będzie do onej błogosławioncj chwili, przepowiedzianej przez Zbawiciela, w której będzie jeden Pasterz i jedna owczarnia, a w której w całej pełni urzeczywistni się ono prorocze słowo modlitwy Pańskiej: „Przyjdź królestwo Twoje!"

---

[1]) Jan 10—16.

Posuwamy się zwolna i krętemi ścieżkami ku zamierzonej mecie, ale się posuwamy, łaska Boża dopomaga, a królestwo Boże się zbliża!

My zaś wszyscy o tyle szczęśliwi będziemy, o ile się kto przyczynił do zatrzymania fali zepsucia, a przyspieszenia tryumfu dobra i prawdy—jednem słowem—o ile swoje powołanie doczesne spełnił. Stanowić to będzie całą zasługę naszego ziemskiego pielgrzymowania, a w wieczności zjedna nam koronę nieśmiertelną!...

Wydaleni

(BAJKA).

Był sobie raz mąż wielki i potężny, który postanowił ludy uszczęśliwić. Długie lata badał nędzę i niedolę, długie lata uczył i kształcił, długie lata nad ideą swą pracował.

I wreszcie nabył kraj piękny i żyzny, ale pusty, i zagarnąwszy ze sobą ludy uciemiężone, wyzyskane, skrzywdzone— tam je osiedlił, zabraniając im cośkolwiek zabierać ze starego świata.

I przyszło wielkie mnóstwo, jako z nocy w dzienną jasność—i zapanowało w nowym kraju nowe życie.

A na majestacie, na wysokim krużganku świątyni, zasiadł mąż-tryumfator i patrzał z dumą na swe państwo i na wyzwolone ludy.

I widział wokoło dobrobyt i sytość, postęp i wykształcenie, owa ziemia nowa—nowym rajem była.

I mówił w przeświadczeniu swej mocy:

— Błądzili wszyscy—jam nie błądził. Kłamali wszyscy—jam jest prawdą.

Aż dnia pewnego ujrzał wrzenie wśród swego ludu, ruch, krzyki, tłumy, miotające się wściekle — i oto z tego mrowia wzburzonego, przerażonego, zdjętego wielkim gniewem, utworzyła się gromada, popychająca przed sobą ludzi troje, które

wiedli ku niemu—a dłonie mieli pełne kamieni i urąganie na ustach.

Napełnili krużganek i wepchnąwszy złoczyńców przed majestat jego, poczęli ich oskarżać:

— Oto, panie, pojmaliśmy ich, wiarołomnych zdrajców. Każdy z nich przyniósł ukradkiem coś z tego przeklętego świata, skąd nas wyzwoliłeś. Pozwól, byśmy ich ukamienowali.

Mocarz spojrzał ku winowajcom. Był starzec, niewiasta, równa mu wiekiem, i pacholę.

Starzec wytartą książczynę trzymał na piersi, niewiasta kołowrotek z garścią szarego lnu osłaniała przed zawziętością tłumu, pacholę wystraszone, poturbowane, bo mu krew ciekłą po policzku, przyciskało pod pachą skrzypce, na których mu już struny pozrywano.

— Coście za jedni? Pocoście się tu wkradli? — spytał władca starego.

Ale nim ten usta otworzył, uprzedziła go kobieta, najśmielsza, najrozmowniejsza.

Niewiadomo, w co ufała, bo nie była zalękła, ani wrzaskiem tłumu, ani kamieniami. Patrzała dość zuchwale na prześladowców, a na władcę nawet dość lekceważąco.

— Ja jestem sobie baba, mam sto lat, może więcej, nie pamiętam, ale starszej u was niema, na to przysięgnę, i was jeszcze przeżyję, oho!—i dzieci wasze... Mnie zowią Bajka, Gadka, Bajda, różnie, jak pod humor ludziskom... Umiem len prząść i prządek na wieczornicach pilnować, wołają mnie do chorych, dzieciska mi zostawiają bawić—ot, wiadomo, jak co komu potrzeba. Tenci chłopak—mój wnuczek jest. Popsuli mu skrzypce—dobrze mu tak; on ci mnie tu do was namówił, do takich ludojadów, zbójników a tchórzów, którzy się starej baby boją! Aha, aha, nie wydziwiajcie — no!

Tu się wzięła pod boki i śmiała się szyderczo.

— Boicie się, boicie! Ja wiem, czego, mądrale! Ja się waszych kamieni nie lękam i w oczy wam gadam... Żeście mnie starą zelżyli, spostponowali, zbałamucę wam dzieci, porzucą was dla baby! Ot, co!

I zuchwale urągała tłuszczy.

— Ukamienować ją! Ukamienować!—zawrzało.

Ale mocarzowi wydała się tak nędzną, tak starą, że nawet gniewu nie odczuł.

— Ukamienować!—rzekł.—Kogo? Tę marę! Zali nie szkoda waszych rąk i tych kamieni? To drzewo, co trzyma, połamać i spalić, bo to wstyd wobec naszych maszyn, a ją samą precz wygnać—het! na tę górę skalistą, z której ni rolnik, ni fabrykant nie ma żadnego użytku. Tam zmarnieje i zginie!

Rzucili się ludzie ku babie. Ona się wciąż szyderczo uśmiechała. Połamali jej kołowrotek i w mig go spalili, ale gdy ją wypchnąć chcieli, uparła się i nie dała ruszyć z miejsca, wołając:

— Chłopca mi oddajcie! Bez niego nie pójdę! Moja krew jest, nie dam go wam na poniewierkę! Chłopca puszczajcie!

Tedy mocarz ku chłopcu oczy zwrócił, a ten łuną się oblał i stał, uśmiechając się.

— A ty kto? Po coś tu przyszedł? Po coś to drewno przyniósł? Szukasz posady w orkiestrze?

— Ja, panie, grajek jestem i śpiewać też umiem.

— Cóż umiesz grać?

— Umiem wszystko, panie! Wiosnę gram i lato, i jako w obcej stronie kozak ginie samotny.

— A gdzieś ty widział, by to prawda była?

— Ja nie wiem, panie, czy to prawda, ale ludzie mi byli radzi w tamtym kraju...

— A umiesz śpiewać opery? Tenor jesteś, czy baryton?

— Umiem śpiewać kolendy, panie! A zowią mnie skowronek.

— Oszuście! więc śmiesz mi wnosić brednie i fałsze? Jak śmiałeś granicę moją przestąpić?...

— Albo ja wiem, panie, co wasza granica... Szli ludzie, mówiąc, że idą do światła, ja z nimi, że idą do swobody, ja z nimi. Myślałem, że będą przecie smutni, którzy mnie zawołają, i weseli, którzy mnie ugoszczą, i bohaterowie, którym

pieśń trzeba ułożyć, i kochania, którym trzeba zawtórować, i tęsknota za starym światem, której trzeba ulżyć! I tak przyszedłem z babką!

Mocarz się obruszył, a tłum wył, szydził, przedrzeźniał chłopca. Zanim rozkaz wydano, już się sypnęły kamienie i urągowiska.

— Naści za kolendy! Naści za żale tutaj! Naści za tęsknotę po złem! Naści za twoje bohatery!

Chłopak się rękami osłaniał, ale lęku nie okazywał. Owszem, żywa krew w nim zawrzała i zawołał:

— Tedy bijcie i zabijcie! A ja was przeklinam, żebyście sami po mnie kiedyś płakali, kiedy zaniemieję!

I byliby go zakamienowali, ale wtem tłum się rozdwoił, i zaczęły niewiasty hamować mężów, wydzierać im kamienie, wołać na władcę:

— Puśćcie go z życiem, panie! Zali takie marne pachole wrogiem i niebezpieczeństwem nam może być! Niech idzie precz od nas, ale krwi jego młodej żal... niech nie płynie!

— Idź precz, niech cię nasze oczy nie widzą, a jeśli się ośmielisz do nas zbliżyć, śmierć cię czeka!

Pacholę popatrzało na skrzypki swe rozbite, zepsute, westchnęło po nich i skinęło na babę, by szła. Ale ona jeszcze czekała, poglądając na starca, ku któremu teraz zwrócił się monarcha.

— Ty ktoś jest? Na książce tej, czy jest moja pieczęć?

— Jam jest sługa Boży.

— Niema Boga.

— Ta książka to Jego słowo.

— Spalić ją, obałamucała nas wieki!

Wydarto książkę starcowi, rzucono ją w ogień.

— Więc przyszedłeś tu znowu ludzi oszukiwać i mamić?

— Powiedziano mi, że czcisz prawdę, szedłem śmiało do ciebie. Poddani twoi śmiertelni są. Będą mnie potrzebowali, jedni wcześniej, drudzy później! Przyszedłem im służyć!

— Pewny jesteś bardzo!

— Bom był twoim poddanym niegdyś i wiem, jak gorzko bywa im niekiedy!

— Klecha jesteś! Urągasz mi! Wierzysz, że ktoś z pod mojej władzy może do ciebie się zwrócić! Żebym cię kazał spalić z twoją książką razem — powiedzieliby tam — w tym przeklętym starym świecie, że się jeszcze ciebie boję! Ale ja drwię z ciebie i tyle dbam, co o proch pod stopami—i tyle wierzę, co w baśnie nianiek. Ale jeśliś taki bezinteresowny— to idźże w te skały i tam się módl i pość! Jak ci głód dokuczy i samotność się uprzykrzy, przyjdź i hołd mi złóż — dam ci wtedy jeść! Precz!

— Precz! precz! precz!—zawyli teraz wszyscy i pognali przed sobą troje wygnańców, ciskając za nimi drwiny, obelgi, kamienie i śmiecie.

Wygnali je za grody i domy, za pola i łąki, aż w góry, kędy był tylko głaz i las—potok i śnieg, i kędy tylko dzikie kozy się pasły i orłowie się gnieździli!

I po tym sądzie zapanował znowu spokój w państwie wielkiego mocarza, i o trojgu wygnańców pamięć zaginęła. Do majestatu przychodzili często ludzie ze sprawami i sporami. Przychodzili się skarżyć, a on ich godził, przychodzili się radzić, a on im mózg rozjaśniał, przychodzili o pomoc, a on ich wzmacniał.

A na wszelkie pytanie miał odpowiedź.

I było dobrze w tym kraju.

A panowało tam prawo, że miast podatków, składali poddani władcy co rok daninę mądrości. Ten wynalazek nowy, ów maszynę, tamten nauki, ten postęp—a kogo nie stać było na tyle, sami najmniejsi—składali egzamin czytania, pisania i rachunku. Chodzili tacy poborcy, co ową daninę zbierali, spisywali i odnosili władcy.

Otóż zdarzyło się, że owi, chodząc od domu do domu, po wszystkich drogach i ścieżynach — znaleźli onych wygnańców. Żyli sobie we troje i już się nawet zagospodarowali. Babina miała znowu kołowrotek, który jej chłopiec kozikiem niezgrabnie wystrugał i na maluchnych zagonkach hodowała len modro kwitnący. Chłopak z drewna skrzypki sobie nowe sprawił i, ku niebu patrząc, coś na nich wygrywał. A starzec jaskinkę sobie wynalazł u źródełka i siadywał na głazie,

karmiąc gołębie i spoglądając ku dolinie, czy go zaś kto nie woła.

Zdumieli poborcy, jak to taka nędza jest żywotna i spytali baby:

— Wiesz ty, ile siedm razy dziewięć?

A ona na to:

— A wiesz ty, jaki królewicz przemienił się w makowe ziarno?

— Milcz, bo cię wsadzimy do ciemnicy!

— Owo—z ciemnicy wyprowadzi pająk!

Odwrócili się od niej z pogardą i napadli na chłopca.

— A ty, muzykusie, wiesz, co to jest kontrapunkt?

— Nie słyszałem takiej pieśni!

— Pójdziesz i ty do ciemnicy. A ty, stary, umiesz pisać?

— Umiem.

— Naści kartkę... napisz, co wiesz o mądrości.

Wziął starzec pióro i napisał bez namysłu: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie.“

Tedy cisnęli mu kartę w oczy, jako bluźnierstwo i obrazę ich władcy i pognali ich do ciemnicy.

Ale, jako z oburzenia byli zapamiętali, nie dopatrzyli, że baba pod połą schowała kołowrotek i sporą kądziel lnu, chłopak uniósł w zanadrzu skrzypki, a starzec pęk białych lilii, które u źródełka rosły.

Ciemnica była w grodzie monarchy, na placu, którędy wszyscy chodzili, by każdy mógł z przestępcy szydzić, albo kto chciał, by go władca oświecał i uczył.

Wsadzono ich troje na sam spód wieży, jako najgorszych głupców, i okienko od ich lochu ledwie nad ziemię się wychylało—i jako bywa z nędzarzami, wnet o nich zapomniano.

Pod tym okienkiem snuło się dużo ludzi.. Wracali tamtędy ci, co do władcy chodzili na posłuchanie, i szli tamtędy młodzi do pracy i dzieci ze szkoły.

Zdarzyło się raz, że dzieciaki posłyszały łoskot kołowrotka i jako myszki ciekawe, nuż zaglądać przez kratę. A baba, gdy ich ujrzała, że to przepadała za dziećmi, dała im garść

orzechów i zaczęła im coś prawić po swojemu. A dzieci przykucnęły i słuchają. Ledwie ich stamtąd pedagog przegnał. Ale stało się, że już wiedziały, kto to taki siedzi za kratą, a że nie dosłuchały baby do końca, więc ich paliło wykraść się i dosłuchać.

I znowu się zdarzyło, że szedł tamtędy chopak smutny, bo jego dziewczynę władca komu innemu przeznaczył. I nie było dla nich jednej drogi w owym kraju. Chłopak prawa słuchał, ale pod żebrami go bolało i paliło, jako w ciężkiej niemocy.

Szedł i dumał, i oto stanął. Z ciemnicy jego ból śpiewał, jego myśli słowa brały, błagające a gorące. Słuchał i słuchał, i uczył się owego gadania, i jakby pozdrowiał—odszedł pełen mocy.

I znowu się zdarzyło, że szło koło okienka dwóch starców, ku ziemi już patrzących.

Zastanowiło ich coś.

— Jak tu coś pachnie!—rzekł jeden.

A drugi szepnął nieśmiało:

— Lilie białe—z tamtych stron.

I pomyśleli jedno, ale się jeden drugiego wstydził, i minęli okienko, umilkłszy.

Ale gdy nocka zapadła, pokryjomu, jako złodziej, przyszedł jeden do okienka i rzekł, twarz kryjąc:

— Starcze! Daj mi swój kwiat. Straszno przede mną!

Starzec podał mu lilię i odparł:

— Niech ci straszno nie będzie. Do jasności wrócisz. Idź w pokoju!

I odszedł ów, kwiat schowawszy w zanadrze.

Aż przecie przypomnieli sobie poborcy o wygnańcach. Przyszli ich egzaminować, ale znaleźli jeszcze głupsze. Baba, zapytana, ile dwa razy dziesięć, spytała nawzajem, czy byli na szklanej górze; chłopak na pytanie, co jest wiolin i bas, wytrzeszczył przerażone oczy, a starzec coś mruczał i wcale nie chciał odpowiedzieć, ile rodzeństwa miał Chrystus.

Zdali z tego sprawę słudzy monarsze, a ten uwięzionych kazał wygnać z grodu het, znowu w góry.

Ale gdy wyszli i skierowali się ku bramom, nie gnała ich tłuszcza. Ten i ów spojrzał pogardliwie, ale po kamień nie sięgnął, wielu nawet oczu nie podniosło, a reszta spoglądała ciekawie, dokąd też się udadzą. Spotkali gromadkę dzieci, i te za nimi kęs pobiegły; ani przedrzeźniały, ani się śmiały, tylko dały babie kukiełki i naprzykrzały się o przegrywkę jakąś, a potem się rozpierzchły na widok pedagoga.

Jakiś człek siwowłosy skinął głową starcowi i pić im dał na swoim progu, a gdy wyszli za bramę, spotkali dwoje ludzi młodych, jak szli ku gajom kwitnącym, ramionami spleceni, głowami o siebie wsparci, z rozkoszą w oczach.

Młodzieniec, spostrzegłszy grajka, za szyję go objął i ucałował, a dziewczyna rzuciła mu pod stopy więź bzów kwitnących, wonnych i zawołała:

— Błogosławiony bądź za chwilę tę, grajku Skowronku!

I tak wrócili na szczyty swego wygnania.

A do monarchy szli wciąż poddani po radę, a on na wszystko miał odpowiedź.

Ale raz przyszła niewiasta, bólem złamana, chwiejąca się i przypadła do majestatu z jękiem.

— Panie, radę mi daj, uspokojenie mi daj! Synam jednego miała, umiłowanego nadewszystko, i oto umarł. Jak mi teraz żyć, jak mi teraz żyć!? Niema go, i nigdy oczy moje go nie zobaczą. Ratuj mnie przed szaleństwem bólu, panie!

A mocarz milczał, bo nie miał odpowiedzi.

Niewiasta głowę krwawiła o stopnie tronu jego, aż ją straże stamtąd wzięły i wyniosły.

I leżała u bramy władcy, oniemiała, umierająca z roz-

paczy, nie wiedząca drogi, dokąd iść, nie mająca siły do jęku już nawet.

Aż ją podniosła kobieta przechodząca i zaczęła szeptać:

— Pójdź za mną! Jest taki, co ci syna wróci. Zaprowadzę cię — tylko szal by nas straże nie słyszały, bo nie puszczą!

I tej kobiety nie ujrzał już więcej monarcha przed obliczem swojem, ani jej jęku nie usłyszał.

A w jakiś czas potem przyszedł do niego starzec, jakby gorączką strawiony, o wzroku, pełnym grozy, i rzekł przerażającym szeptem:

— Panie, w młodości mojej zgorszyłem człowieka. Do występku go przywiodłem, potem do rozpaczy, potem — do śmierci. I oto truciznę mam w sobie, ognie, męki. Widzę go i słyszę bezustannie. Ratuj mnie!

— Chory jesteś. Kto umarł, ten nie wstanie. Lecz się!

— Niema choroby we mnie. Wierzę w to, co mówisz. Nie boję się jego zemsty, ale zdejm ze mnie ten lęk bezustanny.

— Nie mogę pomódz obłąkanym.

— Ja nie obłąkany, panie, jam nieszczęśliwy w duszy!

Ale monarcha umilkł i z pogardą od niego się odwrócił. A człowiek odszedł zgnębiony i błądził po ulicach, nie mogąc w domu wytrzymać. I zaszedł przed dom znajomego, i zastał go, jako z wiadrem wody szedł do ogrodu.

Pozdrowili się i ten zgnębiony rzecze:

— Bracie, tyś przecie zabił człowieka, a pogodne masz lica. Żali cię ten zabity nie dręczy?

— Już nie!

— Gdzieżeś poratowanie znalazł?

— Gdzie? Pamiętasz owego wieczora, gdyśmy pod ciemnem oknem byli?—szepnął tamten.

I zamilkli, a ten przymknął nieco furtkę ogrodu i pokazał mu grządeczkę, na której białe lilie rosły, a potem ręką ku górom wskazał i odetchnął, jako człowiek, który odpoczywa.

A owego zgnębionego już więcej nie ujrzał władca przed swym majestatem.

— W państwie coraz lepiej się działo,—tak myślał monarcha, bo coraz mniej nachodzili go poddani o ratunek i radę. Wykształcił ich, przejęli się jego nauką. Był bardzo dumny z tego i spoglądając z góry na swój kraj kwitnący, czuł się bóstwu równy. I rzekł raz do najwyższego sługi swego, bardzo uczonego doktora:

— Jeżeli ty równie mało masz chorych, jak ja skarżących się, zaiste, uczyniliśmy szczęście ludzkości.

Ale uczony doktor głową potrząsnął i odparł posępnie:

— Tak, i mnie braknie chorych, ale choroby nie ustały, tobie braknie skarżących, ale nie skarg.

— Nie rozumiem cię.

— Moi chorzy idą do źródeł cudownych, zbierają jakieś zioła, każą się oszustom magnetyzować, okadzać — a twoi skarżący się i cierpiący—idą tam, w góry!

— Po co?

— Do tych trojga, których-eś tam wygnał.

— Jakto? Ta nędza jeszcze nie zginęła?

— Spojrzyj tam—na tę ścieżkę. Zali zamrą głodem tacy, którzy mają tylu wyznawców!

Mocarz oczy dłonią okrył od słońca, które z za gór tych biło, i ujrzał na ścieżce wielką moc ludzi, drapiących się mozolnie ku szczytom. I umilkł, jakby tknięty razem bolącym, i oczy zupełnie zasłonił.

A potem się porwał, wielkim gniewem zdjęty.

— Na śmierć je dać... morderce ludu mojego!

Zawołał straże i posłał je w góry z wyrokiem.

Czekał godziny, czekał i dnie—straże nie przyniosły mu głów straconych, jak był rozkazał.

Rajcy jego siedzieli wokoło posępni, jakby znudzeni i senni, w pałacu jakby pustką wiało.

— Idźcie, zwołajcie lud mój do mnie!—rozkazał.

Poszli, nie kwapiąc się od domu do domu, kołacząc we drzwi, wzywając do pana.

Ludzie słuchali jednem uchem wezwania i odpowiadali lekceważąco:

— Niech zaczeka stary, mam robotę. Żadnej nie mam sprawy z nim! Może sąsiad pójdzie. Syna wyprawię.

— Niech-no ojciec wróci, to może on pójdzie!

Ale się żaden nie kwapił.

Zamiast poddanych, zebrali się urzędnicy, i ci napełnili stopnie majestatu, ale nie czekali mowy, a poczęli skargi i raporta.

Dzieci umykały często ze szkoły, poborcy natrafiali na opór i drwiny, straże przejmowały kłamliwe pisma, młodzież wygwizdywała profesorów, kobiety głośno dopominały się domów modlitwy, starcy, zamiast pomocy władzy, ułatwiali swoim rodzinom pielgrzymki w góry. Państwo było zachwiane od fundamentu do szczytów.

Władca zawrzał bezmiernym gniewem i począł je chłostać biczem i lżyć.

— Zdrajcy! Tchórze! Gdzie bronie wasze, gdzie moc, którą wam dałem. Precz mi stąd! Do dzieła—i nie pokazujcie się, aż lud cały przyprowadzicie mi na kolanach, do stóp moich! Inaczej, biada wam!

Przerażeni urzędnicy rozpierzchnęli się.

Władca pozostał sam i poczuł gorycz w sercu, ogień we wnętrznościach i jakiś niepojęty lęk.

Dzień się miał ku schyłkowi, ale nikt do niego nie przybywał służbę pełnić, i nie wracali ni rajce, ni stróże, ni urzędniki.

Tedy odwrócił oczy za słońcem i ujrzał, jak, zachodząc, złociło szczyty, z za których nazajutrz o świcie miało wystąpić promienne.

Wokoło jego majestatu kładły się cienie nocy i chłód go ogarniał.

Tedy go zdjęła zgroza śmiertelna i strach, zali ujrzy poranek i co mu jutro przyniesie. Wielkim głosem zawołał uczonego doktora, najwierniejszego z rajców.

Po pustym pałacu echem poszło wołanie, i nikt na nie nie odpowiedział.

U doktora w domu dogorywała małżonka ukochana, a on poszedł w góry do starca—wygnańca po lilie białe, co u źródełka rosły.

Marya Rodziewiczówna.

Fantazya.

Umierała... Od ludzi wciąż uchodząc dalej,
Na gór lodowe szczyty, kędyś w śnieżnej grocie,—
Gdzie w zimnym słońca blasku, jak ostrza ze stali
Iskrzą się i migocą srebrnych igieł krocie,—
Osunęła się blada na zbladłe, jak ona,
Z ułudy barwnych kwieci utkane kobierce —
Zdradliwa—a jak matka tuląca do łona,
Bez serca—a nęcąca jednak każde serce,
Nadzieja, wróżka płocha, wieczna zalotnica.

Umierała... Zbielały już rozkoszne lica,
Skąd słodkie upojenie w każdą duszę spływa;
Zniknął uśmiech, którego pogoda pieściwa
Droższa, niźli słoneczne promienie dla świata,
Rozjaśnia mrok rozpaczy, płoszy zwątpień cienie.
Czasem oddech leciuchny z ust jeszcze wylata,
Jeszcze błyśnie z pod powiek zamglone spojrzenie
I spocznie niedaleko,—a taka ich władza,
Że gdzie dojdą, tam zwiędły wnet kwiat się odmładza —

I podnosi z kobierca wonną swoją głowę,
Tam na chwilę topnieją wnet igły lodowe
I płakać poczynają kroplami z opalu,
Jakby łzami rozstania, jakby łzami żalu.
Umierała ta ludzi wieczysta pieszczocha
Samotnie, jak wygnanka pod nieznanem niebem,
Jak kochanka z lat dawnych, której nikt nie kocha,
Jak matka, co za wszystkich dzieci szła pogrzebem.
Chociaż była dla ludzi w ich marzeń topieli
Wszystkiem, czem zapragnęli, wszystkiem, czem zachcieli!

Czy zwróciły się ku niej śmiertelnemi groty
Ostrza zawodów ludzkich, co na nitce złotej,
Wysnutej z jej warkocza, wiszą nad głowami,
A które blask jej lica przed okiem zasłania
I zanim nić się zerwie, bezpieczeństwem mami?—
Może zatruł ją gorzki jad rozczarowania,
Co słodyczą jej własne zaprawiły dłonie;
Może, zimnym pierścieniem objąwszy za szyję,
Zdławiły ją tych pragnień niespełnionych żmije,
Lęgnące się powoli na jej zdradnem łonie;
Może, widząc przed losem bezsilność swą całą,
Zgasła z bólu... i oto Nadziei nie stało.

Nagle dreszcz jakiś przebiegł śród całej natury,
Nic nie wie, a zadrżała dziwnym niepokojem.
Drgnęły wód morskich tonie, skał kamiennych mury,
Co zalękłe doliny groźnym oblicz rojem
Otaczają,—potężniej, szczelniej się stłoczyły.
Lód, co twardą powłoką ścina żywe zdroje,
Jakgdyby utrwalenie poczuł mroźnej siły,
Zakrzepł mocniej i bardziej ścieśnił więzy swoje.
Łańcuchy brzękły same, pękło niespodzianie
Serc kilka, tysiąc liści opadło przedwcześnie;
Wiatr, co szumiał po lesie i zwykłe swe granie
Niósł po strzechach i dachach, zajęczał boleśnie
I zawył tak straszliwie, jakby wołał: biada!

Pierwszy, kto ten niepokój spostrzegł pośród świata—
Był mędrzec, co zjawiska wszechistnienia bada
I nad praw ich poznaniem długie strawił lata.
Mędrzec o wzroku orlim, a sercu z kamienia,
Co przez czasu otchłanie, przestrzeni bezmiary,
Przechodzi i rozświetla tajemne pieczary,
Krocząc zwolna, lecz pewnie, twardym wiedzy szlakiem.
A kroczy bez litości, żalu, rozrzewnienia
Z jednakim wciąż spokojem, z uczuciem jednakiem,
Za nową śledząc prawdą, jak za nowym łupem.
Oto przybył i stanął nad Nadziei trupem.

I stała się rzecz dziwna: mędrzec niewzruszony,
Co bez śladu łez w oczach zbadał nędz miliony,
Bez dreszczu w księgi cierpień zagłębił się zwoje,
Raz pierwszy nad tym trupem rozdarł szaty swoje
I zapłakał...

Tymczasem nieznanego ciosu
Świadomość serca ludzkie przenika powoli.
Gromadzą się i trwożni—wielką, tłumną rzeszą
Do mędrca po wyznanie strasznej prawdy śpieszą.
Łachman ledwie pokrywa wychudzone ciało.
Przybyli, z ust spieczonych dech bucha kłębami:
— „Mistrzu!—krzyczą,—tu jakieś nieszczęście się stało!
Ty płaczesz, ty, coś nigdy nie płakał nad nami.
Jakiż cios znów uderzył, mów! Ta postać w bieli
Co znaczy?"—Mistrz wzniósł głowę:—„Wyście powiedzieli,—
Zawoła,—biada! biada!"—Po chwili milczenia,
Zmierzywszy tłum dyszący łzawemi oczyma,
Głosem, co wstrząsnął tłumem, jak grom potępienia,
Rzekł: — „Nadzieja umarła! Nadziei już niema!"

Rozległa się wieść straszna śród górskiej kotliny;
Złowrogiem echem skałom odbiły ją skały,
Jak lawina na ciche runęła doliny,

Potem na równin szlaki zbiegłszy pędem strzały,
Stoczyła się do morza. Od powierzchni morza
Uderzyła ku szczytom aż w niebios przestworza
I znów spadła na ziemię nakształt meteoru.
A tam, w sercu każdego żyjącego tworu
Od najlichszego płazu do władzy olbrzyma
Zabrzmiało, jak przekleństwo: Nadziei już niema!

I świat zaległa cisza, jaka nad mogiłą
Bywa, gdy już koło niej zamilknie pacierza
Szept ostatni. Na pozór nic się nie zmieniło,
Tylko fala, co wiecznie gdzieś dąży, gdzieś zmierza,
I nie zna odpoczynku o żadnej godzinie,
Stanęła, bo już nie wie, czy dokąd dopłynie.
Tylko wiatr zwinął skrzydła i swe rącze loty
Powstrzymał, bo już zwątpił, czy dokąd doleci.
Tylko słońce tak tęsknie, tak smutnie zaświeci,
Tak żałośnie za chmury kryje krąg swój złoty,
Jakby straciło wiarę, czy jutro znów wstanie.
I tylko w sercach ludzkich wszelkie spodziewanie,
Wszelki cel i pragnienie, wiara i otucha
Zamarły, jakby przyszłość noc objęła głucha,
Jakby ludzkość zawisła nad przepastną głębią,
Gdzie groźne skał urwiska ponuro się zębią,
Żaden błysk nie dochodzi ni z dna, ni od szczytu,
Gdzie grzmotem przerażenia huczy zrąb kamienny,
A duch zarówno zwątpił w rozpaczy bezdennej,
Czy przed nim nieśmiertelność, czy otchłań niebytu!...

I tłum stał skamieniały, niemy, w ziemię wryty,
Jak ten, co niespodzianie u nieznanej płyty
Grobowej przystanąwszy, wyczytuje imię,
Imię, którego dawno nie wymawiał może,
Lecz nie zapomniał,—ono na dnie serca drzemie
I budzi się niekiedy w największym potworze,—
Imię kochane, święte: Matki-rodzicielki,
Więc czuje, osłupiały, ogrom ciosu wielki,

Ale głosu wydobyć nie może, ni szlochu,
Stoi, jak garść marnego, zmiażdżonego prochu....

Nagle!... Czy to wiatr jakiś nad głów powiał falą?
Wznoszą się głowy, szuka spojrzenie spojrzenia,
W oczach przestrachu wyraz w wesele się zmienia,
Słowa tłoczą się w ustach, usta ogniem palą.
Wreszcie głosem tak wielkim prawie, jak głos Boga,
Wybucha niespodzianie tłum przed chwilą niemy:
„Mistrzu! Tyś się omylił! próżna twoja trwoga,
Nadzieja nie umarła, jeśli my żyjemy!
Tyś rzekł: niema nadziei, w tej straszliwej dobie,—
Lecz ona w naszych sercach wciąż króluje dzielna.
Nie, mistrzu! My dziś prawdę objawimy tobie—
Nadzieja nie umiera, ona nieśmiertelna!....“

. . . .

Mistrz spojrzał... — Już nie było tam postaci w bieli,
Snać w jej pierś z własnych piersi nowe życie tchnęli...
I znowu lśni Nadzieja w blasków swych rozkwicie
Wszędzie, gdzie jest cierpienie! wszędzie, gdzie jest życie!

Ignacy Baliński.

„Pod wpływem Ballady."

„Napisać coś do książki pamiątkowej... nie, na to porywać się nie będę"—odpowiedziałem sąsiadowi, zachęcającemu mię do wzięcia udziału w tym wyrazie ogólnej czci, jaką rodacy niosą największemu swemu poecie.

Skromny, nad pługiem schylony wieśniak, umie zachwycać się dziełami wieszcza, umie składać hołd cichy potędze geniuszu, zasłudze pracy, wielkości serca, które marzyło „dożyć tej pociechy, żeby te księgi zbłądziły pod strzechy"—czem innem jednak czuć się wdzięcznym, czuć się dumnym orząc zagon ziemi, która Mickiewicza wydała — czem innem próbować drukowanem słowem chwalić króla poetów. Rzekłem więc sąsiadowi, że chociaż śpiewałem nad Wiliją, śniłem nad Świtezią, z Gustawem płakałem, bujałem z Farysem, to jednak bardziej powołanym zostawiam wyrażenie miłości i wielbienia tysiąców.

Sąsiad przerwał mi sarkaniem na często spotykany brak gotowości i prostoty, a wpadłszy na temat gderania, rozwodził się nad usposobieniem naszem do próżniactwa, nad bezmyślnością też naszą i nad przysłowiową lekkością—dziwiąc się, że zdrowe, podniosłe myśli wielkiego poety — tak słabem w sercach rodaków odbijają się echem.

Słuchałem, i nagle, niespodziewanie stanęła mi przed oczami kartka z życia mego, słabościami temi czerniąca się, na której imię poety jasnemi niegdyś zabłysło zgłoskami— lecz nie jako autora dzieł znamienitych, nie jako wieszcza nowe odkrywającego światy, lecz jako najlepszego przyjaciela, który przemówił do walczącego z pokusą — przemówił potężnie za pomocą najprostszego wiersza i odkrył duszy skrytości.

Tak—najskromniejsza może perełka, lśniąca wśród brylantów, którymi błyszczy poetycki wieniec Mickiewicza, rozjaśniła mi sumienie i uczyniła mię bogatym w prawdziwe szczęście.

Kto wie, gdyby nie ballada Mickiewicza, możebym o tej porze, zamiast ochoczo pracować na polach „malowanych zbożem rozmaitem, wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem," był jednym z tych, którzy pod piękną tą ziemią leżą wzgardzeni, lub ją swem życiem kalają...

...Wiedzą wszyscy, ile genialny nasz wieszcz nieznanych dróg wskazał, ile wzbudził uczuć szlachetnych, lecz nie wie nikt, jak kiedyś, do snu kołysząc niewinność, zbudził sumienie grzesznika i był mu prawdy zwiastunem.

Wspomnienie moje tak żywe pozostało, że łatwem będzie odtworzenie, jak gdyby wczoraj przebytych wrażeń, jak gdyby wczoraj widzianych fizyonomij, lecz opowiadanie, któremu chcę nadać szczerość spowiedzi, trzebaby zacząć charakterystyką grającego w niem główną rolę, a więc siebie samego, a to trudne trochę, i tembardziej trudne, że nie tym dziś jestem, kim wówczas byłem.

Wychowany przez najzacniejszą, tkliwą niezmiernie, a nerwową trochę kobietę, wyrosłem na młodzieńca bez wielkiego duchowego hartu, lecz sentymentalnego, który marzył o ideałach społecznych, o jakichś szlakach gwiaździstych, o przyszłości zorzach i bardziej niż do świata, tęsknił do samotnych ustroni — „do tych leśnych pagórków, do tych łąk zielonych, szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych."

Dziś jestem najzwyklejszym typem ziemianina, jednak na przymiotnik „zamiłowanego“ hreczkosieja, jaki sobie zdobyłem, nie byłbym pewnie zasłużył, gdyby już we krwi mej nie leżało zamiłowanie rzeczy sielskich.

Kochałem gorąco kawałek rodzinnej ziemi, kochałem go w białości zimowej, w czerwieniącej się dojrzałością jesieni, w złocistem lecie, w zieleniejącej wiośnie — odczuwałem głęboko czar przyrody i w uroczystej jej ciszy i w tajemniczych szmerach, w gwarze prac zespolonych i w chwilach burzliwej potęgi.

Pośród przyrody żyłem ciągle, odkąd na wieś ze szkół powróciłem. W godzinach swobodnych z książką i z marzeniem najmilej było mi nad brzegiem Niemna, lub w leśnej ciszy, dużo też polowałem „jak prorok patrząc w niebo, jak czarownik gadając z ziemią“ i rozkoszując się snem, budzeniem się i zasypianiem natury.

Na tle tejże po raz pierwszy ujrzałem swą przyszłą, a piękne to było zjawisko, gdy ukazała się na łące, wysoka, smukła, ubrana za wieśniaczkę, jak Mickiewiczowska Zosia— świecąc w promieniach słońca białością rękawów, niby skrzydeł, i uśmiechając się, niosła na ramieniu gliniany dzban z ochłodą dla spracowanych na świeżo skoszonem sianie.

Przyrodzie wszystko dobre zawdzięczam... na jej łonie śniły mi się rzeczy wzniosłe i piękne, na jej łonie znalazłem też najcenniejsze skarby: spokój i pracę.

Odkąd dzisiejsza żona moja zgodziła się zamienić krótką sukienkę na strój ślubny, pozostawaliśmy ciągle w starem gnieździe rodzinnem, szczęśliwi szczęściem wzajemnego uczucia i jasnego celu pracy.

Po roku życia we dwoje, na różowe tło miłości z błękitnych ocząt naszego dziecka barwa słodkiej powagi spłynęła—a były też złote chwile powodzenia w pracy, dowodami szczerej przyjaźni upiększone.

Żona moja córce zupełnie się oddała, nie było nic na wiecie poza Kasią, poza tą rozkoszną Kasieczką, zawsze

rozwichrzoną, ząbki szczerzącą, aż przyszła druga samowładna pani w osobie młodszej dziewczynki o smutnych jakichś oczętach, o tęsknym uśmiechu, wątła, słodka dziecina, którą nazwaliśmy Anią. Miękkie zawsze miałem serce dla wszystkich „milusińskich", a tak się kochałem w jasnych główkach moich pieszczot, że od rozszerzania się nad ich wdziękami tylko to mię powstrzymuje, że nie byłem proszony o ich fotografie, a nie zajmie pewno nikogo opis niezrównanego wdzięku, jaki znajdawałem w odgłosie ich pantofelków, gdy spieszyły rano na „dzień dobry," w ich łatwych żalach, w wybuchach srebrzystego ich śmiechu.

Po ośmiu latach życia, wśród pól rodzinnych spędzonego, opuściliśmy cichą wioskę, aby jesień i zimę spędzić w Warszawie.

Straszliwe były jednak nudy dla wieśniaka na bruku miejskim: dopóki roboty w polu trwały jeszcze, dojeżdżałem dość często do mojej „Strugi," potem sąsiedzi wyciągali mnie na polowania z „Syreniego grodu," którego urok pozostawiał mię zupełnie obojętnym.

Przez trzy miesiące chodziłem jak błędny po szerokich i wązkich chodnikach, z niezadowoleniem człowieka, wyrzuconego z dotychczasowego trybu życia i nieużytecznego.

Nuda, nieznośna nuda, ogarniała mnie, nie wiedziałem co z dniem robić! Helena dużo czasu poświęcać musiała swej matce; Kasię w przelocie tylko schwytywałem, gdy biegła do zabaw, lub nauki; Ania jedna garnęła się do mej piersi, i często z nią godzinkę jaką spędziłem, ale było to takie jeszcze maleństwo, że część dnia przesypiała.

Monotonność wieczorów zabijałem grą w szachy i przeglądaniem pism w cukierni sąsiedniej, gdzie pewnego razu przypomniał się mej pamięci niejaki Ferdynand K..., którego za kawalerskich czasów spotykałem. Zaproszony serdecznie, odwiedziłem dom jego i rozweselony ożywioną gawędką, obiecałem się na szereg wieczorów. Ponieważ żona moja, w żałobie będąc, nie mogła bywać na zebraniach, ani na widowiskach, byłem zupełnie swobodny, a widząc ją zawsze zajętą dziećmi, nie myślałem, ażeby czuła moją nieobecność.

Wysoko ceniłem towarzyszkę życia, widziałem w niej wszystkie cnoty: dobroć, tę wielką, przed którą, jak mówił Hugo, niedość schylić głowę, ale ugiąć trzeba kolano, zdolność do poświęceń, zamiłowanie ogromne prawdy, prostoty, a przytem i umysł głębszy.

Była mi Helena przyjaciółką najlepszą, wypróbowaną, alem ją czasem, w chwilach jakiegoś duchowego niezdrowia, nazywał nadto cichą, jednaką; wolałbym ją widzieć trochę nerwową, egzaltowaną, umiejącą chmurzyć się, kaprysić...

Dziwną jest ta, znana zresztą, właściwość człowieka, że mu i to co najlepsze powszednieje, że błękit codzienny wydawać mu się może za błękitny i patrząc nań, myśli: „Wszak to jak zmarzła woda.—Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?“

W domu moim panowały: spokój, ład, powaga, pogoda, lecz jam czasem wolał wrażenia inne.

Od jadalnego naszego pokoju, gdzie pod jasnem światłem lampy schylały się dziecinne główki obok twarzy matki, łagodnie do nich uśmiechniętej, podobał mi się bardziej salonik, w którym coraz dłuższe spędzałem chwile przed zasiadaniem do zielonego stolika.

O kilkanaście kroków od siebie, w mieszkaniu pana Ferdynanda, znajdywałem istotę bardzo zajmującą, ożywioną i uprzejmą, lecz nie jego żonę, gdyż ta nie opuszczała prawie swego pokoju, będąc sparaliżowaną od pierwszego roku wspólnego pożycia, ale krewną Ferdynanda, młodą, piękną wdowę, której urokowi ulegać każdy musiał. Niekiedy, gdym przyszedł, a była nieobecną, nasłuchiwałem, mimo woli, czy nie wraca. Wracała zawsze, przynosząc ze sobą woń fijołków—czasem później, z teatru, przejęta doznanem wrażeniem, lub rozbawiona i strojna, czasem wcześniej, ubrana trochę z męska, prawiąc z zapałem o ślizgawce i innych rodzajach sportu z zarumienioną od ruchu twarzą...

Gdy w domu pozostawała, bawiła się w eleganckiem gronie znajomych szermierką słów i zachwyconemi spojrzeniami słuchaczy, a wtedy śmiała się krótkim, urywanym, drwiącym nieco śmiechem; największą sympatyę wzbudzała zaś we mnie,

otulona w powłóczystą suknię domową, wspierająca się o poduszki otomany, marząc w półświetle, lub może przeszłość wspominając, z białą ręką na książce otwartej leżącą, albo przed pianinem, dotykającą z lekka klawiszy. Ta kobieta o naturze bogatej, kontrastów pełnej, niezwykłej, w niczem do kuzyna podobną nie była.

On przedstawiał typ pospolitego lekkoducha — dowcipnego, przyjemnego w towarzystwie, przechwalającego się, lecz mającego też zawsze w pogotowiu ciekawe nowiny.

Humor jego posiłkował się kosztem prawdy, ale pieprznemi anegdotami zabarwiony, bawił. Znajomość nasza tylko przelotną była dawniej—a poznawszy Ferdynanda trochę bliżej, wiedziałem, że nie nazwę go nigdy przyjacielem. Były nawet chwile, w których wzbudzał we mnie niesmak, nietylko dlatego, że grą wyciągać lubił pieniądze, ale z powodu jakiegoś tonu, sposobu życia, dowodzących zarozumiałości i złego wychowania. Chodziłem jednak na jego herbatki, najprzód z nudów, zachęcony przez żonę, potem, chociaż jeszcze bezwiednie, nęcony już wdziękiem krewnej pana domu. Tak!... ona nie miała żadnego rysu wspólnego z kuzynem, chyba ten jeden, że grę lubiła, chociaż czynnego nie brała w niej udziału.

Ażeby odmalować tę piękną, wyjątkową może istotę, wielką trzebaby posiadać obfitość przeróżnych tonów na palecie, bo i bardzo barwnych i bardzo subtelnych, niepochwytnych... To też na szkic nawet nie umiałbym się zdobyć, tembardziej dziś, gdy i światło, w którem ową kobietę widziałem, zmieniło się tak bardzo.

Jeden wykwintny panicz z koła naszego nazwał panią Dorę: „*un paquet de nerfs*“ i próbował kiedyś magnetyzować. Uczułem antypatyę do tego człowieka, uczuwać ją zaczynałem do wszystkich tych, których pani Dora znała trochę bliżej, którzy w lekkim tonie z nią gawędzili, z którymi układała wspólne jakieś wycieczki. Przyjaciele jej wydawali mi się ludźmi wstrętnymi, a nie rozumiałem, że krytykuję tak ostro dla tego, że obok miłości własnej, którą gniewało wyróżnienie innych, grał już główną rolę urok tej kobiety. I mnie wyróżnienie nareszcie spotkało...

Naleganiem swem czułem pan Ferdynand sprawił, że niemal codzień począłem chodzić do niego na tę filiżankę chińskiego napoju, który pani Dora, wyręczając chorą gospodynię domu, własnemi przyrządzała rękami, pozwalając zachwycać się ich kształtem i białością. Przywoływany do gry, niechętnie podążałem za innymi, raz jednak partyę rozpocząwszy, dawałem się porywać namiętności karcianej i coraz znaczniejsze traciłem pieniądze.

Pewnego dnia, może wskutek potęgującego się zajęcia, w jakie wprowadzała mnie rozmowa z panią domu, a może i z powodu zbytecznej ilości wina i koniaku, którymi nas pan Ferdynand raczył z przesadną gościnnością, przegrałem był niezwykle dużą sumę. Sprawiło mi to wielką przykrość i wahałem się, czy grać dalej, gdy ramienia mego dotknęła pani Dora... dotknięcie to było uściskiem — podniosłem oczy... spojrzenie jej było pieszczotą.

Moi partnerzy odeszli byli dla orzeźwienia się winem, przytrzymałem rękę Dory namiętnem objęciem, a ona, jakby tego wybuchu nie spostrzegłszy, mówiła ze ślicznem, sobie właściwem przechyleniem głowy: „*Ça ne va donc pas?* Nie trzeba zrażać się — *il faut gagner!*“ Jeżeli pan wygrasz—*cela me portera bonheur—essayez — voulez-vous?*“ Stała ciągle bardzo blizko, kreśląc na suknie stołu jakieś arabeski, a ja, zapomniawszy o wszystkiem, wciągałem w siebie zapach fijołków, patrzyłem na delikatny profil, z pod chmury włosów wyglądający, na niepokojący wdzięk całości.

Postanowiłem grać dalej, a korzystając z przerwy, wpaść na chwilę do domu dla zaopatrzenia się w większą kwotę pieniężną.

Klucz od mieszkania miałem ze sobą. Pomimo pośpiechu, otworzyłem drzwi jaknajostrożniej i na palcach wchodziłem, by nie zbudzić we śnie pogrążonych, było już bowiem po północy, lecz przez przedpokój przechodziła ze świecą w ręku służąca i widząc mię, zatrzymała się. Wtedy przypomniałem sobie, że nasza mała Ania skarżyła się była w dzień na utrudnione przełykanie i z lekkim bólem głowy położyła się do łóżka.

Na pytanie moje, czy dzieci śpią spokojnie, służąca odpowiedziała, że przed chwilą młodsza panienka płókała gardło lekarstwem i wciąż o pana pytała.

Doznałem przykrego bardzo uczucia, chciałem wejść do pokoju dziecka, a nie mogłem tego uczynić, z obawy, aby mię nie zatrzymano.

Siła jakaś nagliła mię do powrotu, nie pytałem, czy była nią chęć odwetu, czy pragnienie zajrzenia w oczy tej, która na mnie czekała, tej przesądnej, której moje powodzenie przynieść miało szczęście.

Widząc, że służąca stoi, spodziewając się jakiegoś rozkazu, zakłopotany poleciłem żony nie budzić, na co dziewczyna odrzekła: „pani nie śpi,“ poczem zniknęła za drzwiami.

Wbiegłem do swego gabinetu, wziąłem pieniądze i jak złodziej, skradałem się na palcach ku wyjściu, ale z pokoju dziecinnego dochodził głos jakiś, przystanąłem więc przed drzwiami i poznałem mowę starszej naszej dziewczynki.

Przez siostrę musiała być przywołaną i usypiała ją opowiadaniem.

Kasia zaczęła w owej chwili deklamować „Powrót Taty“ Mickiewicza, a deklamowała powoli, z niezrównanym wdziękiem i przejęciem. Cienki głosik brzmiał powagą, nawołując dziatki do pacierza, a gdy mówił „tata nie wraca,“ był w nim żal i trwoga przed dzikim zwierzem i zbójcami, czyhającymi na ojca...

Kasia mówiła dalej, pobożnem uczuciem przejęta, a ja stałem unieruchomiony dziwnie silnem wrażeniem.

— Tak!—myślałem—córka moja prawdę powiedziała siostrze w tych słowach: „tata nie wraca,“ bo choć tu jestem, ale nie wracam do swoich, a chociaż nie wstrzymują mię ani bory, ani rzeki, i pomimo, iż wiem, że dziecko czuwa, wyczekuje mię i uścisnąć pragnie—odchodzę—uciekam w nocy dla zadowolenia rozwijających się namiętności.

Namiętności te, to są może ci zbójcy, te dzikie zwierzęta, grożące moralnemu życiu ojca... Prawda, nagle, niby ostrze noża, zatopiła się w mój mózg, słowa z ust dziecinnych wychodzące, przejęły mię uczuciem winy i wstydu.

Wielu spotyka pokusy życiowe w wieku wcześniejszym, przedemną one teraz stanęły.. Życie układało się było w ten sposób, że złe skłonności spały gdzieś na dnie mej duszy, lecz oto dnie próby nadeszły... Miałże być „wiek męski, wiekiem klęski,“ miałżem stać się szulerem... rozpustnikiem?

Głos Kasi wołał do Nieba z czułością wielką: „Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!“ Silnie wzruszony słowami naiwnej tej modlitwy, położyłem rękę na klamce od drzwi wiodących do pokoju dzieci, zapragnąłem gorąco przycisnąć je do serca, jak ojciec z ballady, ucieszyć mym widokiem i zostać z niemi. Nagle kroki jakieś dały się słyszeć, puściłem klamkę, drżącą ręką otworzyłem drzwi wchodowe i wybiegłem na ulicę.

. . . .

Pani Dora stała pośrodku salonu zamyślona, w dal gdzieś patrząca, rozjaśniła się na mój widok i pociągnąwszy do sąsiedniego pokoju, rozmawiała dłuższą chwilę:

Mówiła, że mi jest wdzięczną, iż nie nazwałem jej „zabobonną“, a wróciwszy, dałem dowód, że dbam „o jej szczęście,“ bo szczęścia tego bardzo potrzebuje, chociaż często śmieje się przed obcymi. Nigdy nie okazała się tak serdeczną, wylaną, wzbudzającą współczucie i ufność, jednak dziwnie byłem nieswój od chwili przybycia. Nie mogłem zapomnieć o wrażeniu, w domu doznanem.

Siadając do kart, myślałem: nie wrócił więc ojciec do dzieci, takich dobrych dzieci, oddanych mu...

I dziś rano, i wczoraj, i tak często w ostatnich czasach prosiły maleństwa, abym od nich nie odchodził, a nie słuchałem próśb, niecierpliwiłem się, postępowałem, jak nieczuły ojciec, alem winy nie rozumiał.

Dziś winę poznałem, a nie słucham głosu opowieścią Kasi zbudzonego sumienia, za chwilę może przegram duże pieniądze... pieniądze dzieci...

Po paru jednak rozdaniach kart chodziło mi już tylko o to. w jaką stronę obróci się szansa...

Przegrałem, — pani Dora patrzyła na przebieg partyi swemi piwnemi, niespokojnemi oczami, widziała, że wziąłem do serca stratę poważną, w której ona, ulegając przesądowi, tracić mogła wiarę w swoje szczęście; lecz nie okazała rozczarowania, owszem, chciała mię rozpogodzić i wiedząc już zapewne, jak duży wpływ wywierać na mnie zaczyna, pytała, czy nie zechcę „za karę“ towarzyszyć jej nazajutrz na publiczną zabawę, na której pragnęła być przez ciekawość. Naturalnie, że na wezwanie odpowiedziałem z zapałem—pierzchło niezadowolenie z siebie samego i z przegranej. Okoliczności miały zbliżyć mię znowu do tej kobiety odurzającej... Żegnając się, obiecała dać mi wskazówki nazajutrz i stawić się wcześnie na karty rozkazała.

W domu, gdym późno wstawszy, pokazał się około południa, znalazłem żonę pocieszoną zmniejszeniem się gorączki Ani; nie wiedziałem nawet, że gorączka była... Spędziłem parę godzin z maleństwem, które leżało trochę osłabione, podlegając zupełnie jego woli, bawiąc się lalką, której musiałem być fryzyerem, a nowe, moich pomysłów uczesanie tak „Pięknotce“ było do twarzy i tak uszczęśliwiało dziecinę, że mówiła, iż chce chorować, by mieć tak dobrego towarzysza.

Jednak ból gardła wzmógł się i gdy o szarej godzinie Ania zadrzemała na mojem ramieniu, oddech jej wydał mi się przyspieszony.

Poleciwszy żonie, która dziwnie jakoś milcząca siedziała z nami, wezwanie lekarza, uwolniłem się z objęć dzieciny i zdając sobie jasno sprawę, że postępuję źle—poszedłem do Ferdynanda.

Po skończonej partyi pani Dora, wziąwszy mię na bok, ułożyła plan zabawy i kazała zajechać po siebie i przyjaciółkę.

Wbiegłem do domu, ażeby zmienić ubranie—pragnąłem nie być widzianym, więc nie przywoływałem służącego, lecz większe niż kiedykolwiek dokładałem staranie do swej toalety, a ręce mi drżały, gdym krawat wiązał... Rzuciwszy w lustro ostatnie spojrzenie, wstałem i gorączkowo nakładać

zacząłem rękawiczki, gdy przykrym dźwiękiem obił się o me uszy skarżący się głos Ani i uspakajający głos matki.

Pokój mój od pokoju dziecinnego oddzielony był małym salonikiem, do którego wszedłem na palcach: — nie chciałem w téj chwili spotkać się z żoną, bo po raz pierwszy musiałbym kłamać przed nią, gdyby o cel wycieczki mej pytała— albo wyznać, że już myślą i wolą ją zdradzam.

Żona czule prosiła dziecko, ażeby wzięło lekarstwo, potem dziękowała mu w tkliwych wyrazach, a obiecując wszystkich życzeń spełnienie, do snu skłaniała.

„To mię uśpij bajeczką,“ odpowiedziała Ania, a na pytanie jaką usłyszeć pragnęła wymieniła: „Powrót Taty.“— Matka zrazu nic nie odrzekła, posłuszna jednak dziecinnej prośbie, zwolna mówić balladę zaczęła.

Głos jej przed chwilą czuły, błagalny, zabrzmiał głucho: pierwszą strofkę powiedziała, jakby w żałosnej zadumie—lecz drugą zacząwszy, na słowach: „we łzach go czekam,“ nagle urwała, chwilę trwało milczenie, usłyszałem tłumione łkanie i głos przerażonego dziecka, które wołało: „Co tobie, mamo?“ Lecz już żona śmiała się do córki, mówiąc w pocałunku jakieś zdanie, kończące się słowami: „widzisz, jak to źle być chorą“... Chciała widocznie odwrócić w inną stronę uwagę dziecka—złożyć wybuch żalu na karb nocy nieprzespanej...

Stałem jak przykuty, nie mogłem wierzyć, żem słyszał płacz mojej, zawsze spokojnej, dzielnej zawsze żony.

Nie domyślała się biedna, żem obok, żem przy niej, przy córce, a jednak do nich nie wracam. Tuląc znerwowane dziecko, mówiła mu, że nie ono ją smuci, że jest zawsze dobrem i że modlić się powinno, by inni także byli dobrymi, nie mieli gniewu, ani żalu, ale serce zawsze gotowe do kochania...

Słuchałem zdumiony. Nie, jam żony mojej nie znał!

Więc pogoda, z jaką mię przed kilku godzinami witała, była wywalczoną... Ona, nie skarżąc się, cierpiała nad moją częstą w ostatnich dniach nieobecnością, pod śmiechem kryła łzy, ból...

Nie wiem, jak długo byłbym stał w tym saloniku w mo-

jem wieczorowem ubraniu, gdyby nie odgłos kroków, który zbudził mię do rzeczywistości i... konieczności.

Z myślą o żonie, która nabrała w jednej chwili jeszcze wyższej ceny w mych oczach, jechałem po panią Dorę. Czułem, żem zupełnie stracił swobodę umysłu, zdolność do bawienia i milczący musiałem nudnym bardzo się wydać. To też panie tyle mi kazały pić szampana, żem dał się wkońcu rozweselić.

One same wyglądały niezmiernie ożywione, ruchy i wyrażenia miały dziwnie swobodne, a suknie zaledwie okrywające ciała.

Dora chce się odurzyć, mówiłem sobie, sam już ulegając mocy wina, mocy tego powietrza gorącego, przesiąkniętego upajającym zapachem fijołków.

Była chwila, pamiętam ją, jak przez sen, w której na wpół przytomny, powiedziałem pani Dorze, iż możnaby oddać pół życia za ucałowanie jej rąk, czy jej ramion... Nagle przed oczami memi stanęła żona, mówiąca dziecku: „we łzach go czekam“... wytrzeźwiłem się i zdziwiony, żem nie obraził mej towarzyszki, a sam wstydu i niesmaku doznając, wytłómaczyłem się niepokojem o córkę i uciekłem jeden z pierwszych.

W śnie jakimś dziwacznym postać pani Dory ukazywała mi się odarta z tej godności niewieściej, w którą ją dotąd stroiłem, ale nie mniej urocza bez osłonek...

Zaledwie wstałem, wręczono mi bilecik tej mniej więcej treści:

„Jeżeli krótka nasza znajomość ma jakiś urok w oczach Pana, będziesz dziś u nas, będziesz tylko dla mnie. Powiem ci może więcej, niżbym chciała, lecz nie dam ulecić chwilom możliwego szczęścia!

„Pragnąłeś pan dotknąć ustami mej dłoni—*je vous abandonne mes deux mains*. Dora.“

A więc nie wino rozmarzyło te piękne, zagadkowe oczy, które dla innych lśniły się dowcipem i mrużyły zdawkową kokieteryą, podobałem się, byłem kochany... Kochany?...

Tak — miłością zwą przecież pociąg kobiety do mężczyzny, i ja czułem ten pociąg ku Dorze i ja więc kocham?... Jeżeli kocham, czuję się zdolnym poświęcić jej życie?... Nie, z żoną nie rozwiódłbym się nigdy, za nic na świecie nie zgodziłbym się rozstać z nią i z dziećmi!

A więc od Dory tylko poświęcenia czekam i spodziewam się, że niezwykła ta istota uczyni wszystko co zechcę...

Lecz czegóż chcę? No, niczego coby zmianę w me życie wprowadziło.

Nie życzę utracić żadnego ze skarbów, które posiadam, pragnę widzieć zawsze w mym domu, około siebie pogodne twarze, czuć się w rodzinie kochanym, szanowanym i swobodnym.

Wprawdzie żona swobodę mi zostawia, może i kochać zawsze będzie i witać nadal potrafi uśmiechem, lecz musi cierpieć, bo cierpi już teraz...

A więc nie o pogodę twarzy Heleny mi chodzi, ale o jej szczęście.

Mógłżebym szczęście dawać, zdradzając?... Czy też trzeba się wyrzec szczęścia żony—albo grzechu?...

Jest droga jedna tylko... droga codziennych oszukaństw... małych kłamstw, które chociaż wstręt mi sprawiają, mogą być użytecznemi...

Nie, jaki zasiew—taki plon!...

Kłamstwo nie może wydać zadowolenia, spokoju. Ja nie chcę, ażeby kiedyś tajemnicę moją odgadła ta czysta, ta oddana mi—a nie potrafię udawać.

Cóż byłoby, gdyby się dowiedziała!...

Na myśl o łzach żony, o krzywdzie, którą jej wyrządzam, wielki żal przejmować mię zaczynał, a żal ten zaprawiony był czułością.

Przeszło godzin kilka nad wyraz męczących, trzeba było iść dziękować za słowa nadzieją przesiąknięte, słowa te przyszły tak niespodzianie... nie mogłem zdobyć się na odpowiedź...

Dora stawała przed oczami memi w lekkiej, opadającej z niej sukni, nie ta, smutna, otwierająca serce z zaufaniem

dziecka i serca pragnąca, ale śmiejąca się, zmysłowa, kapryśna.

Wiedziałem, że skoro pójdę, skoro tę kobietę zobaczę, marzącą jak dawniej w półcieniu, to powiem, to uczynię coś, co wiąże mężczyznę, co będzie pierwszą między nami spójnią... a jako przegrywka do tych myśli, dźwięczały mi w duszy słowa z ballady: „ranki i wieczory we łzach go czekam i trwodze.“

Nie chciałem za nic w świecie zobaczyć żony, posłyszawszy więc pukanie do drzwi, rzuciłem się ubrany na łóżko i udawałem, że śpię. Nikt do pokoju nie wszedł, ale u progu drzwi mych rozmawiano i rozpoznałem głos lekarza. Wiadomości, jakich służący udzielił mi był przy obudzeniu się mojem, były więc fałszywemi.

A może córeczka moja istotnie czuła się wpierw lepiej, ale przyszło nagle pogorszenie, może znaczne, może niebezpieczne?

Doświadczałem męczącego nad wyraz uczucia, dzieci dotychczas zdrowo się chowały, nie znałem silniejszego niepokoju, możliwość nieszczęścia śmiertelnym dreszczem mię przejęła. Myśląc tylko o dziecku, jak nieprzytomny biegać zacząłem po pokoju. Nagle przypomniałem sobie list i postanowiłem odpisać, że przyjdę jutro, że dziś nie mogę—znowu zapukano do drzwi, otworzyłem je—stałem przed Heleną.

Twarz miała wzburzoną, zrazu mówić nie mogła, po chwili zdławionym głosem oznajmiła mi, że gorączka podnosi się, że lekarz zaniepokojony przywołać ma kolegę, że Ania prosiła, bym przyszedł.

Musiała żona zobaczyć przerażenie na mej twarzy, gdyż idąc obok, wzięła moją rękę i rzekła ze zwykłą słodyczą: „Nie chciałam cię trwożyć, ale dziecko prosiło i... tak ciężko samej“... Nie było już dzielności w tej biednej matce!

Stanąłem przy łóżku Ani i ucałowałem pałającą jej twarzyczkę. Chwyciła mię rękami za szyję i długo trzymała przy gorących usteczkach. Cisza panowała chwilę, w której słuchałem szalonego bicia pulsów dziecka, aż nagle Ania zerwała się na kolana i nie widząc mię już, wołała, wyciągając

przed siebie ramiona: „tata nie wraca... mój Boże! zmiłuj się nad tatem! patrzcie tam, jak straszno, jak ciemno, pełne zwierza bory i pełno zbójców na drodze!“

Otaczałem rękami gorączkującą biedaczkę, mówiłem, że jestem przy niej, że proszę, aby się uspokoiła, lecz mię nie widziała, nie słyszała, oczy szeroko przerażeniem rozwarte trzymała utkwione w przeciwległą stronę i wołała: „noże mają za pasem, miecz u boku, coś mówią do taty, ten podniósł buławę!...“ Z krzykiem, którego nigdy nie zapomnę, rzuciła się ku mnie i schowała twarz swą na mej piersi.

Okrywałem ją pocałunkami, błagając, by nie lękała się, bo „tata powrócił,“ ale chore biedactwo, podniósłszy zimnym potem zroszone czoło, patrzyło na mnie, jak na kogoś obcego. Trzymając za ramiona, oddalała i zbliżała twarz swą do mojej twarzy, wpatrując się pilnie, i nagle odtrąciła mię z krzykiem przerażenia, rzucając się ku matce.

Bez oddechu w piersi śledziłem drżące dziecko z obawą, ażeby znowu twarz moja nie wznieciła w niem trwogi.

Dlaczego odepchnęła mię z takim przestrachem, pytałem siebie, czy dlatego, że ciągle mię jeszcze nie poznaje, czy może w dziwnym tylko stanie nerwowym grzeszne myśli wyczytała w mej twarzy i nie chce takiego ojca?

To ostatnie przypuszczenie wydało mi się możliwem i przepełniło kielich goryczy...

Zwolna dziecko uspakajało się, skarżąc się z cicha już tylko, wreszcie usnęło. Jakże się wloką godziny, spędzone w trwodze przy łóżku drogiego chorego—liczyć je trzeba na lata, na wieki!...

Posłałem prosić lekarzy, lecz długo nie przychodzili. Co chwila, gdy tylko milknął oddech Ani, serce bić we mnie przestawało, mogła umrzeć... umarłaby z tym wstrętem strasznym, jaki był w ostatniem jej spojrzeniu! I któż umrzećby Ani pozwolił, jeżeli nie ojciec?—myślałem, łamiąc ręce w rozpaczy; biedna matka, czuwając sama w początkach choroby, nie rozpoznała może niebezpieczeństwa, zapóźno po radę posłała, lub wskazówek nie potrafiła wypełnić.

Na dnie sumienia mego odzywał się głos: „A cóż wart

ojciec, usuwający się od najświętszych obowiązków i na co zasługuje?" Śmierć dziecka wydała mi się okropną, chociaż słuszną karą wyższej sprawiedliwości, lecz wiedziałem, że kary tej nie przeniósłbym. Na kolanach przy łóżku Ani, ze łzami gorącemi błagałem Boga o litość i postanowiłem żyć dla rodziny i tylko w rodzinie.

Nareszcie przyszli doktorzy.

Po zbadaniu śpiącego zawsze dziecka nie wyglądali na zatrwożonych bardzo jego stanem, objawy nieprzytomności uważali za skutek gorączki, często u nerwowych dzieci spotykany, a wylęknienie moje nazwali także zdenerwowaniem, spowodowanem bezsennie spędzonemi nocami.

Nie dziecku poświęciłem je był, niestety! Lekarze odeszli, zostawiając mię w niepokoju, gdyż nie dowierzałem pocieszającym ich słowom; a ciężkie wyrzuty sobie czyniąc, stwierdzałem prawdę zdania: „Cierpi człowiek, bo służy sam sobie za kata, sam sobie robi koło i sam się w nie wplata..."

Nareszcie, koło rana, gdy pierwszy blask dnia padł na czoło mojej ukochanej dzieciny—ona, przeciągając się, roztworzyła oczy i zarzuciwszy rączki na złotą główkę, spojrzała na mnie, mówiąc powoli, zwykłym swym głosikiem: „Pewno już późno, a tatuś jeszcze przy mnie, kochany tatuś!" Znowu klęczałem przy dziecku, — lecz już ze łzami pociechy odpowiedziałem mu: „Zmiłował się Bóg nad tatem..."

Zrozumiałem, że lekarze mówili prawdę i że niebezpieczeństwo nie grozi. Przepełniony olbrzymią radością, nie opuszczałem już prawie rekonwalescentki, bawiłem ją, przyrządzałem jedzenie i lekarstwa, głośno czytałem, a gdy drzemała, opierałem głowę o poduszkę dziecka i w błogim pół-śnie spędzałem rozkoszne chwile.

Tak mię ta choroba, a raczej ostatnia noc trwogi zgnębiła, że miałem uczucie człowieka, który sam z ciężkiej niemocy powstaje, a zatracił pamięć innych przebytych wrażeń.

Raz, gdy siedziałem przy mojej maleńkiej, która leżała cichutko, służący oddaje mi list od pani Dory. Zerwałem się z miejsca i pobiegłem do swego pokoju.

List przychodził z prowincyi, mówił o jakiejś konieczności, której ulegając, wyjechać musiała, o złości ludzkiej, o goryczy życia i kończył się prośbą o radę, opiekę, o dowód uczucia. Wiedziała, że w domu moim była choroba, więc przebaczyła milczenie, lecz teraz, po raz ostatni udaje się do przyjaciela, a jeśli ten przybędzie na miejsce wskazane, potrafi mu być wdzięczną i dobremi obdarzyć chwilami. Kreśliła obraz przyszłości, upajającej dla tego, kto na szczęście zasłuży, lecz był i dopisek, a mówił, że jeślibym nic uczynić dla niej nie chciał i zapomnienia pragnął, miałem odpowiedzieć otwartą kartą temi kilku słowami: „*Souvent homme varie.*"

Sądziłem, że zapomniałem był o wszystkiem, lecz w miarę czytania listu, pisanego pod wpływem silnego wzruszenia, traciłem spokój, przy ostatnich zaś wyrazach krew uderzyła mi do głowy.

Odrzuciłem wszelką myśl zbliżenia, ale budziła się tęsknota za wrażeniami i mówiła mi, że moim obowiązkiem byłoby stawić się tam, gdzie woła kobieta, współczucia, pomocy potrzebująca.

Jakże słabym jest człowiek, jak skłonny do oszukiwania samego siebie!

Nie bardzo wierzyłem, ażeby istotnie pomoc moja była potrzebną—jak nie wierzyłem, ażebym był kochany na prawdę,—tylko fijołkowy liścik przynosił mi dobrze znany zapach, i ten to zapach silne postanowienie rozwiewał. Czyżbym się jeszcze wahał? — pytałem sam siebie — czyżbym zamierzał pomimo uczynionego postanowienia, zostać opiekunem pięknej, wzywającej mię Dory?...

Odpowiedź na to była okrzykiem wściekłości.

Zły na siebie, na świat cały, podarłem śliczne pismo na drobne strzępy i rzuciwszy je do kosza, udałem się do córki. Idąc myślałem: Nic nie odpiszę, niech przypuszcza, że list zaginął, nie podobna okazać się tak niewdzięcznym, tak brutalnym.

Niema zresztą potrzeby zrywania węzła przyjaźni w tak bardzo przykry sposób.

Temi myślami zajęty i silnie rozdrażniony, zbliżyłem się do Ani. Zadumana była jakaś, a gdym zapytał, czemu po nagłem mem odejściu nie przywołała nikogo, odrzekła w półuśmiechu, że serduszko jej mówiło, iż „tata zaraz powróci.“ Dziecko wyglądało smutnie, dotknąłem jego czoła, wyobrażając sobie, że przyjdzie znowu gorączka.

Odpowiedziało mi, że się czuje zdrowe, o niczem przykrem nie myśli i nic mu się złego nie zdaje, jak dawniej bywało, bo wie, że jestem blizko. „Jakie to szczęście, mówiła, że ojciec nie kupiec, jak tamten z bajki, że nie potrzebuje jechać po jakieś tam towary.“ Wzięła mię za rękę i powtarzała: „Nie puściłabym ja ciebie, choćbyś i chciał gdzie uciec.“ „Nie zechcę nigdy“—odrzekłem, patrząc na tę moją dziewczynkę, taką kochaną, taką słodką, a uspokojenie wielkie spływało do mej wzburzonej przed chwilą duszy.

Dziecko darzyło ojca „życiem i zdrowiem...“ Położyłem dłoń na jasnej główce, była to moja przysięga.

Ania zdziwienia nie okazała, a jakby przeczuwając ważność chwili, przytuliła mi się do ramienia, szepcząc: „Tak—to dobrze!...“

Nazajutrz, wrzuciwszy w skrzynkę pocztową kartę ze słowami: „*Souvent homme varie*“ — poszedłem do p. Ferdynanda.

Chciałem wytłómaczyć się z dłuższej u niego niebytności i pożegnać zarazem, zamierzałem bowiem wkrótce wyjechać z rodziną, gdyż matka żony przychodziła do sił i moralnej równowagi, a sam potrzebowałem odetchnąć zdrowem wsi powietrzem, zasilić niem duszę i wziąć się seryo do pracy, która już mnie czekała na ogrzanej pierwszem wiosennem słońcem roli. Dodzwonić się do p. Ferdynanda nie mogłem. Stróż mię objaśnił, że najprzód wyjechała „kuzynka“, a później sam właściciel mieszkania, i chociaż żona, która ma być umieszczona w „szpitalu“ jeszcze się nie wyprowadziła, gospodarz wynajął już lokal.

Nie chcąc męczyć chorej, której rozmowa przychodziła zawsze z wielką trudnością, udałem się po wiadomości do jednego ze wspólnych znajomych. Spaliłem był mosty za

sobą, ale dowiedzieć się chciałem, czemu p. Ferdynand i p. Dora opuścili tak nagle Warszawę. I oto jaki obraz odsłoniono przedemną.

W ów dzień, kiedy na miłe wezwanie nie stawiłem się, podczas gry, której, jak zawsze, przyglądała się p. Dora, jeden z grających, gwałtownie powstając wśród rozpoczętej partyi, rzuca obelgę w twarz Ferdynandowi, wykazuje towarzyszom, że są oszukiwani przez gospodarza domu z pomocą jego kuzynki, gdyż ta, zaglądając w karty przeciwników, daje mu umówione znaki.

Słowa te popiera z niemniejszem oburzeniem inny partner, mówiąc, że stwierdził prawdę domysłów, od paru już dni przez towarzysza czynionych. Przychodzi do zamiany gwałtownych wyrazów, w których obok napaści, zaznaczających całą ohydę postępku, nie oszczędzono także honoru Dory, jako kobiety, a nawet podano w wątpliwość stosunek jej do Ferdynanda.

Strasznie przygnębiony i upokorzony zostałem tą katastrofą.

W jakiemże towarzystwie obracałem się przez tyle wieczorów, wśród jakich że to kłamstw?

A więc gościnny Ferdynand rabował naiwnych z tą... pokrewną mu istotą!

Dałem się oszukiwać, dałem się w moim wieku zwabić wdziękiem zewnętrznym, jak barwną cykoryą ów chłopiec, któremu „z podmuchem cały kwiat na powietrzu rozleci się puchem“...

I cóżby się stało, gdybym w tem gronie znalazł się owego wieczora i usłyszał to wszystko.

Na razie nie uwierzyłbym zarzutom, więc za obelgi, rzucone tej uroczej, tej odurzającej mię kobiecie, zapłacićby ktoś musiał... Tak, wiem, że pod wpływem okropnego wrażenia, krew-by mi mózg zalała... tak, nie zostałbym obojętnym widzem tej awantury, zakończyłbym ją pojedynkiem.

Dziwiłyby się dzieci dnia pewnego, że długo „tata nie wraca...“ i usłyszałyby może: „nie wróci...“

Jeślibym zaś powrócił, to z głośnym przydomkiem opie-

kuna tej pani... której bezmyślnie hołdy składałem... Osławionemby zostało nazwisko żony mojej, moich dzieci!

Dziś jeszcze dreszcz mię przejmuje na wspomnienie, jak mało brakowało, abym się był stał świadkiem tej sceny, aby miecz Boży zawisł nade mną.

I cóż odwróciło nieszczęście, jeśli nie słowa ballady przez troje ust drogich powtórzone, te słowa modlitwy i skargi, które były mi ostrzeżeniem, podtrzymaniem i... wybawieniem.

Z. Zal.

DURA LEX.

Skończył studya akademickie i myślał, patrząc na chlubny patent, iż jest wykwalifikowanym malarzem. Roiły mu się po głowie tysiączne przedmioty do obrazów, piękne, majestatyczne, okazałe, a po za tymi obrazami widział swoją wielkość i sławę.

Nie byłby dzieckiem XIX stulecia, gdyby za tą wielkością i sławą nie widział też znacznej ilości tęczowych papierków, wykonanych z mniejszym artyzmem, niż jego obrazy.

Widział piękną pracownię, jasną, z poetycznym widokiem, przybraną w kosztowne sprzęty, meble, makaty. Obok pracowni był też mały pokoik niebieski, z podłogą pokrytą kobiercem, a wśród egzotycznych roślin widział śliczną blondynkę o niebieskich oczach, z których radość życia tryskała.

Widział i dalej inne pokoje, równie bogate i piękne, ale wyobraźnia kroczyła przez nie szybko do ostatniej w mieszkaniu komnaty, gdzie się nieco dłużej zatrzyma nad dwiema jasnemi główkami, chłopczyka i dzieweczki, wystającemi z poza stosu zabawek.

Myślał o tem wciąż i widział ciągle to wszystko, a z trudem mu przychodziło obejrzeć się dokoła swoich biednych pustych czterech ścian piątego piętra, gdzie tymczasową urządził pracownię,—ale tymczasową, na pół roku tylko, bo za pół roku, wierzył święcie, iż w tej innej, wymarzonej pracowni osiądzie, naprzód sam, nim się obok wymarzona życia towarzyszka nie zjawi.

Czasem, gdy się rozmarzył, a pożądanie wyobraźni stawało się silne, gorączkowe,—chwytał pędzel i malował,—malował zapamiętale dla tej sławy i dla tej przyszłości.

Ale mu inne obrazy przed oczami migały, inne osoby zasłaniały historyczne postacie, tworzył z trudem, czuł swą nieudolność czas jakiś, wreszcie tracił zmysł artystyczny i myślał, że tworzy dobrze, — ponieważ tak namiętnie chciał w swych obrazach dojrzeć doskonałość, a za nią sławę.

Wystawił w przeciągu roku kilka obrazów, zbył jeden zaledwie, za nadzwyczaj nizką cenę; nic nie przychodziło, ani sława, ani zysk, ani wymarzone mieszkanie.

Po dwóch latach pracy zmudnej, a nieopłacającej się spotkał wreszcie ideał, o którym marzył.

Cóż było robić? Sławy jeszcze nie miał, mieszkania bogatego też nie, pracownię miał wciąż tę samą; ale przynajmniej posiędzie swe marzenie.

Rodzice panienki mniej chętnem okiem patrzali na te malarza zamiary. Straciwszy niedawno majątek ziemski, tęsknili za wsią, woleli gdzieś do świeżego powietrza wrócić za córką.

Ale malarz, w bojaźni utraty swego ideału, wziął na kieł i wymalował mały obrazek, tak ładny, że mu go w tej chwili nabyto i zapłacono pierwszy raz nieźle. Wpadł z tryumfem do rodziców panienki, niosąc pięć tęczowych papierków, na których całą przyszłość osnuwał.

Jeszcze ciotka jakaś niemłoda dodała słówko, iż malarz panienkę skompromitował, wystawiając jej postać na widok publiczny w pasterskim stroju, i wkrótce też stanął z wymarzoną osóbką na ślubnym kobiercu.

Minęły dwa lata; do skromnej pracowni dwa pokoiki obok przybyły,—ale wcale nieładne, a równie biedne i puste, o ścianach wilgocią zbrukanych. W jednym pokoiku przebywała zwykle młoda żona malarza, w drugim mamka niańczyła jasnowłosą dzieweczkę, ale chude i blade biedactwo,—nie takie pulchne, różowe, o jakiem marzył uprzednio pan malarz.

Z pracą szło wciąż równie ciężko; jedyne zachwyty, które spotykały jego dzieła, były to zachwyty żony i niańki, publiczność patrzała na nie obojętnie, rzadko co się sprzedało.

Smucił się malarz, pracował wytrwale, lecz bieda ciągle zaglądała mu w oczy,—a razem i jego rodzinie.

Pewnego zimowego wieczora żona wróciła z miasta z gorącemi wypiekami na twarzy. W nocy zdeklarował się dyfteryt, malarz ledwie miał za co sprowadzić lekarza...

Na trzeci dzień już żona nie żyła i córeczkę udusiła błonica.

Minęły znowu dwa lata, a w dorocznym salonie Akademii Sztuk Pięknych widniał na pierwszem miejscu obraz średnich rozmiarów: wśród nocy, na pustkowiu i piaskach zalegających dokoła, stało wyschłe, zczerniałe drzewo, wyciągające ku górze swe obnażone ramiona. U stóp drzewa leżało ciało zmarłej kobiety, tulącej dziecko do łona.

I cała publiczność przed obrazem stawała i słychać było szmer uwielbienia dokoła, tyle znajdywano powietrza w nocnym krajobrazie, tyle boleści i cierpienia na twarzy zmarłej...

I przyszła wreszcie sława, ale ją boleść zrodziła podług twardych życiowych praw.

„*Dura lex, sed lex!*“—pomyślał z smutnym uśmiechem malarz, gdy mu wręczono cały stos papierków, — gdy przy nim leżał drugi stos wycinków z gazet, które lat kilka uparcie milczały o jego utworach, a dziś ogólnie przed siłą twórczości korzyły czoła.

I dziś malarz ma bogatą, wytworną pracownię, duże mieszkanie, widok prześliczny, ale niema obok ani ukochanej żony, ani jasnej główki dziecięcej.

Za to jego głowa jest biała i srebrzy się na słońcu. Widzi ją w zwierciedle przed sobą i cieszy się na ten widok, bo to mu oznacza, że już czas blizki, gdy tę pracownię opuści i pójdzie do Ojca Przedwiecznego, na którego łono złoży wszystkie bóle swego złamanego życia.

Stanisław Pilecki.

Nieprzyjaciel pól naszych.

Rozstrzępka.

(Urocystis occulta).

Rośliny dzikie i uprawne mnogich mają nieprzyjaciół, które zowiemy szkodnikami i pasorzytami, podług tego, czy one do świata zwierzęcego, czy roślinnego należą. Pojawiają się one niemal wszystkie co roku, ale w liczbie tak różnej, że niekiedy odszukać je trudno, a innemi laty są plagą prawdziwą. Mały owad: niezmiarka (Chlorops taeniopus) najlepszym jest tego przykładem. Gąsienicę jego znajdowałem corocznie na Żmujdzi w jęczmieniu, ale w pojedynczych tylko okazach. Klęską dla rolnika była ona dopiero w latach 1891 i 1897, kiedy plon jęczmienia z jej przyczyny spadł do połowy na gruntach lepszych, a niemal do zera na lichszych.

Kwestya straty tak dotkliwej nie może być obojętną dla rolnika, zwłaszcza dzisiaj, w tak trudnych warunkach ekonomicznych. Ze zdwojoną więc energią zaczęto badać wszelkie choroby roślin uprawnych i szukać coraz to nowych środków zaradczych. Dzięki inicyatywie prywatnej, a przedewszystkiem czynności instytucyi publicznych, jak towarzystwa rolnicze, szkoły rolnicze, stacye doświadczalne, komisye dla badania chorób roślinnych i t. p. nietylko w starej

Europie ale i w Ameryce północnej, osiągnięto już pod tym względem bardzo poważne rezultaty. Wiemy więc dzisiaj, że z wieloma plagami można walczyć z najlepszem powodzeniem, gdy na inne niema skutecznego lekarstwa, prócz ochrony od zawleczenia zarazy i wyboru odmian na nie odpornych. Pierwszym jednak warunkiem, jak w każdej chorobie, jest ich poznanie, czyli diagnoza.

I nam wypada podążać za tym ruchem i badać, jakie szkodniki i pasorzyty grasują na naszych polach i łąkach, ogrodach i lasach.

O jednym z takich pasorzytów chcę dzisiaj słów kilka powiedzieć, gdyż jego występowanie na Litwie nie było dotąd dostrzeżonem, jeśli się nie mylę. Jest to rozstrzępka, grzybek, należący do tejże rodziny, co śnieć pszeniczna i pokrewny bardzo główniom owsa, jęczmienia, pszenicy i t. p.

W Europie pojawia się on na życie, niekiedy na jęczmieniu lub durnicy, w Austryi zaś na pszenicy, wyklinie i lisim ogonie. Znaczniejszych strat w plonie zwykle nie wyrządza, choć niema w tem żadnej pewności, skoro przeoczyć go nader jest łatwo. Nie spotkałem go dotąd na Żmujdzi, a przecież w zeszłym roku, w Blinstrubiszkach koło Rosień, znajdowałem po kilka źdźbeł chorych w każdym rozwiązanym snopie żyta. Godzi się więc przypuszczać, że wskutek przyjaznych warunków rozwoju, ten grzybek rychło rozgościł się na dobre i może w podobnych warunkach o wiele większe szkody wyrządzać.

Za innych główni przykładem, dojrzała rozstrzępka wydaje proszek czarniawy, złożony z zarodników, czyli drobniuchnych organów rozrodczych. Przy młócce, zarodniki się rozpraszają, osiadają na ziarnie żytniem, dostają się z niem razem do roli przy siewie, kiełkują współcześnie i zarażają młodziutką roślinkę. Niteczkowaty organ odżywczy pasorzyta—grzybnia—wrasta w tkankę żyta i w niej się rozchodzi, nie zrządzając szkody wyraźnej aż do chwili, kiedy w źdźbłach chorych powstaną nowe, nader liczne zarodniki. Nie w kłosach więc, jak nasze główne zbożowe, ani w ziarnie, jak śnieć pszeniczna, lecz w samem źdźble żytniem two-

rzą się długie kresy, wypełnione czarnym proszkiem zarodników rozstrzępki.

Kresy takie spostrzegamy zarówno na pochwie i blaszce liściowej, jak i na samej łodydze, której część górną niszczą one najmocniej, sprowadzając pęknięcia podłużne, rozwarcia i dziwaczne nieraz skręcenia. Sam kłos zazwyczaj zanika i nie pokazuje się wcale; niekiedy przecież z pochwy wyłazi, jako już martwy i suchy, bądź czysty zupełnie, bądź też upstrzony czarniawemi kresami na trzonie i plewach.

Dojrzewanie kres zarodnikowych nie odbywa się w jednym czasie, lecz postępuje na źdźble od góry do dołu; mogą być przeto u spodu kresy zaledwie brunatne lub całkiem bezbarwne, kiedy u góry są one już czarne i zupełnie dojrzałe. Bywają one różnej, nieraz bardzo znacznej długości i zastępują tkankę żyta, którą zniszczyły. Ponieważ składają się teraz z proszku, więc poprzecinana niemi łodyga łatwo od wiatru się łamie i rozstrzępia na wązkie paseczki lub niteczki, a zarodniki ulatują w powietrze lub zostają przez deszcz wypłókane. Ale nie wszystkie. Wiele kres, zwłaszcza dolnych, zostaje nietkniętych i zamkniętych, aż do żniwa i młócki, a to tem bardziej, że źdźbła chore są zwykle krótsze (i cieńsze) od zdrowych, które są dla nich osłoną od wiatru i deszczu. Dla tej to właśnie przyczyny, zarodniki rozpraszają się przeważnie przy młócce, a odszukanie źdźbeł chorych na polu lub w snopie wymaga wielkiej uwagi i pracy.

Zarodniki rozstrzępki nie są tak proste jak w główniach, lecz wielokomórkowe; składają się one z 1—4 komórek większych, płodnych, i z dziesiątka mniejszych, płonnych, stanowiących jakby korę dokoła tamtych. Średnica ich waha się od 0.02 do 0.03 mm. Kiełkowanie komórek płodnych jest bardzo podobnem do śnieci; w wodzie, po 3—4 dniach, wydają one krótką przedgrzybnią, zakończoną wiankiem 2—6 pałeczkowatych zarodniczków.

Takie to są główne wiadomości, które posiadamy o budowie i rozwoju rozstrzępki. Nie mamy natomiast żadnych

wiadomości o warunkach, które działają na rozszerzenie lub powstrzymanie tej zarazy, nie mającej u nas jeszcze poważniejszego znaczenia. Na podstawie analogii wolno jednak przypuszczać, że jej rozwojowi będzie sprzyjała wilgoć panująca w czasie siewu żyta i że gleby ciężkie i wilgotne będą bardziej przez nią nawiedzane, niż lekkie i suche. Czy nawóz stajenny ma przytem jakieś znaczenie, o tem tylko na drodze doświadczalnej będziemy w stanie się przekonać.

Edward Janczewski.
Prof. Uniw. Jagiell.

Kraków, 1 lutego 1898 r.

Rośliny litewskie w poezyach Adama Mickiewicza

podał

Dr. Wł. Dybowski.

Rośliny wdziękiem swoim najbardziej oddziaływały na wyobraźnię Mickiewicza, to też żaden z poetów tylu, tak często i tak pięknie roślin nie opisywał i z taką lubą tkliwością do nich się nie zwracał, jak nasz poeta litewski:

„Drzewa moje ojczyste! jeśli niebo zdarzy,
Bym wrócił was oglądać, przyjaciele starzy,
Czyli was znajdę jeszcze? czy dotąd żyjecie?
Wy, koło których niegdyś pełzałem jak dziecię.“

Ile razy poeta nasz florę litewską z jaką inną, choćby najpiękniejszą, porównywał, zawsze mu ona najmilszą, najdroższą i najpiękniejszą się wydawała.

„Widziałem ......
Owe sławione drzewa, rosnące na Wschodzie
I na Południu, w owej pięknej włoskiej ziemi;
Któreż równać się mogą z drzewami naszemi?“

Przy takim nastroju ducha poeta te tylko rośliny przytacza, które rosną na Litwie; jeżeli wspomina obcokrajowe, to poto tylko, by, porównywając z litewskiemi, wykazać ich niższość:

„Któreż równać się może z drzewami naszemi?
Czy aloes z długiemi jak konduktor pałki?
Czy cytryna karlica z złocistemi gałki?
Czy zachwalony cyprys, długi, cienki, chudy?“

Przesadnem i mylnem jest jednak zdanie p. Łapczyńskiego, że „licentia poetica“ we florystyce Mickiewicza nie miała miejsca; przeciwnie, Mickiewicz dość często posługuje się swobodą poetycką dla podniesienia uroku i wdzięku w swych obrazach przyrody.

Nie systematykę botaniczną wykłada nam w pieśniach wieszcz nasz ubóstwiony, lecz wykazuje idealną piękność Litwy z całą jej przyrodą.

„Czemuż pan Hrabia, jeśli w malarstwie się kocha,
Nie maluje drzew naszych, pośród których siedzi?
Prawdziwie będą z pana żartować sąsiedzi,
Że mieszkając na żyznej litewskiej równinie,
Malujesz tylko jakieś skały i pustynie.“

Czyż nie zawstydzi ta przepiękna zwrotka swoją ironią wielu z nas dziś jeszcze hołdujących obczyźnie?!

Mamy już dwie prace, traktujące o roślinach w poezyach Mickiewicza zawartych:

Leopold Wajgel. Obrazki z przyrody zawarte w „Panu Tadeuszu.“ Kołomyja, 1884, — i

Kazimierz Łapczyński, Flora Litwy w „Panu Tadeuszu.“ Kraków 1894.

Obie te piękne (każda w swoim rodzaju) i z wielką znajomością rzeczy napisane prace nie są ani wyczerpujące, ani też od błędów wolne; artykuł niniejszy może stanowić będzie pewien rodzaj uzupełnienia i sprostowania prac powyższych.

Dzięcielina.

„Rumieńcem panieńskim dzięcielina pała.“
„W którą chłopiec zarzucą źrebcom dzięcielinę.“

Za czasów Mickiewicza pod nazwą powyższą były zna-

ne trzy gatunki: Trifolium pratense L., T. hybridum L. i T. repens L., t. j. wszystkie na łąkach dziko rosnące, zielne i za paszę służące gatunki dzięcieliny; nazwa ta przechowała się aż do chwili obecnej, chociaż Tr. pratense L. dziś powszechnie jest znana jako „koniczyna"; ostatnia ta nazwa jest całkiem nowożytną i datuje się od czasu wprowadzenia uprawy tej rośliny pastewnej na Litwie. Dziś lud tutejszy odróżnia trzy gatunki koniczyny uprawnej: czerwona (Trifolium pratense L.), biała (T. repens L.) i szwedzka (Trifolium hybridum L.)" i wszystkie te gatunki widzieć można zasiewane na „sznurach" chłopskich, a pomimo to i dziś jeszcze lud tutejszy nazywa „dzięcielina" wszystkie trzy, powyżej przytoczone, dziko rosnące gatunki. Mickiewicz z rumieńcem panieńskim porównał Tr. pratense L.; pod dzięcieliną źrebcom zarzucaną rozumiał on siano łąkowe, zawierające wszystkie trzy gatunki dzięcieliny (=koniczyny), bo za jego czasów na Litwie koniczyna pastewna uprawianą jeszcze nie była.

Brzezina.

...we brzozowym gaju
Stał dworek szlachecki...

Jest tu mowa o Betula alba L., która na Litwie jest jednem z najpospolitszych drzew, a w powiecie nowogrodzkim często całe pagórki pokrywa.

„Czyż nie piękniejsza nasza poczciwa brzezina,
Która jako wieśniaczka kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy?"

Jest tu mowa o prześlicznej naszej „brzozie płaczącej" Betula alba. Var. pendula Willd., która w powiecie nowogrodzkim nie jest rzadkością i jak w lasach, tak i w ogrodach często widzieć się daje.

Lilia wodna.

„Na miękkiej wodnych lilijek bieli"

W powiecie nowogrodzkim są dwa gatunki: Nymphaea alba L. i N. candida Presl.; ostatni gatunek jest daleko pospolitszy i znajduje się we wszystkich wodach stojących. Lud tutejszy gatunków tych nie rozróżnia.

„Lilia jezior, skroń białą wznosząca nad wodę.“

Jest to ta sama lilia wodna, którą Mickiewicz nazwał „lilią jezior.“

Łopuch, po białorusku tak samo.

„A Hrabia bokiem, między wielkie końskie szczawie,
Między liście łopuchu, na rękach, po trawie...“

Na Litwie łopuchem nazywają trzy gatunki: Arctium majus Schk., A. minus Brnh. i A. tomentosum Mill.

U Mickiewicza jest mowa o Ar. tomentosum Mill., który w pow. nowogródzkim rośnie wszędzie po ogrodach, zajmuje zwykle bardzo rozległe stanowiska i dosięga więcej niż metr wysokości. Ar. majus Schk. nigdy w wielkich gromadach nie rośnie, lecz najczęściej pojedynczo, w pośród okazów poprzedniego gatunku znajduje się. Ar. minus Brnh., jest bardzo rzadki i zwykle pojedynczo rośnie.

Szczaw koński.

Pod tą nazwą są znane na Litwie wszystkie gatunki szczawiu wielkolistnego: Rumex obtusifolius L., Rumex Hydrolapathum Huds., R. crispus L. i R. acutus L. Po ogrodach pospolitym chwastem jest R. obtusifolius L., lecz i drugi gatunek, R. crispus L., nie rzadko się zdarza.

Głóg.

Głogiem na Litwie nazywają owoce róży dzikiej; Crataegus L. (zob. Łapczyński l. c. p. 31) nazywa się albo Krategus, albo Szakłak.

Buk.

„Wysłuchawszy rogowej arcydzieła sztuki,
Powtarzały je dębom dęby, bukom buki.“

Kazimierz Łapczyński (l. c. p. 34) powiada, że w epoce dzieciństwa Mickiewicza mogły róść buki na Litwie i że są głosy rzeczoznawców temu przypuszczeniu przychylne.

Zdanie powyższe jest całkiem bezzasadne; na Litwie bowiem nigdy buków nie było, inaczej mielibyśmy bądź w pieśniach ludowych, bądź też w nazwach miejscowości jakąkolwiek wzmiankę o nich, czego wszakże, pomimo najskrupulatniejszych poszukiwań, nigdzie nie znalazłem.

Mickiewicz, chcąc dobitniej wyrazić sędziwość puszczy litewskiej, przytacza drzewa najbardziej długowieczne; obok więc dębu nie mógł zrobić lepszego wyboru jak buk, tembardziej, że i rym tej nazwy domagał się. Nazwa buków jest więc „licentia poetica“ w utworach Mickiewicza, którą poeta niejednokrotnie posługiwał się [1]).

Jemioła.

„. . . . . czy wydrzeć gołębie
Na wieży, czy jemiołę oberwać na dębie.“

Dąb jest jedynem drzewem, na którem jemioła (viscum album L.) nie rośnie na Litwie. Pomimo znacznej nagrody, jaką naznaczyłem temu, kto pierwszy dostarczy mi gałąź dębu z jemiołą—przez 15 lat nikt mi jej nie przyniósł, chociaż w ostatnich czasach całe puszcze t. zw. „księżackie“ (poradziwiłłowskie) padły pod siekierą kupiecką.

Modrzew.

---

[1]) Że Mickiewicz bardzo ścisłym w używaniu nazw nie był, może posłużyć za dowód następujący ustęp z „Pana Tadeusza“:

„Na końcu wiszą gałki, coś nakształt guzików,
Które żydzi modląc się, na łbach zawieszają
I które po swojemu cyces nazywają.“

Rzeczone guziki nazywają się „tfilin“, „cyces“ zaś są to sznurki wiszące u czterech rogów kaftana żydowskiego, „arbe kamfes“ zwanego.

„Każdą noc prawie, o jednej porze
Pod tym się widzą modrzewiem,
Młody jest strzelcem w tutejszym borze,
Kto jest dziewczyna, ja nie wiem.“

Modrzew (Larix europaea L.) dziko nigdzie, a temsamem i nad Świtezią nie rośnie. Jest to tylko „licentia poetica.“ W ostatnich czasach modrzew stał się ulubionem drzewem, sadzą je w ogrodach, parkach lub przy drogach (w majątkach: Niańków, Wereskow, Lubcz; przed laty 20-tu ś. p. marszałek Ant. Brochocki zasiał znaczną przestrzeń w lesie, znajdującym się w majątku Moryniu nad Niemnem).

Cary.

„Takeśmy uszły shańbienia i rzezi;
Widzisz to ziele dokoła,
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.

Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

. . . .

Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci,
I kwiaty nazywa cary“

W przepięknej balladzie „Świteź“, której ustępy przytoczyliśmy powyżej, Mickiewicz opisuje roślinę, rzekomo w jeziorze Świtezi rosnącą i nazywa ją „cary“. Śliczny opis tych „kwiatów“ dla botanika jest całkiem niezrozumiały i należy je uważać za roślinę czysto fantazyjną. Jak cała treść tej ballady jest wytworem fantazyi ludowej, tak też i roślina musi być taką. W całej florze litewskiej nic odpowiedniego znaleźć nie można.

Pod nazwą „car—ziele“ na Litwie są znane dwie, całkiem różne rośliny: Hypericum perforatum L. i Petasites officinalis Mönch., z których żadna do wodnych roślin nie należy.

Pierwszą z tych roślin lud tutejszy nazywa także „świętojańskiem zielem" lub Hałouki świętojańskie, drugą zaś „podbiałem." Podbiałem nazywają też Tussilago farfara L., a w niektórych miejscowościach roślinę Lycopsis arvensis L., również pod tą nazwą jest znana [1]).

Geranium = Jeranim (białorus.).

Lewkonia, Aster, Fiołek (lud nazywa tak samo).

„A na oknie donice z pachnącemi ziółki:
Geranium, lewkonia, astry i fiółki."

Pan Łapczyński (l. c. p. 55) żadnej z powyżej przytoczonych roślin trafnie określić nie zdołał; żadna z nich bowiem na oknie u Zosi znajdować się nie mogła.

Mickiewicz, pisząc: „pachnącemi ziółki," miał na myśli jedną z najpopularniejszych na Litwie roślin doniczkowych, która nie jest Pelargonium zonale *Willd.* (zob. Łapczyński l. c.) [2]).

Jest to roślina zielna, wydająca ze wszystkich swych części mocny, i, dla niezbyt wybrednego powonienia, przyjemny zapach, przytem ma ona piękne, bardzo misternie wycinane liście; tym właśnie przymiotom zawdzięcza ona tak wielką popularność, że ją wszędzie po chatach chłopskich, żydowskich, po zajazdach i we dworach szlacheckich dziś jeszcze widzieć można. Prócz tego jest przesąd na Litwie, że zapach tego „Geranium" ma być usypiający; to też kładą liście jego pod poduszkę tym, którzy cierpią na bezsenność.

---

[1]) Ażeby dać wyobrażenie czytelnikom, jak wyglądają rośliny, które dotąd podciągano pod opis „Carów" podajemy na końcu niniejszego artykułu opisy dwóch gatunków, mianowicie: Ledum palustre i Petasites vulgaris Desf.

[2]) Gatunku tego ściśle naukowo, dla braku literatury odpowiedniej, oznaczyć nie mogłem; posłałem przeto za granicę, gdzie go uczeni niemieccy dotąd określić nie mogli. O nazwie botanicznej zamieszczę wiadomość we „Wszechświecie", skoro tylko roślina nasza określoną zostanie.

O tem „Geranium“ jest właśnie mowa w powyższym wierszu Mickiewicza, trzy zaś inne, razem wspomniane rośliny, są tylko „licentia poetica“, bo żadna z nich do pachnących ziół nie należy.

Astry zapachu żadnego nie mają. W doniczkach nikt ich nie utrzymuje, bo wybornie rosną pod gołem niebem. W czasie żniw Zosia mogła je mieć codzień świeże ze swego ogródka.

Lewkonia zimowa (jak ją p. Łapczyński oznacza) bez oranżeryi być nie może, a przytem należy do roślin o kwiatach pachnących, ziółkiem pachnącem nazwana przeto być nie może.

Fiołek użyty jest wprost tylko dla rymu. Cheiranthus Cheiri L. nazywa się na Litwie Goldlak, a nie fiołek żółty, jak p. Łapczyński utrzymuje. Mickiewicz używał tylko nazw ludowych, które miał w pamięci i z pewnością do botaniki nie zaglądał, pisząc „Pana Tadeusza.“ Pan Łapczyński wyobrażał sobie, że Mickiewicz był w pokoju Zosi i z pedanteryą realisty malarza opisywał ten jej pokój, gdyż powiada: „Zosia, jakkolwiek bardzo lubiła kwiaty, nie była jednak tak biegłą i cierpliwą ogrodniczką, ażeby zmusić fiołki wonne do kwitnienia w czasie żniw,“ gdyby był zwrócił uwagę na wyrazy: „pachnącemi ziółki,“ to by się przekonał, iż fiołki potrzebne były dla rymu i z tego powodu poeta tu je zamieścił.

Mickiewicz ścisłym w opisywaniu ulubionych kwiatów Zosi nie był, gdyż wylicza takie tylko rośliny, które ani pielęgnowania szczególnego, ani polewania codziennego nie potrzebują:

„Był maleńki ogródek ścieżkami porznięty,
Pełen bukietów trawy angielskiej i mięty.“

Każe jednak domyślać się, że w ogródku Zosi było pełno kwiatów pachnących:

„Podróżny długo w oknie stał, patrząc, dumając,
Wonnymi powiewami kwiatów oddychając.“

Mickiewicz dlatego powyższe rośliny wyszczególnia, że są one ulubionemi przez lud tutejszy i bardzo często dziś jeszcze dają się widzieć po ogródkach przy chatach włościańskich. Kobiety wiejskie używały ich do bukietów, poświęcanych w kościele, a także przystrajały niemi swe głowy, zatykając je między fałdy chustki (namiotki), którą głowy obwijały. Dziś ten strój coraz rzadszym się staje, bo namiotkę, czepki z kwiatami sztucznymi i chustki fabryczne zastąpiły.

U pana Wajgla (l. c.) jeszcze więcej błędów się znajduje, nie poruszam ich jednak, gdyż czytelnik, porównywając niniejsze sprostowanie, łatwo je sam spostrzeże.

Tulipan (Tulipa Gesneriana L.).=Tulipan.

Narcyz (Narcissus poeticus L.).=Narcyz.

„Wilia w miłej kowieńskiej dolinie
Śród tulipanów i narcyzów płynie."

Obie tu przytoczone rośliny do flory litewskiej nie należą; poeta, posługując się swobodą poetycką, pomieścił je nad brzegami Willi, chcąc przez to ulubioną swą dolinę w Kownie, którą dziś nazywają: doliną Mickiewicza, bardziej jeszcze uroczą uczynić. I nie mógł zaiste stosowniejszych wybrać kwiatów, jak tulipany i narcyzy, które, jak wdziękiem swym, tak i porą kwitnięcia, najmilsze wrażenie w wyobraźni czytelnika wywołują.

Groszek. = haraszok.

Pan Łapczyński (l. c. p. 70), domyśla się, że groszek, u Mickiewicza wspomniany, jest Lathyrus sativus L., a to na podstawie tej, że Waga i Jundziłł tak go nazywają. Mickiewicz przytacza nie botaniczne, ale ludowe nazwy, na Litwie zaś groszkiem nazywają Vicia tenuifolia Rth., która rośnie obficie w zbożach jarych i nasieniem swojem ziarno zanieczyszcza.

Pierwiosnek. = Kluczyki, Hrabielki.

„Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obsłonek."

Jest to Primula veris L., do najrańszych jednak nie należy. Najrańszym kwiatkiem na Litwie jest Przylaszczka Hepatica triloba Gil.

Trepek królewny.

„Piersi twarde jak gruszki, a tak małe ich nóżki,
Że za trzewik dziewczynie swawolnej
Często służy kwiat pewny, zwany trepkiem królewny,
Kwiat nie większy od lilii polnej.“

Jedyna roślina, jakiej pod nazwą powyższą domyślać się można, jest storczyk, Cypripedium calceolus L. Czy nazwa ta w Królestwie jest popularną, sprawdzić tego nie mogłem [1]).

Lilia polna jest prawdopodobnie Lilium Martagon L.

Obie te rośliny na Litwie do najrzadszych należą, w Królestwie zaś nie są rzadkiemi (Rostafiński, Podr.).

Jaskier.

„Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognik nocny przepada.“

Na bagnie rosną: Ranunculus Lingua L., Ranunculus Flammula L. i R. sceleratus L. Prawdopodobnie o pierwszym tu mowa.

Gatunki roślin, podciąganych dotąd pod opis „Carów“ („Car ziele“) w poezyi Adama Mickiewicza.

Ledum palustre. L. Rozmaryn Dziki. Bagno świnie.

Krzew do 4′ wzniesiony, w odziomku 2—3 dzielny; gałęzie wypuszczające po 3—4 pędów końcowych, starsze wraz z łodygą rudo-cise i nie-

---

[1]) Albo może jeszcze hodowany po ogródkach wiejskich „Tojad“ (Aconitum).

co szarawo-nabiegłe, a młodo rudo-opilśnione. Liście dość zbliżone, krótkoogonkowe, lancetowato równowązkie ($1^1/_4''$ i $^1/_4''$), w brzegu podwinięte, skórzaste, całe drobno-gruczołkowate, — z wierzchu nagie, ciemnozielone, a spodem mocno rude lub prawie ceglasto opilśnione. Baldaszkogron wielokwiatowy, kwiatki białe, rzadko różowawe, do $^1/_2''$ w średn.

Jedna z najpospolitszych roślin bagnistych leśnych, kwitnie w maju i czerwcu. Opisanie roślin prof. dra Ign. Raf. Czerwiakowskiego.

P e t a s i t e s v u l g a r i s. Desf. (Petasises officinalis Mönch.) (Tussillago petasites). Lepiężnik pospolity. Kłobusznik. Car ziele. Morowy korzeń. Podbiał szeroki.

Ziele trwałe, bezłodygowe, z kłębem grubym, gałęzistym, cisawożółtym, wydającym liczne wypustki podziemne na 1′ długie a na 1″ w średnicy; z liśćmi sercowatymi o łatach podstawowych zbliżonych, dochodzącymi stopniowo bardzo wielkich rozmiarów — bo nawet 2′ w obu wymiarach, dwa razy ząbkowanymi, z wierzchu zielonymi a spodem szarawo miękkowłosymi...; z głąbikiem łodygowatym... na 10″ wzniesionym obłym, grubym, dętym, czerwonawym, szarawo-opilśnionym, rozgałęzionym w wydłużony bukiet z licznych koszyczków, — o przysadkach wielkich lancetowatych, czerwonawych; z kwiatami brudno szkarłatnymi..“

Roślina dość powszechna po łąkach wilgotnych, po nad rowami i strumieniami w całej Europie... kwitnie w marcu i kwietniu. (Opisanie roślin prof. dra Ign. Raf. Czarwiakowskiego.)

Dla porównania z powyżej przytoczonymi opisami i rysunkami podajemy opis z Ballady „Świteź“:

Białawem kwieciem, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą,
Liść ich zielony, jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.

K O N I E C.

SPIS RZECZY.

SPROSTOWANIA.

str.	wiersz	zamiast	powinno być
10	10 od dołu	oddania się .	oddania się Stwórcy, kojarzonego
15	2 od dołu	wyobraźni . .	pobożności
18	6 od góry	Dawno . .	darmo
24	9 „	też sumienni .	bezsumienni
24	15 „	niej	wiary
78	przyp. piąty	Jewnuła, Koriał.	Jewnuta, Koriat
81	4 od dołu	Van Dyck . .	Van Eyck
83	1 od góry	miała na obliczu	stała w obliczu posłańca Bożego
89	3 od dołu	zapalonej . .	spalonej
94	2 od dołu	miała . . .	miasta
99	5 od góry	. . . .	skarp i filunków-między niemi-nad i pod i t. d.
99	8 od góry	. . . .	renesansu
101	w przypisku	. . . .	Trabskich, Dowgiałłów
104 i 105		. . . .	Wadwicz, Szereszowski
112	3 od góry	. . . .	przepominany
113	15 od góry	Jaćwieżą . .	Łotyszami i Prussami
114	w przyp. 2	. . . .	Latkowski
116	w przyp. 2	. . . .	Nowogródek
118	13 od dołu	obecnemu . .	obcemu
119	6 od dołu	. . . .	obróciłby się
120	3 „	. . . .	w walnej bitwie
122	11 „	. . . .	Gotlandyi
123	10 od góry	dzisiaj . .	lat dziesięć
127	9 „	miejscu . .	najściu
128	12 „	. . . .	Karol Beffart
132	w przyp.	w uszach . .	w ustach
133	5 od dołu	osadzonego .	osadzanego
134	8 „	. . . .	wielkoksiążęcy
136	10 „	Somilskiemi .	somiliskiemi
144	13 „	sianożęcia . .	sianożęcią
167	przyp. w. 1	. . . .	Cyrau
167	przyp. w. 3.	. . . .	literärischen
170	6 od góry	Dwińska . .	Dźwińska
171	5 od góry	Dwińska . .	Dźwińska
170	przyp. w. 1	. . .	Lyserort
173	4 od góry	Legatów . .	Letgalów
180	10 i 22	. . . .	Transehe
188	1 od dołu	. . . .	Mahjas
191	17 od dołu	. . . .	Reinecke
191	14 „	. . . .	Panteniusa
192	14 „	etwizes . .	Awizes.
192	4 „	. . . .	wehstnesis
198	18 od góry	. . . .	„kambars“
199	8 „	. . . .	ołs
199	15 „	. . . .	ir ajzdzarta
202	19 „	. . . .	Arendsburgu
202	16 od dołu	. . . .	postacie Estów.
203	4 przyp.	. . . .	Latweeschu
203	2 od dołu	. . . .	Pyuczs
204	12 „	. . . .	po-Hylzenowskiej
204	15 „	. . . .	Zelburga

str.	wiersz	zamiast	powinno być
207	13 od góry	w ziemi	w zimie
211	1 „		Brotze'go
211	7 „		o nim
226	w wierszu		Daugowâ, izsyt, izauga
232	4 w strofie 1-ej.		Stowu rast' na gulejuszu.
232	4 w strofie 4-ej.		Zwajgzniu
236	11 „	jan	jau
„	7 od dołu		jau sausy
„	5 „		sirds'
„	3 „		daudź
237	8 od góry		przeszłością
238	10 „		jyudz
„	1 od dołu		spielej
239	2 od góry		spielejot
240	przyp 3 od d.		Jelgawas
241	wyjątek 4		skajszki, Wacokajam, Diel mozoku
„	wyjątek 5		Parń tur.
242	odn. w. ost.	Pazala	Razala
243	wyj. 1 w. 3		dâlu
„	wyj. 1 w 8		redziei
„	wyj. 2 w. 1		mamuleni
„	w odnośn.		Gottessöhne
246	wyjątek 3		Pa ustobu, naslauciejts, słauk
247	wyjątek 1		Jau, Pawajcoj
249	przyp. w. 1		zwajgzniu, interpretuje
251	w wyj. 3		Załta, nulejka
255	ur. 2 w. 7		Ti gul
256	urywek 1		Tos nusłauka
257	prz. w. 14		übertragen
„	prz. w. 18		Latweeschu tautas dseesmas
258	prz. w. 6 d.		isdotas
260	1 od góry		Jest to u nich etc.
279	16 od dołu	Stubichewicz	Stefan Stubielewicz
„	14 „	emetyt	emeryt
„	8 „	Been	August Becu
„	7 „	Briolet	Jakób Briotet
286	3 od góry		Hrabia Choiseul-Goufier
289	11 od dołu		Choiseulową.
298	6 od góry		Basileae
„	8 od góry		Suidniciae
„	17 od dołu		Dantisci
„	14 od dołu.		medico
„	4 od dołu		Kórnickiej
303	14 od góry		Speculum Saxonum
304	2 od dołu		13 octobris 1767 r.
305	15 od dołu		a fatis
306	8 od dołu		Maltensem
309	4 od góry		curru, comite ac socro
„	3 od dołu		1751
310	3 od góry		benignissime donato et oblato
„	16 od dołu		Bekiesza-bajka
„	14 „		w r. 1756
„	1 „		1728 r.
311	5 „		d. 10 lutego
314	17 od góry		Pasia Sultana Osmana
„	21 „		A. Kowenicki
318	15 od dołu		dr. Titius.
321	1 od góry		Szemiothówna
325	8, 16 i 32	Gadou	Gadon
327	1 od góry		o. Adolf Bakanowski, Redemptorzysta o. Bernard Łubieński, ksiądz M. Baraniecki, młody Jezuita Kalusa i t. d.
329	4 od dołu	wzruszeniu	wzruszeniem
331	16 od góry		James Forster
333	8 „		Mount Carmel
333	9 „		Mahanoy City
336	4 „		w Baltimore